

4350477 chr  
ALEKSANDER SOLŻENICYN

# ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1971





ALEXANDER SOLŻENICYN

BIBLIOTEKA «KULTURY»

# ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Przełożył z rosyjskiego  
Krzysztof BOGOWSKI

INSTITUT LITÉRACKI

71, avenue de l'Europe, Montparnasse

PARIS

1971

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 203

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

**ODDZIAŁ  
CHORYCH NA RAKA**

*Przetłóżył z rosyjskiego*  
JÓZEF ŁOBODOWSKI

**INSTYTUT**  

---

PARYŻ



**LITERACKI**  

---

1971



ALEKSANDER SOLŻENICYN

ODDZIAŁ

CHORYCH NA RAKA

Przebieg z  
JOZEF FORNIAK  
BN  
BIBLIOTEKA  
NARODOWA  
ODRZAŃSKA

II 1.990.417

chr.

INSTITUT LITÉRACKI

© COPYRIGHT POUR LA LANGUE POLONAISE  
INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., 1971

1971 W 710/1

## CZĘŚĆ PIERWSZA





## 1.

### W OGÓLE NIE RAK

Oddział chorych na raka był oznaczony numerem trzynastym. Paweł Nikołajewicz Rusanow nigdy nie żywił i nie mógł żywić żadnych przesądów, ale coś w nim opadło, gdy w skierowaniu mu napisano: „trzynasty oddział”. Byłoby bardziej taktownie, gdyby „trzynastka” przypadła oddziałowi protez lub chorób brzusznych.

Jednakże w całej Republice mogli mu udzielić pomocy jedynie w tej klinice.

— Ale, doktorze, przecież to nie rak? Prawda? To przecież nie rak? — chwytając się nadziei, pytał Paweł Nikołajewicz i dotykał prawej strony szyi, na której wyrósł złośliwy nowotwór, zwiększający się niemal z dnia na dzień, ale po wierzchu wciąż jeszcze obciążony zdrową, białą skórą.

— Ależ, naturalnie, że nie — doktor Doncowa uspokajała go po raz dziesiąty, zamazyście wypełniając stronicę opisem rozwoju choroby. Przy pisaniu nakładała czworokątne okulary; zdejmowała je natychmiast, gdy przestawała pisać. Była nie pierwszej młodości, blada, wyglądała na zmęczoną. To wszystko odbyło się jeszcze na przyjęciu w ambulatorium, przed kilkoma dniami. Nawet po ambulatoryjnym wyznaczeniu na oddział onkologiczny, chorzy nie byli przyjmowani od razu. Ale Doncowa kazała Pawłowi Nikołajewiczowi kłaść się i to możliwie najszybciej.

Nie tylko sama choroba, nieprzewidziana, niczym nie zapowiedziana, która jak huragan w ciągu ledwie dwóch tygodni spadła na beztroskiego, szczęśliwego człowieka — w niemniejszym stopniu Paweł Nikołajewicz czuł się przygnębiony tym, że musiał iść do kliniki na ogólnych prawach. Już nie pamiętał, kiedy po raz ostatni leczył się w takich warunkach. Zaczęli telefonować — do Jewgienija Siemionowicza, do Szendiapina, Ułmasbasbajewa,

ci z kolei telefonowali także, sprawdzali możliwości, czy nie ma w tej klinice specjalnej sali i czy chociaż dorywczo nie dałoby się przygotować małego pokoiku. Z powodu ciasnoty w tutejszym szpitalu nic z tego wyszło.

Jedynie, co udało się uzyskać u głównego lekarza całego szpitalnego kompleksu, to zwolnienie z przejścia przez oddział przyjęć, wspólną rozbieralnię i łaźnię.

Jura podwiózł ojca i matkę, błękitnym „moskwiczem”, aż do samego wejścia na trzynasty oddział.

Dwie kobiety we wstrętnych barchanowych szlafrokach stały, mimo że było mroźnawo, na otwartym kamiennym ganku; kurczyły się na zimnie, splatały ramiona na piersiach, ale stały.

Poczynając od tych niechlujnych szlafroków, wszystko tu robiło na Pawle Nikołajewiczu nieprzyjemne wrażenie: zniszczony cement na ganku, niedoczyszczone klamki drzwi, zbrudzone przez chorych, poczekalnia z podłogą, z której dawno oblaźła politura, wysoko sięgająca, oliwkowa boazeria na ścianach (oliwkowy kolor wydawał się brudny), zbite z listew długie ławki, na których nie było dość miejsca, więc chorzy, przyjezdni z daleka, siedzieli na podłodze — Uzbecy w chałatach, pikowanych na wacie, stare Uzbeczki z białymi chustkami na głowie, zaś młode z liliowymi i czerwono-zielonymi, a wszyscy w wysokich butach i kaloszach. Jakiś rosyjski chłopak leżał, zajmując całą ławkę, w rozpiętym, zwisającym aż do podłogi palcie, wychudły, z wzdętym brzuchem, i bez przerwy krzyczał z bólu. Te jego wrzaski ogłuszały Pawła Nikołajewicza i tak go dotknęły do żywego, jak gdyby ten krzyk dotyczył jego samego a nie chłopaka.

Paweł Nikołajewicz pobladł tak, że aż mu wargi zbieleły, zatrzymał się i wyszeptał:

— Kapa! Ja tu umrę. Nie trzeba. Wracajmy.

Kapitolina Matwiejewna wzięła go mocno za rękę i ścisnęła.

— Paszeńka! Dokąd mamy wracać? A co dalej?

— Może jakoś z Moskwą uda się załatwić...

Kapitolina Matwiejewna zwróciła ku mężowi swoją dużą głowę, którą bujne kędziory koloru miedzi czyniły jeszcze większą.

— Paszeńka! Uderzać do Moskwy to może jeszcze całe dwa tygodnie, może się nie uda. Czyż można czekać? Przecież spuchlizna codziennie robi się większa!

Żona mocno ścisnęła mu rękę w przegubie, dodając mu otuchy. W sprawach obywatelskich i służbowych Paweł Nikołajewicz sam w sposób niezawodny pobierał decyzje — z tym większą przyjemnością i spokojem przywykł w sprawach rodzinnych zawsze polegać na żonie: ważne sprawy załatwiała szybko i trafnie.

Młodzieniec na ławce darł się nieprzerwanym wrzaskiem.

— A może lekarze zgodzą się leczyć w domu? — niepewnie upierał się Paweł Nikołajewicz. — Zapłaci się...

— Pasik! — przekładała małżonka i widać było, że cierpi razem z nim. — Wiesz dobrze, sama zawsze jestem tego zdania: zawołać i zapłacić. Ale to już wyjaśnione: ci lekarze nie składają wizyt i nie biorą honorariów. Państwowy aparat. Nie podobna...

Paweł Nikołajewicz sam dobrze rozumiał, że nic nie ma do zrobienia. To, co mówił, to tylko tak — na wszelki wypadek.

Zgodnie z umową z głównym lekarzem przychodni onkologicznej, starsza pielęgniarka powinna ich była oczekiwać o drugiej po południu, tuż przy schodach, którymi w owej chwili ostrożnie schodził jakiś chory o kulach. Oczywiście, starszej pielęgniarki na miejscu nie było, zaś drzwi do jej pokoiku pod schodami zamknięte były na kłódkę.

— Nie ma się z kim porozumieć! — wybuchnęła Kapitolina Matwiejewna. — Za co właściwie pensję im płacą?!

Tak jak stała, w szubie, z ogromnym kołnierzem z dwóch srebrnych lisów, Kapitolina Matwiejewna poszła korytarzem, u wejścia do którego widniał napis: „Nie wolno wchodzić w wierzchniej odzieży”.

Paweł Nikołajewicz pozostał w hallu. Z obawą, lekko pochylając głowę na prawo, badał swoją spuchliznę, idącą od obojczyka do szczęki. Miał wrażenie, że w ciągu pół godziny — od chwili, gdy spojrzał po raz ostatni w lustro, okręcając szyję szalikiem — spuchlizna jak gdyby powiększyła się. Paweł Nikołajewicz czuł słabość i zapragnął usiąść. Ale wydawało mu się że ławki są brudne, a jeszcze trzeba było jakąś babę w chustce i z zatłuszczonym workiem na podłodze między nogami prosić, żeby się posunęła. Paweł Nikołajewicz miał czułe powonienie i nawet na odległość wydawało mu się, że dochodzi do niego smrodliwy zapach tego worka.

Kiedyż nareszcie nasza ludność nauczy się podróżować z czystymi, porządnymi walizkami? Zresztą teraz, z tym nowotworem na szyi, było mu wszystko obojętne.

Rusanow stał, ledwie oparty o ścienny wykusz; wszystko sprawiało mu cierpienie: krzyki tego chłopaka, widok tych ludzi, wstrętne zapachy. Z zewnątrz wszedł jakiś chłop, niosąc przed sobą półlitrowy słoje z nalepką, prawie wypełniony żółtym płynem. Niósł go, nie kryjąc się, przeciwnie, dumnie wyciągając przed siebie, jakby chodziło o kufel piwa, zdobyty w ogonku. Chłop zatrzymał się tuż przed Pawłem Nikołajewiczem, jak gdyby chciał mu wręczyć ten słoje, miał o coś zapytać, ale spojrzał na czapkę z foki i, szukając dalej wzrokiem, zwrócił się do chorego o kulach:

— Kochanieńki! A kajże to zaniosę, co?



Beznogi wskazał mu drzwi laboratorium.

Pawłowi Nikołajewiczowi zbierało się na mdłości.

Znowu otworzyły się drzwi prowadzące na zewnątrz i weszła pielęgniarka, w samym kitlu, bez żadnego przykrycia. Miała wydłużoną, niezbyt przyjemną twarz. Od razu zauważyła Pawła Nikołajewicza, domyśliła się i podeszła.

— Przepraszam — była zadyszana i oblana rumieńcem koloru pomadki do ust, tak się spieszyła. — Bardzo przepraszam! Długo na mnie czekacie? Właśnie przywieźli lekarstwa, musiałam przyjąć.

Paweł Nikołajewicz miał gotową uszczypliwą odpowiedź, ale się powstrzymał. Podeszedł Jura, z walizką i torbą z wiktuałami; był w samym garniturze, bez czapki, tak jak siadł do kierownicy — bardzo opanowany, z czupryną opadającą na czoło.

— Proszę za mną! — starsza pielęgniarka prowadziła go do swojej komórki pod schodami. — Już wiem, Nizamutdin Bachramowicz mówił mi, że macie własną bieliznę i piżamę, ale jeszcze nie używaną, prawda?

— Prosto ze sklepu.

— Taki jest przepis, w przeciwnym razie byłaby konieczna dezynfekcja, rozumiecie to, prawda?

Otworzyła fornirowane drzwi i zapaliła światło. Komórka miała pochyły sufit, bez okna. Wszędzie wisały różnokolorowe wykresy.

Nic nie mówiąc, Jura wniósł walizkę, wyszedł. Paweł Nikołajewicz zaczął się przebierać. Pielęgniarka zrobiła gwałtowny ruch, jakby chciała gdzieś biec i w międzyczasie jeszcze coś załatwić, ale w tej samej chwili zbliżyła się Kapitolina Matwiejewna.

— A cóż to za taki pośpiech?

— A bo ja... trochę...

— Jak się nazywacie?

— Mita.

— Dziwne jakieś imię. Nie jesteście Rosjanką?

— Jestem Niemką...

— Musieliśmy czekać z waszej winy.

— Bardzo przepraszam. Ja właśnie przyjmuję...

— Mita, proszę posłuchać, chcę żebyście o tym wiedzieli. Mój mąż jest zasłużoną osobą, wielce cenionym pracownikiem. Nazywa się Paweł Nikołajewicz.

— Paweł Nikołajewicz, dobrze, będę pamiętać.

— Proszę przyjąć do wiadomości, że on w ogóle jest przyzwyczajony by o niego dbano, a teraz taka poważna choroba. Czy nie można by tak urządzić, żeby przy nim dyżurowała stała pielęgniarka?

Zafrasowana, niespokojna twarz Mity zakłopotwała się jeszcze bardziej. Pokiwała głową.

— Oprócz tych, które asystują przy operacjach, mamy na sześćdziesięciu chorych zaledwie trzy pielęgniarki. To za dnia, a w nocy tylko dwie.

— No, widzicie! Choćby który umierał, zaczął krzyżeć — nikt nie podejździe.

— Dlaczego tak sądzicie! Do każdego się podchodzi...

— Paweł Nikołajewicz to nie ka ż d y. A do tego wasze pielęgniarki pracują na zmiany?

— Tak, po dwanaście godzin.

— To okropne takie mechaniczne traktowanie! Ja sama i moja córka mogłybyśmy pielęgnować go na zmianę! Stałą pielęgniarkę mogłabym sprowadzić na własny koszt, a i to — powiadają — niemożliwe.

— Myślę, że istotnie niemożliwe. Tego jeszcze nigdy nie robiono. A zresztą na sali nawet krzesła nie ma gdzie postawić.

— Boże, już wyobrażam, jak ta sala wygląda! Trzeba by najpierw tę salę obejrzeć! Ile tam łózek?

— Dziewięć. To i tak dobrze, że od razu na salę. U nas nowoprzybyli leżą na schodach i w korytarzu.

— Ja jednak muszę was prosić w dalszym ciągu, znacie tu wszystkich, będzie wam łatwiej zorganizować. Uzgodnijcie z pielęgniarką albo sanitariuszką, żeby Pawła Nikołajewicza potraktowano w sposób nie formalistyczny... — otworzyła dużą czarną torebkę i wyjęła z niej trzy pięćdziesiątki.

Stojący obok, milczący syn odwrócił się. Jasna czupryna sterczała nad czołem.

Mita schowała ręce za plecami.

— O, nie! Takich poleceń...

— Przecież daję nie wam! — Kapitalina Matwiejewna wtykała rozłożone banknoty. — Ale skoro nie można tego zrobić w zgodzie z przepisami... Płacę za pracę! Proszę tylko o uprzejme przekazanie komu trzeba!

— Nie, nie! — pielęgniarka stała się lodowata. — U nas się tego nie robi.

Skrzypnęły drzwi i Paweł Nikołajewicz wyszedł z komórki. Miał na sobie nowiutką zielono-brązową piżamę i ciepłe domowe pantofle z obramowaniem z futra. Na jego prawie zupełnie bezwłosej głowie widniała równie nowiutka mycka malinowej barwy. Teraz, bez futrzanego kołnierza i szalika, spuchlizna wielkości pięści na szyi wyglądała o wiele groźniej. Nawet głowy już nie trzymał prosto, lecz nieco pochyloną na bok.

Syn włożył do walizki zdjęte ubranie i bieliznę. Żona schowała pieniądze do torebki i z niepokojem patrzyła na męża.

— Czy aby tu nie zamarzniesz? Trzeba było wziąć ze sobą ciepły szlafrok. Przywiozę. Prawda, tu masz szalik — wyjęła go z kieszeni piżamy. — Okręć, żeby nie przeziębic! — W szubie i srebrnych lisach wyglądała trzykroć tęższa od męża. — No, idź już na salę, urządź się tam. Rozłóż wiktuały, rozejrzyj się, pomyśl czego ci potrzeba, a ja posiedzę, poczekam. Potem zejdziesz na dół, powiesz — przed wieczorem przywiozę.

Nigdy nie traciła głowy, zawsze wszystko przewidywała. Była w życiu zawsze prawdziwym przyjacielem. Paweł Nikołajewicz spozrywał na nią z wdzięcznością i udręką, potem na syna.

— A więc, Jura, dziś wyjeżdżasz?

— Wieczornym pociągami, tatusiu — Jura podszedł bliżej. Zachowywał się w stosunku do ojca z szacunkiem, ale jak zwykle bez żadnego uniesienia, ot, choćby teraz — pożegnanie z ojcem, pozostającym w szpitalu, odbywało się bez żadnego wzruszenia. Był nieodmiennie jakiś zgaszony i na wszystko reagował jednakowo.

— Tak, synku. A więc to jest twoja pierwsza poważna delegacja służbowa. Od razu zastosuj właściwy ton. Żadnej dobroduszości! Dobroduszość cię gubi! Zawsze pamiętaj, że nie jesteś Jurą Rusanowym, żadną prywatną osobą, lecz przedstawicielem p r a w a — rozumiesz?!

Jura rozumiał, albo nie rozumiał, ale w owej chwili Paweł Nikołajewicz nie mógł znaleźć słów bardziej trafnych. Mita przestępowała z nogi na nogę i chciała już iść.

— No, to ja zaczekam razem z mamą — uśmiechnął się Jura. — Nie żegnaj się jeszcze, tatusiu, idź póki co!

— Zajdziecie sami? — zapytała Mita.

— Boże mój, człowiek ledwie trzyma się na nogach, czyżbyście nie mogli mu pomóc dojść do łóżka? Torbę zanieść!

Paweł Nikołajewicz obrzucił swoich bliskich sierocym spojrzaniem, odsunął rękę Mity, która chciała go podtrzymać, i silnie trzymając się poręczy, zaczął iść na górę. Serce uderzyło mocniej, ale nie w wyniku wchodzenia po schodach. Szedł po stopniach, jak idą na, no, jakże... no, na coś w rodzaju trybuny, aby tam w górze położyć głowę.

Starsza pielęgniarka wyprzedziła go, wbiegła z torbą, coś zawołała pod adresem osoby imieniem Maria i zanim Paweł Nikołajewicz wszedł na pierwszą kondygnację, już zbiegała po drugich schodach ku wyjściu z oddziału, pokazując w ten sposób Kapitolinie Matwiejewnie, jaka czuła opieka oczekuje tu jej męża.

Paweł Nikołajewicz wszedł powoli na podest, tak długi i sze-



roki, jak to zdarza się jedynie w bardzo starych gmachach. Stały tam, wcale nie przeszkadzając przechodzącym, dwa łóżka, a przy nich na dodatek szafka. Jeden z leżących na łóżkach chorych wyglądał na zupełnie wycieńczonego; coraz to pociągał z poduszki z tlenem.

Starając się nie patrzeć na jego beznadziejną twarz, Rusanow zawrócił i poszedł schodami, patrząc do góry. Ale i na drugiej kondygnacji nie czekało go nic, co by mu dodało otuchy. Stała tam pielęgniarka Maria. Ani uśmiechu, ani życzliwego wyrazu nie znalazł na jej smagłej twarzy, jakby wyciętej z bizantyjskiej ikony. Wysoka, chuda i płaska, oczekiwała go jak żołnierz na posterunku, i natychmiast poszła korytarzem, wskazując dokąd ma się udać. Po obu stronach widniały drzwi, a między nimi łóżka i chorzy. Na zakręcie — w korytarzu nie było okien — stał stolik pielęgniarki, obok biurko, na nim zapalona lampa, a na ścianie szafka z matową szybką i wymalowanym czerwonym krzyżem. Maria przeszła koło tych stolików, wyminęła jeszcze kilka łóżek i powiedziała, wskazując długą, wysuszoną ręką:

— Drugie łóżko od okna.

I już umknęła w pośpiechu — nieprzyjemny zwyczaj w ogólnym szpitalu: nie zatrzyma się, nie porozmawia.

Skrzydła drzwi prowadzących na salę były stale otwarte, a jednak już na progu w Pawła Nikołajewicza uderzyła ciężka, wilgotna woń, częściowo zmieszana z zapachem lekarstw — jakaż udręka dla jego delikatnego powonienia.

Łóżka przy ścianach stały jedno przy drugim, tyle żeby zmieściły się nocne stoliki, środkowe przejście przez cały pokój było także wąskie — ledwie dwie osoby mogły się wyminąć.

Właśnie w tym środkowym przejściu stał krępy, szeroki w ramionach pacjent, w piżamie w różowe paski. Całą szyję miał mocno i dokładnie zabandażowaną, tak że bandaż dochodził wysoko aż do samych uszu. Ściskająca biała obręcz nie pozwalała mu na swobodne poruszanie wielką, spłaszczoną głową, porośniętą brunatnym uwłosieniem.

Schrypniętym głosem opowiadał coś innym chorym, ci słuchali go z łóżek. Po wejściu Rusanowa obrócił się do niego całym ciałem, z którym głowa łączyła się w jedną bryłę, spojrzął bez cienia współczucia i zapytał:

— A co — jeszcze jeden raczek?

Paweł Nikołajewicz nie uznał za potrzebne zareagować na tę poufałość. Czuł, że teraz patrzy na niego cała sala, ale nie miał chęci na oglądanie tych przypadkowych ludzi i nawet na przywitanie się z nimi. Poruszył tylko ręką w powietrzu gestem nakazującym tamtemu usunąć się na stronę. Burowłosy pacjent prze-

puścił Pawła Nikołajewicza i znowu zwrócił się ku niemu całym kadłubem, do którego przynitowany był wielki łeb.

— Słuchaj — no, braciszku, a gdzie masz raka?

Paweł Nikołajewicz, który już dotarł do swego łóżka, cały wstrząsnął się od tego pytania. Podniósł wzrok na impertynenta, starając się nie tracić panowania nad sobą (a jednak ramiona mu zadrzały) i odpowiedział z godnością:

— Nigdzie. W ogóle nie jestem chory na raka.

Burowłosa głośno sapnął i oznajmił na całą salę:

— Ależ dureń! Jak by nie miał raka, to by go tu nie przysłali.

## 2.

### WYKSZTAŁCENIE NIE DODAJE ROZUMU

Tego pierwszego wieczoru, już po kilku godzinach pobytu na szpitalnej sali, Pawła Nikołajewicza opanowało uczucie przeżenienia.

Twardy guz opuchliny — nagłej, bezmyślnej, nikomu niepotrzebnej — przywłókł go tu, jak haczyk rybę, i rzucił na to żelazne łóżko, wąskie, nędzne, ze skrzypiącą siatką, z ubogim materacem. Wystarczyło że się przebrał pod schodami, pożegnał z rodziną i wszedł po schodach na górę, żeby nagle urwało się całe poprzednie, harmonijnie uporządkowane życie i wyskoczyło nowe, do tego stopnia plugawe, że przerażało jeszcze bardziej niż opuchlina. Tu nie podobna zrobić żadnego wyboru, skoncentrować się na czymś przyjemnym, uspokajającym; trzeba patrzeć na osiem przybitych istot, jak gdyby z nim zrównanych — na tych ośmiu chorych w białoróżowych, mocno już spłowiałych i podniszczonych piżamach, tu i ówdzie załatanych, albo podartych, prawie u każdego nie na miarę. I nie można przebierać w rozmowach, trzeba było słuchać nudnych rozmów tych nieinteligentnych ludzi, nie mających nic wspólnego z Pawłem Nikołajewiczem i najzupełniej mu obojętnych. Najchętniej kazałby im milczeć, a już najbardziej temu natrętnemu osobnikowi z mocno zabandażowaną szyją, z burą czupryną na usztywnionym łbie; wszyscy go nazywali po prostu Efremem, chociaż był nie pierwszej młodości.

Ale Efrem w żaden sposób nie chciał się uspokoić, nie kładł się, nie wychodził z sali, lecz niespokojnie spacerował środkowym

przejściem przez cały pokój. Niekiedy marszczył się, przez twarz przebiegał skurcz, jak gdyby mu zrobiono zastrzyk, łapał się za głowę i znowu spacerował. Po pewnym czasie zatrzymywał się właśnie przy łóżku Rusanowa, pochylał się nad nim całym, niezginającym się tułowiem, przybliżał ponurą, ordynarną twarz i pouczał:

— Teraz, profesorze, to już po wszystkim. Do domu nie wrócisz, zrozumiano?

Na sali było bardzo ciepło. Paweł Nikołajewicz leżał na kołdrze w piżamie i jarmułce. Poprawił okulary w połączanej oprawie, spojrzął na Efrema tak surowo, jak to on potrafił, i odpowiedział:

— Nie rozumiem, towarzyszu, czego ode mnie chcecie. Dlaczego usiłujecie mnie przerazić? Przecież ja wam żadnych pytań nie stawiam.

Efrem gniewnie parsknął przy czym, jak się zdawało, ślina przysnęła na kołdrę Pawła Nikołajewicza.

— Stawiasz pytania, czy nie, a do domu już nie wrócisz. Okulary i nową piżamę możesz odesłać.

Wypowiedział tę impertynencję, wyprostował sztywny tułów i znowu zaczął spacerować. Że też diabli nadali tego osobnika!

Naturalnie, Paweł Nikołajewicz mógłby w ostry sposób przywołać go do porządku, ale nie znajdował w sobie zwykłej siły woli: słowa tego zabandażowanego diabła osłabiły ją jeszcze bardziej. Potrzebna była pomoc, a zamiast tego spychano go bezlitośnie w jakiś dół. W ciągu niewielu godzin Rusanow stracił swoją pozycję, zasługi, plany na przyszłość — zamienił się w kilkadziesiąt kilogramów ciepłego, białego ciała, nie znającego własnej przyszłości.

Widocznie, cierpienie objawiło się na jego twarzy, bo gdy Efram zatrzymał się za następnym razem, powiedział bardziej już przyjaznym tonem:

— A jeżeli nawet trafisz do domu, to nie na długo. I z powrotem do nas. Rak ludzi lubi. Jak już kogo uchwyci w swoje kleszcze, to do śmierci!

Paweł Nikołajewicz nie miał siły, by odpowiedzieć, Efram zaś spacerował w dalszym ciągu. Nie było nikogo na sali, żeby mu zwrócić uwagę — wszyscy jacyś przygnębieni, a niektórzy w ogóle nie-Rosjanie. Przy jednej ścianie, ze względu na piec, stały tylko cztery łóżka — naprzeciw Rusanowa łóżko Efrema, a na trzech pozostałych zupełnie młodziaki: smagły, wyglądający na prostaka chłopiec przy piecu, młody Uzbek o kuli, a koło okna chudy jak glista, o żółtej cerze, skrzycony na łóżku, wciąż pojęku-

jący chłopak. W tym samym rzędzie co Paweł Nikołajewicz po lewej stronie leżało dwóch nacmenów, potem przy drzwiach rosyjski parobczak, ostrzyżony do skóry, ale rozrośnięty, siedział i czytał; po przeciwnej stronie, na ostatnim łóżku pod oknem także chyba Rosjanin, ale kto by się tam ucieszył z takiego sąsiedztwa: gębę miał prawdziwie bandycką. Ten wygląd nadawała mu najbardziej blizna, która zaczynała się tuż przy ustach i szła dołem lewego policzka aż do samej szyi, a może także nieuczesane czarne włosy, stojące dęba i sterczące na wszystkie strony, i w ogóle grubiański i szorstki wygląd. Bandzior miał jednak także jakieś kulturalne zainteresowania — kończył czytać książkę.

Zapalono światło — dwie jaskrawe lampy świeciły pod sufitem. Za oknami zapadał mrok. Czekano na kolację.

— Tu jest jeden taki staruch — nie dawał za wygraną Efrem — leży na dole, jutro go będą operować. To jemu jeszcze w czterdziestym pierwszym maleńkiego raczka wycięli i powiedzieli: — Głupstwo, idź sobie spokojnie! Zrozumiałeś? — Efrem mówił niby różnym głosem, ale wyglądało tak, jak gdyby to jego miano operować. — Minęło trzynaście lat, chłop zapomniał o szpitalu, wódkę pił, baby macał — dziarski staruszek, sam zobaczysz. A teraz ta-aaki rak mu wyrósł! — Efrem nawet cmoknął z zadowolenia. — Prosto z operacyjnego stołu do kostnicy pójdzie.

— No dobrze, dość już tych ponurych przepowiedni! — Paweł Nikołajewicz zrobił niechętny gest i odwrócił się. Nie poznał własnego głosu — tak to wypadło żałośnie i bez najmniejszego autorytetu.

Wszyscy milczeli. Grał mu na nerwach chudy chłopak, nie przestający kręcić się na łóżku pod oknem. Siedział i nie siedział, leżał i nie leżał, cały pokręcony, z kolanami podciągniętymi do piersi, nie znajdował wygodnej pozycji, głowę obsunął z poduszki i zwiesił na skraju łóżka. Cichutko pojękiwał, każdą miną i skrzywieniem dając poznać jak bardzo cierpi.

Paweł Nikołajewicz odwrócił się od niego, opuścił nogi, wsadził je do pantofli i zaczął bezmyślnie przeglądać zawartość nocnego stolika, otwierał i zamykał drzwiczki, za którymi leżały produkty żywnościowe, albo wysuwał górną szufladkę, gdzie znajdowały się przybory toaletowe i elektryczna maszynka do golenia.

Efrem ciągle spacerował, z dłońmi splecionymi koło piersi, od czasu do czasu wstrząsał się od wewnętrznego kłucia i buczał po swojemu, wciąż ten sam refren, jakby opłakiwał nieboszczyka:

— Tak że... kie-epskie nasze sprawy... bardzo kie-epskie...

Ciche trzaśnięcie rozległo się za plecami Pawła Nikołajewicza. Obrócił się w tamtym kierunku, bardzo ostrożnie, ponieważ

każde poruszenie szyi sprawiało mu ból i zobaczył, że to jego sąsiad, ten o na półbandyckim wyglądzie, zatrzasnął przeczytaną książkę i kręcił nią w wielkich, szorstkich rękach, zdradzających brak inteligencji. Na ukos przez ciemnoniebieską okładkę i na grzbiecie biegly nieco już wyblakłe, złotem tłoczzone litery i nazwisko pisarza. Paweł Nikołajewicz nie zdołał odczytać, a rozpytywać osobnika tego typu nie miał chęci. Już zdążył wymyślić dla sąsiada przezwisko — Ogłojed. Bardzo do niego pasowało.

Ogłojed patrzył ponurymi ślepiami na książkę i nagle, nie krępując się, bardzo głośno oświadczył na całą salę:

— Gdyby nie to, że Diomka tę książkę z szafy wyjął, to bym nie uwierzył, że jej nam nie podrzucili.

— Że co Diomka? Jaką książkę? — odezwał się młodziak, czytający przy drzwiach.

— Choćbyś całe miasto przeszukał, takiej książki nigdzie nie znajdziesz. — Ogłojed popatrzył na szeroki, tęgi kark Efrema (dawno niestrzyżone włosy włożyły na bandaż), potem na jego skupioną twarz. — Efrem! Dosyć tego skomlenia! Wziąłbyś tę książkę i poczytał.

Efrem zatrzymał się, niezdamy jak byk, spojrział mętными oczami.

— A po co czytać? Po co, skoro i tak wkrótce pozdychamy?

— Właśnie dlatego, że wkrótce pozdychamy, trzeba się śpieszyć. Mówię ci — weź!

Blizna poruszyła się na twarzy Ogłojeda.

Wyciągnął książkę w kierunku Efrema, ale ten ani drgnął.

— Za dużo tego do czytania. Nie chcę.

— Co ty — czytać nie umiesz, czy jak? — Ogłojed prawie zrezygnował z namawiania.

— I jak jeszcze umiem! Jak potrzeba, jeszcze jak czytać potrafię!

Ogłojed poszukał na okiennym parapecie ołówka, otworzył książkę na ostatnich stronicach, przeglądał i gdzieniegdzie podkreślał.

— Nie obawiaj się — mruknął — opowiadanka są krótkie. O, tych parę, spróbuj. Uprzykrzyłeś się, zanadto skomlisz. Po-czytaj!

— Efrem niczego się nie obawia! — Wziął książkę i rzucił na swoje łóżko.

Młody Uzbek, Achmadżan, najweselszy ze wszystkich na tej sali, przykuśtykał, ledwie opierając się na jedncj kuli, i zapowiedział:

— Łyżki do boju!

Smagły chłopiec pod piecem ożywił się:

— Chłopcy, wieczerzę niosą!

Zjawiła się roznosicielka w białym kitlu, trzymając tacę powyżej ramienia. Wyciągnęła ją przed siebie i szła od łóżka do łóżka. Wszyscy ożywił się i sięgali po talerze, z wyjątkiem jęczącego młodzieńca spod okna. Każdy miał przy łóżku swoją szafkę, nie miał jej tylko młody Diomka, więc dzielił ją z Kazachem o szerokiej kościstej twarzy. Nad górną wargą u Kazacha widniał olbrzymi ciemnobury niezabandażowany strup.

Nie mówiąc już o tym, że Paweł Nikołajewicz nie miał dziś najmniejszej chęci na żadne jedzenie, nawet domowe, sam widok tej kolacji raz jeszcze pozwolił mu uświadomić sobie z goryczą, dokąd trafił i jaki zapewne popełnił błąd, zgadzając się na tę klinikę. Na talerzu leżał rodzaj prostokątnej babki z mannej kaszy, sprężystej jak guma, podlanej jakimś żółtym sosem; szara, aluminiowa łyżka ze skręconym dwukrotnie trzonkiem robiła wrażenie niedoczyszczonej.

Wszyscy, oprócz stale jęczącego młodzieńca, zabrali się zgodnie do jedzenia. Paweł Nikołajewicz nie wziął talerza do rąk, tylko postukał z boku paznokciem, rozglądając się komu by ją oddać. Jedni siedzieli do niego bokiem, inni plecami, a tylko ów parobczak przy drzwiach mógł go widzieć.

— Jak się nazywasz? — zapytał Paweł Nikołajewicz nie podnosząc głosu (tamten sam powinien był usłyszeć).

Mimo chrobotania łyżek chłopiec zrozumiał że to do niego i odpowiedział z gotowością:

— Proszka... to znaczy... e-e-e... Prokofij Siemienycz...

— Weź.

— Ano, cóż. Można... — Proszka podszedł, wziął talerz. — Dziękuję.

Czując pod szczęką twardy guz opuchliny, Paweł Nikołajewicz nagle zorientował się, że nie należy na tej sali do najlżej chorych. Spośród wszystkich dziewięciu tylko jeden Efrem miał nałożony bandaż, i to akurat w takim miejscu, gdzie możliwa była operacja również u Pawła Nikołajewicza. I tylko jeden chory cierpiał na silne bóle. I tylko ten tęgi Kazach na sąsiednim łóżku miał na wardze ciemnoszarłatny strup. A młody Uzbek niby chodzi o kuli, ale prawie jej nie używa. Wszyscy inni nie mają żadnej widocznej opuchliny, niczego szpetnego, wyglądają jak zdrowi ludzie. A już zwłaszcza Proszka, rumiany na twarzy, jak gdyby znajdował się w domu wypoczynkowym, a nie w szpitalu. Proszka, który akurat z wielkim apetytem wylizywał swój talerz. Wprawdzie Ogłojed miał szarą twarz, ale poruszał się swobodnie, mówił z tupetem, a na kolację rzucił się z takim entuzjazmem,



że Paweł Nikołajewicz natychmiast pomyślał czy to przypadkiem nie symulant, który korzysta z państwowego wikt, jako że w naszym kraju chorzy korzystają z bezpłatnego leczenia.

A tymczasem opuchlina Pawła Nikołajewicza uciskała od dołu, przeszkadzała poruszać głową, zwiększała się z godziny na godzinę, ale tutejsi lekarze nie mierzyli czasu: od obiadu aż do kolacji nikt nie przyszedł, by obejrzeć Rusanowa i nie zastosowano wobec niego żadnego leczenia. A przecież doktor Doncowa zwabiła go tu właśnie argumentem, że konieczne jest natychmiastowe leczenie. To znaczy, że jest ona całkowicie nieodpowiedzialna i grzeszy zbrodniczą niedbałością. Rusanow jej zaufał, stracił cenny czas, znalazł się na tej ciasnej, stęchłej, brudnej sali szpitalnej, zamiast telefonować do Moskwy i pojechać tam samolotem.

Ta świadomość popełnionego błędu, krzywdzącej go zwłoki, połączona z bólem, jaki sprawiała mu opuchlina, tak ścisnęła serce Pawła Nikołajewicza, że nie był w stanie słuchać wszystkiego co się działo dokoła: tego chrobotania łyżek na talerzach, a także nie mógł patrzeć na otoczenie: na żelazne łóżka, ordynarne kołdry, ściany, lampy, ludzi. Czuł, że trafił do pułapki i wiedział, że aż do rana nie będzie mógł powziąć żadnej ostatecznej decyzji.

Poczuł się niezmiernie nieszczęśliwy, położył się i swoim prywatnym ręcznikiem przykrył oczy, żeby odgrodzić się od świata i otoczenia. Żeby się nieco oderwać od tych spraw, zaczął myśleć o domu, o rodzinie, co też robią w tej chwili. Jura już jest w pociągu. To jego pierwsza praktyczna inspekcja. Bardzo ważne, żeby się wykazał we właściwy sposób. Ale Jura nie jest dostatecznie energiczny, trochę ciamajda, żeby się tylko nie skompromitował. Awieta pojechała do Moskwy, na wakacje. Trochę dla rozrywki, do tego czy innego teatru, ale najważniejsze — sprawy rzeczowe: rozejrzeć się tu i tam, nawiązać stosunki, przecież jest na piątym roku, trzeba we właściwy sposób zorientować się co do dalszego kierunku w życiu. Awieta posiada wielkie ambicje i szerokie horyzonty, ma duży dryg do dziennikarstwa, jest bardzo rzeczowa i, oczywiście, trzeba, żeby się przeniosła do Moskwy, tu zaraz zrobi się jej ciasno. Ma głowę na karku i talent, jak nikt inny w całej rodzinie. Paweł Nikołajewicz jest niezmiernie szczęśliwy, że córka wyrosła i rozwinęła się ponad jego poziom — doświadczenia wprawdzie jeszcze nie ma, ale za to wszystko chwytła w lot! Ławrik — trochę szalawiła, uczy się nieszczególnie, za to jeśli idzie o sport — prawdziwy talent, już nawet jeździł na zawody do Rygi i mieszkał tam w hotelu, jak gdyby był dorosły. Ba, już nawet samochód prowadzi. Teraz jest na kursie w Dosafie, żeby zdobyć prawo jazdy. W drugim okresie złapał dwie dwójki, trzeba to obecnie wyrównać. Majka uczy się w porannej szko-

le, teraz na pewno jest w domu, gra na pianinie — przedtem nikt w rodzinie nie grał! Dżulbars leży w korytarzu na dywaniku. W ciągu ostatniego roku Paweł Nikołajewicz zapalił się do wyprowadzania go każdego ranka — to i na zdrowie dobrze działa. Teraz Ławrik będzie go wyprowadzać. Ławrik lubi poszczuć psa na przechodnia, a potem powiada: — Nie lękajcie się, ja go trzymam!

I oto ta solidarna, wzorowa rodzina Rusanowych, te dwie pary starszych i młodszych dzieci, to całe uporządkowane życie, nienagannie urządzone mieszkanie, na którego umeblowanie nie szczydził pieniędzy — wszystko to w ciągu zaledwie kilku dni odeszło od niego i znalazło się po tamtej stronie opuchliny. Rodzina żyje i będzie żyć niezależnie od tego, co stanie się z ojcem. Mogą się teraz najbardziej niepokoić, kłopotać, płakać — opuchlina oddzielała go jak ściana i po tej stronie został samotny.

Rozmyślania o domu nie pomogły, więc Paweł Nikołajewicz postanowił zająć się sprawami publicznymi. W sobotę powinna rozpocząć się sesja Najwyższej Rady Związku. Zdaje się, że nie należy spodziewać się żadnych ważnych wydarzeń — pewnie zatwierdzą budżet. Tymczasem w parlamentach Francji, Włoch i Niemiec Zachodnich toczy się walka przeciw haniebnym umowom paryskim. W Tajwańskiej cieśninie strzelają... Prawda, gdy wyjeżdżał z domu do szpitala, radio zaczęło nadawać obszerne sprawozdanie o ciężkim przemyśle. A tu na sali nawet aparatu radiowego nie ma, na korytarzu także nie ma — ładne rzeczy! Trzeba przynajmniej zapewnić sobie regularne otrzymywanie *Prawdy*. Dziś było o ciężkim przemyśle, a wczoraj — postanowienia o zwiększeniu produkcji hodowlanej. Tak! Życie ekonomiczne rozwija się w bardzo energicznym tempie i, naturalnie, należy oczekiwać poważnych zmian w różnych państwowych i gospodarczych instytucjach.

Paweł Nikołajewicz już widział w wyobraźni, jakie mianowicie zmiany organizacyjne mogą nastąpić w skali poszczególnych republik i okręgów. Takie zmiany zawsze w jakimś stopniu denerwowały, na jakiś czas odrywały od rutyny zwykłej pracy, pracownicy zbierali się, spotykali, dyskutowali możliwości. I niezależnie od kierunku tych zmian, niekiedy zupełnie nieprzewidzianego, nigdy żaden z tych pracowników, a w ich liczbie także Paweł Nikołajewicz, nie tracił — przeciwnie, zawsze awansował.

Ale i te rozmyślania nie były w stanie go ożywić i nieco rozerwać. Wystarczyło, że poczuł ukłucie w szyi i natychmiast opuchlina przesłoniła mu cały świat. I znowu: budżet i paryskie układy, ciężki przemysł i hodowla — wszystko to zostało po



t a m t e j stronie opuchliny. A p o t e j stronie — Paweł Niko-  
łajewicz Rusanow. Sam jeden, samotny.

Na sali rozległ się przyjemny kobiecy głosik. Wprawdzie dziś  
nic nie mogło Pawłowi Nikołajewiczowi sprawić przyjemności,  
ale głosik ten był naprawdę niezwykle miły.

— Temperaturkę zmierzmy! — brzmiało to tak jak gdyby  
zapowiadała, że będzie rozdawać cukierki. Rusanow ściągnął  
z twarzy swój ręcznik. Trochę się podniósł i włożył okulary.  
Na szczęście to nie była ta posępna, czarna Maria, lecz inna dziew-  
czyna, okrągłutka, starannie ubrana, i zamiast trójkątnej chustki  
miała na złocistych włosach taki sam czepeczek, jaki nosili lekarze.

— Azowkin! Hej, Azowkin! — wesoło nawoływała młodzień-  
ca jęczącego pod oknem, pochylona nad jego łóżkiem. Leżał  
w jeszcze dziwniejszej pozycji niż dawniej — po przekątnej  
łożka, rozplaszczony, z poduszką pod brzuchem i brodą wpartą  
w materac, zupełnie jak leży pies i wpatrywał się w żelazne  
pręty; wyglądało tak, jak gdyby znajdował się w klatce. Wychu-  
dzona twarz coraz to zmieniała się pod wpływem cierpienia.  
Jedna ręka zwisała ku podłodze.

— Trzeba się wziąć do kupy! — wstydziła go pielęgniarka.  
— Siłę przecież macie! Proszę wziąć termometr!

Z wysiłkiem podniósł rękę znad podłogi, jakby ciągnął wiadro  
ze studni, wziął termometr. Był tak wycieńczony i zbolały, że  
nie podobna było uwierzyć, iż miał najwyżej siedemnaście lat.

— Zoja! — raczej wyjęczał niż poprosił. — Proszę mi dać  
grzejnik!

— Jesteście wrogiem samego siebie — surowo powiedziała  
Zoja. — Jak wam dali grzejnik, toście go kładli na brzuch, a nie  
na miejsce zastrzyku.

— Kiedy od tego robi mi się lepiej — upierał się cierpietni-  
czym tonem.

— Już wam tłumaczono, że w ten sposób opuchlina się zwięk-  
sza. Na onkologicznym oddziale w ogóle grzejników się nie uży-  
wa, dla was specjalnie się wystarano.

— W takim razie nie pozwolę sobie robić zastrzyków.

Ale Zoja już go nie słuchała. Postukując paluszkami w poręcz  
łożka Ogłojeda, zapytała:

— A gdzie jest Kostogłotow?

(A więc jednak! Jak celnie utrafił Paweł Nikołajewicz! Jak  
bardzo prawdziwe nazwisko podobne jest do przezwiska!)

— Wyszedł na papierosa — odezwał się Diomka od drzwi.  
Prawie nie odrywał się od lektury.

— Doczeka się on z tym paleniem! — mruknęła Zoja.

Jakież wytworne bywają dziewczęta! Paweł Nikołajewicz

z przyjemnością patrzył na jej mocno obciśnięte kitem okrągłości, na oczy nieco wypchnięte do przodu — patrzył z bezinteresownym już zachwytem i czuł, że łagodnieje. Z uśmiechem podała mu termometr. Stała akurat z tej strony, gdzie miał opuchlinę, ale nawet ruchem brwi nie dała poznać, że czuje wstręt, albo że jeszcze nigdy takiej nie widziała.

— A czy mnie jeszcze nie przepisano żadnego leczenia? — zapytał Rusanow.

— Na razie jeszcze nie — uśmiechem prosiła o wybaczenie.

— Ale dlaczego? Gdzie są lekarze?

— Dzień pracy już jest zakończony.

Trudno było gniewać się na Zoję, ale przecież ktoś odpowiadał za to, że Rusanowa nie leczono! Należało działać! Rusanow gardził bezczynnością i rozlazłymi ludźmi. Kiedy Zoja przyszła po termometr, zapytał:

— Gdzie tu jest zewnętrzny telefon? Dokąd mam pójść?

Ostatecznie jeszcze nie było za późno na decyzję, mógł jeszcze zatelefonować do Ostapienki. Zwykła myśl o rozmowie telefonicznej przywróciła Pawłowi Nikołajewiczowi jego zwykły spokój i odwagę. Poczuł się znowu zdolny do walki.

— Trzydzieści siedem — powiedziała Zoja z uśmiechem i na nowej tekturce z wykresem gorączki, w nogach łóżka, zaznaczyła pierwszą temperaturę. — Telefon jest w rejestraturze. Ale wy się tam teraz nie dostaniecie. Trzeba głównym wejściem.

— Przepraszam, siostró — Paweł Nikołajewicz podniósł się nieco i zauważył ostrzejszym już tonem:

— Jak to, żeby w klinice nie było telefonu? No, a jeżeli tu zaraz coś się stanie? Na przykład ze mną...

— To ktoś pobiegnie, zadzwoni. — Zoji nie przestraszyła taka możliwość.

— A jeżeli śnieżna zamieć, albo ulewa?

Zoja podeszła do sąsiada, starego Uzbeka i zaznaczyła temperaturę na jego wykresie.

— Za dnia chodzimy bezpośrednio, a teraz drzwi są zamknięte.

Przystojna, ładniutka, ale niegrzeczna: zanim skończył mówić, poszła do Kazacha. Mimo woli podwyższając głos, Paweł Nikołajewicz zawołał w jej ślad:

— Przecież powinien być drugi telefon! Nie może być, żeby nie było.

— Owszem, jest — zanim Zoja odpowiedziała, już usiadła przy Kazachu. — Ale w gabinecie głównego lekarza.

— No to o co chodzi?

— Dioma... Trzydzieści sześć i osiem... Gabinet zamknięty. Nizamutdin Bachramowicz nie lubi...

I poszła.

To było logiczne. Oczywiście, to zrozumiałe, nikt nie chce, żeby pod jego nieobecność łożono do gabinetu. A jednak w szpitalu powinno to być urządzone inaczej...

Przez jedną chwilę zdawało się, że nawiąże kontakt z zewnętrznym światem — i znowu urwało się. I wszystko znowu przesłoniła opuchlina wielkości pięści, przystawionej do szczęki.

Paweł Nikołajewicz wyjął lusterko i spojrział. Ależ rozpuchło! Ktoś obojętny mógłby się przestraszyć, a cóż dopiero, kiedy spojrzeć własnymi oczami! Zupełnie niebywałe! Przecież nikt z chorych na sali tego nie ma! Paweł Nikołajewicz przeżył czterdzieści pięć lat i czegoś podobnego u nikogo nie widział!

Jakby się coś w nim zapadło... Nawet nie próbował zbadać, czy puchnie w dalszym ciągu, schował lusterko, wyjął nieco jedzenia z szafki, zaczął żuć.

Dwóch najbardziej nieprzyjemnych pacjentów — Efrema i Ogłojeda — nie było, gdzieś poszli. Azowkin na łóżku pod oknem przyjął nową dziwną pozycję, ale już nie jęczał. Pozostali zachowywali się spokojnie, słychać było szmer przerculanych kartek, niektórzy ułożyli się do snu. Rusanow także postanowił zasnąć. Nie myśleć, przetrzymać tę noc, a dopiero rankiem zrobić lekarzom awanturę.

Rozebrał się, wciągnął na siebie koc, nakrył głowę swoim włochatym ręcznikiem i próbował usnąć.

Ale w tej ciszy słychać było wyraźnie czyjeś denerwujące szepty, tuż nad samym uchem Pawła Nikołajewicza. Nie wytrzymał, zerwał ręcznik z twarzy, podniósł się, starając się nie urazić bolącej szyi, i stwierdził, że szept dochodzi od sąsiada Uzbeka — wysokiego, chudego staruszka o prawie brązowej cerze, z małym klinem czarnej brodki i w jarmużce również brązowego koloru.

Leżał na plecach, z rękami założonymi pod głowę, patrzył w sufit i widocznie modlił się, stary dureń!

— Ej! Aksakał! — Rusanow pogroził mu palcem. — Przeستاń! Przeszkadzasz!

Aksakał zamilkł. Rusanow znowu położył się i przykrył ręcznikiem. Ale zasnąć nie był w stanie. Dopiero teraz zrozumiał, że przeszkadza mu jaskrawe światło dwóch lamp pod sufitem, pozabawionych matowego szkła i źle osłoniętych abażurami. To światło przebijało nawet przez ręcznik. Paweł Nikołajewicz chrząknął, znowu podniósł się na rękach nad poduszką, zawsze uważając, by nie urazić opuchliny.

Proszka stał przy swoim łóżku koło kontaktu i zaczął się rozbierać.

— Młodzieńcze! Proszę natychmiast zgasić światło! — zażądał Paweł Nikołajewicz.

— Kiedy... lekarstw jeszcze nie przynieśli... — zawahał się Proszka, ale podniósł rękę do kontaktu.

— Co to znaczy „zgasić”? — rozległ się za plecami Rusanowa ryk Ogłojeda. — Wolnego, nie jesteście tu sami.

Paweł Nikołajewicz siadł mocno, aż zajęczała siatka łóżka, włożył okulary, ostrożnie by nie dotknąć opuchliny, i odwrócił się:

— A trochę g r z e c z n i e j mówić nie potraficie?

Grubianin wykrzywił gębę i odpalił niskim głosem:

— Tylko nie szurajcie, ja do waszego aparatu nie należę.

Paweł Nikołajewicz rzucił spojrzenie, które powinno było obrócić Ogłojeda w popiół, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

— No dobrze, a po co potrzebne jest światło? — Rusanow przystąpił do uprzejmych układów.

— Żeby paluchem w tyłku pogrzebać — odezwał się po chamsku Kostogłotow.

Pawłowi Nikołajewiczowi zaparło dech, chociaż już przyzwyczaił się do atmosfery na sali. Tego zuchwalca należałoby w ciągu dwudziestu minut usunąć ze szpitala i wysłać do pracy! Ale nie miał żadnych konkretnych środków działania. Trzeba koniecznie porozmawiać jutro z administracją.

— Jeśli kto chce czytać, albo robić coś innego — powiedział Paweł Nikołajewicz z pełną racją — może wyjść na korytarz. Dlaczego uzurpujecie sobie prawo do przemawiania w imieniu wszystkich? Tu są różni chorzy i należy między nimi rozróżniać.

— Zrobią to — odwarknął tamten. — Wam poświęcą nekrolog, członek partii i od takiego to roku, a nas — nogami do przodu.

Takiego niepohamowanego braku subordynacji, takiej niekontrolowanej samowoli Paweł Nikołajewicz nie pamiętał i nie spotykał. Zgubił się zupełnie — jak się tu przeciwstawić? Przecież nie pójdzie ze skargą do tamtej dziewczyny. Póki co, wypadało w godny sposób przerwać rozmowę. Paweł Nikołajewicz zdjął okulary, ostrożnie położył się i przykrył ręcznikiem.

Trząśił się z oburzenia i z żalu, że poddał się i poszedł do tej kliniki. Ale jeszcze nie jest za późno — zaraz jutro porzuci ten szpital. Spojrzał na zegarek — było kilka minut po ósmej. Postanowił wszystko znieść. Prędzej czy później uspokoją się.

Ale znowu zaczęło się chodzenie i trzeszczenie podłogi między łóżkami — to oczywiście wrócił Efrem. Stare deski pokoju drgały

od jego kroków i te drgania docierały do Rusanowa poprzez łóżko i poduszkę. Paweł Nikołajewicz postanowił jednak znieść i to, i nie robić żadnych uwag.

Ileż jeszcze wśród naszej ludności niewykorzeniowego chamstwa! I jakże ich z takim obciążeniem wprowadzać do nowego społeczeństwa?!

Wieczór ciągnął się bez końca. Coraz to przychodziła pielęgniarka — raz, drugi, trzeci, czwarty; jednemu przynosiła lekarstwo, drugiemu — jakiś proszek, trzeciemu i czwartemu robiła zastrzyki. Azowkin krzychał przy zastrzyku, znowu skomlał o grzejnik, od którego miało mu ulżyć. Efrem łąził tam i z powrotem, nie mógł się uspokoić. Achmadżan rozmawiał z Proszką, każdy ze swego łóżka. Wyglądało, że się ożywiali dopiero teraz, jak gdyby nie mieli żadnych trosk i chorób do leczenia. Nawet Diomka nie kładł się, przyszedł i usiadł na łóżku Kostogłotowa, i zaczęli trajkotać nad samym uchem Pawła Nikołajewicza.

— Staram się czytać jak najwięcej — mówił Diomka — dopóki mam wolny czas. Miałbym ochotę pójść na uniwersytet.

— To dobrze. Tylko zważ: wykształcenie rozumu nie dodaje. (Czegóż to uczy dzieciaka ten Ogłojed!)

— Jak to nie dodaje?

— A tak!

— To co dodaje?

— Życie.

Diomka zmilczał, potem odpowiedział:

— Nie zgadzam się.

— Mieliśmy takiego komisarza, Paszkin mu było, zawsze nam mówił: wykształcenie rozumu nie dodaje. Stanowisko także nie dodaje. Jak komuś dorzucą jedną gwiazdkę, to zaraz powiada: zmądrzałem. A to nie tak.

— To znaczy że co? Że uczyć się nie należy? Nie zgadzam się!

— Jak to nie należy? Ucz się. Tylko zapamiętaj na własny użytek, że rozum na tym nie polega.

— A na czym polega?

— Rozum? Wierz temu co widzisz, a nie temu co słyszysz. Na jaki chcesz wydział?

— Jeszcze się nie zdecydowałem. Chciałoby się na historię i na literaturę też ochota.

— A na technikę nie?

— Nie-eee...

— Dziwne. To w moich czasach tak było. Teraz chłopaki bardziej do techniki się pałą. A ty nie?

— Mnie... bardziej społeczne zagadnienia podniecają...

— Społeczne... Wiesz, Diomka, techniką się zajmiesz — życie będziesz miał spokojniejsze. Lepiej byś się nauczył odbiorniki konstruować.

— A niby dlaczego spokojne życie? Ot, poleżę tu ze dwa miesiące, trzeba będzie podgonić drugie półrocze dziewiątej klasy.

— Masz podręczniki?

— Mam dwa. Stereometria — to bardzo trudne.

— Stereometria? A no przynieś ten twój podręcznik!

Rusanow słyszał, jak chłopak poszedł i zaraz wrócił.

— Tak, tak... Stereometria Kisielewa, staruszka... Ta sama. Linia prosta i płaszczyzna... linie równoległe... Jeżeli linia prosta jest równoległa do innej prostej, położonej na płaszczyźnie, to tym samym jest równoległa i do płaszczyzny... Niech to diabli, Diomka, to ci dopiero książeczka! Gdyby wszyscy tak pisali! Cieniutka, prawda? A ile w niej upchanej treści!

— Przez półtora roku z niej uczą.

— Ja także z tego podręcznika się uczyłem. Na pamięć wszystko umiałem!

— Kiedy to?

— Zaraz ci powiem. Także dziewiąta klasa i drugie półrocze... to znaczy, w trzydziestym siódmym i trzydziestym ósmym. Aż dziwnie znowu wziąć do rąk. Ze wszystkich przedmiotów najbardziej lubiłem geometrię.

— A później?

— Co później?

— Po szkole?

— Po szkole zapisałem się na wspaniały wydział — geofizyka.

— A gdzie?

— Tam gdzie byłem, w Leningradzie.

— I co?

— Pierwszy rok zrobiłem, a we wrześniu trzydziestego dziewiątego przyszedł rozkaz, żeby brać do wojska od dziewiętnastu lat, no to i mnie poduważyli.

— A później?

— Później odbyłem zwykłą służbę.

— A później?

— A to nie wiesz co było później? Wojna.

— Byliście oficerem?

— Nie, sierżantem.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jeżeli wszyscy zostaną generałami, nie byłoby komu wojny wygrywać... Jeżeli płaszczyzna przechodzi przez prostą, równoległą do innej płaszczyzny i przecina ją, to punkt prze-

cięcia... Słuchaj, Diomka! Chcesz, będę z tobą codziennie przera-  
biać stereometrię? Ale ją ruszemy! Chcesz?

— Chcę.

(Tylko tego brakowało, nad samym uchem).

— Będę ci zadawał lekcje do odrabiania.

— Dobra.

— Bo po prawdzie, tylko czas się marnuje. Zaraz zaczniemy. Na początek przeanalizujemy te trzy pewniki. Weź pod uwagę, że na pierwszy rzut oka pewniki te są bardzo proste, ale znajdziesz je ukryte w każdym twierdzeniu, ale musisz wiedzieć gdzie mianowicie. Tu masz pierwszy z tych pewników: jeżeli dwa punkty linii prostej znajdują się na tej samej płaszczyźnie, to znajdują się tam także wszystkie inne punkty tej prostej. Jak to rozumieć? Weźmy tę książkę jako płaszczyznę, a ten ołówek to linia prosta, tak? Teraz spróbuj założyć...

Zaczęli gadaninę i długo jeszcze trajkotali o pewnikach i konsekwencjach. Ale Paweł Nikołajewicz już postanowił że wytrzyma, i leżał demonstracyjnie odwrócony do nich plecami. Nareszcie zamilkli i rozstali się. Po zażyciu podwójnej porcji środka nasennego nawet Azowkin umilkł i usnął. I właśnie wtedy zaczął kaszleć Aksakał, do którego Paweł Nikołajewicz zwrócony był twarzą. Już i światło zgasili, a ten przeklęty bez przerwy zanosił się kaszlem, długo, ohydnie, z gwizdem, tak że wydawało się, iż się lada chwilę udusi.

Paweł Nikołajewicz odwrócił się do niego plecami. Zdjął ręk-  
nik z głowy, ale na sali nie było całkowitej ciemności: z kory-  
tarza przedostawało się światło, słychać było hałas, chodzenie,  
postukiwanie wiadrami i spluwaczkami.

Sen nie nadchodził. Opuchlina uciskała. Tak dobrze przemy-  
ślane, takie harmonijne i pożyteczne życie znalazło się na skraju  
urwiska. Rusanow użalał się nad samym sobą. Niewiele brako-  
wało, a z oczu popłynęłyby łzy.

Aż doprowadził go do łez właśnie Efrem, który nawet po  
ciemku nie chciał się uspokoić i Achmadżanowi, który leżał naj-  
bliżej, opowiadał idiotyczną bajkę.

— A po co człowiek ma żyć całe sto lat? Wcale nie potrzeba.  
To było tak. Allah rozdawał życie i każde zwierzę otrzymało po  
pięćdziesiąt lat — wystarczy. Człowiek zgłosił się ostatni i u Alla-  
ha w zapasie zostało tylko dwadzieścia pięć lat.

— To znaczy — zapytał Achmadżan — tylko jedna czwarta?

— A tak. Człowiek obraził się, powiada że krzywda, że za  
mało! Allah powiada: — Wystarczy! A człowiek upiera się: —  
Za mało! No to idź sam, popytaj, może ktoś ma lata na zbyciu.  
Poszedł człowiek, spotkał konia. „Słuchaj — powiada — moje



życie jest za krótkie. Dodaj od siebie”. „Masz, bierz dwadzieścia pięć lat”. Poszedł człowiek dalej, na spotkanie idzie pies. „Słuchaj, piesku, odstęp mi nieco życia!” „No to weź dwadzieścia pięć!” Jeszcze dalej, spotkał małpę. Także od niej wycyganął jeszcze dwadzieścia pięć lat. Wrócił człowiek do Allaha, a ten mu powiada: „Teraz nic nie poradzisz, sam zdecydowałeś. Przez pierwsze dwadzieścia pięć lat będziesz żył jak człowiek. Przez następne dwadzieścia pięć lat będziesz pracował jak koń. Przez dalsze dwadzieścia pięć lat będziesz szczekał jak pies. I wreszcie przez całe dwadzieścia pięć lat będą się z ciebie śmieli jak z małpy...”

### 3.

## PSZCZÓŁKA

Wprawdzie Zoja była pracownicą porządną, zwinną i bardzo szybko biegała po swoim piętrze, od biurka do łóżek i z powrotem do biurka, ale przekonała się że przed wyznaczoną godziną nie zdoła wykonać wszystkich obowiązków. Zaczęła więc śpieszyć się, żeby skończyć i zgasić światło na męskiej sali i na małej sali kobiecej. Na dużej kobiecej sali — tak rozległej, że stało tam ponad trzydzieści łóżek — kobiety nigdy nie ucichały na czas, obojętne czy się im światło zgasiło czy nie. Wiele leżało tu od długiego czasu, szpital je znużył, spały źle i w dusznej sali ciągle spierano się, czy drzwi od balkonu mają być zamknięte czy otwarte. A było też kilka wprawnych amateerek rozmawiania z jednego kąta do drugiego. Do północy, a nawet do pierwszej, debatowano nad cenami, jakością produktów, albo znowu na temat dzieci, mężów, sąsiadek — a nie brakowało i rozmów najbardziej bezwstydných.

A do tego dziś szorowała tam podłogę sanitariuszka Nella — wyszczekana dziewczka z tęgim zadem, dużymi brwiami i grubymi wargami. Dawno zaczęła i wciąż nie mogła skończyć, bo wtrącała się do każdej rozmowy. A tymczasem Sibgatow czekał na swoją nasiadówkę. Sibgatow miał łóżko w westybulu przy wejściu na męską salę. Przebywał tu dawniej od najstarszych pacjentów, ale dobrowolnie zgodził się na łóżko w westybulu, z uwagi na te wieczorne nasiadówki, a także krępując się brzydkiego zapachu idącego od jego pleców. Szybko przebiegając po kobiecej sali, Zoja zrobiła sanitariuszce parę uwag, ale Nella coś



tam odszczeknęła i w dalszym ciągu pracowała bez pośpiechu; nie była młodsza od Zoji i uważała za krzywdę podporządkowywać się takiej dziewczyninie. Zoja przysłała dzisiaj do pracy w świątecznym nastroju, ale ten opór sanitariuszki drażnił ją. Na ogół Zoja uważała, że każdy człowiek ma prawo do pewnej swobody i podczas pracy nie musi wypruwać się z ostatnich sił, ale gdzieś jest rozumna granica, tym bardziej gdy się obsługuje chorych.

Wreszcie Zoja wszystko rozdała i skończyła, Nella także skończyła szorowanie podłogi, zgasiły światła u kobiet, potem w górnym westybulu, była już dwunasta godzina, gdy Nella przygotowała i przyniosła Sibgatowowi ciepły roztwór w jego osobistej wanience.

— Alem się zmordowała — powiedziała z głośnym ziewaniem. — Położę się na kilka godzin. Niech no pacjent zniesie później na dół i wyleje, dobrze? Będiesz tu przecież całą godzinę siedzieć, kto by się ciebie doczekał!

W tym starym solidnym gmachu z rozległymi westybulami nie było na górze kanalizacji.

Trudno było domyślić się z braku danych, jak Szaraf Sibgatow wyglądał dawniej; jego cierpienia trwały już tak długo, że z uprzedniego życia tak jakby nic nie zostało. Ale i po trzech latach nieprzerwanej, przygnębiającej choroby ten młody Tatarzyn był najbardziej łagodnym, najbardziej uprzejmym człowiekiem w całej klinice. Coraz to pojawiał się na jego ustach słaby uśmiech, jak gdyby Sibgatow przeproszał, że tak długo sprawia kłopoty. W ciągu swoich wielomiesięcznych pobytów poznał tu wszystkich lekarzy, pielęgniarki i sanitariuszki, i wszyscy go znali i traktowali jak swojaka. Ale Nella była nowa, dopiero od kilku tygodni.

— Za ciężko będzie — cichutko odparł Sibgatow. — Gdyby można było gdzie odlać, to bym zniósł po trochu.

Biurko Zoji stało niedaleko, usłyszała i zerwała się.

— Jak ci nie wstyd! Jemu nie wolno pleców zginać, to jakże on ci wanienkę zniesie!

Niby to zawołała, ale jakimś półszepcetem, tak że nikt oprócz ich trojga nie usłyszał. Za to Nella odezwała się głośno na całe piętro:

— A jakież tam wstyd! Toż zmordowałam się bieganiną jak ta suczka.

— Jesteś na dyżurze! Pieniądze ci za to płacą! — Zoja oburzyła się coraz bardziej przytłumionym głosem.

— Ale! Płacą! Czy to są pieniądze? Nawet na tkackiej fabryce i to więcej zarobię!

— Tsss! Nie potrafisz mówić ciszej?

— O-oo-och! — Nella na pół westchnęła, na pół wyjęczała na cały westybul. — Poduszcyczko, miła przyjaciółeczko! Spać się chce, że aż ha..! Poprzedniej nocy zabawiłam się z szoferakami... No dobrze, to niech pacjent później wstawi wanienkę pod łóżko, rano wyniosę.

Ziewnęła długo i szeroko, nawet nie zakrywając dłonią ust, po czym powiedziała do Zoji:

— Tu się położę, na kanapce w posiedzeniowym.

I nie czekając na pozwolenie, poszła do drzwi w kącie westybulu — tam był pokój, w którym odbywały się posiedzenia lekarskie, meble w nim miękkie, wyściełane.

Nella zostawiła sporo niedokończonej roboty, nie wymyła spluwaczek, a i w westybulu powinna była wyszorować podłogę, ale Zoja tylko spojrzała na jej szerokie plecy i powstrzymała się przed uwagą. Pracowała stosunkowo nie od dawna, ale już zaczynała rozumieć tę zasadę: kto się nie wysiła, tego nie popędzają, a kto się wysiła, będzie pracować za dwoje. Jutro rano przyjdzie Elizawieta Anatoliewna, wyczyści wszystko i wyszoruje za siebie i za Nellę.

Teraz kiedy Sibgatow został sam, rozebrał się i w niewygodnej pozycji, tak żeby zanurzyć krzyże, usiadł koło łóżka w waniencie i siedział bardzo ostrożnie. Każdy gwałtowniejszy ruch sprawiał mu ostry ból w kości, ale bardzo bolało także od zwykłego dotknięcia uszkodzonego miejsca, nawet od kontaktu z bielizną. Starał się też nie leżeć na plecach. Jak to z tyłu wygląda, nigdy nie widział, czasami tylko namacywał palcami. W pozaprzeszłym roku przyniesiono go do kliniki na noszach — nie mógł wstać, ani poruszać nogami. Badało go wtedy wielu lekarzy, ale leczyła go przez cały czas tylko Ludmiła Afanasjewna. Po czterech miesiącach bóle całkowicie minęły — chodził swobodnie, pochylał się i na nic się nie skarżył. Gdy wychodził ze szpitala, całował rękę Ludmiły Afanasjewny, a ona cały czas go uprzedzała: „Szaraś, bądź ostrożny. Nie skacz, uważaj, żebyś się nie uderzył” Ale nie dali mu lżejszej pracy, wypadło znowu być ekspedytorem. A przy tej pracy jakże nie skakać z ciężarówki na ziemię! Jakże nie pomóc tragarzom i szoferowi! Ale nic mu się nie stało aż do samego wypadku — stoczyła się z wozu beczka i uderzyła Szafara akurat w bolące miejsce. Powstała rana i zaczęła się gnić. Nie chciała się goić. I od tego czasu Sibgatowa jakby przykuli łańcuchem do rakowej przychodni.

Z uczuciem trwającej wciąż przykrości Zoja usiadła za biurkiem i raz jeszcze sprawdziła czy załatwiła całą procedurę, uzupełniła to i owo atramentem rozplływającym się na kiepskim papierze. Nie było sensu pisać raportu na Nellę. A zresztą niezgodne

z charakterem Zoji. Należało samej dać sobie radę, a właśnie z Nellą dać sobie rady nie potrafiła. Przespać się trochę — nic w tym złego. W obecności dobrej sanitariuszki Zoja sama mogłaby przespać pół nocy. A tak trzeba czuwać. Przeglądała swoje papierki, ale usłyszała gdy wszedł mężczyzna i stanął tuż przy niej. Zoja podniosła głowę. To był Kostogłotow — niezgrabny, z nieuczesaną czupryną, jego wielkie ręce nie mieściły się w maleńkich bocznych kieszonkach szpitalnej kurtki.

— Dawno czas na spoczynek — upomniała go Zoja. — Co to za spacer?

— Dobry wieczór, Zojeńka — powiedział Kostogłotow, najłagodniej jak umiał, przeciągając słowa.

— Dobranoc — przelotny uśmiech ukazał się na jej twarzy. — Dobry wieczór był, kiedy latałam za wami z termometrem.

— To było podczas urzędowania, nie róbcie mi wymówek. A teraz przychodzę złożyć wizytę.

— No proszę! — tak jakoś się działo, że mimowoli podrzucała rzęsy i szeroko otwierała oczy.

— A skąd takie przypuszczenie, że ja przyjmuję wizyty?

— Stąd, że na nocnych dyżurach zawsze wkuwaliście, a dziś podręczników nie widzę. Zdaliście ostatni egzamin?

— Proszę jaki obserwator! Zdałam.

— Jaki stopień? Zresztą to nie ma znaczenia.

— Zresztą, właśnie zdałam na czwórkę. A dlaczego nie ma znaczenia?

— Pomyślałem, że może na trójkę i byłoby wam nieprzyjemnie. I co? — teraz wakacje?

Potwierdziła oczami i zrobiło się jej wesoło. A właściwie po co się przedtem zdenerwowała! Dwa tygodnie wakacji, cóż za szczęście! Tylko klinika i nic więcej! Tyle swobodnego czasu! A w czasie dyżurów można książki czytać, można i porozmawiać.

— To znaczy, miałem rację ztem przyszedł z wizytą?

— No już dobrze, siadajcie.

— Zoja, przecież wakacje, jeżeli nie zapomniałem, dawniej zaczynały się 25 stycznia.

— Ale myśmy byli w jesieni na zbiorze bawełny. I tak jest teraz co roku.

— Ile jeszcze lat nauki wam pozostało?

— Półtora roku.

— A czy wiecie dokąd was wyznaczą?

Wzruszyła okrągłymi ramionami.

— Nasza ojczyzna jest niezmiernie.

Nawet gdy patrzyła spokojnie, oczy jej jak gdyby nie mieściły się pod powiekami, wyrwały się na zewnątrz.

— Ale tu nie zostawiają?  
— Naturalnie że nie.  
— A jakże tak zrywać z rodziną?  
— Z jaką rodziną? Mam tylko jedną babcię. Zabiorę ją ze sobą.

— A ojciec i matka?

Zoja westchnęła.

— Mama umarła.

Kostogłotow przyjrzał się jej i już nie pytał o ojca.

— A wy w ogóle jesteście tutejsza?

— Nie, ze Smoleńska.

— Proszę! I dawno stamtąd?

— Wiadomo, jak ewakuacja...

— To wtedy mieliście... dziewięć lat?

— A właśnie. Dwie klasy tam skończyłam... A potem tu ugrzęźliśmy z babcią.

Z dużej, jaskrawo-pomarańczowej torebki, stojącej na podłodze pod ścianą, Zoja wyjęła lusterko, zdjęła z głowy pielęgniarski czepeczek, nieco wzburzyła włosy i rozczesła nad czołem wygiętą łukiem złocistą grzywkę.

Ten złocisty odblask jak gdyby odbił się na szorstkiej twarzy Kostogłotowa. Rysy złagodniały, przyglądał jej się z przyjemnością.

— A wasza babcia — zażartowała Zoja, chowając lusterko — gdzie przebywa?

— Moja babcia — bardzo na serio odpowiedział Kostogłotow — i mama (jakże nie pasowało do niego to słowo „mama”)... umarły podczas oblężenia.

— Oblężenia Leningradu?

— A właśnie. A siostrzyczkę pocisk zabił. Była pielęgniarką, taką samą jak wy, tylko jeszcze bardziej żwawą.

— Ta-ak — przeciągnęła Zoja — ile ludzi zginęło podczas tego oblężenia! Przeklęty Hitler!

— Że przeklęty — powiedział Kostogłotow z uśmiechem — na to nie potrzeba dowodów. Ale mimo wszystko oblężenia Leningradu nie składam wyłącznie na jego karb.

— Jak to! Dlaczego?

— A tak! Hitler przyszedł po to, żeby nas niszczyć. Cóż to, spodziewano się, że otworzy furtkę i zaproponuje oblężonym: proszę wychodzić pojedynczo, nie tłoczyć się... Hitler prowadził wojnę, był naszym wrogiem. A że doszło do oblężenia, winien jest ktoś inny.

— Kto taki? — szepnęła zaskoczona Zoja. Nigdy takich słów nie słyszała i nie mogłyby jej nawet przyjść do głowy.

Kostogłotow ściągnął czarne brwi.

— Powiedzmy, ten albo ci, co zapewniali, że są przygotowani do wojny nawet, gdyby z Hitlerem połączyły się Anglia, Francja i Ameryka. Ci, co przez tyle lat brali pensje, a nie przewidzieli jak w strategicznej sytuacji Leningradu będzie wyglądać jego obrona. Ci, co nie docenili nasilenia przyszłych bombardowań i nie wpadli na pomysł, żeby składy żywnościowe umieścić pod ziemią. To oni, na spółkę z Hitlerem, udusili moją matkę.

Wydawało się to oczywiste, ale zbyt dla niej nowe i zaskakujące.

Sibgatow siedział w kącie za nimi, w swojej wanience, i nie poruszał się.

— Ale w takim razie... — szeptem zaproponowała Zoja — w takim razie należałoby ich oddać pod sąd, nie?

— Nie wiem. — Kostogłotow wykrzywił usta i bez tego nieprzyjemnie wygięte. — Nie wiem.

Zoja nie włożyła już czepeczka... Górny guzik jej kitla był rozpięty, widać było kołnierzyk sukienki złocisto-szarego koloru.

— Zojeńka. Właściwie to ja mam do was pewną sprawę.

— Ach tak! — rzęsy natychmiast podskoczyły. — W takim razie proszę przyjść podczas dziennego dyżuru. A teraz — do łóżka! Z wizytą się naprasza!

— Rzeczywiście, także z wizytą. Dopókiście się jeszcze nie zmanierowali, nie stali prawdziwym lekarzem, proszę, wyciągnijcie do mnie rękę po ludzku.

— A cóż to, lekarze ręki nie podają?

— Nie o taką rękę mi chodzi... A zresztą nie podadzą. Zojeńka, ja zawsze tym w życiu się wyróżniałem, że nie lubiłem być małpim kockodanem. Tu mnie leczą, ale niczego nie wyjaśniają. Nie mogę tak. Widziałem u was książkę — „Anatomia patologiczna”. Czy tak?

— Tak.

— To przecież o opuchlinach? Prawda?

— Prawda.

— No to bądźcie człowiekiem, przynieście mi ją! Chcę trochę kartek przerzucić i zorientować się. Dla własnej wiadomości.

Zoja ściągnęła usta i pokiwała głową.

— Kiedy to nie jest wskazane, żeby pacjenci czytali lekarskie książki. Nawet jak my, studenci, uczymy się o jakiejś chorobie, to zaraz nam się zdaje...

— Nie wskazane dla innych, ale nie dla mnie! — Kostogłotow uderzył w stół ciężką łapą. — Mnie już tyle razy w życiu

straszono, że przestałem się bać. W okręgowym szpitalu, to było przed Nowym Rokiem, chirurg Koreańczyk diagnozę mi stawiał i także nie chciał dać wyjaśnień. Ja do niego: „Proszę powiedzieć!” A on: „U nas tego nie ma w zwyczaju”. „Mówcie! Biorę odpowiedzialność na siebie! Chcę sprawy rodzinne pozabawiać!” I wtedy mi wyrębał: „Macie trzy tygodnie życia, a za więcej nie ręczę!”

— Nie miał prawa!

— Zuch! To się nazywa człowiek! Nawet mu rękę uściśnąłem. Muszę wiedzieć! Jeżeli przedtem męczyłem się przez pół roku, a w ostatnim miesiącu nie mogłem już ani leżeć, ani siedzieć, ani stać bez bólu, to chyba przez ten czas to i owo przemyślałem. Tamtej jesieni poznałem na samym sobie, że człowiek może przekroczyć granicę śmierci, mimo że jeszcze tkwi w ciele, które nie umarło. Jeszcze działa system krwionośny czy przewod pokarmowy — a ty, bracie, jużes psychicznie przeżył przygotowanie do śmierci i nawet samą śmierć. Wszystko, co dokoła, oglądasz beznamietnie, jakbyś się przyglądał z trumny. Wprawdzie nigdy nie uważałeś siebie za chrześcijanina, a nawet niekiedy wręcz odwrotnie, a jednak nagle zauważyłeś, żeś przebaczył wszystkim, którzy cię krzywdzili, i nie żywisz wrogości do twoich gnębiących, Wszystko już wydaje się proste, wszystko obojętne, już nie usiłujesz niczego naprawiać, niczego ci nie żal. Powiedziałbym, że to bardzo zrównoważony stan, tak naturalny jak u drzew, albo u kamieni. A teraz zostałem z tego stanu wytrącony, ale nie wiem czy mam się z tego cieszyć. Mogą powrócić wszystkie namietności — te dobre i te złe.

— Cóż za zawracanie głowy! No jakże nie cieszyć się! Jakście tu przyszli... Ile to dni?

— Dwanaście.

— O tu, w tym westybulu skręcaliście się na tapczanie — strach było na was popatrzeć, twarz jak u nieboszczyka, nie mogliście jeść, temperatura trzydzieści osiem rano i wieczorem — a teraz! Z wizytą przychodzi... To przecież cud, żeby w ciągu dwunastu dni człowiek tak przyszedł do siebie! U nas to rzadko się zdarza.

I rzeczywiście, miał wtedy twarz jakby dłutem porytą — całą sieć głębokich, szarych bruzd od nieustannego napięcia. A teraz jest ich znacznie mniej i cała twarz jakby wyjaśniała.

— Całe szczęście polegało na tym że, jak się okazało, dobrze znoszę naświetlanie rentgenem.

— To było zupełnie wyjątkowe! — gorącym tonem powiedziała Zoja. — Wygraliście wielki los!

— Tak rzadko miewałem w życiu powodzenie — Kostogłot-

— tow uśmiechał się — że z tym rentgenem to jakby mi wymierzono sprawiedliwość. Nawet sny mam teraz jakieś przyjemnie nieokreślone. Myślę, że to oznaka powrotu do zdrowia.

— Bardzo możliwe.

— Więc tym bardziej muszę wszystko zrozumieć i zorientować się! Chcę zrozumieć na czym polega metoda leczenia, jakie są perspektywy, jakie komplikacje. Polepszyło mi się już na tyle że, być może, należałoby powstrzymać proces leczenia. To wszystko trzeba zrozumieć. A tymczasem Lidia Afanasjewna i Wiera Korniliewna nie chcą dawać żadnych wyjaśnień, leczą jakbym był małą. Bardzo was, Zoja, proszę, przynieście tę książeczkę! Ja was nie zdradzę. Możecie być pewna, że nikt o tym wiedzieć nie będzie!

Mówił z takim przekonaniem, że aż się ożywił. Wahając się, Zoja wyciągnęła rękę w kierunku szuflady w biurku.

— Macie książkę tutaj? — domyślił się Kostogłotow. — Zojeńka, zróbcie mi tę łaskę! — I już czekał z podniesioną dłonią. — Kiedy macie następny dyżur?

— W niedzielę. Dzienny.

— No to w niedzielę wam oddam i po wszystkim! Stoi umowa?!

Jakże ta dziewczyna przyjemnie się nosiła, bez cienia zarozumiałości, z tą złocistą grzywką i nieco wytrzeszczonymi ślepkami.

Tylko sam siebie nie widział, tych sztywnych kosmyków sterzcących we wszystkich kierunkach na głowie, tak jak się usztywniły od leżenia na poduszce. Spod kurtki, niedopiętej koło szyi, wysuwała się szpitalniana koszula ze zgrzebnego płótna.

— Tak-tak-tak — już przerzucał kartki książki i szukał spisu treści. — Doskonale. Znajdę wszystko co trzeba. Bardzo dziękuję. Diabli wiedzą, a nuż przesadzą z tym leczeniem. Im co — byle by rubrykę wypełnić! A mnie może jeszcze uda się stąd urwać. Nawet najlepsza apteka skraca życie człowieka.

— Macie go! — Zoja klasnęła w dłonie. — Warto było dawać! Proszę z powrotem!

Chwyliła książkę najpierw jedną ręką, potem oburącz. Kostogłotow nie puszczał.

— Podrzecie! To egzemplarz z biblioteki. Proszę oddać!

Mocne, zaokrąglone ramiona i takie same ręce widniały jak wyrzeźbione pod mocno obciśniętym kitlem. Szyję miała w sam raz, bardzo kształtną, nie za chudą i nie za grubą, nie za krótką i nie za długą. Wydierając sobie książkę, zbliżyli się na tyle, że patrzył jej prosto w oczy. Grubo ciosana twarz Kostogłotowa rozjaśniła się w uśmiechu. I nawet blizna już nie wydawała się taka okropna. Zresztą straciła już wyrazistość, widocznie miał ją od



lat. Starając się drugą ręką oderwać jej palce od książki, Kostogłotow namawiał ją delikatnym szeptem:

— Zojeńka! Przecież chyba nie jesteście zwolenniczką ignorancji, lecz za oświatą. Jakże można przeszkadzać ludziom w umysłowym rozwoju? Ja tylko pozartowałem, nie mam zamiaru nigdzie się urywać.

— Już choćby dlatego — Zoja mówiła natarczywym szeptem — nie jesteście godni przeczytania tej książki, żeście się tak strasznie zaniedbali! Dlaczegoście nie przyjechali wcześniej? Dlaczegoście przyjechali niemal w charakterze nieboszczyka?

— E-ech — Kostogłotow westchnął i powiedział prawie głośno: — Nie było transportu.

— A cóż to znowu za miejscowość, że transportu nie było? To trzeba było samolotem! Jakże to zwlekać aż do ostatniej chwili? Dlaczegoście nie przenieśli się zawczasu do bardziej cywilizowanego środowiska? Mielicie tam jakiego lekarza, czy choćby felczera?

Wypuściła książkę z palców.

— Owszem, lekarz jest, ginekolog. Nawet dwóch.

— Aż dwóch ginekologów! — zdziwiła się Zoja. — To co tam u was — same kobiety?

— Odwrotnie: kobiet bardzo mało. Dwóch ginekologów i żadnego innego lekarza. Nawet laboratorium nie ma. Nie mogli wziąć krwi do analizy. Jak się potem okazało, opad u mnie zwiększył się do sześćdziesięciu i nikt o tym nic nie wiedział.

— Potworne! A teraz znowu zaczynacie mędrkować: leczyć się dalej czy nie! Jeżeli nie dbacie o samego siebie, to przynajmniej pomyślcie o swoich najbliższych, o dzieciach!

— Dzieci? — Kostogłotow jakby się obudził, jakby ta cała zabawna szarpanina o książkę odbyła się we śnie, a teraz wrócił mu twardy wyraz twarzy i powolny sposób mówienia. — Nie mam żadnych dzieci.

— A żona to co — nie człowiek?

Mówił teraz jeszcze powolniej.

— I żony także nie mam.

— Mężczyźni zawsze opowiadają, że są niezonaci. A jakież to rodzinne sprawy chcieliście wtedy załatwić? Coście powiedzieli tamtemu Koreańczykowi?

— Zełgałem.

— To może teraz i mnie okłamujecie?

— Nie, naprawdę! — twarz Kostogłotowa kamieniała coraz bardziej. — Po prostu jestem zbyt wymagający.

— A co, nie wytrzymała waszego charakteru? — Zoja współczująco pokiwała głową.

Kostogłotow zaprzeczył powolnym gestem.

— W ogóle nigdy żadnej żony nie było.

Zoja była w kłopotcie — ile on właściwie ma lat. Już chciała zapytać, poruszyła ustami i powstrzymała się. Znowu otworzyła usta i powstrzymała się po raz drugi.

Zoja siedziała plecami do Sibgatowa, zaś Kostogłotow naprzeciw. Patrzył jak tamten z zachowaniem wszelkich ostrożności podniósł się z waniutki i obsychał, trzymając się w pasie obydwoma rękami. Wygląd miał skrajnie cierpiętniczy: rozpacz już się w nim przytępiła, ale też nic nie mogło mu sprawić radości.

Kostogłotow wciągnął powietrze i głęboko odetchnął, jak gdyby ta czynność wymagała wielkiego wysiłku.

— Palić się chce, że aż! Tu w żaden sposób nie można?

— Ani-ani. A przy tym dla was palenie to śmierć.

— Za żadną cenę?

— Za żadną. A zwłaszcza w mojej obecności.

I uśmiechnęła się.

— A może jednak choćby jednego papieroska?

— Nie wolno — chorzy śpią.

Mimo wszystko wyciągnął długą składaną cygarniczkę ręcznej roboty i zaczął ją cmoktać.

— Wiecie, jest takie powiedzenie: młodemu żenić się za wcześniej, a staremu — za późno. — Oparł się łokciami o biurko, zaś palce dłoni, w której trzymał cygarniczkę, wplątał we włosy. — Mało brakowało, a byłbym się ożenił zaraz po wojnie, chociaż i ja byłem studentem i ona studentką. I bylibyśmy się pobrali, tylko że wszystko poleciało na łeb na szyję.

Zoja wpatrywała się w raczej nieprzyjemną ale wyrazistą twarz Kostogłotowa. Ramiona i barki miał kościste, ale to na skutek choroby.

— A co, nie mogliście uzgodnić?

— Ona... jak się to mówi... zginęła. — Skrzywił się w grymasie, zamknął jedno oko; drugie patrzyło. — Zginęła, ale niby... żyje. W ubiegłym roku nawet prowadziliśmy przez krótki czas korespondencję.

Oczy wróciły do normalnego wyrazu. Spostrzegł, że w palcach trzyma cygarniczkę i włożył ją z powrotem do kieszonki.

— I wiecie, że niektóre zdania w jej listach zmusiły mnie do zastanowienia: czy aby naprawdę była taką doskonałością, jak mi się to wtedy wydawało. Może i nie była? Co się tam wie, jak się ma dwadzieścia pięć lat!

Patrzył z bardzo bliska na Zoję ciemnobrązowymi ślepiami.

— Wy na przykład — znacie się choćby troszeczkę na mężczyznach? Diabli tam!

Zoja roześmiała się.

— A może właśnie znam się.

— To absolutnie niemożliwe — oświadczył Kostogłotow tak, jakby dyktował. — To, co uważacie za znawstwo, na pewno nim nie jest. A jak już wyjdziecie za mąż, na pewno popełnicie błąd.

— Piękna perspektywa! — Zoja pokręciła głową i wydołała z tejsze pomarańczowego koloru torby tamborek, a na nim naciągnięty niewielki kawałek materiału; zielonego koloru żuraw już był wyhaftowany, a lis i dzban tylko narysowane.

Kostogłotow patrzył jak na jakieś dziwo.

— Haftujecie?!

— A cóż w tym dziwnego?

— Nie wyobrażałem sobie, że w dzisiejszych czasach studentka medycyny może nagle wyjąć ręczną robótkę.

— Nigdyście nie widzieli jak dziewczęta haftują?

— Nigdy, chyba że we wczesnym dzieciństwie. W dwudziestych latach. Ale nawet już i wtedy uważano to za burżuazyjny zwyczaj. Na komsomolskim zebraniu zdrowo by was za to napiętnowali!

— Obecnie to jest bardzo rozpowszechnione. Nie zauważyliście?

Pokręcił głową.

— I co — potępiacie?

— Co znowu! Ładne i zaciszny dom przypomina. Zachwycam się.

Dodawala ścieg za ściegiem, pozwalając mu zachwycać się. Zoja wpatrywała się w haft, a on w Zoję. W żółtawym świetle lampy jej rzęsy wydawały się jeszcze bardziej złociste. I złocił się ledwie widoczny skrawek sukienki.

— Jak pszczołka z grzywką — wyszeptał Kostogłotow.

— Jak? — brewki wysoko podskoczyły do góry.

Powtórzył.

— Tak? — wyglądało na to, że Zoja oczekiwała jeszcze większego komplementu. — Jeżeli tam, gdzie wy mieszkacie, nikt nie zajmuje się haftem, to może w wolnym handlu można dostać kanwę?

— Jak?

— Kanwę. O właśnie te nitki, widzicie — zielone, niebieskie, czerwone, żółte. Tu u nas niezmiernie trudno dostać.

— Dobrze. Zapamiętam i zapytam. A jeżeli jest, to na pewno przyślę. A nuż okaże się, że u nas znajdują się nieograniczone zapasy tej kanwy, to może byłoby najprościej samej się do nas przesiedlić, co?

— A gdzie to właściwie jest?

— No to już są właściwie ziemie ugorne.

— A tak? To wy pracujecie na ziemiach ugornych?

— Kiedy tam przyjechałem, nikt jeszcze o tym nie wiedział. A potem okazało się, że to ziemie dziewicze i ludzie zaczęli się zjeżdżać. Jak będzie przydział pracy, proście żeby do nas! Na pewno nie odmówią. Jak kto chce do nas, nie odmawiają.

— Czyżby było u was aż tak źle?

— Wcale nie. Po prostu ludzie mają pokręcone pojęcia o tym, co dobre a co złe. Mieszkanie w pięciopiętrowej klatce, gdzie ci nad głową łażą i hałasują, a radio dudni ze wszystkich stron — to dobre. A jeśli ktoś zamieszka wśród pracowitych rolników w glinianej chałupce na skraju stepu — to całkowita klęska.

Mówił nie żartem, lecz z tą znużoną pewnością siebie, kiedy nawet wzmocnieniem tonu głosu nie chce się podeprzeć dowodów.

— I to jest step, czy pustynia?

— Step. Większych zarośli nie ma, ale różne trawy — owszem. Rośnie k a n t a c h — to takie kolczaste krzewy, je także wielbładzimi nazywają, nie słyszeliście? Same kolce, ale w lipcu rozwijają się różowe kwiaty i to o bardzo delikatnej woni. Kazachowie robią z nich mnóstwo lekarstw.

— Więc to w Kazachstanie?

— A właśnie.

— A jak się miejscowość nazywa?

— Usz-Terek.

— Coś w rodzaju aułu?

— Możecie nazywać, jak wam się podoba — auł, ale także ośrodek rejonowy. Szpital. Tylko lekarzy brakuje. Przyjeżdżajcie! Przymrużył oczy.

— Żadnej innej roślinności tam nie ma?

— A jakże, na sztucznie nawadnianych terenach mamy rolnictwo. Buraki cukrowe, kukurydza. A w sadach wszystko, czego tylko dusza zapagnie. Tylko że się trzeba napracować. I to prymitywną motyką. Na targu u Greków zawsze można dostać mleko, u Kurdów — baraninę, u Niemców — wieprzowinę. A żebyście wiedzieli jakie malownicze są te targowiska! Przyjeżdżają na wielbładach i wszyscy w strojach narodowych.

— Jesteście agronomem?

— Nie. Pracownikiem rolnym.

— A tak w ogóle, to dlaczego tam zamieszkaliście?

Kostogłotow pogładził nos.

— Tamtejszy klimat bardzo mi odpowiada.

— Ale transportu nie ma?

— Owszem, jest, ciężarówki chodzą ile chcecie.

— Tym niemniej, po co ja bym właściwie miała jechać do tej waszej miejscowości?

Przyglądała mu się z boku. W ciągu tej rozmowy twarz Kostogłotowa złagodniała i zatraciła swój zły wyraz.

— Po co macie jechać? — zmarszczył skórę na czole, jak gdyby przygotowywał się do wzniesienia toastu. — Zojeńka, a skąd wiecie, gdzie właściwie, w którym miejscu świata będziecie szczęśliwą, a w którym nieszczęśliwą? Któż może zapewnić, że jest w stanie przewidzieć swój los!

#### 4.

### NIEPOKOJE PACJENTÓW

Dla chorych leczonych chirurgicznie, to znaczy tych, których opuchliny operowano, brakowało miejsc na parterze, więc leżeli również na górze, pomieszani z „promieniowcami”, których leczono naświetlaniem i środkami chemicznymi. Toteż na piętrze codziennie rano odbywały się dwie wizyty lekarskie: rentgenolodzy badali swoich pacjentów, chirurdzy swoich.

Ale czwarty luty był dniem przeznaczonym na operacje — piątek, więc wizyty chirurgicznej na sali nie było. Zaś Wiera Korniliewna Ganhart, specjalistka od naświetlania, po zwykłej pięciominutowej naradzie lekarzy, nie weszła od razu na salę, a tylko zajrzała przez uchylone drzwi męskiej sali.

Ganhart była niedużego wzrostu i bardzo zgrabna — wydawała się tym zgrabniejsza, że miała mocno wciętą kibić. Włosy, wbrew modzie zebrane w węzeł na karku, były jaśniejsze niż u brunetki, ale ciemniejsze niż u ciemnej blondynki, a więc zgodnie z określeniem mało znanym w rosyjszczyźnie, była szatynką; można by powiedzieć — czarnoblond, coś pośredniego między brunetką i blondynką.

Pierwszy dostrzegł ją Achmadżan i radośnie zaczął kiwać głową. Również Kostogłotow zdążył podnieść głowę znad dużej książki i ukłonić się jej z daleka. Uśmiechnęła się do obydwu i podniosła do góry palec; tak nauczycielka uprzedza dzieci, żeby w jej nieobecności siedziały spokojnie. I natychmiast znikła za drzwiami.

Dziś miała obchodzić sale nie sama, lecz w towarzystwie kierowniczkii działu rentgenologicznego, Ludmiły Afanasjewny Don-

cowej, ale tę wezwał do siebie i zatrzymał główny lekarz, Nizamudin Bachramowicz.

Jedynie w dniach, gdy wypadały takie wizyty, Doncowa rezygnowała z pracy rentgenologiczno-diagnostycznej. Zazwyczaj zaś dwie pierwsze godziny poranne, kiedy oko widzi najostrej i umysł jest jeszcze świeży, wolała siedzieć ze swym kolejnym ordynatorem przed ekranem. Uważała to za najbardziej skomplikowaną część swojej pracy, gdyż po dwudziestu przeszło latach praktyki rozumiała, jaką cenę płaci się właśnie za pomyłki w diagnozie. Miała w swoim dziale trzech lekarzy — wyłącznie młode kobiety — i aby wszystkie trzy równomiernie zdobywały doświadczenie, zwłaszcza w diagnostyce, Doncowa zmuszała je stopniowo do przechodzenia kolejnych faz: po trzy miesiące każda, najpierw w ambulatoryjnej przychodni, następnie w gabinecie rentgenologicznym, co łączyło się ze stawianiem diagnozy, i wreszcie bezpośrednio praktyka lekarska w klinice.

Ganhart przechodziła właśnie przez ten trzeci okres. Co było najważniejsze, a zarazem najbardziej niebezpieczne i najmniej zbadane, to właściwe stopniowanie naświetlania. Nie było żadnej formuły, według której można by było obliczyć intensywność i dozowanie naświetlania, tak by stało się mordercze dla opuchliny, a jednocześnie nie zaszkodziło reszcie organizmu. Formuły nie było, natomiast było pewne doświadczenie, wycucie i możliwość konfrontacji ze stanem pacjenta. To także była swoista operacja — promieniem rentgena, na pół po omacku i wymagająca dłuższego czasu. I było niepodobieństwem uniknąć uszkodzenia i zabijania żywych komórek.

Reszta obowiązków lekarza sprowadzała się już tylko do metodycznego postępowania: na czas zarządzać analizy, sprawdzać i zapisywać wyniki, by ściśle śledzić rozwój procesu chorobowego. Żaden lekarz nie lubi poliniowanych blankietów i ich wypełniania, ale Wiera Korniliewna pogodziła się z tą czynnością, bo w ciągu tych trzech miesięcy już zdobyła swoich własnych pacjentów — nie jakaś niewyraźna platanina świateł i cieni na ekranie, lecz żywi, codziennie spotykani ludzie, którzy jej ufali, oczekiwali od niej otuchy i budzącego nadzieję spojrzenia. I gdy wypadało przekazywać swoje lekarskie obowiązki komu innemu, zawsze było jej żal rozstawać się z tymi, których nie zdążyła całkowicie wyleczyć.

Olimpiada Władysławowna, pielęgniarka na dyżurze, starsza, przyprószona siwizną, wielce postawna kobieta, wyglądająca solidniej od niejednego lekarza, zapowiedziała we wszystkich salach, że pacjenci, którzy są naświetlani rentgenem, mają zostać i czekać. Ale na wielkiej sali dla kobiet widocznie czekano tylko takiej

zapowiedzi, by jej nie usłuchać; natychmiast całe gromadki kobiet, ubranych w szare, jednostajne szlafroki, zaczęły wychodzić na schody i na parter; a to sprawdzić, czy przyszedł dziadyga sprzedający śmietanę, oraz mleczarka, a to zajrzeć z ganku kliniki do operacyjnej sali (przez zamalowane do połowy okna widać było czepki chirurgów i pielęgniarek, a także jaskrawe lampy pod sufitem); wyprać to i owo przy zlewie, odwiedzić kogoś znajomego.

Nie tylko ich szpitalny los, ale przede wszystkim ich szare, barchanowe, podniszczone szlafroki, sprawiające wrażenie przybrudzonych, nawet wtedy gdy były zupełnie czyste, pozbawiały je wszelkiego wdzięku i samej kobiecości. Szlafroki nie miały w ogóle żadnego fasonu, były tak szerokie, że najgrubsze kobiety mogły się nimi okręcać; rękawy wyglądały jak ogromne, bezkształtne rury. Kurtki mężczyzn w białe i różowe pasy wyglądały o wiele przyzwoiciej. Kobietom nie wydawano żadnych sukienek, tylko te szlafroki, pozbawione guzików i haftek. Wszystkie w jednaki sposób mocno ściągały barchanowe paski, by nie było widać koszuli, i tym samym gestem przytrzymywały szlafrok na piersiach. Przygnębił chorobą, nędznie wyglądające w tych szlafrokach, kobiety nie mogły rozradować niczyjego spojrzenia i doskonale to rozumiały.

Z wyjątkiem jednego Rusanowa, wszyscy na męskiej sali czekali na lekarską wizytę spokojnie i bez ożywienia.

Stary Uzbek, kołchoźny stróż Mursalimow, leżał jak zawsze na plecach, na zaścielonym łóżku, z mocno wytartą jarmułką na głowie. Był zadowolony już choćby z tego, że kaszel przestał mu dokuczać. Złożył ręce na ciężko dyszącej piersi i patrzył w jeden punkt sufitu. Ciemnobrązowa skóra przylegała ściśle do czaszki: wyraźnie odróżniały się zarysy kości nosa i kości policzkowych, ostro zaznaczona broda, na której sterczał klin niewielkiej bródki. Cienutkie uszy robiły wrażenie płaskich chrząstek. Niewiele mu już brakowało, by całkowicie ściemnieć i wyschnąć na mumię.

Tuż obok siedział na łóżku Kazach Egenbierdiejew, pastuch z zawodu. Był w sile wieku. Siedział, podkuliwszy pod siebie skrzyżowane nogi, jak to robił u siebie w domu, na wełnianej derce. Wielkie silne dłonie przytrzymywały równie wielkie kolana i całe jego mocne, jędrne ciało było tak solidnie zwarte, że gdy zaczynał z lekka się kiwać, sprawiało to takie wrażenie, jak gdyby chwiała się jakaś wieża albo fabryczny komin. Jego barki i plecy ledwie mieściły się w biało-różowej kurteczce, mankiety niemal pękały na muskularnych przegubach. Niewielki wrzodzik na wardze, z którym przyjechał do szpitala, w wyniku naświetlań zamienił się w ciemnoszkarłatny strup, który szpecił usta, przesz-



kadzał jeść i pić. Ale Egenbierdiejew nie złościł się, nie krzyczał, systematycznie i dokładnie wyjadał swoją porcję z talerza i mógł spokojnie siedzieć całymi godzinami, patrząc przed siebie nieobecnym wzrokiem.

Nieco dalej, na łóżku przy drzwiach, siedział szesnastoletni Dioma. Chorą nogę miał wyciągniętą i przez cały czas gładził i masował dłonią bolące miejsce na goleni. Drugą nogę podwinął pod siebie, jak kociak łapę, i czytał, nie zwracając uwagi na otoczenie; czytał bez przerwy, wyjąwszy godziny przeznaczone na sen i na zabiegi medyczne. W laboratorium, gdzie robiono wszystkie analizy, starsza laborantka miała szafę z książkami, Dioma miał prawo wstępu i wymieniał książki sam, nie czekając aż przyjdzie kolej na całą salę. Właśnie czytał jakieś czasopismo w niebieskiej okładce, dobrze już podniszczonej i spłowiałej na słońcu, — świeżych czasopism w szafie u laborantki nie było.

A znowu Proszka, po starannym posłaniu swego łóżka, wyglądzonego pod kant, siedział poważnie i spokojnie, z nogami spuszczoneymi ku podłodze, jakby był całkowicie zdrowym człowiekiem. I takie też robił wrażenie — nigdy na nic się nie skarżył, nie widać było żadnych zewnętrznych objawów choroby, zdrowa opalenizna okrywała policzki, na czoło opadał rozczesany czub. Parobczak był na schwał, choćby zaraz posłać go do tańca.

Obok siedział pochylony nad szachownicą Achmadżan, a nie znajdując partnera, grał sam ze sobą w owce i wilka.

Mocno zabandażowany, miał na szyi jakby pancerz, z unieruchomioną głową, Efrem nie spacerował między łózkami jak zazwyczaj, nie prowokował, lecz z dwiema poduszkami pod plecami czytał cały czas książkę, którą mu wczoraj wmusił Kosogłotow. Co prawda, kartki odwracał niezmiernie rzadko, tak że można było przypuszczać, że Efrem nie tyle czyta, co drzemie nad tą książką.

Azowkin męczył się identycznie jak w dniu wczorajszym. Kto wie, może w ogóle nie spał. Na parapecie okna i na nocnym stoliku widniały porozrzucane jego różne rzeczy, łóżko nie było posłane. Czoło i skronie pokrywał gęsty pot, żółtą twarzą targwały skurcze, odpowiadające wewnętrznym bólom. Trzymał się rękami za brzuch, złamany w pół, od wielu już dni nie odpowiadał na żadne pytania i z nikim na sali nie rozmawiał. Zabierał głos tylko wtedy, gdy chodziło o wyzebrywanie nadprogramowych lekarstw u lekarzy i pielęgniarek. Kiedy domownicy przychodzili do niego w odwiedziny, posyłał ich na zakupy wszystkich lekarstw, jakich tu używano.

Za oknem stał pochmurny, bezwietrzny, bezbarwny dzień. Po powrocie z porannego naświetlania Kostogłotow, nie pytając

o pozwolenie Pawła Nikołajewicza, otworzył lufcik nad swoim łóżkiem i natychmiast pociągnęło stamtąd co prawda nie chłodem, lecz wilgocią.

W obawie, że może sobie przeziębic opuchlinę, Paweł Nikołajewicz okręcił szyję szalikiem i przysunął się bliżej ściany. Cóż to za tępaki dokoła, jakieś pokorne, bezduszne manekiny! Najwidoczniej poza Azowkinem nikt tu naprawdę nie cierpi, a więc nie jest godny, by powrócić do zdrowia. To Gorkij zdaje się, powiedział, że tylko ten zasługuje na wolność, kto codziennie o nią gotów jest walczyć. Tego poranka Paweł Nikołajewicz zdecydował się na ważne posunięcia. Natychmiast po otwarciu rejestratury poszedł tam i zatelefonował do żony, by poinformować ją o powziętym wczoraj wieczorem postanowieniu. Trzeba puścić w ruch wszystkie możliwe wpływy, by spowodować skierowanie do Moskwy, bo tu zbyt wielkie ryzyko, grozi zguba. Kapa jest kobietą dynamiczną, na pewno już zaczęła działać. Niewątpliwie wykazał brak charakteru: przestraszył się opuchliny i zgodził się na ten szpital. Nikt by nie uwierzył, gdyby to opowiedzieć — od trzeciej po południu wczorajszego dnia nikt nawet nie przyszedł, żeby sprawdzić, czy jego opuchlina nie powiększyła się. Nie dano mu żadnych lekarstw. „Mordercy w białych kitlach”! — jakże słuszne określenie! Powiesili przy łóżku tekturkę z wykresem gorączki — traktują go jak durnia! Nawet sanitariuszka nie przyszła, żeby pościelić łóżko — sam musisz wszystko robić! O nie, trzeba będzie energicznie podnosić poziom pracy w naszych zakładach medycznych!

Nareszcie pojawili się lekarze, ale nie weszli na salę od razu, zatrzymali się za drzwiami i dłuższy czas stali przy Sibgatowie, który obnażył i pokazywał im plecy. W międzyczasie Kostogłotow schował swoją książkę pod materac.

Ale właśnie weszły na salę doktor Doncowa, doktor Ganhart i postawna, siwiejąca pielęgniarka; miała notatnik w jednej ręce, ręcznik przewieszony przez drugą. Jednoczesne zjawienie się kilku białych kitlów zawsze wywołuje zwiększenie uwagi, strachu i nadziei. Im bielsze są kitle, im bardziej surowe twarze, tym większe nasilenie tych uczuć. W tym wypadku najbardziej surowo i uroczyście wyglądała Olimpiada Władysławowna: dla niej wizyta była tym samym czym uroczyście msza dla ministranta. Należała do tego typu pielęgniarek, które uważają że lekarze wiedzą wszystko, nigdy się nie myślą, zawsze ordynują bezbłędnie. Każdą diagnozę i decyzję zapisywała do notatnika z uczuciem najwyższej radości, jakiej młodsze pielęgniarki już nie odczuwają.

Jednak i po wejściu na salę lekarze nie udali się natychmiast do łóżka Rusanowa! Ludmiła Afanasjewa — rosła kobieta o pros-

tych, dość grubych rysach twarzy, szpakowatych już, ale starannie uczesanych i zaondulowanych włosach, rzuciła pod adresem całej sali niezbyt głośne „dzień dobry” i zatrzymawszy się przy pierwszym łóżku, badawczo spojrzała na Diomę.

— Co czytasz?

(Nie zdobyła się na żadne rozsądniejsze pytanie! I to na służbowym dyżurze!)

Podobnie jak to robili inni, Dioma zamiast odpowiedzieć podsunął jej przed oczy błękitną, wyblakłą okładkę czasopisma. Doncowa zmrużyła oczy.

— Przecież to stary numer, sprzed dwóch lat! Po co ci to?

— Tu jest interesujący artykuł — powiedział Dioma z powagą.

— A na jaki temat?

— O szczerości! — chłopiec mocno podkreślał każde słowo.

— Że literatura bez szczerości to...

Chciał postawić chorą nogę na podłodze, ale Ludmiła Afanasjewna go uprzedziła:

— Nie potrzeba! Podciągnij nogawkę.

Wykonał polecenie, doktor usiadła na łóżku i bardzo ostrożnie, kilkoma tylko palcami, zaczęła badać nogę.

Stojąca za nią Wiera Korniliewna, oparłszy się o wezglowie łóżka, zaglądała przez ramię i cicho powiedziała:

— Piętnaście naświetleń, trzy tysiące jednostek.

— Czy tu boli?

— Boli.

— A tu?

— I tu i obok także boli.

— To dlaczego od razu nie powiedziałeś? Widzisz go, jaki bohater! Mów jak daleko sięga ból.

Powoli badała granice zasięgu.

— A jak nie dotykać, także boli? Na przykład w nocy...?

Czysta twarz Diomy była zupełnie pozbawiona zarostu. Ale stale napięty jej wyraz znacznie go postarzał.

— Wierci i w nocy i w dzień.

Ludmiła Afanasjewna zamieniła spojrzenia z Ganhart.

— A jednak co zauważyłeś? Czy przez ten czas ból zwiększył się, czy osłabł?

— Nie wiem. Może trochę osłabł. A może tylko tak mi się wydaje.

— Analiza krwi — powiedziała Ludmiła Afanasjewna. Ganhart podała jej przebieg choroby. Ludmiła Afanasjewna przeczytała, popatrzyła na chłopca.

— Jak z apetytem?

— Całe życie jadłem z przyjemnością — odpowiedział Dioma z tą samą powagą.

— Przyznaliśmy mu dodatkową porcję — wtrąciła Wiera Korniliewna tonem dbałej niańki i uśmiechnęła się do Diomy. Ten także uśmiechnął się do niej. — Transfuzja? — urywanym szepcetem zapytała Doncową, zabierając z powrotem przebieg choroby.

— Tak! No cóż, Dioma? — Ludmiła Afanasjewna przyglądała mu się badawczo. — Będziemy kontynuować naświetlanie, co?

— Naturalnie, że będziemy! — twarz chłopca rozjaśniła się, patrzył na doktorkę z wzięcznością.

Rozumiał, że jeżeli naświetlanie, to nie będzie operacji. Zdawało mu się, że Doncowa interpretuje to w taki sam sposób. (Doncowa zaś rozumiała, że zanim się zoperuje sarkomę kości, należy rentgenem zredukować jej aktywność i zlikwidować przerzuty).

Egenbierdiejew był już od dawna przygotowany, czujny, i gdy tylko Ludmiła Afanasjewna wstała z sąsiedniego łóżka, wyciągnął się w przejściu na cały swój wzrost, wyprężył pierś i stał na baczność po żołniersku.

Doncowa pozdrowiła go uśmiechem i przyjrzała się strupowi na wardze. Ganhart ściszym głosem podawała jej dane.

— No to bardzo dobrze! — głośniejsz niż trzeba, jak zwykle gdy się mówi do obcojęzycznego człowieka, dodawała mu otuchy. — Egenbierdiejew, wszystko rozwija się doskonale! Wkrótce wrócisz do domu!

Achmadżan, który znał swoje obowiązki, natychmiast przetłumaczył jej słowa na uzbecki. Obydwaj Uzbecy rozumieli się nawzajem, chociaż każdy z nich sądził, że drugi kaleczy język.

Wpatrzony w Ludmiłę Afanasjewną z nadzieją, zaufaniem, a nawet z zachwytem, z jakim ci prości ludzie odnoszą się do prawdziwie wykształconych i pożytecznych osób, Egenbierdiejew mimo wszystko zatoczył ręką nad swoim strupem i zapytał parę słów.

— Ale zwiększył się, prawda? Spuchł? — przetłumaczył Achmadżan.

— Odleci! A na razie tak powinno być! — Doncowa mówiła z wyraźnym wysileniem. — Strup odpadnie! Odpoczniesz u siebie przez jakieś trzy miesiące i znowu do nas.

Doncowa przeszła do starego Mursalimowa. Siedział na łóżku, zrobił wysiłek żeby wstać, ale go powstrzymała i usiadła obok. Brązowy wyschnięty starzec patrzył na nią również z zaufaniem, wierzył w jej wszechpotęgę. Za pośrednictwem tłumacza

Achmadzana pytała go jak z kaszlem, kazała podciągnąć koszulę, badała gdzie boli pierś, jak reaguje jedno i drugie ramię, jednocześnie słuchała co Wiera Korniliewna mówi o analizie krwi, ilości zastrzyków, i milcząc wpatrywała się w kartkę z przebiegiem choroby. Kiedyś te dane były potrzebne, jeszcze mieściły się w zdrowym organizmie, a obecnie wszystko już było niepotrzebne, zbędne — jakieś tam gruzły, nie wiadomo co...

Doncowa zadysponowała nowe zastrzyki i zażądała, żeby pokazał pastylki jakie zażywa.

Mursalimow pokazał pustą flaszeczkę po multiwitaminach.

— Kiedyś to kupił? — zapytała Doncowa.

— Przedwczoraj — przetłumaczył Achmadzan.

— To gdzie się podziały pastylki?

— Zażyłem.

— Jak to zażyłeś? — zdumiała się Doncowa. — Za jednym razem?!

— Nie, podzielił na dwie porcje — przetłumaczył Achmadzan.

Odpowiedział mu ogólny śmiech lekarzy, pielęgniarek i tych chorych, którzy zrozumieli. Śmiał się również Achmadzan i nawet Mursalimow, chociaż nie rozumiał o co chodzi, wyszczerzył zęby.

Jedynie Paweł Nikołajewicz oburzył się, słuchając tego bezmyślnego, zbrodniczego, pozbawionego sensu śmiechu. Ale nic — zaraz ich wszystkich doprowadzi do porządku. Zastanawiał się, jaką obrać pozycję na przyjęcie lekarzy, i zdecydował że najlepiej będzie, jeśli usiądzie w kucki i uwydatni w ten sposób swoją postawę.

— No nic się nie stało! — Doncowa najwidoczniej dodawała Mursalimowowi otuchy. Wytarła ręce ręcznikiem, usłużnie podanym przez pielęgniarkę, wyznaczyła mu witaminę „C” i z zakłopotaną miną przeszła do następnego łóżka. Kiedy zwróciła się do okna i stanęła bliżej światła widać było lepiej szarą twarz, niezmiernie zmęczoną, a może nawet schorowaną.

Paweł Nikołajewicz siedział na łóżku, w okularach, z jarmużką na łysej głowie, i wyglądał jak surowy nauczyciel, nie byle jaki lecz zasłużony, taki co to wychował już wielu uczniów. Odczekał aż Ludmiła Afanasjewna podejdzie bliżej, po czym poprawił okulary i oświadczył:

— Więc tak, towarzyszeko Doncowa. Jestem zmuszony do poinformowania w Ministerstwie Zdrowia o porządkach w tej klinice. A także zatelefonuję do towarzysza Ostapienki.

Nie zadrżała, nie zbladła, może tylko jeszcze bardziej poszarzała jej twarz. Poruszyła ramionami, tak jak gdyby chciała się pozbyć nadmiernego ciężaru i nareszcie uwolnić od narzuconej pracy.

— Jeżeli nie macie trudności by dostać się do Ministerstwa Zdrowia, a nawet możecie telefonować do towarzysza Ostapienki, to mogę wam podać więcej obciążającego materiału. Jeżeli sobie życzyście...

— Cóż tu dodawać! Taka obojętność jak tu, to już w ogóle bije wszelkie rekordy! Jestem tu od osiemnastu godzin! I nikt się mną nie zainteresował! Nie jestem żadnym szeregowym pracownikiem i nie wolno mnie tak traktować!

Wszyscy na sali milczeli i patrzyli na Rusanowa. To nie Doncowa, raczej Ganhart odczuła cios, ściągnęła wargi, pochmurniała i zmarszczyła czoło, jak gdyby zdała sobie sprawę że stało się coś, czego nie da się odrobić, ani powstrzymać.

Doncowa pochyliła się nad Rusanowem, nawet nie raczyła spochmurnieć, tyle że wzruszyła okrągłymi ramionami i powiedziała ustępliwym cichym głosem:

— Przychodzę, żeby was zbadać.

— A nie, na to już za późno! — przeciął Paweł Nikołajewicz. — Przypatrzyłem się tutejszym porządkom i mam dość! Nikt się mną nie zainteresował, nikt nie zdobył się na diagnozę!

Nie przewidział, że powie to tak bardzo drżącym głosem. Bo rzeczywiście czuł się pokrzywdzony.

— Diagnoza już jest — jednostajnym głosem powiedziała Doncowa, trzymając się rękami za wezłowie jego łóżka. — Do żadnego innego szpitala nie pójdziecie. Nigdzie w naszej republice was nie przyjmą na leczenie.

— Przecież powiedzieliście, że to nie rak! Więc zdecydujcie się — jaka jest diagnoza?!

— Nie jesteśmy obowiązani do informowania pacjentów o ich chorobie. Ale jeśli wam to ulży, proszę bardzo: stwierdziliśmy u was ziarnicę.

— A więc to nie rak?!

— Naturalnie że nie. — W jej głosie i na twarzy nie było najmniejszego śladu gniewu. Przecież dobrze widziała opuchlinę, wielką jak pięść, pod jego szczęką. Na kogo miała się gniewać? Na opuchlinę? — Nikt was nie zmuszał do zgłaszania się do tego szpitala. Możecie się stąd wymeldować choćby natychmiast. Ale proszę pamiętać!... — zawahała się i uprzedziła go pojednawczo: — Ostatecznie, ludzie umierają nie tylko na raka.

— Cóż to? — chcecie mnie zastraszyć?! — krzyknął Paweł Nikołajewicz. — Po co mnie straszycie? To nie jest żadna metoda! — Rębał słowami energicznie, ale gdy usłyszał „umierają”, przeszył go zimny dreszcz. Zapytał łagodniejszym już tonem: — Chcecie przez to powiedzieć, że grozi mi niebezpieczeństwo?



— Naturalnie, jeżeli zaczniecie zmieniać jedną klinikę po drugiej. Proszę zdjąć szalik i podnieść się.

Zdjął szalik i stanął na podłodze. Doncowa zaczęła ostrożnie badać opuchlinę, a następnie dla porównania także i zdrową część szyi. Poprosiła, żeby możliwie najsilniej odrzucił głowę do tyłu (nie mógł tego zrobić dostatecznie silnie — opuchlina nie pozwoliła), potem kazała ją pochylić do przodu i kręcić na wszystkie strony...

I oto okazało się, że szyja była niemal całkowicie pozbawiona swobody ruchu, tej zdumiewającej swobody, której nawet nie dostrzegamy dopóki nam służy.

— Proszę zdjąć kurtkę!

Miał kłopot ze zdjęciem kurtki zielonkawo-brązowej pizamy o dużych guzikach, nie dlatego żeby była ciasna, lecz że przy próbie wydobycia rąk z rękawów odezwał się w szyi ostry ból i Paweł Nikołajewicz jęknął. Jakże daleko posunęła się choroba! Postawna, siwa siostra pomogła mu wyplątać się z pizamy.

— Czy boli pod pachami? — pytała Doncowa. — Nic wam nie przeszkadza?

— A czy tam także może się objawić? — załamującym się głosem pytał Paweł Nikołajewicz. Mówił teraz jeszcze ciszej niż Ludmiła Afanasjewna.

— Proszę podnieść i rozłożyć ramiona! — W skupieniu, mocno naciskając, obmacywała pod pachami.

— A na czym będzie polegać leczenie? — zapytał Paweł Nikołajewicz.

— Już wam mówiłam. Zastrzyki!

— W opuchlinę?

— Nie. Dożyłne.

— Jak często?

— Trzy razy tygodniowo. Proszę się ubrać.

— A czy operacja jest możliwa?

Pytał czy jest możliwa, a przecież najbardziej bał się właśnie stołu operacyjnego. Jak każdy chory, wolał każde inne leczenie od operacji.

— Operacja byłaby bezcelowa. — Doncowa wycierała ręce podanym ręcznikiem.

To świetnie że bezcelowa! Paweł Nikołajewicz zastanawiał się. Mimo wszystko trzeba naradzić się z Kapą. Zakulisowe interwencje nie będą takie łatwe. Nie posiadał jednak takich wpływów, jakimi się tu próbował przechwalać. A i telefonowanie do towarzysza Ostapienki też nie było taką prostą sprawą.

— Dobrze, pomyślę. W takim razie jutro zadecydujemy?



— Nie! — Doncowa była nieubłagana. — Jeszcze dziś zaraz. Jutro sobota, a w soboty nie robimy zastrzyków.

Znowu jakieś przepisy! Jak gdyby przepisy nie były po to, żeby je obchodzić!

— A dlaczego w sobotę nie ma zastrzyków?

— Dlatego, że trzeba uważnie obserwować waszą reakcję w dniu zrobienia zastrzyku i nazajutrz. A w niedzielę to nie jest możliwe.

— Więc to jakiś poważny zastrzyk?

Ludmiła Afanasjewna nie odpowiedziała. Odeszła i zbliżyła się do Kostogłotowa.

— A jeżeli poczekać do poniedziałku?

— Towarzyszu Rusanow! Zarzuciliście nam, żeśmy nie zaczęli leczenia aż dopiero po osiemnastu godzinach. A teraz zgadzacie się na całe siedemdziesiąt dwie godziny? (Już była stroną zwycięską, już go przygniotła, a on nie był w stanie nic zrobić!) Albo podejmujemy się leczenia, albo nie. Jeżeli tak, to jeszcze dziś, o jedenastej, damy wam pierwszy zastrzyk. Jeżeli nie — proszę podpisać oświadczenie, że rezygnujecie z leczenia, i dziś jeszcze opuścicie szpital. Nie mamy prawa bezczynnie czekać całe trzy dni. Zanim skończę wizytację tej sali, proszę się zastanowić i odpowiedzieć.

Rusanow zakrył twarz dłońmi.

Ganhart, obciśnięta kitlem prawie po szyję, przeszła obok niego, nie powiedziawszy ani słowa. Olimpiada Władysławowna przepłynęła niczym majestatyczny okręt.

Sprzeczką z Rusanowem zmęczyła Doncową. Miała nadzieję, że wypocznie w rozmowie z następnym pacjentem.

— No a wy, Kostogłotow, co nam powiecie?

Kostogłotow, który przedtem nieco przyglądził niesforną czuprynę, odpowiedział głośno, z pewnością siebie, tonem najzupełniej zdrowego człowieka:

— Wspaniale, Ludmiło Afanasjewno! Lepiej być nie może!

Doktorki zamieniły spojrzenia. Usta Wiery Korniliewny były nieco uśmiechnięte, za to oczy śmiały się radośnie na całego.

— A jednak — Doncowa usiadła na jego łóżku. — Proszę nam opowiedzieć dokładnie, jak się czujecie! Co się w międzyczasie zmieniło?

— Proszę bardzo! — chętnie przystał Kostogłotow. — Już po drugim naświetleniu bóle osłabły, a po czwartym znikły całkowicie. Jednocześnie obniżyła się temperatura. Sypiam obecnie wspaniale, do dziesięciu godzin, w każdej pozycji — i nie boli. A dawniej takiej bezbolesnej pozycji w ogóle nie mogłem zna-

leżć. Na jedzenie nawet patrzeć nie chciałem, a teraz wszystko opycham i jeszcze proszę o repetę. I nie boli!

— Nie boli? — podchwyciła śmiejącą się Ganhart.

— Repetę dają? — Doncowa również się śmiała.

— Od czasu do czasu. A w ogóle — no co tu gadać! Po prostu zmieniło się u mnie samopoczucie. Kiedy przyjechałem, byłem nieboszczykiem, a obecnie jestem żywym człowiekiem.

— Mdłości nie miewacie?

— Nie.

Doncowa i Ganhart patrzyły na Kostogłotowa rozpromienione — tak patrzy nauczyciel na celującego ucznia, bardziej zachwycony i dumny z jego odpowiedzi, niż z własnej wiedzy i doświadczenia. Jakże go nie darzyć sympatią i przywiązaniem!

— Opuchlina daje znać o sobie?

— Teraz już mi nie przeszkadza.

— Nie czujecie jej?

— Jak się kładę, to odczuwam jak gdyby jakiś zbędny ciężar, jakby się coś we mnie przetaczało. Ale nie przeszkadza! — upierał się Kostogłotow.

— Proszę się położyć!

Kostogłotow położył się na plecach, nie podkładając poduszki, podciągnął kolana i obnażył brzuch. Miał już wprawę — w ciągu ostatniego miesiąca wielu lekarzy i nawet praktykantów w różnych szpitalach badało jego opuchlinę, zwoływali się z innych działów, badali i dziwili się. Położył się i natychmiast poczuł tę ukrytą ropuchę, towarzyszkę jego losów: zaczęła się gdzieś w głębi i gnioła.

Ludmiła Afanasjewna siedziała obok i delikatnie krążąc palcami, zbliżała się do opuchliny.

— Tylko proszę się nie napręzać — upominała go, chociaż sam o tym wiedział, ale napręzał brzuch w mimowolnej samoobronie i przeszkadzał w umiejscowieniu opuchliny. Nareszcie trafiła na bardziej miękkie miejsce i wyraźnie wyczuła w sąsiedztwie żołądka brzeg opuchliny. Teraz palce poszły tym brzegiem, najpierw leciutko, potem mocniej, wreszcie — z całą siłą.

Ganhart patrzyła przez ramię Doncowej. Zaś Kostogłotow patrzył na Ganhart. Młoda lekarka budziła ogólną sympatię. Chciała udawać surowość — ale nie wychodziło: zbyt szybko przyzwyczajają się do swoich pacjentów. Chciała wydawać się bardzo dorosłą i także jej się to nie udawało: zbyt wiele miała w sobie dziewczęcości.

— Zarys wyczuwa się ten sam, co uprzednio — ustaliła Ludmiła Afanasjewna. — Opuchlina straciła na grubości, to oczywiste. Cofnęła się nieco w głąb, przestała uciskać na żołądek,

dlatego go nie boli. Nie jest taka twarda. Ale zarys prawie taki sam. Wiera, chcecie sprawdzić?

— Nie, ja przecież badam codziennie, a tu trzeba z przerwami. Opad zmniejszył się do dwudziestu pięciu, leukocyty — pięć osiemset, segmentacja... Proszę, sama rzućcie okiem...

Rusanow podniósł głowę i szeptem zapytał pielęgniarkę:

— A czy te zastrzyki są bardzo bolesne?

Kostogłotow także zaczął wypytywać:

— Ludmiła Afanasjewna, ile jeszcze będę miał naświetleń?

— W tej chwili jeszcze trudno obliczyć.

— A jednak? I kiedy mnie zwolnicie ze szpitala?

— Co takiego???? — Doncowa przestała czytać przebieg choroby. — Cóż to za pytanie?!

— Kiedy mnie zwolnicie ze szpitala? — pewnym głosem powtórzył Kostogłotow.

Objął kolana dłońmi i patrzył dość wyzywająco.

W spojrzeniu Doncovej odbił się zawód. Nic nie zostało z celującego ucznia, który zamienił się w trudnego pacjenta, z kamiennym uporem na twarzy.

— Dopiero zaczynam was leczyć! — przywołała go do porządku Doncowa. — Poczynając od jutra. A to co było dotychczas, to tylko wstrzeliwanie się do tarczy.

Kostogłotow nie rezygnował.

— Ludmiła Afanasjewna, chciałbym pewne sprawy wyjaśnić. Rozumiem, że to jeszcze nie rekonwalescencja, ale też nie mam pretensji do całkowitego wyleczenia.

Rzeczywiście, udali się pacjenci! Jeden lepszy od drugiego! Ludmiła Afanasjewna zasępiła się — nieomylna oznaka prawdziwego gniewu.

— Co to w ogóle za gadanina? Jesteście normalnym człowiekiem, czy nie jesteście?

— Ludmiła Afanasjewna — Kostogłotow odpowiedział spokojnym gestem dużej ręki — dyskusja na temat normalności czy nienormalności współczesnego człowieka zaprowadziłaby nas zbyt daleko... Jestem wam szczerze wdzięczny, żeście mnie doprowadzili do tak przyjemnego stanu, ale chcę się w nim troszeczkę utrzymać. A co do dalszego leczenia — nie wiem...

W miarę słuchania jego przemówienia dolna warga Ludmiły Afanasjewny drżała od niecierpliwości i oburzenia. U Ganhart latały brwi, patrzyła kolejno na Doncową i Kostogłotowa, miała ochotę wtrącić się i jakoś rozładować sytuację. Olimpiada Władysławowna piorunowała buntownika wyniosłym spojrzeniem.

— Krótko mówiąc, nie chciałbym płacić obecnie zbyt wygó-

rowanej ceny za nadzieję, że kiedyś trochę pożyję. Chciałbym zaufać odporności mego organizmu...

— Odporność waszego organizmu sprawiła, żeście się przywlekli do naszej kliniki na czworakach! — ostro odpowiedziała Doncowa i wstała z łóżka. — Nie zdajecie sobie sprawy, że z tym nie wolno igrać! I w ogóle nie życzę sobie z wami rozmawiać!

Gwałtownie, całkiem po męsku, zwróciła się w kierunku Azowkina. Wciąż z podciągniętymi kolanami, wcale nieprzekonany, Kostogłotow patrzył na nią jak czarny, kudłaty pies.

— A ja was, Ludmiła Afanasjewna, bardzo proszę żebyście ze mną porozmawiali! Być może, interesuje was jak się ten eksperyment skończy, a ja jednak chciałbym jeszcze troszkę pociągnąć. Chociażby jeden roczek. I to wszystko!

— Dobrze — rzuciła Doncowa przez ramię. — Otrzymacie wezwanie na rozmowę ze mną.

Jeszcze rozdygotana, Doncowa patrzyła na Azowkina i w żaden sposób nie mogła zmienić wyrazu twarzy, ani tonu głosu.

Azowkin nie wstał. Siedział i trzymał się za brzuch. Podniósł tylko głowę na spotkanie lekarek. Odnosiło się wrażenie, że wargi jego nie stanowią całości, że każda z nich oddzielnie wyraża swoje osobne cierpienie. W oczach nie było wyrazu żadnego uczucia, prócz rozpaczliwego błagania — błagania o pomoc, skierowanego do głuchych.

— No co, Kola? No jak? — Ludmiła Afanasjewna objęła go całą długością ramienia.

— Ba-ardzo źle... — odpowiedział cichutko, z szeroko otwartych ust, starając się oddychać jak najślabiej, bo każde poruszenie płuc natychmiast boleśnie uwierało w opuchniętym brzuchu.

Zaledwie przed pół rokiem szedł z łopata na ramieniu na czele komsomolskiej drużyny, udającej się na dobrowolną pracę w świątecznym dniu, i śpiewał na całe gardło — a teraz nawet o swoim cierpieniu mógł opowiedzieć zaledwie szeptem.

— Wiesz co, Kola, zastanówmy się razem — Doncowa także mówiła szeptem. — Może już jesteś zmęczony tym leczeniem? Może ci obrzydła szpitalna atmosfera? Obrzydła, co?

— Tak...

— Ty przecież jesteś tutejszy. Może lepiej, żebyś w domu wypoczął? Chcesz? Wyjdiesz ze szpitala, tak — na miesiąc, na półtora...

— A potem... przyjmiecie z powrotem?

— Naturalnie, że przyjmiemy. Ty teraz należysz do nas. Odpoczniesz od tych zastrzyków. Zamiast nich, kupisz w aptece lekarstwo i będziesz kłaść pod język trzy razy dziennie.

— Sinestrol?

— Tak.

Doncowa i Ganhart nie wiedziały, że przez te ostatnie miesiące Azowkin dosłownie wypraszał u każdej pielęgniarki na zastępstwie, u każdego lekarza na nocnym dyżurze, nadprogramowe środki nasenne i uśmierzające, różne proszki i pigułki, niezależnie od przepisanych. Ten zapas lekarstw, wypełniających parcianą torbę, Azowkin przygotowywał, by ratować się samodzielnie w dniu, gdy lekarze go się wyrzekną.

— Musisz odpocząć, Koleńka... odpocząć...

Na sali panowała zupełna cisza, więc tym wyraźniej wszyscy usłyszeli, gdy Rusanow oderwał dłonie od twarzy i oświadczył:

— Doktorze, poddaję się. Zgadzam się na zastrzyk!

## 5.

### NIEPOKOJE LEKARZY

Jakże się to nazywa? Nerwy, przygnębienie? Jakiś dziwny stan ducha, niewidzialna ale gęsta mgła wdziera się do piersi, otacza nas i dusi. Czujemy tę duszność, ten mrok, a nie wiemy, nie możemy połapać się od razu, co właściwie tak nas przygniata.

Taki był stan ducha Wiery Korniliewny, kiedy po zakończeniu wizytacji schodziła na dół wraz z Doncową. Czowała się bardzo nieprzyjemnie. W takich wypadkach należy zreflektować się i wyjaśnić: skąd to wszystko? I na wszelki wypadek przejść do obrony.

Ale nie starczyło jej czasu nawet na refleksję. Jedno było oczywiste: lęk o mamusię. Tak nazywały między sobą Ludmiłę Afanasjewnę jej trzy lekarki, wyspecjalizowane w rentgenologii. Jeśli chodzi o wiek, mogłaby być ich m a m u s i ą; każda z nich zbliżała się do trzydziestki, a tamta miała prawie pięćdziesiąt. Z prawdziwie macierzyńską dbałością wdrażała je do pracy; sama była pedantycznie staranna i chciała, żeby jej trzy „c ó r k i” odznaczały się taką samą starannością. Doncowa należała do nielicznych już lekarzy, którzy wbrew tendencji do wąskiej specjalizacji, panowali równie dobrze nad diagnostyką jak i terapią rentgenologiczną. Żądała więc od swoich ordynatorów tego samego. Nie było tajemnicy medycznej, którą by utaiła dla siebie i nie podzieliła się nią z „córeczkami”. A gdy Wiera Ganhart pod takim czy innym względem wykazywała większą od niej bystrość i zręcz-

ność, „m a m i e” sprawiało to największą radość. Wiera pracowała z nią już od ośmiu lat, od ukończenia instytutu, i ta siła jaką w sobie czuła, siła zdolna do wrywania błagających o życie ludzi z objęć śmierci — pochodziła od Ludmiły Afanasjewny.

Rusanow mógł sprawić „m a m i e” poważne nieprzyjemności. Urwaną głowę przyszyć za trudno, a urwać całkiem łatwo.

Ba, gdybyż to chodziło o jednego tylko Rusanowa! To samo mógł uczynić pierwszy lepszy pacjent o sercu wypełnionym zacieklą wrogością. Każda nagonka, raz obwołana, już nie spoczywa, już jest w ciągłym ruchu. To nie jak ślad na wodzie, lecz jak trwała bruzda w pamięci. Można później starać się ją wygładzić, albo piaseczkiem przysypać — ale niech-no który, nawet po pijanemu, krzyknie: „Bij doktorów!”, czy „Bij inżynierów!” — i już pałki same wskazują do rąk.

Czarna chmura podejrzeń przepłynęła nad białymi kitlami, ale jej strzępy pozostały tu i tam. Całkiem niedawno przebywał w klinice szofer MGB: miał opuchlinę koło żołądka. Ponieważ miano go operować, należał do chirurgów i Wiera Korniliewna nie musiała się nim zajmować. Ale kiedyś miała nocny dyżur i gdy obchodziła salę szofer poskarżył się na bezsenność. Zaordynowała mu brom, a dowiedziawszy się od pielęgniarki, że porcje są minimalne, poleciła dać mu podwójną dawkę. Chory wziął proszki i Wiera Korniliewna nie zauważyła, jakim wzrokiem na nią popatrzył. I w ogóle nie dowiedziałyby się o niczym, gdyby nie to, że jedna z laborantek była sąsiadką owego szofera i odwiedzała go w klinice. Niezmiernie przejęta przybiegła do Wiery Korniliewny z wiadomością: szofer nie zażył proszków (dlaczego od razu dwa?), nie spał przez całą noc, a potem zaczął wypytywać laborantkę: „Skąd to nazwisko — Ganhart? Opowiedz mi o niej szczegółowo. Chciała mnie otruć. Trzeba się nią zainteresować bliżej”.

Wiera Korniliewna oczekiwała przez kilka tygodni, kiedy się nią z a i n t e r e s u j ą. I przez cały ten czas musiała stawiać nieomyślne diagnozy, bezbłędnie wyznaczać lekarstwa, pracować w podnieceniu, spojrzeniem i uśmiechem dodawać otuchy pacjentom, którzy trafili do tego osławionego, zakłętą kręgą chorych na raka, i każdej chwili liczyć się z podejrzliwym wzrokiem: „A czy ty nie jesteś aby trucicielką?!”

Z ciężkim sercem wróciła z dzisiejszej wizytacji: akurat Kostogłotow, pacjent który budził największe nadzieje, do którego Wiera Korniliewna, nie zdając sobie z tego sprawy, ustosunkowała się najbardziej życzliwie, akurat on zaczął wypytywać „m a m u s i e”, jak gdyby podejrzewał, że dokonuje się na nim jakiegoś złośliwego eksperymentu.



Również Ludmiła Afanasjewna wróciła z wizytacji zgnębiona, myśląc o nieprzyjemnym zajściu z Poliną Zawodczykową, kłótliwą, awanturniczą babą. Nie była pacjentką, zachorował jej syn, a ona otrzymała pozwolenie towarzyszenia mu w klinice. Gdy wycięto mu wewnętrzny nowotwór, rzuciła się w korytarzu na chirurga, żądając wydania kawałka wyciętego nowotworu. I gdyby nie trafiło na Lwa Leonidowicza, może by otrzymała. Miała następujący plan: zanieść ten kawałek do innej kliniki, sprawdzić diagnozę, i w razie gdyby nie była zgodna z diagnozą Doncowej, zaskarżyć ją do sądu i zemścić się.

Każda z lekarek dobrze pamiętała niejednen taki wypadek.

Teraz, po skończonej wizytacji, zbierały się by porozmawiać między sobą, dopowiedzieć to czego nie mogły mówić przy chorych, i powiązać decyzje.

W trzynastym pawilonie miejsca było bardzo mało, i lekarze z rentgenowskiego oddziału nie mieli osobnego pokoju. Nie można było zbierać się ani tam, gdzie znajdowała się bomba kobaltowa, ani w pomieszczeniu aparatów rentgenowskich na sto dwadzieścia i dwieście tysięcy volt. Było nieco luzu w gabinecie diagnostycznym, ale nie było światła. Wobec tego stół, przy którym lekarki omawiały bieżące sprawy, zapisywały przebieg choroby i wypełniały różne papierki, wstawiono do gabinetu małoobrazkowych aparatów rentgenowskich, jak gdyby po tylu latach pracy mało im było oddychania mdłym powietrzem, przesyconym nieznosną duszącą wonią.

Przyszły i usiadły przy wielkim stole, zbitym z ledwie oheblowanych desek, pozbawionym nawet szuflady. Wiera Korniliewna porządkowała kartki rejestracyjne, dzieliła je na takie które może opracować sama, i takie które trzeba omówić wspólnie. Ludmiła Afanasjewna ponuro patrzyła przed siebie, wystawiwszy nieco do przodu dolną wargę i postukując ołówkiem o blat.

Wiera Korniliewna patrzyła na nią ze współczuciem, ale nie decydowała się na wszczęcie rozmowy o Rusanowie ani o Kostogłotowie, ani w ogóle na temat lekarskiej pracy. Powtarzać to co wszyscy rozumieci nie miało sensu, a przy tym każda wypowiedź musiałaby być niezmiernie ostrożna, bo jakże łatwo słowami urazić, zamiast przynieść pociechę.

— To mnie doprowadza do wściekłości — powiedziała Ludmiła Afanasjewna — że jesteśmy tacy bezsilni! — (To mogło dotyczyć wielu pacjentów, zbadanych w dzisiejszym dniu). Znowu stuknęła ołówkiem w blat stołu. — A przecież nigdzie nie popełniliśmy błędu. — (To mogło dotyczyć Azowkina albo Mursalimowa). — Mieliśmy wątpliwości co do diagnozy, ale leczenie



było właściwe. I nie można było dać mniejszej dozy. Zgubiła nas beczka!

A więc tak! Miała na myśli Sibgatowa! Zdarzają się takie niewdzięczne choroby, że choćbyś je traktował z trzykrotnym wysiłkiem i pomysłowością, nie ma sposobu uratować chorego. Kiedy Sibgatowa przyniesiono po raz pierwszy na noszach, zdjęcie rentgenologiczne wykazało, iż kość krzyżowa jest prawie w całości zniszczona. Wątpliwości polegały na tym, że początkowo, po zasięgnięciu opinii profesora, ustalono sarkomę kości, a dopiero potem stopniowo wyszło na jaw, że był to wielkokomórkowy nowotwór, który powoduje zjawienie się masy płynnej, i kość zamienia się w rodzaj galaretowanej tkanki. A jednak sposób leczenia był właściwy.

Krzyża nie można wyciąć — to kamień węgielny. Pozostało jedynie naświetlanie rentgenem i koniecznie od razu o wielkim nasileniu — w przeciwnym razie nie było ratunku. I oto Sibgatow wyzdrowiał — kość krzyżowa wzmocniła się. Ale w wyniku końskiego dozowania naświetleń wszystkie sąsiednie tkanki stały się niezmiernie czułe i podatne na ponowne tworzenie się złośliwych nowotworów. I oto na skutek uderzenia utworzył się *ulcus cruris*, otwarta, niegojąca się rana. Rentgen przestał już oddziaływać na krew i na tkanki, i powstałego nowotworu nie można było zniszczyć — można było jedynie nie dopuszczać do rozszerzania się.

Jako lekarz Doncowa zdawała sobie sprawę z własnej bezsilności, z niedoskonałości metod leczniczych; jako osoba o wrażliwym sercu czuła ogromny żal: Sibgatow, taki łagodny, smutny, zawsze uprzejmy Tatarzyn, tak bardzo wdzięczny za wszystko, a jedyne co można dla niego zrobić to przedłużyć jego cierpienia.

Dziś rano Nizamutdin Bachramowicz odbył z Doncową rozmowę właśnie na ten temat: zwiększenie przelotności łóżek, to znaczy zwalnianie ze szpitala w tych wszystkich wypadkach, gdy nie jest przewidziane zdecydowane polepszenie zdrowia pacjenta. Doncowa podzielała to podejście; przecież na sali przyjęć stale znajdowali się chorzy, oczekujący swojej kolejki, niekiedy po kilka dni, zaś z niewielkich rejonowych przychodni onkologicznych stale przychodziły prośby o zezwolenie na przysłanie pacjentów. Doncowa zgadzała się z naczelnym lekarzem w zasadzie i akurat wypadek Sibgatowa najbardziej odpowiadał tej zasadzie, mimo to nie mogła zdobyć się na zwolnienie go z kliniki.

Zbyt długo trwała ta uciążliwa walka o uratowanie stosu pacierzowego jednego człowieka, żeby poddać się teraz prostemu rozumowaniu, żeby nie spróbować powtórzyć tych samych leczniczych sposobów z nikłą nadzieją, że w ostatecznym rachunku

pomyli się śmierć, a nie lekarz. Ze względu na Sibgatowa Doncowa nawet zmieniała kierunek swoich zainteresowań naukowych: zajęła się patologią kości z tą jedyną myślą, by ratować Sibgatowa. Prawdopodobnie na sali przyjęć znajdowali się pacjenci równie potrzebujący pomocy, ale Doncowa nie mogła zdobyć się na zwolnienie Sibgatowa i była zdecydowana bronić go przed naczelnym lekarzem nawet za cenę różnych kruczków.

Nizamutdin Bachramowicz położył także nacisk na konieczność nie zatrzymywania tych pacjentów, którzy i tak są skazani na śmierć. Powinni w miarę możliwości umierać poza zasięgiem kliniki. W ten sposób przelotność łóżek zwiększy się, pozostali pacjenci będą się czuć lepiej, a przede wszystkim korzystniej wypadnie statystyka, gdyż pacjenci zaczną wychodzić ze szpitala nie z powodu śmierci, lecz jako ci którym się „pogorszyło”.

Z tego właśnie powodu wychodził dziś ze szpitala Azowkin. Historia jego choroby, trwającej tyle miesięcy, wypełniła gruby zeszytek, składający się ze sklejonych karteczek brązowego koloru; papier był ordynarny, popstrzony kawałkami miazgi drzewnej, o które zawsze zaczepiała stalówka. Kartki były zapisane niebieskim i fioletowym atramentem: wiersz za wierszem, liczba za liczbą. I poprzez ten zeszytek obydwie lekarki widziały postać miejskiego chłopca, udręczonego, oblanego potem, skręconego w pałąk na szpitalnym łóżku. Odczytywane cichym, łagodnym głosem liczby brzmiały bardziej nieubłaganie, niż grom skazującego wyroku, i nie było od nich żadnej apelacji. Tu było dwadzieścia sześć tysięcy „Ro” — jednostek naświetlenia, z czego dwanaście tysięcy w ostatniej serii, pięćdziesiąt zastrzyków sinestrolu, siedem transfuzji krwi o ogólnej zawartości jednego litra dwustu trzydziestu tysięcznych, a mimo to leukocytów było tylko trzy tysiące czterysta, zaś erytrocytów... Przerzuty przedzierały się przez środki zaradcze jak czołgi, już się usadowiły w jamie zamostkowej, już pojawiły się w płucach, powodowały stan zapalny pod obojczykami, a organizm nie stawiał oporu i nie było sposobu na powstrzymanie przerzutów.

Lekarki zamieniały spojrzenia, uzupełniały zapisane kartki, a w międzyczasie pielęgniarka, pracująca w rentgenowskim laboratorium, w dalszym ciągu załatwiała pacjentów. Właśnie wprowadziła czteroletnią dziewczynkę w niebieskiej sukience. Mała przyszła razem z matką. Miała na twarzy czerwone naczyniowe obrzęki, jeszcze niewielkie, nie złośliwe, ale trzeba je było naświetlać, by nie przekształciły się w formę złośliwą. Sama dziewczynka niewiele o to dbała, nie wiedziała że, być może, śmierć już nałożyła na jej buzię swoje złowieszcze piętno. Dziewczynka była tu

nie po raz pierwszy, nie bała się, szczebiotała, chciała dotykać niklowanych części aparatów, cieszyła się wspaniałym otoczeniem. Cały zabieg miał trwać trzy minuty, ale i przez ten krótki czas nie mogła spokojnie usiedzieć pod lampą rentgenowską, wycelowaną dokładnie na chore miejsce. Kręciła się, odchyłała głowę, pielęgniarka denerwowała się, wyłączała i znowu włączała lampę. Matka starała się skoncentrować uwagę dziecka na zabawce trzymanej w ręce, obiecywała jej inne podarunki, jeżeli będzie siedzieć spokojnie. Potem weszła stara kobieta o ponurym wyglądzie, długo rozwiązywała chustę i zdejmowała kaftanik. Potem ze szpitalnej sali przysłała kobieta w szarym szlafroku; miała na stopie okrągły guz — po prostu natarła sobie na gwoździu w pantoflu; wesoło rozmawiała z pielęgniarką, w ogóle nie podejrzewając, że ten bagatelny guz wielkości centymetra, którego z nieznanых jej powodów nie chcą wyciąć — to melanoblastoma, najbardziej złośliwy nowotwór powstający z komórek pigmentowych.

Lekarki mimowoli zwracały uwagę także i na tych pacjentów, dawały rady pielęgniarce, aż wreszcie przyszedł czas, kiedy Wiera Korniliewna musiała pójść na salę, żeby Rusanowowi zrobić zastrzyk embichiny. Przedtem położyła przed Ludmiłą Afanasjewną specjalnie zatrzymaną kartę z przebiegiem choroby Kostogłotowa.

— Przybył tu w tak zapuszczonym stanie i taki świetny początek! Tylko że wielki uparciuch z tego chłopaczka! Obawiam się, że istotnie odmówi dalszego leczenia.

— Niech-no tylko spróbuje! — Ludmiła Afanasjewna znowu stuknęła ołówkiem w stół. Kostogłotow był chory na to samo co Azowkin, ale przebieg kuracji dawał tak duże nadzieje, że nie miała prawa jej przerywać.

— Was zapewne posłucha — od razu zgodziła się Ganhart. — Osobiście nie jestem pewna, czy potrafię go przekonać. Może lepiej, żebym go do was przysłała? — Wiera Korniliewna starannie zdrapywała z paznokcia jakiś brud, który się do niego przykleił. — Mój stosunek do niego ułożył się jakoś nieszczególnie... Nie umiem rozmawiać z nim w kategorięczny sposób. Nie bardzo wiem, dlaczego...

Istotnie, stosunki między nimi zaczęły się nieszczególnie od pierwszego dnia znajomości.

Był słotny styczniowy dzień, padał deszcz. Ganhart wzięła zastępstwo lekarza na nocny dyżur w klinice. Koło dziewiątej wieczorem weszła zażywna, gruba sanitariuszka z pierwszego piętra. Przysłała ze skargą.

— Tam jeden pacjent awanturuje się. Sama nie dam sobie

z nim rady. Co znowu — jeśli tu odpowiednich kroków nie przedsięwziąć, wkrótce zaczną nam kołki ciosać na głowach!

Wiera Korniliewna wyszła i zobaczyła, że na podłodze, między schodami i komórką starszej pielęgniarki, wyciągnął się jakiś dryblas. Miał na sobie buty z cholewami, wyrudziały żołnierski płaszcz i cywilną uszatą czapkę, za ciasną na niego, a mimo to siłą naciągniętą na głowę. Pod kark podsunął worek z rzeczami i wyglądało tak, że zamierza spać w tej pozycji. Ganhart podeszła całkiem blisko — smukłonożna, na wysokich obcasach, zawsze dbała o swój wygląd — spojrzała surowo, chcąc go zawstydzić wzrokiem i zmusić do podniesienia się, ale intruz, chociaż widział to, patrzył obojętnie, nie poruszył się i nawet, jak jej się wydało, przyklnął oczy.

— Coście za jeden? — zapytała.

— Człowiek... — odpowiedział cichym, apatycznym głosem.

— Macie do nas skierowanie?

— Tak.

— Kiedyście je otrzymali?

— Dziś.

Z wilgotnych śladów na podłodze z obu stron wywnioskowała, że jest cały mokry: przemoczony szynel, buty, worek z rzeczami.

— Ale tu nie wolno. My... nie pozwalamy tu czekać. A ponadto... przecież niewygodnie.

— Wy-go-dnie... — odpowiedział ospale. — Jestem w ojczystym kraju, kogo tu mam się krępować?

Wiera Korniliewna zmieszana się. Już wiedziała, że nie będzie w stanie krzyknąć na niego, kazać mu wstać, a zresztą i taki nie posłucha.

Obejrzała się w stronę westybulu, gdzie w dzień było zawsze pełno odwiedzających i oczekujących. Stały tam trzy ogrodowe ławki, na których siadywali krewni, przychodzący z wizytą do chorych, w nocy zaś na tych ławkach lokowano przyjezdnych chorych, którzy nie mieli gdzie się podziać. Ale tym razem w westybulu stały tylko dwie ławki, na jednej z nich już leżała stara baba, na drugiej młoda Uzbeczka w kolorowej chustce położyła dziecko i sama usiadła obok.

W westybulu można by mu pozwolić położyć się na podłodze, ale była brudna, zabłocona.

A tu ściśle przestrzegano czystości i wolno było wchodzić tylko w szpitalnych szlafrokach, albo w białych kitlach. Wiera Korniliewna znowu spojrzała na leżącego dzikusa, którego wynędzniała twarz zaczynała już tracić wyraz zupełnej obojętności.

— Nie macie nikogo w tym mieście?

— Nikogo.

— W hotelu nie próbowaliście?

— Próbowałem — dawanie odpowiedzi najwyraźniej go męczyło.

— W tym mieście jest pięć hoteli.

— W żadnym nie chcieli nawet słuchać — chory zamknął oczy, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że audyencja jest skończona.

— Gdyby to było nieco wcześniej! — zastanawiała się Ganhart. — Niektóre z naszych sanitariuszek przyjmą pacjentów na nocleg. I biorą niedrogo.

W dalszym ciągu leżał z zamkniętymi oczami.

— Powiada — choćby cały tydzień będę tak leżeć! — rzucała się na niego dyżurna sanitariuszka. — W przejściu! Dopóki dla mnie łóżka nie znajdą. Widzicie go, swawolnika! Wstawaj, nie rozrabiaj! Tu czystość, wszystko wysterylizowane! — Sanitariuszka nie dawała za wygraną.

— A dlaczego tylko dwie ławki? — zdziwiła się Ganhart. — Zdaje się, że były trzy...

— Tamtą trzecią przestawili — sanitariuszka wskazała na oszklone drzwi.

Prawda, ławkę przestawili na korytarz za drzwiami, żeby mieli gdzie siedzieć ci pacjenci, którzy przychodzą na leczenie ambulatoryjne.

Wiera Korniliewna kazała sanitariuszce otworzyć drzwi wiodące na korytarz i powiedziała do chorego:

— Proszę się podnieść, dam wam wygodniejsze miejsce.

Popatrzył na nią — na razie bez większego zaufania. Potem zaczął się podnosić, nie mogąc opanować bolesnych drgawek. Widać było, że każdy ruch i skręt tułowia przychodzi mu z największym trudem. W trakcie podnoszenia się nie wziął do ręki worka z rzeczami i teraz zbyt go bolało pochylenie.

Wiera Korniliewna jednym zgrabnym ruchem pochwyciła brudny, zmoknięty worek w białe palce i podała mu go.

— Dziękuję — wykrzywił gębę w uśmiechu. — Do czego dożyłem...

Tam gdzie leżał, na deskach podłogi, pozostała wilgotna, podłużna plama.

— Szliście pod deszczem? — wpatrywała się w niego z coraz większym współczuciem. — Tam w korytarzu jest ciepło, proszę zdjąć szynel. Czy macie dreszcze? Gorączkę? — Całe czoło zasłaniała nasunięta na oczy czarna, nędzna czapczyzna o zwisających futrzanych uszach, więc lekarka przyłożyła palce nie do czoła, lecz do policzka.

Wystarczyło jednego dotknięcia by stwierdzić, że ma podniesioną temperaturę.

— Przyjmujecie jakie lekarstwo?

Patrzył na nią w zupełnie już odmienny sposób, bez wyrazu całkowitej obcości.

— Analgin.

— Macie przy sobie?

— Aha...

— Chcecie, żebym wam dała środek nasenny?

— Jeżeli można.

— Prawda! — połapała się nagle. — Proszę pokazać skierowanie.

Trudno było powiedzieć czy uśmiechnął się, czy też wargami poruszył skurcz bólu.

— A jakby nie było papierka, to co? Na deszcz?

Odpiął górne haftki u płaszczu i z kieszeni drelichowej bluzy, którą miał pod spodem, wyciągnął skierowanie, istotnie wypisane w ambulatorium dziś rano. Przeczytała i przekonała się, że to jej pacjent, którego trzeba naświetlać. Ze skierowaniem w rękę obróciła się, by pójść po środek nasenny.

— Zaraz wrócę. Proszę się położyć.

— Zaczekajcie, zaczekajcie! — ożywił się. — Papiereczek poproszę z powrotem! Znamy takie sposoby!

— A właściwie czego się obawiacie? — obrażona stanęła w półobrocie. — Czyżbyście nie mieli do mnie zaufania?

Patrzył na nią w niepewności.

— A niby — burknął — dlaczego mam mieć zaufanie? Myśmy z tego samego pieca chleba nie jedli...

I poszedł położyć się na ławce.

Rozgniewała się i już do niego nie wróciła. Przez sanitariuszkę posłała środek nasenny i skierowanie, na którym napisała u góry „13”, podkreśliła i postawiła wykrzyknik.

Była już noc, kiedy przeszła koło niego. Spał. Ławka była wygodna, nie podobna z niej spaść. Oparcie ławki było wygięte, a i samo siedzenie miało rodzaj zagłębienia. Chory zdjął ze siebie mokry płaszcz, ale się nim przykrył: jedna poła na nogach, druga na ramionach. Stopy zwieszały się z brzegu ławki. Na podeszwach butów nie było całego miejsca — łąta koło łąty, trójkąciki czarnej i czerwonej skóry, na czubkach — metalowe okucie, na obcasach — podkówki.

Rano Wiera Korniliewna wydała polecenie starszej pielęgniarki, żeby wyznaczyła nowemu pacjentowi łóżko stojące na górnym międzypiętrze.

Co prawda, po tym pierwszym dniu Kostogłotow już nie mó-



wił impertynencji. Rozmawiał z Wierą Korniliewną uprzejmie, zwykłym przyzwoitym językiem, pierwszy ją pozdrowił i nawet przyjaźnie się uśmiechał. Ale zawsze miała takie wrażenie, że lada chwilę może zdobyć się na jakiś dziwny wyskok.

I rzeczywiście, akurat przedwczoraj, kiedy go wezwała żeby wziąć krew do analizy — chodziło o zbadanie grupy krwi — i już miała w ręku próżną strzykawkę, Kostogłotow spuścił podwinięty rękaw i powiedział zdecydowanym tonem:

— Wiera Korniliewna, bardzo mi przykro, ale proszę coś wymyśleć, żeby się obyło bez tej analizy.

— Ale dlaczego?

— Już dosyć mojej krwi wypili. Nie chcę! Bierzcie od tych, którym dużo krwi zostało.

— Jakże wam nie wstyd? I to mężczyzna! — popatrzyła na niego z tą odwieczną typowo kobiecą kpina, nieznośną dla każdego mężczyzny. — Wezmę zaledwie trzy centymetry...

— Całe trzy! Trzy sześciennie centymetry! I po cóż to?

— Żeby określić waszą grupę krwi, następnie na zbadanie odczynu koagulacyjnego; jeśli wszystko się zgodzi, zrobimy wam transfuzję: dwieście pięćdziesiąt!

— Mnie? Transfuzja? Litości! Po co mi czyjaś krew? Cudzej nie chcę, swojej nie dam ani kropelki! A co do grupy krwi — możecie zapisać, pamiętam jak mi na froncie badali.

Namawiała go na wszystkie sposoby, ale nie ustępował, wynajdując coraz to nowe, zupełnie niespodziewane racje. Był przekonany, że proponowane zabiegi nie są potrzebne.

W końcu obraziła się na niego.

— Stawiacie mnie w jakiejś głupiej, śmiesznej sytuacji. Proszę was po raz ostatni.

Naturalnie popełniła błąd, decydując się na to upokorzenie — o co właściwie miała go prosić?!

Ale natychmiast obnażył i wyciągnął ramię.

— Osobiście dla was, proszę bardzo — bierzcie te swoje trzy centymetry.

Właśnie dlatego, że traciła kontenans w rozmowach z Kostogłotowem, któregoś dnia doszło do zabawnej sceny.

— Nie wyglądacie na Niemkę — powiedział Kostogłotow.

— To nazwisko męża, prawda?

— Tak — powiedziała odruchowo.

Dlaczego tak powiedziała? W owej chwili wydawało się, że inna odpowiedź byłaby niewłaściwa.

O nic więcej nie pytał. A przecież Ganhart to jej nazwisko,



po ojcu i po dziadku. Pochodziła ze zrusyfikowanych Niemców. A jak należało odpowiedzieć? „Nie jestem mężatką”? „Nigdy nie byłam mężatką”?

Nie podobna!

## 6.

### HISTORIA ANALIZY

Najpierw Ludmiła Afanasjewna zaprowadziła Kostogłotowa do pokoju z aparatami, z którego właśnie wyszła po naświetleniu jakaś pacjentka. Od ósmej godziny rana lampa rentgenowska o mocy stu osiemdziesięciu tysięcy volt, wisząca pod sufitem na drutach, działała bez przerwy, lufcik był zamknięty i powietrze było rozgrzane tym specjalnym, trochę słodkawym, trochę budzącym wstręt rentgenowskim ciepełkiem.

To ciepełko uderzało w płuca (i nie tylko zresztą ciepełko) i już po kilku, po dziesięciu seansach, stawało się obrzydliwe dla chorych, ale Ludmiła Afanasjewna zdążyła się do niego przyzwyczaić, nie ważne czy przyjemne czy nieprzyjemne. Przez dwudzieścia lat pracy — a był czas, kiedy nie istniała żadna izolacja od lamp rentgenowskich, zaś Doncowa codziennie oddychała tym powietrzem i dłużej, niż jest dopuszczalne — przeprowadzała badania diagnostyczne. Zdarzało się i tak, że miała do czynienia z przewodami wysokiego napięcia; ledwie nie zginęła. I niezależnie od wszystkich ekranów i rękawiczek, na pewno wchłonęła więcej jednostek promieniowania niż najcierpliwszy z najciężej chorych, tyle że nikt tych jednostek nie obliczał i nie zapisywał.

Śpieszyła się — nie tylko dlatego, żeby wyjść jak najszybciej: nie wolno było zbyt długo korzystać z rentgenowskich aparatów. Kazała Kostogłotowowi położyć się na tapczanie i obnażyć brzuch. Czymś w rodzaju chłodnego, łaskoczącego pędzelka prowadziła po jego skórze, coś kreśląc i bodajże wypisując cyfry.

Natychmiast potem wytłumaczyła pielęgniarce prowadzącej naświetlania, co oznaczają wyrysowane kwadraciki i jak należy prowadzić na nie lampę rentgenowską. Wreszcie kazała mu przewrócić się na brzuch i dalej smarowała na plecach.

— Po seansie — oświadczyła — zgłosicie się do mnie.

I poszła. Pielęgniarka kazała mu położyć się znowu na plecach, nakryła brzuch prześcieradłem, po czym zaczęła okładać

wszystkie sąsiednie miejsca dywanikami z kauczuku nasyconego ołowiem, żeby ochronić te miejsca przed bezpośrednimi uderzeniami rentgena. Sprężyste dywaniki bardzo przyjemnie przylegały do ciała.

Pielęgniarka również wyszła, widziała go teraz tylko przez okienko w grubej ścianie. Rozległo się ciche buczenie, zapaliły się lampy pomocnicze, rozpałała się główna lampa.

I natychmiast przez skórę brzucha, potem przez warstwy i narządy, których nazw nie znał ich posiadacz, przez żołądek albo przez kiszki, przez guz potwornego nowotworu, przez krew płynącą arteriami i żyłami, przez limfę, przez komórki tkanek, przez kręgosłup i mniejsze kości, przez naczynia i skórę na plecach, a potem przez materac i tapczan, przez czterocentymetrowe deski podłogi, przez cegły i coraz głębiej i głębiej, aż do samego kamiennego fundamentu, aż do ziemi, zaczęły iść ostre rentgenowskie promienie, trudne do uchwycenia ludzkim rozumem wektory pola elektrycznego i magnetycznego i bardziej zrozumiałe pociski kwantów, rozrywające i miażdżące wszystko, co spotykały po drodze.

I to barbarzyńskie bombardowanie ciężkimi kwantami, niedostrzegalne i nieuchwytnie dla bombardowanych tkanek, już po dwunastu seansach przywróciło Kostogłotowowi chęć do życia i smak życia, apetyt i nawet wesoły nastrój. Już po drugim i trzecim naświetleniu, gdy zniknął ból sprawiający iż dalsze życie wydawało się niemożliwe. Kostogłotow chciał się koniecznie dowiedzieć i zrozumieć jak to się dzieje, że naświetlające pociski bombardują nowotwór, a jednocześnie nie tykają zdrowych części ciała. Kostogłotow nie był w stanie poddać się bez sprzeciwu kuracji, dopóki nie zrozumiał na czym ona polega i dopóki jej nie zaufał.

Spróbował wywiedzieć się na czym polega terapia rentgenowska od Wiery Korniliewny Ganhart, tej miłej kobiety, która potrafiła rozbroić jego uprzedzenie i podejrzliwość przy pierwszym spotkaniu pod schodami, wtedy gdy postanowił że z własnej woli nie odejdzie, że niech sprowadzają milicję i straż ogniową.

— Proszę się nie obawiać, proszę wyjaśnić — uspokajał ją Kostogłotow. — Ze mnie taki świadomy żołnierz co to musi rozumieć bojowe zadanie, bo w przeciwnym razie nie chce walczyć. Jakże to jest żeby rentgen niszczył nowotwór, a nie działał na okoliczne tkanki?

Wiera Korniliewna miała niezwykle wrażliwe usta i wyrażała nimi wszystkie uczucia, zanim odbijały się w jej oczach. Czułe, delikatne wargi poruszały się jak ptasie skrzydełka. I natychmiast wyraziła nimi niezdecydowanie: usta poruszały się niepewnie.

Cóż mu mogła opowiedzieć o tej artylerii bijącej na ślepo zarówno po swoich jak po wrogu?!

— Nam nie wolno... No, niech będzie! Oczywiście, rentgen niszczy wszystko. Tylko że zdrowe tkanki szybko się odradzają, a chore giną.

Czy to była prawda czy nie, Kostogłotowowi podobała się jej odpowiedź.

— A, jeśli tak, zgadzam się na warunki! Dziękuję. Poddaję się kuracji!

I rzeczywiście, kuracja zaczęła dawać dobre wyniki. Kostogłotow chętnie kładł się pod lampą rentgenowską i podczas naświetlania mówił sam do siebie, że nowotwór musi się zmniejszyć, że przysłała kryska na matyska.

A kiedy indziej myślał o byle czym, a nawet drzemał.

Policzył wzrokiem wszystkie zwisające przewody i szlauchy, zastanawiając się po co ich tyle, i czy jeśli stosuje się chłodzenie, to jakiego rodzaju. Ale natychmiast myśl ześliznęła się na co innego, i nie doszedł do żadnego wniosku.

A potem zaczął myśleć o Wierze Ganhart. Myślał, że ta miła kobieta nigdy nie zjawi się u nich, w Usz-Tereku. I że akurat wszystkie takie kobiety są zamężne. Zresztą, pamiętając o tym mężu, myślał o niej tak, jak gdyby go nie miała. Myślał jakby to było przyjemnie pogadać z nią, ale nie przelotnie, lecz bardzo długo, ot spacerując po szpitalnym dziedzińcu. Od czasu do czasu przestraszyć ją jakimś skrajnym poglądem — lekarka tak zabawnie się miesza. Ten jej łaskawy uśmiech, jak słoneczny promień, gdy wchodzi na salę, albo gdy się ją spotka w korytarzu. Jest dobra nie z racji swego zawodu, jest dobra z natury. I uśmiech to jakby nie uśmiech, a po prostu same usta. Istnieją jakoś samodzielnie, własnym życiem, za chwilę odlecą z twarzy i wzbiją się w niebo jak skowronek. Usta są po to, żeby całowały, te usta także całują, a przecież mają jakieś specjalne przeznaczenie — są po to, żeby szemrać o czymś świetlanym.

Rentgenowska lampa huczała i cichutko dzwoniła.

Myślał o Wierze Ganhart, ale myślał także o Zoji. Zdał sobie sprawę, że wczoraj wieczorem najsilniejsze wrażenie, odnowione wspomnieniu dziś rano, wywarły na nim jej wysoko osadzone, mocne piersi, tworzące jak gdyby prawie poziomą półeczkę. Podczas wczorajszej gadaniny zauważył, że na stole leży duża, dość ciężka linijka — i to nie z dykty, lecz z heblowanej deseczki. I przez cały czas kusiło go, żeby wziąć tę linijkę i położyć na jej piersiach, sprawdzić: ześliznie się, czy nie. Wydawało mu się, że się utrzyma.

Ale bał się, że Zoja się obrazi.

I z prawdziwą wdzięcznością myślał także o tym ciężkim, przesyconym ołowiem dywaniku, który mu położono na podbrzuszu. Dywanik naciskał i zdawał się mówić: „Nie bój się, już ja ciebie obronię!”.

A może nie obroni? Może grubość dywanika nie jest dostateczna? Albo nie jest dokładnie ulokowany?

W ciągu tych dwunastu dni Kostogłotow wrócił nie tylko do życia, apetytu, ruchu i wesołego nastroju; wrócił również do świadomości urody życia, utraconej całkowicie w ciągu tyłu miesiący cierpień. No i jasne — ołów bronił go skutecznie!

A jednak póki cały, trzeba wrywać ze szpitala.

Nie zauważył że ustało brzęczenie lampy i różowe pręciki zaczęły przygasać. Weszła pielęgniarka, zdjęła z niego dywaniki i prześcieradła. Spuścił nogi z tapczana i dopiero wtedy dojrzał na swoim brzuchu fioletowe prostokąty i cyfry.

— A jakże z myciem? — zapytał pielęgniarkę.

— Tylko po uprzednim zezwoleniu lekarzy.

— Dobra historia. To znaczy, że co — na cały miesiąc mnie urządzili?

Poszedł do Doncowej. Doktorka siedziała w pokoju, gdzie znajdowały się małoobrazkowe aparaty rentgenowskie, w prostokątnych okularach i oglądała pod światło duże rentgenowskie klisze. Obydwa aparaty były wyłączone, obydwaj luźniki otwarte, w pokoju prócz niej nie było nikogo.

— Proszę siadać! — oschle powiedziała Doncowa.

Usiadł. W dalszym ciągu porównywała ze sobą dwa rentgenogramy.

Kostogłotow spierał się z nią tylko dlatego, żeby bronić się przeciw przesadnym zabiegom leczniczym. Natomiast sama Ludmiła Afanasjewna budziła w nim zaufanie nie tylko prawdziwie męskim zdecydowaniem, wydawaniem energicznych rozkazów przy ekranie w mrocznym pokoju, wzrostem i bezgranicznym oddaniem pracy, lecz przede wszystkim tym, że od pierwszego dnia nieomylnie natrafiała na zarys nowotworu. Sama opuchlina dawała mu znać, że doktorka dokładnie ją umiejscawia. Chory najlepiej ocenia, czy palce lekarza posuwają się we właściwym kierunku. Doncowa tak dobrze wyczuwała nowotwór dotykiem, że nawet zdjęcia rentgenowskie nie były jej potrzebne.

Lekarka odłożyła rentgenogramy i zdjęła okulary.

— Słuchajcie, Kostogłotow. W przebiegu waszej choroby jest bardzo istotna luka. Musimy mieć absolutną pewność co do rodzaju waszego pierwotnego nowotworu.

Kiedy Doncowa zaczynała używać medycznej terminologii, jej mowa stawała się jeszcze szybsza, długie zdania i określenia wymawiała jednym tchem.

— To co opowiadacie o waszej operacji przed dwoma laty, i umiejscowienie obecnego przerzutu, zgadza się z naszą diagnozą. Nie można jednak wykluczyć także innych możliwości. A to nam utrudnia leczenie. O zdobyciu próbki z waszego przerzutu nie ma w tej chwili, jak zapewne rozumiecie, mowy.

— Chwała Bogu. Zresztą ja bym nie pozwolił.

— Swoją drogą wciąż nie rozumiem, dlaczego nie możemy otrzymać pierwotnego preparatu. Czy jesteście całkowicie pewni, że została przeprowadzona analiza składu tkanek?

— Owszem, jestem pewny.

— Dlaczego w takim razie nie poinformowano was o wynikach? — Doncowa śpieszyła się w rozmowie jak każdy rzeczowy człowiek. Niektórych słów trzeba było się domyślać.

Za to Kostogłotow już dawno odzwyczyił się od pośpiechu.

— O wynikach...? Takieśmy mieli wtedy burzliwe wydarzenia, Ludmiła Afanasjewna, takie stosunekczki, że słowo honoru... Po prostu wstydziałem się pytać o tę moją próbkę. Wtedy ludziom dawali w czapę. A ponadto nie miałem pojęcia po co ta cała tkankowa próbka. — Kostogłotow bardzo lubił w rozmowach z doktorami używać medycznych określeń.

— Wyście nie mieli pojęcia, to zrozumiacie. Ale przecież lekarze powinni byli wiedzieć, że to nie żadna igraszka.

— Le-ka-rze?

Spojrzał na siwe pasmo włosów, którego nie chowała i nie farbowała, przyjrzał się uważnie skoncentrowanej, rzeczowej twarzy o nieco wystających kościach policzkowych.

Jakże się to dzieje, że oto siedzi przed nim jego rodaczka, żyjąca w tym samym czasie, jak najlepiej mu życząca, i oto nie jest w stanie w ojczystym, rosyjskim języku wytłumaczyć jej najbardziej prostych rzeczy. Czy zacząć od najdalszego pieca, czy też lepiej urwać na samym początku?

— Lekarze, Ludmiła Afanasjewna, nie mogli niczego dokonać. Chirurg, Ukrainiec, który pierwszy zarządził operację i przygotował mnie do niej, został zabrany na etap w ostatnią noc przed operacją.

— No więc co?

— Jak to co? Zabrali.

— Ale przepraszam, przecież go uprzedzono i mógłby...

Kostogłotow szczerze się roześmiał. Ta rozmowa niezmiernie go bawiła.

— Ludmiła Afanasjewna, o tym że będzie etap nikt nikogo nie uprzedza. Na tym właśnie sprawa polega, żeby człowieka porwać niespodziewanie.

Wysokie czoło Doncowej zachmurzyło się. To co mówił Kostogłotow brzmiało zupełnie niedorzecznie.

— Ale jeżeli ten chirurg miał pacjenta już przygotowanego do operacji...?

— Ha! Tam był pacjent troszkę lepszy ode mnie! Pewien Litwin połknął dużą aluminiową łyżkę.

— Jakże to mogło się stać?

— Umyślnie połknął. Żeby wydostać się z karnej separatki. Nie wiedział, że chirurga zabierają.

— No dobrze... a co potem? Przecież ten nowotwór szybko się zwiększał...?

— Istotnie, każdego dnia, dosłownie z godziny na godzinę... Poważna sprawa. Ale po pięciu dniach przywieźli z innego łagru drugiego chirurga, Niemiec, Karl Fiodorowicz. No właśnie... Ten trochę rozejrzał się na nowych śmieciach i po jednym dniu zoperował mnie. Ale żadnych takich określeń jak „złośliwy nowotwór”, „przerzuty”, nikt przy mnie nie wypowiadał. Nigdy ich nie słyszałem.

— Ale ten chirurg wysłał na badanie próbkę tkankową?

— Nie wiedziałem wtedy nic o żadnych próbkach tkankowych. Leżałem po operacji, a na mnie — woreczki z piaskiem. Gdy minął tydzień, zacząłem uczyć się jak nogę spuszczać z łóżka, jak stać; nagle znowu pędzą grupę na etap, około siedmiuset, że niby „buntownicy”, a wśród nich mojego Karla Fiodorowicza, najspokojniejszego człowieka na świecie. Wyciągnęli go z baraku, nie pozwolili odwiedzić chorych po raz ostatni.

— To jakieś zdziczenie!

— Nie takie znowu zdziczenie! — Kostogłotow ożywił się bardziej, niż to było w jego zwyczaju. — Przyleciał jeden z moich przyjaciół, informuje że ja także jestem na liście przeznaczonych na etap, kierowniczką sanitarnego oddziału, *madame* Dubinskaja, wyraziła zgodę. Zrobiła to, wiedząc, ścierwo, że chodzić nie mogę, że jeszcze nie zdjęto szwów po operacji! Przepraszam... Postanowiłem na mur: jazda w bydłych wagonach, niezdjęte szwy zaropieją, pewna śmierć. Jeżeli po mnie przyjdą, powiem: — Strzelajcie tu, na łóżku, nie jadę! Zdecydowanie! Ale nie przyszli. Nie dlatego, że *madame* Dubinskaja ulitowała się, przeciwnie dziwiła się, że mnie nie wysłali. Po prostu w administracji stwierdzili, że mój termin kończył się przed upływem roku. Ale od-



biegłem od głównego tematu... No więc zbliżam się do okna, patrzę... Za sztachetami szpitala zbiórka, jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, już spędzają z rzeczami na etap. Karl Fiodorowicz ujrzał mnie w oknie i krzyczy: „Kostogłotow! Otwórz lufcik!” Konwojenci do niego: „Stul pysk, padlino!” A on: „Kostogłotow, zapamiętaj! To bardzo ważne! Próbkę nowotworu wysłałem do Omska w celu zbadania. Na wydział anatomii patologicznej, zapamiętaj!” No i... popędzili ich. To teraz już wiecie, co robili ci lekarze, wasi poprzednicy. Czyżby czymś zawinili?

Kostogłotow rzucił się gwałtownie na krzesło do tyłu. Był wyraźnie wzburzony. Widocznie ogarnęła go atmosfera tamtego, obozowego szpitala.

Starając się oddzielić rzeczy istotne od drugorzędnych — pacjenci zawsze lubią opowiadać o drugorzędnych sprawach — Doncowa upierała się przy swoim.

— Czy z Omska przyszła odpowiedź? Przyszła? Czy ją wam przekazali?

Kostogłotow wrzucił kościstymi ramionami.

— Nikt mi niczego nie przekazywał. Nie rozumiałem po co Karl Fiodorowicz o tym do mnie krzychał. I dopiero ubiegłej jesieni, gdy już byłem na zesłaniu i już bardzo mocno mnie wzięło, pewien staruszek, ginekolog, mój przyjaciel, nalegał żebym zasięgnął informacji. Napisałem do mojego obozu. Odpowiedzi nie otrzymałem. Wtedy wysłałem skargę do zarządu obozów. Po jakichś dwóch miesiącach przyszła następująca odpowiedź: „Po starannym sprawdzeniu waszej sprawy nie udało się jej wyjaśnić zgodnie z waszym życzeniem”. Opuchlina tak mnie dręczyła, że byłbym zrezygnował z korespondencji, ale ponieważ i tak nie pozwalano mi wyjechać na kurację, napisałem na chybił-trafił do Omska, na wydział anatomii patologicznej. I stąd, bardzo szybko, po kilku zaledwie dniach, przyszła odpowiedź — w styczniu, zanim zgodzono się na wyjazd do was.

— A właśnie, właśnie! Ta odpowiedź! Gdzie ona jest?

— Ludmiła Afanasjewna, kiedy wyjeżdżałem, mnie... Wszystko mi było obojętne. A przy tym papierek bez żadnej pieczęci, nie oficjalny, po prostu list od uniwersyteckiej laborantki. Napisała mi bardzo uprzejmie, że owszem, preparat przyszedł z obozu i pod datą jaką podałem, że przeprowadzono analizę i stwierdzono właśnie... ten podejrzewany przez was typ nowotworu. I że natychmiast odpowiedź poszła na adres szpitala który zapytywał, to znaczy do mojego obozowego szpitala. To wszystko zgadza się z tamtejszymi porządkami i jest całkowicie zrozumiałe — odpowiedź przyszła, nikomu nie była potrzebna i madame Dubinskaja...



Nie! Stanowczo Doncowa nie rozumiała tego wywodu! Skrzyżowała ramiona, niecierpliwie chwytając je dłońmi powyżej łokci.

— Ale przecież z tej odpowiedzi wynikało, że powinno się było natychmiast zastosować wobec was rentgenowską terapię!

— Że co? — Kostogłotow żartobliwie zmrużył oczy i popatrzył na Ludmiłę Afanasjewnę. — Rentgenowska terapia?!

Opowiada jej od kwadransa i niczego nie zdołał opowiedzieć. Ciągle nic a nic nie rozumie!

— Ludmiła Afanasjewna! — zawołał. — Jakże mam przedstawić tamten świat... No w ogóle ludzie nie zdają sobie z tego sprawy! Jakaż tam rentgenowska terapia! Jeszcze po operacji nie ustał ból, o tak jak obecnie u Achmadżana, a już musiałem stanąć do zwykłej pracy i dźwigać beton na budowie. I do głowy mi nie przyszło, że mam prawo do niezadowolenia. Czy wiecie ile waży taki kubeł z płynnym betonem, a trzeba go unieść we dwóch?

Doncowa spuściła głowę. Jak gdyby to ona sama wysłała go wtedy na budowę.

Tak, wyjaśnienie przebiegu tej choroby to nie była sprawa zbyt łatwa.

— No dobrze. Ale dlaczego ta odpowiedź z wydziału anatomii patologicznej jest pozbawiona pieczętki? Dlaczego chodzi o prywatny list?

— To bardzo dobrze, że przynajmniej prywatny list! — przekładał jej Kostogłotow. — Zdarzył się porządny człowiek — ta laborantka. Swoją drogą wśród kobiet więcej jest porządných osób, niż wśród mężczyzn, tak mi się wydaje... A że list prywatny, to z powodu tej obowiązującej u nas, przekłętej tajemniczości. Sekrety! Laborantka mi napisała, że ponieważ preparat jest bezimienny, nie zostało podane nazwisko chorego, nie mogą dać oficjalnej informacji i nie mogą też wysłać preparatu.

Kostogłotow zaczynał się irytować. Gniew objawiał się na jego twarzy z największą szybkością.

— Wielka państwowa tajemnica! Kretyni! Drżą ze strachu, że gdzieś tam, na jakimś uniwersyteckim wydziale ktoś się dowie, że w jakimś tam łagrze męczy się więzień Kostogłotow! Jakby chodziło o Żelazną Maskę! Anonimowa informacja gdzieś tam leży, a wy zachodzicie w głowę jak mnie leczyć. Za to tajemnica została utrzymana!

Jasny wzrok Doncowej nie tracił swej ostrości. Trwała przy swoim.

— Mimo wszystko, także ten list powinnam dołączyć do przebiegu waszej choroby.

— Dobrze. Wróć do mojego aułu i zaraz go wam wyślę.

— Nie, należy działać szybciej. Ten ginekolog nie mógłby poszukać i wysłać?

— Może by znalazł... A ja kiedy mam jechać? — Kostogłotow spoglądał spode łba.

— Pojedźcie — Doncowa ważyła teraz każde słowo — kiedy uznam, że należy przerwać waszą kurację. A i to tylko na pewien czas.

Właśnie na to czekał Kostogłotow. Tej właśnie chwili nie należało pominąć bez walki!

— Ludmiła Afanasjewna! A gdybyśmy tak zaczęli rozmawiać ze sobą nie jak dorosły z dzieckiem, ale jak dwoje dorosłych? Mówię poważnie. Dziś podczas wizytacji...

— Dziś podczas wizytacji — grube rysy jej twarzy nabrały groźnego wyrazu — zachowaliście się w haniebnym sposób. Co zamierzacie? Podburzać chorych? Co im właściwie wbijacie do głów?

— Co zamierzam? — Kostogłotow już się nie podniecał, był pewny siebie, rozsiadł się na krześle, plecami mocno wbity w oparcie. — Chciałem jedynie wam przypomnieć, że każdy człowiek ma prawo rozporządzać własnym życiem. Człowiek ma prawo rozporządzać swoim życiem, czy nie? Przyznajecie mi takie prawo?

Doncowa patrzyła na bezbarwną bliznę, przecinającą jego twarz, i milczała. Kostogłotow ciągnął dalej.

— Stajecie na niesłusznym stanowisku: z chwilą, gdy zgłosił się do was pacjent, decydujecie o wszystkim poza nim. Myślicie za niego, myślą wasze instrukcje, wasze narady, program, plan i piękna opinia waszej lecznicy. A ja znowu jestem ziarnkiem piasku, jak w koncentracyjnym obozie, znowu nic ode mnie nie zależy.

— Klinika — przypomniała Doncowa — przed każdą operacją bierze od pacjentów zgodę na piśmie.

(Dlaczego wspomniała o operacji? Już co jak co, ale na operację nie zgodzi się za nic w świecie!)

— Dziękuję! Za to — dziękuję! (Chociaż ona to robi dla własnego bezpieczeństwa). — Ale pomijając operację, przecież nie pytacie chorego o nic, niczego mu nie wyjaśniamie! Na przykład, o skutkach rentgenowskich naświetlań!

— A — domyśliła się od razu Doncowa — skąd to wam przyszło do głowy mówić o rentgenie? Czy przypadkiem nie od Rabinowicza?

— Nie znam żadnego Rabinowicza! — gwałtownym ruchem głowy zaprzeczył Kostogłotow. — Chodzi mi o zasadę.

A jednak właśnie od Rabinowicza wysłuchiwał ponurych opowiadań o skutkach rentgena, ale obiecał go nie zdradzić. Rabinowicz był ambulatoryjnym pacjentem, który już miał za sobą przeszło dwieście seansów; znosił je bardzo źle i, jak sądził, za każdym razem był bliższy śmierci, niż wyzdrowienia. W jego otoczeniu — w mieszkaniu, domu, na mieście — nikt go nie rozumiał; zdrowi ludzie od rana do wieczora krzatali się, przejmując się osiągnięciami i niepowodzeniami, które im wydawały się niezmiernie doniosłe. Nawet własna rodzina już miała go dość. I tylko tu, na ganku przychodni, gdzie leczono chorych na raka, pacjenci gotowi byli słuchać go godzinami i wyrażali mu współczucie. Rozumieli co to znaczy, że opuchlina całkowicie stwardniała, zaś miejsca poddane rentgenowskiemu naświetlaniu pokryły się bliznami, jedna koło drugiej.

No proszę! A ten opowiada o zasadach! Tylko tego brakowało Doncowej i jej współpracownikom, żeby spędzać całe dni na dyskusjach z pacjentami o zasadach leczenia! A skąd czas na samo leczenie?!

Jednakże taki wścibski uparciuch jak Kostogłotow (albo jak Rabinowicz który zamęczał Doncową, żądając wyjaśnień o przebiegu choroby) trafiał się jeden na pięćdziesięciu i nie było rady: trzeba było brać na siebie ciężki obowiązek wyjaśniania. Wypadek Kostogłotowa był wielce osobliwy także z czysto lekarskiego punktu widzenia. Osobliwy podwójnie: skrajne niedbalstwo, właściwie zbrodnicze potraktowanie choroby, która go doprowadziła do ostateczności, do samej granicy śmierci; i zupełnie wyjątkowa, szybka i radykalna, reakcja jaką spowodowało rentgenowskie naświetlanie.

— Kostogłotow! Po dwunastu seansach rentgen sprawił, że będąc w praktyce nieboszczykiem, staliście się żywym człowiekiem. I wy ośmielacie się urągać rentgenowskim naświetleniom?! Skarżycie się, że w obozie i na zesłaniu nie chciano was leczyć, że traktowano was pogardliwie; a obecnie skarżycie się, że was leczą i o was dbają... Gdzież tu logika?

— Istotnie, wygląda na to, że logiki nie ma — Kostogłotow potrząsnął czarnymi kudłami. — Ale, być może, Ludmiła Afanasjewna, logika wcale nie jest potrzebna... Przecież człowiek to istota mocno skomplikowana — z jakiej więc racji wyjaśniać go logiką? Albo ekonomią? Albo — fizjologią? Prawda, przyjechałem tu w charakterze nieboszczyka, prosiłem o przyjęcie i leżałem na podłodze koło schodów, z czego wyciągacie logiczny wniosek, że przyjechałem ratować się za każdą cenę. A ja nie chcę żadnej ceny! Nie istnieje na świecie nic, za co bym zapłacił każdą cenę!

Wbrew swemu zwyczajowi zaczął mówić coraz szybciej, bo Doncowa próbowała mu przerwać, a tyle jeszcze miał do powiedzenia.

— Przyjechałem do was, poszukując ulgi w cierpieniu! Mówiłem — znoszę dotkliwy ból, pomóżcie! I pomogliście! Nic mnie teraz nie boli! Więc dziękuję! Dziękuję! Jestem waszym wdzięcznym dłużnikiem. Ale proszę mnie zwolnić ze szpitala! Chcę wrócić do mojej psiej budy, odpocząć i po psiemu wylizywać rany.

— A jak znowu was złapie, znowu przyczłógacie się do nas na czworakach. Tak?

— Kto wie!? Być może, znowu się przyczłogam.

— I będziecie uważali, że mamy obowiązek ponownie was przyjąć?

— A tak!!! Na tym właśnie polega wasza litość! A co was niepokoi? Procent wyleczonych pacjentów? Statystyczne wykazy? Że niełatwo będzie wam podać, że zwolniliście mnie po piętnastu seansach, podczas gdy instrukcja wymaga co najmniej sześćdziesięciu?!

Takich pogmatwanych bredni Doncowa nigdy nie słyszała. Przecież właśnie, jeśli chodzi o statystykę, najbardziej by jej dogadzało zwolnić Kosogłotowa z adnotacją „wyraźne polepszenie”, a po pięćdziesięciu seansach tego napisać już nie można.

A ten w dalszym ciągu upierał się przy swoim.

— Mnie w zupełności wystarcza, żeście opuchlinie kazali ustąpić. Opuchlina broni się, ja także się bronię. Cudownie! Żołnierz najlepiej się czuje, kiedy się broni. A wyleczyć mnie całkowicie i tak nie jesteście w stanie, bo rak nie dopuszcza takiej całkowitej kuracji. A w ogóle wszystkie procesy naturalne mają to do siebie, że zawsze następuje bezobjawowe nasycenie i wtedy największe wysiłki dają minimalne wyniki. Na początku niszczyliście mój nowotwór w szybkim tempie, teraz pójdzie o wiele wolniej... No to zwolnijcie mnie z tą resztką krwi, jak mi pozostała.

— Ciekawe skądęście i jak zdobyli tę wiedzę! — Doncowa mrużyła oczy.

— Bo, wiecie, jeszcze w dzieciństwie lubiłem czytać książki o medycynie.

— Ale konkretnie — co podejrzewacie, jeśli chodzi o nasze leczenie?

— Ludmiła Afanasjewna, nie wiem czego się lękam, albo co podejrzewam — nie jestem lekarzem. To wy możecie mi wy-

jaśnić, jeżeli wiecie, o co chodzi. Ot, na przykład, Wiera Kornieliewna chce mi robić zastrzyki z glukozy...

— Koniecznie!

— A ja nie chcę!

— Dlaczego?

— Po pierwsze, to rzecz nienaturalna. Jeżeli już koniecznie potrzebuję gronowego cukru, to dajcie mi go do gęby! Cóż to za wynalazek XX wieku — każde lekarstwo przy pomocy zastrzyku? Gdzież to kto widział? W stosunku do zwierząt? Za sto lat będą się z nas śmiać jak z dzikusów! A przy tym — jak wyglądają te zastrzyki! Zdarza się, że pielęgniarka trafi od razu, a kiedy indziej jak zacznie kłuć! Poza tym dowiedziałem się, że zamierzacie robić mi transfuzję krwi...

— Powinniście się cieszyć! Ktoś wam ofiarowuje swoją krew! To jest zdrowie, to życie!

— A ja nie chcę! W mojej obecności pewnemu Czechenowi zrobiono transfuzję krwi, potem nim przez trzy godziny rzuciło na łóżku, powiedzieli że „niewłaściwa grupa”. A innemu wprowadzono krew obok arterii — taka szyszka mu wyskoczyła na rękę! To teraz kompresy, i tak rozgrzewają mu już od miesiąca. A ja nie chcę!

— Bez transfuzji krwi nie można stosować intensywnego naświetlania rentgenem.

— To nie stosujcie! Dlaczego przypisujecie sobie prawo do decydowania o losie innego człowieka wbrew jego woli? To okrutne prawo, które rzadko kiedy daje dobre wyniki. Uwaga! Takie prawo nie przysługuje nawet lekarzowi!

— Właśnie lekarzowi przysługuje! Przede wszystkim lekarzowi! — z przekonaniem w głosie zawołała Doncowa, już mocno rozgniewana. — Bez takich uprawnień w ogóle by nie było medycyny!

— Ale do czego to wszystko prowadzi? Wkrótce złożycie sprawozdanie z objawów popromiennej choroby, prawda?

— Skąd to wiecie? — zdumiała się Ludmiła Afanasjewna.

— Nie trudno było domyślić się...

Na stole leżała gruba teczka wypełniona maszynopisami. Kostogłotow widział napis na teczce do góry nogami, ale podczas rozmowy zdążył go przeczytać i zastanowić się nad jego znaczeniem.

— Domyśliłem się bez trudu... Zjawił się nowy medyczny termin i trzeba pisać sprawozdanie. Ale przecież przed dwudziestu laty także naświetlaliście jakiego innego Kostogłotowa, który bał się i bronił przed kuracją, a wyście go zapewniali, że wszystko jest w porządku, bo nie wiedzieliście jeszcze że istnieje po-

promienna choroba. No więc to samo jest ze mną: nie wiem czego się powinienem obawiać, ale proszę mnie zwolnić! Chcę kurować się własnymi siłami. A nuż sam wyzdrowieję!

Istnieje taka lekarska zasada: chorego nie należy straszyć, trzeba mu dodawać otuchy. Ale takiego natrętnego pacjenta jak Kostogłotow odwrotnie — należało oszołomić.

— Sam? Nie wyzdrowiejecie! Zapewniam was — Doncowa trzasnęła czterema palcami po stole, jak packą na muchy — nie wyzdrowiejecie! Czekajcie was — starannie wymierzała następny cios — śmierć!

Patrzyła czy to słowo wywoła w nim wstrząs. Ale Kostogłotow zachował się spokojnie, tyle że umilkł.

— Czekajcie was los Azowkina. Przypatrzyliscie się, prawda? Wasza dolegliwość jest identyczna i prawie taki sam stopień zapuszczenia. Achmadżana ratujemy, ponieważ jego zaczęto naświetlać natychmiast po operacji. A wyście stracili całe dwa lata, pomyślcie o tym! Należało wtedy natychmiast operować po raz drugi, by nie dopuścić do narażenia sieci węzłów chłonnych: ta okazja została przegapiona, weźcie to pod uwagę! I przerzuty zaczęły się bez żadnych przeszkód! Wasz nowotwór należy do najbardziej niebezpiecznych rodzajów raka. Rozwija się niesłychanie szybko, jest bardzo złośliwy, produkuje przerzuty w szybkim tempie. Jeszcze do niedawna śmiertelność przy tym typie raka wynosiła dziewięćdziesiąt procent, czy to wam odpowiada? Chwileczkę, zaraz wam pokażę...

Ze stosu teczek wyjęła jedną i zaczęła szperać w papierach.

Kostogłotow milczał. Potem odezwał się znowu, ale już cichym głosem pozbawionym tej pewności, jaką miał przedtem.

— Szczerze mówiąc, na życiu zbytnio mi nie zależy. Nie tylko nie mam życia przed sobą, ale i za sobą miałem go niewiele. A jeżeli się poszczęści przeżyć jakieś pół roczku, to trzeba przeżyć. Na dziesięć czy dwadzieścia lat nie chcę planować. Im dłuższa kuracja, tym więcej cierpienia. Zaczną się mdłości, spowodowane rentgenem, wymioty — po co to?

— Znalazłam! O tu! To jest nasza statystyka. — Położyła przed nim podwójną kartkę, wyrwaną z zeszytu. Na całej szerokości widniała nazwa jego nowotworu, a pod nią z lewej strony „Już umarli”, z prawej „Jeszcze nie umarli”. W trzech szpaltach widniały męskie nazwiska, zapisane w różnych okresach, ołówkiem, atramentem. Z lewej strony nie było żadnych poprawek, natomiast z prawej skreślenie szło za skreśleniem. — No więc tak — powiedziała Doncowa. — Przy zwalnianiu ze szpitala wpisujemy nazwiska z prawej strony, a po jakimś czasie przenosimy



na lewą stronę... I mimo wszystko są szczęściarze, którzy pozostają po prawej stronie — widzicie?

Pozwoliła mu jeszcze raz przejrzeć spis i zastanowić się.

— Wam się tylko wydaje, że już jesteście zdrowi! — wznowiła atak ze zdwojoną energią. — Jesteście chorzy, tak samo przedtem. Wasz stan jest taki sam, jaki był w pierwszym dniu. Wyjaśniła się tylko jedna jedyna rzecz: że z waszym nowotworem można walczyć! Że jeszcze nie wszystko stracone! I właśnie teraz oświadczacie, że chcecie wyjść ze szpitala. A to idźcie! Proszę bardzo, możecie się zwolnić choćby dziś! Natychmiast wydam polecenie... I wciągnę wasze nazwisko do tego oto spisu. Tych, co jeszcze nie umarli.

— No więc jak? Proszę się zdecydować!

— Ludmiła Afanasjewna — Kostogłotow wyraźnie szedł na ugodę. — Ostatecznie, jeśli konieczna jest jakaś rozsądnie wypośredkowana ilość seansów, powiedzmy pięć albo dziesięć...

— Nie pięć i nie dziesięć! Albo tyle ile trzeba, albo w ogóle nic! Na przykład, poczynając od dziś dwa seanse dziennie, zamiast jednego. I wszelkie inne zabiegi lecznicze, jakie okażą się konieczne! Proszę przestać palić! I jeszcze jeden absolutnie konieczny warunek: macie ustosunkować się do kuracji nie tylko z zaufaniem, ale także z radością! I tylko w tym wypadku możecie wrócić do zdrowia.

Kostogłotow spuścił głowę. Jeżeli spierał się z takim uporem, to dlatego że miał ukrytą myśl. Bał się, że Doncowa zaproponuje mu operację; a jednak nie zaproponowała. A co do naświetleń, i owszem, można jeszcze spróbować. Kostogłotow miał w zapasie sekretne lekarstwo — uzdrawiający korzeń z Issyk-Kulu, i liczył na to że zaszyje się w swojej zesłańczej głuszy po to, by leczyć się tym korzeniem. Tak na niego liczył, że przyjechał do szpitala właściwie tylko na wszelki wypadek.

Doncowa, widząc że zwyciężyła, oświadczyła wspaniałomyślnie:

— Dobrze, glukozy nie będziecie dostawać. Zamiast niej, inny zastrzyk — domięśniowy.

Kostogłotow uśmiechnął się.

— W takim razie ustępuję.

— I bardzo proszę — przyspieszcie wysłanie tamtego listu z Omska.

Gdy wyszedł od lekarki, pomyślał że kroczy wąską ścieżką między dwiema wiecznościami. Z jednej strony — lista tych, co „jeszcze nie umarli”, których skreśla się po kolei: z drugiej strony — wieczyste zesłanie. Wieczyste jak gwiazdy, jak galaktyka.



## PRAWO DO LECZENIA

Ale gdyby tak zaczął wypytywać o jakie zastrzyki chodzi, jaką cenę płaci się za nie, czy są konieczne i usprawiedliwione moralnie, i gdyby Ludmiła Afanasjewna zmuszona była wyjaśnić sens i możliwe następstwa nowej kuracji, Kostogłotow byłby się prawdopodobnie zbuntował do reszty.

I właśnie w owej chwili, po wyczerpaniu wszystkich swoich świetnych argumentów, Kostogłotow skapitulował.

Doncowa umyślnie użyła wybiegu, wspomniała o nowym zastrzyku, jak gdyby chodziło o małoważny drobiazg. Znużyły ją te wyjaśnienia, a przy tym wiedziała na pewno, że właśnie teraz, kiedy na chorym sprawdzono działanie rentgena w bezpośrednim zastosowaniu, przyszedł czas żeby wymierzyć nowotworowi jeszcze jeden cios, bardzo zalecony w wyniku najnowszych badań dla tej odmiany raka. Licząc na wyjątkowe powodzenie kuracji Kostogłotowa, nie mogła ugiąć się przed jego uporem, musiała zastosować wszystkie środki w jakie wierzyła. Prawda, nie dysponowała pierwotnym preparatem opuchliny, ale intuicja, dar obserwacji, doświadczenie — wszystko jej mówiło, że to właśnie ten typ raka, a nie żadna teratoma czy sarkoma.

Doncowa pracowała nad dysertacją naukową akurat na temat takiego typu raka, o takim samym ruchu przerzutów. Nie można powiedzieć, żeby pracowała systematycznie; kiedyś zaczęła pisać, przestawała, znowu wracała do pracy; jej dawny nauczyciel, doktor Orieszczenkow, i przyjaciele zapewniali ją że wyniki będą doskonałe, ale warunki w jakich żyła i pracowała były takie, że Doncowa nie widziała możliwości obronienia kiedykolwiek swojej pracy. Nie dlatego, by jej brakowało doświadczenia i rzeczowych danych; ciążyło na niej zbyt wiele zajęć, codziennie proszono ją a to do ekranu, a to do laboratorium, a to do łóżka chorego, brakło dosłownie ludzkich sił, by znaleźć czas na wybranie i opisanie rentgenowskich zdjęć, na wypisanie wszystkich formuł, na systematyzację materiału; a przecież dochodziła jeszcze konieczność przygotowania się do kandydackiego egzaminu. Można było otrzymać półroczny urlop na naukowe studia, ale jakże tu znaleźć taki dzień, w którym mogłaby powierzyć swoich chorych trzem młodym lekarkom i odejść ze szpitala na całe pół roku!

Ludmiła Afanasjewna słyszała kiedyś, że Lew Tołstoj powiedział jakoby o swoim bracie: ma wszelkie dane by zostać pisarzem, ale brak mu wad stwarzających pisarza. Widocznie jej także

brakło wad, koniecznych, by zostać kandydatem nauk. W ogóle nie zależało jej na tym by usłyszeć za sobą szept: „To Doncowa, nie zwykła lekarka — kandydatka nauk medycznych!“. Również nie zależało jej na tym, by jej artykułami — wydrukowała już kilkanaście, krótkich lecz istotnych — widniały obok nazwiska te drobne, ale posiadające swoją wagę literki. Prawda, dodatkowe pieniądze nigdy nie są zbędne. Ale już tak z tym wyszło, że nie wyszło.

Pracy naukowo-społecznej miała pełne ręce, nawet i bez dysertacji. W szpitalu odbywały się kliniczne i anatomiczne konferencje, podczas których dyskutowano błędy popełnione w diagnozie i leczeniu, wygłaszano odczyty o nowych metodach — obecność była obowiązkowa, podobnie jak zabieranie głosu w dyskusji. Zresztą, rentgenolodzy i chirurdzy i tak codziennie naradzali się między sobą, ale bez konferencji się nie obywało.

A przecież ponadto urządzano odczyty i pokazy w miejskim Naukowym Towarzystwie Rentgenologicznym. Niedawno powstało Naukowe Towarzystwo Onkologów; Doncowa nie tylko była jego członkiem, lecz objęła obowiązki sekretarza, a krzątający było tam co niemiara, jak w każdej nowopowstałej organizacji. A jeszcze Instytut Doskonalenia lekarzy. Następnie korespondencja z czasopismami, wyspecjalizowanymi w rentgenologii i onkologii, z Akademią Medycyny i z Centrum Informacyjnym. Tak więc wypadło, że chociaż cała Nauka przez wielkie N znajdowała się w Moskwie i Leningradzie, a tu jedynie praktykowano, w rzeczywistości nie było dnia bez zajęć naukowych, idących w parze z praktyką lekarską.

Tak właśnie było i dziś. Musiała zatelefonować do prezesa Towarzystwa Rentgenologicznego w sprawie odczytu, jaki miała wygłosić w niedługim czasie. Przejrzeć dwa niewielkie artykuły przed wysłaniem do czasopism. Odpowiedzieć na list, który przyszedł z Moskwy, i na drugi list ze szpitala na głębokiej prowincji, proszący o pewne wyjaśnienia.

A ponadto naczelnny chirurg, po zakończeniu wyznaczonych na dziś operacji, miał poradzić się Doncowej co do jednej z chorych z działu ginekologicznego. I wreszcie przed zamknięciem ambulatorium trzeba było zbadać chorego, który przyjechał z Taszausa: prawdopodobnie ma nowotwór w cienkim jelicie.

Prawda, przecież ona sama wyznaczyła rozmowę laborantom! Chodzi o takie zagęszczenie instalacji, by znacznie zwiększyć dzienną przepuszczalność. I należało sprawdzić, czy Rusanowowi zrobiono zastrzyk embichiny; takich chorych jak on zaczęli tu leczyć od niedawna, dotychczas wysyłano ich do Moskwy.

A ona straciła tyle czasu na bzdurne spieranie się z tym

uparciuchem Kostogłotowem — niepotrzebna pobłażliwość! Zanim skończyła się ta rozmowa, do pokoju dwa razy zaglądali technicy, zatrudnieni przy uzupełniającym montażu w pomieszczeniu emitora promieni Gamma. Chcieli udowodnić Doncowej, że konieczne jest przeprowadzenie jakichś prac, nieprzewidzianych w kosztorysie, chcieli też żeby podpisała odpowiedni papierek i przekonała głównego lekarza. Zaciągnęli ją na miejsce robót, ale przedtem pielęgniarka wręczyła jej na korytarzu depeszę z Nowoczerkaska — od Anny Zadyrko. Nie widziały się od piętnastu lat i nie prowadziły korespondencji, ale to była jej dobra, stara przyjaciółka, w 1924 roku, jeszcze przed uniwersytetem, uczyły się razem w szkole akuszerki w Saratowie. Anna depeszowała, że jej starszy syn, Wadim, biorący udział w ekspedycji geologicznej, zgłosi się dziś jeszcze albo jutro do kliniki. Anna prosiła Doncową, żeby go potraktowano przyjaźnie, a następnie szczerze doniosła jaki jest stan jego zdrowia.

Ludmiła Afanasjewna zdenerwowała się, zostawiła techników i poszła poprosić starszą pielęgniarkę, żeby łóżko zwolnione przez Azowkina zatrzymano aż do wieczora dla Wadima Zadyrki. Starsza pielęgniarka, Mita, biegała jak zawsze po całej klinice i nie tak łatwo było ją znaleźć. Wreszcie znalazła się, obiecała zarezerwować miejsce dla Wadima i natychmiast zaskoczyła Ludmiłę Afanasjewną wiadomością, że najlepsza z pielęgniarek na oddziale rentgenowskim, Olimpiada Władysławowna, została wyreklamowana przez miejskie seminarium Związku Kasjerów i to na całe dziesięć dni — i nie ma jej kim zastąpić.

Doncowa uznała to żądanie za niedopuszczalne i niemożliwe do spełnienia, i razem z Mitą poszła zdecydowanym krokiem przez amfiladę pokoi do rejestratury, żeby zatelefonować do rejonowego komitetu i wymóc zmianę decyzji. Ale telefon był zajęty najpierw po tej stronie, następnie po tamtej, potem kazano im zwrócić się do komitetu okręgowego, a tam znowu wyrażono zdziwienie z powodu ich politycznej bez troski i zapytano, czy istotnie sądzą one, że kasy związków zawodowych mogą być pozostawione na pastwę losu.

Widocznie tych facetów z rejonowego i okręgowego komitetu, ani ich krewnych, nigdy jeszcze nie ugryzł żaden nowotwór, więc sądzą, że nigdy nie ugryzie. Ludmiła Afanasjewna zatelefonowała jeszcze do towarzystwa rentgenologicznego, po czym rzuciła się z prośbą o pomoc do naczelnego lekarza, ale ten akurat naradzał się z jakimiś obcymi ludźmi na temat zaplanowanego remontu jednego skrzydła szpitalnego gmachu własnym, oszczędnym sumptem.

Tak więc sprawa pozostała nierozstrzygnięta i Doncowa posz-

ła do siebie przez gabinet rentgenowsko-diagnostyczny, gdzie dziś nie miała żadnej pracy. Tu była przerwa, zapisywano wyniki przy świetle czerwonej latarni. Zameldowano Ludmile Afanasjewnie, że zapasu błony celuloidowej wystarczy zaledwie na trzy tygodnie, a to oznacza niemal katastrofę, bo zamówienia na błonę nie są wykonywane przed upływem miesiąca. Doncowa zdała sobie sprawę, że dziś jeszcze albo jutro trzeba zetknąć ze sobą naczelnego lekarza i kierownika składnicy, i zmusić ich do wysłania zapotrzebowania, a nie było to takie łatwe.

Znowu wpadli na nią technicy montujący emitator promieni Gamma, i Doncowa podpisała potrzebny im papiererek. Wypadło zajrzeć również do rentgenowskich laborantów. Tam usiadła i zaczęła obliczać. Zgodnie z od dawna przyjętą zasadą techniczną, aparaty powinny pracować tylko jedną godzinę, a potem odpoczywać przez następne pół godziny, ale zasady tej nie przestrzegano i wszystkie aparaty pracowały przez całe dziewięć godzin bez przerwy. Ale nawet przy maksymalnym przeciążeniu i pomimo szybkości, z jaką doświadczeni laboranci zmieniali pacjentów, nie można było dać tylu seansów ile by się chciało.

Pacjenci ambulatoryjni otrzymywali po jednym seansie dziennie, a niektórzy ze stałych pacjentów nawet po dwa — jak na przykład — poczynając od dnia dzisiejszego — Kostogłotow, by przyspieszyć niszczenie nowotworów i zwiększyć przelotność łóżek. W tym celu trzeba było, w tajemnicy przed kontrolą techniczną, przejść na prąd o nasileniu dwudziestu miliamperów, zamiast przepisowych dziesięciu. Tempo wzrosło dwukrotnie, ale lampy również ulegały szybszemu zniszczeniu. I mimo wszystko nie można było dać sobie rady z czasem. Więc Ludmiła Afanasjewna przyszła, żeby przy nazwiskach pacjentów zanotować, czy wolno zamiast zabezpieczającego milimetrowego filtra miedzianego stosować półmilimetrowy, co skracało każdy seans do połowy.

Zaraz potem wyszła na drugie piętro, żeby sprawdzić jak Rusanow zareagował na zastrzyk. Stamtąd do gabinetu małoobrazkowych aparatów rentgenowskich, gdzie wznowiono naświetlanie pacjentów. Już chciała zabrać się do swoich artykułów i listów, gdy zapukała do drzwi Elizawieta Anatoliewna i grzecznie zapytała czy może wejść.

Elizawieta Anatoliewna była zwykłą „nianią”, jak nazywano w klinice sanitariuszki, ale nikt nie zdobył się na to by ją „tykać”, nazywać Lizą, albo ciocią Lizą, jak nawet młodzi lekarze zwykli się zwracać do starych sanitariuszek. Była to dobrze wychowana kobieta, w wolnych chwilach nocnych dyżurów czytała francuskie książki — a jednak z jakichś powodów pracowała jako sanita-

riuszka w przychodni onkologicznej, i to pracowała bez zarzutu. Prawda, miała przedtem pół pensji więcej, a ponadto przez pewien czas „niankom” płacono pięćdziesięcioprocentowy dodatek za narażanie się na skutki rentgena, ale obecnie dodatek ten zredukowano do piętnastu procent i mimo to Elizawieta Anatoliewna nie odchodziła.

— Ludmiła Afanasjewna! — powiedziała sanitariuszka, przeprasząc pochyłając głowę, jak to zwykły czynić osoby wyjątkowo ugrzecznione. — Bardzo mi przykro, że zawracam głowę z powodu takich drobiazgów, ale przecież po prostu rozpacz chwyt! Nie ma ścierek, w ogóle nie ma! Jakże mam sprzątać?!

Tak, to było wielkie strapienie! Ministerstwo przewidziało zaopatrzenie przychodni onkologicznej w bomby kobaltowe, aparaty „Stabilivolt” w najnowocześniejsze instrumenty do transfuzji krwi, w ostatnio wynalezione syntetyczne lekarstwa, ale dla zwykłych ścierek i szczotek miejsca w tym wspaniałym spisie nie było. Gdy interpelowano Nizamutdina Bachramowicza, odpowiadał: „Jeżeli ministerstwo nie przewidziało, to czy ja mam kupować za moje własne pieniądze?” Przez jakiś czas rwali na gałgany podniszczoną bieliznę, ale organy gospodarcze połapały się i zabezpieczyły, podejrzewając że chodzi o przywłaszczanie nowej bielizny. Wydano nakaz, by bieliznę nie nadającą się do użytku odwozić i zdawać odpowiedniej instytucji, gdzie uprawnioną komisja zajmowała się wciąganiem do aktów i fabrykacją gałganów.

— Sądzę — powiedziała Elizawieta Anatoliewna — że najlepiej będzie, jeżeli każdy z nas z rentgenowskiego oddziału zobowiąże się przynieść z domu po jednej ścierece, i w ten sposób rozwiążemy sytuację...

— No cóż — westchnęła Doncowa — zapewne, nic innego nam nie pozostaje. Zgadzam się. Proszę to zaproponować Olimpiadzie Władysławownie...

Tak! Trzeba przecież iść, ratować samą Olimpiadę Władysławownę. Co za niedorzeczność — odrywać od pracy na całe dziesięć dni najlepszą, najbardziej doświadczoną pielęgniarkę!

Poszła telefonować. I znowu bez powodzenia. Przyszła kolej na zbadanie pacjenta, który przyjechał z Taszauza. Siedziała przez chwilę w mroku, aż przyzwyczały się oczy. Potem oglądała cienkie jelito chorego, wypełnione środkiem kontrastowym, ustawiając w różnych pozycjach ekran ochronny i każąc pacjentowi obracać się na różne strony dla dokonania zdjęć. Gniosła jakiś czas brzuch chorego dłońmi w gumowych rękawiczkach, konfrontując z jego okrzykami „boli” rozpluwający się szyfr plam i cieni, aż wreszcie uznała że można postawić diagnozę.

W międzyczasie minęła przerwa obiadowa, której zresztą za-

zwyczaj nie zauważała; nawet w lecie nie wychodziła do ogrodu, by zjeść jakąś kanapkę.

Prawie natychmiast zawołano ją na konsultację na sali opatrunkowej. Naczelný chirurg najpierw opowiedział przebieg choroby, następnie odbyło się badanie pacjentki. Doncowa doszła do wniosku, że ratunek jest możliwy, ale wyłącznie poprzez zabieg wyjąławiający. Chora, zaledwie czterdziestoletnia kobieta, zaczęła płakać; pozwolono jej wyplakać się w ciągu kilku minut. „Przecież to koniec życia! Przecież mąż mnie porzuci...!”

— Nie musicie mężowi wyjaśniać, jakiego to typu operacja! — przedkładała jej Ludmiła Afanasjewna. — Jakże się dowie? Nigdy się nie dowie! Możecie łatwo przed nim ukryć.

Ludmiła Afanasjewna była od tego żeby ratować życie, właśnie życie, w tej klinice walczono zawsze o życie, mniejszych stawek nie znano, i uważała że każda ofiara jest usprawiedliwiona, jeżeli za jej cenę ratuje się życie.

Ale akurat tego dnia, mimo że tak bardzo był wypełniony pracą, coś jej przeszkadzało, nie była tak pewna siebie, odpowiedzialna i autorytatywna jak zazwyczaj.

Czy wpłynął na to wyraźnie odczuwany przez nią ból w okolicy żołądka? Były dni że go nie czuła, albo czuła słabiej — dziś dawał się bardziej we znaki. Gdyby nie była onkologiem, nie przypisałyby temu bólowi żadnego znaczenia, albo też bez strachu udałyby się na badanie. Ale zbyt dobrze znała tę pierwszą nitkę, aby nie wiedzieć do jakiego kłębka prowadzi. Zawiaćdomić krewnych, towarzyszy pracy... Ona sama wykręcała się typowo rosyjskim a nuż! A nuż fałszywy alarm! A może tylko nerwowe złudzenie?

Nie, to nie tylko to, jeszcze coś innego jej dokuczało, jakby ukryta drzazga. Niepokój był dość niewyraźny, ale uporczywy. I dopiero teraz, gdy znalazła się swoim kąciku przy stole i dotknęła teczki z napisem „O chorobach popromiennych” zauważonym przez spostrzegawczego Kosogłotowa, zrozumiała że przez cały dzień była nie tylko zdenerwowana lecz dotknięta do żywego tym sporem o prawo do leczenia.

W uszach brzmiało jej to zdanie: „Przed dwudziestu laty naświetlaliście jakiegoś innego Kostogłotowa, który błagał żeby tego nie robić, ale wyście wtedy nie wiedzieli o popromiennej chorobie!”.

A teraz przygotowywała na zebranie Towarzystwa Rentgenologów referat „Odległe następstwa promieniowania”. Prawie o tym samym co jej zarzucał Kostogłotow.

Całkiem niedawno przed rokiem, przed dwoma laty, i ona i inni rentgenolodzy — tu, w Moskwie, w Baku — zaczęli stwier-



dzać objawy w pierwszej chwili niedość wyraźne. Ten i ów wpadł na podejrzenie. Potem na konkretne przypuszczenie. Zaczęła się korespondencja, wymiana zdań, mówiono o tym — na razie nie w referatach, raczej w rozmowach kularowych. Ktoś przeczytał artykuł w amerykańskim czasopiśmie — jeden, drugi. Wynikało, że Amerykanie wpadli na ten sam trop. Nowe wypadki zdarzały się coraz częściej, coraz więcej chorych przychodziło ze skargą, aż urodziło się pojęcie „odległych następstw promieniowania”, zaczęto o nich mówić w oficjalnych wykładach, szukać jakichś decyzji.

Rzecz w tym że kuracja rentgenem, polegająca na bardzo intensywnym naświetlaniu przed dziesięciu czy piętnastu laty, i która dała wtedy pomyślne, dobre, a nawet świetne wyniki, odzywała się teraz w naświetlonych częściach anatomicznych niespodziewanymi następstwami w drastycznej formie chorobowej.

Nikt nie mógł sobie robić wyrzutów, jeżeli te odległe naświetlenia stosowane były w wypadkach złośliwych nowotworów. Tam nie było innego wyjścia, nawet z obecnego punktu widzenia: to był jedyny sposób na uratowanie chorego przed nieuniknioną śmiercią i trzeba było stosować wielkie dawki, bo małe nie odnosiły skutku. Dawny pacjent, gdy teraz przychodził ze swoim kalectwem, powinien był zrozumieć że to cena za dodatkowe lata życia i za te które mu jeszcze pozostały.

Ale przed dziesięcioma, piętnastoma i osiemnastoma laty, kiedy nawet nie istniała nazwa „choroba popromienna”, wyobrażano sobie że naświetlanie rentgenem stanowi takie bezpośrednie, absolutnie pewne, wspaniałe osiągnięcie techniki leczniczej, iż odrzucanie go, poszukiwanie innych, równoległych lub określonych dróg uważano za zacołanie myślowe i niemal sabotaż w stosunku do mas pracujących. Obawiano się natychmiastowych obrażeń tkanek i kości, ale też od razu nauczono się ich unikać. I naświetlano! Z najwyższym zapalem! Nawet nowotwory dobrotliwe. Nawet u małych dzieci.

A teraz te same dzieci, już dorosłe, młodzieńcy i dziewczyny, niekiedy zamężne, przychodzą z nieuleczalnymi obrażeniami w miejscach, które były tak gorliwie naświetlane.

Ubiegłej jesieni zjawił się piętnastoletni chłopiec, który miał po tej samej stronie rękę i nogę krótsze, oraz nierównomiernie rozrośnięte kości czaszki, na skutek czego był od góry do dołu powykręcany niczym karykatura. Przyszedł nie na oddział chorych na raka, lecz na oddział chirurgiczny, ale Ludmiła Afanasjewna dowiedziała się o tym i postarała się go obejrzyć; po zbadaniu archiwum zidentyfikowała go z dwu i półletnim chłopaczkiem, którego matka kiedyś przyniosła do szpitala; dzieciak miał liczne



obrażenia kości o nieznanym nikomu znamionach, ale żadnego złośliwego nowotworu, a poza tym fatalną przemianę materii. Chirurdzy posłali go do Doncowej — na wszelki wypadek, a nuż rentgen pomoże! Doncowa zajęła się nim i rentgen istotnie pomógł, ba, jeszcze jak! Matka płakała z radości, mówiła że nigdy nie zapomni wybawczyń.

Teraz przyszedł sam, matka już nie żyła, i nikt nie mógł mu udzielić żadnej pomocy, nikt nie był w stanie usunąć z jego kości tamtych rentgenowskich naświetleń.

Całkiem niedawno, przy końcu stycznia, zjawiła się młoda matka skarżąc się że straciła mleko. Przyszła do szpitala, odsyłali ją z jednego oddziału na drugi, aż wreszcie dotarła na onkologiczny. Doncowa jej nie pamiętała, ponieważ jednak w klinice kartki z danymi dotyczącymi chorych zachowywano przez całe lata, po długich poszukiwaniach znaleziono dane jeszcze z 1941 roku. Dzisiejsza młoda matka była wtedy małą dziewczynką. Przychodziła i z całym zaufaniem kładła się pod lampą. A miała nowotwór dobrotliwy, którego nikt by dziś nie leczył rentgenem.

Do starej, znalezionej w archiwum, kartki Doncowej pozostało jedynie dopisać, że pewne tkanki uległy atrofii i że według wszelkiego prawdopodobieństwa są to odległe następstwa promienionowania. Naturalnie ani temu kalekiemu wyrostkowi, ani tej nieszczęśliwej matce nikt nie wyjaśnił, że w dzieciństwie leczono ich nie tak jak należało. Wyjaśnienia osobiste nie przyniosłyby żadnego pożytku, a znowu ogólnie biorąc zaszkodziłyby prestiżowi służby zdrowia w szerokich masach.

Ale Ludmiła Afanasjewna czuła się źle po tych wszystkich wypadkach, męczyło ją poczucie winy, której nigdy nie można będzie odkupić ani jej zadośćuczynić. I tu właśnie, w ten zboląły nerw, trafił dziś Kostogłotow.

Skrzyżowała ramiona, objęła dłońmi barki, spacerowała od drzwi do okna, od okna do drzwi, między wyłączonymi już aparatami.

Czy wolno stawiać sprawę w taki sposób? Czy wolno kwestionować prawo lekarza do wyboru sposobu leczenia? Jeśli się tak sprawę postawi, jeśli się zacznie zgłaszać wątpliwości co do metod naukowych przyjętych w obecnej chwili, zastanawiając się czy w przyszłości będą odrzucone lub potępione, to — do diabła — nie wiadomo jak daleko się zajdzie! Przecież zdarzają się i takie wypadki, że człowiek zażył po raz pierwszy w swym życiu aspirynę i umarł! W ogóle nie będzie można leczyć! W ogóle nie będzie można dbać o ludzkie dobro, o codzienne zdobycze.

Zapewne, istnieje pod tym względem jakieś ogólne prawo:

każde działanie pociąga za sobą i jedno i drugie: zarówno dobro jak zło. Tyle że w jednym wypadku jest więcej dobra, a w drugim — więcej zła.

A jednak chociaż Doncowa wysuwała przed samą sobą wszystkie możliwe argumenty, chociaż doskonale wiedziała że w jej praktyce nieszczęśliwe wypadki, wynikłe czy to z mylnej diagnozy czy ze zbyt późnego zastosowania zaradczych środków albo złego ich użycia, nie stanowią nawet dwóch procent, a ci wszyscy wyleczeni przez nią, uratowani i przywrócenii życiu młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, chodzą po roli, po trawie, po asfalcie, latają w powietrzu, zbierają bawełnę, wyłazą na słupy telegraficzne, zamiatają ulice, stoją za kontuarami, siedzą w gabinetach i herbarciarniach, pełnią służbę wojskową i marynarską, liczą się na tysiące, nie zapomnieli o niej i nie zapomną, chociaż to wszystko była prawda, Doncowa dobrze wiedziała, że to raczej ona ich zapomni, zapomni swoje największe osiągnięcia, swoje najtrudniejsze zwycięstwa, i aż do śmierci będzie pamiętać o tych nielicznych, o tych kilku nieborakach, którzy zostali zmiażdżeni pod ciężkimi kołami losu.

Taką osobliwą miała pamięć.

Nie, dziś już nie może zająć się przygotowaniem do odczytu, a zresztą dzień chyli się ku schyłkowi. A może zabrać teczkę do domu? Najpewniej bez żadnego skutku, już wiele razy brała i wzięła bez żadnych wyników.

Musi jeszcze skończyć czytanie artykułów, zwrócić „Radiologię medyczną”. I odpowiedzieć na pytania tego felczera z Tachta-Kupyru.

Za oknem było pochmurno, w pokoju pociemniało. Doncowa zapaliła stołową lampę i usiadła. Zajrzała jedna z ordynariuszek, już bez białego kitla.

— Ludmiła Afanasjewna, jeszcze nie idziecie? — Wiera Ganhart weszła do pokoju. — Nie idziecie?

— Jak tam Rusanow?

— Śpi. Wymiotów nie było. Temperatura podwyższona. — Wiera Korniliewna zdjęła roboczy szlafrok, na który nakładała kitel, i została w sukience z szarozielonkawej tafty, zbyt drogiej jak na pracę w szpitalu.

— Nie szkoda niszczyć? — Doncowa pokazała na sukienkę.

— A po cóż miałabym oszczędzać? Po co? Na co? — Ganhart chciała się uśmiechnąć, ale uśmiech wypadł jej raczej żałośnie.

— Doskonale, Wieroczka, jeżeli tak to następnym razem damy Rusanowowi całą porcję — dziesięć milimetrów. — Swoim

zwyczajem Ludmiła Afanasjewna powiedziała to tak szybko, jakby bała się stracić czas, i już pisała list do felczera.

— A jak Kostogłotow? — cicho zapytała Ganhart już przy drzwiach.

— Była bitwa — uśmiechnęła się Ludmiła Afanasjewna — ale został pokonany i poddał się! — Widocznie od tego uśmiechu znowu poczuła ostry ból koło żołądka. Nawet chciała od razu poskarżyć się na te bóle Wierze, niech dowie się pierwsza; podniosła na nią oczy i ujrzała stojącą w półmroku pokoju, wyglądającą tak jakby wybierała się do teatru — w wizytowej sukience, w pantofelkach na wysokich obcasach.

Zadecydowała — powie następnym razem.

Wszyscy poszli — Doncowa została. Nawet nadprogramowe pół godziny, spędzone w tych ścianach codziennie poddawanych promieniowaniu, było dla niej szkodliwe. Za każdym razem, gdy przychodził kolejny urlop jej cera miała szarą barwę, ilość leukocytów — stale zmniejszająca się w ciągu roku — spadała do granicy dwóch tysięcy, a dopuszczenie do takiego stanu uważane było za zbrodnię nawet w wypadku któregośkolwiek chorego. Według przepisów każdy rentgonolog miał badać najwyżej trzy żołądki w ciągu doby, a ona badała dziennie dziesięć, a podczas wojny nawet do dwudziestu pięciu. Przed każdym urlopem powinno by się jej na dobrą sprawę robić transfuzję krwi. Zaś urlop nie wystarczał, był nadrobić straty, poniesione w ciągu całego roku.

Ale automatyzm przyzwyczajenia do pracy panował nad wszystkim. Każdego wieczora stwierdzała z przykrością, że znowu nie zdążyła zrobić wszystkiego. Zamyśliła się nad fatalnym wypadkiem Sibgatowa i zapisała, że ma poradzić się doktora Orieszczenkowa, gdy się z nim spotka na zebraniu w Towarzystwie. Jak ona obecnie swoje młode lekarki, tak on kiedyś, jeszcze przed wojną, prowadził ją za rękę, ostrożnie kierował i wskazywał właściwy widnokrąg, on, doktor Orieszczenkow.

— Ludoczka — uprzedzał — nigdy nie próbujcie specjalizować się w wąskim zakresie. To dobre w fabryce rybnych konserw! Niech cały świat ciąży ku specjalizacji, a wy trzymajcie się swego — jedną rączką diagnostyki rentgenowskiej, drugą rączką — rentgenowskiej terapii. Choćbyście mieli zająć ostatnie miejsce, ale właśnie takie!

Orieszczenkow żył i w dalszym ciągu mieszkał w tym samym mieście.

Po zgaszeniu lampy jeszcze zawróciła od drzwi, żeby zanoto-

wać rozkład zajęć na jutro. Włożyła niebieskie, dobrze podniszczone paletko i chciała zajrzeć do gabinetu naczelnego doktora, ale gabinet był już zamknięty. Nareszcie zesza ze stopni ganka, minęła topole, szła drożkami szpitalnego parku, ale wszystkie jej myśli pozostały na terenie jej pracy i w ogóle nie próbowała wydstać się poza ten zasięg. Pogoda była nieszczerólna — Doncowa nawet nie zauważyła, czy dobra czy zła. A przecieź zmierzch jeszcze nie zapadł. W alejach trafiało się sporo nieznanomych osób, ale Ludmiła Afanasjewna była poza typowo kobiecą ciekawością — nie zwracała uwagi jak kto jest ubrany, co ma na głowie, co na nogach.

Szła ze ściągniętymi brwiami i na wszystkich spotkanych ludzi spoglądała ostrym wzrokiem, jak gdyby starała się zlokalizować złośliwe nowotwory, które jeszcze nie dały o sobie znać, ale mogą objawić się chociażby jutro.

Tak idąc, przeszła obok herbaciarni znajdującej się jeszcze na szpitalnym terenie, wyminęła uzbeckiego chłopaka, który tu stałe handlował migdałami w małych torebkach z gazetowego papieru, i dotarła do głównej bramy.

Mogłoby się komuś zdawać, że po przejściu tej bramy, za którą zawsze czujna, pyskata tłuściocha stróżka wypuszczała jedynie zdrowych, zaś pacjentów zawracała głośnym krzykiem — zdawałoby się, że po przejściu tej bramy Doncowa powinna się przenieść z atmosfery swego szpitalnego, lekarskiego życia do życia osobistego i rodzinnego. Jednakże nie posiadała tego równomiernego rozdziału między pracą i domem. W szpitalu Doncowa spędzała najlepszą, najbardziej jej odpowiadającą część codziennego życia i długo jeszcze po przejściu szpitalnej bramy, a także raniem przed udaniem się do kliniki, myśli łączące się z jej lekarską pracą wirowały jak pszczoły dokoła jej głowy.

Wrzuciła do skrzynki list do Tachta-Kupyru. Przeszła przez ulicę na plac, gdzie linia tramwajowa zataczała koło. Dzwoniąc, nadjechał właściwy numer. Pasażerowie tłumnie rzucili się do przednich i tylnych drzwi. Ludmiła Afanasjewna zdołała zająć miejsce siedzące i to była pierwsza czynność, która z wyroczeni ludzkich losów zmieniła ją w zwykłą pasażerkę tramwaju, popychaną ze wszystkich stron.

Ale i teraz do wtóru turkotania tramwaju na starej, jednotorowej linii, podczas długich postojów na przystankach, Ludmiła Afanasjewna patrząc w okno myślała o przerzutach na płuca u Mursalimowa i o możliwych następstwach zastrzyków Rusanowa. Wrażenie jakie wywarły jego obraźliwa surowość i groźby, rzucone podczas wizytacji, zatarło się w ciągu dnia, w konse-

kwencji innych wrażeń, ale teraz odnowiło się i jak nieprzyjemny osad zmaciło jej samopoczucie na resztę wieczoru.

Podobnie jak Ludmiła Afanasjewna, wiele kobiet w tramwaju miało ze sobą nie zwykle damskie torebki, lecz torby wielkości sporego kuferka, w którym można zmieścić żywego prosiaka albo cztery bochny chleba. Tramwaj zatrzymywał się na przystankach, wystawy sklepowe przelatywały za oknami i za każdym razem Ludmiła Afanasjewna coraz bardziej poddawała się myślom o domu i gospodarstwie. Wszystko trzymało się na niej, wyłącznie na jej głowie, bo czyż można tych rzeczy wymagać od mężczyzn! Miała takiego męża i syna, że kiedy wyjeżdżała do Moskwy na konferencje, nawet naczyń nie zmywali przez cały tydzień; nie dlatego, żeby ją obarczyć tym zajęciem; po prostu nie widzieli w jego codziennej monotonii żadnego sensu.

Ludmiła Afanasjewna miała również córkę, już zamężną i z małym dzieckiem, a właściwie zanosilo się na to, że przestanie być mężatką — rozwód wisiał w powietrzu. I dlatego ta myśl o córce, pierwsza w ciągu całego dnia, nie sprawiła Ludmile Afanasjewnie żadnej radości.

Tego dnia był piątek. W niedzielę Ludmiła Afanasjewna koniecznie musiała urządzić generalne pranie, uzbierało się zbyt wiele brudnej bielizny. To znaczy, że obiad na pierwszą połowę tygodnia (gotowała obiady dwa razy w tygodniu) trzeba było bezwarunkowo ugotować w sobotę wieczorem. A więc bieliznę musi włożyć do wody dziś wieczorem, zamiast położyć się do łóżka. A teraz, choć już późna godzina, trzeba zajrzeć do głównej hali targowej — tam nawet późnym wieczorem zawsze się kogoś zastanie.

Wysiadła na przystanku, na którym trzeba było łapać połączenie z innym tramwajem, ale rzuciła wzrokiem na pobliski, cały oszklony, magazyn „Gastronomia” i postanowiła tam wejść. W jatkach było pusto, sprzedawca już poszedł. W dziale rybnym nie było nic ciekawego — śledzie, suszone flądry, konserwy. Przeszła wzdłuż malowniczych piramid różnych wódek, spojrzała na okrągłe, brązowe sery, przypominające kolorem kiełbasę, i udała się do działu kolonialnego; kupi dwie butelki słonecznikowego oleju (przedtem był tylko bawełniany) i koncentrat z jęczmiennej kaszy. Przecięła prawie bezludną halę, zapłaciła w kasie, wróciła do kolonialnego.

Ale podczas gdy stała czekając za dwoma kupującymi, nagle podniósł się jakiś ozywiony hałas, ludzie zaczęli tłumnie napływać z ulicy i skupiać się przy kasie i w dziale gastronomicznym. Ludmiła Afanasjewna drgnęła i nie czekając aż ją załatwią w kolonialnym, szybko pobiegła zająć miejsce w obydwu kolejkach.

Pod szkłem kontuaru była pustka, ale tłoczące się kobiety zapewniły, że będą wydawać szynkową kiełbasę po kilogramie na osobę.

Tak pomyślnie trafiła, że później opłacało się zająć i tamtą kolejkę po raz drugi.

## 8.

### CZYM LUDZIE ŻYJĄ?

Gdyby nie ten uchwyt raka na szyi, Efrema Poddujew byłby teraz mężczyzną w pełni sił. Jeszcze nie miał pięćdziesiątki, był silny w ramionach i nogach, zdrow na umyśle. Należał do tych, o których ludzie zwykli mówić, że mają podwójny stos pacierzowy: po ośmiu godzinach pracy mógł odpracować następne osiem godzin, nie zmniejszając tempa. W młodości, spędzonej na rzece Kamie, nosił worki po sześć pudów każdy i siły tej ubyłoby mu niewiele; jeszcze i dziś nie przestraszyłby się betoniarki, gdyby ją trzeba było wraz z robotnikami wytoczyć na pomost. Zwiedził liczne kraje, odwalił mnóstwo różnej roboty, tam buczył, tu kopał, gdzie indziej prowiantował albo budował, nigdy nie poniżył się do obliczania swoich zarobków poniżej dziesięciu rubli, od pół sztofa nie tracił równowagi, drugiego sztofa pić nie musiał — i takie miał samopoczucie w sobie samym i dokoła siebie, że dla Efrema Poddujewa nie ma żadnego kresu ani granicy i że zawsze pozostanie taki, jakim jest. Choć taka w nim krzepa, na front nigdy nie trafił — wyspecjalizowany zakład przemysłowy go wyreklamował, żadnej rany nie odniósł, w polowym szpitalu nie leżał. I nigdy poważnie nie chorował, ani na grypę gdy przyszła epidemia, ani nawet nie zaznał bólu zębów. Dopiero przed półtora rokiem zachorował i od razu musiał być rak.

Teraz każdemu choremu kropił bez ogródek: — R a k ! — a przedtem przez długi czas oszukiwał sam siebie, udawał że nic, że głupstwo, i dopóki wytrzymawał ból, zwlekał, nie szedł do lekarzy. A kiedy już poszedł i zaczęła się wędrówka od jednej przychodni do drugiej i wreszcie trafił na oddział chorych na raka, gdzie wszystkim pacjentom mówiono z zasady że nie mają raka. Efrema nie zdobył się na rozeznanie prawdy, nie zawierzył wrodzonej smykałce, wziął własne życzenie za rzeczywistość: — To nie rak i sprawa załatwiona!

Choroba wybrała najpierw język Efrema — taki sprawny, zręczny, niewidoczny na oko, a w życiu tak bardzo pożyteczny



język. W ciągu tych prawie pięćdziesięciu lat wyćwiczył się ten jego język niewąsko. Przy jego pomocy Efrem zdobywał zapłatę tam, gdzie na nią nie zarobił. Przysięgał że zrobił to, czego nie robił. Rozbijał się na rzecz tego, w co nie wierzył. Skakał do oczu zwierzchnikom. Łoił grubym słowem robotników. I kłął w mac w najbardziej zawły sposób, nie oszczędzając nic świętego, i rozkoszował się wymyślnymi przekleństwami, niczym słowik zasłuchany w swoje trele i rulady. Również kawały wybierał tłuste i na dupne tematy, ale nigdy polityczne. Śpiewał nadwożańskie pieśni. Licznym babom — a na ziemi tego nasienia nie brakuje! — łągał że nie jest żonaty, że nie ma dzieci, że wróci po tygodniu i zaczną razem budować chałupę. „A bodaj ci jęzor odjęło!” — przeklinała go jedna z przelotnych teściowych. Ale jęzor Efremowi odejmowało jedynie w wyjątkowych wypadkach wielkiego pijaństwa.

I nagle ten język zaczął grubieć. Zaczepiał o zęby. Nie mieścił się pod miękkiem, wilgotnym podniebieniem.

Ale Efrem tylko się otrząsał i szczyrzył zęby do koleżków:

— Poddujew niczego w świecie się nie boi!

A ci powiadali:

— Ta-aak, Poddujew — ten ma siłę woli!

To nie była siła woli, to był zwielokrotniony strach. To strach powodował, że wszystkimi siłami trzymał się pracy, ciągle odkładając operację. Poddujew miał za sobą doświadczenie, które go przygotowało do życia, ale nie do umierania. Przejście od życia do śmierci — to było ponad jego siły i rozumienie, więc myśl o nim odpędzał od siebie gorliwą działalnością i pracą, codziennie, jakby się nic nie stało, szedł do roboty i wysłuchiwał pochwał pod adresem swej potężnej woli.

Nie zgodził się na operację, zaczęli go leczyć nakłuciami: wbijali mu w język igły, jak grzesznikowi w piekle, i tak przez kilka dni. Efrem żywił nadzieję, że na tym się skończy, ale gdzie tam! Język puchł coraz bardziej. I wreszcie, już nie czując owej siły woli, Efrem opadł swoją byczą głową na biały stół w przychodni i zgodził się na operację.

Operował Lew Leonidowicz i zabieg wypadł pierwszorzędnie. Zgodnie z obietnicą chirurga, język uległ skróceniu i zwężeniu, poruszał się swobodnie i Efrem znowu mówił bez trudu, choć może mniej wyraźnie niż przedtem. Jeszcze zrobili mu kilka ukłuć, zwolnili ze szpitala, a Lew Leonidowicz powiedział mu na pożegnanie:

— Przyjedź za trzy miesiące, zrobimy ci jeszcze jedną operację, na szyi. Ale tym razem to już będzie łatwa operacja.

Na takie „ł a t w e” Poddujew dosyć się napatrzył w szpitalu



i nie zgłosił się w terminie. Wysyłano do niego wezwania pocztą — w ogóle nie odpowiadał. Zresztą przyzwyczał się nie siedzieć długo na tym samym miejscu, więc i teraz bez trudu mógłby wywiać choćby na Kołymę czy do Chakasji. Nigdzie go nie mógł utrzymać ani dobytek, ani mieszkanie, ani rodzina — zbyt lubił swobodne życie i byle mieć pieniądze w kieszeni. Jednakże powstrzymał się, nigdzie nie wywiął. A tymczasem z kliniki go zawiadomiono: jeżeli nie przyjedziesz z własnej woli, sprowadzimy przez milicję. Taka to władza rakowej przychodni nawet nad tymi, którzy wcale nie są chorzy na raka.

Wreszcie pojechał. Naturalnie mógłby się nie zgodzić na operację, ale Lew Nikołajewicz obmacywał szyję i wymyślał mu gniewnie za zwłokę. Potem pokrajali mu szyję z prawej i lewej strony, zupełnie tak jak się krają nożami zawodowi złodzieje, długi czas leżał mocno obandażowany, i znowu go zwolniono, kiwając głowami...

Ale w swobodnym życiu nie znalazł już dawnego smaku: przestały mu się podobać i praca i hulanki, i popijanie i kurzenie. Szyja nie stawała się bardziej miękka, przeciwnie — nabrzękała, rwało w niej i kłuło, a nawet trzaskało w głowie. Ból podnosił się szyją ku górze i już niemal sięgał uszu. I kiedy przed miesiącem wrócił do tego samego starego gmachu z szarej cegły, gdy wszedł na ten sam ganek między topolami, wypolerowany tysiącami stóp, gdy chirurdzy porwali go jak swoją własność, i znowu miał na sobie szpitalny pasiak na tej samej sali obok pokoju operacyjnego, o oknach wychodzących na płot z tyłu gmachu, gdy zaczął czekać na operację, drugą jeśli chodziło o nieszczęsną szyję a w ogólności trzecią — wtedy Efreem Poddujew nie mógł się już więcej okłamywać i nie okłamywał. Zdał sobie sprawę, że jest chory na raka.

Więc teraz, żeby wszyscy byli równi, zaczął przekonywać swoich sąsiadów, że oni także mają raka. Że nigdy stąd na stałe nie wyjdą. Że wszyscy tu powrócą. Nie to żeby znajdował w tym przyjemność, gdy dusił i słuchał jak duszony stęka, ale to, żeby nie kłamali, żeby poznali prawdę.

Zrobili mu trzecią operację na szyi, krając jeszcze głębiej i boleśniej. Ale przy opatrunkach lekarze jakoś nie mieli weselszych min, coś tam pomrukiwali do siebie nie po rosyjsku i bandażowali coraz mocniej i mocniej, aż głowa zrosła się całkowicie z tułowiem. Trzaskało w niej coraz mocniej, coraz częściej, prawie raz po raz.

A więc cóż tu było udawać? Skoro się już przyznało że to rak, trzeba było przyjąć do wiadomości również dalsze kon-

sekwencje, stwierdzić to od czego Efrem odwracał się i uciekał przez całe dwa lata: przyszedł na niego czas, musi zdychać. Właśnie tak: nie umierać, tylko zdychać. Gdy naigrywał się z siebie samego, jakoś stawało się łatwiej.

To łatwo powiedzieć, ale jak to sobie wyobrazić, jak przyjąć myślą i sercem? Jakże to się może stać z nim, z Efremem? Jak to się odbędzie? Jak należy się zachowywać?

Chował się przed tą myślą, dopóki pracował i obcował w pracy z ludźmi. Ale teraz ta sprawa przyszła, chwyciła go twarzą w twarz i przydusiła bandażem na szyi.

Żaden z sąsiadów nie mógł mu przyjść z pomocą — ani tu na sali, ani na korytarzu, ani na pierwszym czy drugim piętrze. Gadało się o wszystkim, tylko nie o tych sprawach.

To wtedy zaczął się miotać od okna do drzwi i z powrotem, po pięć, po sześć godzin codziennie. Jak gdyby te spacerowały mu pomóc w czymkolwiek!

Wszędzie gdzie tylko Efrem przebywał i mieszkał (a nie tylko wielkie miasta, wszystkie prowincje objeżdżył), i on i inni dobrze wiedzieli czego należy wymagać od człowieka. Wymaga się od niego albo dobrego fachu, albo życiowego sprytu. Jedno i drugie daje pieniądze. A kiedy ludzie zawierają znajomość, to najpierw nazwisko a zaraz potem: w jakim fachu robisz, ile zarabiasz. I jeżeli ktoś zarabia mało, znaczy to że albo głupi albo ofiara losu, a w ogóle — nie człowiek, człowieczek.

Takie to dobrze pojęte życie oglądał Poddujew przez te wszystkie lata, na Workucie i nad Jenisejem, na Dalekim Wschodzie i w Środkowej Azji. Ludzie zarabiali duże pieniądze, a potem je wydawali — czy to w sobotnie wieczory, czy też na urlopie — wszystko od razu.

I wszystko szło gładko, wszystko było w porządku, dopóki któryś nie zapadł na raka albo na jakąś inną śmiertelną chorobę. A jak już zachorował, to na nic się nie zdał najlepszy fach, ani spryt, posada i zarobki; człowiek stawał się bezradny, a że do tego jeszcze okłamywał samego siebie aż do końca że to nie rak, wypadało — słabeusz i czegoś w życiu nie dopatrywał.

Ale czego?

Od wczesnych lat mówiono Efremowi, a i on sam widział to przypatrując się sobie i swoim kolegom, że młodzi są mądrzejsi od starych. Starzy przez całe swoje życie nawet do miasta nie jeździli, bali się, a Efrem jak miał trzynaście lat to już jeździł konno, strzelał z nagana, cały kraj na wszystkie strony nawymacał niczym chętną babę. Ale teraz, spacerując po sali szpitalnej, przypominał sobie jak ci starzy z jego miejscowości, nad rzeką Kamą, umierali — czy to Rosjanie, czy Tatarzy, czy Wotiacy.

Nie wysilali się, nie protestowali, nie chwalili się że nie umrą — wszyscy przyjmowali śmierć spokojnie. Nie tylko nie zwlekali z rozrachunkiem z życia, lecz przygotowywali się powoli, na czas, wyznaczali — dla kogo kobyła, dla kogo żrebak, buty czy siermięga. Odchodzili z ulgą, jak gdyby przenosili się z jednej chałupy do drugiej. I żadnego z nich nie można było nastraszyć rakiem. A zresztą nikt z nich na raka nie chorował.

A tu w klinice już się taki przyssał do gumowej poduszki z tlenem, ślepiami ledwie obraca, a jęzor puszcza w ruch: — Nie umrę! I w ogóle nie jestem chory na raka!

Niczym kwoki. Każda dostanie nożem po gardle, a nic, ciągle gdaczą i żarcie wygrzebują. Zabiorą jedną na zarżnięcie, a pozostałe grzebią nadal.

Dzień po dniu Poddujew spacerował po starej podłodze, deski się pod nim ugiwały i ani rusz nie mógł wymyślić, jak należy szykować się do śmierci. Nie wiedział jak to wykombinować. Nie było nikogo, kto by mu to wyjaśnił. A już najmniej spodziewał się znaleźć dobrą radę w jakiejś książce.

Efrem ukończył kiedyś cztery klasy, potem jakiś budowlany kurs, ale chętki do czytania nigdy nie miał. Radio wystarczało zamiast dzienników, zaś książki uważał za zbędne w codziennym życiu. W tych dalekich, dość dzikich stronach, gdzie się zazwyczaj obracał, bo płacili więcej, rzadko spotykał amatorów lektury. Poddujew czytywał z konieczności broszury omawiające doświadczenia robotników budowlanych, opisy mechanicznych wyciągów, instrukcje służbowe, rozkazy i „Skrócony kurs” aż do czwartego rozdziału. Wydawanie pieniędzy na książki albo pchanie się po nie do biblioteki uważał po prostu za śmieszny rzecz. Jeżeli w dłuższej podróży, albo na przymusowym postoju, trafiła do rąk jakaś książeczka, czytał i po dwudziestu-trzydziestu stronach rzucał w kąt, bo nie znajdował w niej niczego co by rozsądnie orientowało w życiu.

Tu w szpitalu, na szafkach i na oknach, zawsze leżały książki, ale Efrem ich nie tykał. I tej w niebieskiej okładce, z literami tłoczonymi złotem, także by nie przeczytał, gdyby nie Kostogłotow, który mu ją wsadził tamtego pustego, nudnego wieczora. Efrem podłożył pod plecy dwie poduszki i zaczął przeglądać. Gdyby to była powieść, też na pewno by nie przeczytał. Ale były to niewielkie opowiadania, których sens wyjaśniał się po przeczytaniu pięciu-sześciu stron, a niekiedy nawet po jednej stronie. W spisie treści było tych tytułów jak drobnego śrutu. Poddujew zaczął je czytać i od razu go tknęło, że to w jego sprawach. „Praca, śmierć i choroba”, „Najważniejsze prawo”, „Źródło”,

„Jeśli zaproszysz ogień, już go nie zagasisz”, „Trzech starców”, „Dopóki jest światłość, trwajcie w światłości”.

Efrem poszukał najkrótszego opowiadania. Przeczytał. Nabrał ochoty, żeby je przemyśleć. Przeczytał opowiadanko jeszcze raz. Znowu się nad nim zastanowił. Tak samo było i z drugim opowiadaniem.

Właśnie wtedy zgaszono światło. Żeby książki nikt nie ściągnął i nie trzeba jej było szukać rano, Efrem schował ją pod materac. W mroku opowiedział jeszcze Achmadżanowi starą bajkę o tym, jak Allah dzielił lata życia i że człowiek otrzymał tyle niepotrzebnych lat... Zresztą sam w to nie wierzył: nie ma niepotrzebnych, zbędnych lat, byle by tylko zdrowie... I przed uśnięciem znowu myślał o przeczytanych opowiadaniach.

W głowie trzaskało raz po raz i przeszkadzało w rozmyślaniu. Piątkowy ranek był pochmurny i, jak każdy poranek w szpitalu, dręczący. Każdy dzień na tej sali rozpoczynały ponure gadki Efrema. Jeśli ktokolwiek wypowiadał jakąś nadzieję czy życzenie, Efram natychmiast oblewał go zimną wodą i straszył. Ale tego dnia nie miał najmniejszej chęci na wygłaszanie przemówień, ułożył się możliwie najwygodniej i zaczął czytać tę spokojną, zrównoważoną książkę.

Myć się tak jakby nie potrzebował, bo bandaże dochodziły prawie do połowy twarzy; śniadanie można było zjeść w łóżku; pacjenci należący do chirurgicznego działu nie mieli dziś wizytacji. Powoli przerzucając szorstkie, dość grube kartki książki, Efram milczał, czytał i myślał. Odbyła się wizytacja pacjentów poddawanych naświetlaniu, trochę powarczał na doktorkę facet w złocistych okularach, potem stchórzył i zgodził się na zastrzyk; trochę rozrabiał Kostogłotow, wychodził, wracał: zwolniony Azowkin pożegnał się i poszedł zgięty, trzymając się za brzuch; wzywano innych pacjentów — na rentgena, na transfuzję. Podujew nie wyszedł na swój zwykły spacer między łózkami, czytał i milczał. Rozmawiał z książką, interesującą, niepodobną do nikogo.

Przeżył całe swoje życie, a taka poważna książka jakoś mu do rąk nie trafiła.

Ale wątpliwe czy w ogóle zacząłby ją czytać, gdyby nie siedział na tym szpitalnym łóżku, gdy nie ta szyja i to trzaskanie w głowie. Wątpliwe czy te opowiadanka mogłyby mu zaimponować, gdyby był zdrow.

Już wczoraj Efrem zwrócił uwagę na tytuł „Czym ludzie żyją?”. Tak bardzo pasowało do jego rozmyślań, jakby on sam ten tytuł ułożył. Wydeptując podłogi szpitala, o tym właśnie

myślał w ciągu ostatnich tygodni, choć nie potrafił jasno sformułować — o tym właśnie: „Czym ludzie żyją?”.

Opowiadanie było krótkie, od pierwszych słów czytało się łatwo, docierało do serca łagodnie i po prostu.

„Pewien szewc mieszkał z żoną i dziećmi w chłopskim domu. Własnej chałupy ani ziemi nie miał, zarabiał szewską pracą na siebie i na rodzinę. Chleb kosztował drogo, robota źle płatna, co zarobił to przejadł. Miał szewc jeden kozuch, z żoną na zmianę, ale i ten zdarł się im do szczętu...”.

Wszystko było łatwe i zrozumiałe, a dalej jeszcze lepiej: i ten kościsty Siemion i chudzielec czeladnik, a znowu ów dziedzic:

„... człowiek jakby nie z tego świata: pysk czerwony, nalany, kark jak u byka, cały jakby z żelaza... Od życia, jakie mają, jakże im innymi być, takiej krzepie i sama śmierć nie da rady...”.

Efrem widywał takich ludzi niemało: takim był Karaszczuk, dyrektor węglowego trustu, i znowu Antonow, Czeczew, Kuchtikow... A i czy sam Efrem nie zaczynał się do nich upodabniać?

Powolutku — wyglądało, że sylabizuje. — Poddujew przeczytał opowiadanie do końca.

Nadchodził czas obiadowy.

Efrem nie miał chęci ani spacerować, ani rozmawiać. Jak gdyby coś w niego się wdarło i wszystko wykręciło podszewką na wierzch. Gdzie przedtem były oczy — teraz oczu już nie ma. Gdzie przedtem usta — także i ust już nie ma.

Szpital zheblował z Efrema pierwsze grube wióry. A teraz można go już heblować ile się chce!

Obłożył się poduszkami, podciągnął kolana, trzymał na nich zamkniętą książkę i patrzył na pustą białą ścianę. Dzień był szary, bez światła.

Na łóżku naprzeciwko leżał i spał po otrzymanym zastrzyku kuracjusz o białym, wyhodowanym pysku. Okryto go szczelnie kocami, żeby nie dostał dreszczy.

Obok Achmadżan grał z Sibgatowem w warcaby. Ich ojczyste języki dość różniły się między sobą, więc rozmawiali po rosyjsku. Sibgatow starał się siedzieć tak, żeby nie zginać i nie krzywić bolącego krzyża. Był jeszcze młody, ale włosy na ciemieniu miał już zupełnie rzadkie.

Za to Efrem jednego włoska nie stracił, bujna czupryna jak brunatna gęstwa — grzebień nie wejdzie! I po dziś dzień zachował całą swoją krzepę do bab. A tak wypada, że już na nic mu się to nie zdało.

Ile Efrem w życiu tych bab naobłapiał — wyobrazić sobie nie podobna. Na początku liczył — żony osobno, kochance osobno — potem już się nie fatygował. Pierwsza żona miała na

imię Amina — białolica Tatarka z JeŃabugi, niezwykle delikatna: skóra na twarzy taka, że ledwie pazurem dotkniesz, już krew wytryska! A do tego niepokorna — odeszła od niego razem z córeczką. Od owego czasu Efrem do takiej sromoty więcej nie dopuszczał, pierwszy rzucał kolejne baby.

Życie prowadził koczownicze, swobodne: tu ochotniczy zaciąg, tam kontrakt — nieporęcznie byłoby włączyć się z rodziną. A nową gospozię zawsze na każdym miejscu znajdował. Co do innych, latawic, spotkanych w podróży, związanych i niezwiązanych — nawet o imię nie zawsze pytał, tyle że płacił zgodnie z umową. Pomieszały mu się teraz w pamięci i te imiona, i okoliczności i twarze, a jeżeli pamiętał, to tylko wtedy, gdy zdarzyło się coś osobliwego. Tak na przykład pozostała mu w pamięci Jewdoszka, żona inżyniera; to było w czasie wojny, na peronie stacji w Ałma-Ata: stała pod oknem jego wagonu, tyłkiem kręciła i prosiła się. Jechali całym personelem do Ili, na nowy teren budowy, i odprowadzało ich wielu ludzi z trustu. Między nimi mąż Jewdoszki, zmurszały dziadyga, stał opodal i coś tam komuś wykladał. Lokomotywa już szarpnęła pierwszy raz.

— No co? — krzyknął Efrem, wyciągając ręce. — Jeżeli kochasz, to włącz i jazda! — Uchwyciła się jego ręk, wspięła się, włączyła do wagonu przez okno na oczach całego trustu i własnego męża, i pojechała. Spędzili ze sobą jakieś dwa tygodnie. I to właśnie dobrze zapamiętał — jak wciągał Jewdoszkę do wagonu.

Przekonał się też Efrem w ciągu swego życia, że w babach więcej jest tego przywiązania. Zdobyć babę — łatwo, a pozbyć się — dużo trudniej. Wszędzie gadają o „równości”, więc Efrem nigdy się na ten temat nie spierał, ale w wewnętrznym przekonaniu nie uważał kobiet za ludzkie osoby w całym tego słowa znaczeniu, z wyjątkiem swojej pierwszej żony, Aminy. I byłby bardzo zdziwiony, gdyby inny chłop zaczął mu poważnie udowadniać, że niewłaściwie postępuje z babami.

A tu z tej dziwnej książki wynikało, że Efrem jest winowajcą we wszystkim. Wcześniej niż zazwyczaj na sali zapalono światło.

Obudził się mydłek z guzem pod szczęką, wystawił łusą łepetynę spod kołdry i natychmiast włożył okulary, w których wyglądał jak profesor. Bez zwłoki oznajmił wszystkim radośnie, że po zastrzyku czuje się nieźle, myślał że będzie znacznie gorzej. I zaraz do szafki — po kurczaka.

Efrem już dawno zauważył, że takim cherlakom nic nie smakuje tylko kura. Nawet na baranię kręcą nosem: „niestrawne mięso”. Efrem wolałby patrzeć na kogo innego, ale w tym celu trzeba by przekręcić się cały tułowiem. A przed sobą miał tylko tego mydłka, który akurat ogryzał kurzą kosteczkę.



Poddujew jęknął i ostrożnie obrócił się na prawą stronę.

— No więc tak — oświadczył na całą salę — przeczytałem opowiadanie. Nazywa się — „Czym ludzie żyją?” — Efrem uśmiechnął się. — Takie oto pytanie! Kto odpowie — czym ludzie żyją?

Sibgatow i Achmadżan podnieśli głowy znad szachownicy. Achmadżan, który był rekonwalescentem, odpowiedział wesołym, pewnym siebie głosem:

— Strawnym i oporządzeniem.

Przed pójściem do wojska mieszkał wyłącznie w swoim aule i mówił tylko po uzbecku. Rosyjskiej mowy i wszelkich pojęć nauczył się w wojsku. Służba wojskowa nauczyła go zarazem dyscypliny i tupetu.

— Kto jeszcze co powie? — schrypniętym głosem pytał Poddujew.

Tajemnica tej książki, tak niespodziewana dla niego, nie była łatwa do wykrycia i dla innych. — Kto jeszcze? Czym ludzie żyją?

Stary Mursalimow może odpowiedziałby lepiej od kogokolwiek, ale nie rozumiał po rosyjsku. Ale właśnie przyszedł zrobić mu zastrzyk student i pielęgniarz Turgun, i odpowiedział:

— Jak to czym! Tym co zarabiają!

Czarniawy Proszka pilnie nastawił uszy, wpatrzył się jakby zobaczył sklepową wystawę, nawet gębę otworzył, ale nie powiedział ani słowa.

— Ano, ano! — nalegał Efrem.

Diomka odłożył czytaną książkę i chmurnie zamyślił się nad pytaniem... Także i tę książkę, którą Efrem trzymał w rękach, przyniósł na salę Diomka, ale jej nie przeczytał, gdyż nie znalazł w niej tego czego szukał. Tak bywa z odpowiedziami głuchego rozmówcy. Książka osłabiała i gmatwała sprawy, gdy on oczekiwał wskazówki jak działać. To dlatego nie przeczytał opowiadania „Czy ludzie żyją?” i nie wiedział jakiej odpowiedzi oczekuje Efrem. Miał swoją własną odpowiedź.

— No chłopcze! — zachęcał go Efrem.

— Według mnie — powoli mówił Diomka, jakby stał u tablicy przed nauczycielem i, bojąc się pomylić, rozważał jeszcze w ostatniej chwili sens swoich słów. — Przede wszystkim powietrzem. Następnie — wodą. Wreszcie — jedzeniem.

Gdyby Efrema zapytali o to dawniej, odpowiedziałby identycznie. Jeszcze tylko dodałby i spirytusem. Ale ta książka mówiła zupełnie o czymś innym.

Poddujew cmoknął.

— Ano, kto jeszcze?



Proszka zdecydował się:

— Umiejętnością.

Też prawda, Efrem całe swoje życie myślał tak samo.

Zaś Sibgatow westchnął i powiedział nieco zażenowany:

— Ojczyznę.

— Jakże to? — zdziwił się Efrem.

— No, ojczystymi stronami... Żeby żyć tam, gdzie się urodził.

— E-ee... Nie, to nie jest konieczne. Ja znał Kamy jeszcze jako młodzik wyjechałem, a co mi tam czy jest w dalszym ciągu, czy jej nie ma. Rzeka jak rzeka, nie wszystko jedno?

— W ojczystych stronach — spokojnie upierał się Sibgatow — nawet choroba się nie chwyta. W ojczystych stronach łatwiej w każdym względzie.

— Dobra! Kto jeszcze?

— A co? A co? — odezwał się Rusanow, bardziej dziś ożywiony. — Jakie to pytanie?

Pojękując, Efram odwrócił się w lewo. Na łózkach pod oknami nie było nikogo, prócz kuracjusza w okularach. Jadł właśnie kurze udko, trzymając je za końce w obu dłoniach. Siedzieli jeden naprzeciw drugiego, jakby ich diabeł umyślnie tak posadził. Efrem przymrużył oczy.

— Takie pytanie, profesorze: — Czym ludzie żyją?

Paweł Nikołajewicz nie zakłopotał się ani na chwilę, nawet nie przestał jeść swojej kury.

— Co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości. Zapamiętajcie sobie. Ludzie żyją ideowością i służbą społeczną.

Obcmoktał najsmaczniejszą chrząstkę w stawie. Prócz grubej skóry na łapkach i zwisających żyłek, nic na kościach nie zostało. Położył je na papierku na szafce.

Efrem nie odpowiedział. Rozgniewało go, że cherlak tak zręcznie się wykręcił. Już jak o ideowości, lepiej pysk na kłódkę.

Otworzył książkę, wpatrzył się w nią znowu. Sam chciał dobrze wyrozumieć jaka jest prawidłowa odpowiedź.

— A co to za książka? — zapytał Sibgatow, przerywając grę w warcaby. — Co w niej stoi?

— A więc... — Poddujew przeczytał początek. „Pewien szewc mieszkał z żoną i dziećmi w chłopskim domu. Własnej chałupy ani ziemi nie miał...”.

Ale głośne czytanie tekstu męczyło go i wypadało zbyt długo, więc Efrem rozsiadł się wygodniej wśród poduszek i zaczął opowiadać Sibgatowowi własnymi słowami, starając się opanować całość raz jeszcze.

— W ogólności to ten szewc nieźle pociągał. Kiedyś szedł

zalany w pestkę, widzi, człowiek zamarza, wziął tego Michajłę ze sobą. Żona klnie w żywy pień, tylko tego brakowało — darmozjada przyprowadził. Ale Michajło zaczął pracować, nie prostując grzbietu, i nauczył się szyć buty lepiej od szewca. Pewnego razu, zimową porą, przyjeżdża do nich dziedzic, przywozi drogą skórę i zamawia: żeby buty były wygodne, żeby się nie krzywiły i nie pruły. A jeżeli szewc spartoli, to z niego samego skórę się zedrze. A Michajło jakoś dziwnie się uśmiechał: zobaczył coś za plecami dziedzica, w kącie. Ledwie ten zdążył odjechać, Michajło skórę pokrajał i zepsuł: już nie rantowe buty z cholewami z nich uszyjesz, a tylko coś w rodzaju pantofli. Szewc złapał się za głowę: coś ty zrobił, zarżnąłeś mnie żywcem! A Michajło na to: zaopatruje się człowiek na cały rok, a nie wie czy do wieczora dożyje. I tak się stało: dziedzic z drogi nie wrócił, nogi wyciągnął. A dziedziczka posłała do szewca chłopaka: butów z cholewami, powiada, już nie potrzeba, szyjcie jak najszybciej miękkie pantofle bez obcasów. Dla nieboszczyka.

— Do dia-abła, cóż za duby smalone! — odezwał się oburzony Rusanow syczącym głosem, przeciągając litery. — Czyżbyście innej płyty puścić nie mogli? O miłeż czuć, że to nie ma nic wspólnego z naszą postawą moralną! Czymże w tym opowiadaniu ludzie żyją?

Efrem przestał opowiadać i spojrzał opuchniętymi oczami na tysonia. Gniewało go, że ten prawie odgadł. W książce było napisane, że ludzie żyją nie troską o samych siebie, lecz miłością do bliźnich. A cherlak powiedział: służbą społeczną. To trochę jak gdyby zgadzało się ze sobą.

— Czym żyją...? — Trudno mu było wypowiedzieć na głos to słowo. Nawet wydawało się jak gdyby nieprzyzwoite. — Powiada książka, że miłością...

— Mi-ło-ścią?! O nie, to nie nasza postawa moralna! — okulary w złocistej oprawie spoglądały z drwiną. — A powiedzno, kto to wszystko wypisywał?

— Ze co? — beknął Poddujew. Był zły, że go odciągają od istoty rzeczy i spychają na margines.

— Kto to wszystko napisał? Co za autor? Popatrz tam u góry, na pierwszej stronie...

A czy nazwisko było ważne? Co mogło mieć wspólnego z istotą sprawy, z ich chorobą, życiem i śmiercią? Efrem nie miał zwyczaju czytać co tam u góry stało nad tytułem, a jeśli nawet przeczytał, to zaraz zapominał.

Jednakże otworzył książkę na pierwszej stronie i głośno przeczytał:

— Toł-stoj...

— To nie może być! — zaprotestował Rusanow. — Tołstoj? Weźcie pod uwagę: Tołstoj pisał wyłącznie utwory optymistyczne i patriotyczne, w przeciwnym razie by go nie drukowano. „Zboże”, „Piotr Pierwszy”. Przyjmijcie do wiadomości, że trzykrotnie był laureatem nagrody imienia Stalina!

— Tak, ale to nie ten Tołstoj! — odezwał się Diomka ze swego kąta. — Ten tutaj to Lew Tołstoj.

— Ach, to nie ten...! — przeciągle powiedział Rusanow, trochę z ulgą, trochę z grymasem. — Ach, tak... to tamten... O którym mówiono, że niby zwierciadło rosyjskiej rewolucji, kotleciki z ryżu... Mięczak był z tego waszego Tołstoja! W wielu, w bardzo wielu sprawach zupełnie się nie rozeznawał. Złu trzeba się sprzeciwić, chłopcze, ze złem trzeba walczyć!

— I ja także jestem tego zdania — głucho odpowiedział Diomka.

## 9.

### TUMOR CORDIS

Starszym chirurgiem była Eugenia Ustinowna, ale nie miała w sobie nic, co by świadczyło o jej specjalności — ani władczego spojrzenia i głębokiej zmarszczki na czole, ani twardo zaciśniętych szczęk i wypełnionego wszechwiedzą oblicza. Chociaż już po pięćdziesiątce, jeżeli tylko włosy schowała pod doktorskim czepczkiem, ktoś kto patrzył na nią z tyłu, łatwo mógł się omylić i zawołać: „Panienko, proszę mi powiedzieć...!” Jak to się mówi, z tyłu pensjonarka, z przodu emerytka. Twarz miała zawsze zmęczoną, ciężkie powieki i oczy jak gdyby podbite. By jakoś przeciwdziałać ogólnemu wrażeniu i wyrównać to, jaskrawo malowała sobie wargi, a szminką trzeba je było smarować po parę razy dziennie, bo ciągle ścierała się od palenia papierosów.

Każdej wolnej chwili, jeżeli nie była na operacyjnej sali, albo przy opatrunku czy na wizytacji, Eugenia Ustinowna paliła bez przerwy. Nawet podczas pracy znajdowała okazje by urwać się na chwilę, i rzucała się na papierosa jakby go chciała połknąć. Podczas wizytacji podnosiła niekiedy do ust wskazujący i średni palec i potem można było się spierać czy paliła również na sali szpitalnej.

Ta szczuplutka, podstarzała kobieta robiła wszystkie operacje, przeprowadzane w tym szpitalu, razem z Lwem Leonidowiczem,

bardzo wysokim mężczyzną z długimi rękami; piłowała kończyny, wstawiała rurki do tchawicy, wycinała żołądki, penetrowała do jelit, rozrabiła w miednicy, a pod sam koniec pracowitego dnia przeprowadzała operacje mało skomplikowane i opanowane aż do wirtuozerii, jak na przykład wycięcie jednego czy dwóch mlecznych gruczołów, dotkniętych rakiem. Nie było takiej środy i takiego piątku, żeby Eugenia Ustinowna nie obcinała kobiecych piersi; sanitariuszce, która sprzątała salę operacyjną, powiedziała kiedyś, trzymając papierosa w osłabłych wargach, że gdyby te obcięte piersi zebrać razem, można by z nich sformować spory pagórek.

Eugenia Ustinowna była przez całe życie tylko i wyłącznie chirurgiem: poza chirurgią jej wiedza nie istniała. A jednak dobrze pamiętała i rozumiała słowa Kozaka Jeroszki z powieści Tołstoja, wypowiedziane pod adresem medycyny europejskiej: „Tyle tylko potrafią, co krajać. Od razu widać, że głuptaki. A ot w górach — prawdziwe doctory. Na trawach się znają!”.

Gdyby tak jutro terapia, wszystko jedno jaka — rentgenowska, chemiczna, ziołowa, czy jeszcze jakaś inna — świetlna czy telepatyczna, potrafiła ratować jej pacjentów bez stosowania noża, i chirurgii groziłby zupełny zanik, Eugenia Ustinowna nie broniałaby jej ani jednej chwili. Może nawet nie z przekonania, ale dlatego że przez całe życie nic nie robiła tylko krajała, tak, krajała przez całe życie — nic, tylko krew i mięso.

Jedną z najbardziej męczących konieczności ludzkich to niemożliwość odnowienia siebie w połowie życia poprzez radykalną zmianę zawodu.

Na wizytację zwykle приходziło ich troje albo czworo: Lew Leonidowicz, ona sama i ordynariuszki. Ale przed kilkoma dniami Lew Leonidowicz wyjechał do Moskwy na seminarium. Temat — operacje klatki piersiowej. I oto w sobotę Eugenia Ustinowna poszła nie wiadomo czemu do męskiej sali na górze — bez ordynariusza i nawet bez starszej pielęgniarki.

Nie weszła od razu, spokojnie przystanąła, oparta o framugę drzwi. Ruchem młodej dziewczyny. Bardzo młoda dziewczyna może tak stanąć, wiedząc że tak jest najładniej, lepiej, niż gdyby stała wyprostowana, proste plecy, ramiona, głowa pionowo.

Stała w zamyśleniu i przyglądała się czym zabawia się Dioma. A ten wyciągnął wzdłuż łóżka chorą nogę, a na zdrowej, podwiniętej jak rogalik, położył książkę niczym na stole i nad tą książką z czterech długich ołówków budował coś w rodzaju figury geometrycznej. Patrzył na swoje dzieło i trwałby tak jeszcze długo, gdyby go nie zawołano po imieniu. Podniósł głowę i opuścił sterczące ku górze ołówki.

— Co ty, Dioma, układasz? — głos Eugenii Ustinowny zabrzmiał smutno.

— Figurę stereometryczną! — odpowiedział dziarsko, znacznie głośniej niż to było potrzebne.

Tak mówiąc, spoglądali na siebie uważnie, i już było wiadomo że chodzi o coś zupełnie innego.

— Żeby nie tracić czasu — wyjaśnił Dioma, ale już nie tak dziarsko i nie tak głośno jak przedtem.

Kiwnęła głową.

Stała, oparta o framugę — ale nie, to nie był dziewczęcy ruch, to było zmęczenie.

— Pozwól-no, niech cię zbadam.

Zawsze rozważny, tym razem Dioma zareagował żywiej niż zazwyczaj:

— Ludmiła Afanasjewna badała mnie wczoraj! Powiedziała, że jeszcze będzie naświetlanie!

Eugenia Ustinowna ciągle kiwała głową. Miała w każdym ruchu jakiś wytworny smutek.

— To bardzo dobrze, a ja jednak także cię zbadam.

Dioma spochmurniał. Odłożył podręcznik stereometrii, posunął się na łóżku, zostawiając doktorce miejsce, i obnażył nogę aż po kolano.

Eugenia Ustinowna usiadła obok. Bez trudu zawinęła rękawy kitla i sukienki prawie do łokci. Szczupłe, zręczne ręce zaczęły poruszać się po nodze Diomy jak dwa żwawe żyjątko.

— Boli? — pytała co chwilę. — Boli?

— Tak — potwierdzał i pochmurniał coraz bardziej.

— Po nocach noga ci dokucza?

— Tak... Ale Ludmiła Afanasjewna...

Eugenia Ustinowna znowu pokiwała głową na znak że rozumie i poklepała go po ramieniu.

— Dobrze, kochanie! Będziesz się naświetlać.

I nawzajem popatrzyli sobie w oczy.

Na sali zaległa głęboka cisza, tak że słychać było każde ich słowo.

Eugenia Ustinowna wstała i rozejrzała się. Na łóżku pod piecem powinien był leżeć Proszka, ale wczoraj wieczorem przeniósł się na łóżko pod oknem, chociaż to była zła wróżba: nie należało kłaść się tam, gdzie przedtem leżał chory, którego zwolniono ze szpitala na śmierć. Łóżko koło pieca zajmował obecnie Friedrich Federau, niewysoki, spokojny, płowowłosy jegomość. Nie był tu zupełnym nowicjuszem, ponieważ już od trzech dni leżał na schodach. Wstał w pozycji na baczność i patrzył na

Eugenię Ustinownę z uprzejmym szacunkiem. Był niższego od niej wzrostu.

Federau był zupełnie zdrowy. Nic go w ogóle nie bolało. Po pierwszej operacji całkowicie wyzdrowiał. I jeżeli znowu zjawił się na oddziale chorych na raka, to nie z żadną skargą, lecz z poczucia solidności. W zaświadczeniu zwolnienia powiedziane było, że ma zgłosić się do kontroli pierwszego lutego 1955 roku. Jechał z bardzo daleka, ciężką drogą, coraz to przesiadając się, ciężarowym samochodem, w kożuchu i filcówkach, a resztę drogi w lekkim paletku i półbutach. Zjawił się nie 31 stycznia i nie 2 lutego, lecz pierwszego, z taką dokładnością, z jaką księżyc zgłasza się na wyznaczony mu dzień zaćmienia.

I zrobili mu prawdziwe zaćmienie — kazali zatrzymać się w klinice. Żywił wielką nadzieję, że dziś zostanie zwolniony.

Podeszła Maria, wysoka, koścista pielęgniarka o zagasłym spojrzeniu. Podała ręcznik. Eugenia Ustinowna wytarła ręce, podniosła wciąż obnażone do łokci, i w tej całkowitej ciszy długo krążyła palcami po szyi Federau'a, a potem kazała mu rozpiąć ubranie i macała wgłębienia nad obojczykami i pod pachami.

Wreszcie powiedziała:

— Federau, wszystko w porządku. Wszystko w największym porządku.

Federau cały się rozjaśnił, jakby otrzymał wysokie wyróżnienie.

— Wszystko w porządku — kontynuowała łagodnie i w dalszym ciągu jeździła palcami pod dolną szczęką. — Jeszcze tylko zrobimy wam małą operacyjkę — i po wszystkim.

— Jak to? — Federau nagle zgasł. — Eugenia Ustinowna, po co operacja, jeżeli wszystko jest w porządku?

— Żeby wynik był jeszcze lepszy — błady uśmiech ukazał się na jej twarzy.

— Czy tu? — tnącym ruchem dłoni przejechał po szyi na ukos. Wyraz jego miękkiej twarzy stał się błagalny. Miał jasne, niemal białe rzęsy.

— Tak. Ale proszę się nie niepokoić. U was nie było zaniedbania. Przygotujemy was na najbliższy wtorek (Maria zapisała datę). — Przy końcu lutego wróćcie do domu i już więcej do nas nie powróćcie.

— Chyba, że znowu na „kontrolę” — Federau próbował się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło.

— No chyba że na kontrolę — uśmiechnęła się, jak gdyby go przepraszając. Czym mogła go pocieszyć, prócz tego znużonego uśmiechu?!

Stał, potem usiadł i zagłębił się w myślach, a ona tymczasem

poszła dalej, uśmiechnęła się po drodze do Achmadzana (zoperowała mu pachwinę przed trzema tygodniami) i zatrzymała się przy łóżku Efrema.

Już na nią czekał, książkę w niebieskiej okładce położył obok. Wielkogłowy, o nadmiernie grubej, obandażowanej szyi, szeroki w ramionach, z podciągniętymi nogami, siedział na łóżku niczym jakiś nieprawdopodobny karzeł. Patrzył na nią spode łba, oczekując na kolejny cios.

Wsparła się o wezłowie jego łóżka, dwa palce trzymając przy ustach, jak gdyby paliła papierosa.

— No co Poddujew, w jakim jesteśmy nastroju?

Akurat czas na gadki o nastrojach! Byle trochę pogadać, odwalić swój numer i pójść.

— Uprzykrzyło się krajanie — powiedział Efrem.

Podniosła brwi, jak gdyby ją dziwiło, że krajanie może się uprzykrzyć.

Milczała. A on już powiedział co było trzeba.

Milczeli oboje, jak po sprzeczce, jak przy rozstaniu.

— I to znowu w tym samym miejscu? — Efrem nie tyle zapytał, co stwierdził.

Chciał powiedzieć: to jakże wyście przedtem krajali? Coście właściwie myśleli? Efrem nigdy nie oszczędzał żadnej władzy, zawsze jej rąbał prawdę prosto w oczy, ale Eugenii Ustinowny nie chciał atakować wprost. Niech się sama domyśli!

— Tuż obok — odpowiedziała lekarka.

Cóż ci, nieboraku, tłumaczyć że rak języka to nie to samo co rak dolnej wargi? Wytnie się podszczękowe węzły chłonne, a nagle okazuje się, że już zostały zaatakowane wewnętrzne naczynia limfatyczne. A tych przedtem nie można było wycinać.

Efrem gwałtownie westchnął, jak gdyby załamał się pod zbyt wielkim ciężarem.

— Nie potrzeba. Nic więcej nie potrzeba.

Co prawda jakoś niebardzo go namawiała.

— Nie chcę, żeby mnie krajali. Niczego więcej nie chcę.

Lekarka patrzyła i milczała.

— Zwolnijcie mnie ze szpitala!

Patrzyła w jego rude oczy, które po tyłu miesiącach strachu już przestały się bać czegokolwiek, i także pomyślała: — Po co? Po co go męczyć, skoro nóż nie nadąza za przerzutami?!

— W poniedziałek rozbandażujemy szyję, popatrzymy. Zgoda?

Żądał zwolnienia, ale wciąż jeszcze miał nadzieję że mu powie: „Poddujew, tyś oszalał! Co to znaczy zwolnienie?! Będziemy cię leczyć! Wyleczymy cię!”

A ta zgadzała się.



A więc — trup-nieboszczyk.

Poruszył całym tułowiem, co miało oznaczać potwierdzające kiwnięcie. Samą głową kiwnąć już nie mógł.

Lekarka przeszła do łóżka Proszki. Wstał na jej spotkanie i uśmiechał się. Zapytała, w ogóle go nie badając:

— Jak się czujecie?

Proszka uśmiechnął się na całą szerokość gęby.

— Bardzo dobrze — odpowiedział, jak zawsze po ukraińsku.

— Te pastylki bardzo mi pomogły.

Pokazał jej flakonik z witaminami. Nie wiedział już jak ją udobruchać, żeby tylko nie przyszło jej do głowy poddawać go operacji. Machnęła dłonią na pastylki. Drugą dłoń wyciągnęła ku jego lewej piersi.

— A tu? Kłuje?

— Niby troszeczkę...

Znowu skinęła dłonią.

— Dziś wychodzicie ze szpitala.

Tu dopiero radość owładnęła Proszką! Czarne brwi aż skoczyły do góry.

— Co wy mówicie?! To operacji nie będzie, czy jak?

Kiwała głową, uśmiechając się niepewnie.

Przez cały tydzień go obmacywali, cztery razy pędzili do rentgena, kazali siadać, potem kłaść się, znowu wstawać, prowadzili po badaniach do jakichś staruchów w białych kitlach — liczył się już z możliwością ciężkiej choroby — a tu nagle puszczają bez operacji!

— To jestem zdrów?

— Niezupełnie.

— Te pastylki to pierwszorzędne, co? — w czarnych oczach błyskało zrozumienie i wdzięczność. Było mu przyjemnie, że i ona cieszy się z jego kuracji.

— Takie pastylki sami będziecie kupować w aptece. A ja wam jeszcze inne zaordynuję, też będziecie zażywać.

Zwróciła się ku pielęgniarce: — Witamina „C”.

Maria surowo pochyliła głowę i zapisała w zeszytcie.

— Ale proszę się bardzo pilnować! — pouczała go Eugenia Ustinowna. — Nie wolno chodzić zbyt szybko. Nie wolno podnosić ciężarów. Zachowywać najwyższą ostrożność przy pochylaniu się.

Proszka roześmiał się, zadowolony że doktorka także niektórych rzeczy nie rozumie.

— Jak to — ciężarów nie podnosić? Przecież ja jestem traktorzysta!

— Na razie w ogóle nie będziecie pracować.

— A to jakże? Świadcstwo lekarskie?

— Nie. Na podstawie naszego zaświadczenia przejdziecie na rentę inwalidzką.

— Inwalidzką? — Proszka patrzył na nią jak na raroga. — A po kiego diabła mi renta inwalidzka?! Przecież z niej nie wyżyję! Ja jeszcze młody, pracować chcę!

I pokazywał jej mocne dłonie o grubych paluchach, aż proszących się do roboty.

Ale to Eugenii Ustinowny nie przekonało.

— Za pół godziny proszę przyjść na salę operacyjną. Przygotujemy zaświadczenie, wyjaśnię wam co dalej.

Poszła, a za nią chuda Maria, sztywna jakby połknęła kij. I natychmiast wszyscy na sali zaczęli gadać jeden przez drugiego. Proszka mówił o tej inwalidzkiej rencie, po kiego ona, trzeba narodzić się z chłopakami, ale reszta wołała mówić na temat Federaua. Wszystkich uderzyło: biała, zupełnie czysta, gładka szyja, nigdzie nie boli, i nagle — operacja!

Poddujew zmienił pozycję tułowia przy pomocy rąk, bo siedział wciąż przykucnięty — wyglądało na to, że porusza się beznogi — i krzyczał, cały czerwony z gniewu:

— Friedrich, nie zgadzaj się! Nie bądź głupi! Zaczną cię krajać — zarzną tak jak mnie!

Achmadżan miał inne zdanie:

— Trzeba go krajać! Na próżno by nie powiedzieli.

— Po co krajać, jeżeli nie boli? — oburzał się Dioma.

— Co ty, braciszku? — grzmiał swoim basem Kostogłotow.

— Czyste szaleństwo, krajać zdrową szyję!

Rusanow wzdrygał się od tych krzyków, ale nie zdecydował się na żadną uwagę. Wczoraj po zastrzyku humor mu się poprawił, ponieważ zniósł zastrzyk lekko. Ale jak przedtem nowotwór na szyi przeszkadzał mu przez całą noc i poranek poruszać głową, więc dziś znowu poczuł się nieszczęśliwy: dlaczego opuchlina się nie zmniejsza?

Prawda, przyszła doktorka Ganhart. Bardzo szczegółowo rozpytywała Pawła Nikołajewicza o jego samopoczucie wczoraj, w nocy i dziś, i czy bardzo słabo się czuje, wyjaśniając że pierwszy zastrzyk mógł nie podziałać od razu, więcej — to zupełnie naturalne, że jeszcze nie podziałał. Do pewnego stopnia go uspokoiła. Przyjrzał jej się — twarz ma nie głupią, tylko nazwisko podejrzane. Ostatecznie w tym szpitalu pracują lekarze nie ostatniej klasy, mają doświadczenie, trzeba tylko wymagać od nich większego wysiłku.

Ale tego uspokojenia nie starczyło na długo. Lekarka poszła, nowotwór sterczał pod szczęką i uciskał, pacjenci hałasowali po

swojemu. Ten Federau ma całkiem zdrową szyję, a proponują mu operację. U Rusanowa cała bulwa, a jednak nie operują i nawet nie proponują. Czyżby z nim było aż tak bardzo źle?

— Przedwczoraj, po wejściu na salę szpitalną, Paweł Nikołajewicz nie mógłby sobie w ogóle wyobrazić, że tak szybko poczuje się do jakiegoś stopnia solidarny z otaczającymi go ludźmi. Przecież w grę wchodziły właśnie szyje. U trzech spośród nich w grę wchodziła szyja.

Friedrich Jakubowicz mocno się zdenerwował. Wysłuchiwał wszystkich rad i uśmiechał się w zakłopotaniu. Wszyscy z pewnością siebie mówili mu jak się ma zachować, ale on nie widział jasno swej sytuacji. Zresztą i ci doradzający też swoich sytuacji jasno nie widzieli. Poddawać się operacji niebezpiecznie i nie poddawać się — także niebezpiecznie. Kiedy był w szpitalu poprzednim razem, przyjrzał się wszystkiemu dobrze i wypytał. Wtedy naświetlano mu rentgenem dolną wargę, zupełnie tak samo jak obecnie Egenbierdiejewowi. Wtedy strup na wardze najpierw się zwiększył, potem wyschnął i wreszcie odpadł, ale Federau rozumiał o co chodzi: trzeba wyciąć gruczoły, żeby nie pozwolić rakowi przesunąć się dalej.

A jednak Poddujewa operowano już dwa razy i co? — pomogło? A jeżeli rak nie ma zamiaru iść dalej? A może w ogóle zniknął? W każdym razie należało poradzić się żony, a zwłaszcza córki Henrietty, najbardziej wykształconej i zdecydowanej osoby w jego rodzinie. Tak, ale zajął już łóżko i zarząd kliniki nie zechce czekać aż listy obróca, a przecież ze stacji pocztę do ich miejscowości, w głębi stepu, dowożą tylko dwa razy na tydzień, a i to jeżeli droga jest w dobrym stanie.

Zwolnić się teraz ze szpitala i jechać do domu, żeby zasięgnąć rady u swoich, niełatwo, o wiele trudniej niż sądzą lekarze i ci pacjenci, którzy mu teraz nie szczędzą dobrych rad. Najpierw trzeba skasować w tutejszej komendzie miasta urlopowe świadectwo, wydobyte z takim trudem, wykreślić się z ewidencji i jechać; pierwszy etap pociągiem do maleńkiej stacyjki, wkładać na siebie półkożuszek i piłśniówkę, zostawione na przechowaniu u znacznych nieznanomych ludzi, bo pogoda tam nietutejsza, wciąż jeszcze zima i mroźne wiatry; potem sto pięćdziesiąt kilometrów trząść się z powrotem do MTS-u, i to nie wiadomo czy w szoferce, może być z tyłu na platformie; i zaraz po powrocie do domu pisać podanie do komendy okręgowej, czekać od dwóch do czterech tygodni na pozwolenie na nowy wyjazd, a jak już przyjdzie, znowu brać zwolnienie z pracy, a do tego czasu śnieg stopnieje, drogi zrobią się nie do przebycia, ciężarówka nie pójdą; a gdy już dostanie się na maleńką stacyjkę, gdzie pociągi zatrzy-

mują się tylko dwa razy na dobę na jednogodzinowy postój, trzeba będzie rozpaczliwie biegać od konduktora do konduktora — który przyjmie?; a jak już tu przyjedzie, znowu iść na komendę miasta, starać się o wciągnięcie do tymczasowej ewidencji, a potem jeszcze czekać przez kilka dni aż zwolni się miejsce w szpitalu.

Gdy tak rozmyślał, inni rozstrząsali sytuację Proszki. I wierzący w złym wróżbom! Położył się na feralnym łóżku! Gratulowano mu i radzono przyjąć rentę inwalidzką, dopóki dają. Jak dają — bierz! Dają — znaczy należy się. Teraz dają — potem mogą odebrać. Proszka spierał się, mówił że chce pracować. Widzicie durnia — na pracę zawsze czas, życie długie!

Proszka poszedł po zaświadczenia. Powoli na sali robiło się cicho.

Efrem znowu otworzył swoją książkę, czytał ale niewiele rozumiał i wkrótce to spostrzegł. Nie rozumiał, bo zanadto się rzucał, denerwował, patrzył co się dzieje na sali i na korytarzu. Aby zrozumieć powinien był zdać sobie sprawę, że sam już do nikąd nie zdąży. Niczego nie zmieni, nikogo nie przekona. Że jego dni już są policzone, że niewiele mu zostało by dojść z samym sobą do ładu.

I tylko gdyby zdał sobie z tego sprawę, ta książka otworzyłaby się przed nim z całą jasnością. Była wydrukowana zwyczajnie — czarnymi literkami na białym papierze, ale zwykłej znajomości pisma nie wystarczało, by ją właściwie odczytać.

Proszka wchodził po schodach, radosny, już zaopatrzone w swoje papierki, na górze spotkał Kostogłotowa i pokazał mu je.

— Patrzcie, ino, nawet okrągłuchne pieczętki przybiły!

Jedno zaświadczenie dotyczyło podróży — zalecenie by pacjentowi, który jest po operacji, wydali na dworcu kolejowym bilet poza kolejką. Jeżeli nie było wzmianki o operacji, na stacji pędzono chorych do ogólnej kolejki, a wtedy musieli czekać nieraz po dwa i trzy dni.

Drugie zaświadczenie było skierowane do instytucji służby zdrowia w miejscowości, do której jechał Proszka na stały pobyt. I w rubryce choroby: *Tumor cordis casus inoperabilis*.

— Ani w ząb nie rozeznam! — Proszka pchał paluch w łaćskie zdanie. — Co tu nasmarowały, co?

— Zaraz się zastanowię — Kostogłotow mrużył oczy z niezadowolaniem. — Idź, zabierz to, zaraz pomyślę.

Proszka zabrał swoje drogocenne papierki i poszedł zbierać rzeczy.

Kostogłotow oparł się o poręcz schodów, długa czupryna zwisała mu nad czołem.

Tak naprawdę to łaciny nie znał, jak w ogóle żadnego obcego języka. Nigdy systematycznie się nie uczył, z wyjątkiem topografii wojskowej na kursie dla sierżantów. Ale chociaż zawsze i wszędzie szydził i wyśmiewał ludzi wykształconych, pilnie nastawiał ucha, gdy tylko zdarzała się okazja by nieco rozszerzyć swoją wiedzę. Udało mu się w roku 1938 załapać jeszcze kurs geofizyki, a z 46 na 47 kurs geodezji, którego zresztą nie ukończył. Między tymi datami była służba wojskowa i wojna, mało sprzyjające postępowi w nauce. Kostogłotow zawsze miał w myśli porzekadło swego ukochanego dziadka: „Dureń lubi uczyć innych, zaś mądry lubi się sam uczyć” — i nawet podczas służby wojskowej starał się zdobyć jak najwięcej wiadomości i pilnie słuchał każdej rozumnej mowy, czy mówiącym był oficer z innego pułku, czy żołnierz z tego samego plutonu. Co prawda robił to tak, żeby własnej dumy nie naruszyć — udawał, że na tym czego słucha niewiele mu zależy...

Gdy Kostogłotow zawierał nową znajomość, nigdy nie starał się mówić o sobie, ani pokazać się z dobrej strony, a za to wywiadywał się od razu szczegółowo co za jeden ten jego nowy znajomy, skąd jest i co reprezentuje. Po czym wyciągał od niego wszystko, co go mogło interesować. A okazji było co niemiara — w celach butyrskiego więzienia, wypełnionych po wojnie po brzegi. Każdego wieczora profesorowie, kandydaci, lub po prostu ludzie wykształceni dawali wykłady z różnych dziedzin — fizyka atomowa, architektura na Zachodzie, genetyka, etyka, pszczelnictwo... Kostogłotow był najpilniejszym słuchaczem tych wykładów. I pod pryzmami Czerwonej Priesni i na nieheblowanych deskach bydłych wagonów i na etapach, gdy im kazano siadać tyłkami na ziemi, i w łągrze, gdy stali w szeregu — wszędzie, zgodnie z powiedzeniem swego dziadka, starał się zdobyć to, czego nie mógł zdobyć w salach wykładowych.

W łągrze Kostogłotow poznał starszego, nieśmiałego człowieka, który był zatrudniony w służbie zdrowia, prowadził statystykę, wypisywał różne papierki, a niekiedy używany był na posyłki. Okazało się, że był profesorem filologii i literatury klasycznej na uniwersytecie w Leningradzie. Kostogłotow wpadł na pomysł, żeby uczyć się u niego łaciny. Lekcje odbywały się na mrozie: spacerowali po zonie tam i z powrotem, nie mieli ani papieru ani ołówka, więc profesor zdejmował od czasu do czasu rękawiczkę i palcem pisał na śniegu. Dawał te lekcje całkowicie bezinteresownie: po prostu na krótki czas czuł się znowu człowiekiem. A zresztą Kostogłotow nie miał pieniędzy żeby mu pła-

cić. Mało brakowało, a byłoby się to skończyło źle. Zauważono te spacery i wezwano ich osobno na badanie, podejrzewając że przygotowują się do ucieczki i na śniegu kreślą plan okolicy. W opowiadanie o łacinie nikt nie uwierzył i naukę trzeba było przerwać.

Po owych lekcjach to i owo pozostało w pamięci Kostogłotowa. Pamiętał, że *casus* to wypadek, *in* — przedrostek oznaczający negację; pamiętał także co znaczy *cor*, *cordis*, a gdyby nawet nie wiedział, to nie trudno było domyślić się, że słowo „kardiogram” pochodzi od tegoż źródłosłowu. Zaś *tumor* znajdował się na każdej stronie „Anatomii patologicznej”, którą pożyczyła mu Zoja.

Więc bez trudu zrozumiał co mówiła diagnoza Proszki.

„Opuchlina serca — wypadek nie nadający się do operowania”.

A skoro mu przepisano witaminę „C”, znaczyło to że nie tylko nie można go operować, ale że w ogóle nie ma sposobu na leczenie.

Pochylony nad balustradą, Kostogłotow myślał teraz nie o tłumaczeniu z łaciny, lecz o swojej zasadzie, którą wczoraj wyłożył Ludmile Afanasjewnie — że chory powinien wiedzieć wszystko o swoim stanie.

Tak, ale to była zasada dobra dla takich otrzaskanych jak Kostogłotow.

A Proszka?

Proszka prawie niczego nie miał w rękach — tyle było jego majątku! Odprowadzali go Sibgatow, Diomka i Achmadżan. Szli powolutku, ostrożnie: jeden dbał o swoje plecy, drugi — o nogę, trzeci — jeszcze chodził o kuli. Proszka szedł wesoło, białe zęby połyskiwały radośnie.

Tak zdarzało się niekiedy w obozie, że kogoś odprowadzano na wolność...

I co? — powiedzieć mu, że zaraz, tuż za bramą, zostanie aresztowany ponownie?

— Więc co tam napisane? — beztrząsco zapytał Proszka, nie zatrzymując się.

— A diabli ich wiedzą! — wykrzywił gębę Kostogłotow, aż bliźna podjechała do góry. — Takie chytrusy zrobiły się z tych doktorów, czytaj nie czytaj, nic nie wyczytasz.

— No poprawiajcie się i wy! — wołał po ukraińsku Proszka. — Wszyscy co do jednego! Do chałupy, chłopcy! Do żonek! —

uściskał wszystkim po kolei dłonie i, już schodząc, jeszcze obracał się i wesoło pozdrowiał ręką.

Tak, pewny siebie, schodził ze schodów.

Prosto ku śmierci.

## 10.

### DZIECI

Eugenia Ustinowna ledwie przejechała palcami po nodze Diomki, uściśnęła mu ramię i poszła dalej. To było równoznaczne z fatalną decyzją. Diomka tak to rozumiał. Jakby ktoś odrywał nikłą gałązkę nadziei.

Zrozumiał zresztą nie od razu — najpierw na sali delibrowano w sprawie Proszki, potem go żegnano, następnie Diomka postanowił przenieść się na zwolnione łóżko, które już przestało być feralne — tam więcej światła do czytania i blisko Kostogłotowa, aż tu nagle wszedł nowy pacjent.

Był to młody mężczyzna, mocno opalony, z włosami jak smoła, starannie utrzymanymi i lekko się wijącymi. Na pewno miał dwadzieścia kilka lat. Pod każdym ramieniem niósł trzy książki.

— Jak się macie, przyjaciele! — powiedział na progu. Bardzo spodobał się Diomce, że taki prosty i szczerzy w obejściu i z wyglądu. — Gdzie się mam ulokować?

I nie wiadomo czemu zamiast łóżka obrzucił spojrzeniem ściany sali.

— A czy wy — zapytał Diomka — dużo czasu będziecie poświęcać czytaniu?

— Cały wolny czas!

Diomka zastanowił się.

— Dla rozrywki czy dla nauki?

— Dla nauki.

— W takim razie zajmujcie tamto łóżko pod oknem. Zaraz wam pościelą. A te książki to o czym?

— Geologia, braciszku — odpowiedział nowy pacjent.

Istotnie na jednej z nich Diomka przeczytał tytuł: „Geochemiczne metody poszukiwań pokładów kruszcowych”.

— Dobra, zajmujcie miejsce przy oknie. A co was boli?

— Noga.

— Mnie także.



Nowy bardzo ostrożnie stawiał jedną nogę, a zbudowany był tak że nic tylko do figurowej jazdy na łyżwach!

Pościelili mu łóżko i nowoprzybyły natychmiast położył pięć książek na parapecie okna, a szóstą otworzył i zagłębił się w czytaniu. Tak jak gdyby właśnie po to przyjechał. Czytał przez jakąś godzinę, aż go wezwali na badanie lekarskie.

Diomka także próbował zająć się czytaniem. Najpierw stereometria, potem chciał budować figury przy pomocy ołówków. Ale dziś jakoś mu nie wychodziło. Zaś wykresy — ucięte w połowie linie proste, urywające się ząbkowato płaszczyzny, przypominały, przywoływały Diomce na myśl ciągle to samo.

Wtedy zabrał się do lżejszej lektury. „Żywa woda” jakiegoś Kożewnikowa, który już zdążył podłapać nagrodę imienia Stalina. Oprócz niego było jeszcze dwóch o tym samym nazwisku Kożewnikow. Diomka czuł się niewyraźnie, że tylu ich jest, tych pisarzy. W ubiegłym stuleciu było ich jakichś dziesięciu, ale wszyscy byli wielkimi pisarzami. A teraz tysiące! Zmień jedną literę w nazwisku i już masz nowego pisarza. Był Safronow i jest Safonow. A zdaje się, że i tych Safonowów jest więcej! Safronowów również! I nikt nie jest w stanie przeczytać ich książek. Nie nadają. A jak przeczytasz, to tak jakbyś w ogóle nie czytał. Na powierzchnię wyskakiwali pisarze nikomu nieznani, otrzymywali nagrody imienia Stalina i znikali na zawsze. Nagrody otrzymały niemal wszystkie książki o większej objętości, wydane w ubiegłym roku. A tych nagród było rok rocznie ze czterdzieści albo i pięćdziesiąt.

Mylili się również Diomce tytuły. Sporo pisano o filmach „Wielkie życie” i „Wielka rodzina”. Jeden z tych filmów został uznany za bardzo pożyteczny, drugi — za bardzo szkodliwy, ale Diomka w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć który, tym bardziej że żadnego z nich nie widział. Także myliły się pojęcia, myliły się tym silniej im więcej o nich Diomka czytał. Tak na przykład przyjął do wiadomości, że obiektywne traktowanie czegokolwiek oznacza widzenie wszystkich rzeczy tak jakimi są w rzeczywistości, a jednocześnie czytał artykuł, w którym stworzono pisarkę Panową za to że „stanęła na chwiejnym, wciągającym w głąb gruncie obiektywizmu”.

I mimo to trzeba było jakoś temu wszystkiemu podołać, zrozumieć i zapamiętać.

Diomka czytał tę „Żywą wodę” i nie mógł się zorientować: czy to książka jest tak bardzo nudna, czy też taki jego dzisiejszy nastrój?

Narastało w nim poczucie krzywdy i smutku. Pragnąłby kogoś się poskarżyć, czy po prostu kogoś poradzić. Czy choćby

tylko po ludzku porozmawiać, żeby się ktoś nad nim troszeczkę ulitował.

Naturalnie Diomka czytał i słyszał, że litość to uczucie, które poniza zarówno tego, co się lituje, jak i tego, co się staje obiektem litości.

A jednak bardzo by pragnął, żeby się ktoś nad nim ulitował.

Jak dotychczas nikt nigdy nie wykazał wobec Diomki litości.

Tu, na tej szpitalnej sali, można było usłyszeć interesujące rzeczy i ciekawie porozmawiać, ale na inne tematy niż tego pragnął obecnie. W stosunku do mężczyzn należy zachowywać się jak mężczyzna.

Było w tym szpitalu wiele kobiet, ale Dioma nigdy nie zdobyłby się na przekroczenie progu ich wielkiej i hałaśliwej sali. Gdyby chodziło o tak wielkie zbiorowisko zdrowych kobiet, byłoby ciekawie przechodząc obok niby nieumyślnie tam zajrzeć i przyjrzeć się. Ale bał się, przechodząc odwracał wzrok, nie chciał patrzeć na to kłębowisko chorych kobiet. Ich choroba stanowiła zakazaną zasłonę, silniejszą niż wstyd. Niektóre z tych kobiet — Dioma spotykał je w westybulu albo na schodach — były tak opuszczone, tak przygnębione, że źle okręcały się w swoje szlafroki, i koszule wyłaziły im na wierzch na piersiach albo poniżej pasa. Ale podpatrywanie sprawiało Diomce nie zadowolenie, lecz ostry ból.

Więc przy spotkaniach spuszczał oczy. Wcale nie było mu łatwo zawierać znajomości.

I tylko jedna ciocia Stefa go zauważyła, zaczęła rozpytywać i doszło między nimi do przyjaznego zbliżenia. Ciocia Stefa była nie tylko matką, ale i babką, i już zdążyła nabyć główne cechy prawdziwej babci: obok zmarszczek uśmiech, wyrozumiale traktujący wszystkie słabostki. Dioma spotykał się z ciocią Stefą zazwyczaj na górnym piętrze, przy schodach, i rozmowy ich trwały bardzo długo. Nikt nigdy nie słuchał Diomy z tak wielkim współczuciem, z takim zainteresowaniem i dbałością o każdy szczegół. Zdawało się, że to najbliższy jej człowiek. A on z łatwością opowiadał jej wszystko o sobie, a nawet o matce takie rzeczy, jakich nie powtórzyłyby za nic nikomu innemu.

Kiedy ojciec zginął na wojnie, Diomka miał dwa lata. Potem był ojczym, wprawdzie dziecka nie pieścił, ale traktował sprawiedliwie, przy nim można było żyć. Ale matka — tego słowa Stefie nie powiedział, ale sam tak to twardo i raz na zawsze określił — skurwiła się. Ojczym ją porzucił z całą racją. Od tego czasu matka sprowadzała chłopów do pokoju, w którym mieszkała razem z Diomą, pili wódkę (częstowano także chłopca, ale odmawiał) i goście zostawali różnie — jedni do północy, inni do

rana; żadnych przegródek w pokoju nie było, ani nawet ciemności, bo światło ulicznych latarni padało przez okno. I Diomka tak to wszystko znienawidził, że myśl o tym co jego rówieśników napawało rozkosznym drzeniem, kojarzyła mu się ze świńskim korytem.

Tak trwało aż do piątej i szóstej klasy, a w następnym roku Diomka zamieszkał u starego szkolnego stróża. Dwa razy dziennie otrzymywał jedzenie w szkole. Matka nie starała się zmusić go do powrotu, była nawet zadowolona że odszedł.

Dioma mówił o matce ze złością, nie potrafił inaczej. Ciocia Stefa słuchała, kiwała głową i wygłaszała dziwną sentencję:

— Wszyscy na tym białym świecie jakoś żyją. Biały świat dla wszystkich jednaki.

W ubiegłym roku Dioma przeniósł się do fabrycznego osiedla, dostał tam miejsce w robotniczym hotelu. Najpierw pracował jako pomocnik tokarza, potem dali mu drugą kategorię. Zbyt wielkich postępów w pracy nie robił, ale przykład matki go nie zaraził, wódki nie pił, w hulankach udziału nie brał, uczył się. Z dobrymi wynikami skończył ósmą klasę i pierwsze półrocze dziewiątej.

Tyle że piłka nożna — niekiedy, rzadko, grał w piłkę z chłopakami. I los go ukarał za tę niewielką przyjemność: ktoś w zamęcie gry niechcący rąbnął go kołkami buta w łydkę. Diomka nie zwrócił na to żadnej uwagi, kulał jakiś czas, potem przeszło. Ale w jesieni noga zaczęła boleć coraz bardziej i coraz bardziej, dość długo nie chciał iść do lekarza, potem robili mu gorące okłady, pogorszyło się, posłali go do stolicy okręgu i wreszcie do tego szpitala.

Dlaczego, pytał Dioma ciotę Stefę, taki niesprawiedliwy wypadek mu los. Są przecież ludzie, którym życie ścieli się równiutko od początku do końca, a u innych — wszystko połamane. Powiadają, że los człowieka zależy od niego samego. A to nieprawda.

— Od Pana Boga zależy — uspokajała go ciocia Stefa. — Bóg wszystko widzi. Trzeba wszystko, Diomuszka, przyjmować z pokorą.

— To tym bardziej — jeżeli od Boga zależy, jeżeli wszystko widzi, dlaczego na jednego wszystko wali? Powinna jednak być jakaś dystrybucja, nie?

Ale że trzeba przyjmować z pokorą to tak, tu nie ma się co buntować. A choćbyś się nie upokorzył, to co ci z tego przyjdzie?

Ciotka Stefa była tutejsza, jej córki, synowie i synowe przychodzili często w odwiedziny i przynosili podarki. Ciocia Stefa ich nie chowała, ugaszczała sąsiadki i sanitariuszki, a po zawiado-

mieniu Diomy żeby przyszedł podsuwała mu albo jajko albo pierożek.

Dioma nigdy nie był najedzony, nie dojadł przez całe życie. A że stale myślał o jedzeniu, wydawało mu się że jest bardziej głodny niż był naprawdę. Ale krępował się nadużywać dobroci ciotki Stefy i jeżeli zgadzał się na jajko, to pierożka już starał się nie przyjmować.

— Bierz, braciszku! — namawiała go. — Pierożek z mięsem. Trzeba go jeść, dopóki przedpoście.

— A co, potem go nie będzie?

— Pewnie. Cóż-to, nie wiesz?

— A co później?

— Jak to co? Wiadomo, zapusty!

— To jeszcze lepiej, ciciu Stefo! Zapusty to jeszcze lepiej!

— Lepiej nie lepiej! Każdy czas swoim się chwali.

— No a zapusty przecież także się skończą!

— Pewnie! Przelecą, ani się obejrzą!

— A co potem będziemy robić? — zapytywał wesoło Dioma, mając w świeżej pamięci pachnący, domowego wypieku pierożek, jakiego nigdy w swoim domu nie posmakował.

— Antychrysty z was rosną, niczego nie wiecie. Po zapustach wielki post.

— A po cóż ten post, jaki z niego pożytek? Po co? Post, a do tego jeszcze wielki!

— Po to, Diomuszka, że jak brzuch zanadto obciążysz, zanadto do ziemi się pochylisz. A tak stale nie można, trzeba i tak żeby jasność nas oświeciła.

— A cóż to znowu za jasność i po co nam ona? — Dioma nie mógł tego zrozumieć, bo jakaż tam może być jasność prócz ogólnie znanej!

— A właśnie po to, żeby się rozjaśnić. Na czczo człowiek lżejszy się czuje, nigdyś nie zauważył?

— Nie, ciciu Stefo, nigdy tego nie zauważył.

Od pierwszego szkolnego roku, kiedy Dioma jeszcze nie umiał czytać ani pisać, już wiedział ponad wszelką wątpliwość i jasno rozumiał, że religia to narkotyk, niesłuchanie reakcyjna doktryna, sprzyjająca jedynie oszustom. Z powodu religii tu i tam pracujący lud nie jest w stanie uwolnić się od wyzysku. A jak już raz uwolni się od religii, wtedy właściwa broń do rąk i przyjdzie wolność.

Więc też ta ciocia Stefa, operująca jakimś śmiesznym kalendarzem, wspominająca Pana Boga w każdym słowie, z tym bez-troskim uśmiechem w tym ponurym szpitalu i z tym pierożkiem, wydawała mu się postacią jak najbardziej reakcyjną.

I mimo wszystko, w to sobotnie popołudnie, po zjedzeniu obiadu, gdy znikli już wszyscy doktorzy, pozostawiwszy każdego chorego z jego niewesołą myślą, gdy pochmurny dzień ledwie oświetlał szpitalne sale, zaś w westybulach i korytarzach już zapalono światło, Dioma błędził, utykając, i szukał właśnie tej reakcyjnej ciotki Stefy, która nie była w stanie dać mu żadnej rzeczowej rady i tylko radziła żeby trwał w pokorze.

Żeby tylko nie odjęli mu nogi, żeby jej nie odcięli! Żeby tej nogi nie stracić!

— Zgodzić się, czy się nie zgodzić? Zgodzić się, czy nie?

A może zgodzić się na amputację, byle się pozbyć tego codziennego, gryzącego bólu?!

Ciotki Stefy tym razem nie zastał tam, gdzie spotykali się zazwyczaj. Zajrzał do maleńkiego westybulu, uważanego przez pacjentów za coś w rodzaju świetlicy. Korytarz tam znacznie się rozszerzał i było sporo miejsca. Część westybulu zajmował stół dyżurnej pielęgniarki i szafka z podręcznymi lekarstwami. I tam właśnie Dioma zobaczył dziewczynę, właściwie prawie podlotka, w takim samym podniszczonym, szarym szlafroku jak wszystkie, ale wyglądającą niczym aktorka filmowa: włosy żółte, zupełnie nierealne i uczesane w niezwykle sposób — puszysty obłok, wzbity do góry.

Dioma zobaczył ją po raz pierwszy wczoraj, ale tylko w przełocie, i zamrugał oczami ze zdziwienia na widok tych włosów. Dziewczyna wydała mu się tak piękna, że nie odważył się jej przyjrzeć, tylko rzucił wzrokiem i odszedł. Wprawdzie ona jedna w całym szpitalu mogła być jego rówieśniczką (także Sarchan, ten któremu już amputowali nogę), ale takie dziewczęta były dla niego nieosiągalne.

Dziś rano widział ją znowu, ale z tyłu. Nawet w tym szpitalnym szlafroku wyglądała bardzo zgrabnie — trudno nie poznać. No i ten pyszny snopek żółtych włosów!

Oczywista Dioma jej nie szukał, bo nigdy by się nie zdecydował na zawarcie z nią znajomości; wiedział, że zaraz tak się poczuje jakby miał usta wypełnione ciastem i zacznie bąkać jakieś niezrozumiałe głupstwa. Ale zobaczył ją i serce w nim załomotało. Starając się nie utykać i iść możliwie równym krokiem, skręcił do westybulu i zaczął przerzucać komplet miejscowej mutacji *Prawdy*, w którym zresztą brakowało wielu stron, powyrywanych przez pacjentów potrzebujących papieru do takiego czy innego użytku.

Stół był przykryty jaskrawoczerwonym materiałem; jego połowę zajmowało brązowe popiersie Stalina o większej głowie i szerszych ramionach, niż u normalnego człowieka. Po drugiej

stronie stała sanitariuszka, dorodna, o szerokich ustach, jak gdyby odpowiednik Stalina. Ponieważ była to sobota, więc nie spodziewając się żeby ją popędzili do pracy, rozścieliła przed sobą gazetę, nasypała na nią słonecznikowych pestek i łuszczyła je w zębach, dźwięcznie wypluwając łupiny na tę samą rozścieloną gazetę. Być może zajrzała tu tylko na chwileczkę, ale teraz ani rusz nie mogła oderwać się od tych pestek.

Z głośnika radiowego, wiszącego na ścianie, spływały chrapliwe dźwięki muzyki tanecznej. A obok, przy malutkim stoliku, dwóch pacjentów grało w warcaby.

Dioma spojrzął z ukosa i zauważył, że dziewczyna siedzi na krześle pod ścianą, ot tak, nic nie robiąc. Siedziała wyprostowana i jedną ręką przytrzymywała szlafrok u szyi. Te szlafroki nigdy nie miały haftek ani zapinek, chyba że któraś z kobiet sama przyszyła.

Na krześle siedział złotowłosy, delikatny, rozpluwający się w oczach anioł. Nawet dotknąć rękami nie podobna! A tak przyjemnie byłoby z nią porozmawiać o tym i owym... Chociażby o bolącej nodze.

Diomka przerzuczał gazety i gniewał się na samego siebie. A do tego zdał sobie sprawę, że dla zaoszczędzenia czasu nie dbał o uczesanie i kazał strzyc włosy maszynką do skóry. Teraz wygląda jak skończony dureń.

Nagle anioł sam odezwał się do Diomy:

— Cóżes ty taki nieśmiały? Już drugi dzień zagląda i nawet nie podszedł.

Dioma drgnął, odwrócił się. Ależ tak! Nie było obok nikogo innego. Ponad wszelką wątpliwość mówiła do niego. Włosy jak pióropusz chwiały się na głowie.

— Jesteś płochliwy, co? Weź krzesło, postaw tu, zaznajomi my się!

— Wcale nie jestem płochliwy! — Ale w głosie coś się załamało i przeszkadzało mówić dźwięcznie.

— No to przynieś krzesło, przysiądź się!

Wziął krzesło i starając się jeszcze bardziej niż przedtem nie utykać, postawił jedną ręką przy ścianie, tuż koło dziewczyny. Wyciągnął dłoń.

— Dioma.

— Asia — podała i zaraz cofnęła mięciutką w dotknięciu rękę.

Usiadł i wypadło bardzo zabawnie — siedzą obok, jak para narzeczonych. Z tej pozycji patrzeć na nią niewygodnie. Podniósł się, przestawił krzesło.

— Cóż tak siedzisz — zapytał Dioma — i nic nie robisz?

— A po co? Zresztą, jestem zajęta.

— Czym?

— Muzyki słucham. I wyobrażam sobie, że tańczę. A ty pewnie nie umiesz...!

— Wyobrażasz sobie?

— I nogami poruszam do taktu.

Dioma cmoknęła wąpiąco.

— Od razu zauważyłam, żeś nieobyty. Moglibyśmy się trochę tu pokręcić — Asia rozejrzała się — ale miejsca nie ma. A przy tym co to za tańce! Słucham, bo cisza działa na mnie dręcząco.

— A jakie tańce lubisz? — rozmowa sprawiała Diomie wielką przyjemność. — Tango?

Asia westchnęła.

— Jakież tam tango! To nasze babcie tańczyły. Prawdziwy taniec to obecnie *rock-and-roll*. U nas jeszcze go nie tańczą. A w Moskwie jeszcze jak! I są prawdziwi mistrzowie!

Nie wszystkie słowa docierały do Diomy, ale przyjemnie było rozmawiać i mieć prawo patrzeć na nią z bliska. Oczy miała jakieś dziwne — z zielonym odcieniem. Oczu nie przemaluje, muszą być jakie są. A patrzeć w nie przyjemnie!

— To ci dopiero taniec! — Asia strzeliła palcami. — Tyle że pokazać dokładnie nie potrafię, nie widziałam. A ty jak czas spędzasz? Lubisz śpiewać?

— Nie — nie śpiewam.

— My śpiewamy. Kiedy zanadto się przykrzy. To co robisz? Grasz na akordeonie?

— Nie... — Diomka wstydził się coraz bardziej. Nie nadawał się do niczego przy tej dziewczynie! Trudno żeby jej od razu wyrąbał, że go pasjonują społeczne zagadnienia.

Asia była zdumiona: też trafiła na dziwnego typu!

— A może w sporcie robisz? W lekkoatletyce? Mówiąc nawiasem, ja trochę pięciobojem się zajmuję. Wyciągam metr czterdzieści w skoku wzwyż, a na setkę trzynaście i dwie dziesiąte.

— Nie... — Diomka z goryczą zdał sobie sprawę, że jest wobec tej dziewczyny zupełną nicością. Że też są ludzie, którzy potrafią sobie stworzyć takie swobodne życie!

A Diomka nigdy nie potrafi... Tyle że trochę pograł w piłkę nożną...

No i dograł się!

— To może przynajmniej papierosy palisz? Pijesz? — wypytwała Asia jeszcze z nadzieją w głosie. — Czy też tylko wyłącznie piwo?

— Piwo — z westchnieniem przyznał Diomka. Nigdy piwa



nie brał do ust, ale nie można było kompromitować się bez końca.

— O-ooch! — wyjęczała Asia, jakby ją ktoś uderzył prosto w dółek. — Mamusine synki, w dziąsło szarpane! Żadnej sportowej ambicji! U nas w szkole też takich nie brakuje! Jak we wrześniu nas dzielili na klasy, to dyrektor sobie zostawił samych niedołęgów i celujących, a do nas, dziewczynek przydzielił co najlepszych chłopaków.

Nie miała zamiaru go upokarzać, po prostu żałowała że taki jest, ale Diomka obraził się za słowo „niedołęgi”.

— Do której klasy chodzisz? — zapytał Asię.

— Do dziesiątej.

— Pozwalają wam na takie uczesanie?

— Ale — pozwalają! Walczą z nami! Ale my także walczymy!

Doszedł do wniosku, że mówiła z całą szczerością, otwarcie. Ale choćby to były kpiny, choćby zaczęła okładać Diomkę pięściami, i tak przyjemnie że doszło do tej rozmowy.

Skończyła się muzyka taneczna i speaker zaczął opowiadać o proteście wszystkich narodów przeciw haniebnym układom paryskim, niebezpiecznym dla Francji, ponieważ oddawały ją pod władzę Niemiec, ale zarazem nie do przyjęcia dla Niemców, ponieważ oddawały ich we władzę Francji.

— A w ogóle czym się zajmujesz? — Asia trzymała się swojego.

— W ogóle — pracuję jako tokarz — z niedbałą godnością powiedział Diomka.

Tokarz również Asi nie zaimponował.

— Ile zarabiasz?

Diomka bardzo szanował swój zarobek, bo był pierwszy w życiu i zdobyty w krwawym pocie. Ale zdał sobie sprawę, że nie potrafi wymienić liczby.

— At — wydusił wreszcie ze siebie — nie warto o tym mówić...

— Wszystko to są bzdury! — oświadczyła Asia z przekonaniem. — Lepiej żebyś został sportowcem! Masz odpowiednie warunki.

— Trzeba umieć...

— Jakie tam umieć! Każdy może zostać sportowcem! Tylko trzeba dużo trenować. A za to jak się opłaca! Przejazdy bezpłatne, wyżywienie dzienne za trzydzieści rubli, hotele! A do tego premie! A ile miast przy tym zwiedzisz!

— Gdzieś była, na przykład...?

— W Leningradzie, w Woroneżu...

— Leningrad ci się spodobał?

— Też pytanie! Magazyny! Bazary! Wszystko wyspecjalizowane — pończochy osobno, damskie torebki osobno...!

Diomka nie miał o tym wszystkim żadnego pojęcia, i owładnęła nim zazdrość. Bo może to i prawda, że to o czym mówiło dziewczynisko było najlepsze, a jego własne pojęcia i oceny wywodziły się z zapadłej prowincji.

Sanitariuszka stała nieruchomo jak posąg przy stole i wypływała słonecznikowe łuski na gazetę, nawet się nad nią nie pochylając.

— Jakże to — jesteś sportówka i trafiłaś tutaj?

Nie zdecydował się na zapytanie co i gdzie jej dolega. Pytanie mogłoby wypaść wstydliwie.

— Ja tylko na trzy dni, na badanie — Asia kiwnęła lekceważąco. Ciągłe musiała przytrzymywać i poprawiać szlafrok, który otwierał jej się poniżej szyi. — Diabli z tym szlafrokiem, dali taki że wstyd się w nim pokazać! W tym szpitalu wystarczy tygodniowy pobyt, żeby zwariować! A ty dlaczego tu jesteś?

— Ja? — Diomka mlasnął wargami. Właśnie miał chęć porozmawiać o swojej nodze, ale rozważnie, a ta pyta prosto z mostu. — Mam na nodze...

Dotychczas te trzy słowa „mam na nodze” — miały dla niego wielkie i gorzkie znaczenie. Ale zaraził się optymizmem Asi i już zaczynał wątpić, czy to rzeczywiście jest takie ważne. I opowiedział o nodze jak o swoich zarobkach — z lekceważeniem.

— Co mówią lekarze?

— Widzisz... Mówić mówią niewiele... Chcą nogę amputować.

Powiedział, twarz mu pociemniała, wpatrzył się w jasną twarz dziewczyniny.

— Co ty mówisz?! — Asia uderzyła go po ramieniu, jakby chodziło o starego kolegę. — Jak to — nogę amputować? Co oni — powariowali? Widocznie leczyć im się nie chce! W żadnym wypadku nie zgadzaj się! Lepiej umrzeć niż żyć bez nogi, rozumiesz! Cóż to za życie u kaleki?! Rozumiesz! Życie jest po to, żeby być szczęśliwym!

Oczywiście i tym razem miała rację! Cóż to za życie o kulach! Ot, jak teraz, siedziałby przy niej, a co zrobić z kulą? I jak kikut umieścić? Krzesła nie mógłby podnieść, to ona by mu podsunęła. Tak, życie bez nogi — to nie życie.

Życie jest po to, żeby być szczęśliwym.

— Od dawna tu jesteś?

— A już będzie... — Diomka obliczał w myśli. — Jakies trzy tygodnie.

— Coś potwornego! — Asia wzruszyła ramionami. — Cóż za nuda? Ani radia posłuchać, ani akordeonu! I wyobrażam sobie jakie tam rozmówki prowadzone są na szpitalnej sali!

Diomka nie miał chęci przyznać się, że po całych dniach pracuje, uczy się. Wszystkie uznawane przez niego wartości nie miały żadnego znaczenia w zestawieniu z ustami Asi. Wydało mu się, że wartości w jakie wierzył są grubo przesadzone, albo wręcz papierowe. Uśmiechnął się, chyba trochę z przymusem, niezbyt szczerze i powiedział:

— Więc na przykład omawialiśmy taką sprawę — czym ludzie żyją?

— Jak to?

— No że niby po co żyją, czy coś w tym rodzaju...

— Ha! — Asia miała na wszystko gotową odpowiedź. — Mieliśmy w szkole także takie wypracowanie: „Po co żyje człowiek?” A w planie podane tematy: o hodowcach bawełny, o dożarkach, o bohaterach wojny domowej, bohaterski czyn Pawła Korczagina i jak się do niego ustosunkowujesz, także bohaterstwo Matrosowa i jaki twój stosunek...

— A jaki?

— No niby jaki! Znaczy czy ty sam być się zdobył na takie bohaterstwo, czy nie. Obowiązkowo trzeba odpowiedzieć. Napisałeś wszyscy że tak, że zachowalibyśmy się tak samo — po co psuć sobie opinię przed egzaminami? A Saszka Gromow pyta: „A może ja bym napisał inaczej, co sam o tym myślę?” A nauczycielka na to: „Ja ci pokażę 'co sam myślę! Taką pałę ci wpakuję!” A największa była uciecha, kiedy jedna dziewczyna napisała: „Jeszcze nie jestem pewna, czy kocham moją ojczyznę, czy nie...”. Dopiero nauczycielka się rozgdakała! „To potworna myśl — powiada. — Jakże można ojczyzny nie kochać?” „Może kocham, ale nie jestem pewna. Trzeba sprawdzić”. — „Nie ma tu nic do sprawdzania! Powinnaś była z mlekiem matki wyssać miłość do ojczyzny! Na następną lekcję masz wszystko napisać na nowo!”. My tę nauczycielkę nazywamy ropuchą. Wchodzi do klasy — nigdy się nie uśmiechnie. No cóż, to zrozumiało: stara panna, osobiste życie nie udało się, to odbija sobie na nas. A już najbardziej nie znosi ładnych dziewczynek.

Asia powiedziała to jednym tchem. Dobrze wiedziała, jaką wartość ma ładniutki pyszczek. Najwidocznie nie odczuła choroby w żadnym stadium, żadnych cierpień, udręki, nie utraciła apetytu, nie zaznała bezsenności, zachowała świeży wdzięk i rumieńce, ot, po prostu przybiegła tu ze sportowej sali czy z boiska, z tanecznych świetlic, tylko na trzy dni, na badanie.

— A czy są dobrzy wykładowcy? — pytał Diomka. Gotów

był pytać o cokolwiek, żeby tylko nie zamilkła, żeby mówiła cokolwiek, a on żeby mógł się jej przyglądać.

— Gdzie tam, nie ma! Nadęte indyki! I w ogóle — szkoła! Szkoda nawet gadać!

Jej zdrowa wesołość udzielała się w całości Diomce. Był jej niezmiernie wdzięczny za tę gadaninę, pozbył się pierwotnego skrępowania, całkowicie wciągnięty w rozmowę. Nie miał chęci o nic się z nią spierać, pragnął zgodzić się na wszystko, nawet wbrew własnym przekonaniom. Zgodziłby się i na to co mówiła o jego nodze i amputacji, gdyby nie gryzący ból, który o niej ciągle przypominał. Jak daleko jeszcze zajdzie? Do połowy łydki? Do kolana? Czy aż do połowy uda, albo do biodra? I przez to samo pytanie „czym ludzie żyją?” było dla niego jednym z najważniejszych. Więc zapytał:

— No a jak ty myślisz tak naprawdę? Po co... w jakim celu człowiek żyje?

Nie, ta dziewczyna nie miała żadnych wątpliwości, wszystko widziała jasno. Popatrzyła na Diomkę zielonkowatymi oczami, jak gdyby nie bardzo wierzyła że się przed nią nie zgrywa, że pyta całkiem na serio.

— Jak to po co? Oczywiście, że dla miłości!

Dla miłości! To samo pisał Tołstoj, ale czy w takim właśnie sensie? Nauczycielka też od nich żądała „miłości”, ale chyba w jeszcze innym sensie? Diomka był jednak przyzwyczajony do precyzyjnych ujęć i chciał wszystko zrozumieć samodzielnie.

— Ale przecież... — powiedział ochrypniętym głosem (niby sprawa prosta, a wypowiedzieć jakoś niezręcznie) — miłość to przecież... To nie całe życie. Toż tylko... od czasu do czasu. Od pewnego wieku... i po granicę także pewnego wieku...

— Od jakiego wieku? Od jakiego? — dopytywała się Asia gniewnie, jak gdyby ją osobiście obraził. — Właśnie cała rozkosz w naszym wieku, a nie kiedy indziej! A cóż w życiu ciekawego poza miłością?

Podniesione brwi wyrażały absolutną pewność, że jej racjom nie można zaprzeczyć — Diomka nie zaprzeczał. Chciał tylko słuchać, a nie spierać się.

Zwróciła się ku niemu, pochyliła, a chociaż nie podniosła ręki, jemu wydało się że wyciąga obydwa ramiona nad ruinami wszystkiego co było na ziemi.

— To jest nasze zawsze! To jest — dzień dzisiejszy! A co tam jęzorami pytują, nie warto słuchać — czy coś tam będzie, czy czegoś nie będzie. Miłość — i to wszystko!

Zachowywała się w stosunku do niego z taką naturalną prostotą, jak gdyby przegadali ze sobą na różne tematy przynajmniej

ze sto wieczorów. I wydawało się, że gdyby nie było tu tej sanitariuszki gryzącej ziarnka, pielęgniarki, dwóch graczy w warcaby i chorych snujących się po korytarzu, to Asia natychmiast, w tym zakątku, gotowa byłaby pomóc mu zrozumieć, że to jest najlepszy wiek by posiąść praktyczną wiedzę czym ludzie żyją!

I oto Diomka z miejsca zapomniał, że ma nogę która boli go bez ustanku, nawet w nocy, która bolała go przed chwilą — i już nie miał chorej nogi. Diomka patrzył w rozchylenie szlafroka z otwartymi ustami. I to samo co wywoływało w nim taki wstręt, gdy patrzył na zachowanie się matki, po raz pierwszy wydało mu się czymś najzupełniej niewinnym, nieodpowiedzialnym za nic, czystym — słusznym przeciwieństwem wszystkiego, co na ziemi jest godne potępienia.

— A ty co? — półszepsem zapytała Asia, już gotowa do śmiechu, ale współczująca. — Ty dotychczas jeszcze nic...? Co, jesteś jeszcze prawiczkim?

Dioma poczuł, że gorące powietrze bije mu w uszy, w czoło, w twarz, jak gdyby go złapano na kradzieży. Dwadzieścia minut rozmowy z tą dziewczyną poderwało wszystko, w czym starał się upewniać przez całe lata. Z wyschniętym gardłem, jak gdyby błagał o litość, zapytał:

— A ty?

Pod szlafrokiem miała tylko koszulę i ciało i własną duszę, i niczego przed nim nie ukrywając, nie rozumiała po co ma cokolwiek ukrywać.

— Masz ci głę! Ja już w dziewiątej klasie! Jedna z koleżanek zasła w ciążę w ósmej! A jedną z naszych złapali w mieszkaniu, gdzie ona... za pieniądze, rozumiesz? Już miała książeczkę oszczędnościową! A jak się wykryło? Zapomniała w klasie i nauczycielka znalazła. A teraz w szkole — połowa dziewczynek! Przecież im wcześniej, tym przyjemniej! I niby po co odkładać? Atomowe stulecie!

## 11.

### BRZozowy GRZYB

A jednak w każdą sobotę wieczorem wszyscy wyczuwali jakąś ulgę. Także na oddziale chorych na raka. Niby nie wiadomo dlaczego, przecież w dniu niedzielnym nie uwalniali się od swoich chorób ani od rozmyślań o nich. Tak, ale byli wolni od rozmów

z lekarzami i od najważniejszych zabiegów leczniczych, i to najwidoczniej wystarczało, aby poruszyć odwieczną strunę naiwnej, dziecinnej radości, istniejącą w każdym człowieku.

Kiedy Diomka po rozmowie z Asią, ostrożnie poruszając coraz bardziej dokuczającą nogą, wygramolił się na schody i wszedł na swoją salę, panowało na niej o wiele większe ożywienie niż zazwyczaj. Nie tylko byli obecni wszyscy swoi, włącznie z Sibgatowem, ale ponadto goście z pierwszego piętra, wśród nich znajomi — stary Koreańczyk Ni, zwolniony z sali radiologicznej (dopóki miał w język wbite igły, trzymano go w odosobnieniu, pod kluczem, niczym w bankowym sejfie), i jacyś nowicjusze. Jeden z nowych, Rosjanin, bardzo postawny mężczyzna z wysoko podczesaną siwą czupryną, mówił tylko szeptem, miał chore gardło. Ten usiadł akurat na łóżku Diomy, zajmując jego połowę. Wszyscy słuchali, nawet ci którzy nie rozumieli po rosyjsku, jak Mursalimow i Egenberdiejew.

Przemawiał Kostogłotow. Siedział nie na łóżku, lecz wyżej, na parapecie okna, i w ten sposób uwydatniał wyjątkową powagę chwili. Żadna z bardziej surowych pielęgniarek nie pozwoliłaby mu rozsiadać się w takiej pozycji, ale dyżur miał pielęgniarz Turgun, swój chłop, który słusznie rozumował, że medycyna na tym żadnego szwanku nie poniesie. Kostogłotow był w samych skarpetkach, jedną nogę oparł o swoje łóżko, a drugą zgiął i położył na kolanie tamtej, jak gitarę. Kiwając się lekko, podniecony, rozprawiał głośno na całą salę.

— Był taki jeden filozof, Descartes się nazywał. Ten zalecał: „Wszystko powinno budzić twoje wątpliwości!”.

— Ale to nie dotyczy — upomniał go Rusanow, surowo podnosząc palec — naszej rzeczywistości!

— Nie, oczywiście że nie — zastrzeżenie zdziwiło Kostogłotowa. — Chciałem powiedzieć, żeśmy nie powinni ślepo wierzyć lekarzom, jak jakieś doświadczalne króliki. A tu, proszę, właśnie czytam książkę. — Wziął z parapetu otwarty tom dużego formatu. — Abrikosow i Strukow, „Anatomia patologiczna”, podręcznik dla studentów wyższej uczelni. Jest tu powiedziane, że związek rozwoju każdego nowotworu z funkcjonowaniem nerwowego systemu nie został jeszcze dostatecznie zbadany. Zaś związek ten jest wręcz zdumiewający! Tu dalej wyraźnie napisano — poszukał odpowiedniego zdania — że wprowadzie rzadko, ale zdarzają się wypadki s a m o r z u t n e g o u z d r o w i e n i a ! Co?

Na całej sali poruszenie. Jak gdyby z otwartego wielkiego tomu nagle, niczym jaskrawo-tęczowy motyl, wyfrunęło owo sa-

morzutne uzdrowienie i każdy starał się ustawić tak, żeby jego skrzydła musnęły mu czoło lub policzki.

— Samorzutne! — Kostogłotow odłożył książkę, jedną nogę trzymał w dalszym ciągu jak gitarę na kolanie drugiej i potrząsał rozczapierzonymi palcami rąk. — To znaczy że nagle, z niewyjaśnionych powodów, nowotwór zaczyna się cofać, zmniejszać się, zanikać, aż wreszcie zanika całkowicie. Co?!

Wszyscy milczeli z otwartymi ustami, jak po wysłuchaniu dziwnej bajki. Więc jednak możliwe, że jego nowotwór, ten zgubny nowotwór, który połamał całe życie, nagle zniknie sam przez się, przeminie bez śladu...

Wszyscy milczeli jak gdyby w obawie, że ów motyl odleci; tylko Poddujew poruszył się aż łóżko zaskrzypiało, pochylił głowę jak byk i powiedział chrapliwie:

— Ale do tego na pewno... potrzebne czyste sumienie.

Nawet nie wszyscy zrozumieli, czy to ma coś wspólnego z rozmową, czy tak tylko wtrącił po swojemu.

Paweł Nikołajewicz, który tym razem nie tylko z uwagą ale nawet z pewną sympatią słuchoł tego Ogłojeda, nerwowo zwrócił się do Poddujewa i ostro na niego krzyknął:

— Przecież to jakieś idealistyczne majaczenie! Co tu ma do rzeczy sumienie? Jak wam nie wstyd, towarzyszu Poddujew!

Kostogłotow z miejsca podchwycił:

— A to świetnie powiedział, Efrem! Pierwszorzędnie! Wszystko być może, co my tam wiemy! Na przykład, jakoś zaraz po wojnie, czytałem czasopismo, zdaje się *Gwiazda*, a w niej niezwykle interesujący artykuł. Okazuje się, że istnieje coś w rodzaju zaporę czy bariery, oddzielającej głowę człowieka od ciała, i że człowiek pozostaje przy życiu, jeżeli groźne dla niego bakterie czy tam mikroby nie przedostaną się przez tę zaporę do mózgu. A od czego to zależy?

Młody geolog, który od pierwszej chwili, gdy tylko przyszedł na salę, nie odrywał się od książek i obecnie siedział zaczytany na łóżku koło Kosogłotowa, niekiedy przerywał i przysłuchiwał się rozmowom. Podniósł głowę i słuchoł. Słuchali wszyscy, miejscowi i goście. Federau leżał pod piecem na boku i także słuchoł. Szyja jego była jeszcze nietknięta, ale już skazana.

— Więc okazuje się, że zależy od proporcji soli sodowej i soli potasowej. Jedna z nich, nie pamiętam już która, założyły że sodowa, broni człowieka i jeżeli ma przewagę, nie przepuszcza niebezpieczeństwa przez ową zaporę i człowiek żyje. A jeżeli odwrotnie, przeważa sól potasowa, zapora przestaje działać i człowiek umiera. A od czego zależy ta proporcja? To właśnie jest najbardziej interesujące! Zależy od usposobienia, na-



stroju człowieka!! Rozumiecie? Jeżeli człowiek ma dobre samopoczucie, jest rzeński na duchu, to w owej zaporze przewaga jest po stronie sodu i żadna choroba, absolutnie żadna nie może doprowadzić do śmierci! Ale wystarczy upaść na duchu, natychmiast zacznie przeważać sól potasowa, a wtedy już można zamać trumnę.

Geolog słuchał, miał na twarzy spokojny wyraz doświadczonego studenta, który zarazem ocenia i domyśla się co też po chwili zostanie powiedziane. Zgodził się z Kostogłotowem.

— Fizjologia optymizmu. W zasadzie pierwszorzędnie. Bardzo dobrze! — I jak gdyby chciał odrobić utracony czas, znowu wbił spojrzenie w książkę.

Nawet Paweł Nikołajewicz nie miał nic do powiedzenia. Ogłojed rozumował prawidłowo.

— Wobec tego — Kostogłotow dalej rozwijał swoją myśl — wcale bym się nie dziwił, gdyby za jakieś sto lat wykryto, że jakaś tam cezowa sól zjawia się w naszym organizmie gdy człowiek ma spokojne sumienie, a nie zjawia się, gdy na tym sumieniu coś ciąży. I właśnie od tej cezowej soli, od związku cezu zależy, czy nowotwór będzie rozszerzał się na sąsiednie tkanki, czy też zacznie zanikać.

Efrem westchnął głośno. Głos miał ochrypnięty.

— Nie jednej babie życie zniszczyłem. Rzucałem je — z dziećmi. Płakały... Mój nowotwór nie zaniknie.

— A co to ma do rzeczy?! — Paweł Nikołajewicz stracił panowanie nad sobą. — Przecież takie podejście to skrajnie reakcyjny klerykalizm! Towarzyszu Poddujew, widocznie naczytaliście się jakichś bzdur i rozbroiliście się ideologicznie! I przestańcie nam tu raz na zawsze bredzić o jakimś moralnym udoskonalaniu!

— A dlaczego tak się czepiacie tego moralnego udoskonalania? — warknął Kostogłotow. — Dlaczego to moralne udoskonalanie wywołuje w was taką wściekłość? Komu ono przeszkadza? Chyba tylko moralnym potworom!

— Pro... proszę się nie zapominać! — Paweł Nikołajewicz błysnął złocistą oprawą okularów z najwyższą surowością i tak przy tej okazji sztywno podniósł głowę, jak gdyby nie miał żadnego nowotworu pod szczęką. — Istnieją pewne zagadnienia, co do których już została ustalona opinia! I już wam nie wolno rozumować!

— A niby dlaczego nie wolno? — ciemne oczy Kostogłotowa wpiły się w Rusanowa.

— No już dobrze, dajcie spokój! — inni pacjenci starali się załagodzić sytuację.

— Słuchajcie, towarzyszu — szeptał tamten pozbawiony gło-

su, siedzący na łożku Diomki. — Wyście coś tam zaczęli mówić na temat brzoźowego grzyba...

Ale ani Rusanow ani Kostogłotow — żaden z nich nie zamierzał ustępować. Jeden o drugim nic nie wiedział, a jednak patrzyli na siebie z zaciekłą wrogością.

— Jeżeli już chcecie zabierać głos, to przynajmniej proszę zdobyć się na elementarną znajomość rzeczy. — Paweł Nikołajewicz wypluwał dosadnie każde słowo, by tym mocniej osadzić swego oponenta. — Co do moralnego udoskonalenia Lwa Tołstoja i całej kompanii raz na zawsze wypowiedział się Lenin! A także towarzysz Stalin! I Gorkij!

— Przepraszam! — Kostogłotow powstrzymał własną nerwowość, rękę wyciągnął przed siebie. — Nikt nie ma prawa powiedzieć, że coś jest r a z i n a z a w s z e. Bo w takim razie życie zatrzymałoby się na miejscu. I wszystkie następne pokolenia nie miałyby nic do powiedzenia.

Paweł Nikołajewicz oniemiał ze zdziwienia. Poczzerwieniały mu końce delikatnych białych uszu i na policzkach tu i ówdzie wystąpiły okrągłe czerwone plamy.

Tu by należało nie dyskutować, nie spierać się, lecz s p r a w d z i ć co to za jeden, skąd się wziął, co robi i czy te fałszywe, naprawdę wołające o pomstę poglądy nie szkodzą zajmowanemu przez niego stanowisku.

— Nie twierdzą — Kostogłotow mówił teraz coraz szybciej — że jestem biegły w społecznej wiedzy, niewiele mogłem się uczyć. Ale biorąc na własny rozum, tak kombinuję że jeżeli Lenin krytykował Lwa Tołstoja to tylko dlatego, że w tamtych czasach hasło moralnego doskonalenia się odwracało uwagę społeczeństwa od walki z tyranją, od dojrzewającej rewolucji. Tak! Ale dlaczego usiłujecie zatkać usta człowiekowi — wielkimi dłońmi wskazał na Poddujewa — który zastanawia się nad sensem życia, bo znalazł się na samej granicy śmierci? Dlaczego was irytuje, że czyta Tołstoja? Co w tym złego? A może Tołstoja należy spalić na stosie? Może rządowy Synod nie doprowadził jego sprawy do samego końca?

Nie mając odpowiedniego wykształcenia, Kostogłotow pomylił „Najświętszy Synod” z „rządowym”.

Teraz uszy Pawła Nikołajewicza rozkwitły jak dwie czerwone piwonie. Ten bezpośredni wypad przeciw rządowej instytucji (co prawda, nie dosłyszał o jaką instytucję chodziło), do tego wobec przypadkowych słuchaczy, dobranych nie według listy, komplikował sytuację i pogarszał ją na tyle, że należało natychmiast przerwać spór, natomiast Kosogłotowa przy najbliższej okazji s p r a w d z i ć. Dlatego też, nie podnosząc na razie sprawy do pryncy-

pialnego poziomu, Paweł Nikołajewicz powiedział pod adresem Poddujewa:

— Niech lepiej Ostrowskiego czyta. Będzie więcej pożytku.

Ale Kostogłotow nie docenił taktownego zachowania się Pawła Nikołajewicza, w ogóle go nie słuchał, nie przyjmował do wiadomości tego co mówi i rąbał po swojemu przed nieprzygotowanym audytorium.

— Dlaczego przeszkadzać człowiekowi w myśleniu? Ostatecznie do czego sprowadza się nasza filozofia życiowa? „Ach, jakie piękne jest życie!” „Życie, kocham cię!” „Życie jest po to, żeby być szczęśliwym!” Cóż za głębia! Ale to samo i bez nas może powiedzieć każde zwierzę — kot, pies, kura.

— Proszę was! Ja was bardzo proszę! — ostrzegał go Paweł Nikołajewicz, już nie z obywatelskiej powinności, już nie jak podmiot, lecz jako przedmiot historii. — Nie mówmy o śmierci! Nie wymieniamy jej nawet!

— Nie proście mnie, nic z tego! — Kostogłotow machał dłonią, wielką jak łopata. — Jeżeli *tu* mamy o śmierci nie mówić, to właściwie gdzie? „Ach, my będziemy żyć wiecznie!”

— Więc co? Co? — wołał Paweł Nikołajewicz. — Co nam proponujecie? Cały czas myśleć i mówić o śmierci? Żeby ta potasowa sól zdobyła przewagę?!

— Nie cały czas — Kostogłotow nieco złagodniał, zrozumiał, że wpada w sprzeczność. — Nie cały czas, ale przynajmniej niekiedy. To pożyteczne. Co my słyszymy przez całe życie na temat człowieka? Jesteś członkiem kolektywu! Jesteś członkiem kolektywu! To prawda. Ale tak jest dopóki żyjesz. A kiedy przyjdzie czas na umieranie, trzeba go z tego kolektywu wypuścić. Członek czy nie, ale ta śmierć jest jego własna, indywidualna. I opuchlina wchodzi na niego, nie na cały kolektyw. Jak jest na przykład z wami?! Tak, z wami!! — ordynarnie pokazywał palcem na Rusanowa. — Ano powiedzcie, czego boicie się najbardziej? Śmierci!! A o czym najbardziej boicie się mówić? O śmierci! Jak to się nazywa? Obłuda!

W zasadzie macie zupełną rację — sympatyczny geolog mówił cicho, ale wszyscy go usłyszeli. — Do tego stopnia boimy się śmierci, że nie chcemy myśleć o tych co już umarli. Nawet nie dbamy o ich groby.

— To słusznie; — zgodził się Rusanow. — Należy dbać o pomniki naszych bohaterów, o tym nawet w prasie pisano.

— Nie tylko chodzi o bohaterów, lecz o wszystkich zmarłych — geolog mówił tak łagodnym głosem, jakby nie był zdolny go podwyższyć. Był bardzo szczupły, ramiona nie zdradzały większej siły. — To doprawdy wstyd w jakim stanie znajdują się nie-

które nasze cmentarze, jak to widziałem pod Ałtajem i dalej w stronę Nowosybirsk. Żadnego ogrodzenia, pasie się bydło, ryją świnię. Cóż to, czy to wynika z naszego charakteru narodowego? Nie, dawniej u nas groby szanowano...

— Otaczano czcią! — uzupełnił go Kostogłotow.

Paweł Nikołajewicz przestał słuchać, spór z nimi stracił dla niego wszelkie znaczenie. Zapomniał o swoim stanie, zrobił nieostrożny ruch, co spowodowało taki ból w szyi i w głowie, że natychmiast zgasła w nim wszelka chęć do uświadamiania tych kpów i do rozpraszenia ich bredni. Ostatecznie dostał się do tej kliniki przypadkowo, i nie w tym otoczeniu powinien był spędzać tak ważny okres choroby. Najstraszniejsze było to, że po wczorajszym zastrzyku opuchlina nic a nic nie zmniejszyła się i nie zmiękła. Na samą myśl o tym robiło mu się zimno. Ogłędowi łatwo rozmawiać na temat śmierci, jest już rekonwalescentem.

Jegomość z innej sali, ten co usiadł na łóżku Diomki, pozbawiony głosu, postawny mężczyzna, z dłońmi na krtani, bo to jakby łagodziło ból, już kilka razy próbował wtrącić coś od siebie i przerwać nieprzyjemną kłótnię, ale jego szeptu nikt nie słyszał a mówić głośniej nie był w stanie, więc tylko kładł palce na krtani, by zmitygować ból i zmusić siebie do głośniejszego szeptu. Choroby języka i gardła, odbierające głos, jakoś specjalnie przygnębiają, a wyraz twarzy staje się odbiciem tego przygnębienia. Usiłował zwrócić uwagę kłócących się wymachiwaniem rąk, wysunął się naprzód i wreszcie dosłyszeli go, ponieważ geolog mówił bardzo cicho.

— Towarzysze! Towarzysze! — chrząkał takim tonem, że słuchaczom robiło się przykro, jakby ich samych bolały gardła. — Po co te ponure tematy? I tak jesteśmy wszyscy przybici naszym stanem! Towarzyszu! — szedł między łózkami i niemal błagalnie wyciągał dłoń (drugą trzymał na gardle) do Kostogłotowa, który siedział na parapecie niczym jakieś rozkudłane bóstwo. — Tak interesująco zaczęliście mówić o brzoźowym grzybie. Kontynuujcie, bardzo was proszę!

— Zaczynaj, Oleg, o tym grzybie! Coś przedtem powiedział? — prosił Sibgatow.

Także brązowy Ni, z trudem poruszając językiem, którego część odpadła przy poprzedniej kuracji a reszta była spuchnięta, niezrozumiale prosił o to samo.

Prosilili wszyscy.

Kostogłotowa opanowało dziwne uczucie. W ciągu tylu lat był przyzwyczajony, że gdy się ma do czynienia z ludźmi znajdującymi się n a w o l n o ś c i, należy mało mówić, ręce trzymać

za plecami, głowę mieć pochyloną, aż stało się to jego drugą naturą, jakby garbem od urodzenia. Nie zdołał się od tego odzwyczaić nawet po roku pobytu na zesłaniu. Kiedy spacerował po ścieżkach szpitalnego parku, mimowoli, w naturalny sposób, zakładał ręce za plecy. I oto ludzie wolni, z którymi przez tyle lat nie wolno mu było rozmawiać jak z równymi, a tym mniej naradzać się w ważnych sprawach, dla których było niebezpieczenie traktować go jak ludzką istotę, uściskać mu dłoń, czy przyjąć od niego list do przesłania — ci ludzie wolni, niczego nie podejrzewając, siedzieli teraz przed nim, nonszalancko rozpartym na parapecie, rozprawiającym autorytatywnym tonem. I spodziewali się, że im da cię nadziei. A i sam Oleg już się połapał, że przestał przeciwstawiać im siebie, że czuł się solidarny z nimi we wspólnym nieszczęściu.

Ale od czego najbardziej się odzwyczaił, to od występowania przed dużym audytorium, jak w ogóle od wszelkich zebrań, posiedzeń, wieców i nagle musiał stać się mówcą. Więc czuł się dziwacznie, jak w jakimś zabawnym śnie. Zupełnie tak, jakby się rozpędził na lodzie — już nie można się zatrzymać i lecis z tego rozpędu w nieznaną. Tak i on — rozpędził się po tym powrocie do zdrowia, niespodziewanym, ale zdaje się pewnym, i pędzi dalej bez zatrzymania.

— Przyjaciele! — zaczął mówić z niezwykłą u niego wielosłownością. — To zadziwiająca historia. Kiedy czekałem na przyjęcie do szpitala, pewien pacjent, który przyszedł na sprawdzenie, opowiedział mi ją. A ja, niczym nie ryzykując, natychmiast napisałem pocztówkę i podałem adres kliniki. I właśnie dziś przyszła odpowiedź. Zaledwie dwanaście dni — i już odpowiedź! Doktor Maslennikow nawet przeprasza mnie za tę zwłokę, bo jak się okazuje przeciętnie odpowiada na jakieś dziesięć listów dziennie. A na napisanie sensownego listu potrzeba co najmniej pół godziny! Czyli że codziennie traci około pięciu godzin na samo pisanie listów! I nic za to nie bierze!

— Przeciwnie, codziennie wydaje cztery ruble na znaczki — wtrącił Dioma.

— Tak. To wynosi cztery ruble dziennie. A w ciągu miesiąca — sto dwadzieścia! To nie jego obowiązek, nie jego zajęcie, to po prostu dobry uczynek. Czy też jak to należałoby nazwać? — Kostogłotow zwrócił się do Rusanowa ze złośliwą intencją. — H u m a n i t a r y z m, nie?

Ale Paweł Nikołajewicz kończył czytać w dzienniku budżetowe sprawozdanie i udał, że nie słyszy.

— Nie ma żadnego etatowego personelu, żadnych tam sekre-

tarzy, ani pomocników. Wszystko to robi poza normalną pracą. I chwały żadnej nie zarobił! Dla nas, chorych, lekarz jak przewoźnik na promie: w pół godzinki przeprowadził i po całej zabawie! Niejeden wyleczył się i o wszystkim zapomniał. Maslennikow skarży się w zakończeniu listu że pacjenci, ci zwłaszcza którym pomaga, przerywają korespondencję. Nie piszą jakie są wyniki, w jakich dawkach przyjmowali lekarstwo. I prosi mnie — rozumiecie, prosi, żebym odpowiedział dokładnie! A przecież my powinniśmy do kolan mu się kłaniać!

Kostogłotow był przekonany, a może tylko wmawiał w siebie, że bezinteresowność i pracowitość doktora Maslennikowa wzruszają go, że należy mówić o nim i chwalić go. To znaczy, że i on sam jeszcze nie jest tak bardzo zdeprawowany. Ale już nie stać by go było dzień po dniu poświęcać się dla innych jak Maslennikow.

— Oleg, opowiadaj porządnie! — prosił go Sibgatow ze słabym uśmiechem nadziei.

Jakże pragnął wyzdrowieć! Wyzdrowieć nagle i ostatecznie, pomimo że miał za sobą wieloletnie, dręczące i najoczywściej już beznadziejne leczenie. Żeby zagoiła się rana na krzyżu, żeby móc się wyprostować, pójść pewnym krokiem, czując się znowu mężczyzną i zuchem. Dzień dobry, Ludmiła Afanasjewna! A ja — wyzdrowiałem!

Jakże wszyscy pragnęli otrzymać wiadomość o lekarzu-czarodzieju, o lekarstwie nieznanym tutejszym lekarzom! Mogli udawać że wierzą albo nie, ale w głębi ducha każdy z nich gorąco wierzył, że gdzieś istnieje taki lekarz, albo zielarz, albo stara znachorka, wystarczy tylko dowiedzieć się gdzie, otrzymać lekarstwo — i już są uratowani!

Przecież nie może, nie może być, żeby wszyscy już byli skazani!

Można urządzać sobie kpiny z wszelkiego rodzaju cudów, dopóki jesteśmy zdrowi i silni, dopóki cieszymy się szczęściem, ale jeśli życie tak się skomplikuje, tak zostanie zaklinowane, że tylko cud nas może uratować, to zaczynamy wierzyć w ten jedyny, ten wyjątkowy cud!

Kostogłotow, wychodząc teraz naprzeciw łąpczywej nadziei z jaką czujnie słuchali go koledzy, zaczął mówić z gorącą siłą przekonania i z większą wiarą niż wtedy, gdy czytał list od doktora.

— Dobrze, Szaraf, zacznę od samego początku. Tamten spotkany pacjent opowiedział mi, że doktor Maslennikow to stary wiejski lekarz w Aleksandrowskim powiecie, niedaleko Moskwy. Że przez bardzo wiele lat leczył w tym samym szpitalu —



dawniej doktorzy siedzieli długo w tej samej miejscowości. I oto zwrócił uwagę, że chociaż w medycznych czasopismach piszą coraz więcej o chorobie raka, to wśród jego chłopskich pacjentów chorzy na raka jakoś się nie zdarzają. Jakże to możliwe?

(A właśnie, jakże to możliwe? Któż z nas przynajmniej w dzieciństwie nie stanął twarzą w twarz wobec Tajemnicy? Kto nie zetknął się z tą nieprzenikliwą, lecz poddającą się ścianą, kto ją przekroczył w taki czy inny sposób? W naszym powszednim, jednoznacznym, racjonalnym życiu, w którym nie ma miejsca dla rzeczy nieznanych, nagle objawia się Tajemnica i mówi: jestem tutaj! Nie zapominaj!).

— Zaczął więc Maslennikow dociekać, zaczął dociekać... — Kostogłotow nigdy nie powtarzał dwa razy tych samych słów, a teraz w tym powtarzaniu znajdował dziwną przyjemność — i oto co wykrył: nie mając pieniędzy na kupowanie herbaty, miejscowi chłopci zaparziali nie herbatę, lecz c z a g ę. Czaga — tak się inaczej nazywa brzozowy grzyb.

— A tak — przerwał mu Poddujew. — Koźlak albo podbrzeźniak. — Nawet do niego, który już zamknął się w ostatnich dniach w kręgu rozpacz i już zrezygnował, nawet do niego dotarła jasna nadzieja, że istnieje taki prosty, dostępny środek.

Dokoła byli ludzie z Południa i ci nie tylko podbrzeźniaka, ale niektórzy nawet samej brzozy nigdy nie widzieli, więc nie mogli sobie wyobrazić o czym rozprawiał Kostogłotow.

— Nie Efrem, to nie podbrzeźniak. Jeżeli pamiętasz, na starych brzożach trafiają się takie... no, coś w rodzaju narostów... szorstkie, poorane, po wierzchu czarne, wewnątrz ciemno-brązowe...

— To pewnie hubka? — dopytywał się Efrem. — Dawniej nią ogień krzesali!

— Być może. Tak więc ów Siergiej Nikitycz Maslennikow wpadł na pomysł: czy to nie właśnie tą c z a g ą rosyjscy chłopci już od kilku wieków leczą się na raka, sami nic o tym nie wiedząc?

— To znaczy profilaktycznie? — wtrącił młody geolog. Przez cały wieczór przeszkadzali mu czytać, jednakże warto było posłuchać tej rozmowy.

— Ale nie wystarczyło domyślić się, rozumiecie? Trzeba było sprawdzić. Trzeba było długi czas, rok za rokiem, obserwować kto tę niby herbatę pije a kto nie pije. A znowu dawać do picia tym, u których zjawiły się nowotwory, znaczy — wziąć na siebie odpowiedzialność za zrezygnowanie z innych środków. Następnie trzeba było stwierdzić przy jakiej temperaturze zaparzać i ile, czy wygotowywać czy nie, ile szklanek wypijać, czy nie



będzie szkodliwych następstw, na jaki nowotwór działa bardziej, na jaki mniej. Na to wszystko potrzeba było...

— No a teraz? A teraz? — Sibgatow był mocno podniecony.

Dioma pomyślał — a nuż ten środek pomógłby na nogę. Może by nogę uratował?

— Co — teraz? Teraz doktor już na listy odpowiada. Napisał mi jak się leczyć.

— Czy macie adres? — niecierpliwie pytał postawny, ten co trzymał się stale za krtań i mówił szeptem. Już wyciągnął z kieszonki szpitalnej bluzy wieczne pióro i notes. — Podał wam sposób użycia? A czy pisze, że ten środek pomaga na opuchlinę gardła?

Paweł Nikołajewicz bardzo pragnął zachować twarz i potraktować swego sąsiada z najwyższą pogardą i tak żeby ją odczuł, ale jak tu nie skorzystać z takiej okazji! Już nie był w stanie zgłębiać sensu liczb dotyczących projektu budżetu państwowego na rok 1955, przedstawionego na sesji Najwyższego Sowietu, już odłożył gazetę i stopniowo zwracał się twarzą do Ogłojeda, wyrażając całym sobą nadzieję, że ten zwykły rosyjski środek ludowy uleczy także i jego, syna rosyjskiego ludu. Bez żadnej już wrogości, by nie rozgniewać Ogłojeda, ale jednocześnie zgłaszając mimo wszystko zastrzeżenie, Paweł Nikołajewicz zapytał:

— A czy ten środek został uznany oficjalnie? Czy został aprobowany we właściwej instancji?

Z wysokości swego parapetu Kostogłotow uśmiechnął się.

— Co do instancji — nie wiem. List — pomachał w powietrzu niewielką żółtawą kartką papieru, zapisaną zielonym atramentem — jest rzeczowy: jak tłuc, jak rozpuszczać w wodzie. Myślę że gdyby to przeszło przez wszystkie instancje, to by już pielęgniarki ten napój roznosiły. A przy schodach stałaby cała beczka. Nie potrzeba by pisać do Aleksandrowa.

— Aleksandrow — postawny już zapisał. — A jaka poczta? Ulica? — rozpytywał pośpiesznie.

Achmadżan także słuchał z zainteresowaniem, ledwie nadążając tłumaczyć po cichu najważniejsze rzeczy Mursalimowowi i Egenberdijewowi. Jemu osobiście ten brzozowy grzyb nie był potrzebny, bo już był na rekonwalescencji. Ale jednej rzeczy wciąż nie rozumiał.

— Jeżeli ten grzyb tak skutkuje, to dlaczego doktorzy swojej techniki nim nie uzbroją? Dlaczego nie wprowadzą go do swego regulaminu?

— Achmadżan, to się tak szybko nie robi! Jedni nie wierzą, inni nie chcą wnosić zmian do swojej wiedzy i przeszkadzają,

a jeszcze inni przeszkadzają dlatego, żeby przeforsować własne środki. A my wybierać nie możemy.

Kostogłotow odpowiedział na pytania Rusanowa i Achmadżana, ale temu postawnemu, co mówił szeptem, nie odpowiedział — nie podał mu adresu. Zachował się tak, jak gdyby nie dosłyszał czy nie zdążył, ale w gruncie rzeczy nie chciał. Nie chciał, bo w tym szanownym jegomościu było coś natarczywego. Z figury i twarzy wyglądał na jakiegoś dyrektora banku, a w niewielkim południowo-amerykańskim kraju mógłby być nawet premierem. Ponadto Olegowi było żal starego szlchetnego Maslennikowa, ślęczącego w bezsenne noce nad listami nieznanym mu ludzi — ten bezgłosy zanudzi go pytaniami. Z drugiej strony jakże nie zlitować się nad tym chrypiącym gardłem, nad tą utratą dźwięcznego głosu, którego nie umiemy docenić póki go posiadamy. Z tym wszystkim Kostogłotow potrafił ustosunkować się do swojej choroby jak gdyby był specjalistą, już zdążył przeczytać anatomie patologiczną, zdobył odpowiedź Ganhart i Doncowej na różne pytania, a teraz otrzymał list od Maslennikowa. Czemuz to akurat on, przez tyle lat pozbawiony wszelkich praw, ma teraz uczyć tych wolnych ludzi jak się mają wykręcać pod miażdżącą ich skałą? Tam, gdzie się wykształcił jego charakter, panowało następujące prawo: „jeśliś znalazł — nie opowiadaj, jeśliś obdarł — nie pokazuj”. Jeżeli wszyscy hurmem zaczną pisać do Maslennikowa, to już Kostogłotow odpowiadzi na następny list nie otrzyma.

To wszystko przemknęło przez myśl Kostogłotowa w jednej krótkiej chwili, gdy przeciętą blizną twarz zwracał kolejno do Rusanowa i Achmadżana, udając że nie słyszy pytań tamtego, pozbawionego głosu.

— A czy pisze o sposobie użycia? — zapytał geolog. Ołówek i papier miał zawsze przed sobą, potrzebne mu były przy lekturze.

— Co do sposobu użycia, proszę bardzo, chwytajcie za ołówki, zaczynam dyktować — oświadczył Kostogłotow.

Zaczął się ruch, poszukiwanie ołówek i kartek papieru. Paweł Nikołajewicz nie miał (w domu zostawił wieczne pióro najnowszego typu), więc Diomka pożyczył mu ołówek. Wszyscy chcieli notować: Sibgatow, Federau, Efrem i Ni. Kiedy wreszcie byli gotowi i obstąpili Kostogłotowa, ten powoli zaczął dyktować według listu, wyjaśniając dodatkowo że c z a g i nie należy suszyć całkowicie, a także jak ją trzeć na drobną mączkę, jak wodę gotować, ile czasu odczekać, jak precedzać i ile pić.

Jedni pisali szybko, inni z trudem, prosili o powtórzenie niektórych wskazówek i zrobiło się na tej szpitalnej sali w jakiś osobliwy sposób przyjaźnie i serdecznie. Ileż to razy traktowali

siebie nawzajem z jawną wrogością, a cóż ich właściwie dzieliło? Mieli jednego tylko wroga — śmierć. Nic nie powinno dzielić ludzkich istot na ziemi, skoro właśnie śmierć jednakowo jest wszystkim pisana.

Dioma skończył notować i powoli powiedział jakimś grubym, nie pasującym do jego wieku głosem:

— Tak... Tylko skąd brzozę wziąć, przecież brzoź tutaj nie ma...

Ten i ów odpowiedział westchnieniem. Wielu z nich już dawno wyjechało z Rosji (niektórzy dobrowolnie), wielu w ogóle nigdy w niej nie było. Niewymyślny, umiarkowany kraj, niespalony słońcem, co raz to przesłonięty drobnym deszczem po którym tyle grzybów, kraj wiosennych powodzi, rozmiękłych polnych i leśnych dróg, cichy kraj, gdzie zwyczajne leśne drzewo tak bardzo jest potrzebne i tak pomaga człowiekowi. Mieszkańcy tego kraju nie zawsze rozumieją swojej ojczyzny, pragnęliby jasnoniebieskiego morza i bananowych gajów, a tymczasem co najbardziej potrzebne człowiekowi to czarna, bezkształtna narośl na bielutkiej brzoźce, jej choroba, jej opuchlina.

Tylko Mursalimow i Egenberdijew byli przekonani, że i tu — w stepie i w górach — na pewno istnieje wszystko co im potrzebne, bo wszędzie na ziemi człowiek znajdzie rzeczy niezbędne, wszystko jest przewidziane, trzeba tylko wiedzieć i umieć.

— Trzeba się do kogoś zwrócić z prośbą o zebranie i przysłanie — odpowiedział Diomce geolog. Najwidoczniej pomysł z czagą bardzo przypadł mu do przekonania.

Sam Kostogłotow, który wywiedział się o tym i przeprowadził korespondencję, nie miał nikogo kto by mógł zająć się poszukiwaniem brzożowego grzyba. Jedni umarli, inni rozpierzchli się, jeszcze do innych nie bardzo wypada się zgłaszać, a znowu pozostali to zabite mieszcuchy, co nie tylko grzyba ale i brzozy znaleźć nie potrafią. A dla niego nie byłoby teraz większej radości: podobnie jak pies ucieka w poszukiwaniu leczniczej trawy, by ratować się od wścieklizny, tak Kostogłotow poszedłby do lasu, by całymi miesiącami odrywać tę czagę od drzewnych pni, kruszyć, zaparzać nad ogniskiem, pić i wracać do zdrowia jak mądre zwierzę. Miesiącami wędrować po lasach i nie znać innej troski, prócz tej: powrót do zdrowia.

Ale Kostogłotow miał zakazaną drogę powrotną do Rosji.

Inni chorzy, którzy mieli tę drogę otwartą, nie znali życiowej mądrości, nie wiedzieli jak pozbyć się ofiarnie wszystkiego, prócz najważniejszej rzeczy. Dopatrywali się przeszkód tam, gdzie ich nie było. Jak otrzymać świadectwo lekarskie na wyjazd, jak zdobyć urlop, zmienić tryb życia, rozstać się z rodziną? Skąd wziąć

pieniądze? Jak należy się ubrać i co wziąć ze sobą w taką podróż? Na której stacji wysiąść z pociągu i kogo potem pytać o całą resztę?

Kostogłotow uderzył listem o otwartą dłoń i dodał:

— Maslennikow wspomina, że są dostawcy, po prostu przedsiębiorczy ludzie, którzy zbierają cz a g ę, suszą ją i wysyłają za zaliczeniem. Ale drogo biorą — piętnaście rubli za kilogram, a w ciągu miesiąca potrzeba sześciu kilogramów.

— A jakież oni mają prawo?! — oburzył się Paweł Nikołajewicz. Twarz jego przybrała taki surowy urzędowy wyraz, że każdy dostawca, gdyby go ujrzał, przeraziłby się a może nawet i zanieczyścił kalesony. — Trzeba nie mieć sumienia żeby zdzierać takie sumy za to, co przyroda dostarcza bezpłatnie!

— Nie podkrzykiwuj! — syknął na niego Efram. Przeinaczał słowa w nieprzyjemny sposób — może umyślnie, a może język odmawiał mu posłuszeństwa. — Cóż ty myślisz — ot tak podszedł do brzozy i po wszystkim?! Trzeba po lesie łązić z workiem i siekierą. A jeśli w zimie, to na nartach.

— Ale nie piętnaście rubli za kilogram! Przekłęci spekulanci! — nie ustępował Rusanow. Na twarzy znowu wystąpiły czerwone plamy.

Chodziło o zbyt zasadniczą sprawę. Z biegiem czasu Rusanow coraz mocniej utrwalał w sobie bezwzględną pewność, że wszystkie nasze deficyty, braki, niedociągnięcia, niedobory — wszystkie były wynikiem spekulacji. Zarówno drobnej spekulacji, jak handel szczypiorkiem, rzodkiewką, kwiatami, jajami i mlekiem na targu, albo sprzedaż wełnianych skarpetek, jabłek i nawet smażonych ryb na stacjach kolejowych; jak naturalnie wielkiej spekulacji, gdy towary z państwowych składów wywożone są na ciężarówkach i sprzedawane gdzieś na lewo.

Jeżeli i jedną i drugą spekulację wyrwać z korzeniami, wszystko u nas szybko ulegnie poprawie i osiągnięcia będą jeszcze bardziej zdumiewające. Nie ma nic złego, jeżeli obywatel umacnia swoją materialną pozycję dzięki wysokiej pensji państwowej i równie wysokiej emeryturze. Paweł Nikołajewicz marzył o otrzymaniu specjalnej emerytury, przyznawanej za zasługi osobiste. W takim wypadku samochód, własna willa na wsi i nieduża jednorodzinna kamieniczka będą ucziwicie zapracowane.

Ale samochód tej samej marki i taka sama, według standaryzowanego projektu, zbudowana willa nabierały zupełnie innego, zbrodniczego sensu, jeżeli zostały kupione za pieniądze pochodzące ze spekulacji. Paweł Nikołajewicz marzył, właśnie m a r z y ł o wprowadzeniu publicznych egzekucji dla spekulantów. Publicz-

ne egzekucje mogłyby szybko i ostatecznie uzdrowić nasze społeczeństwo.

— Dobra! — Efrem także wpadł w gniew. — Nie podkrzykiwuj, a sam jedź i zorganizuj dostawę! Chcesz — państwową! Chcesz — spółdzielczą! A jeżeli dla ciebie piętnaście rubli za drogo — nie zamawiaj!

Tak, to była słaba strona i Rusanow dobrze to rozumiał. Nienawidził spekulantów, ale w tej właśnie chwili, zanim nowe lekarstwo zostanie zaaprobowane przez Akademię Nauk Medycznych, zanim spółdzielnie okręgów Rosji Środkowej zorganizują systematyczne dostawy, nowotwór Pawła Nikołajewicza nie pozostawiał czasu na czekanie.

Ów nowy pacjent, mówiący szeptem, pchał się do Kostogłotowa z notesem w rękę niczym korespondent wpływowego dziennika, i chrapliwie pytał:

— Adresy dostawców... Adresów dostawców w liście nie ma?

Paweł Nikołajewicz również czekał na właściwą chwilę, żeby zanotować adresy. Ale Kostogłotow z jakichś powodów nie odpowiadał. Czy w liście był jakiś adres czy go nie było, dość że nie odpowiadał. Zlązł z okiennego parapetu i szukał butów pod łóżkiem. Wbrew szpitalnym przepisom, ukrył je i używał do swoich codziennych spacerów.

Tymczasem Dioma schował do swojej szafki receptę Maslennikowa i o nic więcej nie pytając, ostrożnie układał bolącą nogę na łóżku. Tylu pieniędzy nie miał i zdobyć nie mógł.

Brzoza pomagała, ale nie wszystkim.

Rusanow poczuł się w przykłej sytuacji. Po starciu z Ogłojedem — a to nie pierwsze starcie w ciągu tych trzech dni — nie tylko zainteresował się jego opowiadaniem, ale ponadto zależało mu na zdobyciu adresu. Żeby jakoś udobruchać Ogłojeda, i czy to umyślnie czy mimowoli wysunąć na pierwszy plan to co ich łączyło, Paweł Nikołajewicz powiedział całkiem szczerze:

— Tak! Czyż może być coś na świecie gorszego... (rak? — nie, przecież nie miał raka!) — od tych... onkologicznych... i w ogóle raka?

Ale Kostogłotow w najmniejszym stopniu nie poczuł się poruszony dopuszczeniem do poufałości przez człowieka starszego wiekiem, pozycją społeczną i doświadczeniem. Okręcał stopę zrudziałą onucą wyciągniętą z cholewy, po czym naciągnął ohydny, mocno zniszczony but ze sztucznej skóry, mocno połatany, i wypalił:

— Co gorsze od raka? Trąd!

Ciężkie, groźne słowo zagrzmiało w sali jak salwa.

Paweł Nikołajewicz zmarszczył się pojednawczo:

— A właściwie dlaczego? Dlaczego gorsze? Przecież proces rozwija się bardziej powoli...

Ciemne spojrzenie Kostogłotowa wparło się nieżyczliwie w przezroczyście okulary i jasne oczy Pawła Nikołajewicza.

— Dlatego gorsze, że żywych ludzi wyrzuca się za nawias społeczeństwa. Odbiera się rodzinie, sadza za druty. Sądzicie, że to lepsze niż nowotwór?

Pawłowi Nikołajewiczowi zrobiło się nieswojo pod mrocznym i zarazem gorejącym spojrzeniem tego brutalnego, nieociosanego człowieka. Czuł się wobec niego bezbronny w swym osamotnieniu.

— Chciałem powiedzieć, że w ogóle te przeklęte choroby...

Jako tako inteligentny człowiek musiałby zrozumieć, że należy uczynić jakiś pojednawczy krok w stosunku do Pawła Nikołajewicza. Ogłojed nie był w stanie tego zrozumieć. Nie docenił taktownej postawy Rusanowa. Wyprostował się na całą swoją wysokość, włożył szarobury barchanowy szlafrok, zbyt na niego obszerny i sięgający butów — chodził w nim na spacer — i oświadczył zarozumiale, sądząc że wypada bardzo uczenie:

— Pewien filozof powiedział: gdyby człowiek nie chorował, nie poznałby własnych ograniczeń.

Z kieszeni szlafroka wyjął zwinięty wojskowy pas, szeroki na cztery palce, z klamrą na której widniała pięcioramienna gwiazda, przepasał nim ten babski szlafrok, uważając, by nie dotknąć opuchliny. I dusząc w palcach żalosego, cieniutkiego papierosa, z tych co gasną zanim się dopalą, skierował się ku wyjściu. Jegomość o wyglądzie bankiera albo ministra cofał się przed Kosogłotowem w przejściu między łózkami i schrypniętym szep-tem pytał go tak błagalnie, jak gdyby to był luminarz wiedzy onkologicznej, odchodzący z tego szpitala na zawsze.

— Proszę mi powiedzieć, w ilu wypadkach na sto opuchlina krtani jest rakiem?

Nie należy uprawiać kpin z choroby i nieszczęścia, ale każdy powinien znosić chorobę i nieszczęście tak, żeby nie wywoływać śmiechu. Kostogłotow patrzył w twarz tego człowieka, tak zabawnie ciskającego się dziś na sali szpitalnej, a przecież tak pewnego siebie nim zachorował na gardło. Nawet ten, zrozumiały zresztą, zwyczaj trzymania podczas rozmowy dłoni na bolącym miejscu wypadał dość zabawnie.

— W trzydziestu czterech procentach — uśmiechnął się Kostogłotow, odchodząc nieco od natręta.

A czy przypadkiem on sam nie rozapał się dziś zanadto?



Czy nie gadał za wiele, nie powiedział rzeczy których mówić nie należy?

Niespokojny jegomość nie chciał jednak odczepić się, towarzyszył Olegowi na schodach i chrypiał, pochylając się nad jego ramieniem:

— A jak wy, towarzyszu, sądzicie — moja opuchlina nie sprawia mi żadnego bólu — czy to lepiej czy gorzej? O czym to świadczy?

Natarczywi, bezbronni ludzie!

— Kim jesteście z zawodu? — Kostogłotow zatrzymał się na chwilę.

— Wykładowcą na uniwersytecie — jegomość patrzył na Kostogłotowa z nadzieją, jak gdyby ten był lekarzem. Pod starannie zaczesanymi siwymi włosami sterczały duże uszy.

— Wykładowca czego? W jakiej dziedzinie?

— Filozofia — odpowiedział tamten, przypominając sobie kim jest i przybierając odpowiednią postawę. Poprzednio mocno zrywał się słuchając Kostogłotowa, ale w końcu wybaczył mu niewłaściwie stosowane cytaty z dawnych filozofów. Nie miał mu już tego za złe, chodziło mu o adresy dostawców.

— Wykładowca i chora krtań! — Kostogłotow pokiwał głową. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, że przedtem, na sali nie podał głośno tych adresów. Środowisko w którym obracał się przez tyle lat, i które tyle razy miażdżyło go jak walcarka kawał blachy, nauczyło Kostogłotowa, że tak mógłby postąpić jedynie ostatni frajer: wszyscy zaczną pisać do dostawców, ceny z miejsca pójdą w górę i już tej cza gi nie dostaniesz. Ale poszczególnym osobom postanowił dać adresy. Geologowi, z którym nie zamienił nawet dziesięciu słów, da na pewno bo spodobał mu się jego pysk, a ponadto poparł on Kostogłotowa w sprawie cmentarzy.

Diomce także da, ale Diomka nie ma pieniędzy. Kostogłotow też ich nie ma — czym zapłaci za c z a g ę? Można także dać Federauowi, Koreańczykowi Ni, Sibgatowowi — wszyscy towarzysze w nieszczęściu. Ale niech każdy poprosi osobno, a kto nie — do widzenia! A ten wykładowca-filozof — myślał Kostogłotow — nonsensowny jegomość i czym tam w swoich wykładach zawraca głowę... Może tylko zamęt wprowadza do mózgów? I co z tej całej jego filozofii, jeśli w obliczu choroby całkowicie się zatracił?

Ale akurat tak się stało, że zachorował na gardło!

— Notujcie adres dostawcy! — zadysponował Kostogłotow.  
— Ale to wyłącznie dla was!



Filozof pochylił się nad notesem, całym sobą wyrażając najwyższą wdzięczność.

Oleg podał adres, odczepił się od niego i szybko, zanim główne drzwi zostały zamknięte, poszedł na spacer.

Ani za drzwiami, ani na ganku nie było nikogo.

Oleg z przyjemnością odetchnął chłodnym, wilgotnym powietrzem i natychmiast, zanim wypełniło mu płuca, zapalił papierosa. Bez niego czułby się nieszczęśliwy. A przecież nie tylko Doncowa, także Maslennikow wstawił do swego listu uwagę, że należy przestać palić.

Nie było mrozu ani najłżejszego wiatru. Światło padało z jednego okna, wrywając z mroku pobliską kałużę — czarna woda nie była ścięta lodem. Dopiero piąty lutego i już wiosna — rzecz niezwykajna. Mgła nie mgła, raczej lekka mgiełka, wisiała w nieruchomym powietrzu — tak lekka, że nie przesłaniała a tylko łagodziła zarysy okien i oddalone światła latarni.

Po lewej ręce Olega strzelały w górę, powyżej dachu, cztery potężne topole — jednakowego wzrostu, jak czterej bracia. Po drugiej stronie samotna topola, tejże wysokości ale bardziej rozrośnięta. Za nią gęstwa drzew, jeszcze dalej szpitalny park odchodził w mrok trójkątnym klinem.

Otwarty ganek trzynastego oddziału wpierał się kilkoma kamiennymi stopniami w spadzistą wyasfaltowaną aleję, wzdłuż której z obu stron szedł żywopłot tak gęsty, że nie do przejścia. Drzewa i krzaki były w tej chwili bezlistne, ale sama ich gęstwa świadczyła o utajonym życiu.

Oleg wyszedł na spacer — chciał chodzić parkowymi alejami, każdym krokiem i ruchem czuć radość że nogi niosą go pewnie, niosą człowieka jeszcze żywego. Ale widok roztaczający się z ganka powstrzymał go. Stał i dopalał papierosa.

Okna i latarnie oddziałów znajdujących się po przeciwnej stronie rzucały łagodne światło. Park był o tej porze prawie bezludny. Kiedy spoza szpitala nie dolatywał huk pociągów przełatujących w pobliżu, aż tu dochodził jednostajny szum bystrej górskiej rzeczki, spienionej, szarpiącej się pod urwiskiem, tam za następnym oddziałem.

A jeszcze dalej, za urwiskiem, za rzeczką był inny park, miejski; to pewnie z tego parku, a może z otwartych okien klubu, dobiegały dźwięki tanecznej muzyki. Grała dęta orkiestra, była sobota i wszyscy tańczyli mimo chłodu. Tańczyły jakieś pary...

Oleg był podniecony. Tyle dziś mówił i słuchano go z uwagą. Opadło go i opanowało poczucie nagle powracającego życia, a ledwie przed dwoma tygodniami sądził że już zakończył wszelkie z nim rozrachunki. Prawda, to powrotne życie nie obiecywało

mu niczego co cenili, o co rozbijali się mieszkańcy tego wielkiego miasta: ani mieszkania, ani majątku, ani powodzenia, ani pieniędzy. Ale obiecywało mu inne istotne satysfakcje, które nauczył się w pełni doceniać: prawo do chodzenia po ziemi, nie czekając na słowa komendy; prawo do samotności; prawo do patrzenia na gwiazdy, nie przyćmione jaskrawym blaskiem obozowych latarni; prawo do gaszenia światła w nocy i spania w ciemności; prawo do wrzucania listów do pocztowej skrzynki; prawo do odpoczynku w niedzielę; prawo do kąpania się w rzece. I wiele, bardzo wiele innych, podobnych praw!

A wśród nich — prawo do rozmawiania z kobietami.

I oto rekonwalescencja przywracała mu te wszystkie, niezliczone prawa!

Stał, palił papierosa i rozkoszował się swoim szczęściem.

Z miejskiego parku dobiegały dźwięki muzyki, Oleg ich słuchał, a właściwie nie ich, lecz jak gdyby czwartej symfonii Czajkowskiego, która dźwięczała w nim samym tak wyraźnie, że słyszał niespokojny trudny początek tej symfonii, jedną zadziwiającą melodię tego początku. Oleg interpretował ją po swojemu, być może w niewłaściwy sposób: oto bohater powraca do życia, a może był niewidomy i teraz odzyskał wzrok — kładzie dłoń, prowadzi ją po różnych przedmiotach lub po ukochanej twarzy, poznaje dotykiem i boi się jeszcze uwierzyć w swoje szczęście, że te przedmioty, ta twarz naprawdę istnieją, że jego oczy widzą ponownie.

## 12.

### NAMIĘTNOŚCI POWRACAJĄ

W niedzielny ranek Zoja z pośpiechem ubierała się przed pójściem do pracy i przypomniała sobie, że Kostogłotow prosił ją by koniecznie przysłała na najbliższy dyżur w tej samej szarolocistej sukience, której kołnierzyk dostrzegł pod kitem poprzedniego wieczora, a teraz chciał obejrzeć przy dziennym świetle. Wypełnianie bezinteresownych prośb zawsze sprawia przyjemność. Zresztą sukienka była odpowiednia na niedzielę, bo bardziej elegancka od innych; Zoja miała nadzieję że nie będzie dużo zajęcia, więc znajdzie czas by rozerwać się rozmową z Kostogłotowem.

W pośpiechu, w ostatniej chwili, włożyła tę zamówioną przez

niego sukienkę, uperfumowała się kilkoma ruchami dłoni, rozczesała grzywkę, a że już zbliżała się godzina, palto narzuciła na siebie w drzwiach; babcia ledwie zdążyła wsunąć jej śniadanie do kieszeni.

Ranek był chłodnawy, wilgotny, ale już nie zimowy. W Rosji przy takiej pogodzie ludzie chodzą w lekkich płaszczach. Ale tu, na Południu, panują inne pojęcia na temat upału i zimna; nawet w upalne dni chodzi się tu w wełnianych ubraniach, palto zdejmuje się możliwie jak najpóźniej a wkłada jak najwcześniej, a jeżeli ktoś posiada futro, nie może doczekać się choćby kilku mroźnych dni.

Za rogiem ulicy Zoja od razu dojrzała swój tramwaj, goniła go aż do następnej przecznicy, wskoczyła na przystanku ostatnia, zaczerwieniona, zadyszana, i została na tylnej platformie, gdzie był przewiew. Tramwaje w tym mieście były powolne i hałaśliwe, na zakrętach przeraźliwie zgrzytały na szynach; żaden z nich nie miał automatycznych drzwi.

Utrata tchu a nawet kłucie w piersi sprawiały przyjemność młodemu ciału, gdyż szybko mijały, więc świadomość zdrowia i świątecznego nastroju były jeszcze pełniejsze.

Na razie w instytucie wakacje, tylko klinika — trzy pełne dyżury i jeden skrócony na cały tydzień, to było łatwe, prawdziwy odpoczynek. Oczywiście byłoby jeszcze lżej bez tych dyżurów, ale Zoja już zdążyła się przyzwyczaić do podwójnego ciężaru: drugi rok uczyła się i pracowała. Nie chodziło o praktykę, praktyka w klinice dawała niewiele; chodziło o pieniądze: pensji babci nie starczało nawet na chleb, stypendium natychmiast znikало, ojciec nie przysyłał ani grosza; Zoja o nic go nie prosiła, u takiego ojca Zoja nie chciała się zadłużać.

Przez pierwsze dni wakacji, po tamtym nocnym dyżurze, Zoja nie próżnowała, od dzieciństwa przyzwyczaiła się do pracy. Najpierw zabrała się do szycia wiosennej bluzki z krepowej żorżety, kupionej jeszcze za grudniową pensję. Babcia zawsze mawiała: „Sanie szykuj w lecie, a wóz w zimie”, i zgodnie z tym porzekadłem najlepsze towary na lato można było kupić tylko w zimie.

Szyła na starym babcinym „Singerze” — jakoś go przywlekły ze Smoleńska — szycia nauczyła się początkowo także od babci, ale były to sposoby staroświeckie, więc Zoja bystrym wzrokiem podpatrywała ile mogła u sąsiadek i znajomych, które przeszły przez kursy kroju i szycia; Zoja czasu na to nie miała. W ciągu tych dwóch dni bluzki dokończyć nie mogła, ale za to obeszła kilka chemicznych pralni i oporządziła swoje stare, letnie paletko. Pojechała na targ po kartofle i jarzyny, wyklóciła się zajadle o ceny i przywiozła do domu dwie ciężkie torby; w kolejkach do

sklepów stała zawsze babcia, ale ciężarów nosić nie mogła. Potem była w łaźni. Na odpoczynek i lekturę czasu już nie starczyło. Ponadto wczoraj wieczorem poszła razem z Ritą, koleżanką z tego samego roku, do Domu Kultury na tańce.

Zoja bardzo pragnęła znaleźć coś w lepszym guście, ciekawszego, by poznawać młodzież poza klubami. Na jej wydziale i roku było dużo dziewcząt rosyjskich, a chłopców Rosjan prawie nie było. Toteż na wieczorki w instytucie Zoja wolała nie chodzić.

Dom Kultury, do którego poszła z Ritą, był obszerny, czysto utrzymany, ciepły, marmurowe schody i kolumny, ogromne zwierciadła w brązowych ramach — oglądasz siebie z daleka gdy idziesz albo tańczysz, a ponadto drogie, wygodne fotele, cóż kiedy wszystkie w pokrowcach i nie wolno było na nich siadać.

Od sylwestrowego wieczora Zoja nie była tam ani razu, gdyż czuła się mocno obrażona. Był bal maskowy i nagrody za najlepsze kostiumy. Zoja uszyła sobie kostium ze wspaniałym ogonem: strój udawał małpę. Wszystko było przemyślane i dostosowane do siebie: uczesanie, odrobina szminki, zgrane kolory, wypadło ładnie i zabawnie, i Zoja była prawie pewna, że pomimo licznej konkurencji otrzyma pierwszą nagrodę. Ale tuż przed przyznaniem nagród jakiś ordynusy nożem obciął ogon, podały go dalej i schowały. Zoja rozplakała się nie tylko z powodu tego chamskiego wybryku, ale także dlatego że wszyscy dokoła śmieli się, przekonani że był to dobry dowcip. Bez ogona kostium stracił bardzo wiele, a przy tym Zoja rozkleiła się zupełnie i nie otrzymała żadnej nagrody.

Uraza trwała tak długo, że nawet wczoraj weszła do klubu z uczuciem wyrządzonej jej krzywdy. Ale nic i nikt nie przypominał jej tej małpiej przygody. Towarzystwo było urozmaicone: studenci z różnych instytutów i także chłopaki z fabryk. Koleżankom nie pozwolono zatańczyć ze sobą ani razu. Zostały natychmiast odseparowane i przez trzy godziny bez przerwy tańczyły, kręciły się i dreptały w miejscu do wtóru dętej orkiestry. Przyjemnie było wyładować się w ciągłym ruchu, a najprzyjemniej robić to co w tańcu najważniejsze; jawnie, na oczach wszystkich, przyciskać się do partnera.

Ale tancerze mówili niewiele, a jeśli żartowali to, jak na gust Zoji dość głupkowato. Potem technik-konstruktor, imieniem Kola, odprowadził ją do domu. Po drodze mówili o hinduskich filmach, o morskich podróżach; poważne tematy wypadłyby w tej sytuacji śmiesznie. Zaszyli się w najciemniejszy kąt przy głównej bramie i całowali przez dłuższy czas. A już najdłużej Kola obmacywał jej prowokujące piersi, które rzeczywiście nie dawały spokoju nikomu. Próbował także innych sposobów, Zoji było przyjemnie, ale

gdy nieco ochłoneła, zdała sobie sprawę że już późno, nazajutrz trzeba wcześniej wstać, więc odprawiła Kołę i szybko po starych schodach wbiegła na piętro.

Wśród koleżanek Zoji, a najbardziej wśród studentek medycyny, rozpowszechniony był pogląd, że od życia należy brać możliwie najwięcej, a im wcześniej tym lepiej. To powszechne, wszystkich ogarniające przekonanie sprawiało, że trudno było już na pierwszym, a tym bardziej na drugim i trzecim roku, pozostawać czymś w rodzaju starej panny, która ogranicza się do dokładnej znajomości tylko teorii. Więc również Zoja przeszła z różnymi chłopcami wszystkie stopnie zbliżenia, gdy za każdym razem pozwala się na coraz więcej, aż przychodzi zachwycenie, całkowite poddanie się i takie chwile, że choćby dom zbombardowano, nie podobna przerwać... A potem znużenie i zniechęcenie, zbiera się z podłogi i z krzeseł porozrzucane części ubrania, których się nie powinno nigdy oglądać razem, a teraz już to nie dziwi, ubierasz się na jego oczach jakby chodziło o rzecz bez znaczenia.

Dzięki tak silnym przeżyciom Zoja przed trzecim rokiem studiów przestała być „starą panną”, a jednak to nie było *to* czego szukała. Brakowało jej dalszego ciągu, właśnie ciągłości, dającej życiu stałość i właściwy sens.

Zoja miała dopiero dwadzieścia trzy lata, ale już sporo widziała i zapamiętała: długą, doprowadzającą do szaleństwa ewakuację ze Smoleńska, najpierw towarowymi wagonami, potem barką i znowu koleją, a przede wszystkim owego sąsiada w wagonie, który sznurkiem wymierzał każdemu miejsce na pryczach i udowadniał, że Zoja zajmuje o dwa centymetry za dużo; głodne, nerwowe życie w latach wojennych, gdy rozmowy toczyły się niemal wyłącznie na temat kartek żywnościowych i cen na czarnym rynku; gdy wujek Fiedia wykradał z szafki szczupłą porcyjkę chleba, przydzieloną Zoji; a teraz, w klinice — nieznośne cierpienia chorych na raka, ich stracone życie, ich łzy i żałosne opowieści.

Więc te wszystkie uściski, pieszczoty i cały dalszy ciąg wydawały się jedynie drobnymi kropelkami słodczy w gorzkich odmętach życia. Nie podobna było nasycić się nimi całkowicie.

Czy to znaczyło, że trzeba koniecznie wyjść za mąż? Że szczęście znajdzie w małżeństwie? Młodzieńcy, których poznawała, z którymi tańczyła i bawiła się, wszyscy co do jednego zdradzali jeden jedyny zamiar — ciepłe łóżko, rozkosz i nogi za pas! A między sobą mówili: „Ja bym się może ożenił, ale przecież jutro wieczorem albo pojutrze znajdę nową przyjaciółkę! Więc po co się żenić?”

Istotnie po co mieliby się żenić, jeżeli kobieta stała się taka

dostępna! Jeżeli na targ dostarczono nadmiar pomidorów, nie można żądać za nie potrójnej ceny — zgniją; jakże robić ze siebie niedostępną kobietę, gdy wszystkie inne są takie łatwe!

Rejestracja w urzędzie niczego nie rozwiązywała. Zoja miała przed oczami przykład innej pielęgniarki, która z nią pracowała na zmianę, Ukrainki Marii: zawierzyła, poszła się zarejestrować, mimo to mąż rzucił ją po tygodniu, odjechał i przepadł bez śladu. Od siedmiu lat Maria własnym wysiłkiem wychowuje dzieciaka, a przy tym uważana jest za mężatkę.

Więc na wieczornych zabawach z wódką, gdy Zoja wchodziła w niebezpieczny okres, miała się pilnie na baczności, jak saper na zaminowanym polu.

Zoja miała jeszcze inny przykład, o wiele jej bliższy — nie-szczęśliwe życie własnych rodziców; pamiętała jak ciągle się ze sobą kłócili, godzili, rozjeżdżali do innych miast, znowu łączyli i tak przez całe życie. Zoja wolałaby napić się siarczanego kwasu, niż powtórzyć błąd matki.

W takich wypadkach urzędowe zarejestrowanie nie mogło mieć żadnego znaczenia.

Zoja miała rozwinięte poczucie równowagi i harmonii. We wszystkim. Była harmonijnie zbudowana, miała także charakter i takie samo podejście do wszystkich zagadnień życiowych. Więc ułożenie sobie przyszłego życia, jego rozszerzenie na innego człowieka, mogłoby nastąpić też tylko w duchu takiej harmonii.

I jeżeli mężczyzna, w przerwach między pocałunkami i pieszczołami, robił niemądre, wulgarne uwagi, albo jak wczorajszy Kola prawie dosłownie cytował filmowe dialogi, już raniło to jej poczucie harmonii i nie mógł jej się naprawdę podobać.

Aż do końca podróży Zoja stała na tylnej platformie tramwaju, który gwałtownie zarzucał na każdym zakręcie. Konduktorka głośno besztła jakiegoś młodzieńca za to że nie kupił biletu, a ten słuchał, i w dalszym ciągu nie płacił. Tramwaj wziął zakręt by zatoczyć koło, po tamtej stronie już czekał mały tłumek. Zbesztany młodzieniec zeskoczył w biegu, potem jakiś chłopiec. Zoja zręcznie uczyniła to samo, bo stąd miała bliżej.

Była już minuta po ósmej, więc Zoja puściła się biegiem po krętej, asfaltowej ścieżce szpitalnego parku. Jako pielęgniarka nie wolno jej było biec, ale jako studentce — można było wybaczyć.

Zanim dobiegła do swego oddziału, zdjęła palto i weszła na górę, było już dziesięć po ósmej. Spóźnienie nie uszłoby jej na sucho, gdyby dyżur przekazywała Olimpiada Władysławowna albo Maria. Ta druga policzyłaby jej w niegrzeczny sposób dziesięć minut za pół dyżuru. Ale na szczęście poprzedni dyżur miał



Karakałpak, Turgun, również student jak ona. Ten w ogóle był wyrozumiały, a już w stosunku do Zoji najbardziej. Za karę chciał ją klepnąć poniżej pleców, ale mu umknęła, śmieli się oboje i jeszcze go popchnęła na schodach.

Turgun, chociaż jeszcze student, już był włączony do narodowościowej kadry Republiki i otrzymał nominację na głównego lekarza wiejskiego szpitala; mógł więc zachowywać się tak nieśmiało tylko przez ostatnie miesiące studiów.

Przekazał Zoji zeszyt, w którym ordynujący lekarz zostawił swoje uwagi, a ponadto specjalne zlecenie starszej pielęgniarki Mity. W niedzielę nie było wizytacji, zredukowano ilość zabiegów, nie przeprowadzano transfuzji. Główna troska dyżurnej pielęgniarki polegała na tym, by nie pozwalać odwiedzającym krewnym pchać się na salę bez zezwolenia dyżurnego lekarza. Mita przetrząsała więc na pielęgniarki część swojej niekończącej się nigdy pracy statystycznej, bo sama nie mogła dać rady.

Tym razem Zoja otrzymała grubą paczkę kart szpitalnych z grudnia 1954 roku. Zaokrągliła wargi jakby szykowała się do gwizdania, i trząsała palcami po brzegach tekturowych kartek: ile też tego jest i czy zostanie dość czasu na haftowanie. Obok zjawiał się wysoki cień. Zoja bez zdziwienia odwróciła głowę — różnie można głowę odwracać — i ujrzała Kostogłotowa. Był dokładnie wygolony, nawet jako tako uczesany, a tylko blizna idąca przez cały podbródek przypominała o zbójckim pochodzeniu.

— Dzień dobry, Zojeńka — powiedział, jak człowiek dobrze wychowany.

— Dzień dobry! — pokiwała głową, jak gdyby była niezadowolona, albo w coś wątpiła. W rzeczywistości ten gest nie miał żadnego znaczenia.

Patrzył na nią ciemnopiwnymi ślepiami.

— Nie wiem, czy spełniłście moją prośbę, czy nie...

— Jaką prośbę? — spochmurniała zdziwiona Zoja. Z tym zawsze było jej do twarzy.

— Nie pamiętacie? A ja sobie w związku z tą prośbą coś zamyśliłem.

— Jedno, co dobrze pamiętam — wzięliście ode mnie podręcznik anatomii patologicznej.

— Zaraz go wam zwrócę. Z podziękowaniem.

— Połapaliście się w nim?

— Zdaje się, że zrozumiałem wszystko na czym mi zależało.

— Czy nie wyrządziłam wam przez to krzywdy? — całkiem na serio zapytała Zoja. — Mam teraz wyrzuty sumienia.



— No, nie-ee, Zojeńka...! — by zaprzeczenie wypadło mocniej, dotknął jej ręki. — Przeciwnie, ta lektura dodała mi otuchy. Żłota z was dziewczyna, dziękuję za wypożyczenie! Ale — patrzył na jej szyję — bardzo proszę, odepnijcie górny guzik kitla...

— Po co? — Zoja zdziwiła się jeszcze bardziej. I z tym także było jej do twarzy. — Wcale mi nie jest gorąco!

— Przeciwnie — cała jesteście czerwona.

— Tak, rzeczywiście — roześmiała się dobrodusznie. Istotnie miała chęć rozpiąć kitel, jeszcze nie odetchnęła dobrze po szybkim biegu i szarpaninie z Turgunem. I rozpięła.

Złociste iskierki zapaliły się na szarej tkaninie.

Kostogłotow patrzył rozszerzonymi oczami. Powiedział prawie bezgłośnie:

— Jak dobrze. Dziękuję. Pokażecie potem trochę więcej?

— Zależy coście sobie zamyślili.

— Powiem wam, ale trochę później, dobrze? Chyba spędzimy dziś trochę czasu razem?

Zoja potoczyła spojrzeniem dokoła jak lalka.

— Tylko w tym wypadku, jeżeli pomożecie mi w pracy. Dlatego właśnie przyleciałam trochę zziębnięta, że mam dużo roboty.

— Jeśli chodzi o klucie żywych ludzi igłami, to ja się do tego nie nadaję.

— A gdyby chodziło o szpitalną statystykę? Pomóc kuchcie w tłuczeniu garnków.

— Statystykę szanuję, jeżeli tylko nie jest zakonspirowana.

— No to proszę przyjść po śniadaniu — uśmiech Zoji był jak zaliczka za przyobiecaną pomoc.

A już po szpitalnych salach roznoszono śniadanie.

Jeszcze przedtem, w piątek rano, po zakończeniu dyżuru, Zoja zaintrygowana nocną rozmową poszła do rejestratury sprawdzić dane, dotyczące Kostogłotowa.

Okazało się, że nazywa się Oleg Filimonowicz (ciężko brzmiące imię ojcowskie pasowało do nieprzyjemnego nazwiska, za to Oleg nieco łagodził wrażenie). Urodził się w 1920 roku, miał zatem trzydzieści cztery lata. Choć to wyglądało mało prawdopodobnie, był istotnie nie żonaty i rzeczywiście mieszkał w jakimś Usz-Tereku. Nie miał żadnych krewnych (w onkologicznej przychodni z zasady zapisywano imiona i nazwiska krewnych). Z zawodu był topografem i pracował w rolnictwie.

Niczego jej te dane nie wyjaśniły, przeciwnie — jeszcze bardziej zaciemniły sytuację.

W zeszytce pozostawionym przez ordynariusza przeczytała, że od piątku Kostogłotow zaczął otrzymywać codzienne zastrzyki domięśniowe sinestrolu, podwójną dawkę.

To nie Zoja miała mu zrobić ten zastrzyk, lecz pielęgniarka z nocnego dyżuru. Ale dziewczyna ściągnęła usta w ciup i pokręciła nimi jak zwierzątko pyszczkiem.

Po śniadaniu Kostogłotow przyniósł podręcznik anatomii patologicznej i zgłosił się do pomocy, ale na razie Zoja biegła z jednej sali do drugiej i roznosiła lekarstwa, które chorzy wypijali albo połykali trzy lub cztery razy dziennie.

Wreszcie usadowili się razem przy jej stoliku. Zoja wyjęła duży arkusz, na którym mieli podsumować dane statystyczne w brulionie. Zaczęła wyjaśniać — sama nie bardzo pamiętała, co i jak — i kreślić, przykładając co chwilę ciężką linijkę.

Zoja dobrze wiedziała, jaka jest wartość takich „pomocników” — zwłaszcza młodych i kawalerów, chociaż żonaci też nie byli lepsi. Ich pomoc sprowadzała się do szczerzenia zębów, żartów, zalecanek i błędów w zapisach statystycznych. Ale z góry zgadzała się na wszystko, bo nawet najmniej interesujące zalecanki zawsze są ciekawsze od najbardziej doniosłych statystyk. Zoja nie miała nic przeciw temu by urozmaicić godziny dyżuru, kontynuując nadal zabawę z Kostogłotowem.

Tym bardziej zdziwiła się, że Kostogłotow od pierwszej chwili nie zwracał na nią większej uwagi, nie emablował jej, z miejsca zrozumiał o co chodzi w tej pracy, a nawet wyjaśnił jej to i owo, z kartek dyktował bezbłędnie najważniejsze rzeczy, podczas gdy Zoja wypełniała rubryki ogólnej statystyki. „Nowotwór tkanki nerwowej — dyktował Kostogłotow — guz nadnercza... sarkoma w okolicy nosa... opuchlina przy rdzeniu pacierzowym...”. A jeżeli czego nie rozumiał, natychmiast prosił o wyjaśnienie.

Należało dokładnie obliczyć, ile w owym czasie było nowotworów różnego typu — osobno u mężczyzn, osobno u kobiet, a jeszcze osobno według wieku. Dalej trzeba było uwzględnić wszystkie rodzaje leczenia i jego nasilenie. I wreszcie łączące się z każdą rubryką wyniki: całkowite wyleczenie, polepszenie, bez zmian, pogorszenie i śmierć. I tu pomocnik Zoji zaczął przypatrywać się statystyce ze szczególną uwagą. Od razu zauważył, że całkowitych wyleczeń było bardzo mało, ale wypadków śmierci w szpitalu również niewiele.

— Widzę — powiedział Kostogłotow — że tu umierać nie pozwalają, zwalniają ze szpitala na czas.

— No a jakże Oleg inaczej, sami powiedzcie! (Nazwała go po imieniu w nagrodę za to, że jej pomagał w pracy. Od razu to zauważył, przyjrzał się jej bacznie). — Jeżeli staje się oczywiste że uratować pacjenta nie można, że zostało mu tych kilka tygodni albo miesięcy życia, to po cóż ma zajmować łóżko? Na

zwolnienie łóżek czekają inni, tacy których można jeszcze wyleczyć. A poza tym ci *incurabilis*...

— Że jak — i n k u...?

— Nieuleczalni... Zarówno swoim wyglądem jak gadanią źle działają na samopoczucie tych, których można wyleczyć.

Ledwie Oleg usiadł przy stoliku tej pielęgniarki, a już jak gdyby zrobił olbrzymi krok pod względem społecznym i we własnym samopoczuciu. A więc to nie on był tym któremu nie można pomóc, który niepotrzebnie zajmuje łóżko, należąc do kategorii nieuleczalnych — to już nie on, nie Kostogłotow! Z nim, z Kostogłotowem, już się tak rozmawia jak gdyby można go było wyleczyć. Ten nagły przeskok z jednej świadomości w drugą, tak niespodziewany, tak bardzo wynikający z kapryśnej zmiany losu, niejasno mu coś przypominał, ale nie od razu mógł sobie przypomnieć co.

— Tak, to wszystko brzmi logicznie. Na przykład, zwolniono Azowkina. Wczoraj czytałem na zwolnieniu słowa *casus inoperabilis*, choremu nic nie powiedziano, nie wyjaśniono — i czułem się tak jakbym i ja brał udział w tym oszukaństwie.

Siedział zwrócony do Zoji tą stroną twarzy, na której nie było blizny, więc wygląd miał o wiele bardziej łagodny.

Bardzo zgodnie, po przyjacielsku, pracowali dalej i skończyli wszystko przed porą obiadową.

Co prawda Mita zostawiła jeszcze inną pracę: wciąganie laboratoryjnych analiz do wykazów temperatury chorych. W ten sposób zmniejszono ilość kartek i łatwiej było dołączać je do opisów przebiegu choroby. Ale jak na jedną niedzielę, byłoby już tego stanowczo za dużo.

— Bardzo dziękuję, bardzo wam dziękuję, Oleg Filimonowicz! — powiedziała Zoja.

— A nie — to już proszę mówić tak jak przedtem: po prostu Oleg!

— Teraz po obiedzie położycie się żeby odpocząć...

— Nie mam zwyczaju kłaść się i odpoczywać.

— Przecież jesteście chorzy!

— Dziwna rzecz! Wiecie, Zojeńka, ledwie wejdziecie po schodach na górę żeby objąć dyżur, a ja już czuję się zupełnie zdrowy!

Patrzył na nią jak się patrzy na złościście podrumieniony piezorek, i rzeczywiście wyglądał w tej chwili jak gdyby był zupełnie zdrowym człowiekiem.

— No dobrze! — Zoja ustąpiła bez sprzeciwu. Ona także chciała, żeby nie odchodził. — Tym razem przyjmę was w salonie.

I skinęła w kierunku pokoju posiedzeń lekarskich.

Po obiedzie znowu roznosiła lekarstwa, wynikły ponadto jakieś pilne sprawy na sali kobiecej. Cóż to był za kontrast z otaczającymi ją chorymi i ogólną nędzą! Zoja zdawała sobie sprawę z własnego zdrowia, aż do każdej komórki ciała i ostatniego paznokietka! Osobliwą radość sprawiały jej jędrne, nabrzmiące piersi, zwłaszcza czując ich ciężar, gdy pochylała się nad kolejnym pacjentem, albo gdy drgały przy szybkim poruszaniu się.

Nareszcie zajęć było coraz mniej. Zoja kazała sanitariuszce usiąść przy stoliku, nie pozwalając odwiedzającym wchodzić na salę, a gdyby wypadło coś pilnego, zaraz ją zawołać. Zabrała ze sobą swój haft i poszła do pokoju posiedzeń; Kostogłotow poszedł za nią.

Pokój był narożny, o trzech oknach. Umieblowany był bez większego smaku — od razu można było poznać rękę zarówno głównego lekarza, jak buchaltera. Dwie otomany o sztywnych oparciach — kark zaboli, jeśli się oprzeć. Lustra tak umieszczone, że chyba tylko żyrafa mogłaby się w nich przeglądać bez trudu. A i stoły były ustawione w przygnębiająco urzędniczy sposób: masywne biurko przewodniczącego pokryte grubym szkłem, zaś w poprzek, w kształcie przepisowej litery „T”, długi stół dla uczestników posiedzenia. Ale właśnie ten drugi stół był przykryty pluszowym obrusem jasno błękitnego koloru — w kolorycie starej Samarkandy. Ten kolor turkiestańskiego nieba wprowadzał wesoły nastrój i rozjaśniał cały pokój. Kilka wygodnych fotelików, stojących osobno, dość bezładnie, także dodawało temu pokojowi pewnego wdzięku.

Całość nie miała nic wspólnego ze szpitalną atmosferą, jeśli nie liczyć ściennej gazety pod tytułem „Onkolog” z datą siódmego listopada.

Zoja i Oleg usiedli na wygodnych fotelach w najbardziej oświetlonej części pokoju, gdzie na podstawkach stały agawy w donicach, a za wielką, jednolitą szybą głównego okna widniały rozwidlone konary dębu, sięgające znacznie wyżej, ponad drugie piętro gmachu.

Dla Kostogłotowa to nie było zwyczajne siedzenie — całym ciałem smakował wygodę tego fotela. Jakże przyjemnie przylegały do niego plecy i jak łatwo można było odrzucić do tyłu kark i głowę!

— Cóż za luksus! — powiedział Oleg. — Takiego luksusu nie zaznałem od... chyba od piętnastu lat.

(Jeżeli ten fotel tak bardzo mu się podoba, dlaczego go sobie nie kupił?)

— A więc proszę powiedzieć coście sobie zamyślili? — py-

taniu Zoji towarzyszy właśnie taki ruch głowy i taki wyraz oczu, jakie najbardziej odpowiadały sytuacji.

Teraz, gdy znaleźli się sami w tym pokoju i usiedli w fotelach wyłącznie po to by porozmawiać, od jednego słowa, od tonu, od spojrzenia, zależało czy będzie to rozmowa ślizgająca się po powierzchni, przeskakująca z tematu na temat jak motyl, czy też pójdzie w głąb. Zoja była przygotowana na każdy rodzaj, ale przyszła tu z przecuciem, że rozmowa pójdzie poważnym torem.

I Oleg jej nie zawiódł. Nie odrywając głowy od fotelowego oparcia, patrząc gdzieś ponad nią, w okno, powiedział uroczyście:

— Więc zamyśliłem sobie... Czy pewna dziewczyna ze złocistą grzywką na czole... byłaby skłonna pojechać... do nas... na ziemie ogniste...

I dopiero po wypowiedzeniu tych słów znowu na nią popatrzył.

Zoja wytrzymała spojrzenie.

— Dobrze, a co tam czeka ową dziewczynę?

Oleg westchnął.

— Już wam o tym opowiadałem. Nic wesołego. Nie ma wodociągów. Żelazko rozpala się drzewnym węglem. Naftowa lampa. Kiedy pada — błoto, kiedy wysycha — kurz. O włożeniu na siebie przyzwoitej sukienki nie ma mowy.

Wymienił wszystko co najgorsze, jak gdyby umyślnie chciał ją zrazić, żeby nie obiecała że pojedzie. Jeżeli nie można nawet ubrać się przyzwoicie, to istotnie jakież tam życie! Ale Zoja wiedziała, że żadne miejskie wygody nie zastąpią ludzkiego serca. Więc zależało jej nie tyle na tym, by sobie wyobrazić ową miejscowość, ile na tym by zrozumieć tego człowieka.

— Nie mogę zrozumieć co was właściwie tam trzyma.

Oleg roześmiał się.

— Jak to co! Ministerstwo Spraw Wewnętrznych!

Znowu odrzucił głowę na oparcie fotela i rozkoszował się wygodną pozycją.

Zoja zasępiła się.

— Tak właśnie podejrzewałam. Ale proszę mi powiedzieć — wy przecież nie jesteście Czeczeńcem, prawda? Ani Kałmukiem?

— Skąd! Stuprocentowy Rusek! Cóż to, nie wolno mi mieć czarnych włosów?!

Przygłodził niesforną czuprynę.

Zoja wzruszyła ramionami.

— W takim razie — dlaczego?

Oleg znowu westchnął.

— Ależ dziś nieświadoma młodzież podраста! Kiedy myśmy byli w tym wieku, nie mieliśmy pojęcia o kodeksie karnym, ja-

kie tam są artykuły, paragrafy, i jak je można dowolnie interpretować. A wy mieszkacie w głównym ośrodku tego kraju i nawet nie macie elementarnego pojęcia o różnicy między zesłanymi na osiedlenie i zesłańcami w trybie administracyjnym.

— Jakaż to różnica?

— Jestem zesłańcem administracyjnym. Zesłano mnie nie jako należącego do określonej grupy narodowościowej, lecz o s o b i ś c i e jako Olega Filimonowicza Kostogłotowa — rozumiecie?

Kostogłotow roześmiał się. — Jestem osobistym honorowym zesłańcem, dla którego nie ma miejsca wśród uczciwych obywateli.

I błysnął ku niej ciemnymi ślepiami.

Zoja nie przestraszyła się. To znaczy przestraszyła się, ale tylko do pewnego stopnia.

— A... na jaki czas was zesłano? — zapytała cichutko.

— Na wieki wieczne! — rąbnął głośno, jak gdyby strzelił z pukawki.

Zadzwoiło jej w uszach.

— Na całe życie? — zapytała szeptem.

— A nie — n a w i e k i ! Jeżeli na całe życie, no to przynajmniej trumnę można by stamtąd zabrać, a skoro na wieki to pewnie i tego nie wolno. Nawet gdyby słońce zagasło — także nie wolno, przecież wieczność trwa dłużej!

Dopiero teraz naprawdę przestraszyła się. Wszystko nie przypadkowe — i ta blizna, i ten okrutny wygląd. To jakiś straszny człowiek, być może morderca, zaraz ją udusi za byle co, a ona tak nierozważnie zgodziła się spotkać z nim sam na sam!

Mimo wszystko Zoja opanowała się i nie przekreśliła się na fotelu tak, by w razie czego łatwiej było rzucić się do ucieczki. Odłożyła robótkę, której zresztą nie rozpoczęła. Patrząc śmiało na Kostogłotowa, który niczym nie dał poznać że jest zdenerwowany i w dalszym ciągu siedział wygodnie rozwalony w fotelu, zapytała wyraźnie podniecona:

— Jeżeli wyznanie jest zbyt ciężkie, to nic nie mówcie. Ale jeżeli można, powiedzcie — za co taki straszliwy wyrok, za co?

Kostogłotow nie wykazał świadomości żadnej popełnionej zbrodni i odpowiedział z najbardziej beztroskim uśmiechem:

— Zojeńka, przecież żadnego wyroku nie było. Wiekuiste zesłanie dostałem po prostu na podstawie urzędowego nakazu.

— Jak to... nakazu?!

— No tak się to nazywa. Coś w rodzaju ogólnego rozrachunku. Powiedzmy, jak z bazy zgłaszają do składu: tyle a tyle worków, tyle a tyle beczulek... Według taryfy...

Zoja chwyciła się za głowę.

— I to wszystkich?

— A nie, nie można powiedzieć żeby wszystkich. Jeżeli sam dziesiąty paragraf, to nie zsyłają, a jeżeli do dziesiątego dochodzi jedenasty, to zesłanie pewne.

— A co to ten jedenasty paragraf?

— Jedenasty... — Kostogłotow zastanowił się. — Zojeńka, ja wam jak gdyby za dużo rozpowiadam, radzę wam ostrożniej z tymi tematami, bo i wy możecie to i owo zarobić. Miałem zasadniczy wyrok, na podstawie dziesiątego paragrafu — siedem lat. Możecie mi wierzyć — już jeżeli komuś dawali mniej niż osiem lat, to znaczyło że w ogóle nic, sprawa nadmuchana powietrzem. Ale doszedł jedenasty paragraf, a to znaczyło że sprawa z e s p ó ł o w a. W zasadzie niby jedenasty paragraf nie powiększa wyroku, ale skoro był zespół, porozszyłali nas potem na wieczne czasy do różnych miejsc, żebyśmy nigdy nie mogli się znowu spotkać. Teraz — rozumiecie?

Nie, absolutnie niczego z tego nie rozumiała.

— To znaczy że to była... — złągodziła określenie, jakiego chciała użyć — jakaś banda?

Nagle Kostogłotow zaniósł się dzwicznym śmiechem. Ale od razu urwał i znowu zachmurzył się.

— Wspaniale żeście to określili. Mój śledczy także nie zadowolił się określeniem z e s p ó ł. On także lubił nazywać nas b a n d ą. To była banda — banda studentów i studentek pierwszego roku.

Kostogłotow groźnie popatrzył na Zoję.

— Rozumiem, że tu nie wolno palić, że to przestępstwo, ale jednak zapalę, dobrze? Zbieraliśmy się, zalecaliśmy się do dziewcząt, tańczyli, a ponadto chłopaki gadali na polityczne tematy. No i także o nim... o tym N a j w a ż n i e j s z y m. Widzicie, to cośmy widzieli dokoła zbyttnio nas nie zachwycało. Powiedzmy, że to i owo nam się nie podobało. Dwóch z nas było na froncie i po wojnie oczekiwaliśmy czegoś innego. No i w maju, przed egzaminami, wszystkich nas powybierali. Dziewczyny również.

Zoja czuła, że wpada w popłoch. Wzięła znowu robótkę do rąk. Kostogłotow mówił o takich niebezpiecznych sprawach, jakich nie tylko nie należało nikomu powtarzać, ale nawet o nich słuchać, dopuszczając ich do świadomości. Z drugiej strony jednak poczuła ogromną ulgę, że to nie była żadna bandycka szajka, że nie napadali na ludzi w ciemnych zaułkach, nie mordowali.

Przełknęła ślinę.

— Niczego wam nie zarzucam... ale przecież musieliście coś r o b i ć!



— Cośmy robili? — mocno zaciągał się dymem. Wydawał się ogromny w zestawieniu z tym malutkim papierosem. — Przecież powiedziałem: studiowaliśmy. Piliśmy wódkę, póki stypendium starczało. Chodziliśmy na taneczne wieczorki. Wszystkie nasze dziewczęta zmiotli razem z nami. Każda dostała pięć lat. — Wpatrzył się w nią uporczywie. — Proszę to sobie wyobrazić na własnej osobie. Zabierają was przed egzaminami drugiego półroczka i — do worka!

Zoja odłożyła robótkę.

Spodziewała się usłyszeć od niego coś strasznego, a to co usłyszała wydało jej się jakąś dziecinnadą.

— No dobrze, a wam chłopcom... po co to właściwie było potrzebne?

— Że co? — Oleg nie zrozumiał pytania.

— No to... żeście byli niezadowoleni... Czegoście się właściwie spodziewali?

— Ach, no tak! No rzeczywiście, tak! — ponownie rozeźmiął się Kostogłotow. — Jakoś nie przyszło mi do głowy. Znowu wasza opinia zbiegła się z opinią sędziego śledczego. I on mówił to samo. Przyjemnie w tym fotelu! Na łóżku tak wygodnie się nie siedzi.

Rozwalił się znowu w fotelu, palił i przymrużonymi oczami wpatrywał się w wielkie okno o jednej tylko szybie.

Chociaż zbliżał się wieczór, jednostajnie pochmurne niebo zamiast mrocznieć rozświetlało się po zachodniej stronie — obłoczki przerzedzały się i przejaśniały akurat naprzeciw tego narożnego pokoju.

Dopiero teraz Zoja zabrała się na serio do haftowania, z satysfakcją prowadząc równy ścieg. Oboje milczeli. Oleg nie chwalił jej, jak poprzednim razem, że zajmuje się tą robótką.

— A co z waszą... dziewczyną? Także i ją wzięli? — zapytała Zoja, nie podnosząc głowy.

— Ta-aak — Oleg odpowiedział po chwili, jak gdyby myślał o czymś innym.

— A gdzie jest teraz?

— Teraz? Gdzieś nad Jenisiejem.

Zoja rzuciła szybkie spojrzenie.

— To znaczy, że nie możecie się z nią połączyć?

— Nawet nie próbuję — mówił najzupełniej obojętnie.

Patrzył w okno, Zoja — na niego. Ale dlaczego nie ożeni się tam, gdzie mieszka obecnie?

— Czy połączyć się — zapytała — to bardzo trudno?

— Dla niezarejestrowanych w małżeństwie prawie niemożli-

we — powiedział jakby w roztargnieniu. — Najważniejsze, że nie ma po co.

— Nie macie przy sobie jej fotografii?

— Fotografii? — Kostogłotow zdziwił się. — Więźniom nie wolno mieć żadnych fotografii. Jeśli znajdują — podrą.

— A jak wyglądała? Przystojna?

Oleg uśmiechnął się, przymrużył oczy.

— Włosy spływały jej na ramiona, a u samego dołu zakreślały się ku górze. A w oczach — u was zawsze lekka drwina, a u niej zawsze było trochę smutku. Czy to możliwe, żeby człowiek z góry mógł przeczuwać swój los?

— W obozie byliście razem?

— Nie.

— To kiedy nastąpiło wasze rozstanie?

— Pięć minut przed moim aresztowaniem... Akurat był miesiąc maj, zasiedzieliśmy się w jej ogródku. O drugiej nad ranem pożegnałem się i poszedłem, a na drugiej ulicy mnie wzięli. Za rogiem samochód już czekał.

— A ona?

— Wzięli następnej nocy.

— I jużście się więcej nigdy nie widzieli?

— Raz tylko jeden. Na osobistej konfrontacji. Już zdążyli mnie ostrzec. Oczekiwali, że będziemy składać nawzajem przeciw sobie zeznania. Aleśmy nie złożyli.

Kręcił w palcach niedopałek, nie wiedząc co z nim zrobić.

— Proszę tam — Zoja skinęła w kierunku błyszczącej, wyczyszczonej popielniczki stojącej przed fotelem przewodniczącego.

Obłoczki na zachodniej stronie nieba rozciągały się coraz bardziej, i delikatnie żółciejące słońce prawie całkowicie wywikłało się z zasłon. I zawzięty, uparty wyraz twarzy Olega także złągodniał pod światłem.

— Ale dlaczego teraz nie chcecie? — Zoja mówiła współczującym, miękkim tonem.

— Zoja — głos Kostogłotowa zabrzmiał twardo. Zastanowił się przez chwilę. — Nie wiem, czy jesteście w stanie sobie wyobrazić co oczekuje w obozie młodą kobietę, jeżeli do tego ma ładną powierzchowność... Jeżeli jej gdzieś po drodze, we wspólnym wagonie, nie zgwałcą kryminaliści — zresztą zawsze zdążą to zrobić na miejscu, po przybyciu do obozu — to zaraz pierwszego wieczora różne obozowe darmozjady, dobrze odżywieni funkcjonariusze tak urządzają, że ją poprowadzą obnażoną do łaźni obok nich... I zaraz zadecydują — komu ma przypaść. I zaraz następnego dnia otrzyma propozycję: ma żyć z tym a tym, i za to otrzyma pracę w czystym i ciepłym miejscu. A jeżeli odmówi,

to ją tak osaczają, taką dadzą szkołę, że sama przyjdzie na czworakach prosić żeby ją przyjęli. — Kostogłotow zamknął oczy. — Moja nie umarła, żyje, pomyślnie ukończyła wyrok. Nie oskarżam jej, rozumiem. No to i... wszystko. I ona także wszystko rozumie.

Zaległo milczenie. Słońce wyszło zza obłoków w całej okazałości, cały świat rozjaśnił się i poweselał. Rozjaśniły się drzewa w parku, a w pokoju nabrał intensywności błękit obrusu na stole i złociste włosy Zoji.

— Jedna z naszych dziewcząt popełniła samobójstwo... Jeszcze inna żyje... Trzech chłopców nie ma na tym świecie... O dwóch innych nie mam żadnych wiadomości.

Zawisnął jednym ramieniem z boku fotela, pochuśtał się i wyrecytował:

*Huragan minął... Niewielu nas zostało...  
Na przyjacielskim zlocie iluż brak...!*

I tak siedział, dziwnie wykręcony, wpatrzony w podłogę. Pokręcone włosy sterczały we wszystkie strony, jak im się podobało. Trzeba by je przynajmniej dwa razy dziennie wilżyć i czesać, i znowu wilżyć i czesać, aż do skutku.

Milczał, ale Zoja już wiedziała wszystko, czego chciała się dowiedzieć. Już wyjaśnił to co najważniejsze: jest przykuty do miejsca zesłania, ale nie za morderstwo; nie jest żonaty, ale nie z racji popełnionych występków; po tylu latach z jakąż czułością mówił o swojej dawnej narzeczonej — i najwidoczniej był zdolny do prawdziwego uczucia.

Milczeli oboje, Zoja spoglądała na przemian na swoją robotkę i na niego. Urody w nim w tej chwili nie było żadnej, ale nie widziała żadnej brzydoty.

Babcia zawsze jej mówi: „Tobie trzeba nie pięknego, lecz porządnego”. Jedno co Zoja od razu w nim stwierdziła, to wytrwałość i siłę po tym wszystkim co przeżył, siłę dobrze wypróbowaną, jakiej nie wyczuwała w znanych jej chłopakach.

Sciubała nadal swój haft i nagle poczuła na sobie jego badawcze spojrzenie.

Spojrzała na niego spode łba.

Zaczął mówić bardzo wyraziście, cały czas starając się przyciągnąć ją swoim wzrokiem.

— Do kogo mam się zwrócić? Z kim mam podzielić się tą smutną radością, że pozostałem przy życiu?

— No właśnie jużeście się nią podzielili! — powiedziała szepcąc, śmiejąc się do niego oczami i ustami.

Usta nie były różowe, raczej coś pośredniego między jasną

czerwienią i kolorem pomarańczowym — jaskrawe, barwy jasnego płomienia.

Żółtawe, późne słońce delikatnie ożywiało niezdrową cerę schorowanej, wychudzonej twarzy Kostogłotowa. I pod tym ciepłym światłem wydawało się że nie umrze, że wyzdrowieje.

Oleg potrząsnął głową, jak gitarzysta który po smutnej pieśni przechodzi na wesołą.

— Ach, Zojeńka! No proszę, no urządzcie mi święto aż do końca! Sprykrzyły mi się te białe kitle! Proszę pokazać się nie w postaci pielęgniarki, lecz w charakterze pięknej, miejskiej dziewczyny! Przecież jak powrócę do Usz-Tereku, to już takiej dziewczyny nie zobaczę.

— A skąd-że ja wam tu wezmę ładną dziewczynę? — filuternie droczyła się Zoja.

— Wystarczy, jeżeli zdejmiecie kitel na jedną chwilę. I spacerujecie się po pokoju!

Odsunął się razem z fotelem, pokazując jej którądy ma spacerować.

— Przecież jestem na dyżurze — jeszcze usiłowała oponować. — Nie mam żadnego prawa...

Czy dlatego że tak długo mówili o nieprzyjemnych sprawach, czy też że zachodzące słońce tak wesoło zalewało pokój swoim światłem, dość że Zoja zaznała jakiegoś impulsu, jakiejś podniety, i pomyślała że trzeba go posłuchać i że wypadnie dobrze...

Odrzuciła robótkę, skoczyła na równe nogi jak gdyby była podfruwajką, i już pochylona ku przodowi, rozpinając w pośpiechu guziki kitla, jakby zamierzała nie przejść się po pokoju, lecz puścić się całym pędem.

— Pomóżcie! — zawołała, wyciągając ku niemu jedno ramię jakby do niej nie należało.

Chwycił za rękaw i ściągnął go.

— A teraz drugi! — tanecznym ruchem przekręciła się do niego plecami, ściągnął także drugi rękaw, kitel opadł mu na kolana; Zoja zaczęła iść jak modelka, przechylając się i wyginając rytmicznie, rozstawiając ramiona, lub podnosząc je do góry.

Przeszła kilka kroków, zatrzymała się, zamarła w bezruchu z rękami odrzuconymi do tyłu.

Oleg przycisnął kitel Zoji do piersi obydwojma rękami jak gdyby go obejmował, patrzył na dziewczynę rozpalonymi oczami.

— Bravo! — zahuczał zachwyconym głosem. — Wspaniale!

Było coś tak dziwnego w błękitnej jasności tej serwety, tego uzbeckiego błękitu który niegdyś zajął się od słońca, że nagle obudziły się w nim wczorajsze melodie poznawania i penetracji. Powracały wszystkie nierealne, chaotyczne, ale jakże wzniosłe

pragnienia! Ta radość, te miękkie meble, to zacisze przyjemnego pokoju — po tysiącu lat nieustalonego, nędzarskiego, koczowniczego życia! I ta niezmierna radość, że może patrzeć na Zoję, zachwycać się nią, ale nie tylko to, radość tym większa, że może się nią zachwycać i zgłaszać konkretne zamiary. On, Kostogłotow, który przed dwoma tygodniami był żywym trupem!

Zoja triumfalnie poruszyła ustami — jasny płomień — i spoglądając filuternie, jak gdyby znała jakąś tajemnicę, przeszła z powrotem ku oknu. Znowu obróciła się ku niemu, stanęła wyprężona.

Nie podniósł się, pozostał jak był, a tylko wyciągnął w jej kierunku czarną miotłkę głowy.

Po pewnych oznakach — można je tylko odczuć, a nie określić — łatwo było rozpoznać w Zoji siłę, nie tę siłę fizyczną do przenoszenia ciężarów, lecz taką która szuka innej siły by jej wyjść na spotkanie. Oleg cieszył się że jak mu się wydawało, może przyjąć wyzwanie i zmierzyć się z nią w starciu.

Wszystkie życiowe namiętności powracały do zdrowiejącego ciała! Absolutnie wszystkie!

— Zo-ja! — śpiewnie powiedział Oleg. — Zo-ja! Jak rozumiecie własne imię?

— Zoja — znaczy ż y c i e ! — powiedziała wyraźnie, jakby chodziło o hasło. Lubiła podawać znaczenie swego imienia. Stała plecami do okiennego parapetu, z rękami założonymi za plecy, przechylona, całym ciężarem wsparta na jednej nodze.

— A jak z o o ? Nie odczuwacie nigdy bliskości waszych zoologicznych przodków?

Roześmiała się tym samym figlarnym tonem.

Wszyscy jesteście im bliscy pod niektórymi względami. Staramy się o wyżywienie, karmimy potomstwo. I cóż w tym złego?

Tu powinna była się pohamować! Ale nie, podniecona takim nieprzerwanym, wszystko pochłaniającym objawem zachwyty, jakiego nigdy nie zaznała w obcowaniu z młodymi mężczyznami którzy mogli obejmować dziewczęta każdego sobotniego wieczora, przynajmniej w tańcu, Zoja wyrzuciła ramiona do góry i trzaskając palcami, zaczęła wic się całym ciałem, do wtóru modnej melodii podchwyconej z hinduskiego filmu.

— A-wa-raj-ja-ja-ja! A-wa-raj-ja-ja-ja!

Oleg nagle sposepniał i poprosił:

— Zoja, proszę tego nie śpiewać! Bardzo proszę...!

Natychmiast zmieniła pozycję. Wyglądała znowu tak przyzwyczajenie, jak gdyby to nie ona przed chwilą śpiewała i skręcała się w tańcu.

— To z „Włóczęgi” — powiedziała. — Nie widzieliście tego filmu?

— Widziałem.

— Znakomity film. Byłam na nim dwukrotnie. — (Była cztery razy, ale nie wiadomo czemu krępowała się przyznać). — Nie spodobał się? Przecież ten włóczęga miał losy podobne do waszych.

— Tylko nie do moich! — skrzywił się Oleg.

Jasny wyraz twarzy już nie powrócił, zachodzące słońce już go nie grzało i znowu stało się widoczne, że jest ciężko chorym człowiekiem.

— Przecież on także wrócił z więzienia. I życie także miał zniszczone.

— To są wszystko sztuczki. To typowy kryminalista. U r k a !  
Zoja wyciągnęła rękę po kitel.

Oleg wstał, wyładził kitel i pomógł go włożyć.

— Nie lubicie kryminalnych? — podziękowała mu kiwnięciem głowy i powoli zapinała guziki.

— Nienawidzę ich. — Patrzył obok niej, twarz nabrała okrutnego wyrazu, szczęki zwarły się jakoś nieprzyjemnie.

— To są drapieżne bydłeta, pasożyty żyjące wyłącznie kosztem innych. U nas przez całe trzydzieści lat trajlowano że się reedukują, że to element „społecznie bliski”, a tymczasem to są wyznawcy tej samej zasady co u Hitlera: jeżeli ciebie nie... no, to jest nieprzyzwoity zwrot, brzmi bardzo ordynarnie, ale odpowiada tej samej zasadzie: jeżeli ciebie nie biją, siedź cicho i czekaj swojej kolejki; obrabowują sąsiadów z odzienia, a nie ciebie — siedź cicho, czekaj swojej kolejki. Najchętniej depczą leżących, a jednocześnie beczelnie stroją się w romantyczne płaszcze, a my pomagamy im stwarzać legendy i nawet ich złodziejskie pieśni już znalazły drogę na ekrany filmowe.

— Cóż to za legendy? — teraz Zoja patrzyła w górę, obok niego, jak gdyby cymś zawiniła.

— Mógłbym o tym opowiadać przez całe sto lat. No jeżeli sobie życzycie, mogę opowiedzieć jedną z tych legend. — Stali teraz przy oknie tuż obok siebie. Bez żadnego związku z opowiadaniem, Oleg chwycił ją władczo za łokcie i mówił jak do smarkatej.

— Kryminalni — my ich nazywamy błatnymi, albo błatarami — chętnie udają szlachetnych zbójników, szczycą się tym, że nie rabują u nędzarzy i nie tykają u aresztantów „świątego kostura”, to znaczy nie odbierają ostatniej więziennej racji, okradają tylko z innych rzeczy. Otóż w czterdziestym siódmym roku, na etapie w Krasnojarsku, w naszej celi nie było ani

jednego bobra, to jest takiego więźnia który posiada cokolwiek do zrabowania. Prawie połowa celi — kryminalni. Byli wygłodzeni i wszystek chleb i cukier zaczęli się zabierać innym. I w ogóle skład mieszkańców był dość oryginalny: połowa — kryminaliści, druga połowa — Japończycy, i jeszcze dwaj Rosjanie więźniowie polityczni, to znaczy — ja i pewien słynny lotnik polarny, wyspa na Oceanie Lodowatym nosiła w dalszym ciągu jego nazwisko, a on siedział. No więc przez trzy dni z rządu urki i bezwstydnie zabierali wszystko i nam i Japończykom. Wreszcie Japończycy — co tam między sobą gadają, nie zrozumiesz! — zmówili się, w nocy wstali nie robiąc hałasu, pozrywali deski z prycz i z okrzykiem „Banzaj!” rzucili się na kryminalnych. Bili ich prawdziwie po mistrzowsku! Było na co popatrzeć!

— A was?

— A nas niby za co? Myśmy im przecież wtedy chleba nie odbierali. Tamtej nocy zachowywaliśmy się neutralnie, ale całym sercem byliśmy po stronie japońskiego oręża. Rankiem przywrócono porządek: znowu zaczęliśmy otrzymywać pełne racje chleba i cukru. Ale oto na jaki pomysł wpadła administracja więzienia: zabrała od nas połowę Japończyków, a na ich miejsce wprowadziła do naszej celi urków. Jeszcze niebitych pomieszali z bitymi. I wtedy, mając liczebną przewagę, kryminalni rzucili się na Japończyków. Niektórzy z nożami, oni wszystko mają. Bili ich nieludzko, na śmierć — i właśnie wtedy ja i lotnik nie wytrzymaliśmy i przyszliśmy z pomocą Japończykom.

— Przeciw Rosjanom?

Oleg puścił jej łokcie i wyprostował się. Ledwie dostrzegalnie poruszał dolną szczęką.

— Błatnych nie uważam za Rosjan.

Podniósł rękę, pociągnął palcami po bliźnie jakby ją chciał wygładzić, od podbródka ku policzkowi i szyi.

— No i wtedy mnie właśnie ciachnęli.

### 13.

## CIENIE RÓWNIEŻ POWRACAJĄ

Opuchlina Pawła Nikołajewicza nic a nic się nie zmniejszyła i nie zmiękła także i w nocy z soboty na niedzielę. Zorientował się w tym, zanim podniósł się z łóżka. Obudził go stary Uzbek swoim ohydny kaszlem i kaszłał tak przez cały poranek.



— Za oknem zaczął szarzeć pochmurny, niemrawy dzień, taki sam jak wczoraj, jak przedwczoraj, jeszcze bardziej pogłębiając smutny nastrój. Kazachstański pastuch od wczesnego rana usiadł na łóżku na podkurczonych nogach i siedział, bezmyślny jak pień. Dziś nie spodziewano się lekarzy, nikogo nie powinni byli wzywać na rentgena ani na salę opatrunkową, więc Kazach mógł tak siedzieć, kto wie może do samego wieczora. Złowieszczy Efreem znowu wparł oczy w nieboszczyka Tołstoja; od czasu do czasu zaczynał chodzić ciężko po sali, aż trzęsły się łóżka, ale już dobre i to że przestał się czepiać Pawła Nikołajewicza, i w ogóle z nikim nie rozmawiał.

— Ogłojed poszedł z samego rana i przez cały dzień nie powracał. Geolog, przyjemny, dobrze wychowany młodzieniec, czytał swój podręcznik i nikomu nie przeszkadzał. A wszyscy inni zachowywali się na sali spokojnie.

— Świadomość, że żona przyjdzie z wizytą, mocno podtrzymała Pawła Nikołajewicza na duchu. Naturalnie czymś konkretnym pomóc mu nie mogła, ale ważne było móc się przed nią uzalić: że czuje się fatalnie, że zastrzyk nic a nic nie pomógł, że na sali leżą obrzydliwi ludzie. Żona wyrazi swoje współczucie — zawsze to ulga. Poprosi ją o książki, a przede wszystkim o jakąś współczesną, optymistyczną książkę, która by podnosiła na duchu. I o wieczne pióro, żeby nie wypaść tak śmiesznie jak wczoraj — musiał u szczeniaka pożyczyć ołówek, żeby zapisać receptę. A najważniejsze — opowiedzieć jej o grzybie, o brzo-zowym grzybie.

— Ostatecznie — jeszcze nie wszystko stracone; jeżeli lekarstwa nie pomogą, znajdują się inne środki. Najważniejsze — czuć się Człowiekiem z dużej litery. Zachować optymizm.

— Wprawdzie bardzo powoli, ale i tu Paweł Nikołajewicz zaczął przyzwyczajać się do otoczenia. Po śniadaniu doczytał we wczorajszym numerze gazety sprawozdanie budżetowe Zwieriewa. Zaraz potem przynieśli numer dzisiejszy. Wziął go Diomka, ale Paweł Nikołajewicz kazał go sobie wręczyć i na początku z wielką satysfakcją przeczytał wiadomość o upadku rządu Mendes-France'a (a nie rób intryg, nie zawieraj paryskich układów!), przeznaczył na później duży artykuł Erenburga (cenił społeczną wagę tego pisarza, mimo pewnych wywichnięć, na czas wyprostowanych przez prasę centralną) i zagłębił się w lekturę artykułu o wprowadzaniu w życie postanowień styczniowego Plenum o gwałtownym wroście produkcji hodowlanej.

— W ten sposób Paweł Nikołajewicz skracał czas wyczekiwania, aż zjawiła się sanitariuszka i zawiadomiła, że żona Rusanowa przyszła z wizytą. Obłożnie chorych krewni mogli odwiedzać na

sali, ale Paweł Nikołajewicz nie miał siły by udowodniać że właśnie on jest obłożnie chory, a zresztą było przyjemniej pójść do hallu, byle dalej od tych nudnych, przygnębionych ludzi. Więc Rusanow okręcił szyję ciepłym szalikiem i zeszedł na dół.

Nie każdemu się zdarza na rok przed srebrnymi godami mieć taką miłą żonę, jaką była Kapa Pawła Nikołajewicza. Przez całe życie nie poznał bardziej bliskiego człowieka, z nikim innym nie było tak przyjemnie cieszyć się powodzeniem, albo poradzić się w razie nieszczęścia. Kapa była wiernym przyjacielem, energiczną i mądrą kobietą („mogłaby zastąpić wiejski sowiet” — zawrze przechwalał się Paweł Nikołajewicz przed przyjaciółmi).

Rusanow nigdy jej nie zdradzał i ona również go nie zdradzała. To nieprawda, że kiedy mężczyzna zaczyna iść do góry w społecznej hierarchii, musi wstydić się własnej młodości. Od czasu kiedy się pobrali, oboje poszli do góry w szybkim tempie. Kapa pracowała jako robotnica w tej samej fabryce makaronu, nawet pracowali razem na tym samym oddziale, ale jeszcze przed ożenkiem Rusanow dostał się do rady zakładowej, a potem poszedł po linii bezpieczeństwa i wreszcie jako komsomolca rzucono go na front utrwalania aparatu, a po roku już został dyrektorem fabryki, nastawionej na dziesięciolatkę. Ale to wszystko nie zmieniło ich zainteresowań, nie przekształciło proletariackich sympatii. W świąteczne dni, jeśli się nieco wypilo, zaś towarzystwo przy stole było zwyczajne, Rusanow i jego żona lubili przypominać swoją fabryczną przeszłość i razem śpiewali starą robotniczą piosenkę „O cegiełkach”.

Srebrne lisy powiększały i tak szeroką figurę Kapy, do tego dochodziła torebka wielkości sporej teczki, a jeszcze torba z żywnością — dość, że Kapa sama jedna zajęła trzy miejsca na ławce, stojącej w najcieplejszym kącie. Podniosła się, pocałowała męża ciepłymi, miękkimi ustami i kazała usiąść na podścielonej pole futra, żeby mu było jeszcze cieplej.

— List przyszedł — powiedziała, przy czym drgnęły jej kąciki ust i po tym znanym ruchu Paweł Nikołajewicz poznał, że list jest nieprzyjemny. Kapa była osobą zrównoważoną i rozsądną, ale tego babskiego zwyczaju nie mogła się jakoś pozbyć: jeżeli jest nowina, to czy zła czy dobra, koniecznie musi ją oznajmić na samym wstępie.

— No dobrze — Paweł Nikołajewicz był urażony — dobij mnie tą wiadomością! Jeżeli takie ważne, proszę, dobij mnie!

Kapa palnęła głupstwo, ale tym samym wyładowała się i teraz już była w stanie rozmawiać po ludzku.

— Ależ nie, to głupstwo! — uspokajała męża. — No jak się czujesz, Pawełku? Jak ci leci? O zastrzykach już wszystko wiem,

jeszcze w piątek rozmawiałam telefonicznie ze starszą pielęgniarką, a także wczoraj rano. Gdyby było coś złego, to bym natychmiast przyleciała. Ale mi powiedziano, żeś zniósł zastrzyk bardzo dobrze. To prawda?

— Zniósłem bardzo dobrze — potwierdził Paweł Nikołajewicz, zadowolony że może się pochwalić swoją wytrzymałością. — Ale środowisko, Kapelka, środowisko!! — i natychmiast wszystko co tu było nieprzyjemne i obrażające, poczynając od Efrema i Ogłojeda, stanęło mu naraz przed oczami. Nie wiedząc na co poskarżyć się najpierw, powiedział z goryczą: — Żeby chociaż można było korzystać z osobnego ustępu! To bardzo bolesne! Cóż tu za ustęp! Nie ma przepierzeń, wszystko na ludzkich oczach!

Korzystanie z wspólnej łaźni i klozetu nieuchronnie podrywa autorytet pracownika. Właśnie dlatego w urzędzie Rusanow chodził na drugie piętro, a nie do wspólnego ustępu.

Kapa rozumiała, że mąż cierpi w tej sytuacji i że trzeba mu dać się wygadać, więc nie przerywała tych skarg, które wreszcie doprowadziły do pytania, na jakie nie było odpowiedzi: „Za co właściwie tym doktorom płacą pensje?”. Wypytała go szczegółowo o samopoczucie podczas zastrzyku i zaraz potem, i czy opuchlina dolega, odchyliła szalik, obejrzała i nawet oświadczyła, że jej zdaniem opuchlina jak gdyby troszeczkę się zmniejszyła.

Paweł Nikołajewicz wiedział że nie, ale i tak było przyjemnie usłyszeć, że może jednak się zmniejszyła.

— Ale w każdym razie nie zwiększyła się, co?

— O, co to to nie! — zapewniała go Kapa. — O zwiększeniu się nie ma mowy!

— Żeby chociaż nie rosła! — powiedział prosząco Paweł Nikołajewicz, a głos mu nabrzmiał łzami. — Żeby chociaż nie rosła! Bo niechby się w dalszym ciągu zwiększała jeszcze przez tydzień, to przecież... co wtedy...?

Nie, nie mógł zdobyć się na wypowiedzenie tego słowa, nie mógł zajrzeć do czarnej przepaści. I czuł się tak strasznie niešťęśliwy i narażony na tak wielkie niebezpieczeństwo!

— Jutro nowy zastrzyk. A potem w środę. A jeżeli nie pomoże? Co wtedy robić?

— Wtedy do Moskwy! — zdecydowanie powiedziała Kapa. — Zrobimy tak: jeżeli dwa następne zastrzyki nie pomogą, to w samolot i do Moskwy! Telefonowałeś w piątek a potem odwołałeś, ale ja już dzwoniłam do Szendiapinów i odwiedziłam Ałymowów. Ałymow osobiście telefonował do Moskwy i okazuje się, że do niedawna na takie choroby leczono wyłącznie w Moskwie, wszystkich tam kierowano, ale obecnie w rezultacie zwiąk-

szenia miejscowych stanów zaczęto leczyć także i tutaj. A w ogóle ci lekarze to ohydne towarzystwo! Jakie prawo do mówienia o produkcyjnych osiągnięciach, jeśli mają na warsztacie żywego człowieka?! Nie wiem jak ty, ale ja nienawidzę lekarzy!

— Tak, masz rację! — zgodził się rozgoryczony Paweł Nikołajewicz. — Tak! Ja im już tu wygarnąłem!

— Nauczycieli także nienawidzę! Ile się nacierpiałam przez ich stosunek do Majki! I do Ławrika!

Paweł Nikołajewicz przetarł okulary.

— Łatwiej było zrozumieć dawniej, kiedy byłem dyrektorem. Wtedy stanowiska pedagogów były obsadzone przez wrogie elementy, trzeba ich było krótko trzymać. Ale teraz, chyba teraz mamy prawo żądać od nich właściwego zachowania się!

— Więc weź pod uwagę! Wysłanie ciebie do Moskwy nie przedstawia większej trudności, droga stoi otworem, podstawy znajdziemy. Ałymow uzgodnił, że tam także uzgodnią i umieszczą cię w dobrym miejscu. Co? Zaczekamy na trzeci zastrzyk?

Zaplanowali w konkretny sposób i Paweł Nikołajewicz poczuł, że mu od razu ulżyło. Byle nie pokorne wyczekiwanie w tej zatęchłej dziurze! Rusanowie byli przez całe życie ludźmi czynu, inicjatywy, i tylko dzięki tej przedsiębiorczości uzyskiwali równowagę duchową.

Czasu mieli dość. Paweł Nikołajewicz czuł się szczęśliwy, że może przez dłuższy czas posiedzieć z żoną i nie wracać od razu na salę. Było mu trochę chłodno, bo wciąż ktoś otwierał wejściowe drzwi, więc Kapitolina Matwiejewna wyciągnęła spod futra szeroki szal i otuliła go dokładnie. Osoby sąsiadujące z nimi na ławce wyglądały inteligentnie i czysto. W tych warunkach można było posiedzieć nieco dłużej.

Powolotku, po kolei omawiali różne sprawy życiowe, które uległy przerwaniu na skutek choroby Pawła Nikołajewicza. Unikali tylko tej jednej sprawy, groźnie nad nimi zawisłej: fatalnego zakończenia choroby. Na taki wypadek nie mieli żadnych planów, żadnego działania, żadnych wyjaśnień. Nie byli do niego absolutnie przygotowani i dlatego też sądzili, że takie rozwiązanie nie jest możliwe. Co prawda żona od czasu do czasu zaczynała się zastanawiać, co będzie z mieszkaniem, jak ułoży się sytuacja finansowa, jeżeli mąż umrze, ale oboje byli wychowani w duchu takiego optymizmu, że woleli te wszystkie sprawy pozostawić w zawiłym i nierozstrzygniętym stanie, niż zadrećcać się przedwczesnym ich rozpatrywaniem, a cóż dopiero mówić o jakimś budzącym pesymistyczne nastroje testamentie!

Mówili o telefonach, o licznych zapytaniach, o zainteresowaniu ze strony współpracowników Zarządu Przemysłowego, do

którego Paweł Nikołajewicz został przeniesiony przed dwoma laty ze specjalnego wydziału fabrycznego. Oczywiście on sam sprawami przemysłowymi nie kierował, to byłby zakres zbyt ograniczony, te rzeczy uzgadniali inżynierowie i ekonomiści; Rusanow wykonywał nad nimi wszystkimi specjalną kontrolę. Wszyscy pracownicy go lubili i teraz świadomość, że tak się o niego niepokoją, sprawiała mu dużą przyjemność.

Mówili także o jego szansach na emeryturę. Jakoś się tak stało, że pomimo jego długiej i nienagannej pracy na wybitnych stanowiskach, w wydziałach kadrowych i przy specjalnych zadaniach, Rusanow nie bardzo mógł liczyć na realizację marzenia całego życia — na pensję specjalną. I nawet na resortową emeryturę, dającą tyle ulg i przywilejów, nie bardzo mógł liczyć — wszystko dlatego, że w roku 1939 nie był w stanie się zdecydować się na włożenie munduru, choć go do tego zachęcano. Szkoda, chociaż kto wie, zważywszy niewyraźną sytuację w ciągu ostatnich dwóch lat... Może jednak spokój wart jest więcej.

Wspomnieli też o powszechnym dążeniu do podwyższenia poziomu życia, co zaczęło się mocno uwydatniać w ostatnich latach w ubraniu, umeblowaniu, urządzeniu mieszkań, Kapitolina Matwiejewna powiedziała że kuracja, nawet pomyślna, przeciągnie się, jak ją uprzedzono, od sześciu tygodni do dwóch miesięcy, więc dobrze by było przeprowadzić w tym czasie w ich mieszkaniu odpowiedni remont. W łazience już dawno należało przesunąć jedną rurę, w kuchni przenieść zlew na inne miejsce, a w ustępie ściany wyłożyć kafelkami, a znowu w jadalni i w pokoju Pawła Nikołajewicza trzeba koniecznie przemaalować ściany; zmienić kolor (już chodziła sprawdzać), naturalnie w złotym odcieniu — to teraz bardzo modne. Paweł Nikołajewicz nie oponował, ale od razu powstało nieprzyjemne zagadnienie, jak z robotnikami. Wprawdzie przyjdą na państwowe zlecenie i według niego otrzymają zapłatę, ale z całą pewnością będą żądać — nie prosić, lecz właśnie żądać! — dodatkowej dopłaty od „gospodarzy”. Nie to, żeby Paweł Nikołajewicz żałował pieniędzy (zresztą pieniędzy także było szkoda!), ale zjawiało się pytanie o wiele ważniejsze i sprawiające przykrość: — **Z a c o ? !**

On sam zawsze otrzymywał tylko swoją pensję i premie i nigdy nie zwracał się do nikogo o żadne dodatki czy napiwki. A ci niesumienni robotnicy chcą otrzymać podwójne pieniądze. Ustąpić to kwestia pogwałcenia zasad, niedopuszczalne ustępowanie przed drobnoburżuazyjnym żywiołem. Ilekroć rozmowa schodziła na ten temat, Paweł Nikołajewicz natychmiast bardzo się denerwował.

— Powiedz mi, Kapa, dlaczego ci robotnicy nie szanują swego

pracowniczego honoru? Dlaczego, pracując w fabryce makaronów, nie stawialiśmy żadnych warunków i nie żądaliśmy dodatków od majstra? To nam nawet do głowy przyjąć nie mogło! Więc nie powinniśmy ich demoralizować. Przecież to jest równoznaczne z daniem łapówek!

Kapa zgadzała się z nim całkowicie, ale natychmiast dodała że jeżeli robotnikom nie dopłaci się najpierw, na wstępie, a później w połowie pracy, to na pewno się zemszcą, podłożą świnię, a potem sam będziesz żałować.

— Opowiadano mi, że pewien pułkownik w stanie spoczynku ostro się postawił, oświadczył — nie zapłacę ani jednego grosza. I wyobraź sobie, robotnicy w ściekowej rurze od wanny zostawili zdechłego szczura — woda nie chciała spływać i do tego śmierdziało.

Ostatecznie w sprawie remontu nie doszli do żadnej decyzji. Życie jest skomplikowane, ach jakże skomplikowane, i to pod każdym względem!

Mówili także o starszym synu, Jurze. Wyrósł z niego chłopiec jakoś za bardzo przyciszony, jak gdyby bezbronny, nie ma w sobie życiowego uchwytu, typowego dla rodziny Rusanowów. Ukończył studia prawnicze, po czym rodzice wystarali się dla niego o dobre stanowisko, ale przyznać trzeba że się do tej roboty nie bardzo nadaje. Nie potrafi utrwalić solidnie swojej pozycji, ani postarać się o właściwe znajomości. Pojechał w podróż służbową, i najprawdopodobniej narobi błędów. Paweł Nikołajewicz był mocno zaniepokojony. A znowu Kapitolina Matwiejewna niepokoiła się sprawą ożenku Jury. Ojciec wystarał się dla niego o samochód, osobne mieszkanie także mu znajdzie, ale jak dopilnować żeby nie zawarł nieodpowiedniego małżeństwa! Jest taki prostoduszny, byle tkaczka z kombinatu go tumani, no powiedzmy o tkaczkę raczej trudno, nie ma takich kontaktów, ale na przykład teraz, w delegacji służbowej... Jeden lekkomyślny krok, nieprzemyślana rejestracja z pierwszą lepszą — przecież to może zmarnować nie tylko życie jednego młodzieńca, lecz i wieloletnie wysiłki całej rodziny!

Córka Szendiapinów, studiująca medycynę, o mało co nie wyszła za kolegę z instytutu, a ten — ze wsi, jego matka — zwykła kołchoźnica; trzeba sobie tylko wyobrazić mieszkanie Szendiapinów, jakie umeblowanie, jacy odpowiedzialni ludzie u nich bywają — a tu nagle za stołem ta staruszka w białej chustce na głowie, bez paszportu — świekra! Ładne widowisko! Co prawda uratowali córkę, udało się oczernić narzeczonego na linii postępowania społecznego.

Zupełnie inna sprawa z Awietą. Awieta, Awa, Ała — to



prawdziwa perła w rodzinie Rusanowów. Rodzice nie pamiętają by kiedykolwiek dała powód do troski czy przykrości, chyba że jakieś sztubackie psoty. Urodziwa, rozumna, energiczna, życie rozumie i przyjmuje w prawidłowy sposób. Nie potrzeba jej sprawdzać ani niepokoić się — nie postawi fałszywego kroku ani w ważnych sprawach, ani w drobnych. Tylko za to imię — Awieta — obrażona jest na rodziców. Nie należało dziwaczyć teraz nazywajcie mnie Ałłą! Tak, ale w paszporcie — Awieta Pawłowna. Właściwie brzmi bardzo ładnie. Przerwa wakacyjna zbliża się do końca, w środę przyleci samolotem z Moskwy i na pewno zaraz przybiegnie do chorego ojca.

Z tymi imionami duży kłopot: okoliczności życiowe ulegają zmianom, zaś imiona pozostają na zawsze. Ławrik także czuje urazę z tego powodu. Dopóki w szkole, to nic — Ławrik to Ławrik, nikt sobie na nim zębów nie ostrzy, ale w bieżącym roku otrzyma legitymację, a tam co będzie wypisane? Ławrientij Pawłowicz. Kiedyś rodzice mieli w tym wyrachowanie: niech się nazywa tak jak minister, nieugięty współtowarzysz Stalina, i niech we wszystkim będzie do niego podobny. Ale to już prawie dwa lata, odkąd ostrożniej jest tego „Ławrientij Pawłowicz” na głos nie wypowiadać. Na szczęście, Ławrik chce koniecznie do wojskowej szkoły, a w armii nie ma zwyczaju nazywać po imieniu.

A tak naprawdę, mówiąc między nami: po co to wszystko? Szendiapow myśli tak samo, tyle że nie zdradza się przed obcymi. Nawet jeżeli założyć, że Beria był dwulicowym obłudnikiem, burżuazyjnym nacjonalistą i dążył do władzy — pięknie, postawcie go przed tajnym sądem, rozstrzelajcie, ale po cóż informować masy ludowe? Po co podkopywać zaufanie? Po co budzić wątpliwości? Ostatecznie można było puścić tajny okólnik, naturalnie do pewnego szczebla partyjnej hierarchii, w nim wszystko wyjaśnić, a w gazetach poinformować że umarł na zawał serca. I urządzić honorowy pogrzeb.

Rozmawiali także na temat Majki, najmłodszej córki. W tym roku szkolnym zniknęły bez śladu dobre stopnie, nie tylko piątki się ulotniły, ale i czwórki zostało niewiele. Przestała być celującą uczennicą i nazwisko jej zdjęto z honorowej tablicy. Stało się tak po przejściu do piątej klasy. W niższych klasach była przez cały czas ta sama nauczycielka, znała dobrze rodziców i Maja uczyła się wspianale. A w tym roku dwudziestu nauczycieli, każdy od innego przedmiotu, przyjdzie na lekcję raz w tygodniu, uczenic indywidualnie nie odróżnia, byle wydusić swój plan, a o tym na jakie urazy naraża dzieciaka, jak kaleczy jego charakter, nawet nie pomyśli. Ale Kapitolina Matwiejewna niczego nie zaniedba,



zrobi wszystko żeby za pośrednictwem komitetu rodzicielskiego zaprowadzić porządek w tej szkole. Co prawda, ten porządek został naruszony przez nową reformę. Po co znowu przemieszanie uczniów? Dlaczego zrezygnowano z ekskluzywnej separacji — tego największego osiągnięcia dojrzałej sowieckiej pedagogiki?!

Omawiali te wszystkie sprawy długo, dłużej niż godzinę, ale szło im dość niemrawo, i jedno starało się ukryć przed drugim to co najważniejsze. Paweł Nikołajewicz czuł się tak, jakby ludzie i sprawy przez nich omawiane znajdowały się poza granicą rzeczywistości; nie miał chęci na nic, a najlepiej byłoby wrócić do łóżka, przyłożyć opuchlinę do poduszki i schować się przed całym światem.

Kapitolina Matwiejewna czuła się skrępowana w rozmowie, bo w torebce leżał list, który ją palił żywym ogniem; list otrzymała dziś rano od brata Manaja z miejscowości K. W tej miejscowości Rusanowowie mieszkali przed wojną, tam przeminęła ich młodość, tam pobrali się i tam urodziły się wszystkie dzieci. Ale podczas wojny ewakuowali się, do K. już nie powrócili, zaś mieszkanie udało im się przekazać bratu Kapy.

Zdawała sobie sprawę, że mężowi w tej sytuacji nie należało przynosić podobnych wiadomości, ale z drugiej strony nie mogła się tą wiadomością podzielić z najlepszą nawet znajomą. W całym mieście nie było ani jednego człowieka, któremu mogłaby opowiedzieć treść listu i wyjaśnić cały jego sens. Starła się służyć mężowi pociechą, ale ostatecznie ona także tej pociechy potrzebowała! Nie mogła siedzieć sama w domu i nie podzielić się z nikim tą wiadomością. Jeżeli chodzi o dzieci, to być może tylko jednej Awiecie można było opowiedzieć i wyjaśnić. Jurze — w żadnym wypadku. I właśnie dlatego musiała koniecznie poradzić się męża.

Ale Rusanow, im dłużej z nią siedział, tym bardziej okłapywał, i wydawało jej się, że nie zdobędzie się na rozmowę o tej najważniejszej sprawie.

Czas wizyty kończył się, więc zaczęła z torby wyjmować i kolejno pokazywać mężowi, co mu przyniosła do jedzenia. Rękawy, obszyte srebrnymi lisami, były tak szerokie, że ledwie wchodziły do otwartej torby.

Paweł Nikołajewicz patrzył na żywność (miał jej dość w szafce przy łóżku) i nagle przypomniał sobie o czymś, co było znacznie ważniejsze od wszelkiego jedła i napoju, przypomniał sobie o brzozowym grzybie. C z a g a ! — od tego trzeba było zacząć dzisiejszą rozmowę! Ożywił się i zaczął opowiadać żonie o tym cudownym środku, o liście od doktora Maslennikowa (może to

zresztą szarlatan?), że trzeba natychmiast coś wymyślić, napisać do kogoś kto by mógł dostarczyć zapas tego grzyba.

— Przecież u nas, w okolicach K., brzóz ile kto chce! Dla Minaja zorganizować dostawę to fraszka! Natychmiast napisz do Minaja! A także do innych, są przecież starzy przyjaciele, niech się tym zajmą! Niech wszyscy się dowiedzą w jakiej się znalazłem sytuacji!

Sam zaczął rozmowę o K. i o Minaju! Nie wyjmując listu, bo brat pisał w bardzo minorowym nastroju, a tylko otwierając i zamykając torebkę z trzaskiem, Kapa Matwiejewna powiedziała:

— Wiesz, Pasza, czy to dobrze robić hałas w tej chwili w K... trzeba się zastanowić... Mińka pisze... no nie wiem, może to nieprawda... Jakoby w mieście zjawił się... Rodiczew... I jakoby został zre-ha-bi-li-to-wa-ny... Czy to możliwe, jak sądzisz?

Gdy wymawiała to długie, ohydne słowo „zre-ha-bi-li-to-wa-ny”, patrząc na zatrząsk torebki i już skłonna pokazać list, nie dostrzegła że Pasza zrobił się bielszy od ściany.

— Co tobie?! — krzyknęła jeszcze bardziej przerażona, niż samym listem. — Co tobie?!!!

Rusanow odrzucił głowę do tyłu i zupełnie kobiecym ruchem ścigał na piersi jej szal.

— Może to nieprawda! — starała się uchwycić go rękami za ramiona, ale że w jednej ręce wciąż trzymała torebkę, wypadło tak jak gdyby chciała mu ją powiesić na ramieniu. — Może nieprawda! Mińka osobiście go nie widział. Ale — ludzie mówią...

Bładość stopniowo ustępowała, ale Paweł Nikołajewicz całkowicie osłabł w pasie, ramionach i rękach, i jeszcze mocniej czuł opuchlinę, która wykręcała mu głowę na bok.

— Po coś mi to powiedziała? — powiedział nieszczęsnym, słabym głosem. — Czyżby za mało było tego nieszczęścia? Czyżby za mało? — głowa i pierś zadrżały w bezgłośnym płaczu bez łez.

— Wybacz mi, Paszeńka! Wybacz mi, Pawełku! — Kapa trzymała go za ramiona i także trzęsła się w zdenerwowaniu, podrzucając swoją ufryzowaną lwią czupryną koloru miedzi. — Przecież ja także straciłam głowę! Czy on będzie w stanie odebrać teraz Minajowi swój pokój? I w ogóle... Do czego to wszystko doprowadzi? Pamiętasz, jużśmy słyszeli o dwóch takich wypadkach!

— A co tu ma do rzeczy pokój, diabli z pokojem, niech zabiera! — wyszeptał płaczącym tonem.

— Jak to diabli?! A jakże teraz Minaj się zmieści?

— Lepiej byś o mężu pomyślała! Pomyśl, co będzie ze mną... A o Guzunie nic nie pisze?

— O Guzunie ani słowa... Jeżeli wszyscy oni zaczną teraz powracać, to co będzie?

— A skąd ja mogę wiedzieć...! — zdławionym głosem odpowiedział mąż. — Jakże jest p r a w o na to, żeby ich teraz wypuszczać? Jakże można nas doprowadzać do takiego stanu?!

## 14.

### WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

Rusanow tak bardzo liczył na to że wizyta żony doda mu otuchy, a wyszło jeszcze na gorsze, już by lepiej było gdyby Kapa w ogóle nie przysłała. Wchodził po schodach zataczając się, wczepiony rękami w poręcz, i czuł że trzęsą nim dreszcze. Kapa nie mogła, mając na sobie futro, odprowadzić go na górę; wałkoniąca się sanitariuszka specjalnie po to stała by nie puszczać, więc Kapa popędziła ją żeby zaprowadziła Pawła Nikołajewicza na salę i zaniósła torbę z żywnością. Przy dyżurnym stoliku siedziała ta sama pielęgniarka Zoja, o wyłupiastych oczach, która nie wiadomo dlaczego podobała się Rusanowowi zaraz pierwszego wieczora. Teraz siedziała nad kupą jakichś papierków i flirtowała z tym brutalem Ogłojedem, w ogóle nie myśląc o chorych. Rusanow poprosił o aspirynę, a ta jakby wyuczoną lekcję wyrecytowała, że aspirynę wydaje się tylko wieczorem. Ale temperaturę jednak mu zmierzyła i przyniosła jakieś lekarstwo.

Po umieszczeniu żywności w szafce, Paweł Nikołajewicz położył się jak zamierzał: opuchlinę na poduszce (dziwne że przynajmniej poduszki były tu miękkie, nie trzeba sprowadzać z domu) i przykrył się z głową.

Powstało w nim takie kłębowisko błyskawicznych a zarazem ciężkich myśli, że przestał czuć własne ciało, jak gdyby znajdował się pod narkozą, już nie słyszał głupich szpitalnych rozmów i nie czuł, że ciężkie kroki Efrema wstrząsają deskami podłogi i jego łóżkiem. Nie wiedział że zewnątrz wypogodziło się, słońce przejrzało zza chmur przed samym zachodem, zresztą z przeciwnej strony sali. Nie zdawał sobie sprawy z biegu czasu. Zasypiał, być może, na skutek zażycia lekarstwa, znowu się budził. Za którymś razem obudził się kiedy już zapalono elektryczność, znowu zasnął. Aż wreszcie obudził się późno w nocy, w zupełnym mroku i ciszy.

Zrozumiał że sen już nie powróci, że odpadła jego dobroczynna zasłona. Wtedy strach wcepił się pazurami, gdzie pod dołkiem — i nie puszczał.

I różne myśli zaczęły go atakować, rosnąć, rozkręcać się w głowie Rusanowa, na sali i dalej, w coraz rozleglejszej ciemności.

A nawet i to nie było zwykłe myślenie, to był strach. Po prostu — strach. Rusanow bał się że nagle jutro rano zjawi się tu Rodiczew, przerwie się przez kordon pielęgniarek i sanitariuszek, wdrze się na salę i zacznie go bić. Rusanow obawiał się nie wymiaru sprawiedliwości, nie społecznej opinii, nie hańby — po prostu bał się bicia. Pobito go tylko raz w życiu, jeszcze w szkole, w szóstej klasie, a więc w ostatnim roku jego nauki; czekali na niego wieczorem przy wyjściu, przyszli po „wypłatę”, żaden z nich nie miał noża, ale na całe życie pozostało okropne wspomnienie — twarde kościste pięści, bijące ze wszystkich stron.

Jeżeli zmarłego człowieka widzieliśmy po raz ostatni gdy był młodzieńcem, to takim pozostał w naszej wyobraźni, chociaż wiemy że się zestarzał. Podobnie Rusanow wyobrażał sobie Rodiczewa, mimo że po osiemnastu latach stał się zapewne inwalidą, może ogłuchł, może się przygarbił — wyobrażał go sobie właśnie tak jak go widział w ostatnią niedzielę przed aresztowaniem: silne, opalone chłopisko z hantlami i sztangą, stojące na ich wspólnym, długim balkonie. Rusanow wraz z żoną już napisał na niego doniesienie, już cały materiał został zaniesiony i wręczony gdzie trzeba, a tu Rodiczew, obnażony do pasa, zawołał go na balkonie.

— Paszka, chodźno bliżej! Ano, pomacaj bicepsy! Nie krępuj się, ciśnij! Wiesz teraz co to znaczy inżynier nowej formacji? To nie jakiś tam Edward Christoforowicz! Żadnej tam krzywicy, jesteśmy ludźmi harmonijnymi. A ty jakoś na cherlaka wyglądasz, usychasz za drzwiami gabinetu. Chodź do nas, do zakładu, urzędę cię na naszym oddziale, co? Nie chcesz? Cha-cha-cha!

Ryknął śmiechem i poszedł się myć, podśpiewując:

### *Myśmy kowale o młodych duszach...*

To właśnie tego siłacza wyobrażał sobie Rusanow, że wdziera się do szpitala z zaciśniętymi pięściami. I nie mógł się pozbyć tego fantastycznego widzenia.

Kiedyś ten Rodiczew był jego przyjacielem, w tej samej komсомolskiej komórce, potem fabryka przydzieliła im wspólne mieszkanie. Ale Rodiczew poszedł na fakultet robotniczy i do instytutu, a Rusanow do związku zawodowego i do wydziału personalnego.

Najpierw zaczęły się niesnaski między żonami, potem między

nimi; Rodiczew w rozmowach z Rusanowem często zdobywał się na obraźliwy ton. A do tego rodzinie Rusanowów zrobiło się ciasno: jeden pokój, dwoje dzieci. Tak się to wszystko złożyło, oczywiście pośpieszyli się i Paweł Nikołajewicz złożył na Rodiczewa doniesienie, że ten w prywatnej rozmowie wypowiadał się pozytywnie o działalności rozgromionej Prompartii i zamierzał zorganizować w fabryce grupę sabotażystów. Rusanow bardzo zabiegał, żeby jego nazwisko nie zostało w tej sprawie wspomniane i żeby uniknąć osobistej konfrontacji, na samą myśl o niej ogarniał go paniczny strach. Śledczy zagwarantował mu, że prawo wcale nie wymaga wymieniania Rusanowa i konfrontacja też nie jest konieczna — wystarczy jeśli oskarżony przyzna się do winy. Nawet pierwotne doniesienie Rusanowa nie musi być dołączone do aktów sprawy, tak że gdy oskarżony będzie podpisywać 206 paragraf, nigdzie nie znajdzie nazwiska swego sąsiada, dzielącego z nim dotychczas mieszkanie.

Wszystko poszłoby gładko, gdyby nie Guzun, sekretarz zakładowej organizacji partyjnej. Otrzymał on zawiadomienie, że Rodiczew jest wrogiem ludu, więc żeby jego własna organizacja usunęła go z szeregów partyjnych. Ale Guzun uparł się, narobił hałasu, że niby Rodiczew swój człowiek i że niech mu pokażą materiał dowodowy. Pohałasował na własne nieszczęście, bo po dwóch dniach w nocy aresztowano także jego, a trzeciego dnia obu usunięto z partii jako członków tej samej nielegalnej organizacji.

I oto teraz Rusanowa przeszło jak igłą przypomnienie, że zanim Guzuna zdołano złamać musiano mu jednak powiedzieć że materiał obciążający pochodził od Rusanowa, to znaczy że jeżeli Guzun spotkał się t a m z Rodiczewem to wszystko mu opowiedział, a spotkać się mogli gdyż byli skazani w tej samej sprawie. Oto dlatego Rusanow tak bardzo bał się tego złowieszczonego powrotu, tego zmartwychwstania, którego w żaden sposób i nigdy nie można było sobie wyobrazić.

Naturalnie także żona Rodiczewa mogła była się domyśleć, ale czy żyje? Kapa miała następujący plan: natychmiast po aresztowaniu Rodiczewa Katkę wyrzucić z mieszkania, a wtedy drugi pokój i cały balkon będzie można zająć bez trudu. Teraz śmieszyla myśl, że pokój o powierzchni osiemnastu metrów kwadratowych i mieszkanie bez gazu mogły mieć takie znaczenie. Cała operacja była już uzgodniona, ale kiedy przyszli Katkę wysiedlać, odstawiła sztuczkę — oświadczyła, że jest w ciąży. Postanowiono sprawdzić — przyniosła świadectwo. Prawda! Dobrze przewidziała: według prawa ciężarnej kobiety usunąć z mieszkania nie wolno. Wyrzucono ją dopiero przed następną zimą, a na razie

trzeba było znosić ją pod bokiem przez długie miesiące, zanim urodziła i potem jeszcze jakiś czas po rozwiązaniu, także zgodnie z ustawą. Tyle że Kapa nie pozwalała jej teraz w kuchni odezwać się bodaj jednym słowem, zaś Awieta, która wkrótce miała skończyć pięć lat, bardzo zabawnie Katkę drażniła i pluła jej do garnków.

Strach? Leżąc teraz na plecach w mroku sali szpitalnej, pełnej chrapiących i posapujących ludzi (jedynie słaby odbłask lampy stojącej na stole dyżurnej pielęgniarki lekko sączył się przez matową szybę oszklonych drzwi), Rusanow starał się zdać sobie sprawę dlaczego cienie Rodiczewa i Guzuna tak bardzo wytrąciły go z równowagi. I czy przestraszyłyby się tak samo, gdyby wrócili inni, których winę swego czasu pomógł ustalić: ten sam Edward Christoforowicz, którego przypadkowo wspomniął Rodiczew, inżynier burżuazyjnego pochodzenia, jakoś w obecności robotników nazwał Pawła Nikołajewicza durniem i aferzystą (a sam później przyznał się, że marzył o przywróceniu kapitalizmu); tamta stenografistka, która przekreśliła przemówienie ważnego dygnitarza popierającego Rusanowa, zaś słowa te były wypowiedziane jeszcze zupełnie inaczej; nieustępliwy buchalter (przy tym okazało się, że jest synem księdza, więc załatwiono się z nim w ciągu jednej chwili); małżeństwo Jelczańskich i wielu, wielu innych.

A przecież Paweł Nikołajewicz nie bał się żadnego z nich, coraz śmielej i odważniej pomagał w ustalaniu winy, nawet dwa razy był na osobistej konfrontacji, podnosił głos i demaskował. W owych czasach wcale nie uważano, że należy się tu czegoś wstydzić! Wszyscy kłamcy, oszczercy, zbyt bezczelni amatorzy krytyki i przemądrzałe inteligenty — wszyscy poznikali, zamilkli, przyczaili się, a tylko ludzie z zasadami, pewni, oddani, przyjaciele Rusanowa i on sam, chodzili z dumnie podniesionymi głowami.

A teraz nastały jakieś nowe, zmaczone, chorobliwe czasy, w których należy wstydzić się swoich najlepszych obywatelskich czynów! I nawet bać się o siebie!

Bać się! Cóż za bzdura! Oglądając się wstecz na całe swoje życie, Rusanow nie mógł zarzucić sobie tchórzostwa. Nigdy nie wykazywał strachu! Być może, nie był człowiekiem wyjątkowo odważnym, ale też nie pamiętał w swoim życiu wypadku stchóżenia. Nie ma żadnych podstaw do przypuszczenia, że bałby się na froncie — po prostu nie wzięli go na front, bo był potrzebny jako ceniony i doświadczony pracownik. Trudno twierdzić, że straciłby głowę podczas bombardowania, albo na wypadek pożaru — z K. wyjechali przed bombardowaniami, a przy pożarze nigdy nie był obecny. Również nigdy nie bał się prawa i wymiaru spra-



wiedliwości, bo praw nigdy nie naruszał, a wymiar sprawiedliwości zawsze go podtrzymywał i bronił. Nie bał się społecznego potępienia — społeczeństwo było także zawsze po jego stronie. W miejscowej gazecie nie mogłaby ukazać się żadna niechętna uwaga o Pawle Nikołajewiczu, bo Kuźma Fotiejewicz albo Nił Prokofiewicz na pewno by ją zatrzymali. Zaś prasa centralna nie schodziła do takiego poziomu. Więc prasy Rusanow również nigdy się nie bał.

Gdy podróżował statkiem po Morzu Czarnym, wcale nie bał się morskiej głębi. A czy bał się wysokości trudno powiedzieć, bo nie miał na tyle źle w głowie, żeby łaźić po skałach czy wspinać się na szczyty, zaś montażem na wysokości także się nie zajmował, z racji swego zawodu.

Praca Rusanowa, od wielu już lat polegała na prowadzeniu ankietowej statystyki. Funkcja ta nazywała się w różnych instytucjach w różny sposób, ale jej istota była zawsze ta sama. Tylko nieuki albo osoby nieświadome, które nigdy się z tym nie zetknęły, nie wiedzą jaka to delikatna, prawdziwie koronkowa robota, wymagająca nie byle jakiego talentu. To poezja, do której dotąd jeszcze nie sięgnęli poeci. Na swojej życiowej drodze każdy człowiek wypełnia wielką ilość ankiet, a w każdej ankiecie znajduje się określona ilość pytań. Odpowiedź jednego człowieka na jedno pytanie jednej ankiety to cieniutka nitka, która na zawsze połączyła człowieka z centralnym punktem ankietowego przedsiębiorstwa. Od każdego człowieka idą w ten sposób setki nitek, a w ogóle są ich miliony i miliony, i gdyby te nitki stały się widoczne to ujrzelibyśmy niebo oplątane gęstą pajęczyną, a gdyby te nitki się zmaterializowały to autobusy, tramwaje i nawet ludzie straciliby możliwość poruszania się, a i wiatr nie byłby w stanie unieść na ulicy ani skrawków gazet, ani jesiennych liści. Te nitki są niewidoczne i niematerialne, a jednak człowiek odczuwa nieustannie ich istnienie. Rzecz w tym, że tak zwane kryształowe ankiety stanowią nieosiągalny ideał absolutnej prawdy. Pod adresem każdego żywego człowieka zawsze można zgłosić jakiś zarzut albo podejrzenie, każdy człowiek w jakiś sposób zawinił albo coś ukrywa, jeśli tylko przeprowadzi się skrupulatne śledztwo.

Świadomość istnienia tych niewidocznych nitek wywołuje uczucie wielkiego szacunku wobec osób, które prowadzą to skomplikowane ankietowe przedsiębiorstwo, i daje im olbrzymi autorytet.

Gdyby chodziło o jeszcze jedno porównanie, tym razem muzyczne, to Rusanow dzięki swemu specjalnemu stanowisku miał do dyspozycji coś w rodzaju ksylofonu i mógł, według uznania



i potrzeby, uderzać w wybraną deseczkę. Wprawdzie wszystkie były z drzewa, ale każda wydawała swój własny głos.

Niektóre z tych deseczek, czyli chwytów, dotyczyły najbardziej delikatnego, ostrożnego postępowania. Na przykład, jeżeli Rusanow pragnął któremuś z towarzyszy dać do zrozumienia, że jest z niego niezadowolony, albo po prostu uprzedzić go czy usadzić na miejscu, to stosował różne sposoby witania się. Gdy tamten go pozdrowiał (naturalnie pierwszy), Paweł Nikołajewicz mógł odpowiedzieć rzeczowo, ale nie uśmiechnąć się; ale mógł także, ściągnąwszy brwi (przerabiał ten gest przed lustrem w swoim urzędowym gabinecie) nieco opóźnić odpowiedź na ukłon — jak gdyby wątpił, czy właściwie należy tego osobnika pozdrowiać, czy w ogóle na to zasługuje — i dopiero po tej zwłoce odkłonić się, ale znowu w różny sposób: wyraźnie zwracając się ku niemu twarzą, albo tylko nieznacznie, albo nie zwracając się w ogóle.

Takie niewielkie opóźnienie zawsze wywołuje poważny efekt. W głowie pracownika, któremu odpowiedział na pozdrowienie chłodno lub niechętnie, natychmiast zaczyna się intensywne poszukiwanie grzeszków ewentualnie przez niego popełnionych. I gdy na skutek tego powstała wątpliwość, to kto wie czy nie powstrzymała ona pracownika od niewłaściwego czynu, do którego już był skłonny, czy znajdował się o krok od jego popełnienia. A Paweł Nikołajewicz mógłby się o tym dowiedzieć już z opóźnieniem.

Znacznie silniejszy środek oddziaływania polegał na tym, że Rusanow przy spotkaniu z pracownikiem — albo przez telefon, albo specjalnie go wezwawszy — mówił: „Proszę zgłosić się do mnie jutro o dziesiątej godzinie rano!” „A nie można teraz?” — na pewno zapyta pracownik, bo pragnie jak najszybciej wyjaśnić po co go wzywają i odbyć rozmowę. „Nie, teraz nie można” — odpowie Rusanow grzecznie, ale stanowczo. Nie powie, że jest obecnie zajęty inną sprawą, albo że idzie na posiedzenie, nie, nie poda żadnego prostego i jasnego powodu, żeby uspokoić wezwanego (na tym właśnie polega chwyt), i tak wymówi te słowa „teraz nie można”, żeby wypadły wieloznacznie i to nie koniecznie w przyjemnym sensie.

Być może, pracownik, zwłaszcza jeżeli nie ma żadnego doświadczenia, ośmieli się zapytać: „A w jakiej sprawie?”. „Jutro się dowiecie” — aksamitnym głosem wyminie Paweł Nikołajewicz to nietaktowne pytanie. A do dziesiątej godziny następnego dnia ileż czasu! Trzeba zakończyć dzień pracy, wrócić do domu, porozmawiać z rodziną, może pójść do kina albo na zebranie koła rodzicielskiego, potem noc (nie jeden w ogóle nie będzie mógł

zasnąć), rankiem śniadanie stanie mu kością w gardle, i przez cały czas pracownika dręczy i wierci mu dziurę w brzuchu ciągle to samo pytanie: „Po co on mnie wzywa?”.

W ciągu tych niekończących się godzin pracownik uczyni rachunek sumienia, naje się strachu, przysięgnie sobie nie zadzierać na przyszłość z władzą na zebraniach zakładowych. A kiedy się już stawi na rozmowę, może okazać się, że w ogóle nie ma żadnej sprawy — po prostu trzeba sprawdzić datę urodzenia albo numer dyplomu.

Więc podobnie jak deseczki ksylofonu przemawiają za każdym razem innym, chociaż zawsze drewnianym głosem, sposobów było mnóstwo. A głos nabierał najbardziej ostrego i suchego tonu, gdy się mówiło do delinkwenta: „Siergiej Siergiejewicz (to dyrektor wszystkich przedsiębiorstw, lokalny Gospodarz) prosi was o wypełnienie tej oto ankiety w określonym terminie”. Pracownik dostawał ankietę, ale nie zwyczajną ankietę, nie! Ze wszystkich kwestionariuszy ukrytych w szafie Rusanowa ten był najbardziej wyczerpujący i nieprzyjemny, dotyczył bowiem danych zatajanych może przez zainteresowanego.

Być może, pracownik niczego nie ukrywa, Siergiej Siergiejewicz nie ma żadnych podejrzeń, ale któż tam zechce sprawdzić, skoro wszyscy boją go się jak ognia. Pracownik bierze ankietę, udaje że jest pewny siebie, a w rzeczywistości, jeżeli cokolwiek ukrył, wewnątrzności wywracają się w nim ze strachu. Bo w tej ankiecie niczego nie ukryje. To świetna, najlepsza ze wszystkich ankiet!

Właśnie przy pomocy takiej ankiety Rusanowowi udało się doprowadzić do rozwodu kilku kobiet, których mężowie zostali skazani z 58 artykułu. Starwały się zacierać za sobą ślady, posyłały paczki nie od siebie czy z innej miejscowości, albo też w ogóle nie posyłały, na nic się to wszystko nie zdało! Siatka pytań w tej ankiecie była tak ścisła, że nie było mowy o wymiganiu się kłamstwem. Ucieczką od tego mogło być tylko jedno: prawnie przeprowadzony rozwód. Przy tym procedura była ułatwiona: sąd nie pytał uwięzionych o zgodę na rozwód i nie zawiadamiał ich, że rozwód został przeprowadzony. Rusanowowi zależało tylko na tym żeby doszło do rozwodu, żeby brudne łapy przestępcy nie sprowadzały z obywatelskiej drogi kobiety, którą można było jeszcze uratować. A wspomniane ankiety nie były nigdzie skierowywane. A jeżeli pokazywał je Siergiejowi Siergiejewiczowi, to tylko ze względu na zawarty w nich materiał anegdotyczny.

Poezja tej pracy polegała właśnie na tym, że jeszcze człowieka dobrze nie przycisnął, a już trzymasz go w rękach.

Odosobnione, dość tajemnicze, dla innych niezbyt sprecyzowane stanowisko, jakie Rusanow zajmował w całokształcie prac przedsiębiorstwa, dawało mu dogłębną znajomość istotnych procesów życiowych i dużą satysfakcję wypływającą z tej znajomości. Życie widoczne dla każdego — produkcja, posiedzenia, gazeta zakładowa, partyjne zobowiązania na stachanowską wartę, zgłoszenia na odbiór, stołówka, klub — nie stanowiło istoty, tak się to tylko wydawało niewtajemniczonym.

Wszystkie sytuacje życiowe rozstrzygały się bez hałasu, spokojnie, w zacisznych gabinetach, w rozmowach między dwoma — trzema dobrze rozumiejącymi się nawzajem osobami, albo jednym dyskretnym telefonem. Prawdziwe procesy życiowe płynęły poprzez sekretne papiery, przez teczki Rusanowa i jego współpracowników, milcząc towarzyszyły każdemu człowiekowi. Ten istotny sens życia tylko niekiedy się objawiał, wychylał z podziemnego królestwa swoją płomieniem buchającą paszczę, odrywał ofierze głowę albo pluł w nią ogniem — i znowu znikał nie wiadomo gdzie. Na powierzchni wszystko było jak dawniej: klub, stołówka, zgłoszenia na odbiór, gazeta zakładowa, produkcja, a tylko wśród tych co szli na roboczą wartę iluś tam brakowało — zwolnionych, wydalonych, wyrzuconych.

Zgodnie z charakterem tej delikatnej, poetycko-politycznej pracy Rusanowa urządzone było jego biuro. Zawsze siedział w odosobnionym pokoju, za drzwiami obitymi skórą w której błyszczały tapicerskie gwoździe. W miarę rozrostu znaczenia i możliwości przedsiębiorstwa, dodawano inne rzeczy. Najważniejsze były podwójne drzwi, oddzielone od siebie minimalną przestrzenią. Niby nic nadzwyczajnego, bardzo prosty wynalazek: zupełnie ciemna przestrzeń, zaledwie jeden metr długości, potrzeba jednej albo dwóch sekund, aby zamknąć pierwsze drzwi i namacać następne. Ale właśnie te sekundy przed decydującą rozmową są takie ważne: klient znajduje się na krótko jak gdyby w więzieniu, bez światła, bez powietrza, i odczuwa całą swoją nicość przed wejściem do gabinetu. I jeżeli przedtem był zuchwały, chciał mędrkować, to tu, w tym wąskim przejściu między drzwiami, nic z jego zuchwałości nie zostawało.

Naturalnie nigdy nie przychodzili ludzie do Pawła Nikołajewicza w kilku, wpuszczano ich pojedynczo i tylko takich, którzy zostali wezwani albo telefonicznie otrzymali pozwolenie na przyjście.

Tego rodzaju urządzenie wejścia do gabinetu i porządek przestrzegany przy wchodzeniu pracowników bardzo sprzyjały przemyślanemu, regularnemu wykonywaniu obowiązków w dziale Ru-

sanowa. Gdyby tego wszystkiego nie było, Paweł Nikołajewicz czułby się nieswojo.

Nie trudno zrozumieć, że zgodnie z dialektycznym, wzajemnym powiązaniem wszystkich zjawisk rzeczywistości, sposób zachowania się Pawła Nikołajewicza w biurze nie mógł nie wywrzeć wpływu na jego sposób życia w ogóle. Stopniowo, z biegiem lat, i on i Kapitolina Matwiejewna nabierali niechęci do ludzkiego mrowiska, do ciasnoty, do tłumu. Tramwaje, trolejbusy, autobusy budziły w nich obrzydzenie, bo tam zawsze poszturchiwali, mogli obrazić, pchali się różni robotnicy, często z budowy, w brudnych kombinezonach, mogli otrzeć się i poplamieć ubranie mazutem albo wapnem. A ponadto rozpowszechnił się ohydny zwyczaj traktowania za pan brat, poklepywania po ramieniu — coraz to któryś prosił, żeby podać dalej pieniądze za bilet albo wydaną resztę, trzeba było być usłużnym, podawać, i tak bez końca.

Chodzić na piechotę po mieście nie podobna, zbyt wielkie odległości, i byłoby to zbyt prostackie, nie odpowiadające zajmowanemu stanowisku, a zresztą od przechodniów też można zaznać nieprzyjemnej niespodzianki. Wobec tego Rusanowowie zaczęli stopniowo przechodzić na samochód — najpierw na taksówkę, potem na służbowy wóz, wreszcie na swój własny.

O podróżowaniu koleją w ogóle nie ma co mówić; jazda nie tylko w ogólnych wagonach, ale i z miejscówkami stała się nieznośna — pchała się do nich różna hołota w półkożuszkach, z wiadrami i workami.

Dlatego też Rusanowowie jeździli wyłącznie w wagonach podzielonych na przedziały, z miękkimi obiciami. Naturalnie w hotelach dla Rusanowa zawsze rezerwowano numer, żeby nie musiał nocować we wspólnym pokoju. Naturalnie na wakacje Rusanowowie jeździli nie do byle jakich uzdrowisk, ale tam gdzie człowiek cieszy się odpowiednim szacunkiem i ma odpowiednie warunki, gdzie zarówno plaże jak parki odpoczynkowe są niedostępne dla zwykłej publiczności.

Kiedy lekarze poradzili Kapitolinie Matwiejewnie, żeby jak najwięcej spacerowała, to oczywiście takie spacery mogły się odbywać tylko właśnie w takim uzdrowisku, wśród osób jej równych. Rusanowowie mieli rosyjskie dusze i w zasadzie bardzo lubili ludowe zabawy, ale z czasem bardziej zaczęły im odpowiadać zabawy w środowisku dyrektorskim. Były bardziej eleganckie i zarazem znacznie bezpieczniejsze.

Rusanowowie kochali swój naród, swój wielki naród, służyli mu i gotowi byli życie zań oddać.

Ale z biegiem czasu coraz gorzej znosili mieszkańców tego

kraju. Tych krnąbrnych, uchylających się od wykonywania obowiązków, upartych, stale czegoś żądających mieszkańców.

Zacząli więc unikać tych źle ubranych, bezczelnych ludzi, często w dodatku pijanych; spotykało się ich w elektrycznej kolejce, przy kioskach z piwem, na dworcach autobusowych i kolejowych. Biednie ubrany człowiek jest zawsze niebezpieczny, bo jest mało odpowiedzialny, a przy tym prawdopodobnie ma niewiele do stracenia — w przeciwnym razie stać by go było na przyzwoite ubranie. Naturalnie milicja i prawo bronią Rusanowa przed źle ubranym człowiekiem, ale obrona najpewniej przyjdzie z opóźnieniem, przyjdzie żeby ukarać łajdaka w późniejszym terminie, zaś Paweł Nikołajewicz, jeśli się z nim zetknie twarzą w twarz, jest w gruncie rzeczy bezbronny, ani jego stanowisko ani zasługi nic nie znaczą, tamten może go znieważać bez żadnego powodu, skłąć go w mać a nawet uderzyć pięścią w twarz zupełnie za nic, zniszczyć mu ubranie, albo siłą je z niego ściągnąć.

I oto Rusanow, który niczego na świecie się nie bał, zaczął czuć strach, całkiem naturalny, usprawiedliwiony strach przed rozpustnymi, na pół pijanymi ludźmi, a ściślej — strach przed uderzeniem pięścią w twarz.

To dlatego tak bardzo go zdenerwowała wiadomość o powrocie Rodiczewa: Rusanow wyobraził sobie, że Rodiczew z miejsca rąbnie go pięścią w twarz. Nie obawiał się, że Rodiczew albo Guzun wystąpią przeciw niemu na drodze prawnej. Jak już chodzi o prawo, to bodaj w ogóle do Rusanowa nie dotrą i żadnych pretensji zgłaszać nie mogą, nie powinni. Tak, ale co się stanie, jeżeli obydwaj zachowali swoją dawną siłę i zechcą, mówiąc ordynarnie, zbić go po pysku?!

Paweł Nikołajewicz, jako świadomy człowiek nowej formacji odznaczający się silną wolą, zdawał sobie sprawę że powinien ten strach pokonać i przezwyciężyć.

Po pierwsze — wszystko może być zwyczajnym urojeniem. Może żadnego Rodiczewa w ogóle nie ma i, daj Boże, nigdy nie powróci. Wszystkie te opowiadania o powrotach mogą być zwykłą bajką. Paweł Nikołajewicz, ocierając się stale o wielkie wydarzenia, jak dotychczas nie zauważył żadnych oznak, które by zapowiadały zasadnicze zmiany w codziennym życiu.

Ale nawet zakładając że Rodiczew rzeczywiście powrócił, to przecież do miasta K. a nie tu. Ma ważniejsze sprawy na głowie niż poszukiwanie Rusanowa, sam musi uważać żeby go z K. znowu nie wykopali. Tak więc przerażenie, które w pierwszej chwili opanowało Pawła Nikołajewicza, było zupełnie niezasadne.

A jeżeli nawet zacznie szukać, to przecież nie od razu natrafi

na ślad. Pociągiem trzeba jechać całe trzy doby przez osiem obwodów. A nawet gdyby tu przyjechał, to zgłosi się do mieszkania a nie do szpitala. W szpitalu zaś Paweł Nikołajewicz jest całkowicie bezpieczny.

Bezpieczny! Zabawna myśl... Ta opuchlina i bezpieczeństwo... Lepiej umrzeć od razu, niż żyć w strachu przed każdym powrotem. Cóż za szaleństwo — pozwolić im wracać! Już się przyzwyczaili do tamtego życia, ukorzyli się... Po co to? Po co ich tu puszczać, mącić ludziom życie?

Te rozmyślenia znużyły mimo wszystko Pawła Nikołajewicza i spowodowały jak gdyby senność. Trzeba było postarać się zasnąć.

Ale musiał wyjść z sali — najbardziej nieprzyjemna czynność w tej klinice.

Przekreślił się ostrożnie i ciągle zachowując maksymalną ostrożność przy każdym ruchu — opuchlina, jak żelazna pięść, tkwiła na szyi i uciskała — wygramolił się z łóżka, włożył pizamę, nocne pantofle, okulary i poszedł, cicho szurając stopami.

Przy stole czuwała czarnowłosa surowa Maria i natychmiast odwróciła się na odgłos jego kroków.

Na łóżku przy samych schodach jakiś nowy pacjent, Grek ze zwisającą czupryną, rzucał się i jęczał. Leżeć nie mógł, siedział, jego bezsenne, wypełnione rozpaczą spojrzenie pobiegło śladem Pawła Nikołajewicza.

Na zakręcie schodów jakiś malutki człowieczek o zupełnie żółtej cerze, ale jeszcze starannie uczesany, na pół leżał na pół siedział na kilku poduszkach i pociągał z tlenowego aparatu, uszytego z namiotowego brezentu. Na szafce przy łóżku leżały pomarańcze, herbatniki, rachat-łukum, stała butelka z kefirem, ale nic go to nie obchodziło — zwyczajne, czyste powietrze nie dochodziło do jego płuc w potrzebnej ilości.

Na parterze stało jeszcze kilka łóżek. Niektórzy chorzy spali. Jakaś starucha, wyraźnie wschodniego typu, ciskała się w męce, rozrzucając siwe kosmyki na poduszce.

Rusanow przeszedł przez malutki pokoik, gdzie aplikowano chorym lewatywy zawsze na tym samym, dobrze przybrudzonym, niedużym tapczanie.

Paweł Nikołajewicz nabrał w płuca powietrza i starając się powstrzymać oddech możliwie najdłużej, wszedł nareszcie do ustępu. Nie było w nim żadnych przegródek ani nawet sedesów; Rusanow czuł się tu wyjątkowo upokorzony i zdegradowany. Sanitariuszki sprzątały wielokrotnie w ciągu dnia, ale i tak nie dawały rady i zawsze natrafiało się na resztki krwi, wymiotów i nieczystości. Przecież z tego ustępu korzystały dzikusy, nie



mające pojęcia o cywilizacyjnych wygodach, a także chorzy którzy już nie panowali nad sobą. Należałoby pójść do naczelnego lekarza i wystarać się o pozwolenie korzystania z ustępu dla personelu szpitala.

Paweł Nikołajewicz wpadł na ten pomysł, ale sam zareagował na niego raczej niemrawo.

Wracał przez kabinę, gdzie dawano lewatywę, obok rozkudłanej, kazachskiej staruchy, obok śpiących w korytarzu.

Przeszedł obok skazańca z tlenowym aparatem w rękach.

A Grek, leżący na piętrze, zachrypiał do niego przeraźliwym szeptem:

— Słuchaj, braciszku! Czy tu wszystkich kurują? Czy też zdarza się także, że umierają?

Rusanow popatrzył na niego dzikim wzrokiem i nagle zdał sobie sprawę, że nie może swobodnie poruszać głową, że musi jak Efrem obracać się całym sobą. Straszliwy nowotwór przyczepił się do szyi, cisnął równocześnie na szczękę i obojczyk.

Poszedł szybko do swego łóżka.

O czym myślał? Czego się jeszcze obawiał?! Jakże mógł żywić nadzieję?

Cały jego los zawarty był tu, w tej opuchlinie między szczęką i obojczykiem.

To był dla niego wymiar sprawiedliwości.

A przed jego obliczem nie było żadnych stosunków, zasług, ani obrony.

## 15.

### KĄŻDY OTRZYMA SWOJE

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia sześć.

— O, aż tyle!

— A ty?

— Szesnaście. No pomyśl, jakże to żeby w szesnastym roku życia nogę amputować!

— Dokąd chcą ciąć?

— Co najmniej do kolana, ja już widziałem, mniej nie ucinają. A najczęściej ucinają na zapas... O tak... Będzie mi kikut dyndać.

— Zamówisz protezę. A w ogóle, czym chcesz się zająć?



- Marzę o studiach uniwersyteckich.
- Na jakim wydziale?
- Albo filologia, albo historia.
- Zdasz egzamin konkursowy?
- Myślę że tak. Nigdy się nie denerwuję. Zawsze jestem spokojny.
- To dobrze. Proteza nie będzie ci przeszkadzać. Połączysz pracę z nauką. Nawet lepiej, bo będziesz więcej siedział. Więcej czasu na naukę.
- A co z życiem?
- A cóż w życiu poza nauką?
- No różne tam...
- Małżeństwo?
- Choćby małżeństwo...
- Znajdziesz! Ptaszki siadają na wszystkich drzewach! Masz inną alternatywę?
- Że jak?
- Albo noga, albo życie...
- Kto wie! A nuż samo przejdzie...!
- Nie, Dioma, na jednym a nuż nikt jeszcze mostu nie zbudował. Tego a nuż ani pod jedną nóżkę nie podstawisz! W granicach rozsądku na taką rzecz liczyć nie można. Wiesz jak się nazywa twoja opuchlina?
- Coś jakby „C-a”...
- C-a? W takim razie trzeba operować.
- Ty się na tym znasz?
- Znam się. Gdyby mi teraz zaproponowali amputację, powiedziałbym, proszę, ucinajcie. Chociaż cały sens mego życia tylko w ciągłym ruchu — piechotą i konno, samochody tam nie dochodzą.
- A co? Już ci amputacji nie proponują?
- Nie.
- Przegapiłeś właściwy czas?
- Jak by ci powiedzieć... Nie to, żebym przegapił... No tak, do pewnego stopnia. W terenie zanadto ugrzązł. Należało przyjechać przed trzema miesiącami, a ja nie chciałem pracy przerywać. A od chodzenia i konnej jazdy noga nacierała się coraz bardziej, zaczęło się gnoić, ropa we wrzodach... Parę razy wrzody pękły, ulżyło mi, zaraz wróciła chęć do pracy. Myślałem — jeszcze trochę poczekam. Teraz to mi tak naciera, że lepiej byłoby nogawicę obciąć albo siedzieć na nagusa.
- Nie opatrują?
- Nie.
- Można popatrzeć?

— Proszę — patrz!

— O-oo-oo... jaka duża plama... i ciemna!

— Tak zawsze było. Miałem tu duże znamię rodzime. I przekształciło się w złośliwy nowotwór.

— A to co takiego?

— To są trzy fistuły. Pozostały po trzech pękniętych ropieniach. W ogóle, Diomka, mój nowotwór jest całkowicie różny od twojego. Ja mam melanoblastomę. To ścierwo nie zna litości. W zasadzie — osiem miesięcy i do widzenia!

— Skąd ty to wiesz?

— Przed przyjazdem książkę przeczytałem. A po przeczytaniu od razu się połapałem. Ale rzecz w tym, że choćbym przyjechał wcześniej i tak lekarze nie podjęliby się operacji. Melanoblastoma to taka gadzina, że ledwie ją dotkniesz lancetem, natychmiast powoduje przerzuty. Także chce żyć po swojemu — rozumiesz? A przez to, że kilka miesięcy opóźnił, przerzut poszedł do pachwiny.

— A co Ludmiła Afanasjewna mówi? Ona ciebie wzywała w sobotę na badanie?

— Mówi, że trzeba postarać się o tak zwane koloidalne albo radioaktywne złoto — Au 198. Jeśli się o to wystarać, to w pachwinie być może uda się proces zatrzymać, a na nodze przygłuszyć rentgenem, i w ten sposób trochę przedłużyć...

— Wyleczą?

— Nie, Diomka, mnie wyleczyć już nie można. Melanoblastoma jest w ogóle nieuleczalna. Jeszcze nikt się nie wyleczył. A co do mnie... Amputować nogę nie wystarczy, a wyżej ciąć nie ma gdzie. Jedyne pytanie, czy potrafią przedłużyć? I ile na tym zyskam: kilka miesięcy, czy parę lat?

— To znaczy, że co... To znaczy?

— A tak, właśnie to! Diomka, jużem się z tym pogodził. Ale nie ten żyje więcej, kto żyje dłużej. Dla mnie cała sprawa polega tylko na tym: co zdążę zrobić. Powiniennem przecież zdążyć czegoś na tym świecie dokonać. Potrzeba mi trzech lat! Jeżeli mi dadzą trzy lata, o nic więcej nie proszę! Ale tych trzech lat chcę nie po to, żeby leżeć w klinice, lecz żeby pójść w teren.

Rozmawiali cichutko, siedząc pod oknem na łóżku Wadima Zadyrki. Rozmowę ich mógł usłyszeć tylko Efrem jako najbliższy sąsiad, ale ten od samego rana leżał jak nieczuły pień i nie odrywał spojrzenia od sufitu. Prawdopodobnie słyszał Rusanow, bo kilka razy z sympatią spojrzął na Zadyrkę.

— A cóż ty możesz teraz zdziałać? — chmurzył się Diomka.

— Uważaj, może zrozumiesz. Jestem w trakcie sprawdzania nowego i bardzo spornego pomysłu — wybitni uczeni w ośrod-

kach centralnych właściwie w to nie wierzą: chodzi o umiejscawianie pokładów różnych kruszców, kierując się obecnością wód radioaktywnych. Radioaktywne — wiesz, co to znaczy? Mam tysiące argumentów, ale na papierze można wszystko co zapragniesz udowodnić albo obalić. A ja czuję, no po prostu czuję, że potrafię udowodnić moją hipotezę w praktyce. Ale trzeba być cały czas w terenie i znaleźć pokłady, kierując się wyłącznie obecnością wód radioaktywnych. I najlepiej powtórzyć eksperyment. A roboty tam dość, ba traci się czas i siły we wszystkim! Na przykład, nie ma właściwej pompy, żeby zaś puścić w ruch pompę odśrodkową, trzeba wyssać powietrze. Czym? Ustami! No i nałykasz się radioaktywnej wody. Zresztą używamy jej do picia. Miejscowi robotnicy, Kirgizi, powiadają: nasi ojcowie tej wody nie pijali, to i my pić nie będziemy. A my, Rosjanie, piliśmy. A zresztą, czy chory na melanoblastomę obawia się radioaktywnej wody?! Praca w sam raz dla mnie.

— Ależ dureń! — odezwał się Efreem, nie odwracając się, jakimś skrzypiącym, pozbawionym ekspresji głosem. A więc słyszał całą rozmowę.

— Przyjdzie godzina śmierci — po co ci geologia?! Nic a nic ci nie pomoże. Lepiej byś się zastanowił — czym ludzie żyją...

Wadim starał się trzymać nogę w nieruchomej pozycji, ale za to głowa poruszała się z łatwością na giętym, swobodnym karku. Błysnął żywymi, czarnymi oczami, ledwie drgnęły miękkie, wygięte wargi... I odpowiedział wcale nie urażony:

— A ja właśnie wiem. Twórczym wysiłkiem! To bardzo pomaga. Nie potrzeba ani jeść ani pić.

Sledząc wrażenie i czy został właściwie zrozumiany, Wadim postukał o zęby automatycznym ołówkiem ze szlifowanego plastyku.

— A ty byś tę książeczkę przeczytał — zadziwisz się! — Poddujew nie przekreślił całego ciała, więc nie mógł widzieć Zadyrki. Tknął krzywym paznokciem niebieską okładkę książki.

— Już ją przejrzałem — Wadim odpowiadał z nadzwyczajną szybkością. — To nie na nasze czasy. Zbyt bezkształtne, pozbawione dynamizmu. Nasze hasło: pracować jak najwięcej! I nie dla własnej kieszeni. I to wszystko!

Rusanow ożywił się, rzucił na niego przyjazne spojrzenie i głośno zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, młodzieńcze... Jesteście komunistą? Z równie życzliwą prostotą Wadim zwrócił się do Rusanowa.

— Tak — odpowiedział miłym głosem.

— Byłem przekonany! — uroczyście oznajmił Rusanow i pod-

niósł do góry wskazujący palec. Wyglądał w tej chwili na wykładowcę.

Wadim poklepał Diomkę po ramieniu.

— No idź do siebie. Trzeba popracować.

Pochylił się nad „Metodyczną geochemią”. Obok leżała kartka papieru, pokryta drobnym pismem, któremu towarzyszyły wielkie znaki zapytania i wykrzykniki.

Czytał — a czarny, automatyczny ołówek ledwie poruszał się między jego palcami.

Tak pogrążył się cały w lekturze, jak gdyby go w ogóle nie było na tej sali. Paweł Nikołajewicz, podochocony zachowaniem się Wadima, zapragnął jeszcze bardziej podnieść się na duchu i postanowił ostatecznie osadzić Efrema, żeby więcej nie próbował prowokować melancholijnych nastrojów. Więc patrząc mu prosto w oczy, zaczął go sztorcować.

— Ten towarzysz dał wam dobry przykład, towarzyszu Poddujew. Nie należy tak kapitulować w obliczu choroby. I nie wolno ulegać pierwszej lepszej klerykalnej książce. Praktycznie biorąc, lejecie wodę na młyn... — Chciał powiedzieć „na młyn wrogom”, w codziennym życiu zawsze można było znaleźć wrogów, ale tu, na szpitalnej sali, kto właściwie był ich wrogiem? — Należy brać życie w całej jego głębi. A przede wszystkim rozumieć istotę bohaterskich czynów. Co, na przykład, porusza ludźmi w bohaterstwie produkcyjnym? Albo weźmy bohaterstwo wykazane w wojnie Ojczyźnianej! Albo, na przykład, w wojnie domowej! Głodni, bez butów, bez odzieży, bezbronni...

Efrem był dzisiaj dziwnie nieruchawy: nie tylko nie spacerował między łózkami, ale jak gdyby utracił wiele ze swych zwykłych poruszeń. Przedtem dbał o swoją szyję i starał się nie poruszać głową, a jeśli — to razem z całym tułowiem. A dziś nie poruszył ręką ani nogą, tyle że wskazał palcem książkę. Namawiano go żeby zjadł śniadanie, odpowiedział: „kto nie jadł, ten miski nie wylize”, i leżał w dalszym ciągu jak kłoda. Żeby nie to że od czasu do czasu mrugał powiekami, można by pomyśleć że skostniał na trupa.

Ale oczy miał otwarte.

I tymi otwartymi oczami widział, nie poruszając się, tylko jednego Rusanowa. Bez zmiany położenia mógł oglądać tylko ściany, sufit i biały pysk Pawła Nikołajewicza.

Słyszał dokładnie wszystko, co do niego mówił. Poruszył ustami, wydał z siebie ten sam co zawsze, niezycliwy głos. Poszczególne słowa wymawiał jeszcze niewyraźniej.

— A co — wojna domowa? Ty co? — brałeś udział w wojnie domowej?

Paweł Nikołajewicz głęboko odetchnął.

— Myśmy, towarzyszu Poddujew, nie mogli jeszcze wtedy wojować, chociażby ze względu na wiek.

Efrem pociągnął nosem.

— Nie wiem dlaczegoś nie wojował. Ja wojowałem.

Brwi Pawła Nikołajewicza uniosły się do góry nad okularami. Wyglądał teraz bardzo inteligentnie.

— Jakże to mogło być?

— A zwyczajnie — Efrem mówił bardzo powoli, odpoczywając co kilka słów. — Wziąłem nagan i wojowałem. Zabawnie było... Nie ja jeden.

— I gdzież to wojowaliście?

— Pod Iżewskiem. Konstytuanteśmy tłukli. Ja sam siedmiu gości z Iżewska zastrzeliłem. Pamiętam dobrze po dziś dzień.

Był wtedy wyrostkiem, a dobrze pamiętał tych siedmiu dorosłych mężczyzn, których kropnął na ulicach zbuntowanego miasta.

Okularnik coś mu tam jeszcze tłumaczył, ale Efremowi jakoś dziś słuch nie dopisywał; jeśli wynurzał się ze swego odrętwienia żeby słuchać co mówią, to nie na długo.

Kiedy o świtaniu otworzył oczy i zobaczył nad sobą kawałek bielonego sufitu, natychmiast ni stąd ni zowąd owładnęło nim wspomnienie pewnego wydarzenia. Nie miało ono żadnego znaczenia i na długi czas zupełnie o nim zapomniał.

To było jakoś w listopadzie, już po wojnie. Padał śnieg i zaczynał topnieć, a na wyrzuconej z rowu cieplejszej ziemi topniał natychmiast. Kopali rów żeby założyć gazociąg, i głębokość rowu była zaprojektowana na metr osiemdziesiąt. Poddujew przeszedł obok i zobaczył, że rów jest płytszy. Ale zaraz przyszedł brygadier i oświadczył beczelnie, że na całej długości rowu osiągnięto wymaganą głębokość. „Co tam, mamy może mierzyć? Po co sobie roboty dodawać!”

Poddujew wziął mierniczą żerdkę, na której co dziesięć centymetrów była wypalona poprzeczna czarna krecha, a co piąta była nieco dłuższa od poprzednich. Poszli mierzyć, grzęznąc w rozmięklej, rozbabranej glinie: Poddujew był w długich butach, brygadier w bucikach. Zmierzyli w jednym miejscu, wypadło metr siedemdziesiąt — poszli dalej. Przystanęli przy trzech robotnikach: jeden bardzo wysoki, chudy chłop z czarną brodą; drugi — były wojskowy, jeszcze w żołnierskiej czapce, ale już bez gwiazdy i lakierowanego daszka, czerwony otok był powalany wapnem i gliną; trzeci, młodziutki, w cyklistówce i cywilnym paletku (w owych latach trudno było z przyrodziewkiem i na koszt skarbu im nie wydawano). Paletko było kuse, za ciasne

i mocno podniszczone, pewnie pochodziło z czasów gdy chłopak jeszcze chodził do szkoły. Teraz, we wspomnieniu, Efreem zobaczył to paletko dokładnie, jak gdyby po raz pierwszy. Tamci dwaj jeszcze jako tako dłubali w ziemi, podrzucając do góry łopatami, chociaż mokra glina trzymała się żelaza; młodzik stał skurczony jak pisklę, oparty piersią o łopatę, że wydawało się — wbił ją w siebie, zwisał z niej jak wypchana kukła, pokryty śniegiem, z dłońmi wciśniętymi w ciasne rękawy. Rękawic im nie wydano, wojskowy miał przynajmniej buty z cholewami, a ci jakieś chodaki z samochodowych opon. „Czego stoisz jak gamoń? — krzyknął na niego brygadier. — Chcesz dostać karną rację? Jazda!” Mały tylko westchnął, jeszcze bardziej opadł ku ziemi i wydało się, że rękojeść łopaty głębiej w niego weszła. Brygadier trzepnął go po karku, młodzik otrząsnął się i znowu zaczął dłubać w glinie.

Przystąpili do mierzenia. Wyrzucona ziemia dochodziła z obu stron do samego wykoju, i żeby sprawdzić górną krechę trzeba było dobrze pochylić się nad rowem. Wojskowy niby to pomagał, a w rzeczywistości wyginał nieco żerdkę w bok, żeby uzyskać jakichś dziesięć centymetrów. Poddujew skłął go w mać, postawił żerdkę równo, wypadło dokładnie metr sześćdziesiąt pięć.

— Słuchaj, obywatelu kierowniku — poprosił wojskowy cichym głosem. — Te ostatnie centymetry to już nam podaruj. Nie damy rady. Brzuch pusty, siły nie mamy. A jeszcze widzisz jaka pogoda...

— A ja za was na ławę oskarżonych, co? Patrzcie ich, co wymyślili! Ma być według projektu. I żeby boki były równe, a nie z wyźlobieniem pośrodku!

Poddujew wyprostował się, wyciągnął żerdkę i wygramolił się z gliny. Wszyscy trzej podnieśli ku niemu twarze — jedna okolona czarną brodą, druga jak u konającego zwierzęcia, trzecia pokryta lekkim puszkciem, nigdy jeszcze nie tknięta brzytwą — i śnieg padał na te półmartwe twarze, i patrzyli na niego z dołu do góry. Aż młodzik otworzył usta, powiedział:

— Nic, dziesiątniku i na ciebie także śmierć przyjdzie.

Poddujew nie zanotował ich na liście przeznaczonych do karceru, a tylko obliczył dokładnie ile zarobili, żeby nie brać na swój kark odpowiedzialności. I pamiętał, że zdarzało się znacznie gorzej. Odtąd minęło dziesięć lat, Poddujew nie miał już nic wspólnego z łagrami, tamten brygadier wyszedł na wolność, gazięciąg zakładali prowizorycznie, może w ogóle już nie działa, zaś rury użyto do innego celu, a tu nagle musiało się przypomnieć właśnie dzisiaj i zadzwiczeć mu w uszach wraz z pierwszym gwarem wstającego dnia:

— I na ciebie także śmierć przyjdzie!

Efrem nie mógł od tego wspomnienia odgrodzić się żadną solidną racją. Że chciałby jeszcze trochę pożyć? Tamten mały także chciał. Że silna wola? Że przyszło do niego nowe zrozumienie i chciałby teraz żyć inaczej, niż dawniej? Choroba o tym nie chce wiedzieć, ona ma swój własny plan.

W niebieskiej książeczce ze złotymi tłoczeniami, którą już przez cztery noce Efrem chował pod materacem, było coś o Hindusach, którzy wierzą że nasza śmierć nie jest całkowita, że dusza wciela się w zwierzęta, albo w innych ludzi. To mu się bardzo spodobało: zawsze coś się ratuje, nie znika się bez reszty. Zawsze można coś ukryć przed śmiercią.

Ale w tę reinkarnację, w wędrówkę dusz, Poddujew nie uwierzył ani na chwilę.

Szarpało go teraz od szyi ku głowie bez przerwy. Uderzenia stały się miarowe, rytmiczne, jakby na cztery tempa. I za każdym szarpnięciem do świadomości docierało jedno słowo na cztery takty: — Umarł. Efrem. Poddujew. Kropka. Umarł. Efrem. Poddujew. Kropka.

I tak bez końca. Aż sam w myśli zaczął powtarzać te słowa. Im dłużej powtarzał, tym bardziej jak gdyby oddzielał się od Efrema Poddujewa skazanego na śmierć. I już przyzwyczajał się do tej śmierci, jakby chodziło o konającego sąsiada. Ale to co rozmyślało w nim o śmierci Efrema Poddujewa — sąsiada — to chyba umrzeć nie powinno.

Sąsiad zwany Poddujewem...? Uratować go bodaj nie można. Chyba że parzyć brzożową hubę i pić? Ale w liście było powiedziane, że należy pić przez cały rok, bez przerwy. Na to potrzeba wysuszonej huby dwa pudy, a jeżeli wilgotna to cztery. To znaczy, osiem przesyłek. Ale znowu huba nie może być zleżała, tylko świeża, prosto z drzewa. Więc te przesyłki nie hurtem, tylko po kolei, co miesiąc. Któż się tym zajmie, kto to będzie zbierać tam w dalekiej Rosji, i przysyłać?

Na to trzeba by kogoś bliskiego, krewnego.

Tyle osób przewinęło się przez życie Efrema, lecz o żadną z nich nie zaczęził się jak o prawdziwie bliską istotę.

To tylko jego pierwsza żona, Amina, mogłaby się zająć zbieraniem i wysyłką. Tam, za Uralem, w ogóle nie ma nikogo żeby napisać, tylko jedną Aminę. A ta odpisze: „Zdychaj pod płótem, stary ogierze!” I będzie miała rację.

Będzie miała rację, bo tak postępuje się powszechnie. Ale według tej książeczki w niebieskiej okładce nie miałyby racji. Z książeczki wynika, że Amina powinna się nad nim ulitować,



a nawet go polubić. Nie jako męża, lecz po prostu jako cierpiącego człowieka. I posyłać paczki z hubą.

Wszystko w tej książce wypadło słusznie, gdyby tylko wszyscy zachcieli jednocześnie zacząć postępować zgodnie z jej nakazami.

Właśnie wtedy, gdy o tym myślał, dobiegły do jego świadomości słowa geologa, który mówił że żyje dla pracy. To dlatego postukał palcem w okładkę książeczki.

Ale zaraz potem znowu popadł w stan odrętwienia, niczego nie widząc i nie słysząc. I znowu zaczęło mu strzelać w głowie.

I gdyby nie ta strzelanina, najlepiej byłoby i najprzyjemniej w ogóle się nie poruszać, nie leczyć, nie jeść, nie rozmawiać, nie słyszeć, nie widzieć.

Po prostu — przestać istnieć.

Ale ktoś zaczął go ciągnąć za nogę i za łokieć, to był Achmadzan, okazało się że sanitariuszka z chirurgicznej sali już dawno nad nim stała i wołała na opatrunek.

I Efrem musiał się podnieść, żeby iść i wykonać jakąś zupełnie zbędną czynność. Trzeba było sześciu pudom bezwładnego ciała narzucić swoją wolę: wstać, zmusić nogi, ramiona i plecy do wysiłku, wyrwać ze spoczynku kości obrośnięte mięsem, pokonać ich ciężar, sprawić żeby to nieporadne ciało włożyło na siebie kurtkę i poszło przez korytarze i schody na zupełnie niepotrzebną udrukę — zdjęcie a potem ponowne założenie dziesięciu metrów bandażu.

Opatrunek trwał długo, był bardzo bolesny i wszystko odbywało się w jakiejś szarej, szumiącej mgłę. Oprócz Eugenii Ustinowny byli jeszcze dwaj chirurdzy, którzy nie wiadomo z jakich powodów sami nigdy nie operowali. Doktorka coś im tłumaczyła, pokazywała, mówiła także do Efrema, ale już nie odpowiadała. Zdawał sobie sprawę, że wszelkie rozmowy nie mają najmniejszego sensu. Szara mgła szumiała obojętnie, pochłaniając wszystko dokoła.

Okręcili go tą białą obręczą jeszcze silniej niż zazwyczaj i kazali wracać na salę. Było tych bandażu więcej niż głowy, i tylko jej górna połowa sterczała nad obręczą.

Spotkał się z Kostogłotowem, który akurat wyciągnął kapiuch z machorką.

— Co zdecydowali?

Efrem zastanowił się: — I rzeczywiście, co zdecydowali? Chociaż podczas opatrunku nie zwracał uwagi na to, co mówiono, teraz nagle zdał sobie sprawę i odpowiedział niedwuznacznie:

— Zdychaj gdzie chcesz, byle nie na naszym podwórku!

Federau z przerażeniem patrzył na tę potworną szyję, po-

myślał że i jego czeka to samo, i zapytał:

— Zwalniają ze szpitala?

I dopiero teraz Efrem zrozumiał jasno, że nie ma po co kłaść się do łóżka jak tego pragnął, że trzeba zbierać się do wyjścia ze szpitala.

Że chociaż nie jest w stanie się zgiąć, musi przebierać się we własne ubranie.

A potem iść przez miasto, posuwając naprzód odmawiające posłuszeństwa ciało.

I ta świadomość była nie do wytrzymania: że musi się jeszcze wysilać, coś robić, nie wiadomo po co i dlaczego.

Kostogłotow popatrzył na niego nie tyle z litością, co z żołnierskim współczuciem: ta kula była dla ciebie, a następna być może dla mnie. Nie znał przeszłości Efrema, nie zaprzyjaźnił się z nim na sali, ale podobała mu się jego bezpośrednia szczerłość. Na pewno nie był to jeden z gorszych ludzi, jakich Oleg spotkał w swoim życiu.

— No Efrem, daj grabę! — wyciągnął do niego rękę.

Poddujew uściśnął podaną dłoń i wyszczerzył zęby.

— Urodzi się — kręci się, podrośnie — wariuje, umrze — droga wiadoma.

Oleg chciał wyjść żeby zapalić, ale akurat weszła laborantka roznosząca dzienniki, a że był najbliżej, wręczyła mu egzemplarz. Kostogłotow wziął, rozwinął, ale Rusanow już dostrzegł i głośno, obrażonym tonem, zganił laborantkę która jeszcze nie zdążyła się ulotnić:

— Jakże to! Bardzo was proszę! Przecież wyraźnie zastrzegłem sobie, że dziennik powinien być wręczany mnie pierwszemu!

Głos Rusanowa był nabrzmiały prawdziwym cierpieniem, ale Kostogłotow nie rozumiał, jeszcze mu odszczeknął:

— A niby dlaczego macie być pierwszym?!

— Jak to dlaczego? Co to znaczy dlaczego? — Paweł Nikołajewicz mówił bolesnym głosem, jego cierpienie wzmagająca świadomość że pomimo oczywistej racji nie jest w stanie obronić jej słowami.

Czuł autentyczną zazdrość, jeżeli ktoś inny zamiast niego pierwszy niewtajemniczonymi palcami rozkładał najnowszy numer gazety. Nikt z obecnych na tej sali nie był w stanie pojąć treści numeru tak, jak ją rozumiał Paweł Nikołajewicz. Rusanow wiedział, że każdy nowy numer dziennika to instrukcja, wprowadzie jawnie rozpowszechniana, ale w rzeczywistości zaszyfrowana. Nie można było w niej wypowiedzieć wszystkiego bezpośrednio, ale zorientowany, doświadczony człowiek bez trudu mógł zdać sobie sprawę jaki jest najnowszy kierunek linii politycznej. Orien-

tował się według różnych drobnych oznak, według układu artykułów, według tego czego nie powiedziano, co pominięto. I właśnie dlatego Rusanow miał prawo do pierwszeństwa w czytaniu gazety.

Ale w tym otoczeniu nie mógł tego wszystkiego powiedzieć. Więc Paweł Nikołajewicz ograniczył się tylko do żalosnej skargi.

— Przecież zaraz mi zrobią zastrzyk! Zanim przyjdą z zastrzykiem, chciałbym przejrzeć!

— Zastrzyk... — Ogłojed złagodniał. — Zara...

Przeglądał gazetę pobieżnie, rzucił wzrokiem na materiały dotyczące sesji i inne zepchnięte na bok wiadomości. Szedł przecież żeby zapalić. Szeleścił gazetą, już chciał ją oddać i nagle zauważył coś osobliwego, wpakował twarz w płachtę papieru i po chwili zaczął powtarzać jedno tylko słowo, jak gdyby je smakował między językiem i podniebieniem:

— A to cie-ka-we... A to cie-ka-we...

Jakby cztery potężne akordy Beethovena, decydujące o jego losach, zagrzmiały nad głową. Nikt ich na tej sali nie usłyszał i, być może, nigdy nie usłyszy. Cie-ka-we... — cóż innego mógł głośno powiedzieć!

— Co się stało? — Rusanow zdenerwował się do reszty. — Natychmiast dajcie mi gazetę!

Kostogłotow nie zamierzał nikomu pokazywać. Nie odpowiedział Rusanowowi. Uporządkował kartki, złożył gazetę na pół, a potem jeszcze raz, tak jak była złożona przedtem, ale zrobił to niedokładnie, więc jedna kartka odstawała od drugiej. Zbliżyli się o krok do siebie, Kostogłotow oddał gazetę. I nie wychodząc z sali, rozwiązał swój jedwabny kapciuch i drżącymi rękami zaczął skręcać śmierdziucha z machorki w kawałku gazetowego papieru.

Pawłowi Nikołajewiczowi także drżały ręce, gdy rozkładał płachty gazety. To „cie-ka-we” Kostogłotowa uderzyło go jak nożem pod zębra. Co też Kostogłotow mógł takiego znaleźć, że mu się to wydało tak bardzo „cie-ka-we”...?

Umiejętnie i rzeczowo przebiegał szybkim spojrzeniem od tytułu do tytułu, poprzez sprawozdania z sesji, i nagle... I nagle — co? — jakże to możliwe?!

Ze szpalt gazety krzyczał, właśnie krzyczał zupełnie niebywały, niemożliwy dekret. Złożony drobnym drukiem, nieważny dla tych co nie rozumieją, dekret mówił o zdymisjonowaniu w pełnym składzie Sądu Najwyższego! Najwyższego Sądu Związku Sowieckiego!

Jak to?! Matulewicz — zastępca Ulricha?! Dotistow? Pawlenko? I Kłopow? Najwyższy Sąd tylko tyle był wart, co Kłop-

pow! I właśnie Kłopowa odwołali! Któż teraz będzie dbać o kadry?! Jakieś zupełnie nowe, nieznanne nazwiska... Wszystkich, którzy pilnowali wymiaru sprawiedliwości przez całe ćwierćwiecze, za jednym zamachem!

To nie mógł być przypadek!

To historia zrobiła krok naprzód...

Czoło Pawła Nikołajewicza pokryło się potem. Nie dawniej jak dziś rano wmawiał w siebie, że te wszystkie pogłoski nie mają żadnych podstaw, a tu...

— Proszę na zastrzyk.

— Co??? — Rusanow rzucił się jak szalony.

Wiera Gangart stała przed nim ze strzykawką w ręku.

— Rusanow, proszę zawinąć rękaw. Zrobię wam zastrzyk.

## 16.

### NIEDORZECZNOŚCI

Rusanow posuwał się na czworakach. Czołgał się przez jakąś betonową rurę, nie tyle rurę co tunel, czy coś w tym rodzaju. Z obu stron sterczał jeszcze osprzęt i Paweł Nikołajewicz zaczęła o niego od czasu do czasu i to akurat prawą, bolącą stroną szyi. Czołgał się na piersiach i coraz bardziej odczuwał ciężar ciała, przyciskający go do ziemi. Był to ciężar przewyższający wagę jego ciała, nie był do tego przyzwyczajony, ten ciężar dosłownie go miażdżył. Początkowo sądził, że to beton z góry go dławi, ale nie, to było jego własne ciało. Czuł je i ciągnął za sobą jak worek z żelaznym złomem. Pomyślał, że ciągnąc taki ciężar, nie zdoła nawet stanąć na nogach. Ale najważniejsze — wydostać się z tej rury, przynajmniej odetchnąć świeżym powietrzem, popatrzeć na świat. Ale tunel nie kończył się, nie kończył się, nie kończył się!

Czyjś głos — ale bezgłosny, tyle że działający na myśli — rozkazał mu pełznąć w prawą stronę. Jakże to zrobić — pomyślał Rusanow — skoro tam betonowa ściana? Ale rozkaz był tak samo nie do pokonania jak ciężar jego miażdżonego ciała. Zajączał i zaczął pełznąć; i rzeczywiście, tak jak poprzednio, mógł pełznąć. Ledwie jakoś się z tym oswoił, otrzymał rozkaz skierowania się na lewo. Jęcząc, ruszył w nowym kierunku. Było tak samo ciężko, nie widział światła, ani kresu tej podróży. Ten sam wyra-

zisty głos kazał skrócić na prawo i to jak najszybciej. Pełznął przy pomocy łokci i stóp, a chociaż z prawej strony była nieprzebita ściana, posuwał się naprzód i jakoś to wychodziło. Natychmiast przyszedł nowy rozkaz: skrócić na lewo i także możliwie najszybciej. Już nie myślał, nie miał żadnych wątpliwości, ze wszystkich sił zaczął posuwać się na łokciach — i znowu jakoś to szło. Co chwilę zaczepiał się szyją i w jego głowie odzywał się ostry ból. W takich ciężkich tarapatach nigdy jeszcze w życiu nie był, a najbardziej cierpiał nad tym, że już się stąd nie wydostanie, że umrze.

I nagle poczuł ulgę w nogach — stały się lekkie, jakby napompowane powietrzem, zaczęły podnosić się do góry, ale głowa i pierś były nadal przyciśnięte do ziemi. Nadśluchiwał — żadnej nowej komendy. Wpadł na pomysł jak się stąd wydostać: byle nogi były ciągle w górze, będzie pełznął za nimi do tyłu i wyjdzie. Rzeczywiście, zaczął się cofać i podnosząc się na rękach — skąd wzięła się siła? — poszedł z powrotem. Otwór był wąski, ale najgorsze że wszystka krew spłynęła do głowy, myślał że zaraz tu umrze, że głowa mu pęknie na kawałki. Jeszcze kilka razy odepchnął się rękami od rury, ostre kanty obdzierały mu dłonie — i mimo wszystko wygramolił się na zewnątrz.

Siedział na betonowej rurze, dokoła jakaś budowa ale wyludniona, widocznie roboczy dzień już się skończył. Ziemia rozbabrana na grząskie błoto. Siedział i odpoczywał. Spozstrzegł, że obok siedzi jakaś dziewczyna w robotniczym, poplamionym kombinzonie, głowa odsłonięta, we włosach koloru słomy ani jednej szpilki ani grzebienia. Dziewczyna nie patrzyła na niego, po prostu siedziała, ale Rusanow wiedział że oczekuje od niego jakiegoś pytania. Najpierw przestraszył się, ale potem zrozumiał, że ona boi go się jeszcze bardziej. Nie miał najmniejszej chęci na rozmowę, dziewczyna jednak tak bardzo czekała że zapytał:

— Słuchajno, a gdzie jest twoja matka?

— Nie wiem — odpowiedziała dziewczyna. Patrzyła sobie pod nogi i obryzała paznokcie.

— Jak to — nie wiesz? — Rusanow zaczynał się złościć. — Powinnaś wiedzieć! Powinnaś szczerze wszystko powiedzieć. I opisać prawdziwy stan rzeczy... Dlaczego milczysz? Raz jeszcze pytam — gdzie jest twoja matka?

— A ja właśnie was chciałam o to zapytać — dziewczyna spojrzała na Rusanowa.

Spojrzała — oczy miała wodniste. Doznał błyskawicznego olśnienia i to nie raz, lecz kilka razy, i natychmiast wszystkiego się domyślił. Tak, to była córka Gruszy, tej co pracowała przy tłoczarce; posadzili ją za paplaninę przeciw Wodzowi Narodu. Ta

córka przyniosła mu niewłaściwie wypełnioną ankietę, zataiła różne rzeczy, więc wezwał ją do siebie, groził sądem za źle wypełnioną ankietę, i dziewczyna się otruła. Mówiono że się otruła, ale teraz, patrząc na jej włosy i oczy, domyślił się że się utopiła. Domyślił się także że skoro się utopiła i siedzi obok niego, to i on nie żyje. Cały się spocił, otarł pot i powiedział:

— Ależ tu upał! Nie wiesz, gdzieby można wody się napić?

— O, tam — skinęła dziewczyna.

Pokazała na jakieś koryto czy skrzynię, wypełnioną zasmałą deszczówką przemieszaną z zielonkawą gliną. I raz jeszcze domyślił się, że dziewczyna nałykała się wtedy takiej właśnie wody, a teraz chce żeby i on się nią zachłysnął. Ale jeżeli tego pragnie, to znaczy że on jeszcze żyje...?

— Wiesz co — powiedział chytrze, chcąc żeby się od niego odczepiła — idź i zawołaj kierownika robót. I niech weźmie ze sobą jakieś buty dla mnie, bo jakże ja stąd zejść?

Dziewczyna kiwnęła głową, zeskoczyła z rury i poszła, człapiąc po kałużach. Wyglądała flejtuchowato z tymi nieuczesanymi włosami, w kombinezonie i w butach z cholewami, jak zazwyczaj dziewczęta na budowie.

Miał tak wielkie pragnienie, że postanowił napić się z tego koryta. Jeżeli napije się tylko trochę, nic mu się nie stanie. Zszedł z rury, stwierdził ze zdziwieniem że nie ślizga się na błocie: ziemia pod nogami była jakaś nieokreślona. I wszystko dookoła było nieokreślone, zupełny brak widoczności. Mimo to mógłby iść dalej, ale nagle przestraszył się — zgubił ważne papiery. Sprawdził we wszystkich kieszeniach, ale już od pierwszej chwili, zanim ręce zbadały ich zawartość, wiedział na pewno że zgubił.

Przeraził się, mocno się przeraził, bo w dzisiejszych czasach nie wolno dopuścić by ludzie czytali tego rodzaju papiery. Mogą z tego dla niego wyniknąć wielkie nieprzyjemności. Natychmiast się połapał gdzie zgubił — to wtedy, gdy wyłaził z rury. Więc szybko poszedł z powrotem. Ale nie mógł trafić na dawne miejsce. W ogóle nie wiedział gdzie jest. I żadnej rury nie było. Za to tu i tam chodzili jacyś robotnicy. To było najgorsze: mogli znaleźć papiery!

Wszyscy robotnicy byli młodzi i nieznajomi. Jakiś chłopak w brezentowej kurtce spawacza z naramiennikami zatrzymał się i patrzył na Rusanowa. Dlaczego tak patrzy? Może to on znalazł papiery?

— Słuchaj-no, młodzieńcze — zapytał Rusanow — masz może zapałki?

— Przecież ty nie palisz! — odpowiedział spawacz.

(Wszyscy wiedzą! Skąd wiedzą?)

— Zapalki są mi potrzebne do czegoś innego.

— A co to jest to coś innego? — spawacz pilnie mu się przypatrywał.

Rzeczywiście, jak głupio się zachował! Przecież to typowa odpowiedź dywersanta! Mogą go zatrzymać, a w międzyczasie znajdują się papiery. Zapalki potrzebne mu były właśnie po to — żeby spalić te papiery.

A młody robotnik podchodził coraz bliżej i bliżej. Rusanowa opanowało złe przeczucie i strach. Tamten zajął mu z bliska w oczy i powiedział dobitnie, skandując każde słowo:

— Na podstawie tego, że Jelczanskaja poleciła mi opiekę nad swoją córką, wyciągam wniosek że przyznaje się do winy i oczekuje aresztowania.

Zimny dreszcz zatrząsł Rusanowem.

— Skąd o tym wiecie?

(Niepotrzebnie pytał, bo było jasne że robotnik przed chwilą przeczytał jego raport: zgadzało się słowo w słowo!)

Ale spawacz nie odpowiedział i poszedł w swoim kierunku. Rusanow zaczął się ciskać, jak oparzony. Nie ulegało wątpliwości, że gdzieś niedaleko znajduje się jego raport, że trzeba go znaleźć jak najszybciej!

Rzucił się na wszystkie strony między jakimiś ścianami, skręcał na każdym narożniku, serce rwało się do przodu a nogi nie nadążały, nogi poruszały się powoli — rozpacz! I nagle zobaczył te papiery! Od razu zorientował się, że to właśnie te. Chciał biec ku nim, ale nogi odmawiały posłuszeństwa. Wtedy stanął na czworakach i podciągając się na rękach, zbliżył się ku papierom. Żeby tylko ktoś nie pochwycił ich wcześniej! Byle go nie wyprzedzili, nie porwali! Bliżej, bliżej... Nareszcie pochwycił papiery! Już są! Ale palce były bezsilne, nie mógł papierów zniszczyć, więc tylko zwałił się twarzą ku ziemi i zgarnął je pod siebie.

I właśnie w tejże chwili ktoś dotknął jego ramienia. Rusanow postanowił się nie odwracać i nie odsłaniać papierów. Ale dotknięcie było delikatne, dotykała go kobieca ręka. Domyślił się, że to Jelczanskaja.

— Przyjacielu! — powiedziała łagodnie, a tak blisko że na pewno pochylili się do samego ucha. — Przyjacielu! Powiedzcie, gdzie znajduje się moja córka. Coście z nią zrobili?

— Jelena Fiodorowna, proszę się nie obawiać! — odpowiedział Rusanow, ale głowy nie odwrócił. — Jest pod dobrą opieką!

— A gdzie?

— W sierocińcu.



— W jakim sierocińcu? — jej głos brzmiał smutnie, ale nie natarczywie.

— Tego to wam nie powiem. — Szczerze chciał odpowiedzieć, ale sam nie wiedział: nie oddawał dziecka osobiście, a ponadto mogli dziewczynkę przenieść gdzie indziej.

— A czy jest w sierocińcu pod moim nazwiskiem? — zadawała pytania niemal z czułością.

— Nie — odpowiedział Rusanow współczującym tonem. — Takie są przepisy, że nazwisko zmieniają. Ja z tym nie miałem nic wspólnego, takie przepisy.

Leżał i przypominał sobie, że nawet dość lubił tych Jelczan-skich. Nie miał do nich najmniejszych pretensji. A jeżeli wypadło złożyć raport na starego, to tylko dlatego że prosił go o to Czuch-nienko, któremu Jelczanski przeszkadzał w pracy. Po aresztowa-niu męża Rusanow szczerze opiekował się żoną i córką; a wtedy właśnie, w oczekiwaniu aresztowania, Jelczanskaja powierzyła mu dziecko. A jak doszło do tego, że napisał doniesienie także i na nią, ani rusz nie mógł sobie przypomnieć.

Podniósł się nieco z ziemi by na nią popatrzeć, ale Jelczanskiej już nie było (przecież umarła, więc nie mogło jej być!). Poczuł silne ukłucie z prawej strony szyi. Wyprostował głowę i leżał w dalszym ciągu. Musiał koniecznie odpocząć, był tak potwornie zmęczony jak nigdy jeszcze w życiu. Czuł łamanie w całym ciele.

Znajdował się w jakiejś kopalni, w podziemnym chodniku, ale oczy już się przyzwyczaiły do ciemności, zauważył tuż obok siebie, na ziemi pokrytej drobnymi odłamkami antracytu, aparat telefoniczny. Niezmiernie go to zdziwiło — skąd w takim miejscu mógł się znaleźć miejski aparat telefoniczny? A czy włączony do sieci? Jeżeli tak, to trzeba zatelefonować żeby przynieśli mu coś do picia. I w ogóle, żeby go zabrali do szpitala.

Podniósł słuchawkę, ale zamiast sygnału usłyszał dziarski, rzeczowy głos:

— Czy to towarzysz Rusanow?

— Tak jest — Rusanow natychmiast się ożywił (od razu stało się jasne, że ten głos spływa z góry a nie z dołu).

— Proszę przyjść do Sądu Najwyższego.

— Do Sądu Najwyższego? Tak jest! Natychmiast! Dobrze! — już chciał położyć słuchawkę, ale zaraz się połapał. — Prze-praszam — o jaki Sąd Najwyższy chodzi — dawny czy nowy?

— Nowy — usłyszał chłodną odpowiedź. — Proszę się po-spieszyć! — Niewidzialna dłoń położyła słuchawkę.

Więc jednak pamiętał o zmianie Sądu i złorzeczył samemu sobie, że pierwszy podniósł słuchawkę. Matulewiczka nie ma... Kłopowa nie ma...! A i Berii także nie ma! Cóż za czasy nastały!

Ale należało iść. Gdyby chodziło tylko o niego, na pewno zabrakłoby sił żeby się podnieść, ale wzywano go — musiał wstać. Wytężył wszystkie cztery kończyny, wstawał i przewracał się jak ciele, które jeszcze nie nauczyło się chodzić. Wprawdzie nie wyznaczono mu dokładnej godziny, ale powiedziano: „Proszę się pośpieszyć!”. Wreszcie, chwytając się ściany, zdołał się podźwignąć. I powłókł się na osłabionych nogach, ciągle czepiając się ściany. Nie wiadomo dlaczego, bolała go prawa strona szyi.

Szedł i myślał: czy naprawdę będą go sądzić? Czyżby było możliwe tak wielkie okrucieństwo — sądzić go po upływie tylu lat? Ach, ta zmiana składu Sądu! Nic z tego dobrego nie wyjdzie!

No cóż, przy całym szacunku jaki żywi do Najwyższej Sądowej Instancji, nic mu nie pozostaje jak tylko bronić się także i tam. Zdobędzie się na odwagę podjęcia obrony!

Oto co im powie: nie ja sądziłem i nie ja prowadziłem śledztwo! Ograniczałem się do sygnalizowania, że istnieje podejrzenie. Jeżeli we wspólnym ustępie znajduję kawałek gazety z portretem Wodza przedartym na pół, to moim obowiązkiem jest przynieść ten kawałek i zasygnalizować. Zaś śledztwo jest od tego, żeby sprawdzić! Może to przypadek, może coś jest nie w porządku? Śledztwo jest od tego, by wyjaśnić całą prawdę do końca! A ja ograniczałem się do wypełnienia zwykłego obywatelskiego obowiązku.

Powie im ponadto, że w tamtych latach najważniejszym zadaniem było uzdrowienie społeczeństwa. Moralne uzdrowienie! Nie było to możliwe bez czystki społeczeństwa. A znowu czystka nie jest możliwa bez udziału tych, co nie brzydzą się donosów.

Im więcej zbierało się argumentów, tym bardziej Rusanow się rozpalał: już on im wszystko wyłoży! Starał się iść teraz szybciej by go wezwano jak najprędzej, by móc im z miejsca krzyknąć:

„Nie ja jeden tak robiłem! Dlaczego chcecie sądzić tylko mnie jednego? Kto tego nie robił? A czy ktokolwiek utrzymałby się na stanowisku, gdyby nie współpracował?! Guzun? No to i on także usiadł!”

Wytężył się jak do krzyku, ale zaraz zauważył że w ogóle nie krzyczy, tyle że gardło wydeło się i bolało.

Teraz szedł już nie podziemnym chodnikiem, tylko korytarzem. Ktoś zawołał na niego z tyłu:

— Paszka! Co ci jest? Jesteś chory? Dlaczego ledwie się wleciesz?!

To mu dodało otuchy i szedł dalej, prawie tak jak gdyby

był zdrowy. Odwrócił się, żeby sprawdzić kto go wołał. To był Zwejnek, w wojskowym mundurze z pasem.

— A ty, Janie, dokąd? — spytał Paweł i zdziwił się dlaczego Zwejnek tak młodo wygląda. Naturalnie, był młody, ale ileż to lat minęło od tamtego czasu.

— Jak to dokąd? — Tam gdzie i ty — na komisję.

— Jakąż tam znowu komisję? — zastanawiał się Paweł. Przecież przedtem wezwano go do jakiejś innej instytucji, tylko już nie mógł sobie przypomnieć do jakiej.

Wyrównał krok do kroku Zwejnka i poszedł obok niego dziarsko, szybko, jak w młodości. Zdał sobie sprawę, że nie ma jeszcze dwudziestu lat, że jest młodzieńcem.

Szli teraz przez obszerny lokal biurowy, gdzie za urzędowymi biurkami siedziała sama inteligencja — starzy buchalterzy z brodami jak u popów i w krawatach; inżynierowie z młoteczkami w butonierkach; podstarzałe damy o pańskim wyglądem; młodziki, wymalowane maszynistki w spódniczkach nie sięgających kolan. Gdy tylko weszli razem z Zwejnkiem, ostro wybijając krok dwoma parami butów, wszyscy obecni — koło trzydziestu osób — obrócili się ku nim, niektórzy powstali, inni kłaniali się w pozycji siedzącej, ale wszyscy patrzyli za nimi kręcąc głowami, na ich twarzach widniał lęk, i to bardzo pochlebiało Pawłowi i Janowi.

Weszli do następnego pokoju, przywitali się z innymi członkami komisji i zajęli miejsca za stołem przykrytym czerwonym sukniem.

— No to puszczaamy maszynę w ruch! — zarządził Wieńka, przewodniczący komisji.

Zaczęło się. Pierwsza weszła ciotka Grusza z oddziału hydraulicznego.

— Ciociu, a cóż ty tu robisz? — zdziwił się Wieńka. — Przecież my przeprowadzamy czystkę w kadrach, a ty tu co? Już i ty w kadrach?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— A nie widzisz, nie o to — bynajmniej nie stropiła się ciocia Grusza. — Córka u mnie podrasta, trza by ją do przedszkola jakoś przepchać, co?

— Doskonale, ciociu! — zawołał Paweł. — Składaj podanie, załatwimy. Ulokujemy córeczkę. A teraz nie przeszkadzaj, my tu urządzamy czystkę inteligencji!

Rusanow sięgnął ręką po karafkę z wodą, ale karafka była próżna. Zwrócił się do sąsiada, prosząc o karafkę z drugiego końca stołu. Ale w tej nie było wody. A pić mu się chciało tak bardzo, że aż paliło w gardle.

— Pić! — poprosił Rusanow. — Pić!

— Zaraz — powiedziała doktorka Ganhart — zaraz przyniosą wody.

Rusanow otworzył oczy. Lekarka siedziała przy nim na łóżku.

— Tu w szafce mam trochę kompotu — słabym głosem powiedział Paweł Nikołajewicz. Czuł dreszcze, łamało go w kościach, w głowie coś ciężko postukiwało.

— Dobrze, zaraz wam nalejemy kompotu — uśmiechnęła się Ganhart wąskimi ustami. Otworzyła szafkę, wyjęła słoik z kompotem i szklankę.

Przez okna przenikało światło słońca chylącego się ku zachodowi.

Paweł Nikołajewicz przypatrywał się spod oka jak Ganhart nalewa mu kompotu. Żeby tylko czego nie dosypała.

Kwaskowato-słodki kompot sprawiał mu nadzwyczajną przyjemność. Nie odrywając głowy od poduszki, Paweł Nikołajewicz wypił całą szklankę, którą Ganhart przytknęła mu do warg.

— Dzisiaj czułem się bardzo źle — poskarżył się Rusanow.

— A nie — nie zgodziła się z nim lekarka — zareagowaliście całkiem nieźle. Po prostu zwiększyliśmy wam dzisiaj dawkę.

Brzydkie podejrzenie ponownie ukłuło Rusanowa.

— I co, za każdym razem będziecie zwiększać?

— Nie, teraz dawka będzie stale ta sama. Przyzwyczajcie się, poczujecie ulgę.

— A jak Najwyższy...? — zaczął i natychmiast urwał.

Już mu się plątało to co się działo w sennych majaczeniach z tym co się odbywało na jawie.

## 17.

### KORZEŃ Z ISSYK-KULU

Wiera Korniliewna bardzo się niepokoiła jak Rusanow wytrzyma pełną dawkę, w ciągu dnia dowiadywała się o to kilka razy i pozostała w szpitalu po zakończeniu pracy. Gdyby dyżur miała Olimpiada Władysławowna, zgodnie z wykresem zajęć, mogłaby tak często nie przychodzić; ale Olimpiady nie było, mimo wszystko zabrali ją na zawodowy kurs buchalterów, a za dnia dyżurował Turgun, zbyt niefrasobliwy i niedbały.

Rusanow przeszedł tę próbę dość ciężko, ale w dopuszczal-

nych granicach. Zaraz po zastrzyku otrzymał środek nasenny i spał cały dzień, ale niespokojnie — rzucał się, jęczał. Wiera Korniliewna przychodziła by obserwować jego reakcję, badała puls. Podkurczał pod siebie nogi i znowu je wyciągał. Twarz miał zaczerwienioną, pokrytą obfitym potem. Bez okularów, z głową bezwładnie leżącą na poduszce, utracił całkowity wygląd surowego zwierzchnika. Rzadkie siwe włoski, które mu jeszcze pozostały przy łysinie, żałośnie przykleiły się do ciemienia.

Odwiedzając Rusanowa, Wiera Korniliewna mimochodem załatwiała inne sprawy. Odchodził ze szpitala Poddujew, który był starszym na szpitalnej sali, a chociaż funkcja ta była raczej fikcyjna, musiała być jednak obsadzona zgodnie z przepisami. Wiera Korniliewna przeszła od łóżka Rusanowa do sąsiedniego łóżka i oświadczyła:

— Kostogłotow! Od dziś obejmiecie czynności starszego na sali.

Kostogłotow leżał w ubraniu na kocu i czytał gazetę. (Ganhart już dwa razy przychodziła na salę, a ten ciągle czytał gazetę). Zawsze spodziewając się z jego strony jakiegoś wybryku, Ganhart podparła swoje oświadczenie lekkim uśmiechem, jakby dając mu do zrozumienia, że ona sama dobrze widzi zbędność tego stanowiska. Kostogłotow podniósł znad gazety rozweseloną twarz i nie wiedząc jak najlepiej okazać lekarce szacunek, podciągnął zanadto swoje sterczące, długie nogi. Tym razem wyglądał bardzo życzliwie.

— Wiera Korniliewna — powiedział — chcecie mi wyrządzić niepowetowaną szkodę moralną. Żaden administrator nie jest w stanie uniknąć pomyłek, a do tego często nawiedza go pokusa władzy. Dlatego też po długoletnich rozmyśleniach złożyłem ślub nigdy więcej nie zajmować żadnych stanowisk administracyjnych.

— Zajmowaliście takie stanowiska? Wysokie? — Ganhart włączyła się w jego żartobliwy ton.

— Najwyżej zaszedłem na stanowisko zastępcy dowódcy plutonu. Chociaż faktycznie jeszcze wyżej. Dowódcę plutonu, który był zupełnym tępakiem i nie nadawał się do niczego, wysłali na kurs doszkoleniowy z którego powinien był wyjść co najmniej jako dowódca baterii, ale do naszego dywizjonu już nie wrócił. Zaś drugiego oficera, którego przysłano na jego miejsce, od razu przydzielili do wydziału politycznego, poza etatem. Dowódca dywizjonu nie miał nic przeciw temu, ponieważ byłem solidnym topografem i chłopaki trzymali dyscyplinę. I tak oto w stopniu starszego sierżanta przez dwa lata pełniłem funkcje dowódcy plutonu — od Jelca do Frankfurtu nad Odrą. A nawiasem mówiąc, to były najlepsze lata w moim życiu, choć to wygląda śmiesznie.

Połapał się, że nawet z podkurczonymi nogami siedzieć niegrzecznie, więc spuścił je na podłogę.

— No więc widzicie — Ganhart cały czas uśmiechała się życzliwie, zarówno gdy sama mówiła jak i gdy go słuchała. — Dlaczego więc chcecie zrezygnować? Znowu będziecie się czuć doskonale.

— Wspaniała logika! A co z demokracją? Przecież depreczecie demokratyczne zasady: nikt na sali mnie nie wybrał, wyborcy nie znają nawet mego życiorysu... Co prawda, wy również go nie znacie...

— To opowiedzcie.

Ganhart z przyzwyczajenia nigdy nie mówiła głośno, więc i on obniżył głos, żeby słyszała tylko ona jedna. Rusanow spał, Zadyrko czytał, łóżko Poddujewa było puste — ich głosy prawie nie dochodziły do nikogo.

— Trwałoby zbyt długo. A ponadto krępuje mnie, że ja siedzę a wy stoicie. Tak nie powinno się rozmawiać z kobietami. Ale jeżeli stanę teraz po żołniersku na baczność, wypadnie jeszcze śmieszniej. Proszę bardzo, usiądźcie przy mnie na łóżku.

— Właściwie powinnam już iść — odpowiedziała Wiera Korniliewna. I usiadła na samym brzeжку łóżka.

— Bo to, wicie, najwięcej w życiu wycierpiałem właśnie za przywiązanie do demokracji. Próbowałem krzewić demokrację w wojsku, to znaczy zachowywałem się zuchwale wobec przełożonych. Za to w 1939 roku nie posłali mnie do szkoły, zostałem zwykłym szeregowcem. W 1940 roku dostałem się do szkoły, ale i tam dopuściłem się jakiejś impertynencji — usunęli. I dopiero w 41 ukończyłem kurs dla podoficerów, to było na Dalekim Wschodzie. Uczciwie muszę się przyznać, że mnie to mocno martwiło: wszyscy moi przyjaciele zostali oficerami, a tylko mnie się nie udało. W młodym wieku takie rzeczy jeszcze mają pewne znaczenie. Ale sprawiedliwość zawsze cenilem najwyżej.

— Pewien bliski mi człowiek — powiedziała Ganhart, patrząc na koc — także nie miał szczęścia: zdolny, inteligentny a pozostał prostym żołnierzem.

Krótką pauza, chwila milczenia przeszła między nimi. Ganhart podniosła wzrok.

— A wy pozostaliście w dalszym ciągu takim samym.

— To znaczy jakim? Prostym żołnierzem, czy zdolnym i inteligentnym?

— Zuchwałym. Na przykład, jak wy rozmawiacie z lekarzami? A zwłaszcza ze mną!

Powiedziała to surowym tonem, ale dziwna była ta jej surowość, cała przesycona łagodnością jak wszystkie jej słowa i ruchy.



I nie jakąś mglistą, nieokreśloną łagodnością, lecz melodyjną, pełną wewnętrzną harmonii.

— Z wami? Ależ z wami rozmawiam zawsze w sposób wyjątkowo, jak na mnie, uprzejmy. To jest u mnie rozmowa na wyższym poziomie, widocznie jeszcze tego nie wiecie. A jeżeli macie na myśli pierwszy dzień mego pobytu tutaj, to proszę wziąć pod uwagę w jakich się znalazłem tarapatach. Byłem umiarkowany, kiedy z największym trudem otrzymałem pozwolenie na wyjazd. Przyjechałem — a tu zamiast zimy ulewny deszcz. Pod pachą mam piłśniaki, u nas przecież jeszcze siarczysty mróz. Płaszcz nasiąknął wodą, można wyzymać. Oddałem piłśniaki do przechowalni, wsiałem do tramwaju który szedł do starego miasta, miałem adres jednego z moich żołnierzy, jeszcze z frontu. Zrobiło się zupełnie ciemno, cały tramwaj mi przekłada żebym nie jechał — zamordują! Po amnestii 1953 roku, kiedy wypuścili wszystkich bandziorów, nie ma sposobu na ich ponowne wyłapanie. Do tego nie byłem pewny, czy ten żołnierz jeszcze tu mieszka, a znowu ulica jakaś na odknaj, nikt jej nie zna. Łaziłem od hotelu do hotelu. W hotelach takie wspaniałe westybule, aż wstyd wchodzić w moim przyodziewku, tu i ówdzie były nawet wolne pokoje, ale jak tylko zamiast paszportu pokażę zaświadczenie zesłańca — od razu: „Nie, nie możemy!” No więc co miałem robić?

— Przygotowany byłem na śmierć, ale nie pod płótem!

Poszedłem prosto na milicję: „Słuchajcie, jestem w a s z. Wystarajcie mi się o nocleg”. Nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć, wreszcie: „Idźcie do c z a j c h a n y — uzbeckiej herbariarni niby — i przenocujcie, my tam papierów nie sprawdzamy”. Nie znalazłem tej czajchany, pojechałem z powrotem na dworzec. Spać nie wolno, milicjant chodzi i przepędza. Rankiem do was — do ambulatorium. Ogonek. Obejrzeli — natychmiast do szpitala. Teraz tramwajem z przesiadką przez całe miasto, do komendantury. W całym Związku Sowieckim roboczy dzień, a ten komendant gdzieś poszedł — gwizdże sobie na wszystko. Może przyjdzie, może nie przyjdzie, a zresztą do zesłańców ma negatywny stosunek. Pomyślałem sobie, że jeżeli zostawię tam moje zaświadczenie, to kto wie czy mi bez niego wydadzą piłśniaki z przechowalni. Znowu tramwajem z przesiadką na dworzec. Każdy przejazd półtorej godziny.

— Żadnych piłśniaków nie pamiętam. Mieliście je ze sobą?

— Nie pamiętacie, bo je na dworcu zaraz sprzedałem jakiemuś facetowi. Obliczyłem że resztę zimy przeleżę w klinice, a do następnej zimy nie dożyję. Teraz znowu do komendantury, na same przejazdy wydałem całego czerwonońca. Tam jeszcze kilometr



trzeba kuśtykać po błocie. I wszędzie worek ciągnę ze sobą. A tu boleści mnie spierają, ledwie się wlokę. Dzięki Bogu, nareszcie przyszedł komendant. Wręcam mu w zastaw zezwolenie komendantury mego okręgu, pokazuję skierowanie ambulatoryjne, przybił pieczęć: wolno iść do szpitala. Wtedy pojechałem, ale jeszcze nie do was... do centrum miasta. Patrzę na afisze — wystawiają „Śpiącą królownę”.

— Ach, tak! To jeszcze baletu się zachciało! No gdybym wtedy wiedziała, nie puściłabym na salę! Na pewno!

— Wiera Korniliwna! Przecież to czarodziejska rzecz! Przed śmiercią raz jeszcze obejrzyć balet! A zresztą co tam śmierć — i tak na wiecznym zesłaniu nigdy baletu nie zobaczę. No i diabeł pokręcił! Zmienili przedstawienie! Zamiast „Śpiącej królowny” dali „Agu-Wały”.

Ganhart kiwała głową i śmiała się bezdźwięcznie. Oczywiście cały ten pomysł umierającego człowieka, żeby zobaczyć balet, ogromnie jej się podobał.

— Cóż tu robić? W konserwatorium jakaś aspirantka daje koncert fortepianowy. Ale za daleko od dworca, miejsca już nie złapię. A deszcz ciągle leje i leje! Jedyne wyjście: poddać się i jechać do was. Przyjeżdżam — „nie ma wolnych łóżek, trzeba poczekać kilka dni”. Pacjenci powiadają: tu nieraz i cały tydzień się czeka. Gdzie mam czekać? Cóż więc mi zostało? Jeśli się nie chwycić obozowych sposobów, już po człowieku! A wyście jeszcze skierowanie mi chcieli zabrać, co? Więc jakże miałem z wami wtedy rozmawiać?!

Teraz wesoło było wspominać i oboje doskonale się bawili.

Kostogłotow opowiadał to wszystko łatwo, samo szło, a jednocześnie myślał o czymś zupełnie innym. Jeżeli Ganhart skończyła instytut w 1945 roku, to ma obecnie co najmniej trzydzieści jeden lat, a więc prawie rówieśniczka. Dlaczego Wiera Korniliwna wydaje mu się młodsza od dwudziestotrzyletniej Zoji? Nie z twarzy, lecz ze sposobu bycia: że taka nieśmiała i wstydliva. W takich wypadkach można przypuścić, że jeszcze nie miała... Że jest jeszcze... Uważny obserwator poznaje się na takich kobietach według różnych szczegółów w zachowaniu. Ale Ganhart jest przecież mężatką. Więc dlaczego...?

A ona patrzyła na niego i dziwiła się, dlaczego na samym początku wydał jej się taki ordynarny i nieżyczliwy. Prawda, ma mroczne spojrzenie i grube rysy twarzy, ale potrafi patrzeć i mówić przyjaźnie i wesoło, jak właśnie w tej chwili. Najprawdopodobniej ma zawsze w zapasie dwa różne sposoby zachowania się i stosuje je według okoliczności.

— O baletnicach i pilśniakach już wszystko wiem — uśmiechnęła się Ganhart. — Ale co z butami? Orientujecie się chyba, że wasze buty z cholewami to niebywałe pogwałcenie obowiązującego u nas regulaminu!

Patrzac, zwięzła oczy.

— Znowu regulamin — skrzywił się Kostogłotow. — Nawet w więzieniu przewidziane są spaceru. Nie mogę się obejść bez spaceru, nigdy się bez tego nie wyleczę. Chyba nie chcecie mnie pozbawić oddychania świeżym powietrzem.

Istotnie, ogromnie lubił spaceru. Ganhart widziała go niejednokrotnie jak spacerował całymi godzinami w najbardziej oddalanej i mało uczęszczanej części parku szpitalnego. Niezwykle przy tym wyglądał. U zarządzającej bielizną wyprosił źle uszyty kobiecy szlafrok; mężczyznom takich szlafroków nie dawano, bo ich brakowało. Mocno się nim okręcał i przepasywał żołnierskim pasem z klamrą, ozdobioną pięcioramienną gwiazdą. Fałdy ściągał z brzucha na strony, ale i tak poły szlafrocka rozchodziły się. W wojskowych butach i bez czapki, z czarnym kudłatym łbem, stawiał długie, ciężkie kroki, czasem powoli, kiedy indziej szybko, patrzył na kamyki pod nogami, a po dojściu do wyznaczonego miejsca zawsze zakręcał. I zawsze miał ręce założone do tyłu. I zawsze sam jeden, bez niczyjego towarzystwa.

— W najbliższych dniach oczekujemy wizyty Nizamutdina Bachramowicza. A wiecie co się stanie, jeżeli zauważy wasze buty? Dostanę oficjalną naganę.

Niczego nie żądała, nie prosiła, właściwie jak gdyby skarżyła się przed nim. Ganhart sama dziwiła się temu stosunkowi między nimi; to już było nie tyle na równej stopie, ale i jakby trochę uległości, co jej się nigdy nie zdarzało z innymi pacjentami.

By ją przekonać, Kostogłotow dotknął ręki Wieru Korniliewny swoją wielką łapą.

— Proszę mi wierzyć! Daję stuprocentową gwarancję, że butów u mnie nie znajdzie. W westybulu nigdy mnie nie spotka.

— A na spacerze?

— Skąd będzie wiedział, że ja jestem akurat z jego oddziału?! Jeżeli chcecie, możemy dla zabawy zrobić próbę: napiszemy anonimowe doniesienie, że mam buty, i niech z sanitariuszkami przychodzi szukać — nie znajdzie!

— A czy to ładnie pisać donosy?

Znowu zwięzła oczy.

Dlaczego maluje sobie usta? Kłóciło się to z jej wytwornym wdziękiem, było jak na nią zbyt pospolite. Kostogłotow westchnął.

— A jednak, Wiera Korniliewna, ludzie piszą. I jak jeszcze piszą! I to daje wyniki. Rzymianie mawiali: *testis unus — testis*

*nullus*, jeden świadek to żaden świadek. A w dwudziestym wieku nawet jeden świadek to za dużo, nawet jego nie potrzeba.

Odwróciła oczy. O tych sprawach trudno było z nim mówić.

— Gdzież wy te buty schowacie?

— Buty? Jest mnóstwo sposobów, zależnie od czasu. Być może wrzucę do pustego pieca, może powieszę za oknem na sznureczku. Proszę się nie obawiać!

Trudno było nie śmiać się i nie uwierzyć, że istotnie wykręci się z oparów.

— Jak wam się udało nie zdać ich od razu pierwszego dnia?

— Bardzo zwyczajnie! W tej komórce, gdzie się przebierałem, postawiłem pod ścianą i zasłoniłem otwartymi drzwiami. Sanitariuszka zgarnęła wszystko do worka i zaniósła do składu. Jakem wyszedł z łaźni, zawiązałem w gazetę i zabrałem.

Dzień wypełniony pracą, a ona tu siedzi i rozmawia o jakichś głupstwach. Rusanow spał, rzucał się we śnie, był spocony, ale spał i nie wymiotował. Ganhart jeszcze raz zbadła jego puls i już chciała iść, ale zaraz sobie przypomniała, znowu zwróciła się do Kostogłotowa.

— Czy dodatkowe wyżywienie już otrzymujecie?

— Ani-ani... — ożywił się Kostogłotow.

— W takim razie od jutra. Codziennie dwa jajka, dwie szklanki mleka i pięćdziesiąt gramów masła.

— Co, co? Czy ja dobrze słyszę? Toż nigdy w życiu mnie tak nie karmiono! A zresztą to słusznie! Przecież za tę chorobę ani grosza mi nie zapłacą.

— Jak to?

— Zwyczajnie! Okazuje się, że do związku zawodowego należę od niedawna, jeszcze nie ma sześciu miesięcy. Więc nic mi się nie należy.

— O-jej! I jakże się to stało?

— Po prostu odzwyczaiłem się od normalnego życia. Przyjechałem na miejsce zesłania — jakże miałem się domyślić, że jak najszybciej należy wstąpić do związku zawodowego?

Z jednej strony niby taki sprytny, a z drugiej — taki niedopasowany do życia. O dodatkowe wyżywienie dla niego Ganhart rozbijała się z uporem, nie przyszło to jej łatwo. Ale trzeba już iść, tak można przegadać cały dzień.

Była już przy drzwiach, gdy zawołał za nią kpiącym tonem:

— A może wy mnie chcecie przekupić jako starszego na sali? Teraz będzie mnie męczyć sumienie, że od pierwszego dnia poddałem się korupcji!

Ganhart wyszła.

Ale po obiedzie znowu musiała odwiedzić Rusanowa. W mię-

dzyczasie dowiedziała się, że oczekiwana wizyta naczelnego lekarza odbędzie się jutro. Więc nowe zajęcie — trzeba sprawdzić w jakim stanie są szafki przy łózkach, ponieważ Nizamutdin Bachramowicz wykazywał pod tym względem niesłychaną gorliwość: szafki miały być zawsze w porządku, nie powinny zawierać zbyt dużej ilości produktów, a ideałem było żeby w nich nie trzymać niczego, prócz porcji fasowanego chleba i cukru. I sprawdzał z tak wynalazczą dokładnością, że żadna kobieta by nie potrafiła.

Najpierw Wiera Korniliewna weszła na drugie piętro, podniosła głowę do góry i pilnie przypatrywała się sufitowi i wszystkim zakamarkom. W kącie, gdzie stało łóżko Sibgatowa, zauważyła pajęczynę — akurat pokazało się słońce i rozświetliło schody. Ganhart zawołała sanitariuszkę — to była Elizawieta Anatoliewna, na którą właśnie tego dnia spadły wszystkie dodatkowe prace — pokazała jej pajęczynę i wyjaśniła, jak należy sprzątać i szorować przed jutrzejszym dniem.

Elizawieta Anatoliewna wyjęła z kieszeni szlafroka okulary, włożyła i powiedziała:

— I rzeczywiście, macie całkowitą rację! Co za okropność! — zdjęła okulary i poszła po drabinę i szczotkę. Przy pracy nigdy nie używała okularów.

Następnie Ganhart weszła na męską salę. Stan Rusanowa był bez większych zmian, pocił się nieustannie, ale puls nieco się polepszył. Kostogłotow właśnie nałożył buty i szlafrok i wybierał się na spacer. Wiera Korniliewna oświadczyła całej sali, że jutro odbędzie się niezmiernie ważna wizyta i prosiła, żeby każdy sprawdził jak wygląda jego szafka, zanim ona sama przystąpi do sprawdzenia.

— Zaczniemy — powiedziała — od starszego sali.

Można było zaczynać niekoniecznie od niego, Ganhart sama nie wiedziała dlaczego znowu poszła do niego.

Wiera Korniliewna sprawiała takie wrażenie, jak gdyby ktoś dwa trójkąty postawił jeden na drugim. Na dole trójkąt był szerszy, u góry — węższy. Jej kibić była tak szczupła że aż się prosiło, żeby uchwycić ją palcami i podrzucić do góry. Ale zamiast tego Kostogłotow z całą gotowością otworzył przez nią swoją szafkę.

— Bardzo proszę!

— A właśnie, a właśnie, bądźcie łaskawi... — dobierała się do szafki. Odsunął się nieco i Wiera Korniliewna usiadła na łóżku.

Stał nad pochyloną i doskonale teraz widział jej szyję — bezbronny, delikatny zarys, niezbyt ciemne włosy ułożone w nie-

duży węzeł na karku, bez żadnej pretensji do modnego uczesania.

Opadło go i zdawał sobie sprawę, że musi się koniecznie z tego wyzwolić. Nie może być tak, żeby każda miła kobieta doprowadzała do zawrotów głowy. Posiedziała trochę przy nim, pogaworzyli i poszła — a on przez cały czas myślał tylko o niej. A ją co to obchodzi? Wróci do domu, mąż ją weźmie w objęcia...

Tak, trzeba się koniecznie wyzwolić! Ale wyzwolić się można było tylko przez kobietę.

Stał i patrzył na jej kark i widział tylko jej kark. Kołnierzyk kitla podniósł się nieco do góry i odsłonił maleńką kosteczkę, najwyżej położony szyjny krąg. Ach, jakby to było przyjemnie palcom zatoczyć koło niego kółeczko!

— Naturalnie — komentowała swoją inspekcję Ganhart — jedna z najbardziej niechlujnych szafek w całej klinice. Okruchy chleba, zatłuszczony papier, a obok machorka, książki i rękawiczki. Jak wam nie wstyd? Proszę to wszystko dziś jeszcze uprzątnąć!

Kostogłotow stał, patrzył na jej szyję i milczał.

Wysunęła górną szufladkę i między różnymi drobiazgami zauważyła w niej niewielką flaszeczkę, wypełnioną brązowym płynem — jakieś czterdzieści milimetrów. Flaszeczka była bardzo szczelnie zatkana, obok niej kubeczek z plastyku, używany zazwyczaj w podróży, i kropłomierz.

— A to co? Lekarstwo?

Kostogłotow cicho zagwizdał.

— Głupstwo bez żadnego znaczenia!

— Co za lekarstwo? Myśmy wam tego nie dali.

— A cóż to — nie mogę mieć własnego lekarstwa?

— Dopóki znajdujecie się w naszej klinice, bez naszej wiedzy nie możecie!

— To trochę krępujące... No środek na odciski...

Ganhart kręciła flaszeczką między palcami — nie miała żadnej etykiety ani napisu — i starała się ją otworzyć żeby powąchać. Wtedy zainteresował Kostogłotow. Położył obydwie twarde dłonie na jej rękach i odsunął na stronę rękę, która chciała odkorkować flaszeczkę.

Dotknięcia rąk, zawsze zmuszające do kontynuowania rozmowy!

— Proszę ostrożnie! — uprzedził ją bardzo cichym głosem.

— Trzeba umieć. Nie wolno wylać na palce. Wąchać także nie wolno!

Delikatnie odebrał flaszeczkę.

Nie, to już przekraczało granice żartu!

— Co to znaczy? — nachmurzyła się Ganhart. — Bardzo silny środek?

Kostogłotow usiadł obok niej i powiedział rzeczowo, zupełnie już cichym głosem:

— Bardzo silny. To jest korzeń z Issyk-Kul. Nie wolno go wachać ani w naturalnym stanie, ani w roztworze. Dlatego tak mocno jest zakorkowana. Jeżeli ten korzeń wziąć do rąk, a potem zapomnieć je umyć i polizać, może nastąpić śmierć.

Wiera Korniliewna przestraszyła się.

— Po co to wam?

— Też pech — warknął Kostogłotow. — Musieliście znaleźć na moje nieszczęście! Trzeba było schować... Po to, że się nim leczyłem i lecę w dalszym ciągu.

— Tylko po to? — badawczo patrzyła mu w oczy. Własnych oczu już teraz nie zwrężała. Teraz była lekarzem i wyłącznie lekarzem.

Tak, ale te oczy koloru jasnej kawy...

— Tylko po to! — potwierdził szczerze.

— Więc to... na zapas...? — wciąż jeszcze mu nie dowierzała.

— No jeżeli chcecie koniecznie wiedzieć — miałem taką ukrytą myśl. Żeby nie męczyć się za długo... Cierpienie minęło tu już się nie liczy. Ale leczyłem się nim w dalszym ciągu.

— Po kryjomu? Kiedy nikt nie widzi?

— A cóż człowiek ma robić jeśli mu nie dają swobodnie żyć! Wszędzie regulaminy!

— Po ile kropli?

— Metoda stopniowania. Od jednej kropli do dziesięciu, potem od dziesięciu do jednej i dziesięciodniowa przerwa. Teraz akurat przerwa. Szczerze mówiąc, wcale nie jestem pewien czy zanik bólów to tylko konsekwencja rentgena. Może i korzeń pomógł...

Mówili teraz stłumionymi głosami.

— Na czym to?

— Na wódce.

— Sami robiliście?

— Acha!

— Jakież przepis na koncentrację?

— Jaki... Dał mi wiązkę, powiada: trzy razy po pół litra. No i podzieliłem.

— A jaka waga?

— W ogóle nie ważył. Tak ocenił — na oko.

— Na oko? Taką truciznę! To jest *akonitum*! Sami się zas tanówcie!

— Co mam się zastanawiać! — Kostogłotow zaczął się złościć. — Spróbujcie-no umierać, sama jedna we wszechświecie, komendatura nie wypuszcza za granicę osiedla, pomyślelibyście wtedy że to akonitum! I ile waży! Wiecie ile mogłem dostać za tę wiązkę?! Dwadzieścia lat katongi! Za samowolne wydalenie się z miejsca zesłania. A ja pojechałem. Jakies sto pięćdziesiąt kilometrów. W góry. Mieszka tam taki staruch, Kriemiencow się nazywa, broda jak u akademika Pawłowa. Osiedlił się tam na początku naszego stulecia. Prawdziwy znachor! Sam korzenie zbiera i wyznacza dawki. W jego wsi wyśmiewają go, wiadomo — nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. A z Moskwy i z Leningradu ludzie do niego przyjeżdżają. Przyjechał korespondent *Prawdy*. Powiadają, że się przekonał. Ale teraz rozeszły się pogłoski, że stary siedzi. Jacyś durnie zaleli korzeń pół litrem wódki i zostawili w kuchni w otwartym naczyniu. W rocznicę rewolucji przyszli goście, wódki zabrakło, no i wypili bez wiedzy gospodarzy. Trzech umarło. Zaś w innym domu dzieci się potruły. A stary nic nie winien, przecież uprzedzał!

Kostogłotow połapał się, że dostarcza argumentów przeciw samemu sobie i zamilkł.

— A więc właśnie! — Ganhart była mocno zdenerwowana. — Posiadanie takich silnych środków na wspólnej sali jest zabronione! To absolutnie wykluczone! Może nastąpić nieszczęśliwy wypadek. Proszę mi dać tę flaszeczkę!

— Nie — odpowiedział stanowczo.

— Proszę dać! — Wiera Korniliewna gniewnie ściągnęła brwi i wyciągnęła dłoń ku jego zaciśniętej pięści.

Mocne spracowane palce Kostogłotowa tak obejmowały flaszeczkę, że jej w ogóle nie było widać.

Uśmiechnął się.

— Na siłę nie dacie rady.

Brwi lekarki nieco się rozwarły.

— Ostatecznie wiem kiedy się udajecie na spacer, mogę zabrać flaszeczkę w czasie waszej nieobecności.

— Dziękuję za uprzedzenie, zaraz ją schowam.

— Za oknem, na sznureczku? Cóż mi pozostaje? Pójdę do władz szpitalnych i zawiadomię.

— Nie wierzę. Nie dawniej jak dziś potępiliście donosicielstwo.

— Nie dajecie mi innego wyjścia!

— Wobec tego należy donieść, tak? To nieszlachetnie. Obawiacie się, że truciznę wypije na przykład towarzysz Rusanow? Nie dopuszczę do tego. Zawinę i zapakuję. Kiedy stąd wyjadę,



będę się w dalszym ciągu kurować tym korzeniem, jakże inaczej! Nie wierzycie w jego skuteczność?

— Absolutnie! To jakieś ignoranckie przesady i zabawa ze śmiercią. Wierzę wyłącznie w naukowe tezy sprawdzone w praktyce! Tak mnie uczono. I każdy lekarz-onkolog myśli tak samo. Proszę natychmiast dać mi flaszeczkę!

Mimo wszystko próbowała wyprostować jego palce.

Patrzył w jej rozgniewane oczy barwy jasnej kawy. Nie miał żadnej chęci spierać się z nią i trwać w uporze, najchętniej oddałby i tę flaszeczkę i całą zawartość szafki, ale byłoby to wbrew przekonaniu.

— At, święta nauka! — westchnął Kostogłotow. — Jakby to były takie murowane pewniki, to by ich nie obalano co dziesięć lat. A ja w co mam wierzyć? W wasze zastrzyki?

— Są bardzo potrzebne! Bardzo ważne, żeby utrzymać was przy życiu! — mówiła coraz bardziej kategorycznie i od tej pewności oczy jej zajaśniały. — Nie sądźcie, że już jesteście zdrowi!

— Dobrze, ale proszę sprecyzować! Na czym polega działanie tych zastrzyków?

— Po co to wam? Zastrzyki zwalczają chorobę. Nie dopuszczają do dalszych przerzutów. Jeśli powiem precyzyjniej, nie zrozumiecie o co chodzi... No już dobrze, dajcie mi flaszeczkę, a ja ją wam zwrócę przy wyjeździe. Pod słowem honoru!

Jakiś czas patrzyli na siebie.

Kostogłotow wyglądał niezwykle komicznie — w tym babskim szlafroku, przepasanym żołnierskim pasem z pięcioramienną gwiazdą.

Po co się tak upiera?! A niech gęś kopnie tę flaszeczkę, odda ją bez żalu, u siebie w domu ma dziesięciokrotnie więcej tego akonitum. Chodzi o co innego! Stoi przed nim miła kobieta z oczami barwy jasnej kawy. I całą twarz ma przejaśnioną jakimś wewnętrznym światłem. Tak przyjemnie się z nią rozmawia. Ale przecież nigdy nie będzie mógł jej pocałować. Kiedy wróci do swego zapadłego kąta, nie uwierzy że kiedyś siedział obok tej świetlistej kobiety, która chciała go za wszelką cenę uratować!

Ale właśnie uratować go nie będzie w stanie!

— A ja także boję się dać wam flaszeczkę — zażartował Kostogłotow. — Jeszcze ktoś u was w domu wypije...

(Kto? Kto w domu wypije? Mieszkała samotnie. Ale powieźcie o tym właśnie teraz wydawało się jakoś nieporęcznie.)

— Dobrze! Niech będzie na remis. Po prostu wylejemy zawartość flaszeczki.

Roześmiał się. Jaka szkoda, że tak niewiele może dla niej zrobić!

— Dobrze. Już idę na podwórze i wyleję.

Swoją drogą niepotrzebnie szminkowała usta.

— O nie, teraz ja już nie mam zaufania. Muszę być przy tym obecna!

— Co za pomysł! Po co wylewać? Lepiej żebym dał lekarstwo porządnemu człowiekowi, którego wy i tak nie uratujecie. A nuż mu pomoże!

— Komu?

Kostogłotow skinął w kierunku łóżka Wadima Zadyrki i jeszcze bardziej zniżył głos.

— Malanoblastoma, prawda?

— Teraz już nie mam najmniejszych wątpliwości, że należy zawartość flaszeczki wylać. Bo jeżeli nie, to na pewno tu kogoś otrujecie! Nie rozumiem jak moglibyście się na to zdobyć i ciężko choremu zaaplikować truciznę! A jeżeli go strujecie? Co na to wasze sumienie?

Unikała zwracania się doń po nazwisku. W ciągu całej rozmowy ani razu nie wymieniła jego nazwiska czy imienia.

— Taki jak on nie otruje się! To twardy chłopak!

— Nie, nie! Chodźmy stąd, trzeba wylać truciznę!

— Jestem dziś wyjątkowo dobrze usposobiony. Niech będzie, chodźmy!

Przeszli między łóżkami, wyszli na schody.

— Nie lękacie się zimna?

— Mam ciepły kaftanik pod kitem.

Tak i powiedziała: „ciepły kaftanik”... Po co to powiedziała? Teraz chciałby zobaczyć — jaki to kaftanik, jakiego koloru... Ale nie zobaczy nigdy.

Wyszli na ganek. Dzień był całkowicie pogodny, nawet wiosenny, nietutejszym trudno było uwierzyć, że to dopiero siódmy lutego. Słońce świeciło. Wysoko rozrośnięte topole i niskie krzewy żywopłotów były jeszcze pozbawione listowia. Rzadko gdzie widniały w cieniu resztki śniegu. Między drzewami widać było zeszłoroczną trawę, szaro-burą i przygniecioną do ziemi. Aleje, kamienne płyty, asfalt — wszystko było wilgotne, jeszcze nie zdążyło wyschnąć. Na skwerze zwykły ruch i ożywienie: we wszystkich kierunkach, naprzeciw i na ukos, przeganiając się wzajemnie, szli lekarze, pielęgniarki, sanitariuszki, służące, ambulatoryjni pacjenci i krewni leżących w klinice. Tu i tam zajęte były ławeczki. W poszczególnych oddziałach po raz pierwszy otworzono okna.

Trudno było wylewać przed samym ganekiem.

— Chodźmy w tamtym kierunku! — Kostogłotow wskazał

przejście między oddziałem chorych na raka i sąsiednim, laryngologicznym. To był jeden z jego ulubionych szlaków spacerowych.

Poszli razem dróżką, wymoszczoną kamiennymi płytami. Doktorska czapeczka Wiery Korniliewny, przypominająca kształtem wojskową furażerkę, dochodziła akurat do ramienia Kostogłotowa.

Spojrzał na nią z ukosa. Szła bardzo poważnie, jak gdyby chodziło o wykonanie jakiegoś doniosłego zadania. To go rozśmieszyło.

— Proszę mi powiedzieć — rzucił nagle pytanie — jak was nazywano w szkole.

Rzuciła na niego szybkie spojrzenie.

— Jakież to ma znaczenie?

— Znaczenia, naturalnie, nie ma żadnego. Po prostu chciałbym wiedzieć!

Jeszcze kilka kroków przeszła w milczeniu, cichutko postukując obcasami na płytach. Wysmukłość jej nóg, jak u gazeli, Kostogłotow zauważył zaraz pierwszego dnia, gdy zbliżyła się do leżącego na podłodze, prawie konającego.

— Wega — odpowiedziała.

(To nie była prawda. Albo raczej prawda połowiczna. W szkole jej tak nie nazywali, nazwał ją tak tamten mężczyzna, ów szeregowiec który nie powrócił z wojny. Pod wpływem jakiegoś impulsu, sama nie wiedząc dlaczego, zwierzyła się z tego imienia innemu mężczyźnie).

Wyszli z cienia, między dwa oddziały, i od razu uderzyło w nich słońce i lekki powiew wiatru.

— Wega? To nazwa gwiazdy! Ale Wega ma olśniewiająco jaskrawe światło...

Zatrzymali się.

— Ja nie jestem olśniewająca — zaprzeczyła ruchem głowy. — Jestem po prostu Wie-ra Gan-hart. I to wszystko!

Po raz pierwszy zmieszał się on, a nie ona.

— Chciałem powiedzieć, że... Kostogłotow chciał się usprawiedliwić.

— Wszystko jest jasne. Proszę wylać truciznę! — rozkazała Ganhart.

Zrobiła wysiłek, żeby się nie roześmiać.

Kostogłotow z trudem wyciągnął mocno wetknięty korek i zachowując ostrożność, pochylił się żeby podważyć nieduży kamień, który pozostał tu po poprzednim brukowaniu. Pochylny wyglądał jeszcze śmieszniej w tym szlafroku-spódnicy.

— Proszę uważać! — oświadczył, siedząc w kucki tuż przy jej nogach. — Bo gotowi jesteście potem powiedzieć, że wlałem sobie do kieszeni.

Ach, te nogi, nogi gazeli, na które zwrócił uwagę od razu wtedy, pierwszego dnia!

Do wilgotnej jamki w ciemnej ziemi wylał brunatny, mętny płyn — czyjaś śmierć, albo czyjeś wybawienie.

— Można położyć z powrotem kamień?

Patrzyła z góry i uśmiechała się.

W tym wylewaniu trucizny i odkładaniu kamienia było coś smarkaczowskiego. Ale zarazem coś, co ocierało się o wielką tajemnicę i o złożoną przysięgę.

— No to teraz proszę mnie pochwalić! — Kostogłotow wstał i wyprostował się.

— Bardzo chwałę — uśmiechnęła się znowu, ale jakoś smutno. — A teraz na spacer!

Poszła w kierunku oddziału.

Patrzył na jej białe plecy. Dwa trójkąty, jeden na górze, drugi na dole.

Jakże go podniecał najmniejszy objaw kobiecej życzliwości!

Każdemu słowu przypisywał zbyt wielkie znaczenie. I za każdym razem spodziewał się dalszego ciągu.

— We-ga! We-ga! — powtarzał półgłosem, starając się zasugestionować ją na odległość. — Wróć, słyszysz? Obejrż się przynajmniej!

Ale nie udało się. Ganhart nie obejrzała się.

## 18.

### „I NIECH NAD MOJĄ TRUMNĄ...”

Podobnie jak rower albo koło utrzymują równowagę jedynie w ruchu, a bez niego przewracają się, tak samo miłosna gra między kobietą i mężczyzną, gdy raz się rozpocznie, może istnieć tylko w ciągłym rozpędzie. Jeżeli nie posunęło się nic od wczoraj, gra pęka.

Oleg nie mógł doczekać się wtorkowego wieczoru: Zoja miała przyjść na nocny dyżur. Radosne koło ich miłosnej gry powinno potoczyć się dalej, niż pierwszej nocy i w ubiegłą niedzielę. Czuł w całym sobie silny ku temu impuls i czekał na Zoję w podnieceniu.

Najpierw zszedł do ogrodu, wiedząc dobrze że nadejdzie aleją idącą ukosem, wypalił dwa skręty machorki, ale potem pomyślał

że w babskim szlafroku wygląda zbyt głupio, a chciał się Zoji pokazać inaczej. Zresztą zapadł zmrok. Wrócił na oddział, zdjął szlafrok, ściągnął buty i w piżamie — równie śmiesznej jak szlafrok — czekał na dole, przy schodach. Włosy, zazwyczaj sterczące we wszystkie strony, były dziś w miarę możliwości przygładzone.

Zoja wybiegła z doktorskiej szatni, spieszyła się mocno, była spóźniona. Na widok Kostogłotowa poruszyła brwiami, ale bez zdziwienia, po prostu stwierdzając że jest tam gdzie być powinien i gdzie się spodziewała go zastać — przy wejściu na schody.

Nie zatrzymała się, więc aby nie zostać w tyle, Kostogłotow poszedł obok, stawiając długie kroki, po dwa stopnie na raz. Teraz mu to nie sprawiało trudności.

— No jakie nowiny? — rzuciła w przelocie jak adiutantowi.

(Nowiny! Zmiana składu Sądu Najwyższego! — oto nowina. Aby ją właściwie zrozumieć, potrzebne są całe lata doświadczeń. Zoji to było w tej chwili raczej obojętne).

— Mam dla was nowe imię. Nareszcie zrozumiałem jakie imię wam najbardziej odpowiada.

— A tak! I cóż to za imię? — pytała, zwinnie biegnąc po schodach.

— Tak na chybcika nie można. To zbyt doniosła sprawa.

Ale już wyszli na górę i na ostatnich stopniach Kostogłotow został nieco w tyle.

Patrząc za nią, zauważył że nogi ma nieco grubawe i ciężkawe. Zresztą pasowały do jej dość tęgiej figury. I w tym także był swoisty smaczek. Ale szczupłe, lekkie nogi stwarzają inny nastrój. Sprawiają wrażenie, że w ogóle nie posiadają żadnego ciężaru. Jak u Wegi.

Zdziwiony był swoim własnym stanem. Nigdy przedtem nie zachowywał się w podobny sposób, uważał taki stosunek do kobiet za trywialny. I nie przeczukał się z taką łatwością od jednej kobiety do drugiej. Jego dziadek określiłby to po prostu jak porubstwo. Ale jest takie porzekadło: jesz z głodu, Kochaj się za młodu! A Oleg za młodu wszystko przegapił. Jak jesienna roślina śpieszy się, żeby wyciągnąć z ziemi ostatnie soki i nie żałować zmarnowanego lata, tak Oleg po krótkim życiu, a już u jego kresu, na pewno u kresu — śpieszył się, chciał obcować z największą ilością kobiet, choć nie mógłby im wyjaśnić o co chodzi. Wyraziściej, ostrzej od innych wyczuwał istotę kobiecości, ponieważ przez wiele lat w ogóle z nimi nie obcował. Cóż dopiero mówić o zbliżeniu! Nawet ich głosów nie słyszał, w ogóle zapomniał ich brzmienia.

Zoja przejęła dyżur i z miejsca zaczęła krążyć jak nakręcony

bąk. Kręciła się koło swego stolika, zeszytu z dyspozycjami i szafki z lekarstwami, by nagle zmienić kierunek i rzucić się ku drzwiom, ale przecież właśnie tak krąży nakręcony bąk.

Oleg przyglądał się czujnie i kiedy uchwycił maleńką przerwę w jej czynnościach, znalazł się natychmiast przy niej.

— Żadnych innych nowin nie było? — pytała Zoja swoim głosem pobudzającym łakomstwo, a jednocześnie sterylizowała strzykawkę na elektrycznej kuchence i otwierała ampułki.

— O! W klinice mieliśmy dziś nadzwyczajne wydarzenie. Odbyła się inspekcja Nizamutdina Bachramowicza.

— A tak? Dobrze, że mnie przy tym nie było! I co? Odebrał wam buty?

— Butów nie odebrał, ale nie obyło się bez maleńkiego starcia.

— Cóż się stało?

— To było wspaniałe przedstawienie! Zjawił się cały tłumek w białych kitlach — chyba z piętnastu: kierownicy oddziałów, starsi lekarze, młodszy lekarze, nawet i tacy których nigdy tu nie widziałem, i naczelną doktor rzucił się jak tygrys do naszych szafek. Ale pewne agenturalne informacje już wcześniej przenikły, przygotowaliśmy się odpowiednio, więc niczym się nie pożywił. Nachmurzył się, bardzo mu to było nie w smak. A tu akurat referowali mu o mnie, i Ludmiła Afanasjewna popełniła małą nieostrożność: wyczytała z mojej sprawy...

— Z jakiej sprawy?

— Z historii choroby, zawsze się myślę... Wymieniła gdzie była robiona pierwsza diagnoza, i mimowoli wykryło się że jestem z Kazachstanu.

„Jak to? — powiedział Nizamutdin. — Z innej republiki. Nie starcza nam łóżek i mamy jeszcze leczyć obcych? Natychmiast zwolnić ze szpitala!”

— Na sali połowa to tacy sami „obcy”!

— Oczywiście, ale akurat trafiło na mnie! Nie spodziewałem się, że Ludmiła Afanasjewna ujmie się za mną jak kwoka za kurczęciem, aż się cała nastroszyła: „To skomplikowany wypadek naukowy! Ten pacjent jest nam niezbędny, żeby wyciągnąć zasadnicze wnioski...” Znalazłem się w prawdziwie idiotycznej sytuacji: parę dni temu sam się z nią spierałem i żądałem zwolnienia ze szpitala, nakrzyczała na mnie, a teraz chce wybronić. Wystarczyło bym powiedział temu Nizamutdinowi, że „owszem, chętnie”, i przed obiadem już by mnie tu nie było! Z wami też już bym się nie zobaczył...

— To znaczy, że nie powiedzieliście „owszem, chętnie”, z uwagi na mnie?

— Nie inaczej! — nieco głuchym głosem powiedział Kostogłotow. — Nie zostawiliście mi swego adresu. Jakże by później was szukać?!

Była w tej chwili mocno zajęta i trudno się było zorientować, czy mu uwierzyła.

— No ale jakże Ludmile Afanasjewnie świnię podkładać? — teraz opowiadał znowu nieco głośniej. — Siedzę, milczę jak pień. Na to Nizamutdin: „Zaraz pójde do ambulatorium i przyprowadzę wam pięciu takich samych pacjentów! I wszyscy z naszego terenu. Zwolnić!” No i prawdopodobnie palnąłem głupstwo, zmarnowałem taką okazję wyjścia stąd! Żal mi się zrobiło Ludmiły Afanasjewny, zamrugła oczami jakby ją pobili i zamilkła. A ja mocniej oparłem się łokciami o kolana, odchrząknąłem żeby przeczyścić gardziółko, i spokojnie pytam: „Jakże to chcecie zwalniać mnie ze szpitala, kiedy ja jestem z ugornych ziem?”

„Och, z ugornych? — przestraszył się Nizamutdin (to byłby przecież błąd polityczny!). — Dla ludzi z ugornych ziem — wszystko!” I poszli dalej.

— Macie sposoby! — Zoja pokręciła głową.

— To, Zojeńka, w obozach takiej bezczelności nabrałem. Przedtem taki nie byłem. W ogóle we mnie jest dużo cech nie moich własnych, lecz nabytych w łagrach.

— Ale skłonność do wesołości chyba nie stamtąd?

— Dlaczego nie? Jestem wesoły, bo dawno przyzwyczałem się do ciągłych strat. To zdumiewające, że podczas wizyt krewnych wszyscy tu płaczą. Dlaczego płaczą? Nikt ich nie zsyła, nie konfiskuje...

— A więc zostajecie u nas jeszcze przez miesiąc...?

— Bodaj wam pypeć na języku wyrósł! Najprawdopodobniej jakieś dwa tygodnie. Tak wypadło jak gdybym Ludmile Afanasjewnie podpisał zobowiązanie, że wszystko będę znosić...

Zoja wypełniła strzykawkę rozgrzanym płynem i wybiegła.

Była dziś nieco zakłopotana i nie wiedziała jak się zachować. Powinna była zrobić Olegowi świeżo zaordynowany zastrzyk. Zastrzykiwano naturalnie w najbardziej wrażliwą część ciała, ale ich stosunek nabrał takiego charakteru, że cała sprawa stała się niezmiernie kłopotliwa. Tocząca się między nimi gra była narażona teraz na wykojenie, a tego Zoja nie chciała, podobnie jak nie chciał Kostogłotow. A znowu nie doszli do takiego punktu, kiedy robienie zastrzyków nie może niczego zmienić, bo zbliżenie już nastąpiło. Zoja podeszła do stołu i napełniając strzykawkę z przeznaczeniem dla Achmadżana, zapytała:

— Czy zastrzyki otrzymujecie regularnie? Nie wierzacie?



Takie pytanie, właśnie pod adresem Kostogłotowa! Tylko czekał na okazję, by o tym porozmawiać.

— Zojeńka, przecież znacie moje poglądy. Jeżeli tylko możliwe, wolę się obejść bez zastrzyków. Ale nie ze wszystkimi wychodzi. Z Turgunem ułożyło się doskonale: stara się poduczyc gry w szachy, no i doszliśmy do porozumienia. Jeżeli ja wygram, nie ma zastrzyku, jeżeli on wygra — zastrzyk. Rzecz w tym, że nawet dając mu wieżę fora, zawsze wygrywam. Za to z Marią nie ma zabawy: podchodzi ze strzykawką, twarz jak z drewna. Próbuje zażartować, a ona: „Pacjent Kostogłotow! Proszę obnażyć miejsce do zastrzyku!” Ona przecież jednego zbędnego słowa po ludzku nie wypowie!

— Ona was nienawidzi.

— Mnie?

— W ogóle was wszystkich — mężczyzn.

— Może i ma swoje racje. Z nową pielęgniarką także nie umiem się dogadać. A jak wróci Olimpiada, to tym bardziej, ta przecież ani na jeden milimetr nie pofolguje.

— I ja będę postępować tak samo! — zapowiedziała Zoja, sprawdzając poziom płynu w strzykawce. Ale ton jej głosu zapowiadał co innego.

Poszła zrobić zastrzyk Achmadżanowi. Oleg został sam przy stoliku.

Była inna, o wiele ważniejsza przyczyna, dla której Zoja nie chciała robić mu tych zastrzyków. Od niedzieli zastanawiała się czy mu o tym powiedzieć, czy mu wyjaśnić znaczenie zastrzyków.

Bo a nuż to wszystko, o czym żartobliwie mówili, zrealizuje się naprawdę — a mogło się zrealizować! A nuż nie skończy się na zbieraniu części ubrania, porozrzucanych po pokoju, i zacznie się coś trwałego, Zoja zdecyduje stać się jego — jak to wtedy nazwał? — p s z c z ó ł k ą i pojedzie razem z nim do miejsca zesłania (ostatecznie Kostogłotow ma rację — skąd można wiedzieć czy w jakimś zapadłym kącie nie czeka szczęście?). I w tej sytuacji zastrzyki, które miał otrzymywać Oleg, dotyczyły już nie tylko jego samego ale także i jej.

Więc nie mogła się na nie zgodzić.

— No co?! — powiedziała wesoło, trzymając w dłoni opróżnioną strzykawkę. — Zdobyliście się już na odwagę? Pacjent Kostogłotow, proszę iść na salę i obnażyć miejsce do zastrzyku! Zaraz przyjdę!

Oleg siedział i patrzył na nią wcale nie tak, jak zwykli patrzeć ludzie chorzy. O zastrzykach w ogóle nie myślał, już wiedział, że Zoja się z nim zgadza.

Patrzył na jej oczy, z lekka wypukłe, jak gdyby pragnęły wyskoczyć z oczodołów.

— Chodźmy stąd gdziekolwiek — nie tyle powiedział, co wyburczał zdławionym głosem.

Im bardziej głuchy stawał się jego głos, tym głośniejsz dzwierał głos Zoji.

— Gdziekolwiek? — zdziwiła się i roześmiała. — Do miasta?

— Do pokoju posiedzeń lekarskich.

Wzięła w siebie — tak, na pewno wzięła — jego nienasycone spojrzenie i odpowiedziała, ale już poważnie:

— Oleg, nie mogę! Tyle roboty!

Wyglądało na to, że nie rozumiał.

— Chodźmy!

— Ach, prawda! — przypomniała sobie Zoja. — Muszę napełnić tlenem gumową poduszkę dla... — Pokazała głową w kierunku schodów, może nawet wymieniła nazwisko chorego, ale Kostogłotow nie dosłyszał. — Kran u butli jest zawsze tak zakręcony, że trudno otworzyć. Pomożecie mi. Chodźmy!

Najpierw Zoja, a on za nią — zeszli na półpiętro. Nieszczęsny pacjent, żółty, z wyostrzonym nosem, malutki a może tylko skręcony chorobą, siedział na łóżku i szybko wdychał tlen z poduszki, aż chrapanie wrywało mu się z piersi. Miał płuca zżarte rakiem, a stan jego był taki zły, że wizytujący lekarze już z nim nie rozmawiali i o nic go nie pytali. Przyjechał w fatalnym stanie, a teraz było z nim tak źle, że nawet niedoświadczone oko od razu się na nim poznawało. Kończył poduszkę z tlenem, druga, wypróżniona, leżała obok.

Tak osłabł, że już nie dostrzegał ludzi, którzy podchodzili lub przechodzili. Zabrali próżną poduszkę i schodzili na dół schodami.

— Jak go leczycie?

— Wcale nie leczymy. Wypadek nieuleczalny. Naświetlanie nie pomogło.

— Nie przeprowadzacie operacji klatki piersiowej?

— W tym szpitalu jeszcze nie.

— To znaczy, że umrze.

Skinęła głową potakująco.

Miała dostarczyć tlen choremu żeby się nie udusił, ale szybko zapomnieli o jego istnieniu. Bo za chwilę miało się stać coś osobliwego.

Wysoka butla z tlenem stała osobno w zamkniętym teraz korytarzu, na który wychodziły drzwi gabinetów z rentgenem. To tu Wiera Ganhart kiedyś kazała się położyć przemokniętemu, konającemu Kostogłotowowi. (Od tego „k i e d y s” nie minęły nawet trzy tygodnie).

Jeżeli nie zapalać drugiej żarówki (zapalili tylko pierwszą), to kąć za załamaniem ściany, gdzie stała butla z tlenem, pozostawał w półmroku.

Zoja była niższa od butli, Oleg — wyższy.

Połączyła wentyl poduszki z wentylem butli.

Stał tuż za nią i wdychał zapach jej włosów, które wysunęły się spod czapeczki.

— Ten kran się zaciął, nie mogę go otworzyć! — poskarżyła się Zoja.

Zacisnął palce na kranie i otworzył za pierwszą próbą. Tlen zaczął wchodzić do poduszki z cichym sykiem.

Nawet nie szukając żadnego pretekstu, Oleg oderwał rękę od kranu i uchwycił Zoję za przegub tej ręki, w której nie trzymała poduszki. Nie drgnęła, nie zdziwiła się. Patrzyła na powoli wypełniającą się poduszkę.

Prowadził dłoń po przedramieniu do łokcia, potem jeszcze wyżej do ramienia.

Nieskomplikowany wywiad, konieczny dla obojga. Sprawdzenie, czy wypowiedziane dotychczas słowa zostały zrozumiane i przyjęte we właściwy sposób.

Tak, we właściwy.

Potargał jej grzywkę na czole. Zoja nie oburzyła się, nie odsunęła, w dalszym ciągu patrzyła na poduszkę.

Wtedy mocno ją uchwycił za barki, przechylił do tyłu i wreszcie dorwał się do jej ust, do tych jakże gadatliwych i śmiejących się ust.

I te usta wyszły mu na spotkanie, nie słabe, ani miękko rozchylone, lecz sprężyste, zwarte i chętne.

W jednym mgnieniu wyjaśniło się wszystko, bo jeszcze minutę temu nie wiedział, nie pamiętał, zapomniał, że różne bywają usta, różne pocałunki i różną mają wartość.

Zaczęło się od gwałtownego zetknięcia warg, ale teraz przedłużało się, trwało w nieskończoność, tego nie wolno było i nie należało kończyć. Tak można było trwać zawsze, w tym nieustannym połączeniu ust.

Ale po jakimś czasie — po dwóch stuleciach? — usta się rozłączyły. Oleg ujrzał Zoję po raz pierwszy i usłyszał:

— Dlaczego przy całowaniu zamykasz oczy?

Miał zamknięte oczy? Nie wiedział tego! Nie zauważył.

Jak poławiacze perłę po nabraniu oddechu zanurzają się ponownie by na samym dnie znaleźć, odszukać oczekującą ich perłę, tak Oleg i Zoja znowu zwarli się ustami, ale teraz już zauważył że zamknął oczy, więc natychmiast je otworzył. I całkiem blisko, nieprawdopodobnie blisko, ujrzał jakoś z ukosa jej złocisto-piwe

oczy. Wydało mu się, że to oczy drapieżcy. Jednym okiem widział tylko jedno oko, drugim — tylko drugie. Oddawała mu pocałunki zawsze pewnymi siebie, naprężonymi, doświadczonymi ustami, nie wykręcając ich, kołysała się lekko i patrzyła bez przerwy, jak gdyby chciała sprawdzić co się z nim dzieje, gdy przemija jedna wieczność, a potem druga i trzecia.

I nagle jej oczy pomknęły gdzieś w bok, gwałtownie oderwała się od Olega i krzyknęła:

— Kran!

— Boże, kran! — Błyskawicznie sięgnął ręką do kraju i zakręcił.

Ze też poduszka nie pękła!

— To są skutki całowania się! — powiedziała Zoja urywanym głosem, nie złapawszy jeszcze tchu. Grzywkę miała potarganą, czepeczka zsunęła się na bakier.

Mimo że miała całkowitą rację, znów zwarli się w pocałunku jakby chcieli coś od siebie nawzajem przejąć.

Drzwi od korytarza były oszklone, może ktoś widział ich podniesione łokcie, jej w białym, jego w różowym rękawie, wszystko jedno, niech go piorun trzaśnie!

Gdy wreszcie znowu złapali oddech, Oleg ujął Zoję za szyję i patrząc na złocisty puszek na karku, powiedział:

— Złotończyk! Tak się teraz nazywasz. Złotończyk!

— Złotończyk? Pończyk?

Owszem. Całkiem nie najgorzej.

— Nie boisz się tego, że jestem zesańcem? Przestępcą?

— Nie-ee... — lekkomyślnie zaprzeczyła głową.

— Ze jestem stary?

— Jaki tam stary!

— A tego, że jestem chory?

Oparła czoło o jego pierś i tak zastygła.

Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, aż dokładnie poczuł te jej ciepłe, elipsoidalne wsporniki, na których nie wiadomo czy utrzymałaby się ciężka linijka do kreślenia, i mówił:

— Pojedziesz ze mną do Usz-Tereku, prawda? Pobierzemy się... Zbudujemy sobie tam domek...

To właśnie było to czego jej brakowało, ten dalszy ciąg, to czego nie dawały noce, gdy się w upojeniu ciskało części ubrania po pokoju. Przytulona do niego, czując go całym ciałem, pragnęła odgadnąć czy to na pewno właśnie ten? Czy to z nim sądzono jej mieć...?

Przeciągnęła się i zarzuciła mu ramię na szyję.

— Oleżek! Czy ty wiesz na czym polegają twoje zastrzyki?

— Na czym? — ocierał się o nią policzkiem.

— Te zastrzyki... Jakby ci to wytłumaczyć... Naukowa nazwa brzmi hormonoterapia... Stosuje się przeciwstawienie: kobiety otrzymują męskie hormony, mężczyźni — żeńskie... Zakłada się, że w ten sposób następuje likwidacja przerzutów... Ale najpierw likwiduje się... Rozumiesz?

— Co? Nie! Nie zupełnie! — Oleg zmienił się na twarzy, w jego urywanym głosie brzmiała trwoga. Teraz trzymał ją znowu za ramiona, ale już w inny sposób, jak gdyby chciał wytrząść z niej całą prawdę. — Mów wszystko co wiesz!

— Zaczynają się likwidować w ogóle... seksualne możliwości... Do tego stopnia, że następują wtórne objawy. Przy większych dawkach u kobiety może pokazać się zarost, a u mężczyzny rosną piersi...

— Czekaj-no! Co to znaczy? — wrzeszczał Oleg, który dopiero teraz zaczynał rozumieć. — Więc te zastrzyki? Te, które dostaje! W s z y s t k o likwidują?!

— No nie wszystko. Przez dłuższy jeszcze czas pozostaje libido.

— Co to jest libido?

Popatrzyła mu prosto w oczy i delikatnie pociągnęła za zwisającą czuprynę.

— To co w tej chwili odczuwasz w stosunku do mnie... Pożądanie...

— Pożądanie pozostaje, ale bez żadnych możliwości? Tak? — wypytywał zupełnie oszołomiony.

— Możliwości — bardzo słabną. Potem zanika również pożądanie. Rozumiesz? — przeciągnęła palcami wzdłuż blizny, pogładziła ogolony policzek. — To dlatego nie chcę, żeby ci robiono te zastrzyki.

— Wspania-le! — opanował się, wyprostował na cały wzrost. — To rzeczywiście wspaniale! Przeczowało moje serce, spodziewałem się jakiegoś podstępu — na moje wyszło!

Miał wielką chęć zdrowo obsztorcować lekarzy, wszystkich lekarzy w ogóle. Za ich samowolne rozporządzanie się cudzym życiem — i nagle przypomniał sobie rozjaśnioną, pewną siebie twarz Wiery Ganhart, kiedy wczoraj z taką przyjaźnią na niego patrzyła. „Są bardzo potrzebne! Bardzo ważne, żeby utrzymać was przy życiu!”

Ale Wega! Życzyła mu szczęścia i przy pomocy oszukaństwa skazać chciała na taki los?!

— I ty tak samo będziesz robić, co? — zerknął spode łba na Zoję. — To tak was w szkole uczą: „Najwyższą wartość posiada życie człowieka, bo żyje się tylko raz” — co? Z tego wynika, że trzymaj się życia za każdą cenę — co?

Ale nie, niepotrzebnie na nią skoczył. Rozumiała życie tak samo jak on: bez tego jakież może być życie! To przecież ona tymi nienasyconymi, jaskrawymi ustami dała mu tyle rozkoszy! Stoi tu koło niego i usta są, do dyspozycji. I dopóki jeszcze owe libido gorącym prądem szło po jego nogach aż do pasa, trzeba było śpieszyć się do jej ust.

— A coś o d w r o t n e g o mogłabyś mi zastrzyknąć?

— Wypędzą mnie stąd...

— Ale są takie zastrzyki?

— Te same hormony, ale męskie...

— Słuchaj, Złotończyk, chodźmy gdzie...

— Jużemy poszli. I przyszli. A teraz musimy iść z powrotem.

— Chodźmy do pokoju lekarzy!

— Nie można, obok sanitariuszka, ludzie chodzą... To dopiero wieczór...

— No to w nocy...

— Oleżek, nie należy się śpieszyć! W przeciwnym razie nie będziemy mieli j u t r z e j s z e g o d n i a . . .

— Jakież tam „jutrzejszy dzień”, jeżeli jutro zabraknie libido! Ale nie, odwrotnie, libido będzie, prawda? Libido będzie... No pomyśl dokąd pójść, koniecznie!

— Oleżek, trzeba przecież coś zostawić na później... Nie śpiesz się tak! Trzeba zanieść poduszkę z tlenem.

— Ach, prawda, zanieść poduszkę. Zaraz zaniemiemy...

— Zaraz zaniemiemy!

— Za-nie-sie-my... Za-raz...

Wchodzili po schodach, trzymając się nie za ręce, lecz za poduszkę napompowaną jak futbolowa piłka, i przy wchodzeniu poduszka natychmiast przekazywała im każdy ruch.

Więc było zupełnie tak, jak gdyby trzymali się za ręce.

A na półpiętrze, na łóżku postawionym w przejściu, gdzie w dzień i w nocy pętali się chorzy i zdrowi zawsze zajęci swoimi sprawami, siedział na pościeli żółty, wyschnięty człowiek o wąskiej piersi. Już nie kaszłał, tylko bił głową o podciągnięte kolana i, być może, zdawało mu się że bije o niewzruszoną ścianę.

Ten człowiek jeszcze żył, ale żywi ludzie już dla niego nie istnieli.

Może właśnie dziś miał umrzeć — brat Olega, bliźni Olega, porzucony, łaknący współczucia. Może, gdyby Oleg przysiadł na jego łóżko i spędził przy nim noc, może zdołałby mu ulżyć w tych ostatnich godzinach życia.

Ale oni tylko położyli przy nim poduszkę z tlenem i poszli dalej. Ostatnie łyki powietrza, poduszka skazanego na śmierć,

która była dla nich tylko pretekstem by zostać sam na sam i poznać swoje usta w pocałunkach.

Oleg wchodził po schodach, jak gdyby był przywiązany postronkiem do Zoji. Nie myślał o tym skazańcu, który został za nimi, chociaż sam był w podobnym stanie przed paroma tygodniami, i pewnie wróci do takiego stanu za pół roku; myślał wyłącznie o tej dziewczynie, o tej kobiecie, o tej babie, i jak ją namówić żeby zgodziła się być z nim sam na sam.

A smak kobiecych ust, dawno zapomniany, teraz niespodziewanie realny, tych ust wycelowanych do bólu — strumieniem młodej siły przebiegał przez jego ciało.

## 19.

### Z SZYBKOCIĄ ŚWIATŁA

Nie każdy swoją matkę nazywa mamusią — zwłaszcza przy obcych. Wstydzą się tak nazywać chłopcy, którzy mają ponad piętnaście lat, i mężczyźni przed trzydziestką. Ale trzech braci Zadyrków, Wadim, Borys i Jurij, nie wstydziło się słowa „mamusia”. Kochali ją za życia ojca, a gdy został rozstrzelany, pokochali jeszcze bardziej. Bracia byli zbliżeni do siebie wiekiem, podrastali jak równi sobie, zawsze czynni w szkole i w domu, nie skłonni do wałęsania się po ulicy, i nigdy nie sprawiali żadnych przykrości swojej owdowiałej matce.

Utrwalił się u nich taki zwyczaj, że matka co dwa lata prowadziła ich do fotografa. Zaczęło się od jakiegoś zdjęcia, gdy byli bardzo mali, a co dwa lata trzeba było sprawdzić różnicę. Z biegiem czasu matka robiła zdjęcia własnym aparatem i tak do rodzinnego albumu wchodziła fotografia za fotografią: matki i trzech synów. Zadyrkowa była jasną blondynką, a synowie smagli i czarni. Zapewne spadek po tym Turku, wziętym do niewoli, co później ożenił się z ich prababką, pochodzącą z Zaporozia.

Obcy nie zawsze odróżniali na zdjęciach trzech braci. Ale z każdą fotografią rośli i krzepili, przeganiali matkę, która niedostrzegalnie starzała się, choć trzymała się zawsze prosto przed obiektywem, dumna z tej żywej historii jej życia. Była lekarką, znaną w jej mieście, wiele ludzi żywiło do niej wdzięczność, przynoszono jej mnóstwo bukietów i pieczonych pierogów, ale nawet gdyby nic pożytecznego nie działała, to i tak wychowanie



takich trzech synów przez jedną kobietę wystarczało do stwierdzenia, że życia nie zmarnowała. Wszyscy trzej poszli do tego samego instytutu politechnicznego, starszy skończył geologię, średni elektrotechnikę, młodszy miał wkrótce skończyć architekturę i mieszkał razem z matką.

Aż tu wiadomość o chorobie Wadima. Już w czwartek chciała jechać do niego. W sobotę otrzymała depeszę od Doncowej: potrzebne jest złoto koloidalne. W niedzielę odpowiedziała telegraficznie, że jedzie w tym celu do Moskwy. Jest w Moskwie od poniedziałku, na pewno od dwóch dni rozbija się o audiencję u ministrów i innych ważnych osobistości, żeby za zasługi ojca (został w mieście jako inteligent skrzywdzony jakoby przez sowiecką władzę, i Niemcy rozstrzelali go za kontakty z partyzantami i przechowywanie rannych) uzyskać ze specjalnego funduszu koloidalne złoto dla syna.

Wadim uważał te starania, chociaż bezpośrednio nie miał z nimi nic wspólnego, za wstrętne i poniżające. Nie znosił żadnej siuchy, żadnego wykorzystywania zasług czy znajomości. Nawet to go dręczyło, że matka wysłała do Doncowej depeszę, uprzedzającą o jego przyjeździe. Tak bardzo pragnął żyć, ale nawet w obliczu strasznej śmierci na raka nie chciał korzystać z żadnych przywilejów. Zresztą Wadim, gdy przyjrzał się bliżej Doncowej, doszedł do wniosku że i bez mamusinej depeszy zajęłaby się nim tak samo starannie i poświęciłaby mu tyleż czasu. Tyle, że nie zawiadomiłaby o koloidalnym złocie.

Jeżeli matka wystara się o to koloidalne złoto, to naturalnie zaraz do niego przyleci. A jeżeli się nie wystara — także przyleci. Już napisał do niej w liście o brzoźowym grzybie — tak, o tym grzybie nazywanym c z a g ą — nie dlatego że uwierzył, ale żeby ukazać matce jeszcze jedną nadzieję ratunku i dać jej dodatkowe zajęcie. Wiedział, że jeśli dojdzie do rozpaczliwego stanu, pojedzie w góry do tego znachora prosić o korzeń z Issyk-Kulu. (Oleg Kostogłotow podszedł wczoraj do niego i przyznał się, że ustąpił babie i wylał lekarstwo, ale i tak było go za mało, więc dał mu adres starego znachora; a jeżeli znachor już siedzi, to Kostogłotow ustąpi Wadimowi z własnych zapasów).

Mama teraz żyje tylko tym, że starszy syn jest w niebezpieczeństwie. Uczyni wszystko co możliwe i jeszcze więcej, gotowa nawet pojechać na miejsce ekspedycji, chociaż Wadim ma tam swoją Gałkę. Dopiero teraz, po przeczytaniu tego i owego i po usłyszeniu o charakterze swojej choroby, Wadim zrozumiał że nowotwór powstał z taką szybkością właśnie na skutek matczynej, zbyt daleko posuniętej dbałości i przezorności. Od dzieciństwa miał na nodze dużą pigmentową plamę, matka jako dobry

lekarz najwidoczniej wiedziała, że istnieje niebezpieczeństwo przekształcenia się w złośliwą formę; zawsze znajdowała pretekst by badać plamę i kiedyś uparła się, żeby dobry chirurg zoperował go prewencyjnie. I właśnie tej operacji nie należało przeprowadzać.

Ale nawet jeżeli ten jego śmiertelny proces zaczął się od matki, Wadim nie potrafi zrobić jej zarzutu ani w oczy, ani zaocznie. To zbyt praktyczna postawa — ocenianie według wyników; bardziej ludzkie — oceniać według zamiarów. Byłoby niesprawiedliwie gniewać się na mamę z racji niedokończonych prac, przerwanych zainteresowań, niewykorzystanych możliwości. Przecież tego wszystkiego — zainteresowań, możliwości, entuzjazmu do pracy — nie byłoby w ogóle, gdyby nie było jego, Wadima. Istnieje — dzięki matce.

Człowiek posiada zęby — gryzie nimi, zgrzyta, zaciska je. Rośliny zębów nie posiadają, a jakże spokojnie rosną i jak spokojnie umierają!

Wadim przebaczył mamie, ale nie mógł przebaczyć okolicznościom! Nie chciał oddawać ani jednego centymetra kwadratowego swego epitelium. I zaciskał zęby w rozpacz.

Ach, jakże go zniszczyła ta przekłeta choroba! Jakże go podcięła w najbardziej doniosłej chwili!

Wadim jak gdyby już od samego dzieciństwa podejrzewał, że nie starczy mu czasu. Denerwował się, jeżeli przychodził ktoś zaproszony albo sąsiadka i w pustej paplaninie zabierała czas matce i jemu. Oburzał się, że w szkole wszystkie zbiórki — czy to chodziło o specjalną pracę, czy o wycieczkę, wieczorne przedstawienia bądź demonstrację — wyznaczane były na termin wcześniejszy o godzinę albo i dwie, ponieważ z góry zakładano że wszyscy na pewno się spóźnią. Nie znosił półgodzinnych wiadomości radiowych, ponieważ wszystko co w nich ważne i potrzebne można było zmieścić w pięciu minutach, a cała reszta to woda. Wściekało go, że gdy się szło do jakiegokolwiek sklepu, to w dziesięciu wypadkach na sto trafiało się na inwentaryzację, na obliczanie remanentu, albo na przyjmowanie towaru — i nigdy nie można było tego przewidzieć. Każda wiejska rada, każda pocztowa agencja na wsi może być zamknięta każdego roboczego dnia — a na odległość dwudziestu pięciu kilometrów nie można było tego przewidzieć.

Być może, ojciec zaszczepił w nim tę chciwość czasu. Ojciec również nie znosił bezczynności i Wadim dobrze zapamiętał jak nie raz, huśtając syna na kolanach, powtarzał: „Wadia! Jeżeli nie potrafisz wykorzystać jednej minuty, to zmarnujesz i całą godzinę, i cały dzień i całe życie!” Ale nie! Ten szatan — nie-

ugaszone pragnienie czasu — siedział w nim od małego dziecka, niezależnie od wpływu ojca.

Jeżeli zabawa z chłopakami stawała się nudna, natychmiast porzucał ich towarzystwo i odchodził, nie zwracając uwagi na drwiny. Jeżeli książka wydawała mu się mało treściwa, nie doczytywał jej do końca, odkładał, szukał czegoś bardziej solidnego. Jeżeli już z pierwszych zdjęć widział że film do niczego (a z góry nic o filmie nie wiadomo, umyślnie tak robią), to nie żałując wydanych pieniędzy, trząskając siedzeniem krzesła i wychodził, by ratować czas i nie zaśmiecać sobie głowy. Dręczyli go nauczyciele, którzy przez pierwsze dziesięć minut nudzili klasę prawieniem morałów, potem źle wykładali, nad jednymi kwestiami rozwodząc się ponad miarę, zanadto skracając inne, a lekcje do domu dyktowali już po dzwonku. Jakoś nie mogli pojąć, że uczeń może sobie zaplanować przerwę znacznie lepiej niż oni swój wykład.

A może nic nie wiedząc o wiszącym nad nim niebezpieczeństwie, już od dzieciństwa nosił je w sobie nieświadomie? Nie popełniwszy żadnej winy, od pierwszych lat życia był naznaczony piętnem tej pigmentowej plamy! Kiedy jako mały chłopiec tak bardzo oszczędzał czas i swoim skąpstwem zarażał młodszych braci, kiedy książki dla dorosłych czytywał przed pójściem do szkoły, a w szóstej klasie urządził w mieszkaniu laboratorium chemiczne, to już ścigał się z przyszłym nowotworem, ale ścigał się po omacku, nie wiedząc gdzie jest wróg. Za to straszna choroba wszystko wiedziała, skoczyła i wbiła kły w najbardziej decydującej dla niego chwili! Jak zmija! I nazwa jej pasująca do żmii — melanoblastoma.

Wadim nie zauważył kiedy się zaczęła. Stało się to podczas wyprawy w górach Ałtajskich. Najpierw pokazał się twardy guz, potem zaczęło go boleć, następnie otworzył się wrzód, nastąpiła pewna poprawa, znowu zaatakowane miejsce stwardniało, spodnie tak nacierały przy każdym ruchu, że prawie nie mógł chodzić. Ale nie napisał do matki i pracy nie rzucił, bo właśnie zbierał pierwsze zasadnicze materiały, z którymi koniecznie musiał pojechać do Moskwy.

Ekspedycja, do której należał, miała na celu badanie wód radioaktywnych i nikt od nich nie żądał poszukiwania złóż kruszcowych. Ale Wadim był czytany ponad swój wiek, a ponadto był dobrze otrząskany z chemią, której wielu geologów dobrze nie zna. Wadim przewidywał, czy może tylko przeczuwał, że trafił na trop nowej metody poszukiwania kopalin. Kierownik ekspedycji krzywił się na kierunek zainteresowań Wadima, kierownika interesowało wyłącznie wykonanie ustalonego planu.

Wadim poprosił o delegację służbową do Moskwy, kierow-

nik odmówił. To właśnie wtedy Wadim oświadczył, że jest chory, wziął świadectwo lekarskie i przyjechał do tutejszej przychodni. Postanowiono mu diagnozę i kazano natychmiast iść do kliniki, nie tracąc ani chwili czasu. Wadim wziął skierowanie i poleciał do Moskwy, by rozmówić się z profesorem Czeriegorodcewem. Wadim nigdy go nie widział, ale znał jego podręczniki i prace naukowe. Upředzono go, że Czeriegorodcew wysłucha tylko pierwszego zdania, jedno zdanie mu wystarczy by zdecydować czy warto dalej rozmawiać. Przez całą drogę do Moskwy Wadim układał w myśli to decydujące zdanie. Przedstawiono go Czeriegorodcewowi w drzwiach prowadzących do baru, w przerwie posiedzenia naukowego. Wadim wypalił wyuczone zdanie, profesor zawrócił, wziął go pod rękę i zabrał ze sobą.

W ciągu tej pięciominutowej rozmowy Wadimowi wydawało się, że stoi na rozszarpanych węglach. Trzeba było mówić bardzo szybko, bezzwłocznie odpowiadać na pytania, w dostatecznym stopniu zabłysnąć erudycją, ale nie mówić wszystkiego, zatrzymać dla siebie to co najważniejsze. Czeriegorodcew z miejsca wysunął mnóstwo kontrargumentów, z których jasno wynikało że radioaktywne wody stanowią oznakę pośrednią a nie zasadniczą, więc poszukiwanie złóż według radioaktywności to tylko daremna strata czasu. Ale to co mówił sprawiało wrażenie, że czeka aby Wadim go przekonał; zwlekał jeszcze minutę, po czym pożegnał się z Wadimem, nie doczekawszy się ostatecznego argumentu. Wadim zrozumiał, że najwidoczniej cały instytut moskiewski drecze dokoła tej samej sprawy, której on poświęcił tyle czasu i pracy, grzebiąc się w łańskich kamieniach.

Lepszego początku nie można było oczekiwać! Teraz była najlepsza okazja, by poświęcić się bez reszty tej pracy!

I oto właśnie teraz trzeba było iść do szpitala... I przyznać się matce. Wprawdzie mógłby pojechać do Nowoczerkaska, ale podobało mu się tutaj, a ponadto bliżej stąd do łańskich gór.

W Moskwie pochłaniał go nie tylko temat kruszców i radioaktywnych wód. Dowiedział się również, że melanoblastoma jest zawsze śmiertelna. Chory rzadko kiedy żyje jeden rok, najczęściej umiera po ośmiu miesiącach.

Podobnie jak to dzieje się z ciałem, które pędzi z szybkością większą od światła, c z a s i m a s a Wadima nabrały teraz zupełnie innych cech, niż u innych ciał i u innych ludzi: czas stał się pojemniejszy, masa — o większej sile przebijania. Rok mieścił się teraz w jednym tygodniu, dzień — w minucie. Śpieszył się naprawdę. W ciągu sześćdziesięciu lat spokojnego życia nawet dureń jest w stanie uzyskać doktorat naukowy. Ale w dwudziestym siódmym roku życia!

Dwadzieścia siedem lat to życie poety Lermontowa. Wadim wiedział, że jest trochę do niego podobny: niedużego wzrostu, czarny jak smoła, zgrabny, lekki, drobne dłonie, tyle że nie miał wąsów. Lermontow także nie chciał umierać. A jednak utrwalił się w naszej pamięci — i to nie na sto lat, na zawsze!

Obok, na tym samym szpitalnym łóżku, przyczała się pantera śmierci. Wadim jako intelektualista powinien był znaleźć odpowiedni sposób — jak urządzić sobie życie z taką sąsiadką... Jak twórczo przeżyć te ostatnie miesiące, jeżeli zostały tylko miesiące? W jego życiu zjawiał się nowy czynnik — śmierć, i trzeba go było przeanalizować. Uczynił to i zauważył, że jakby już zaczyna się do niej przyzwyczajając, a nawet wchodzić z nią w komitywę.

Rozumowanie najbardziej fałszywe polegałoby na stwierdzeniu, że traci zbyt wiele. Gdyby żył długo, mógłby osiągnąć szczęście, zwiedzić i poznać niejedno, wiele zdziałać. Rozumowanie słuszne — zgodzić się ze statystyką, że ludzie umierają również młodo. Za to zmarły młodo pozostaje w pamięci ludzkiej młodo na zawsze. Natomiast ten, co zapłonął jasnym płomieniem przed śmiercią, przechodzi w wieczność. W swoich rozmyślaniach, w ciągu ostatnich tygodni, Wadim doszedł do ważnego, chociaż na pierwszy rzut oka paradoksalnego wniosku: oto człowiek utalentowany łatwiej rozumie i przyjmuje śmierć, niż człowiek nietwórczy. Taki koniecznie wymaga długiego życia, chociaż już Epikur zauważył że głupiec, nawet jeśli mu ofiarować wieczność, nie będzie wiedział co z nią robić.

Oczywista przykro myśleć, że za trzy, cztery lata w tym stuleciu wszelkich wynalazków na pewno znajdą skuteczny środek na melanoblastomę. Ale Wadim postanowił w ogóle nie marzyć o wyleczeniu się, nie marnować na to nawet nocnych bezsennych chwil, lecz skupić się, pracować i zostawić po sobie nową metodę poszukiwania rud.

Żył nadzieję że umrze spokojnie, jeżeli w ten sposób uprzędzi swoją przedwczesną śmierć.

W swoim dwudziestosześcioletnim życiu nie zaznał niczego, co by go bardziej wypełniało, nasycalo i dawało mu większe poczucie harmonii, niż świadomość dokonywania pożytecznej pracy. Więc najrozumniej będzie przeżyć ostatnie miesiące w identyczny sposób.

I w takim właśnie nastroju entuzjazmu w stosunku do pracy Wadim wszedł na szpitalną salę, niosąc pod pachami kilka książek.

Obawiał się, że w szpitalu zastanie wroga numer jeden w postaci radia z głośnikiem; Wadim był zdecydowany walczyć z nim wszystkimi środkami — legalnymi i nielegalnymi. A więc naj-

pierw próbować przekonać sąsiadów, potem uszkadzać przewody, a w ostateczności wyrwać kontakt ze ściany. Wadim uważał, że obowiązujące nadawanie audycji radiowych przez głośnik nie jest, jak się to u nas nie wiadomo dlaczego przyjęło, dowodem umasowienia kultury, lecz przeciwnie — jest dowodem zacofania kulturalnego. A także zachętą do umyślowego lenistwa — ale Wadimowi nie udawało się przekonać prawie nikogo. Uważał, że to nieustanne bicie w bęben, nadawanie na przemian informacji o które nie prosiłeś i muzyki których nie wybierałeś (do tego niezgodnej z nastrojem słuchacza), stanowiło kradzież czasu i osłabianie ducha; to dobre dla ludzi gnuśnych, niezdolne dla ludzi pełnych inicjatywy. Ów głupiec, o którym mówił Epikur, na pewno po otrzymaniu w darze wieczności nie mógłby jej spędzić bez słuchania radia.

Po wejściu na salę szpitalną Wadim z przyjemnym zdziwieniem stwierdził, że radia nie ma! Nie było go również na drugim piętrze. To niedopatrzenie wynikało stąd, że z roku na rok zbierano się by przenieść przychodnię do innego, lepiej urządzonego gmachu, a tam już na pewno będzie scentralizowana radiofonizacja.

Obawiał się Wadim również innego możliwego wroga: ciemności, zbyt wczesnego gaszenia światła, zbyt późnego zapalania, ciemnego kąta oddalonego od okna. Ale wspaniałomyślny Diomka ustąpił mu miejsce przy oknie, i Wadim od pierwszego dnia przystosował się do warunków: kładł się razem ze wszystkimi, budził się wcześniej, o świtaniu, i zaczynał pracę w tych najlepszych godzinach, gdy panowała zupełna cisza.

Trzecim wrogiem mogła okazać się zbyt ożywiona gadanina na sali. Istotnie gadano sporo. Ale na ogół mieszkańcy tej sali dość spodobali się Wadimowi, przede wszystkim dlatego, że nie robili wielkiego hałasu.

Największą sympatię budził w nim Egenberdiejew: prawie zawsze milczał i wszystkich pozdrawiał prawdziwie epickim uśmiechem, rozsuwając na całą szerokość grube usta i policzki.

Mursalimow i Achmadżan także zachowywali się przyjemnie, bez żadnego wścibstwa. Kiedy mówili między sobą po uzbecku, robili to dyskretnie, spokojnie i nie przeszkadzali Wadimowi. Mursalimow sprawiał wrażenie mądrego starucha. Wadim spotykał w górach takich jak on. Raz tylko poróżnił się o coś z Achmadżanem i spierał się z nim dość gniewnie. Wadim poprosił, żeby mu przełożono o co chodzi. Otóż Mursalimowa gniewał pomysł nadawania nowych imion, łączenia kilku słów w jedno. Twierdził, że istnieje tylko czterdzieści prawdziwych imion ustanowionych przez Proroka, wszystkie inne są sfalszowane.



Achmadzan był niezłym chłopakiem. Jeśli się go poprosiło mówić ciszej, zawsze posłuchał. Kiedyś Wadim opowiadał o życiu e w e n k ó w i mocno podzielał na wyobraźnię Achmadzana. Przez całe dwa dni zastanawiał się nad ich życiem, całkowicie dla niego niepojętym, a potem zadawał Wadimowi nagłe pytania:

— A powiedz, jakie oni mają umundurowanie?

Wadim zbywał go byle czym i znowu Achmadzan zagłębiał się w wielogodzinne rozmyślenia. I znowu podchodził kulejąc, i pytał:

— A jaki u nich regulamin, u tych ewenków?

A następnego dnia rano:

— Powiedz, a jakie im zadania postawiono?

Odpowiedź, że ewenkowie „żyją, ot tak, zwyczajnie”, nie trafiała mu do przekonania.

Sibgatow, który często przychodził grać z Achmadzanem w warcaby, także był człowiekiem przyjemnym i uprzejmym. Widać było, że nie ma żadnego wykształcenia, ale jakoś rozumiał że głośno rozmawiać nie należy i nie ma żadnej potrzeby. Kiedy wdawał się w spór z Achmadzanem, mówił nawet wtedy uspokajającym tonem.

— Czyż tu macie prawdziwe winogrona? Czyż tu macie prawdziwe melony?

— A gdzie są prawdziwe? — irytował się Achmadzan.

— Gdzie-ee...? Na Krymie... Ty byś tam popatrzył...

Dioma był też dobrym chłopcem, nie było w nim nic z błagiera. Dioma myślał, uczył się, wszystko chciał dobrze zrozumieć. Co prawda, żadne większe zdolności nie rozjaśniały jego twarzy, jakoś dziwnie chmurzył się gdy miał do czynienia z niespodziewaną opinią. Nauka przyjdzie mu z trudem, ale z takich powolnych chłopców wyrastają niekiedy siłacze.

Rusanow również nie denerwował Wadima. To był typowy solidny pracownik, ale z tych co to nie potrafią wymyślić prochu. Jego wypowiedzi i opinie były w zasadzie słuszne, tyle że nie umiał ich zręcznie wyłożyć, widać było że się ich nauczył na pamięć.

Kostogłotow początkowo nie spodobał się Wadimowi. Robił wrażenie ordynarnego krzykacza. Ale to wrażenie okazało się powierzchowne, nie był zarozumiały, miał poczucie koleżeńskości, a tylko życie ułożyło mu się nieszczęśliwie i stąd stałe podrażnienie. Zapewne sam był sobie winien, jego życiowe niepowodzenia wynikły z niełatwego charakteru. Stan jego zdrowia poprawiał się i Kostogłotow mógłby jeszcze urządzić się w życiu, gdyby się bardziej koncentrował i wiedział czego chce. Przede wszystkim brakowało mu koncentracji, co powodowało że tracił bezcelowo czas, rzucał się na wszystkie strony, bezmyślnie wło-



czył się po ogrodzie albo palił, zabierał się do czytania, przestawał, no i zanadto latał za spódniczkami. Nie potrzeba było wielkiej spostrzegawczości by odgadnąć, że coś go łączy z Zoją, a także z Wierą Ganhart.

Co prawda obydwie były bardzo miłe, ale Wadim w żadnym wypadku nie zająłby się dziewczynami, znajdując się u progu śmierci. W ekspedycji czekała Gałka i marzyła o wyjściu za niego za mąż, ale i do tego nie miał już prawa; niewiele będzie miała z niego pożytku.

Wadim już żadnej się nie dostanie.

Taka jest ocena i trzeba ją zapłacić do końca. Gdy człowiekiem owładnie jakaś namiętność, wyklucza wszystkie inne.

Kto Wadima denerwował na sali szpitalnej, to Poddujew. Zawzięty, silny chłop i nagle skapcaniał, poddał się jakimś klerykalno-tołstojowskim sztuczkom. Wadim tego nie znosił, irytowały go wszelkie bajeczki o pokorze i miłości bliźniego, że trzeba się niby poświęcać i z rozdziawioną gębą wypatrywać gdzie by przyjść z pomocą pierwszemu lepszemu spotkanemu na drodze. A ten spotkany może akurat okazać się śmierzącym leniem, albo zwykłym złodziejaszkiem. Taka nieokreślona, bezpłciowa pseudo-prawda przeczyła w stu procentach młodemu dynamizmowi Wadima, jego płomiennej niecierpliwości, jego dążeniu do jednej eksplozji, potężnej jak wybuch dynamitu. Już się pogodził, już się przygotował, żeby oddać całego siebie — nie w drobiazgach, nie idąc niepewnym krokiem, lecz wybuchem bohaterskiego czynu — na rzecz całego narodu, na rzecz całej ludzkości!

Więc ucieszył się, że Poddujew wyszedł ze szpitala i na jego łóżko przeniósł się płowowłosy Federau, gnieźdzący się przedtem w kącie sali. To był rzeczywiście spokojny człowiek, spokojniejszego tu nie było. Zdarzało się że przez cały dzień nie odezwał się ani jednym słowem, leżał i wpatrywał się smutnie w jeden punkt. Wielki dziwak z tego faceta! Był to idealny sąsiad dla Wadima, ale już pojutrze, w piątek, mieli go zabrać na operację.

Długo milczeli, ale w końcu zgadało się o różnych chorobach i Federau powiedział, że swego czasu dostał zapalenia opon mózgowych i omal nie umarł.

— A co? Od uderzenia?

— Nie, przeziębilem się. Rozgrzany byłem zanadto, jechałem samochodem z fabryki do domu i zawiąło mi głowę. Zapalenie opon mózgowych, nawet na pewien czas wzrok utraciłem.

Opowiedział spokojnie, ledwie uśmiechając się i nie robiąc z tego żadnej strasznej tragedii.

— A to przegrzanie się od czego? — zapytał Wadim, ale

już zaglądał do książki, czas nie stał na miejscu. Gdy mowa o chorobach, na szpitalnej sali zawsze znajdują się słuchacze. Federau poczuł na sobie wzrok Rusanowa, bardzo dziś łagodny, i opowiadał dalej właściwie już tylko jemu.

— Zdarzyło się, że kocioł został uszkodzony i trzeba było przeprowadzić skomplikowane spajanie. Ale jeżeli wypuścić parę i kocioł ochłodzić, a potem zacząć od początku — na to trzeba całej doby. Dyrektor w nocy przysłał po mnie wóz i powiada: „Federau! Żeby nie zatrzymywać pracy, włóż ochronne ubranie i idź do kotła. Pójdiesz?” „Cóż, powiadam, jeżeli trzeba — pójdę!” A czasy były przedwojenne, plan przeładowany — trzeba zrobić. Wlażem do kotła i zrobiłem. Półtorej godziny... A jakże odmówić? Na honorowej tablicy w fabryce zawsze byłem na pierwszym miejscu.

Rusanow patrzył i słuchał z aprobatą.

— Powiedziałbym — pochwalił — że to było zachowanie się godne bolszewika.

— Przecież... jestem członkiem partii — Federau uśmiechał się jeszcze skromniej i łagodniej.

— Byliście! — poprawił Rusanow. (Tylko ich pochwał, zaraz biorą zanadto na serio).

— I jestem nadal — zupełnie cicho powiedział Federau.

Rusanow znajdował się dziś w takim nastroju, że nie miał głowy do zastanawiania się nad sytuacją innych, spierania się, ani przywoływania ludzi do porządku. Jego własna sytuacja była wręcz tragiczna. Ale skoro ktoś mówi oczywistą bzdurę, trzeba go osadzić na właściwym miejscu. Geolog całkowicie zagłębił się w swoich książkach. Wiedząc że inni nadstawią uszy i usłyszą, Rusanow odezwał się słabym głosem, ale bardzo wyraźnie:

— To niemożliwe. Przecież jesteście Niemcem.

— Tak — potwierdził Federau, jak gdyby skruszonym tonem.

— No więc?

Niby wszystko jasne, ale tamten jeszcze się nie poddawał.

— Kiedy was zesłali, powinni byli odebrać legitymacje partyjne.

— Nie odebrali — Federau zaprzeczał ruchem głowy.

Rusanow skrzywił się, mówienie przychodziło mu z najwyższym trudem.

— To zwyczajne przeoczenie, śpieszyli się, było mało czasu, wszystko się poplątało. Sami powinniście teraz złożyć legitymację.

— Ależ nie! — Federau był bardzo nieśmiały, ale tym razem uparł się. — Od czternastu lat mam legitymację, jakaż tam omyłka! Zebrali nas w rejonowym Komitecie, tam wyjaśnili:

pozostajecie nadal członkami partii, odróżniamy was od ogólnej masy. Meldowanie się w komendaturze swoją drogą, a płacenie składek członkowskich swoją. Kierowniczych stanowisk zajmować nie wolno, a na stanowiskach szeregowych macie pracować wzorowo. I to wszystko.

— No nie wiem — westchnął Rusanow. Powieki opadały same, mówił z wielkim trudem.

Przedwczorajszy zastrzyk nic nie pomógł — opuchlina nie zmniejszyła się i była nadal twarda, żelazny guz uciskał pod szczęką. Mocno osłabiony, leżał w oczekiwaniu na trzeci zastrzyk i przewidywał ponowne męczące majaczenia. Umówił się z Kapą, że po trzecim zastrzyku pojedzie do Moskwy, ale Paweł Nikołajewicz już stracił energię i wolę walki, dopiero teraz zdał sobie sprawę, co znaczą słowa „skazany na zagładę”. Trzy zastrzyki czy dziesięć, tu czy w Moskwie, ale jeżeli lekarstwo nie działa na opuchlinę to nie ma mowy o jej zniknięciu. Prawda, opuchlina to jeszcze nie śmierć: mogła zostać, zrobić z niego inwalidę, potwora, chorego człowieka, ale aż do wczorajszego dnia Paweł Nikołajewicz nie łączył opuchliny z myślami o śmierci. Dopiero wczoraj ten okropny Ogłojed, który przeczytał jakieś książki medyczne, zaczął komuś tłumaczyć że taka opuchlina to źródło zarazy, rozprzestrzeniające truciznę, i dlatego nie wolno jej tolerować.

Paweł Nikołajewicz poczuł słabość w dołku i zrozumiał, że nie jest — jak mu się wydawało — poza śmiertelnym niebezpieczeństwem. Śmierć pozostawała niemożliwa, ale równocześnie należało się z nią liczyć. Wczoraj własnymi oczami widział jak na pierwszym piętrze na głowę chorego, wyniesionego z sali operacyjnej, naciągnięto prześcieradło. Teraz dopiero zrozumiał zwrot, często używany przez sanitariuszki: „Temu to już czas pod prześcieradełko”. A więc tak! — o śmierci mówi się że czarna, a to tylko droga która do niej prowadzi jest mroczna, sama zaś śmierć jest biała.

Naturalnie Rusanow dobrze wiedział, że wszyscy ludzie są śmiertelni, więc i on kiedyś będzie musiał zakończyć życiowe urzędowanie. Ale to kiedyś, a nie zaraz, natychmiast! Kiedyś nie będzie strasznie umierać — strasznie jest umrzeć teraz! Dlaczego? No bo jakże: a co potem? Jakże tak beze mnie?

Było mu niezmiernie żal samego siebie. Trudno było sobie wyobrazić, że oto takie dynamiczne, celowo zorganizowane i — można powiedzieć — piękne życie nagle zostanie utracone kamieniem tego obcego nowotworu, niedopuszczalnego, nieobjętego rozumem.

Biała, obojętna śmierć w anonimowej postaci, odkrytej prześcieradłem, zbliżała się do niego ostrożnie, bez najmniejszego szmeru, w miękkich pantoflach, a Rusanow niespodziewanie zaskoczony nie tylko nie był w stanie z nią walczyć, lecz w ogóle nie mógł o niej myśleć, powziąć decyzji, ani wydać opinii.

Przyszła nielegalnie i nie było ani przepisu ani instrukcji, które mogłyby stanąć w obronie Pawła Nikołajewicza.

Osłabł tak bardzo, że przestał reagować z popędliwością wzorowego obywatela na wszystko, co działo się na szpitalnej sali. Dziś przyszła laborantka, żeby ułożyć spis wyborczy — chorych również przygotowywali do wyborów. Zażądała paszportów i wszyscy je wręczali (niektórzy mieli zaświadczenia z kołchozu), tylko jeden Kostogłotow nie miał żadnych papierów. Naturalnie laborantka zdziwiła się i w dalszym ciągu żądała paszportu, a ten zuchwalec jeszcze podniósł szum, że trzeba mieć odrobinę wiedzy politycznej, że zesłańcy dzielą się na różne rodzaje i niech laborantka sprawdzi telefonicznie, że — powiada — zgodnie z prawem może głosować, lecz ostatecznie wcale mu na głosowaniu nie zależy.

Dopiero teraz Paweł Nikołajewicz zdał sobie sprawę do jakiej dostał się spelunki, kiedy przyszedł do tego szpitala! W jakim towarzystwie musi przebywać! Ten łajdak ośmielał się nie pozwalać na gaszenie światła, samowolnie otwierał lufcik, przed naczelnym lekarzem udawał że pochodzi z ziem ugornych a nawet pierwszy, uprzedzając Pawła Nikołajewicza, chciał brać do rąk świeżą, niepokalaną gazetę! Paweł Nikołajewicz miał dobre przecucie co to za ananas!

Ale w tej chwili mętna fala obojętności ogarnęła Rusanowa do tego stopnia, że nie miał chęci nawet na demaskowanie Ogłojeda. I nawet ta podła spelunka stawała się obojętna.

Przed oczami stało widmo w narzuconym prześcieradle.

Z hallu dobiegł ostry, rażący głos sanitariuszki Nelli; tylko ona miała taki głos w całej klinice. To nie był krzyk, a słysząc ją było na dwadzieścia metrów.

— Słuchaj, a lakierki ile kosztują?

Odpowiedzi nie było słysząc i znowu odezwała się Nella:

— Ech, jakby ja takie nałożyła, dopiero by faceci na mnie naskakiwali!

Druga sanitariuszka coś odpowiedziała i Nella częściowo zgodziła się z jej racją.

— Ano tak! Kiedym kapronowe pantofle pierwszy raz włożyła, to aż mnie zatkało. A ścierwo Siergiej rzucił zapalną i wypalił dziurę.

I po chwili weszła na salę ze szczotką i zapytała:

— Chłopcy, powiadają że wczoraj tu szorowali i myli, to chyba dzisiaj można po łebkach, co? Prawda! Nowina! — przypomniała sobie patrząc na Federaua, i oświadczyła radośnie: — A ten wasz wyciągnął kopyta! Kiteę odwalił!

Chociaż taki opanowany, Henryk Jakubowicz wzruszył ramionami, zrobiło mu się nieswojo.

Nie wszyscy zrozumieli słowa Nelli.

— No ten kudłaty! — wyjaśniła. — Ten do połowy pyska okręcony bandażem! Wykopyrtnął się wczoraj na dworcu, przy kasie. Właśnie go przywieźli na sekcję.

— Boże! — żalosnym głosem powiedział Rusanow. — Towarzyszko sanitariuszko, jesteście niesłuchanie nietaktowna! Po cóż rozpowszechniać ponure wiadomości! Lepiej byście opowiedzieli coś wesołego.

Na sali zapadła cisza. Efrem ciągle mówił o śmierci i sprawiał wrażenie skazańca, to prawda. Tu między łózkami zatrzymywał się i przekonywał wszystkich, cedząc słowa:

— Tak że... kie-eepskie nasze sprawy!

Ale nie byli obecni przy ostatniej chwili Efrema i w ich pamięci pozostał jako człowiek żywy. Teraz trzeba było sobie wyobrazić że Efrem, który jeszcze wczoraj wydeptywał deski podłogi, chodził między nimi, leży w kostnicy przecięty skalpelem wzdłuż, niczym piękny strąk.

— Owszem, mogę opowiedzieć coś wesolutkiego — spłaczanie się od śmiechu! Tyle że nieprzyzwoicie wypadnie...

— Nie szkodzi, zaczynaj! — prosił Achmadżan. — Zaczynaj!

— Prawda! — znowu przypomniała sobie Nella. — Wołają cię do rentgena, szczeniaczku! Ciebie! Ciebie! — wskazywała na Wadima.

Wadim położył książkę na okiennym parapecie. Ostrożnie, opierając się na rękach, spuścił najpierw chorą nogę, potem zdrową. Poszedł ku drzwiom zgrabny jak baletmistrz, tyle że ta spuchnięta, lekko kulejąca noga.

Usłyszał wiadomość o śmierci Poddujewa, ale nie wykrzesał w sobie współczucia. Poddujew nie był człowiekiem wartościowym społecznie, jak i ta bezczelna sanitariuszka. Wartość ludzkości polega mimo wszystko nie na zwiększającej się ilości, lecz na dojrzałej jakości.

Weszła laborantka z gazetą.

Za nią szedł Ogłojed. Zerknął na dziennik.

— Mnie! Mnie! — słabym głosem poprosił Paweł Nikołajewicz, wyciągając rękę.

Laborantka wręczyła mu dziennik.

Nawet bez okularów zauważył, że na całej szerokości kolum-

ny widnieją wielkie tytuły i fotografie. Usiadł, wsparty o poduszki, i nałożył okulary. Tak jak przypuszczał, było to sprawozdanie z zakończenia sesji Najwyższego Sowietu: zdjęcia prezydium i sali, oraz grubym drukiem — ostatnie doniesie postanowienia.

Tytuły krzyczały ze szpałt, więc nie trzeba było, jak kiedyś indziej, wyszukiwać drobnych informacji i domyślać się ich ważkiego sensu.

— Co?? Co??? — Paweł Nikołajewicz nie mógł się powstrzymać, chociaż nie zwracał się do nikogo i nie było rzeczą właściwą okazywać głośno zdziwienie i rzucać takie pytanie.

Zaraz na pierwszej stronie tłusty druk obwieszczał, że przewodniczący Rady Ministrów, G. M. Malenkow, poprosił o zwolnienie ze stanowiska, i że Najwyższy Sowiet jednogłośnie zaakceptował jego prośbę.

Tak zakończyła się sesja, od której Rusanow oczekiwał wyłącznie zatwierdzenia budżetu!

Oślabł zupełnie, gazeta wypadła mu z rąk. Nie mógł czytać dalej. Nie rozumiał po co to zrobili. Nie rozumiał co oznacza instrukcja podana do powszechnej wiadomości. Rozumiał tylko jedno — to zbyt raptowne, zbyt gwałtowne!

Jak gdyby gdzieś na niezmiernej głębokości z głuchym hukiem warstwy geologiczne poruszyły się w swoich łożyskach i od tego ruchu zatrzęsło całym miastem, szpitalem i łóżkiem Pawła Nikołajewicza.

Ale lekarka Ganhart już szła ku niemu w świeżo wyprasowanym kitlu, ze strzykawką w dłoni i z dodającym otuchy uśmiechem na twarzy. Szła równo, płynnie i wcale nie zauważyła tego wstrząsu, od którego zachwiała się podłoga i cała sala.

— No to zrobimy zastrzyk! — zapowiedziała życzliwie.

Kostogłotow już ściągnął gazetę z nóg Rusanowa. Także od razu dojrzał i przeczytał.

Przeczytał i wstał. Nie mógł spokojnie usiedzieć.

Również i on nie rozumiał dokładnie całego znaczenia tej wiadomości. Ale jeżeli przedwczoraj zmienili w całości skład Sądu Najwyższego, a dziś premiera, wniosek był tylko jeden — Historia szła wielkimi krokami!

To były kroki Historii i nie podobna było myśleć i sądzić, że idą ku gorszemu.

Jeszcze przedwczoraj powstrzymywał rękami serce wyrwywające się z piersi i zabraniał sobie, nie chciał wierzyć, nie chciał żywić żadnej nadziei!

Ale minęły dwa dni i ponownie cztery potężne akordy Beethovena uderzyły jak grzmoty w napiętą membranę nieba.

Pacjenci spokojnie leżeli w swoich łóżkach — i nie słyszeli.

Wiera Ganhart spokojnie wprowadzała do żyły zastrzyk embichiny.

Kostogłotow zerwał się i wybiegł na spacer.

Byle w przestrzeń!

## 20.

### WSPOMNIENIA O URODZIE ŻYCIA

Nie, dawno zakazał sobie dopuszczać do serca nadzieję! Raz na zawsze odpędził precz wiarę i radość!

To tylko w pierwszych latach odsiadki wyroku każdy nowicjusz żywi nadzieję, gdy go wywołują z celi z rzeczami, że to zaproszenie na wolność. Każdy szept o spodziewanej amnestii brzmi dla niego jak trąby archanielskie. Wywołają go z celi, przeczytają jakiś paskudny papierek i wepchną do innej celi, o piętro niżej, gdzie jeszcze ciemniej, zaś powietrze jednakowo ciężkie do oddychania. Amnestia przekładana jest na inny termin — od rocznicy Zwycięstwa do rocznicy Rewolucji, a potem do następnej sesji Najwyższego Sowietu, amnestia pęka jak nadęty pęcherz, albo stosuje się do złodziejasków, oszustów, dezerterów, a nie dotyczy tych którzy bili się na wojnie i cierpieli.

Więc te komórki serca, które stworzone zostały przez przyrodę dla radości, obumierają bo już nie są potrzebne. I te zakamarki, w których gnieździ się wiara, z roku na rok pustoszeją i zamierają.

Tyle razy łudził się, tyle razy miał wyjść na wolność i wrócić do domu, że czego teraz jedynie pragnął, to wrócić na kochane miejsce swego zesłania, do najmilszego Usz-Tereku. Tak, najmilszy — to dziwne, ale tak właśnie określał ten zakątek, on, zesłaniec przebywający w tym szpitalu, w tym dużym mieście, w skomplikowanie urządzonym świecie, do którego nie umiał, a być może nawet nie chciał się przystosować.

Usz-Terek znaczy trzy topole. Tak się ta miejscowość nazywa, ponieważ zachowały się tam trzy bardzo stare topole, widoczne w stepie z odległości dziesięciu kilometrów, a nawet z bardziej daleka. Stoją tuż obok siebie. Nie są wysmukłe, jak zazwyczaj topole, a nawet są trochę krzywe. Kto wie, może mają już po czterysta lat. Osiągnąwszy swoją wysokość, przestały rosnąć wwyż, a za to rozrosły się niezmiernie na szerokość i utworzyły cienistą kopułę nad głównym a r y k i e m, czyli kanałem iryga-



cyjnym. Powiadają, że w aule było więcej takich drzew, ale w roku 1931 zostały wycięte. I więcej topole już nie chciały się przyjąć. Pionierzy wielokrotnie próbowali sadzić — i nic. Za każdym razem kozy ogryzały korę na młodych pędach. Tylko amerykańskie klony przyjęły się wzdłuż głównej ulicy, przed komitetem rejonowym.

Czy należy najbardziej kochać to miejsce na ziemi, gdzie wylazł na świat jako wrzeszczący dzieciak, który nie zdaje sobie z niczego sprawy, nawet z tego co widzi i słyszy? Czy też to miejsce gdzie ci powiedzieli po raz pierwszy: — Dobra, możecie iść bez konwojenta! Iść samodzielnie!

Pierwsza noc na połowicznej wolności! Jeszcze miała go na oku komendantura, jeszcze go nie puszczali do osiedla, ale pozwolili spać pod okapem na sianie na podwórku przylegającym do gmachu MWD. Przez całą noc nieruchome konie cicho chrupały siano — i nie można było sobie wyobrazić przyjemniejszej muzyki.

Oleg nie mógł zasnąć aż do północy. Ubita ziemia podwórka była biała od księżycowej poświaty — zaczął chodzić po podwórku na ukos jakby nagle oszalał. Nie było żadnych wieżyczek strażniczych, nikt na niego nie patrzył — potykając się ze szczęścia na nierównościach gruntu, chodził z głową zadartą do góry, z twarzą wpatrzoną w białe niebo, i ciągle gdzieś szedł, jak gdyby bał się spóźnić, jak gdyby miał wejść nazajutrz nie w ubogi, zapadły aul, lecz w rozległy, triumfalny świat. Ciepłe powietrze wczesnej południowej wiosny było wypełnione hałasem; jak nad wielką, szeroko rozbudowaną stacją przez całą noc nawołują się lokomotywy, tak przez całą noc aż do rana, ze wszystkich podwórek i obór, trąbiły osły i ryczały wielbłądy — chciwie, triumfalnie, dając znać o swej namiętności, o pożądaniu, o stale odradzającym się życiu. I ten namiętny ryk łączył się ściśle z tym, co kotłowało się w piersi Olega.

Swoimi własnymi nogami! „Zabieraj pościel i idź!”

Więc miejscowość, gdzie spędził taką noc, musiała ci się wydać najprzyjemniejsza ze wszystkich!

W tę noc znowu wierzył, znowu odzyskał nadzieję, choć już zdążył się od niej odzwycząić.

Po wyjściu z obozu na zesłanie trudno było nowe warunki uznać za okrutne, chociaż i tu przy dzieleniu wody dochodziło do bójek i jeden drugiego rąbał motyką po nogach. Życie na zesłaniu było znacznie swobodniejsze, lżejsze, bardziej urozmaicone. Ale i tu nie brakowało okrucieństwa, nie łatwo było zapuścić korzenie w ziemię i utrzymać roślinę przy życiu.

Należało tak wykombinować, żeby komendant nie wysłał w głąb pustkowia o sto kilkadziesiąt kilometrów dalej. Trzeba było znaleźć dach nad głową, ulepiony z gliny i słomy, i zapłacić gospodyni, chociaż płacić nie było czym. Trzeba było kupować codziennie chleb i od czasu do czasu zajrzeć do stołówki. Trzeba było znaleźć jakąś pracę, a po siedmiu latach machania oskarżeniem nie bardzo się chciało chwytać za motykę i pracować przy kanałach irygacyjnych. W osiedlu nie brakowało wdów, posiadaczek lepianek i ogrodów a nawet i bydła rogatego, jak najbardziej skłonnych do zawarcia małżeństwa z samotnym zesłańcem, ale znowu nie było chęci na natychmiastowe zaprzęgnięcie się w małżeńską niewolę: przecież życie nie kończyło się, lecz jak gdyby zaczynało.

Przedtem w obozie łagiernicy obliczali ilu mężczyzn brak na wolności, i byli przekonani że wystarczy odzepić się od konwojenta, a już pierwsza spotkana kobieta będzie twoją. Wydawało się, że kobiety żyją samotnie, opłakują swoich mężczyzn i o niczym innym nie myślą. W osiedlu było mnóstwo dzieci, kobiety miały swoje własne życie, i ani wdowy, ani dziewczyny nie chciały na wiarę, lecz koniecznie w małżeńskim stadle, uczciwie, a potem budować domek na oczach wszystkich mieszkańców. Obyczaje, panujące w Usz-Tereku, należały jeszcze do ubiegłego stulecia.

Już od dawna nie ma przy Olegu żadnych konwojentów, a jednak wciąż żyje bez kobiety, jak w latach spędzonych za kolczastym drutem, chociaż tyle w osiedlu urodziwych, czarno-włosych Greczynek i pracowitych, jasnowłosych Niemek.

W skierowaniu na zesłanie napisane było, że na wieki. Oleg przyjął to do wiadomości, poddał się, zrozumiał, że niczego innego nie wolno się spodziewać. A jednak coś go powstrzymało przed ożenkiem w Usz-Tereku. Powalono Berię — padł z hukiem dętego bałwana — wszyscy oczekiwali radykalnych zmian, ale te zmiany nadchodziły powoli i nie miały większego znaczenia. Oleg odszukał swoją dawną przyjaciółkę, przebywającą na krasnojarskim zesłaniu, i nawiązał z nią korespondencję. Pisał listy do starej znajomej w Leningradzie i przez szereg miesięcy nosił pod sercem utajoną nadzieję — a nuż przyjedzie do niego! (Ale która kobieta rzuci leningradzkie mieszkanie i przeniesie się do takiej dziury?!) Przyszła opuchlina, odgrodziła go od wszystkiego nieustannym, nieznośnym cierpieniem, i kobiety straciły znaczenie, podobały się już tylko tak jak podobają się dobrzy ludzie.

Oleg połapał się szybko, że życie na zesłaniu ma parę różnych aspektów. Z jednej strony przygnębienie, doskonale znane wszystkim poczynając od Owidiusza, jeżeli nie z doświadczenia,

to z literatury (miejscowość, która się nie podoba: ludzie nie tacy, z jakimi pragnąłbyś obcować); z drugiej strony — pozytywy, z których mało kto zdaje sobie sprawę: brak jakichkolwiek wątpliwości, brak odpowiedzialności za własne losy. Zesłanie nie stanowiło nieszczęścia, nieszczęśliwi byli ci co otrzymywali paszporty według fatalnego 39 artykułu; ci musieli ciągle gdzieś jeździć, szukać pracy, gdzieś przysiąść i znowu wyjeżdżać, plując sobie w brodę po każdym popełnionym błędzie.

Natomiast zesłaniec przyjeżdżał na miejsce przeznaczenia pełnoprawnie: nie on to miejsce wybierał i nikt go stąd wypędzić nie może. Władza zdecydowała za niego raz na zawsze, już nie bał się że może stracić lepszą posadę, nie zabiegał o wygodniejsze rozwiązanie. Wiedział, że ma przed sobą tylko jedną jedyną drogę i to go podtrzymywało na duchu.

Gdy teraz wszedł w okres rekonwalescencji i stanął znowu twarzą w twarz wobec skomplikowanej problematyki życiowej, Olegowi było przyjemnie pomyśleć, że istnieje taka błogostawiona miejscowość, pomyślana jakby specjalnie dla niego, gdzie wszystko jest jasne i proste, gdzie go traktują niemal jak obywatela i dokąd wkrótce wróci jak się wraca do własnego domu. Już nawiązały się jakieś nici pokrewieństwa, już gotów był mówić o Usz-Tereku: u n a s.

Oleg przemieszkał tam cały rok, ale trzy kwartały chorował, więc niewiele miał okazji by przyjrzeć się tamtejszej przyrodzie i ludziom. Choremu człowiekowi step wydawał się zbyt pylny, słońce zbyt palące, ogrody zbyt wypalone, praca zbyt ciężka.

Ale teraz, gdy życie jak trąbiące triumfalnie osły owej pierwszej nocy, znowu w nim przemówiło pełnym głosem, Oleg spacerował po szpitalnym ogrodzie, oglądał drzewa, ludzi, kamienne gmachy — i z rozrzewnieniem wspominał najdrobniejsze rysy i cechy życia w Usz-Tereku. Tamten ubogi świat wydawał mu się najdroższy, bo był swój, własny, aż po śmierć, n a w i e k i — a obecne życie przejściowe, niejako wynajęte.

Przypominał sobie stepowy ż u s a n — o zapachu przepojonym goryczą, jakże swojski! Przypominał sobie ż a n t a k, cały w drobnych kolcach. Jeszcze ostrzejsze kolce ma d ż y n g i l, pnący się na żywopłotach — w maju obsypują go fioletowe kwiaty, pachnące zupełnie tak samo jak bez. I wreszcie drzewo d ż i d u — gdy kwitnie, aromat ma tak odurzający, że niemal do mdłości, jak pożądliva kobieta nie znająca miary w używaniu pachnideł.

Jakież to dziwne że Rosjanin, tak bardzo przywiązany do poletek i zagajników do spokojnej skoncentrowanej zadumy środkowo-rosyjskiej przyrody, a tu zesłany wbrew woli i na zawsze

— już zdążył się przywiązać do tej ubogiej przestrzeni, do zbyt wielkich upałów i zbyt silnych wiatrów, gdzie spokojny, pochmurny dzień przynosi odpoczynek, zaś deszcz jest świętem, i już całkowicie pogodził się z myślą że pozostanie tu do śmierci.

I obcując z takimi chłopakami jak Sarymbietow, Telegenow, Maukojew, bracia Skokowowie, chociaż jeszcze nie poznał ich mowy, już przywiązał się do tego ludu, już zrozumiał, że pod powierzchownym nalotem przypadkowych uczuć, pod mieszaniną kłamstwa i prawdy, pod zabawną wiernością starym tradycjom kryje się szlachetna prostota narodu, który zawsze na szczerość odpowiada szczerością, na życzliwość życzliwością.

Oleg ma obecnie trzydzieści cztery lata. Granica wieku na przyjęcie do wszystkich instytutów to lat trzydzieści. Już nigdy nie zdobędzie wykształcenia. No jak się nie udało, to się nie udało! Całkiem niedawno ze zwykłego robotnika, kopiącego glinę, udało mu się wyjść na stanowisko pomocnika organizatora rolnego (nie na stanowisko organizatora, jak zełgał przed Zoją, lecz tylko pomocnika z pensją trzystu pięćdziesięciu rubli). Zwierzchnik Olega, rejonowy organizator, słabo zna się na pomiarach, więc pracy byłoby dość, ale nie ma jej prawie wcale: wobec tego że grunty zostały przyznane kolchozom na wieki wieki (znowu na wieki!) użytkowanie, rzadko kiedy udaje się urwać kawałek ziemi na rzecz rozrastających się osiedli. Gdzie tam Olegowi do takiego mira ba — władcy prac irygacyjnych, który całym sobą wyczuwa najmniejsze nachylenie terenu! Prawdopodobnie jednak z biegiem czasu uda się Olegowi urządzić znacznie lepiej. A przecież już i teraz z taką przyjemnością przypomina sobie Usz-Terek i czeka na koniec kuracji, żeby powrócić, żeby dowlec się z powrotem, choćby tylko był nie więcej niż podleczony.

Czy nie byłoby bardziej naturalne, gdyby Kostogłotow znieawidził miejsce zesłania i przeklinał je w gniewie? A jednak nie — nawet to wszystko co prosi się o tnący bicz satyry wydaje się Olegowi jedynie anegdotą, zasługującą na uśmiech. A więc nowy dyrektor szkoły, Aben Bierdienow, który zerwał ze ściany pejzaż Sawrasowa „Gawrony” i wrzucił za szafę (na obrazie widniała cerkiew, więc dyrektor uznał to za propagandę religijną). Albo kierowniczką rejonowego ośrodka zdrowia, energiczna Rosjaneczka, która urzędując odczyty dla inteligencji, zaś ukradkiem sprzedaje miejscowym damom nowy gatunek krepdeszyny zanim go sprowadzą do rejonowego magazynu, i zdiera podwójną cenę.

Karetką Pogotowia, rozjeżdżająca w chmurach kurzu, najczęściej transportuje nie chorych, lecz makaron i masło, które na

rozkaz sekretarza są dostarczane do prywatnych mieszkań. Orenbajew ma niewielki sklepik detaliczny, ale stał się „hurtownikiem”. W jego sklepie nigdy nie znajdziesz towaru, a za to na stryżku stopy pustych skrzynek po sprzedanych towarach. Orenbajew otrzymuje premie za przekroczenie planu i stale drzemie w drzwiach sklepu. Nie chce mu się ważyć, nasypywać, zawijać. Po zaopatrzeniu wszystkich znacznych osób wybiera kogoś, kto jest godny jego uwagi i proponuje ukradkiem: „Bierz skrzynkę makaronu, ale całą!” Worek albo skrzynka są dostarczane prosto ze składu do mieszkania i zaliczane do obrotu detalicznego.

I wreszcie trzeci sekretarz komitetu rejonowego, który chciał złożyć egzamin maturalny jako ekstern, chociaż nie miał pojęcia nawet o arytmetyce; w nocy odwiedził nauczyciela-zesłańca i złożył mu w darze karkułową skórę.

Oleg przyjmuje to wszystko z uśmiechem pobłażania, bo to wszystko przyszło po pobycie w wilczej norze jaką jest obóz. W zestawieniu z obozem wszystko wydaje się fraszką! I — wy-poczynkiem!

Jakaż to satysfakcja — nałożyć o zmierzchu białą koszulę (jedyną jaką posiada, kołnierzyk już się zdarł, a jak wyglądają spodnie i buty — lepiej nie pytać!) — i przejść się główną ulicą osiedla. Obok klubu, krytego trzcinową strzechą, wisi afisz: „Nowy film artystyczny, odznaczony nagrodą...” Głupkowaty Wasia zaprasza wszystkich do kina. Więc kupuje się najtańszy bilet za dwa ruble i do pierwszego rzędu, między chłopaków! Raz na miesiąc hulanka — do herbaciarni i za dwa ruble i pół wypija się kufel piwa w towarzystwie szoferów-Czeczenców.

Na taki radosny stosunek do życia na zesłaniu Oleg zdobył się głównie pod wpływem starej pary małżonków — ginekologa Nikołaja Iwanowicza Kadmina i jego żony Eleny Aleksandrowny. Niezależnie od tego co się z nimi dzieje, nieodmiennie powtarzają to samo:

— Ach, jak dobrze! O ileż lepiej niż było dawniej! Jakże się nam udało, że trafiliśmy do tej cudownej miejscowości!

Przydarzył się bochenek białego chleba — radość! Mleko staniało na targu — radość! W klubie wyświetlają dobry film — radość! Przyjechał technik dentystyczny i wstawił zęby — radość! Przysłali jeszcze jednego ginekologa-kobietę, także zesłaną — bardzo dobrze! Niech się zajmie ginekologią, niech robi nielegalnie skrobanki, Nikołaj Iwanowicz zamieni się w internistę — mniej pieniędzy, ale za to więcej spokoju. Nad stepem wspaniały zachód słońca — niebo w czerwieni, purpurze, szkarłacie i złocie — ach, jak rozkosznie! Wysmukły, siwiutki Nikołaj Iwanowicz bierze pod rękę Elenę Aleksandrownę, otyłą, ciężko poruszającą się na

skutek choroby, i statecznym krokiem wychodzą na skraj osiedla by patrzeć na zachód. Nikołaj Iwanowicz jest równie ruchliwy, jak powolna jest jego żona.

Ale życie stało się dla nich niekończącym się łańcuchem radości i satysfakcji dopiero wtedy, gdy kupili na własność półrozwaloną lepiankę z ogrodem — ostatnia życiowa przystań, ostatni dach, pod którym będą żyć i umierać. Już sobie postanowili że umrą razem, jedno zaraz po drugim, bo po co i dla kogo żyć samotnie. Nie mieli żadnych mebli, więc zamówili u starego Chomratowicza, także zesańca, równoległościan z cegieł i gliny zmieszanej ze słomą. Oto małżeńskie łóże — jakie szerokie! Jakie wygodne! To już najwyższa radość! Teraz fabrykuje się materac z worków wypchanych słomą.

Następne zamówienie dla Chomratowicza — stół i do tego okrągły. Chomratowicz nie może wyjść ze zdumienia: do siedemdziesiątki wkrótce dociągnie, a nigdy okrągłego stołu nie widział. Po co okrągły? „A nie, bardzo proszę! — Nikołaj Iwanowicz zaciera swoje białe, zręczne ręce ginekologa. — Koniecznie musi być okrągły!” Następny kłopot — skąd wziąć lampę naftową, ale nie blaszaną, koniecznie szklaną, na wysokim podparciu, dziesięciokątną, i jeszcze żeby były górne szkiełka. W Usz-Tereku takiej lampy nie ma, trzeba kompletować stopniowo, przyjazne osoby przywożą z daleka — aż wreszcie na okrągłym stole stoi taka właśnie lampa pod abazurem własnej roboty, i oto ta lampa, w Usz-Tereku, w roku 1954, kiedy w wielkich stolicach stosuje się najnowsze wynalazki i już istnieje bomba wodorowa, ta lampa na okrągłym stole chałupniczej roboty przekształca glinianą lepiankę w luksusowy salon sprzed dwustu lat. Cóż za triumf! Wszyscy troje siadają dokoła i Elena Aleksandrowa mówi z przejęciem:

— Ach, Oleg, teraz to się dobrze mieszka! Wiecie, jeżeli nie liczyć mego dzieciństwa — to najbardziej szczęśliwy okres w moim życiu!

I ma całkowitą rację! Bo szczęście ludzkie wcale nie zależy od poziomu życiowego, lecz od harmonii serca i poglądu na życie. Jedno i drugie zawsze znajduje się w naszym zasięgu, a więc człowiek zawsze jest szczęśliwy jeżeli tego chce, i nikt mu nie jest w stanie przeszkodzić.

Przed wojną Kadminowie mieszkali pod Moskwą, razem z matką doktora. Teściowa czepiała się byle czego, Kadim ze względu na szacunek dla matki nie oponował i Elena Aleksandrowna, kobieta w średnim wieku, bardzo samodzielna i zamężna nie pierwszy raz, czuła się jak w zaciśniętych obcęgach. Tamten okres nazywa obecnie swoim „średniowieczem”. Dopiero trzeba



było wielkiego nieszczęścia, aby świeże powietrze ożywiło ich rodzinne stosunki.

Przyszło nieszczęście — właśnie teściowa stała się jego sprawczynią: w pierwszym roku wojny zjawił się nieznany człowiek i poprosił o schronienie. Teściowa godziła surowe postępowanie wobec synowej z chrześcijańską postawą i uznała za wskazane przyjąć dezertera, nawet nie radząc się Kadminowów. Dezerters spędził w ich domu dwie noce, poszedł, został gdzieś schwytany i podczas śledztwa wskazał dom, który go przyjął. Teściowej nie ruszono, miała już koło osiemdziesiątki, natomiast uznano za wskazane aresztować pięćdziesięcioletniego syna i jego czterdziestoletnią żonę. Na śledztwie pytano, czy dezerters nie jest ich krewnym — gdyby tak było, mieliby okoliczność łagodzącą: ukrywanie członka rodziny, całkiem zrozumiałe a nawet wybacalne. Ale dezerters był dla nich nikim, przybłądą, więc oboje dostali po dziesięć lat nie jako współnicy dezertersa, lecz jako wrogowie ojczyzny, świadomie podrywający potęgę Czerwonej Armii.

Wojna skończyła się, ów dezerters został zwolniony na podstawie wielkiej amnestii stalinowskiej z 1945 roku (historycy będą zachodzić w głowę i nijak nie zrozumieją dlaczego najpierw darowano winy dezertersom — i to bez żadnych zastrzeżeń). Dezerters nawet zapomniał gdzie nocował, kogo za sobą pociągnął. Amnestia nie dotyczyła małżonków, przecież to nie byli dezerterszy, to byli wrogowie. Odbębnił te dziesięć lat, ale do domu ich nie puszczono, bo działali nie pojedynczo lecz we dwoje, mąż i żona, a więc grupowo, organizacyjnie, należało im się wieczne zesłanie.

Przewidując możliwość takiej decyzji, małżonkowie złożyli podanie żeby przynajmniej zesłano ich do tej samej miejscowości. Nikt niby nie protestował, prośba była zgodna z prawem, a jednak męża zesłano na południe Kazachstanu, zaś żonę do Krasnojarskiego kraju.

Być może, chciano ich rozdzielić jako członków tej samej organizacji...? Nie, to nie za karę, nie złośliwie, po prostu w aparacie ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie ma takiego urzędnika, do którego obowiązków należy łączenie małżonków — więc nie połączyli.

Kadmina zbliżała się do pięćdziesiątki, ręce i nogi jej puchły, trafiła do tajgi, gdzie nie było niczego prócz wycięcia lasu, jakże dobrze znanego z pobytu w obozie. Ale Kadmina i dziś jeszcze wspomina puszcę nad Jenisejem — cóż za krajobrazy! Przez cały rok jeszcze pisali skargi — zawsze do Moskwy — no i wreszcie specjalny konwój przywiózł Elenę Aleksandrownę do Usz-Tereku.



Więc jakże teraz nie cieszyć się z życia! Jakże nie kochać Usz-Tereku i tej glinianej chałupki! Nie było sensu szukać innego dobrobytu.

Na wieki — no to na wieki, niech będzie i tak! Zanim ta wieczność przeminie, można dokładnie przestudiować klimat w Usz-Tereku. Nikołaj Iwanowicz wywiesił trzy termometry, postawił naczynie dla mierzenia opadów, a po wiadomości o nasileniu wiatru zagląda do Inny Sztrem, uczenicy dziesiątej klasy, która prowadzi państwowy punkt metereologiczny. Jak się ten punkt rozwinie nie wiadomo, ale Nikołaj Iwanowicz już założył dziennik metereologiczny, prowadzony z godną pozazdrosczenia ścisłością statystyczną.

Jeszcze jako dziecko Kadmin przejął od ojca, inżyniera komunikacyjnego, dążenie do ciągłego działania i zamiłowanie do ścisłości i porządku. Pisarz Korolenko nie był pedantem, ale i ten powiadał (Nikołaj Iwanowicz stale go cytuje), że „życiowy porządek strzeże naszej duchowej równowagi”. Ulubione porzekadło doktora Kadmina brzmi: „Każda rzecz zna swoje miejsce”. Wszystkie rzeczy same wiedzą, a do nas należy nie stawać im na przeszkodzie.

W zimowe wieczory, kiedy Nikołaj Iwanowicz nie ma żadnej roboty, zajmuje się swoim ulubionym rzemiosłem: introligatorstwem. Bardzo lubi nadawać nowy, przyjemny wygląd rozłożonym, postrzępionym, ginącym książkom. Nawet w takim Usz-Tereku ktoś sporządził dla niego prasę introligatorską i bardzo ostry nóż do obcinania papieru. Ale zima w Usz-Tereku trwa bardzo krótko, a w innych miesiącach jedynie ogród wymaga dużych zachodów.

Nikołaj Iwanowicz uprawia jedną dziesiątą swego ogrodu z taką energią i wynalazczością, że stary książę Bołkonskij ani by się do niego umył, chociaż posiadał Łyse Góry i specjalnego architekta. Nikołaj Iwanowicz ma już sześćdziesiąt lat, ale po szpitalu krząta się żwawo, wykonuje półtorej stawki i o każdej porze nocy biegnie do położnicy. Po osiedlu nie chodzi lecz fruwa, nie krępując się siwej brody, że tylko powiewają poły marynarki, uszytej przez Elenę Aleksandrownę z żaglowego płótna. Za to do łopaty już mu siły brakuje — rano pół godziny i tyle, zaraz chwytą go zadyszka. Ale chociaż nawalają i ręce i serce, planuje wszystko harmonijnie i doprowadza do ideału. Często oprowadzał Olega po swoim ogródku, na którego granicy stoją dwa małe drzewka, i chwalił się:

— Tędy, przez cały ogród, pójdzie szeroka ścieżka. Z lewej strony zobaczycie kiedyś trzy u r i u k i — już je zasadziłem. Po prawej stronie będzie winnica — jestem przekonany, że się przyj-

mie. Przy samym końcu ścieżki zbudujemy altankę, autentyczną altankę, jakiej nigdy jeszcze nie widziano w Usz-Tereku! Fundamenty już mamy — o, ten pomost z glinianych cegieł w kształcie półkola. Tenże Chomratowicz znowu zapytał: „Dlaczego półkole?” Widzisz tyki? — po nich będzie się wspinał chmiel. Obok — aromatyczny tytoń. Za dnia będziemy się tu chronić przed upałem, zaś wieczorami popijać herbatę — z góry uprzejmie zapraszam! (Co prawda, samowara jeszcze nie ma).

Co tam jeszcze wyrosnie w ich ogrodzie, na razie nie wiadomo, ale wiadomo czego nie ma, a co mają sąsiedzi. Więc nie ma ziemniaków, kapusty, ogórków, pomidorów ani dyni. „Ale przecież — odpowiadają małżonkowie — to wszystko można kupić!” I rzeczywiście, kupowali. Mieszkańcy Usz-Tereku narodek gospodarny, mają krowy, nierogaciznę, owce, kury. Małżonkowie także hodują zwierzęta, ale orientacja ich jest mało praktyczna: same tylko psy i koty. Małżonkowie rozumieją, że mleko i mięso można nabyć na targu, ale gdzie kupić psie przywiązanie i wierność? Ani czarno-bury, ogromny jak niedźwiedź Żuk, z uszami jak łopuchy, ani malutki, wścibski Tobik, cały biały, o ruchliwych czarnych uszkach, nie będą przecież radośnie skakać do gospodarza za żadne pieniądze.

Miłość do zwierząt nie warta jest w dzisiejszym świecie ani grosza, a już przywiązanie do kotów wywołuje śmiech. Ale gdy przestajemy lubić zwierzęta, czy nie powoduje to, że następnie przestajemy lubić także ludzi?

Małżonkowie cenią u swoich zwierząt nie ich wygląd, lecz osobowość. Ten serdeczny fluid, który płynie od obojga, udziela się natychmiast zwierzętom, bez żadnej tresury. Zwierzęta bardzo sobie cenią, kiedy się z nimi rozmawia i potrafią słuchać przez długi czas. Zwierzęta również przywiązują znaczenie do towarzysztwa gospodarzy i czują się dumne, gdy mogą im wszędzie asystować. Jeżeli Tobik leży w pokoju (psy nie mają pod tym względem żadnego zakazu) i widzi, że Elena Aleksandrowna wkłada palto i bierze torebkę, nie tylko od razu wie że szykuje się na spacer do osiedla, ale natychmiast się zrywa, biegnie do ogrodu i wraca razem z Żukiem. W jakimś tam psim języku podał mu wiadomość o spacerze, więc podniecony Żuk przybiegł z całą gotowością.

Żuk doskonale zna miarę czasu. Jeżeli odprowadzi małżeństwo do kina, to nie kładzie się przed klubem, odchodzi, ale zawsze wraca przed końcem seansu. Pewnego dnia film był krótszy niż zazwyczaj i Żuk się spóźnił. Ileż najpierw było smutku, a ile potem radosnych podskoków!

Psy nigdy nie towarzyszą Nikołajowi Iwanowiczowi, kiedy

idzie do pracy, rozumiejąc że to byłoby nietaktowne. Jeżeli przed wieczorem doktor wychodzi z bramy swoim żwawym krokiem młodzieńca, psy już się domyślają, na podstawie jakiegoś telepatycznego przekazu, dokąd się udaje; jeżeli idzie odwiedzić położnicę — zostają, jeżeli idzie do kąpieli — idą razem z nim. Do kąpieli daleko — rzeka Czu znajduje się o pięć kilometrów. Ani miejscowi, ani zesłańcy; ani młodzi, ani ludzie w średnim wieku nie chodzą tam codziennie — zbyt daleko. Chodzą tylko chłopaki i doktor Kadmin.

Właściwie jest to jedyny spacer, który nie dostarcza psom bezpośredniego zadowolenia: droga przez step jest niewygodna, mnóstwo kłujących krzaków i traw, Żuk ma łapy pokaleczone i obolałe, a znowu Tobik, którego kiedyś wykąpano, boi się raz jeszcze trafić do wody. Ale poczucie obowiązku jest ponad wszystkim, więc przebywają cały dystans za doktorem. Dopiero na jakieś trzysta metrów od rzeki Tobik zaczyna zostawać z tyłu, na wszelki wypadek, żeby go nie schwytano, przeprasza ruchem ogona, przeprasza uszami i kładzie się. Żuk dochodzi do samego urwiska, kładzie tam swoje wielkie ciało i nieruchomy jak posąg przygląda się kąpieli z góry.

Obowiązek odprowadzania Tobik przerzucił również na Olega, który często przychodzi do małżeństwa z wizytą. Tak często, że operacyjny pełnomocnik zaczyna się niepokoić i wypytuje ich osobno: „Dlaczego takie bliskie stosunki? A co macie ze sobą wspólnego? A o czym wy rozmawiacie?” Żuk nie musi Olega odprowadzać, natomiast Tobik musi, nawet w najgorszą pogodę. Kiedy pada deszcz i jest chlapa, kiedy, łapom będzie mokro i zimno, Tobik nie pali się do wyjścia, a jednak przeciąga się do przodu, potem do tyłu, i mimo wszystko idzie.

Ponadto Tobik spełnia funkcję listonosza, nosi korespondencję małżonków z Olegiem. Jeżeli trzeba Olega zawiadomić, że dziś wyświetlają interesujący film, albo że jakieś ważne produkty sprzedają w sklepiku spożywczym czy w głównym magazynie, Tobikowi nakładają parcianą obrozę z przyczepionym liścikiem, pokazują palcem kierunek i mówią energicznie: „Do Olega!” Niezależnie od pogody, Tobik posłusznie przebiera swoimi cienkimi, długimi nogami, przychodzi do Olega, a jeżeli nie zastaje go w domu, czeka pod drzwiami.

Najdziwniejsze że nikt go tego nie uczył, nie tresował, pies sam wszystko pochwyił telepatycznie i działa samodzielnie. Co prawda, żeby podeprzeć jego ideową nieugiętość, Oleg za każdy pocztowy kurs wręcza mu materialną rekompensatę.

Co jeszcze dziwi u Tobika, to stale smutny wyraz oczu. I śmieje się bez szczerzenia zębów, tylko poruszając uszami.

Żuk przypomina wzrostem i wyglądem wilczura, ale nie ma w nim ani odrobiny właściwej wilczurom wrogości i ostrożnego przyczajenia; jego niezmierna dobroduszość i łagodność wypływają z poczucia własnej siły. To już niemłody pies, miał już wielu właścicieli, zaś Kadminów wybrał sam. Przedtem należał do kierownika herbaciarni, Wasadze, który trzymał go na łańcuchu przy skrzyniach z naczyniami i czasem dla zabawy spuszczał z łańcucha i szczuł na sąsiednie psy. Żuk jest odważny i wprawia żółte, poważne brytany z sąsiedztwa w przerażenie. A przecież jest dobrym, spokojnym stworzeniem, ufającym swemu rozkazodawcy. Któregoś dnia, gdy go spuszczone z łańcucha, był na psim weselu niedaleko domu Kadminów: chodziło o małą Lalkę, matkę Tobika. Ze względu na niepomierny wzrost Żuka jego kandydatura została odrzucona, przez co nie mógł stać się ojczymem Tobika, ale coś mu się tam na miejscu wyjątkowo podobało, więc zaczął zaglądać coraz częściej, chociaż jedzenia mu nie dawano.

Wasadze przed wyjazdem podarował Żuka swojej przyjaciółce Emilii, także zesłanej. Mimo że karmiła go do syta, Żuk ciągle urywał się do Kadminów. Emilia obrażała się na nich, zabierała Żuka ze sobą, uwiązywała na łańcuchu, ale i tak znowu się urywał i uciekał. Wtedy przywiązała go łańcuchem do koła samochodowego. Właśnie przez ulicę szła Elena Aleksandrowna i Żuk ją zobaczył, chociaż umyślnie na niego nie patrzyła. Pies szarpnął się i jak koń pociągowy, ciężko chrapiąc, ciągnął koło samochodowe jakieś sto metrów, zanim zwałił się bez sił. Wtedy Emilia zrezygnowała z Żuka. Od nowych właścicieli pies szybko przejął ich zasadniczy humanitaryzm jako główną regułę w zachowaniu. Uliczne psy przestały się go obawiać. Do wszystkich przechodniów Żuk ustosunkowywał się uprzejmie, ale bez naskakiwania.

Ale w Usz-Tereku nie brakowało amatorów strzelania do żywych stworzeń. Nie mając do dyspozycji lepszej zwierzyny, chodzili pijani po ulicach i strzelali do psów. Już dwukrotnie strzelano do Żuka. Teraz bał się każdej wycelowanej w niego rury, także obiektywu aparatu fotograficznego, i nie chciał pozować do zdjęć.

W domu małżonków były również koty — rozpieszczone, kapryśne i wyrafinowane. Ale Oleg, spacerując teraz po szpitalnym ogrodzie, wywołał w wyobraźni przede wszystkim Żuka, ogromny, poczciwy łeb Żuka, lecz nie na ulicy — w obramowaniu okna: nagle pojawia się psi łeb — to Żuk stoi na tylnych łapach i zagląda przez okno jak człowiek. To znaczy że obok podskakuje Tobik, a za chwilę przyjdzie Nikołaj Iwanowicz.

Rozczulony Oleg poczuł, że jest całkowicie zadowolony ze

swego losu, że pogodził się już z życiem na zesłaniu, że pragnie jedynie powrotu do zdrowia i nie prosi o żadne cuda.

Żyć tak jak żyją ci małżonkowie, cieszyć się z tego co jest! Prawdziwy mędrzec zadawała się byle czym.

Kto jest optymistą? Ten kto powiada: wszędzie jest gorzej, u nas całkiem nieźle, nam się udało. Czerpie szczęście z tego co posiada, i nie zna udręki.

Kto jest pesymistą? Ten kto powiada: wszędzie jest wspaniale, wszędzie lepiej, a tylko u nas wyjątkowo źle. I bezustannie zadręcza się swoim losem.

A teraz — byle tylko jakoś wytrzymać tę kurację! Jakoś wyrwać się z tych kleszczy rentgenoterapii, hormonoterapii — i nie zostać niedołączną pokraką.

Wrócić do Usz-Tereku. I przestać być człowiekiem bezzennym! Ożenić się, koniecznie się ożenić! Wątpliwe czy Zoja przyjedzie. A nawet gdyby przyjechała, to dopiero za półtora roku. Czekać, znowu czekać, czekać przez całe życie! Nie! — to niemożliwe!

Mógłby ożenić się z Ksaną — taka stanowcza a zarazem słodziutka: stanowcza w zachowaniu się, słodka z wyglądu. Może tylko troszkę tępawa... Ale za to jaka gospodyni! Zacznie wycierać talerze, ściereczkę przerzuci przez ramię — istna królowa, oczu od niej nie można oderwać. Z nią będzie można się ustabilizować, gospodarstwo pójdzie pierwszorzędnie i dzieciaki posypią się hurmem.

Także — z Inną Sztrem. Trochę się lęka, bo ona ma przecież zaledwie osiemnaście lat. Ale to właśnie najbardziej pociąga! Uśmiecha się jakoś w sposób zarówno roztargniony jak impertynencki, zamyślony i wyzywający. I to właśnie pociąga...

Więc lepiej nie ufać żadnym radosnym napływom, żadnym muzycznym akordom nadziei! Wszystko to — tęczowe miraż. Serce zacisnąć w dłoni i nie ufać! Niczego nie oczekiwać od przyszłości, niczego, co by miało wyjść na lepsze!

Ciesz się tym, co posiadasz!

Skoro na wieki — to n a w i e k i ! Gdzie indziej obejdziesz się bez ciebie.

Byle nie dać się podniecić tej wiośnie!

## 21.

### CIENIE PIERZCHAJĄ

Oleg minął się z Awietą w samych drzwiach kliniki. Ustąpił

jej z drogi, przytrzymał skrzydło drzwi, dziewczyna szła tak energicznie, nieco pochylona do przodu, że gdyby się nie usunął, kto wie, czy by go nie przewróciła.

Objął ją jednym spojrzeniem: na brązowych włosach błękitny beret, ruch głowy jak gdyby posuwała się pod wiatr, i palto wielce oryginalnego kroju — coś w rodzaju długiego, dziwnego zakietu, zapiętego pod samą szyją.

Gdyby Kostogłotow wiedział że to córka Rusanowa, na pewno by za nią zawrócił. Ale nie wiedział, więc poszedł wydeptywać swoją samotną ścieżkę.

Awieta z dość dużym trudem otrzymała pozwolenie, wejścia na górę, a i to tylko dlatego że ojciec czuł się bardzo słabo i że był akurat czwartek — dzień wizyt. Zdjęła palto, na ciemnoczerwony sweter narzucono jej biały kitel, taki mały że chyba pasowałby na nią w dzieciństwie.

Po otrzymaniu wczoraj trzeciego zastrzyku Paweł Nikołajewicz rzeczywiście bardzo osłabł, i bez koniecznej potrzeby nawet nóg nie wyciągał spod koca. Poruszał się niewiele, jadł niechętnie, nie wkładał okularów, nie wdawał się w rozmowy. Otoczenie, które zawsze prowokowało w nim zdecydowane reakcje — pochwalne, albo potępiające — naraz jakoś poszarzało i stało mu się obojętne. Również i wola w nim osłabła, poddał się całkowicie tej słabości, a nawet znajdował w niej jakąś dziwną przyjemność. Ale była to przyjemność niebezpieczna — jak u zamarzającego na śmierć, gdy odchodzi chęć do poruszania się. Opuchlina najpierw go gniewała, potem napawała strachem, a teraz już się rozpanoszyła i decydowała o przyszłości bez jego udziału.

Paweł Nikołajewicz wiedział, że Awieta ma przylecieć z Moskwy i oczekiwał jej tego rana. Jak zawsze, czekał z radością, ale tym razem także z pewnym lękiem; postanowili z Kapą, że ona opowie wszystko córce o liście Szypowa, o Rodiczewie i Guzunie, niczego nie ukrywając. Dotychczas nie było potrzeby by się o tych rzeczach dowiadywała, ale teraz chodziło o jej rozumną radę. Awieta jest mądrą, ocenia sprawy i rzeczy nie gorzej od rodziców, zaś często — lepiej, jednak Paweł Nikołajewicz czuł się trochę nieswojo: jak przyjmie tę historię? Czy potrafi właściwie zrozumieć? Czy nie oceni zbyt lekkomyślnie?

Na szpitalną salę Awieta weszła także gwałtownie, jakby pokonując przeciwny wiatr, chociaż w jednej ręce miała ciężką torbę, a drugą przytrzymała kitel zlatujący z ramion. Śmiała się całą młodą, świeżą twarzą, nie było w niej ani cienia tego mdłego współczucia, z jakim zazwyczaj ludzie zbliżają się do łóżka ciężko chorych i której Paweł Nikołajewicz nie zniósłby u własnej córki.



— No jak, ojciec? No co? — witała się z ożywieniem, siadając na łóżku. Z porywczą szczerością pocałowała go w obydwie nieogolone policzki. — No jakże się dziś czujesz? Opowiadaj, tylko dokładnie! No opowiedz!

Jej kwitnący wygląd i energia dodały nieco siły Pawłowi Nikołajewiczowi, więc ożywił się z lekka.

— Jak ci to powiedzieć... mówił słabym, powolnym głosem, jak gdyby chciał to wyjaśnić samemu sobie. — Opuchlina chyba się nie zmniejszyła. Ale mam takie wrażenie, jak gdyby było mi nieco łatwiej poruszać głową. Nieco łatwiej. Wydaje się, że nie uciska tak silnie.

Bez pytania, córka odsunęła kołnierz i nie sprawiając mu żadnego bólu, przyjrzała się starannie, jak gdyby była lekarzem i codziennie miała możliwość sprawdzania rozmiarów opuchliny.

— Nie widzę w tym nic strasznego! — stwierdziła z przekonaniem. — Spuchnięte gruczoły — i tyle! Matka tak mi to opisała, że już pomyślałam — nieszczęście! Powiadasz, że nie uciska tak silnie... To znaczy, że zastrzyki pomagają! Pomagają! Opuchlina spadnie jeszcze bardziej. A jak się zmniejszy do połowy, to już przeszkadzać nie będzie i wyjdiesz ze szpitala.

— To prawda — westchnął Paweł Nikołajewicz. — Gdyby tak zmniejszyła się do połowy, to można by było jakoś żyć.

— I leczyć się w domu!

— Sądziś, że w domu będzie można robić zastrzyki?

— A dlaczego nie? Przyzwyczaisz się, oswoisz — i będziesz nadal kurować się w domu. Jakoś się to omówi, jakoś załatwi!

Paweł Nikołajewicz poweselał. Pozwól na robienie zastrzyków w domu czy nie pozwól, ale to zdecydowanie córki, jej gotowość do walki napawały go dumą. Awieta pochylała się nad nim tak, że nawet bez okularów dobrze widział jej szlachetną, szczerą twarz, energiczną, ożywioną, o ruchliwych nozdrzach i poruszających się brwiach, zawsze wrażliwych na każdą niesprawiedliwość. Zdaje się, że to Gorkij powiedział: — Jeśli dzieci nie są lepsze ode mnie, tom je wydał na świat i żył nadaremnie. A właśnie Paweł Nikołajewicz nie żył nadaremnie!

Jednak niepokoił się, czy zna dobrze tamtą sprawę i co mu teraz powie.

Awieta nie spieszyła się z poruszaniem niemiłej sprawy, wciąż rozpytywała o przebieg leczenia, sprawdziła co ma w szafce, co już zjadł, jakie produkty zrobiły się nieświeże, i zastąpiła je przyniesionymi.

— Przywiozłam dobre wino na wzmocnienie, pij za każdym razem po kieliszeczku. Także czerwony kawior, na pewno będzie ci smakować. Pomarańcze prosto z Moskwy.



— Owszem, owszem — dziękuję!

W międzyczasie rozejrzała się po szpitalnej sali i po twarzach pacjentów, i kiwając głową dała mu do zrozumienia, że nędza tu nieznośna, ale trzeba rozpatrywać wszystko z humorystycznego punktu widzenia.

Wydawało się, że nikt nie słuchał ich rozmowy, ale na wszelki wypadek nachyliła się nad ojcem jeszcze niżej i rozmawiali tak, żeby ani jedno słowo nie doszło do innych.

— Ojcie, to rzeczywiście okropne! — Awieta z miejsca przystąpiła do sedna. — W Moskwie to już żadna nowina, wszyscy mówią na ten temat. Zaczęły się masowe rewizje spraw sądowych.

— Masowe?!

— Dosłownie. To jakaś prawdziwa epidemia. Zupełny obłęd! Tak jak gdyby można było odwrócić wstecz koło historii! Któż to potrafi! Kto się ośmieli! Dobrze, powiedzmy że skazano ich słusznie albo niesłusznie, ale po co tym zesłańcom umożliwiać teraz powrót? Przerzucać ich znowu do dawnego życia — to przecież bolesny, męczący proces, to nielitościwe przede wszystkim w stosunku do nich samych! Niektórzy z nich umarli — po co zakłócać spokój cieniom?! Po co w nich samych i ich krewnych budzić jakieś nieuzasadnione nadzieje, jakieś mściwe uczucia?! A wreszcie co znaczy to słowo „rehabilitacja”? Przecież to niemożliwe żeby oni byli całkowicie niewinni! Coś tam jednak musiało być, choćby na niewielką skalę!

— Ach, jaka ty jesteś mądra! — Z jaką siłą przekonania mówiła! I zanim zaczęli omawiać jego sprawę, Paweł Nikołajewicz już wiedział, że z tej strony zawsze znajdzie całkowite podtrzymanie. Że Ała w żadnym wypadku się nie zachwieje.

— Znasz konkretne wypadki powrotów? Nawet do Moskwy?

— Właśnie tak — nawet do Moskwy. Najbardziej pchają się do Moskwy — tam ich przecież miodem smarują! Rozumiesz — żył sobie człowiek spokojniutko i nagle wzywają go — domyślasz się? — t a m. I to na osobistą k o n f r o n t a c j ę — wyobrazasz to sobie?!

Pawłem Nikołajewiczem wstrząsnęło, jak gdyby zjadł cytrynę. Ała dostrzegła to, ale już nie mogła się zatrzymać, bo zawsze swój wywód doprowadzała do końca.

— I proponują — wyobraź sobie! — żeby powtórzyli swoje zeznania sprzed dwudziestu lat! Któż to może teraz pamiętać! I jaka z tego korzyść? No dobrze, skoro tak was już przyparło, to rehabilitujcie, ale bez osobistych konfrontacji! Nie niszczyć ludziom nerwów! Przecież jeden wrócił z takiej konfrontacji i mało brakowało — byłby się powiesił!

Na Pawła Nikołajewicza wystąpiły siódme poty. Tylko tego

brakowało, żeby mu kazano stawić się na osobistą konfrontację z Rodiczewem, albo z Jelczańskim, albo z innymi!

— A czy kto zmuszał tych durniów, żeby podpisywali różne niestworzone rzeczy? Mogli nie podpisywać! — sprężysta myśl Ałły obejmowała zagadnienie ze wszystkich stron. — Jak można przewracać do góry nogami to piekło, nie zastanawiając się nad sytuacją ludzi, którzy wtedy prowadzili robotę? Przecież to przede wszystkim o nich należało pomyśleć! Pomyśleć jak oni zniosą te nagłe zmiany!

— Matka ci opowiedziała?

— Tak, tatusiu! Opowiedziała! Nie powinieneś się absolutnie przejmować! — mocnymi, pewnymi siebie palcami chwyciła ojca za ramiona. — Jeśli chcesz, powiem ci jak ja to rozumiem: ten co idzie naprzód i sygnalizuje, jest przodującym, świadomym człowiekiem! Działa pod impulsem najszlachetniejszych uczuć wobec swego społeczeństwa, a naród to widzi i ocenia. W poszczególnych wypadkach taki człowiek może się pomylić. Ale nie myli się tylko ten, co nic nie robi. Zazwyczaj przecież taki człowiek kieruje się swoim rozeznaniem klasowym, a ono nigdy go nie zawodzi.

— Dziękuję ci, Ałłoczka, bardzo ci dziękuję! — Paweł Nikołajewicz poczuł, że łzy mu napływają do gardła, ale przyjemne łzy rozrzewnienia. Spoconą dłonią pogładził chłodną rękę córki. — To bardzo ważne, żeby młodzież nas zrozumiała i nie potępiła. A powiedz, jak sądzisz...? Czy mogą znaleźć jakiś artykuł, żeby nas teraz... no, na przykład mnie... pociągnąć do odpowiedzialności... za... no, znaczy się, za... niewłaściwe zeznania?

— Wyobraź sobie — Ałła mówiła teraz z jeszcze większym ożywieniem — w Moskwie byłam przypadkowo świadkiem rozmowy, w której rozpatrywano właśnie... tego rodzaju obawy. I pewien obecny przy tym prawnik oświadczył, że artykuł za kłamliwe zeznania przewiduje karę zaledwie do wysokości dwóch lat, a przecież od tamtego czasu już były dwie amnestie, więc jest całkowicie wykluczone by ktoś kogoś pociągnął do odpowiedzialności za fałszywe zeznania! Rodiczew nie piśnie ani słowa — możesz być pewny!

Pawłowi Nikołajewiczowi wydało się w tej chwili, że nawet opuchlina gniece mniej niż przedtem.

— Ty moja kochana mądralo! — mówił z widoczną ulgą szczęśliwy ojciec. — Wszystko zawsze wiesz najlepiej, wszędzie zawsze zdążysz na czas. Przywróciłaś mnie do życia!

Ujął rękami dłoń córki i ucałował ją z najwyższym pietyzmem. Paweł Nikołajewicz był człowiekiem bezinteresownym. Dobro jego dzieci było zawsze wyżej jego dobra. Wiedział, że nie odzna-

cza się niczym osobliwym poza wiernością sprawie, dokładnością i wytrwałością. Dopiero w córce osiągnął całkowity swój rozkwit i grzał się w płynącym od niej ciepłe.

Ałła sprzykrzyła sobie ciągle czuć na ramionach pożyczony kitel, wreszcie zleciał, więc rozeźmiała się i powiesiła go na poręczy łóżka, przesłaniając tekturkę z wykresem gorączki. O tej porze dnia nie było obawy, żeby wszedł jakiś doktor czy pielęgniarka.

Ojciec jeszcze nie widział nigdy Ałły w tym ciemno-czerwonym swetrze. Szeroki, biały pas jak błyskawica przebiegał przez rękawy a potem przez piersi, i bardzo to odpowiadało energicznym ruchom Ałły.

Ojciec nigdy nie zrzędził, gdy wydawało się pieniądze na stroje dla Ałły. Kupowali z prywatnych rąk, a także rzeczy importowane, toteż Ałła ubierała się w sposób jaskrawy, podkreślając jeszcze bardziej swoją powabną powierzchowność, harmonijnie zgraną z zaletami jej umysłu.

— Słuchaj — zupełnie cichym głosem pytał ojciec — pamiętasz, prosiłem żebyś się wywiedziała... ten dziwny zwrot... trafia się niekiedy w tym czy innym przemówieniu albo artykule: *kult jednostki*... czyżby to miała być aluzja do...?

Pawłowi Nikołajewiczowi zabrakło tchu, żeby dokończyć zdanie.

— Tatku, obawiam się że tak... Obawiam się że tak! Na przykład, na zjeździe pisarzy kilka razy tak mówiono. A co najważniejsze, nie mówią wyraźnie, a wszyscy zachowują się tak, jakby wiedzieli o kogo chodzi.

— Słuchaj — przecież to jest po prostu bluźnierstwo! Jakże się ośmielają?!

— Wstyd i hańba! Ktoś to puścił w ruch i poszło! Ale, tatusiu, nie można ustosunkowywać się do tego w sztywny sposób. Trzeba się przystosowywać do wymagań chwili. Może sprawię ci przykrość, ale czy nam się to podoba czy nie, w każdym okresie musimy iść z duchem czasu! Tym razem dobrze się wszystkiemu przyjrzałam. Obracałam się w środowisku pisarskim i cóż ty myślisz — że pisarzom łatwo było w ciągu tych dwóch lat przestawić się na zupełnie inny sposób myślenia?! To niezmiernie skomplikowane! Ale jacy to doświadczeni ludzie, jacy taktowni, można się od nich nauczyć mnóstwa rzeczy!

Minęło ledwie piętnaście minut, odkąd Ałła usiadła przy Pawle Nikołajewiczu i zaczęła zdanie po zdaniu celnie bić we wszystkie mroczne widma i ukazywać jaśniejsze horyzonty. Rusanow niemal w oczach stawał się zdrowszy, podniósł się na duchu i w ogóle już nie miał żadnej chęci mówić o tej nienawist-

nej opuchlinie. Uznał też od razu, że nie należy starać się o przeniesienie do innego szpitala. O, jak najdłużej słuchać opowiadań córki, oddychać tym radosnym powiewem, który szedł od każdego jej słowa.

— Opowiadaj jeszcze, jak najwięcej! — prosił Rusanow. — No jak tam było? Co w Moskwie? Udała ci się podróż?

— Ach! — Ała szarpnęła głową jak koń, kiedy opęda owady. — Czy to o Moskwie można opowiedzieć?! W Moskwie trzeba mieszkać! Moskwa to odrębny świat! Kto pojedzie do Moskwy, to jakby wychylił się w przyszłość o całe pięćdziesiąt lat! Po pierwsze, wszyscy w Moskwie mają aparaty telewizyjne...

— Wkrótce będą i tu.

— Wkrótce! Ale przecież to nie będzie moskiewski program, jaka tam telewizja! Życie zupełnie jak u Wellsa: siedzą przed telewizorami i patrzą! Ale ja ci powiem coś więcej: odnoszę takie wrażenie, że wkrótce zmieni się cały styl naszego życia, że zbliża się zasadnicza rewolucja — życie zmieni się całkowicie. Nie mam na myśli tylko lodówek i pralek elektrycznych, te zmiany pójdą o wiele głębiej! W niektórych mieszkaniach ściany w przepokojach są już pokryte szkłem aż po sufit. W hotelach niskie stoły, zupełnie jak u Amerykanów. W pierwszej chwili nawet nie bardzo wiadomo, jak usiąść przy takim stole. Abazury do lamp z tkaniny, jak w naszym mieszkaniu to teraz hańba, drobnomieszczkański gust, teraz — wyłącznie szklane! Zaś najbardziej modne są podręczne radioodbiorniki — przenosi się z miejsca na miejsce. Normalne łóżka — to już zupełna hańba, szerokie tapczany albo kanapy. Pokój wygląda zupełnie inaczej... Nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Całkowicie zmienia się styl życia! Już rozmówiłam się z mamusią na ten temat — musimy wiele rzeczy u nas pozmieniać. Ale tutaj tego się nie kupi, trzeba będzie przywieźć z Moskwy... Oczywiście przeniknęła także szkodliwa moda, którą należy zdecydowanie potępić: jakiś rozpustny taniec, nazywa się *rock-n-roll*, w ogóle nie podobna o nim opowiedzieć! Długie włosy, umyślnie rozkudłane uczesania, jakbyś ledwie z łóżka wstała.

— To wpływy Zachodu! Chcą nas zdemoralizować.

— Naturalnie, upadek obyczajów. I natychmiast mamy odbicie tego w środowisku kulturalnym, na przykład w poezji. Zjawia się jakiś nikomu nieznanym Jewtuszenko, bez ładu i składu, coś tam wykrzykuje drągał, wymachuje rękami, i wszystkie dziewczyny zachwycone...

Kiedy Awieta zaczęła przechodzić od spraw intymnych do ogólnych, głos jej nabrał siły, już nie musiała się krępować, więc wszyscy na sali ją słyszeli. Ale tylko jeden Diomka oderwał się

od swego zwykłego zajęcia i żeby zapomnieć o nieustannym bólu, który ciągle mu przypominał że trzeba iść pod chirurgiczny nóż, słuchał gadaniny Awiety z najwyższym zaciekawieniem. Inni nie wykazywali żadnego zainteresowania, zresztą wielu nie wielu nie było na sali. Jedynie Wadim Zadyrko od czasu do czasu odrywał oczy od książki i wpatrywał się w plecy Awiety. Pochylone plecy dziewczyny były wygięte jak solidny most, nowy, dokładnie opięty, ciemno-czerwony sweter jaśniał tylko na jednym ramieniu, bo właśnie na niego padał blask, nie słońca lecz jego odbicia, od szyby okna otworzonego naprzeciw. Ramię miało barwę jasnego szkarłatu.

— Opowiedz coś o sobie! — prosił Rusanow.

— No więc podróż udała mi się nadzwyczajnie! Tom moich wierszy obiecali włączyć do planu wydawniczego!! Co prawda, dopiero na następny rok. Ale nie zdarza się, żeby było szybciej. Żeby było szybciej — tego nawet nie można sobie wyobrazić!

— Jak to?! Naprawdę? Ała! To znaczy że za rok będziemy mieli w rękach twój...?

— Powiedzmy, że jeżeli nie za rok, to za dwa...

Córka spadła dziś na Pawła Nikołajewicza prawdziwą lawiną radości. Wiedział że zawiozła do Moskwy swoje wiersze, ale co innego wypełnione maszynowym pismem kartki, a co innego książka na której widnieją litery А л л а R u s a n o w a. Jakaż to długa droga!

— Ale jakże ci się to udało?

Ała uśmiechała się. Była zadowolona z własnej osoby. Miała uśmiech rozrzutny, zawsze gotowy uszczęśliwić każdego.

— Oczywiście jeżeli się idzie od razu do wydawnictwa i proponuje wiersze, to w ogóle nikt z tobą nawet nie zechce rozmawiać! Tam toczy się walka na noże! Ale Anna Jewgieniewna poznała mnie z M., potem z S., przeczytałam im kilka moich wierszy, spodobały się, do kogoś tam zatelefonowali, do kogoś napisali, i wszystko poszło jak z płatka.

— To cudownie! — Paweł Nikołajewicz jaśniał najwyższą radością. Namacał na szafce okulary i włożył je, jak gdyby już teraz zamierzał czytać upragnioną książkę swojej córki.

Diomka po raz pierwszy w swoim życiu oglądał żywego poetę, ba nawet nie poetę lecz poetkę, i nawet usta otworzył w zdumieniu.

— Przyjrzałam się doskonale życiu pisarzy. Niezwykle proste między nimi stosunki! Laureaci, a jednak wszyscy są między sobą na ty! Wcale nie pyszni, dobroduszni! My sobie wyobrażamy, że pisarz siedzi gdzieś w chmurach, głowę unosi, ani mowy żeby się do niego zbliżyć! A to nieprawda! Kochają radosne życie,

lubią wypić i zjeść, pohulać — i zawsze w towarzystwie! Kpią sobie jeden z drugiego — ależ zgrywa! Powiedziałabym, że ich życie jest właśnie wesołe! Ale przychodzi czas że trzeba napisać powieść, każdy zamyka się w swojej willi na dwa-trzy miesiące, i dopiero potem proszę — oto książka! Niesłuchanie mi się to życie podoba — samodzielne, swobodne, godne! O nie, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby dostać się do Związku Pisarzy!

— Jak to — Paweł Nikołajewicz trochę się przestraszył. — Nie zamierzasz pracować w twoim zawodzie?

— Tatu! — Awieta zniżyła głos. — Dziennikarstwo to jednak lokajski zawód. Dają ci zlecenie — to i to, żadnego marginesu, rób wywiady z takimi to i takimi znakomitymi ludźmi. No, nie ma żadnego porównania! Wiesz, jeden z pisarzy, kiedy dostał się do Związku, zaraz nauczył żonę i siostrzenicę. I wszyscy piszą!

— Nieźle!

— Bo literatura przynosi zyski!

— Ała, ja jednak mam moje obawy. A nuż ci nie wyjdzie?

— Jakże może nie wyjść! Jesteś naiwny. Gorkij mówił, że każdy człowiek może zostać pisarzem! Pracując, osiąga się wszystko! W ostatecznym razie zostanę pisarką dla dzieci, to już na pewno każdy potrafi!

— Tak, to bardzo dobrze — zastanawiał się Paweł Nikołajewicz. — To znakomicie. Naturalnie trzeba, żeby do literatury wchodziłi ludzie zdrowi moralnie.

— Przy tym mam doskonałe nazwisko, dźwięczne! Nie chcę żadnego pseudonimu. Ponadto zewnętrzne warunki mam, jeśli chodzi o literaturę, zupełnie wyjątkowe!

— Ałoczka, a jeżeli ci nie wyjdzie? Wiesz jak to jest, trzeba każdego człowieka opisać, żeby był podobny...

— Mam pomysł. Po co zawracać sobie głowę każdą występującą postacią, to przecież wcale nie potrzebne! Mam zamiar zostać awangardystką: będę opisywać całe kolektywy, szerokim zamachem pędzla! Ostatecznie przecież życie to kolektyw, a nie poszczególne jednostki!

— Chyba masz rację! — musiał przyznać Paweł Nikołajewicz. Istniało jednak pewne niebezpieczeństwo, którego córka w swoim entuzjazmie mogła nie zauważyć. — Wyobraź sobie, że krytyka zacznie ci wymyślać! Przecież u nas to mniej więcej odpowiada społecznemu potępieniu, to niebezpieczne!

Awieta patrzyła w przyszłość bez lęku. Z włosami odrzuconymi do tyłu wyglądała jak Amazonka.

— Powiedzmy, że bardzo poważnie nikt mnie nie zwymyśla,



z tej prostej racji że w tym co napiszę nie będzie żadnych ideowych odchyień. A jeśli chodzi o stronę artystyczną, Panie Boże, komuż nie wymyślają! Na przykład Babajewskij — wszyscy go chwalili, potem wszyscy zaczęli ganić, wyrzekli go się, nawet ci najwierniejsi. Ale to chwilowe zjawisko, zastanowią się, zmieniają opinię. To są wszystko te ostrożne nawroty, to wypełnia życie. Na przykład mówiono: „Nie powinno być żadnych konfliktów!” A teraz powiada się, że teoria głosząca nieobecność konfliktów „jest kłamliwa”! Gdyby istniała różnica zdań, gdyby jedni mówili tak jak dawniej a inni tak jak obecnie, to wszyscy by zauważyli, że coś się zmieniło. Ponieważ jednak wszyscy mówią inaczej i nie ma żadnego przejścia, to nikt nie widzi że nastąpił przełom. A ja powiadam: najważniejsze — zachowywać się taktownie i we właściwym czasie chwytając nowe tendencje! W ten sposób nie ma mowy abyś padł ofiarą krytyki... To tak! Tatusiu, tyś przecież prosił o książki, przywiozłam ci mnóstwo książek. Teraz najlepszy czas na czytanie książek, bo kiedy indziej nie będziesz miał czasu!

— Masz tu „Bałtycką wiosnę”. „Zabij go!” — prawda, to są wiersze, chcesz przeczytać?

— „Zabij go!” — dobrze, niech będzie.

— „U nas poranek”, „Światło nad ziemią”, „Pracownicy pokoju”, „Kwitające góry”...

— Zaraz... „Kwitające góry” to ja już, zdaje się, czytałem...

— Czytałeś „Kwitającą ziemię”, a to są „Kwitające góry”. Także — „Młodość jest z nami”, to obowiązkowo, od tego musisz zacząć lekturę. Same tytuły podnoszą na duchu, specjalnie dla ciebie wybierałam.

— No dobrze, no to zostaw! — powiedział wielce zadowolony Paweł Nikołajewicz.

Na szafce Rusanowa spiętrzyło się kilka książek, zupełnie tak samo jak na szafce Zadyrki.

Awieta już zbierała się do wyjścia.

Ale Diomka, który w swoim kąciku długo się męczył i mitrężył, czy to dlatego że ciągle bolała go noga, czy też nie ośmielając się wejść w rozmowę z tą wspaniałą dziewczyną i poetką, nagle nabrał odwagi i odezwał się. Gardło miał zachrypnięte, a do tego jeszcze chwycił go kaszel w połowie zdania.

— Proszę bardzo, powiedzcie — zapytał Diomka. — A jak wy się zapatrujecie na zagadnienie szczerości w literaturze?

— Jak, co? — Awieta zwróciła się do niego z żywością, ale także z wyrozumiałym uśmiechem, bo ten schrypnięty głos od razu zdradził jej całą nieśmiałość Diomki. — To już i tu owa



szczerść w literaturze dała znać o sobie? Całą redakcję za tę szczerść przepędzili, a ona ciągle się objawia?

Awieta patrzyła na Diomkę, na twarz tego niedokształconego ciemniaka, i głęboko westchnęła. Czasu nie miała na zrobienie wykładu, ale jednocześnie nie chciała zostawić pod złym wrażeniem tego chłopaczka.

— Słuchaj, mały! — powiedziała silnym, dźwięcznym głosem, jak gdyby przemawiała siedząc na katedrze. — Ten, co napisał ten artykuł, wszystko wykręcił do góry nogami, albo nie przemyślał we właściwy sposób. Szczerść nigdy nie powinna być głównym nastawieniem pisarza. Jeżeli nastawienie jest niesłuszne, to szczerść może okazać się szkodliwa, ponieważ jeszcze wzmacnia negatywne działanie utworu. Subiektywna szczerść może wejść w konflikt z prawidłowo pokazanym obrazem życia. Czy chwytnie tę dialektykę?

Wywód Awiety nie bardzo trafił Diomce do przekonania.

— Niezupełnie — oświadczył, z wysiłkiem marszcząc czoło.

— Dobrze, zaraz wam wytłumaczę! — Awieta rozłożyła ręce, biały zygzak przebiegał z ramienia na ramię jak błyskawica. — Najłatwiej wziąć negatywne fakty i realistycznie je opisać. Ale żeby pokazać te pędy przyszłości, których jeszcze nie widać, trzeba orać bardzo głęboko...

— Pędy...

— Że co?!

— Pędy powinny same wyrosnąć — pośpiesznie wtrącił Diomka. — A jeżeli je zaorać, to w ogóle nie wyrosną.

— Dobrze, chłopcze, przecież my nie mówimy o rolnictwie. Mówienie ludziom prawdy wcale nie polega na pokazywaniu ujemnych faktów, na podkreślaniu błędów i niedociągnięć. Należy bez obawy mówić o rzeczach dodatnich, aby udoskonalać je jeszcze bardziej! Skąd się bierze to fałszywe żądanie tak zwanej „surowej prawdy”? I niby dlaczego ta prawda musi być surowa? Odwrotnie — powinna być pociągająca, świetna, optymistyczna! W naszej literaturze powinien panować świąteczny nastrój! Ostatecznie, ludzie obrażają się jeżeli ich życie opisuje się w czarnych barwach. Natomiast podoba im się, jeżeli literatura upiększa ich życie.

— Ogólnie biorąc, można się z tym zgodzić — zabrzmiał niegłośny ale dźwięczny i przyjemny męski głos. — Istotnie, nie ma sensu wprowadzać czytelników w smutny nastrój.

Naturalnie Awieta nie potrzebowała żadnego sojusznika, ale mając powodzenie we wszystkim wiedziała z góry, że jeżeli ktoś się odezwie, to aby opowiedzieć się po jej stronie. Zwróciła się ku mówiącemu, światło z okna padło na jej tors i biały zygzak

stał się jeszcze jaśniejszy. Młody, przyjemnie wyglądający mężczyzna, rówieśnik Awiety, postukiwał o zęby końcem czarnego długopisu.

— Po co istnieje literatura? — zastanawiał się Zadyrko i nie wiadomo było, czy mówi do Ałły czy do Diomki. — Literatura jest po to, żeby dostarczać rozrywki kiedy znajdujemy się w kiepskim nastroju.

— Literatura uczy nas jak żyć — powiedział Diomka sztucznym basem i natychmiast poczerwieniał, zdając sobie sprawę, że wypadło bardzo niezręcznie.

Wadim odrzucił głowę do tyłu.

— Też mi nauczyciel! W życiu damy sobie rady i bez literatury! Cóż to, pisarze są mądrzejsi od nas, praktyków?

Zamienił z Ałłą spojrzenie. Oboje byli mniej więcej w tym samym wieku i musieli się sobie nawzajem podobać, ale ich spojrzenia nie wyrażały żadnej zachęty. Mieli zbyt wyraźnie wytyczone przed sobą drogi życiowe, aby w pierwszym przypadkowym spojrzeniu szukać początku przygody.

— Rola literatury jest w ogóle mocno przeceniana — wywodził dalej Wadim. — Wychwała się książki, które nie zasługują na pochwały. Na przykład „Gargantua i Pantagruel”. Dopóki nie przeczytasz, sądzisz że to coś wspaniałego. A po przeczytaniu widzisz, że sprosny, ordynarny utwór. Stracony czas!

— Element erotyczny — odpowiedziała surowo Ałła — istnieje również u współczesnych pisarzy. Jest potrzebny. W zestawieniu z najbardziej przodującą ideowością dodaje pewnego smaczku. Na przykład...

— Jest niepotrzebny — z pewnością siebie powiedział Wadim. — Drukowane słowo istnieje nie po to, by podniecać namiętności. Środki podniecające można kupić w aptece.

Nie patrząc więcej na Amazonkę w ciemnoczerwonym swetrze, nie dając jej czasu na replikę, Wadim znowu pochylił się nad czytaną książką.

Awieta martwiła się zawsze jeśli trafiała na ludzi, których opinie nie wypadały wyraziście. Opinie zawsze powinny dzielić się na dwie grupy: słuszne i niesłuszne, a nie rozłazić się we wszystkich kierunkach, powodując ideologiczną gmatwaninę. Tak jak teraz — w ogóle nie wiadomo było, czy ten młodzieniec zgadza się z nią czy też jest przeciw. Spierać się z nim, czy machnąć ręką?

Zrezygnowała i zwróciła się do Diomki, żeby skończyć z jego wątpliwościami.

— Więc tak, chłopcze! Proszę uważać! Opisywać to co istnieje jest o wiele łatwiej, niż opisywać to czego jeszcze nie ma,

ale wiesz że będzie. To co my oglądamy obecnie naszymi oczami, niekoniecznie musi być prawdą. Prawdą jest to co powinno być, co będzie jutro. I właśnie to nasze cudowne jutro należy opisywać!

— Dobrze, a jak przyjdzie to jutro, to co będą opisywać?  
— tępy chłopak nie przestawał marszczyć czoła.

— Jutro? Jutro będą opisywać pojutrze! Z zachwytem!

Tępawy trafił się chłopaczek, szkoda było tracić dla niego czas i argumenty. Ale Awieta wiedziała, że należy walczyć o uświadamianie mas, więc doprowadziła swój wywód do końca.

— Artykulik, o który ci chodzi, jest szkodliwy. Obrażliwie, w czambuł oskarża pisarzy o brak szczerości. Tylko drobnomieszczenie ustosunkowują się do pisarzy bez szacunku. Pisarzy należy wysoko cenić — to są pracownicy, ludzie pracy! Oskarżać o brak szczerości można tylko pisarzy zachodnich, bo są sprzedajni, bo w przeciwnym razie nikt by nie kupował ich książek. Na Zachodzie wszystko jest za pieniądze.

Podniosła się i stanęła między łózkami — silna, dobrze zbudowana, zdrowa, nieodrodna Rusanowa. Paweł Nikołajewicz z przyjemnością wysłuchał lekcji udzielonej Diomce przez córkę.

Ała ucałowała ojca i triumfalnym gestem podniosła rozczapierzone pięć palców.

— A teraz, ojcze, musisz walczyć o swoje zdrowie! Zmagaj się, kuruj się, likwiduj tę opuchlinę i nie przejmuj się niczym! — Te ostatnie słowa podkreślała z rozmysłem. — Wszystko, absolutnie wszystko będzie dobrze!

*Koniec pierwszej części*

1963-1966





## RZEKA GINAĆA W PIASKACH

3 marca 1955 roku.

Drodzy Eleno Aleksandrowna i Nikołaju Iwanowiczu!

Oto zagadkowy obrazek — co to jest i gdzie? W oknach kraty, co prawda tylko na pierwszym piętrze, chroniące przed złodziejami, przy tym dość fantazyjne, w kształcie promieni wychodzących z jednego kąta. Również nie ma pudeł ograniczających widzenie. W pokojach łóżka z pościelą. Na każdym łóżku — wystraszony człowieczek. Rano dzienna racja: cukier, herbata (odstępstwo od reguły, bo i śniadanie). Przed południem ponure milczenie, nikt z nikim nie chce rozmawiać, za to wieczorem — hałas, ogólne, ożywione dyskusje. Spory o to czy należy lufciki otworzyć czy zamknąć, co dobrego albo złego nas oczekuje, a nawet o to z ilu cegieł zbudowany jest meczet w Samarkandzie. Za dnia wywołują pojedynczo — na rozmowy z oficjalnymi osobami, różne procedury, wizyty krewnych. Gra w szachy, książki. Paczki żywnościowe, kto je otrzymał, ten wbija aż trzeszczy! Niektórzy otrzymują dodatkowe odżywianie, ale nie donosiciele (jestem całkowicie przekonany, bo sam otrzymuję). Od czasu do czasu rewizja, odbierają przedmioty osobistego użytku, trzeba je ukrywać i walczyć o prawo do spacerów. Łaźnia stanowi najważniejsze wydarzenie, a zarazem kłopot: czy będzie ciepło, czy starczy wody dla wszystkich, jaką wydadzą bieliznę? Kupa śmiechu kiedy przyprowadzają nowicjusza, który zaczyna zadawać najbardziej nonsensowne pytania, ani podejrzewając co go tu oczekuje...

No co, już się domyślicie? Zapewne, powiecie że się przełgałem. Jeżeli więzienie etapowe, to skąd pościel? Jeżeli śledcze — to gdzie nocne badania? Zakładając że list zostanie przeczytany na poczcie w Usz-Tereku, nie próbuję szukać innych analogii.

A więc już pięć tygodni tego rodzaju bytowania na oddziale chorych na raka. Chwilami wydaje mi się, że wróciłem do dawnego życia, które nigdy się nie skończy. Najbardziej zadręcza, że nie znam daty wyjścia, zależy od specjalnej decyzji. W komendaturze otrzymałem pozwolenie tylko na trzy tygodnie. Formalnie biorąc, już je przeterminowałem, mógłbym pójść pod sąd jak za próbę ucieczki. Nie mówią kiedy zwolnią, niczego nie obiecują. Widocznie mają takie medyczne instrukcje, żeby z każdego chorego wycisnąć wszystko co się da, i zwolnić dopiero wtedy, kiedy krew zupełnie już przestanie reagować na ich kurację.

A oto skutki: ten nastrój euforii, jakeście to określili w poprzednim liście, który opanował mnie po dwóch tygodniach leczenia, kiedy z taką radością wracałem do życia — minął bez śladu. Bardzo żałuję, że wtedy nie uparłem się przy zwolnieniu. Cała pozytywna część mojej kuracji już poza mną — pozostaje część najgorsza.

Otrzymuję codziennie dwa seanse naświetlania rentgenem, każdy trwa dwadzieścia minut, po trzysta jednostek. Wprawdzie już dawno zapomniałem o bólach, które mnie dręczyły gdy wyjeżdżałem z Usz-Tereku, ale za to mam stałe mdłości. Drodzy przyjaciele! — cóż to paskudztwo te rentgenowskie mdłości! Co prawda, może przyczyniają się do nich także zastrzyki. Zacznie ssać w dołku — i tak godzinami! Oczywiście przestałem palić — odechciało się samo przez się! Sytuacja zupełnie obrzydliwa — nie mogę spacerować, nie mogę usiedzieć na miejscu, wynalazłem tylko jedną możliwą pozycję: bez poduszki, na wznak, nogi trochę podnieść do góry, zaś głowę nieco zwiesić z łóżka. Właśnie w takiej pozycji teraz piszę, więc ołówkiem wychodzi trochę krzywo.

Kiedy wołają na następny seans, to już od progu gabinetu rentgenologicznego, gdzie panuje niesamowity zaduch, lękam się że zaraz zwymiotuję. Trochę pomagają na te mdłości kiszzone ogórki i kapusta, ale ani w klinice ani w całym szpitalu nie można kupić, a za bramę pacjentom nie wolno wychodzić. „Niech wam — powiadają — krewni przynoszą!” Krewni! Nasi krewni, wiadomo, w krasnojarskiej tajdze biegają na czworakach! Cóż więc pozostaje nieszczęsnemu aresztantowi? Wkładam buty, zapinam na babskim szlafroku żołnierski pas i przekradam się tamtędy, gdzie mur szpitalny jest częściowo zrujnowany. Przechodzę przez tory kolejowe i po pięciu minutach już jestem na targu. I w uliczkach i na samym targu mój wygląd nie budzi ani zdziwienia, ani śmiechu. Widzę w tym moralne zdrowie naszego ludu, który przyzwyczał się już do wszystkiego. Łążę po targowisku ponury i targuję się, jak tylko jedni łagiernicy potrafią. Patrzą na tłustą



białą kurę i powiadam przez nos: „Cóż ty, ciociu, za suchotniczego kurczaka taką cenę zaśpiewałaś?” A skąd mam rubelki? W jaki sposób do nich doszedłem? Mój dziadek zawsze powiadał: „Po kopiejce do rubla, od rubla do setki!” Mądrego miałem dziadka!

Tylko ogórki trochę mnie ratują. Na początku kuracji zjawił się apetyt, ale go znowu straciłem. Mimo rentgena zacząłem nabierać ciała — teraz znowu chudnę. Głowa ciężka, któregoś dnia dostałem silnych zawrotów. Co prawda, nowotwór zmniejszył się do połowy, miękki, z trudnością wymacuję go palcami. Ale gorzej z krwią, faszują mnie różnymi medykamentami, żeby zwiększyć ilość leukocytów (a przy okazji uszkodzić co innego!), to znaczy (ależ język!) sztucznie wywołać wzrost białych krwinek! W tym celu chcą stosować laktoterapię, czyli zastrzyki mlecznego białka! Wyobraźcie sobie co za barbarzyństwo! Mleko zastrzykiwać! Niech postawią przede mną kubek mleka prosto od krowy, wtedy i owszem! Za żadne skarby nie zgodzę się na te zastrzyki!

Ponadto grożą transfuzją krwi. Również nie chcę się zgodzić. Na szczęście mam pierwszą grupę krwi, a tę rzadko dostarczają.

W ogóle mam nie najlepsze stosunki z lekarką. Kobieta z charakterem. Ostatnio zbadała mi tors i oświadczyła, że nie ma żadnej reakcji na sinestrol, że widocznie wykręcam się od zastrzyków, że ją oszukuję. Naturalnie oburzyłem się, ale tak między nami, owszem, oszukuję...

Za to w stosunku do doktorki, która mnie leczy, trudno zachowywać się tak twardo — a dlaczego? Bo za bardzo łagodna. Pamiętam, Nikołaju Iwanowiczu, że kiedyś zaczęliście mi tłumaczyć skąd się wzięło powiedzenie — „łagodne słowo kości łamie”. Bardzo was proszę, przypomnijcie! Więc ta doktorka nie tylko nigdy nie nakrzyczy, ale nawet brwi nachmurzyć we właściwy sposób — nawet i tego nie potrafi. Coś tam ordynuje wbrew mojej woli i natychmiast spuszcza oczy. Więc zaraz ulegam. Zresztą niektórych szczegółów nie mogę z nią omawiać, jest jeszcze młoda, młodsza ode mnie, i jakoś niezręcznie wypytywać o wszystko aż do końca. A poza tym bardzo miła kobieta, budząca od razu sympatię. Oświadczyła mi — dobrze pamiętam — że jest mężatką, a potem wyszło na jaw że żadnego męża nie ma i nie było. Widocznie paniństwo przeżywa jako swego rodzaju upokorzenie i właśnie dlatego skłamała.

Jednocześnie tkwi w niej naukowe sztywniactwo. Wierzy bezwzględnie w ustalone metody leczenia, i ani rusz nie mogę w niej wzbudzić najmniejszej wątpliwości. W ogóle nikt nie raczy zniżyć się na tyle by omawiać ze mną metody leczenia, nikt nie chce mnie uznać za rozsądnego rozmówcę. Muszę przysłuchiwać się rozmowom lekarzy, domyślać się, dopowiadać sobie to co

nie zostało powiedziane, zdobywać podręczniki medyczne i w ten sposób wyjaśniać sobie po trosze prawdziwą sytuację.

A jednak niezmiernie trudno powziąć decyzję: jak właściwie mam się zachować? Często badają pod obojczykami, a czy istnieje prawdopodobieństwo przerzutów...? Po co poddają mnie obstrzałowi tych tysięcy rentgenowskich jednostek? Czy rzeczywiście po to żeby nowotwór się nie powiększał, czy też na wszelki wypadek, na zapas, pięciokrotnie i dziesięciokrotnie więcej, tak jak buduje się mosty? A może chodzi jedynie o wykonanie bezdusznej, obojętnej instrukcji, której nie mogą nie wykonać, gdyż w przeciwnym razie zostaną pozbawieni swojej pracy? A przecież mógłbym od nich odejść! Przecież mógłbym przerwać ten fatalny krąg, byle tylko powiedziano mi prawdę! Ale nie — nie chcą powiedzieć!

Nie żądam długiego życia. Nie planuję niczego na przyszłość. Przebywałem tyle czasu pod aresztanckim konwojem, potem męczyłem się w bólach — a teraz chciałbym żyć jakiś czas bez konwoju i bez bólu, bez jednego i drugiego — i to jest kres moich marzeń! Nie pragnę jechać do Leningradu, ani do Rio de Janeiro, chcę do naszego zapadłego kąta, do skromnego Usz-Tereku. Zbliża się lato, chcę tego lata spać pod gwiazdami i według gwiazdozbioru Łabędzia albo Pegaza odgadywać która godzina. Tylko jeszcze to jedno lato tak żyć, żeby oglądać gwiazdy, a nie żadne tutejsze neony — a potem w ogóle nie zależałoby mi na przebudzeniu. A także, Nikołaju Iwanowiczu, pragnąłbym razem z wami (i oczywiście z Żukiem i Tobikiem) iść, kiedy zelży upał, stopową ścieżką na rzekę i tam, gdzie woda w Czu jest głębsza, gdzie sięga prawie do kolan, usiąść na piaszczystym dnie, wyciągnąć nogi z nurtem i siedzieć długo-długo, rywalizując swoją nieruchomością z czaplą, stojącą na tamtym brzegu.

Ta nasza rzeczka, nasza Czu, nie dopływa do żadnego morza, do żadnego jeziora, do żadnej większej wody... Rzeka, która kończy swoje istnienie wśród piachów pustyni! Rzeka, która nie płynie donikąd, która swój nurt, całą swoją siłę roztrwania po drodze, przypadkowo, w darze przyjaciołom — czyż to nie jest symbol naszego więziennego, zesłańczego losu?! Nam także już nie sążone niczego dokonać, zagubimy się w jałowym piachu bez chwały, a jedyne co nam jeszcze pozostało, to ten spokojny zakręt rzeki, kiedy jeszcze żyjemy, a pamięć o nas to ta odrobina wody, podawana sobie nawzajem w połączonych dłoniach — przyjazne spotkanie, rozmowa, pomoc...

Rzeka, która gubi się w piachu! Ale lekarze chcieli mnie poznać nawet tego ostatniego zakrętu nurtu. Jakim prawem (nawet nie przyszło im do głowy zapytać jakim prawem!), w ogóle mnie nie pytając, bez mojej woli, decydują się na taką straszliwą

kurację jak hormonoterapia? To przecież jak dotknięcie rozpalonym żelazem, które czyni z człowieka kalekę na całe życie! I tak to powszednio wygląda w powszednim życiu szpitala!

Już przedtem, od dawna, zastanawiałem się — a obecnie coraz bardziej — jaka jest właściwie najwyższa cena życia. Jaką cenę wolno zapłacić, a jakiej nie wolno? W szkołach uczą, że życie to najcenniejsze co człowiek posiada, bo żyje się tylko raz. To znaczy — trzymaj się życia za każdą cenę... Wielu z nas zrozumiało w obozie, że zdrada, posyłanie na zgubę przyzwoitych, bezbronnych ludzi, to jednak cena zbyt wygórowana i tego nasze życie nie jest warte. Powiedzmy, służalczość, pochlebstwo, kłamstwo — tu już opinie w obozie były podzielone, mówiono że ostatecznie można taką cenę przyjąć — i kto wie, może istotnie tak jest.

Ale tu chodzi o cenę zupełnie inną. Tu trzeba zapłacić za utrzymanie się przy życiu tym wszystkim, co mu daje smak, barwę, wzruszenie! Otrzymać życie tylko po to, żeby oddychać, odżywiać się, poruszać się i myśleć — i nic więcej! Stać się chodzącym schematem. Czy to nie nazbyt wygórowany koszt? Czy to nie kpiny? Czy zapłacić taką cenę? Siedem lat w wojsku, siedem lat w obozie, dwukrotny termin, jak w bajce albo w biblijnej opowieści, a potem zostać ni to mężczyzną ni kobietą — czy ta cena nie jest zbyt lichwiarska?

Nie wahałbym się ani chwili, zwymyślałbym tych lekarzy i dawno wyjechał, ale nie uzyskałbym wówczas żadnego *z a ś w i a d c z e n i a* — boskie zaświadczenie! — a wiadomo jak bardzo jest ono potrzebne zesłańcowi. Być może, jutro komendant albo operatywny kierownik zechce mnie wysłać na trzysta kilometrów w głąb pustyni, a ja już chwytam za zaświadczenie, proszę, obywatelu naczelniku, oto posiadacz tego papierka wymaga stałej obserwacji i leczenia! Stary aresztant nigdy nie zrezygnuje z takiego zaświadczenia — to absolutnie wyklucone!

A więc znowu trzeba używać wybiegów, udawać, oszukiwać, łudzić — i tak przez całe życie, jakże się to już uprzykrzyło! Co prawda, to ciągle wychytrzenie się powoduje, że zmęczeni popełniamy błędy. Ja sam wszystko wywołałem, kiedyś was poprosiłem o przysłanie mi listu od laborantki z Omska. Wręczyłem, złapali, załączyli do przebiegu mojej choroby i po niewczasie domyśliłem się, że kierowniczką oddziału mnie oszukała: właśnie teraz z całym przekonaniem stosuje hormonoterapię, a przedtem miała może jakieś wątpliwości.

Jak już wrócę do Usz-Tereku, to żeby opuchlina nie powodowała przerzutów, zacznę w nią bić wywarem z issyk-kulskiego korzenia. Jest coś szlachetnego w tym kurowaniu się gwałtowną

trucizną; trucizna nie udaje niewinnego lekarstwa, mówi wyraźnie: jestem trucizną, uważaj — albo-albo! I z góry wiadomo co ryzykujemy.

Wasz ostatni list (doszedł jakoś bardzo szybko — zaledwie pięć dni, poprzednie szły po osiem) mocno mnie podniecił. Jak to? — w naszym rejonie ekspedycja geodetów? Ach, to by dopiero było szczęście — znowu stanąć przy teodolicie! Przynajmniej przez jeden roczek popracować po ludzku! Ale czy by przyjęli? Przecież ciągle trzeba przekraczać granice wytyczone przez komendaturę, a ponadto wszystko niesłuchanie poufne, inaczej być nie może, a ja jestem człowiekiem zapaskudzonym.

„Most Waterloo” i „Rzym — miasto otwarte”, — tak bardzo te dwa filmy chwalicie, a ja już ich nie obejrzę: w Usz-Tereku po raz drugi wyświetlać nie będą, a tu żeby pójść do kina trzeba po zwolnieniu ze szpitala gdzieś przemocować, a gdzie?! I kto wie, czy z tego szpitala nie wyjdę na czworakach?

Chcicie mi podrzucić trochę grosiwa... Dziękuję. Początkowo zamierzałem odmówić: całe życie starałem się unikać długów (udawało się). Ale przypomniałem sobie że jeżeli umrę, to jakiś spadek po mnie jednak zostanie. Barani półkożuszek, uszyty w Usz-Tereku, to nie byle co! A dwa metry czarnego sukna, używanego zamiast koca! Poduszka wypchana pierzem, którą podarowali mi Mielniczukowie! Łóżko zbite z trzech skrzynek. Dwa rondle! Kubek, wywieziony z łagru! Łyżka! Nawet wiadro! Siekiera! Wreszcie lampa naftowa! Doprawdy, byłem wielce nieogłędny, że nie napisałem testamentu!

A więc będę wam niezmiernie wdzięczny, jeżeli przysłecie mi sto pięćdziesiąt rubli — nie więcej! Wasze zamówienie na mangan, sodę i cynamon zostało naturalnie przyjęte. Zastanówcie się i napiszcie, co jeszcze mam przywieźć? Może jednak zdecydujecie się na żelazko? Proszę się nie krępować — przywiozę!

Z waszych danych metereologicznych widzę, że w Usz-Tereku jeszcze zimno, trzymają się śniegi. A tu taka wspaniała wiosna, że aż nieprzyzwoicie i nie do wiary!

A *propos* metereologii. Kiedy zobaczycie Innę Sztrem, przekazcie jej moje serdeczne pozdrowienia. Proszę powiedzieć, że ja tu o niej często...

Chociaż może lepiej nie pozdrawiać...

Narzucają się jakieś niejasne uczucia, sam dobrze nie wiem czego chcę i do jakich pragnień mam prawo...

Ale kiedy przypomnę sobie nasze wspaniałe porzekadło, naszą wielką pocieszycielkę — „Mogłoby być gorzej!” — od razu podnoszę się na duchu. Już kto jak kto, ale my nie powinniśmy głowy opuszczać! Jeszcze jakoś powojujemy!

Elena Aleksandrowna podała, że w ciągu dwóch wieczorów napisała dziesięć listów. Pomyślałem, że taka współczująca i wytrwała pamięć o ludziach jak u was to dziś bardzo rzadkie zjawisko. Któż teraz zechce całe wieczory poświęcać obcym, oddalonym osobom?! Dlatego tak bardzo lubię pisać do was długie listy, bo wiem że przeczytacie na głos, a potem powtórzycie, dokładnie pomyślicie nad każdym zdaniem i odpowiecie na wszystko.

Kochani przyjaciele, pozostaniecie takimi zawsze i przyjmijcie życzenia wszelkiej pomyślności od

waszego Olega

23.

### PO CO ŹLE ŻYĆ?

Piątego marca dzień wypadł dość plugawy, padał zimny, drobny deszcz. Na szpitalnej sali ożywienie i poważne zmiany: Diomka, który uprzedniego dnia podpisał zgodę na operację, przeniósł się o piętro wyżej, na oddział chirurgiczny; ponadto podrzuciono dwóch nowych pacjentów.

Jeden z nich zajął właśnie łóżko Diomki — w kącie, koło drzwi. Był wysoki, ale mocno przygarbiony, z plecami w kabłąk, z przedwcześnie postarzałą twarzą. Oczy miał do tego stopnia obrzękłe, dolne powieki tak opadnięte, że owale oczu zamieniły się w koła, przy czym białka były chorobliwie zaczerwienione, zaś piwne tęczówki wyogromniały. Starzec przyglądał się wszystkim tymi okrągłymi oczami z nieustanną i przez to nieprzyjemną uwagą.

W ostatnim tygodniu Diomka czuł się niedobrze: w nodze łamało i szarpało bez przerwy, nie mógł już spać i zajmować się czymkolwiek, ledwie powstrzymywał się od jęków żeby nie przeszkadzać sąsiadom. Tak bardzo mu dopiekło, że przestał przywiązywać wagę do posiadania nogi, odwrotnie — stała się dla niego ciężarem, którego należy pozbyć się jak najszybciej. Operacja, która jeszcze przed miesiącem wydawała mu się końcem życia, teraz stawała się jedynym ratunkiem. Takim to zmianom podlegają ludzkie miary.

Diomka przedyskutował tę sprawę ze wszystkimi na sali, zanim podpisał zgodę na zabieg chirurgiczny, ale jeszcze i teraz, już po zebraniu w węzełek swoich rzeczy, żegnając się ze wszystkimi, tak starał się naprowadzić rozmowę żeby go przekonywali

i uspokajali. Wadim raz jeszcze powtórzył swoje: Diomka ma szczęście, że wykręca się takim tanim kosztem; on sam, Wadim, chętnie by się z nim zamienił.

Ale Diomka jeszcze zgłaszał wątpliwości.

— Kość ucinają piłą! Zwyczajnie piłują jak polano. Powiadają, że nawet pod narkozą słyhać.

Wadim nie umiał i nie lubił nikogo pocieszać zbyt długo.

— A cóż — nie ty pierwszy. Inni wytrzymywali, to i ty wytrzymasz.

I pod tym względem, jak pod każdym innym, Wadim utrzymywał swoją linię. Sam żadnej pociechy u nikogo nie prosił i nie przyjąłby. W udzielaniu słów pociechy widział jakąś słabość, poddawanie się religijnym przesądom.

Wadim zachowywał się w dalszym ciągu tak samo poważnie, a zarazem dumnie i grzecznie, jak za pierwszych dni swego pobytu w szpitalu, ale jego smagła cera przechodziła w żółtą, coraz częściej przez usta przebiegał skurcz powstrzymywanego cierpienia, na czole pojawiły mu się zmarszczki niecierpliwości czy też zdziwienia. Kiedy zaczął podejrzewać, że pozostało mu zaledwie osiem miesięcy, a mimo to jeszcze jeździł konno, potem poleciał do Moskwy, odbył rozmowę z Czeriegorodcem — w gruncie rzeczy wierzył, że uda mu się chorobę oszukać. Minął miesiąc, jeden z tych ośmiu miesięcy, a kto wie, może już nie pierwszy, lecz trzeci albo czwarty. Z każdym dniem chodzenie sprawiało mu coraz większy ból i już nawet nie marzył, że będzie w stanie konno wyjechać w teren. Ból pojawił się w pachwinie. Przeczytał trzy książki z sześciu przywiezionych, ale już nie był tak bardzo pewny, że radioaktywne wody ułatwiają zlokalizowanie rud kruszcowych; a że miało to dla niego ogromne znaczenie, nie czytał już z taką uwagą jak dawniej, nie wypisywał na marginesach tylu znaków zapytania i wykrzykników.

Wadim zawsze sądził, że życie jest naprawdę tylko wtedy wypełnione, gdy dnia nie starcza na pracę. A tu nagle dni zaczęły mu się dłużyć i jednocześnie zdał sobie sprawę, że życie staje się zbyt krótkie. Nadzwyczajna zdolność do studiowania wyraźnie osłabła. Rano nie budził się tak wcześnie żeby czytać dopóki na sali panuje zupełna cisza, a często po przebudzeniu leżał, z kocem narzuconym na głowę, i opadała go myśl że może lepiej byłoby zrezygnować ze wszystkiego, poddać się i już o nic nie walczyć. Koniec wypadnie lżej. Otaczający go nędzni ludzie i ich głupie rozmowy — wszystko to było dla niego udręką, i wbrew całemu swemu opanowaniu gotów był wyc jak zwierzę schwywane w potrzask: „No już dość, nie żartujcie dłużej, puście moją nogę!”

Matka Wadima znalazła dostęp do czterech wysokich dygni-



tarzy, ale nie zdołała zdobyć złota koloidalnego. Przywiozła z Rosji brzozywy grzyb, umówiła się z sanitariuszką, że będzie ona synowi przynosić wywar co drugi dzień, i natychmiast znowu pojechała do Moskwy szukać nowych kontaktów, zawsze z myślą o tym koloidalnym złocie. Nie mogła się z tym pogodzić, że potrzebne złoto gdzieś istnieje, gdy tymczasem u syna zjawiają się nowe przerzuty.

Diomka podszedł do Kostogłotowa, żeby się z nim pożegnać i usłyszeć co mu powie na rozstanie. Oleg leżał na ukos, po przekątnej łóżka, z nogami wysoko na oparciu, z głową zwisającą z materaca. Patrząc z dołu na Diomkę, wyciągnął do niego dłoń i cichutko radził na pożegnanie (trudno mu było mówić głośno, ból odzywał się w płucach):

— Diomka, tylko nie miej pietra! Lew Leonidowicz przyjechał — widziałem. Ten ci zgrabnie odetnie.

— Ale! — twarz Diomki przejaśniła się. — Sam widziałeś?

— Osobiście.

Wystarczyło żeby ten chirurg, ten dryblas o zbyt długich, obwisłych ramionach, zjawił się w klinice, a od razu wszyscy pacjenci podnosili się na duchu, jak gdyby sama jego obecność już miała zmienić wszystko na lepsze. Gdyby chirurgów najpierw pokazywano pacjentom, a następnie kazano wybierać, to chyba wszyscy wybraliby Lwa Leonidowicza. Zazwyczaj wałęsał się ze znudzoną miną po korytarzach szpitala, ale i ten jego wygląd natychmiast uzasadniano: nudzi się, bo dziś nie ma operacji.

Doskonałym chirurgiem była filigranowa Jewgenia Ustinowna i Diomka nic nie mógł mieć przeciw niej, a jednak w zupełnie innym, lepszym nastroju szedł na operację, której miały dokonać długie, owłosione jak u małpy, ręce Lwa Leonidowicza. Niezależnie od tego jak się to skończy, uratuje go czy nie, błędu nie popełni — co do tego Diomka miał absolutną pewność.

Zbliżenie między pacjentem i chirurgiem następuje na krótki czas, ale staje się silniejsze niż z rodzonym ojcem.

— Czy to dobry chirurg? — głucho zapytał nowoprzybyły, który ulokował się na łóżku Diomki. Wyglądał tak, jak gdyby go ktoś znieacka zaskoczył. Było mu zimno i nawet na sali nie zdejmował perkalowego szlafroka, luźno narzuconego na pizamę. Starzec oglądał się na wszystkie strony; sprawiał takie wrażenie, jak gdyby mieszkał w opustoszałym domu i zbudzony w nocy nagłym hałasem wyskoczył z łóżka nie bardzo wiedząc co mu grozi.

— Hmmm! — meknął Diomka niezmiernie zadowolony, jakby już było po operacji. — To ci dopiero chłop! Z fajerem! A wy co? Także będziecie się operować? Na co?



— Także! — nowoprzybyły nie powiedział więcej ani słowa, jak gdyby nie dosłyszał drugiej części pytania. Nie zdał sobie sprawy, że pytając o chirurga sprawił Diomce przyjemność, okrągłe, wpatrzone w jeden punkt oczy nie zmieniły swego wyrazu, i nie wiadomo było czy wpatruje się, czy w ogóle nikogo nie widzi.

Diomka poszedł, zaścielono łóżko dla nowoprzybyłego, ten usiadł, oparł się plecami o ścianę i znowu zapatrzył się ogromnymi oczami. Nie rozglądał się po sali, wpatrywał się w któregoś z pacjentów i przez dłuższy czas nie odrywał od niego wzroku. Potem przekręcał głowę i patrzył na innego. A może obok niego. Nie reagował na ruch i hałas na sali. Nie mówił, nie odpowiadał, nie pytał. Minęła godzina, tylko tyle zdołali wydobyć z niego, że pochodzi z Fergany. I od jednej z pielęgniarek dowiedzieli się, że nazywa się Szułubin.

To był puchacz, nic innego — tylko puchacz. Rusanow od razu rozpoznał te nieruchome, okrągłe oczy. I tak już było na tej szpitalnej sali całkiem niewesoło, a tu jeszcze doszedł puchacz. Ponury wzrok wbił w Rusanowa i wpatrywał się tak długo, że zrobiło się nieprzyjemnie. Wpatrywał się tak po kolei we wszystkich, jakby czymkolwiek mu zawinili. I od tego spojrzenia nastrój na sali zmienił się całkowicie.

Paweł Nikołajewicz otrzymał wczoraj dwunasty z kolei zastrzyk. Już zdążył przyzwyczać się do tych zastrzyków, już nie powodowały sennych majaczeń, ale za to bardzo osłabł i coraz częściej bolała go głowa. Co najważniejsze, wyjaśniło się że śmierć mu nie grozi — to tylko rodzina chwilowo wpadła w panikę. Opuchlina spadła do połowy, a to co jeszcze zostało na szyi wyraźnie zwiotczało i nie przeszkadzało ząnadto — głowa odzyskała swobodę ruchów. Tylko ta fizyczna słabość. To można by jakoś przezwyciężyć, to mogłoby nawet sprawić pewną przyjemność, gdyby się leżało w domu. Można czytać *Płomyczek* i *Krokodyla*, pić wzmacniające płyny, do zjedzenia wybierać coś co najbardziej smakuje, rozmawiać z miłymi osobami, słuchać radia. I pozostawałaby tylko świadomość fizycznej słabości, gdyby przy każdej wizycie Doncowa nie sprawdzała stanu gruczołów pod pachami, naciskając bardzo boleśnie palcami. Czegoś szukała, zaś po miesiącu pobytu na tej sali nie trudno było domyślić się o co chodzi, szukała nowej opuchliny. Wezwała go parę razy do swego gabinetu, kazała się kłaść i macała w pachwinie, także sprawiając mu ból.

— A co? — istnieje możliwość przerzutów? — z trwogą pytał Paweł Nikołajewicz. Od razu zniknęła radość wywołana zmniejszeniem się opuchliny.

— Po to właśnie leczymy, żeby przerzutów nie było! —  
Doncowa potrząsała głową. — Ale trzeba jeszcze sporo zastrzy-  
ków.

— Ile? — Rusanow wpadał w przerażenie.

— Z czasem przekonamy się.

Lekarze nigdy nie mówią dokładnie.

Rusanow tak osłabł po tych dwunastu zastrzykach a tu trzeba było wytrzymać drugie tyle! I tak już lekarze kiwali głowami, oglądając analizy jego krwi. Nie kijem to pałką, ale choroba nie chciała się odczepić. Opuchlina zmniejszała się, ale to już nie sprawiało najmniejszej radości. Dni wlekły się ospale, Paweł Nikołajewicz rzadko podnosił się z łóżka. Na szczęście Ogłojed także się uspokoił, przestał wykrzykiwać i odszczekiwać się, teraz dopiero widać było że nie udaje, że i jego skrzyła choroba. Coraz częściej zwieszał głowę z łóżka i tak leżał całymi godzinami, z przymkniętymi oczami. Paweł Nikołajewicz brał proszki przeciw bólowi głowy, kładł na skronie zwilżone ręczniki, osłaniał oczy od światła. Leżeli obok siebie godzinami, spokojnie, i nie było już mowy o kłótniach.

W międzyczasie na półpiętrze, gdzie przedtem leżał mały człowieczek który oddychał tlenem (zabrano go do trupiarni), wywieszono hasło wymalowane jak należy białymi literami na długim czerwonym transparencie:

„Pacjenci! Prosimy nie rozmawiać między sobą o waszych chorobach!”

Naturalnie byłoby lepiej, gdyby na takim transparencie, tak rzucającym się w oczy, umieszczono hasło dotyczące październikowego albo pierwszomajowego święta, ale zważywszy okoliczności życiowe także i to hasło miało swoje znaczenie i już kilka razy Paweł Nikołajewicz powoływał się na nie, powstrzymując pacjentów którzy zaczynali puszcząć w ruch tę nieznośną katarzynkę.

W ogóle patrząc na zagadnienie z ogólnopństwowego punktu widzenia, najwłaściwiej byłoby chorych na raka nie zbierać na jednym oddziale, lecz raczej rozsiewać po zwykłych szpitalach, żeby jeden drugiego nie straszył. Poza tym chorym nie należałoby mówić prawdy, byłoby to bardziej humanitarne.

Na sali ludzie ciągle się zmieniali, ale żaden z nowych nie przychodził w wesołym nastroju — zawsze przygnębieni, pozbyci sił. Tylko jeden Achmadżan, który już nie chodził o kuli i szykował się do wyjścia ze szpitala, szczyrzył białe zęby, ale nikogo prócz siebie nie potrafił rozweselić. Najwyżej budził uczucie zazdrości.

A tu nagle, w jakieś dwie godziny po przybyciu ponurego starca, kiedy wszyscy leżeli w łózkach, dzień był szary i markotny, szyby schlastane deszczem przepuszczały tak mało światła, że już przed obiadem chciało się zapalić lampy i wszyscy pragnęli, żeby wieczór przyszedł jak najszybciej — nagle, wyprzedzając pielęgniarkę, na salę wbiegł żywym, pewnym krokiem niewysoki mężczyzna. Wpadł z takim pośpiechem, jakby wszyscy tylko na niego czekali, sformowani w szeregu i znużeni czekaniem. Zatrzymał się, zdziwiony że wszyscy leżą ospale na łózkach. Nawet zagwizdał i zaczął ich energicznie łącać:

— Cóż to, braciszku, siedzicie jak mokre kury?! I nóżki pod siebie podkurzyliście! — Mimo że nie byli przygotowani na jego spotkanie, pozdrowił ich półwojskowym gestem, jak gdyby salutując. — Nazywam się Maksim Pietrowicz Czałyj! Polecam się łaskawym względom! Spoczniej!

Na jego twarzy nie znać było zmęczenia chorobą, uśmiechał się wesoły i pewny siebie, więc niektórzy — wśród nich również Paweł Nikołajewicz — odpowiedzieli mu uśmiechem. Po miesiącu pobytu wśród tych mazgajów, nareszcie trafił się żywy człowiek!

— Ta-ak... — nie pytając nikogo, przybysz sam zorientował się które jego łóżko, i pomaszerował do niego, głośno przytupując. Wolne po Mursalimowie łóżko stało obok Pawła Nikołajewicza. Czałyj usiadł, pohuśtał się i natychmiast zawyrokował: — Amortyzacja na sześćdziesiąt procent. Widać, że naczelny lekarz zbytnio się nie nadwreża...

Zaczął wywracać kieszenie, ale niewiele było do wywracania. Ręce puste, w jednej kieszeni brzytwa, w drugiej talia prawie zupełnie nieużywanych kart. Przeciągnął palcami po talii z trzaskiem, popatrzył sprytnymi oczami na Pawła Nikołajewicza i zapytał:

— W karcie rżnicie?

— Czasami — odpowiedział przyjaźnie Paweł Nikołajewicz.

— Preferans?

— Raczej nie. Najczęściej w durnia.

— To nie żadna gra — surowo zauważył Czałyj. — A w sztosie? W winta? W pokera?

— Gdzież tam! — Rusanow zmieszał się. — Czasu nie było na naukę.

— Nauczmy, gdzie się uczyć, jak nie tu! — Czałyj ożywił się jeszcze bardziej. — Jak to się mówi: nie umiesz — nauczmy, nie chcesz — zmusimy!

I znowu śmiał się. Miał za duży jak na niego nos — wielki, mięsisty, zaczerwieniony. Ale właśnie dzięki temu nosowi twarz

przybysza nastrojała przychylnie, robiła wrażenie szczerzej i dobrodusznej.

— Najlepsza gra to poker! — oświadczył autorytatywnie. — Stawki w ciemno!

Już był pewny Pawła Nikołajewicza, już oglądał się za innymi partnerami. Ale nikt z najbliższych sąsiadów nie zdradzał ochoty.

— Ja! Ja chcę się nauczyć! — wołał z tyłu Achmadżan.

— Dobra! — pochwalił go Czałyj. — Poszukaj czegoś do przerzucenia między łózkami.

Obrócił się, ujrzał nieruchomy wzrok Szużubina, a za nim Uzbeka w różowym zawoju, o cienkich zwisających wąsach, jakby ukręconych ze srebrzystych nitok — i wtedy właśnie weszła Nella z wiadrem i ścierką, chociaż godzina była niewłaściwa na szorowanie podłogi.

— O! — Czałyj z miejsca wydał ocenę. — To ci dziewczucha rozłożysta! Gdzieżeś się przedtem podziewała? My byśmy się mogli razem na huśtawce pobujać!

Nella wypięła grube wargi, co oznaczało u niej uśmiech.

— A cóż, i tera nie za późno. Aleś chory, gdzie tam takiemu słabeuszowi!

— Jeśli chłopak do rzeczy — na brzuchu się wyleczy! — rąbał Czałyj. — A może przy mnie dudy w miech?

— Et, co tam w tobie z chłopca zostało! — droczyła się Nella.

— Dla ciebie — o, tyła, przebiję na wylot! — Czałyj nie dawał za wygraną. — Stawaj na czworakach do szorowania, chciałbym cię obejrzeć od facjaty!

— A czemu nie, patrz — to u nas za darmo — Nella była dziś w dobrodusznym nastroju. Rzuciła mokrą ścierkę pod najbliższe łóżko i uknęła do pracy.

A może Czałyj wcale nie był chory? Z wyglądu nie można było poznać, a i twarz nie wyrażała żadnego cierpienia. A może trzymał się tak siłą woli, dawał przykład jak w naszych czasach powinien się zachowywać swój człowiek? Paweł Nikołajewicz przyglądał się Czałemu z zazdrością.

— A właściwie — zapytał cicho, żeby nikt nie dosłyszał — co wam dolega?

— Co? — Czałyj poderwał się. — Polipy!

Ten i ów z pacjentów chorował na polipy, ale co to takiego nikt dokładnie nie wiedział.

— I co — nie boli?

— Jak tylko zabolęło, zaraz zem przyszedł. Operować? Proszę bardzo — po co odwlekać!

— W jakim miejscu? — Rusanow rozpytywał z coraz większym szacunkiem.

— W żołądku, czy coś takiego... — beztrąsko odpowiedział Czałyj i znowu się uśmiechnął. — W ogóle, żołądeczek rozwał. Wytną ze trzy czwarte.

Kantem dłoni pociągnął po brzuchu i zmrużył oczy.

— Jakże to? — zdziwił się Rusanow.

— A nic, jakoś się przystosuję! Byle by na wódkę miejsca starczyło!

— Rzeczywiście, nadzwyczajnie się trzymacie!

— Drogi sąsiedzie — Czałyj kiwał swoją dobroduszną głową z zaczerwienionym nosem i życzliwymi oczami. — Kto się chce wyprostować, nie powinien się denerwować. Choroby nie przeceniaj — będzie mniej zmartwienia. I tobie radzę tak samo!

Właśnie Achmadzan przyniósł prostokątny kawał dykty. Połączył nim łóżka Rusanowa i Czałego — dopasowała się dobrze.

— Kulturalnie! — zachwycał się Achmadzan.

— Zapalić światło! — komenderował Czałyj.

Zapalili światło. Zrobiło się jeszcze weselej.

— Kto na czwartego?

Amatora na czwartego jakoś nie było.

— Nic nie szkodzi, na razie wyjaśnijcie nam zasady gry. — Rusanow poczuł się bardzo wzmocniony na duchu. Usiadł i spuścił nogi na podłogę, jak gdyby był zdrowym człowiekiem. Przy każdym skręceniu głowy ból się odzywał, ale znacznie słabiej niż dawniej. Dykta dyktą, a przecież miał przed sobą jak gdyby maleńki stół do gry w karty, oświetlony z góry jaskrawym, wesołym światłem. Na białych wypolerowanych kartach widniały czerwone i czarne znaki kolorów. Może należy ustosunkować się do choroby w taki sam sposób jak Czałyj, a sama przejdzie? Po co kwaśny humor? Po co to obnoszenie się z ponurymi myślami?

— Na co jeszcze mamy czekać? — niecierpliwił się Achmadzan.

— Więc tak... — z szybkością taśmy filmowej Czałyj tasował i dzielił talie: niepotrzebne karty na bok, potrzebne — do siebie. — Grają karty: od dziewiątki do asa. Kolory według starszeństwa: najmłodsze trefle, potem kara, kiery i piki. — Pokazywał kolory Achmadzanowi. — Zrozumiałeś?

— Tak jest! Zrozumiałem! — potwierdził Achmadzan z największą satysfakcją.

Maksim Pietrowicz wyginał karty, potrzaskiwał nimi, przetasowywał i wyjaśniał dalej:

— Rozdaje się po pięć kart każdemu, reszta to zapas. Teraz musicie zrozumieć kolejność kombinacji. Najlepsza kombinacja

to jedna para. O tak. Potem dwie pary, Strit — to pięć kart w kolejności starszeństwa. O tak, albo tak... Dalej trójka. Ful...

— Który z was nazywa się Czałyj? — zapytano od drzwi.

— Ja!

— Do pokoju przyjąć! Żona przysłała!

— A nie zauważyliście czy z koszyczkiem? Dobra, bracisz-kowie, krótka przerwa.

Poszedł zważnym krokiem, beztroski jak zawsze.

Na sali zaległa cisza. Światło paliło się jakby to był wieczór. Achmadżan wrócił na swoje łóżko. Nella rozchlapywała wodę na podłodze i trzeba było podnosić nogi na łóżka.

Paweł Nikołajewicz również się położył. I od razu poczuł na sobie spojrzenie z kąta, uporczywy, nieprzyjemny wzrok starego puchacza, wywierający niemal fizyczny ucisk. Rusanow zapytał, żeby się pozbyć tego ucisku:

— A wam, towarzyszu, co dolega?

Ale posępny starzec nawet nie zrobił uprzejmego gestu, jak gdyby to pytanie dotyczyło nie jego. Patrzył tymi okrągłymi, zaczerwienionymi oczami jakoś pomimo Rusanowa. Paweł Nikołajewicz nie doczekał się odpowiedzi i zaczął przebierać w dłoniach błyszczące karty. I dopiero wtedy usłyszał głucho słowa:

— To samo, co wam.

Co to znaczy „to samo”? Cóż za gbur! Tym razem Paweł Nikołajewicz nawet na niego nie spojrział, położył się na plecach i zamyślił.

Przybycie Czałego i nauka gry w karty oderwały go od innych spraw, a właśnie dziś czekał na dziennik z wielką niecierpliwością. Bo też data była wielce osobliwa. Bardzo doniosła, znamienna data i z lektury dziennika będzie można sporo wywróżyć na przyszłość. A przecież przyszłość kraju jest także twoją przyszłością. Czy cały numer będzie w żałobnej obwódce? Czy tylko pierwsza kolumna? Portret na całą szerokość, czy tylko na ćwierć? Jak zredagują tytuły i artykuł wstępny? Po lutowych zmianach i dymisjach wszystko to będzie miało specjalne znaczenie. W instytucji, gdzie pracował, Paweł Nikołajewicz mógłby się tego i owego dowiedzieć, ale tu pozostawała jedynie gazeta.

Między łóżkami, z trudem mieszcząc się w przejściu, kręciła się i tłukła Nella, ale szorowała bardzo szybko, właśnie skończyła i zaczynała rozwijać chodnik.

Z gabinetu rentgenologicznego wrócił Wadim, ostrożnie stawiając chorą nogę. Wargi drżały mu z bólu. Miał ze sobą dziennik.

Paweł Nikołajewicz zrobił zapraszający gest:

— Wadim! Chodźcie tu, siadźcie przy mnie!



Wadim zatrzymał się, pomyślał, zawrócił ku łóżku Rusanowa i usiadł, przytrzymując nogawkę by jak najmniej uwierała.

Gdy Wadim rozwinął gazetę, już można było poznać, że ktoś ją czytał przed nimi. Ledwie Paweł Nikołajewicz wziął ją do rąk, spostrzegł że na pierwszej stronie nie ma ani portretu, ani żałobnej obwódki. Patrzył, szukał, przerzucał szeleszczące kartki, ale nigdzie nie mógł znaleźć portretu, czarnej obwódki, wielkich tytułów — i w ogóle, jak się zdaje, żadnego artykułu!

— Nie ma? Nie ma niczego? — pytał Wadima w przerażeniu, nie odważając się powiedzieć c z e g o właściwie nie ma.

Rusanow prawie nie znał Wadima. Wprawdzie należy do partii, ale jest jeszcze bardzo młody. Nie ma kierowniczego stanowiska, pracuje w ściśle określonej specjalności. Trudno odgadnąć, co tam się u niego kryje w głowie. Jednak któregoś dnia pokazał się Pawłowi Nikołajewiczowi z najlepszej strony: na sali rozmawiano o zesłanych narodach, Wadim podniósł głowę znad podręcznika geologii, wzruszył ramionami, popatrzył na Rusanowa i cicho powiedział wyłącznie pod jego adresem: „Widocznie coś tam było. U nas nikogo nie zsyłają bez powodów”.

Tym jednym prawidłowym zdaniem Wadim wykazał, że jest mądrą, niezłomną jednostką.

Paweł Nikołajewicz nie pomylił się w ocenie. Wadimowi nie potrzeba było wyjaśniać o co chodzi, sam zaczął szukać. I wskazał palcem artykuł w kąciku, którego Rusanow nie zauważył w zdenerwowaniu.

Zwykły kącik u dołu kolumny! Niczym nie uwydatniony! Bez portretu! Po prostu artykuł, podpisany nazwiskiem profesora Akademii. Artykuł który nie wspomina o drugiej rocznicy, nie mówi ani o ogólnonarodowym żalu, ani o tym że „żyje i żyć będzie przez wieki”! A tylko — „Stalin i zagadnienia budownictwa socjalistycznego”.

Tylko tyle? „Zagadnienia”! Tylko zagadnienia i nic więcej? Zagadnienia budownictwa... Dlaczego właśnie budownictwa? Równie dobrze można by napisać o ochronnych pasach leśnych. A gdzie zwycięstwa wojenne! A gdzie geniusz filozoficzny? A gdzie — Koryfeusz Nauki? A gdzie — powszechna miłość do Wodza?!

Paweł Nikołajewicz wyraźnie cierpiał, marszczył czoło i przez okulary patrzył na smagłą twarz Wadima.

— Jakże to mogło się stać, co? — Ostrożnie przez ramię spojrzął na Kostogłotowa. Ale Kostogłotow najwidoczniej spał, oczy miał zamknięte, głowa zwisała jak przedtem. — Zaledwie przed dwoma miesiącami — pamiętacie, prawda? — dwa miesiące temu obchodzono siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin.



Wszystko było po dawnemu: olbrzymi portret! Ogromny tytuł: „Wielki Kontynuator”. Czy nie tak?

Co najbardziej dotknęło Rusanowa, to nawet nie świadomość niebezpieczeństwa dla tych których Zmarły opuścił, lecz niewdzięczność, tak, niewdzięczność! To tak jak gdyby jego osobiste zasługi, jego osobista nieskazitelność zostały oplute i rozdeptane. Jeżeli Sława, która miała trwać przez tysiąclecia, nagle skapcianała już po dwóch latach; jeżeli Najukochańszy, Najmądrzejszy Wódz, ten którego rozkazy wykonywali wszyscy bezpośredni przywódcy i przywódcy przywódców, został w ciągu zaledwie dwudziestu czterech miesięcy powalony i usunięty w cień, to cóż właściwie pozostaje? Gdzie oparcie? I jak tu teraz powracać do zdrowia?!

— Widzicie — Wadim mówił bardzo cicho — niedawno powzięto formalną uchwałę, że będzie się obchodzić tylko rocznice urodzin, a nie zgonów. Ale oczywiście, jeśli sądzić po treści artykułu...

Smętnie pokiwał głową.

Wadim również odczuł to jak własną krzywdę. Przede wszystkim ze względu na niezującego ojca. Pamiętał jak bardzo jego ojciec kochał Stalina, na pewno znacznie bardziej niż samego siebie (o własne interesy ojciec w ogóle nigdy nie dbał). A także bardziej niż Lenina. I oczywiście bardziej niż żonę i synów. O rodzinie potrafił mówić spokojnie i żartobliwie, o Stalinie — nigdy, zawsze głosem drżącym ze wzruszenia.

W jego gabinecie wisiał portret Stalina, drugi — w pokoju stołowym, trzeci — w pokoju dzieci. Podrastając, chłopcy zawsze widzieli nad sobą krzaczaste brwi, bujne wąsy i tę niezłomną twarz człowieka niewiedzącego — jak się wydawało — co to lęk czy lekkomyślna radość. Wszystkie jego uczucia koncentrowały się w połysku czarnych, aksamitnych oczu.

Każde przemówienie Stalina ojciec czytał najpierw sam, a potem odczytywał fragmenty chłopcom, wyjaśniając każdą głębszą myśl i podkreślając piękno języka i wyszukany styl. Znacznie później, gdy ojca już zabrakło i Wadim szybko dojrzewał, zaczynał dochodzić do wniosku że język jest pozbawiony wyrazu a myśli są pozbawione precyzji, że można było to samo powiedzieć bardziej lakonicznie i nie używając tylu zbędnych słów.

Tak uważał, ale nigdy by tego głośno nie wyznał. Taki był jego pogląd, ale czuł się o wiele pewniej, kiedy wracał do niego zachwyty, zaszczepiony mu przez ojca jeszcze w dzieciństwie.

Świeżo w pamięci trwał dzień Jego śmierci. Płakali starzy i młodzi, płakały dzieci. Dziewczęta zanosily się szlochem, chłopcy ocierali oczy. Wydawało się, słuchając tego powszechnego płaczu,

że to nie umarł jeden człowiek lecz cały świat rozpętał się na dwoje. Wydawało się, że nawet jeżeli ludzkość przeżyje ten dzień, to już na zawsze stanie się on w kalendarzu najbardziej czarnym dniem.

I oto w drugą rocznicę tego zgonu nawet czarnej drukarskiej farby nie chciano zużyć na żałobną obwódkę w gazecie. Nawet nie zdobyto się na kilka serdecznych słów: „przed dwoma laty umarł...”. Ten, z którego imieniem na ustach padali i ginęli żołnierze wielkiej wojny.

Chodziło nie tylko o to, że Wadima tak wychowano, mogłoby się ostatecznie odzwyczaić, ale przecież sam rozum dyktował że Wielkiego Zmarłego należy szanować i czcić. Reprezentował trwałość i pewność, że następny dzień nie zejdzie z linii dnia poprzedniego. Wywyższył naukę i uczonych, uwolnił ich od drobnych trosk o zarobki, o mieszkanie. Rozwój nauki potrzebował Jego trwałości, Jego wytrzymałości, wymagał pewności że jutro także nie nastąpią żadne wstrząsy, nie zmuszą uczonych do rozmienniania się na drobne, nie odciągną ich od pożytecznych działań ku sporam o ustrój społeczny, o wychowywanie głupców i niedorozwiniętych.

Opanowany przez niewesołe myśli, Wadim powlókł się ze swoją chorą nogą z powrotem na łóżko.

Właśnie wrócił Czajłj, bardzo zadowolony, z torbą wypełnioną żywnością. Układał po kolei produkty na szafce i skromnie się uśmiechał.

— To już ostatnie dzionki, więc trzeba smacznie podjąć. Bo potem, jak już tylko same kichy zostaną, nic nie wiadomo!

Rusanow był nim szczerze zachwycony. To dopiero optymista, to zuch!

— Marynowane pomidorki... — Czajłj w dalszym ciągu rozkładał przysmaki. Palcami wyciągnął coś ze słoika, połknął, przymknął oczy. — Znakomite! Cięłęcinka. Upieczona w sam raz, soczysta. — Dotknął i polizał. — Złote ręce kobiety!

Zasłonił szafkę całym sobą, ale tak żeby Rusanow dostrzegł, i wstawił tam półlitrową butelkę. Milcząc, mrugnął porozumiewawczo do Rusanowa.

— Rozumie się, jesteście tutejszy — powiedział Paweł Nikołajewicz.

— A nie, nie tutejszy. Ale często przyjeżdżam. Na delegacje.

— Ale żona mieszka tutaj?

Czajłj nie dosłyszał pytania, poszedł oddać pustą torbę.

Po powrocie otworzył szafkę, przyjrzał się zmrużonymi oczami, zjadł jeszcze jednego pomidora, zamknął szafkę. Potrząsnął głową, że taki smaczny.

— Na czym żeśmy się zatrzymali? Jedźmy dalej!

Achmadżan znalazł w międzyczasie czwartego partnera, młodego Kazacha chwilowo ulokowanego na schodach i z przejęciem opowiadał mu na swoim łóżku jak to nasi Rosjanie bili Turków (poprzedniego wieczora poszedł na inny oddział i tam w kinie obejrzał film pod tytułem „Zdobycie Plewny”). Obydwaj przysunęli się, znowu dopasowali dyktę do dwóch łóżek i patrzyli jak Czałyj, jeszcze weselszy niż dawniej, tasując karty w zgrabnych rękach, pokazywał im różne pokerowe kombinacje.

— To widzicie — ful — tak? Kiedy masz trzy jednakowe karty, a oprócz tego parę... Rozumiesz, mniejszość narodowa?

— Nie jestem żadna mniejszość! — zaprotestował Achmadżan, ale się nie obraził. — Byłem mniejszość, ale przed pójściem do wojska.

— Dobra. Następnie — kolor. Jeżeli wszystkie pięć kart tego samego koloru. Dalej czwórka — cztery takie same karty, piąta jaka bądź. Dalej — poker. Od dziewiątki do króla. O, tak... Albo tak... A do asa najstarszy poker...

Nie wszystko było jasne, ale Maksim Pietrowicz obiecał że w trakcie gry wszystko się wyjaśni. Najważniejsze przecież było to, że mówił tak życzliwie, takim serdecznym, dźwięcznym głosem, aż sercu Pawła Nikołajewicza od razu ulżyło. Takiego miłego, wzbudzającego tak wielką sympatię człowieka w żaden sposób nie spodziewał się spotkać w ogólnym szpitalu! Siedzieli teraz jak zgrany przyjacielski kolektyw, tak będzie godzinami a może i codziennie, więc po co rozmyślać o swoich chorobach! I w ogóle nie ma sensu myśleć o innych nieprzyjemnych rzeczach. Tak, Maksim Pietrowicz ma całkowitą rację!

Rusanow już chciał zastrzec się, że dopóki nie nauczą się dobrze zasad gry, lepiej nie grać na pieniądze. I nagle ktoś zapytał we drzwiach:

— Czałyj! Który z was?

— Ja jestem Czałyj!

— Do pokoju przyjąć! Żona przyszła!

— Do diabła! — Maksim Pietrowicz splunął, ale bez gniewu. — Powiedziałem kurwie, żeby nie przychodziła w sobotę tylko w niedzielę! Jeszcze trochę, a byłaby się na tamtą napatoczyła! Przepraszam, braciszkuwie!

Maksim Pietrowicz poszedł, z gry znowu nici. Achmadżan wziął karty i zaczął się z Kazachem uczyć, sprawdzać kombinacje.

Więc Paweł Nikołajewicz znowu przypomniał sobie o swoim nowotworze i o dzisiejszej dacie — piąty marca — i znowu poczuł patrzące na niego z kąta, nieprzyjazne oczy puchacza. Od-

wrócił się i spotkał spojrzenie Ogłojeda. Nie, Ogłojed wcale nie spał.

Kostogłotow nie spał także przedtem, kiedy Rusanow i Wadim przewracali szeleszczące strony dziennika i szeptali między sobą. Interesowało go co powiedzą, co powie Wadim. Nie trzeba już było szukać gazety i czytać — wszystko było jasne.

Znowu zaczęło tłuc się serce. Tłukło się o ciężką, żelazną bramę, której nigdy nie miano otworzyć, a która jednak zaczynała się chwiać i skrzypieć! Rdza zaczynała się sypać z zawiasów.

Kostogłotowowi nie mogło się pomieścić w głowie, że — jak opowiadali ludzie żyjący na wolności — dwa lata temu tego dnia płakali starcy, płakały dziewczęta, bo wszystkim wydało się że zostali osieroceni. Nawet trudno mu było to sobie wyobrazić, tam u nich, w obozie, wyglądało zupełnie inaczej.

Przed wszystkim nie wyprowadzono ich do pracy, baraków nie otworzono, trzymano pod kluczem. Głośnik za zoną, zawsze czynny, został wyłączony. Wszystko razem świadczyło wyraźnie, że gospodarze stracili grunt pod nogami, że wydarzyło się jakieś wielkie nieszczęście. A gdy gospodarze są zmartwieni, więźniowie się cieszą. Nie ma pracy, możesz się wylegiwać na pryczy, swoją rację dostałeś. Najpierw wysypiali się, potem dziwili, grali na gitarach, na bandurze, chodzili od brygady do brygady, gubili się w domysłach. Ale choć byś nie wiem jak więźniów izolował i tak prawda w końcu do nich dotrze! Przez piekarnię, przez depozyt wodny, przez kuchnię. I poszło po całym obozie! Jeszcze bez całkowitej pewności, chodząc po baraku, siadając na pryczach, przerzucali się wiadomością: „Słyszeliście, chłopaki? Zdaje się, że Ludożerca odwalił kitę...” „Nie może być!” „Nigdy w to nie uwierzę...” „A ja owszem, wierzę!” „Dawno już czas!!!” Gromadny śmiech. Głośniej zabręczały gitary i bałałajki. Przez całą dobę nie otwierano baraków. A następnego dnia rano, jeszcze trzymał syberyjski mróz, zbiórka całego obozu w szeregach. Przyszedł major, jeden i drugi kapitan, wszyscy lejtnanci. Major, poczerwiała ze zmartwienia, zaczął mówić:

— Z najgłębszym żalem... wczoraj w Moskwie...

A wtedy kostropate, pociemniałe, ponure pyski aresztantów zaczęły szczerzyć zęby, niemal jawnie wyrażać swoją radość. I widząc te przebiegające uśmiechy, major stracił panowanie nad sobą i zakomenderował:

— Czapki... zdjąć!

Zakołysały się aresztanckie szeregi, jakby wszystko stanęło na ostrzu noża: nie wykonać komendy — jeszcze nie można; wykonać — zbyt wielka przykrość. Ale wyprzedzając wszystkich,

obozowy błazen, żywiołowy humorysta zerwał z głowy czapkę „stalinkę” z imitacji futra — i rzucił ją wysoko w górę! Wypełnił rozkaz!

Setki więźniów to zobaczyło i wszyscy rzucili czapki do góry. A major o mało nie skonał na miejscu.

I oto po tym wszystkim Kostogłotow dowiadywał się, że płakali starcy, płakały dziewczęta, i wszystkim wydawało się, że zostali osieroceni...

Wrócił Czałyj, jeszcze weselszy, znowu z pełną torbą, ale była to inna torba. Ktoś się uśmiechnął, Czałyj zauważył i sam roześmiał się całą gębą:

— No co z babami robić? Skoro im to sprawia przyjemność! I niby dlaczego im nie dogadzać, komuż to może szkodzić?!

*Choćby była wielką panią  
i tak któryś wskoczy na nią!*

Wybuchł śmiechem, zarażając innych, i aż rękami machał żeby się uspokoić. Rusanow także śmiał się szczerze, że się to tak zgrabnie Maksimowi Pietrowiczowi udało.

— A ta żona — Achmadzan dusił się śmiechem — jaka?

— Ach, braciszku, już nic nie mów! — Maksim Pietrowicz wzdychał, lokując przyniesioną żywność w szafce. — Konieczna jest reforma prawodawstwa. Mahometanie załatwili to bardziej po ludzku. Od sierpnia pozwolono robić sztuczne poronienia — to bardzo upraszcza życie! Dlaczego skazywać kobietę na samotność? Niech przynajmniej raz w roku ktoś do niej przyjedzie. Dla wyjeżdżających na służbowe delegacje wygoda: w każdym mieście pokój, gdzie można się przespać na kocią łapę.

Mignęła w rękach druga butelka. Czałyj zamknął szafkę i poszedł oddać pustą torbę. Wrócił od razu, widocznie z tą babą zanadto się nie patyczkował. Zatrzymał się w przejściu, gdzie niedawno spacerował Efrem, spojrzął na Rusanowa, podrapał się w potylicę. Włosy miał bardzo jasne — ni to koloru lnu, ni owsa.

— No, co, sąsiedzie, przegryziemy coś niecoś?

Paweł Nikołajewicz uśmiechnął się z aprobatą. Dziś obiad był spóźniony, a zresztą po obejrzeniu smakołyków otrzymanych przez Maksima Pietrowicza odszedł smak na szpitalne jedzenie. W całej postaci Maksima Pietrowicza, w zmysłowym uśmiechu jego grubych warg, było coś tak przyjemnego, że aż ciągnęło by usiąść z nim przy wspólnym stole.

— Proszę bardzo — Rusanow zapraszającym gestem wskazał swoją szafkę — u mnie także znajdzie się to i owo...

— Potrzebne dwie szklaneczki — Czałyj pochylił się, zwin-

nyymi rękami przeniósł na szafkę Rusanowa różne słoiki i zawiątki.

— Nie wolno — Paweł Nikołajewicz zaprzeczył ruchem głowy. — W naszym stanie surowo zabronione...

W ciągu jego miesięcznego pobytu w szpitalu nikomu nawet do głowy to nie przyszło, zaś Czałyj uważał że bez wódki w ogóle nie można.

— Jak się nazywasz? — usiadł na łożku, kolanami ku kolanom Rusanowa.

— Paweł Nikołajewicz.

— Pasza! — Czałyj po przyjacielsku położył mu dłoń na ramieniu. — Nie zwracaj uwagi na lekarzy! Lekarze kurują i groby wykopują. A my chcemy żyć i ogonem wymachiwać!

Otwarta, nieskomplikowana twarz Czałego, duży, zaczerwieniony nos i grube soczyste wargi wyrażały tylko przyjaźń i wielką pewność siebie. Była sobota — wszystkie zabiegi lecznicze odłożone w szpitalu do poniedziałku. Za szarym oknem lał deszcz, oddzielając Rusanowa od wszystkich jego krewnych i przyjaciół. W gazecie nie było portretu w żałobnej obwódce, i mroczne poczucie krzywdy ciążyło na sercu. Jaskrawo świeciły lampy, na wiele godzin wyprzedzając zawsze dłuży się wieczór, a z tym jakże przyjemnym człowiekiem można teraz wypić, przekąsić, a potem zagrać w pokera. (Poker! — to dopiero będzie nowa rzecz dla przyjaciół Pawła Nikołajewicza!)

Spryciarz Czałyj miał już butelkę pod poduszką. Palcem wycisnął korek i na wysokości kolan nalał do dwóch szklanek do połowy. Trącili się.

Paweł Nikołajewicz zachował się jak prawdziwy Rosjanin: z pogardą odrzucił niedawny lęk, zakazy i wyrzeczenia. Została jedynie chęć żeby otrząsnąć z siebie wszelką troskę i czuć przyjemne ciepło rozrzewnienia.

— Życie przed nami, Pasza! Życie przed nami! — wmawiał w niego Czałyj, i jego nieco śmieszna twarz wyrażała teraz surowość a nawet srogość. — Komu się to nie podoba, niech zdycha, a przed nami — całe życie!

Więc wypili na tę intencję. Rusanow bardzo osłabł w ciągu ostatniego miesiąca, nie pił — jeśli nie liczyć czerwonego wina, a i to cienkuszka — toteż poczuł od razu palący płyn, i po kilku chwilach zaczęło w nim wzbierać i kołysać go przekonanie, że nie ma powodu by zawracać sobie głowę ponurymi myślami, że na oddziale chorych na raka ludzie także żyją i wychodzą.

— A czy te — pytał Rusanow — polipy... bardzo bolą?

— Ano bolą. Ale ja się nie poddaję! Pasza, zrozum — przecież wódka nie może zaszkodzić! Wódka leczy wszystkie choroby!



Przed operacją napiję się spirytusu — cóżes ty myślał?! Mam spirytus w drugiej flaszce... A wiesz dlaczego spirytus? — bo zaraz wsiąknie, wody nie zostawi ani kropli. Chirurg rozkraje mi żołądek, popatrzy i niczego nie znajdzie — czyściuteńko! A ja wtedy będę pijany! No co tu gadać, sam byłeś na froncie to wiesz: przed ofensywą — obowiązkowo wódka... Byłeś ranny?

— Nie.

— Miałeś szczęście! A mnie dwa razy: tu dostałem i tam... Dolał znowu do szklanek, po sto gramów do każdej.

— Nie należy więcej pić... — opierał się delikatnie Paweł Nikołajewicz. — Niebezpiecznie.

— Jakie tam niebezpiecznie? Kto ci wbił do głowy, że niebezpiecznie? Weź tego pomidorka! Ach, co za pomidorki!

Właściwie jaka tam różnica — sto gramów wódki czy dwieście, jeżeli już raz złamał zasadę? Dwieście gramów czy dwieście pięćdziesiąt, jeżeli umarł wielki człowiek i rocznicę jego śmierci przemilczają? Ku uczczeniu pamięci Władcy Paweł Nikołajewicz wychylił drugą szklankę. Wypił ją, jak gdyby to było na stypie. Wykrzywił usta smutnym grymasem. Jadł pomidorki. I niemal oparty czołem o czoło Maksima, słuchał jego gadki i zgadzał się.

— Ach, pomidorki! — Maksim wpadł w krasomówczy zapał. — Tu kilogram kosztuje rubla, a w Karagandzie — trzydzieści. Rozchwytują z miejsca! Ale przewozić nie wolno. Na bagaż nie przyjmują. Dlaczego nie wolno? Ty mi wyjaśnij — dlaczego nie wolno?

Paweł Nikołajewicz mocno się podniecił, źrenice mu się rozszerzyły, oto kwestia celu, jaki jest cel? Cel i sens życia!

— Przychodzi do kierownika stacji jakiś facet w wytartej marynarce. Powiada: „Naczelniku, chcesz żyć?” Ten od razu łapie za telefon, myśli że chcą go zamordować. A tamten od razu wkłada na stół trzy banknoty. Dlaczego nie wolno? Jakże tak — nie wolno? Ty chcesz żyć i ja także chcę żyć. Przyjmij koszyki na bagaż! Pasza, życie zawsze zwycięża! Idzie pociąg, nazywa się że pasażerski, a to jest pociąg pomidorowy, na półkach koszyki, pod ławkami koszyki. Kontrolerowi — do rączki. Konduktorowi — do rączki. Przejeżdża się granicę dyrekcji kolejowej, przychodzą inni kontrolerzy — im także do rączki.

Rusanowowi kręciło się w głowie, bardzo się rozrzewnił i panował chwilowo nad swoją chorobą. Ale to co mówił Maksim jakoś nie miało powiązania... Nie miało powiązania... Było całkowicie sprzeczne...

— Tak! To jest sprzeczne! — upierał się Paweł Nikołajewicz. — Dlaczego? To niedobre...

— Co niedobre? — zdziwił się Czafaj. — No to spróbuj



ogóreczka. Albo kawioru! W Karagandzie na każdym kamieniu widnieje napis: „Węgiel to chleb!” Zgadza się, jeśli chodzi o przemysł. Ale ludzie nie mają pomidorów. I jeżeli ktoś rzutki nie przywiezie, to nie będzie. Rozchwytują po trzy dychy za kilogram i jeszcze dziękują. Przynajmniej popatrzą na te pomidory, bo jakby nie to by nie zobaczyli. A jakie tam ćwoki w tej Karagandzie rządzą, to ty tego sobie nawet nie wyobrażasz! Wynajmują specjalną ochronę złożoną z zakutyh łbów, i zamiast wysłać ich żeby podrzucili ze czterdzieści wagonów owoców, rozstawiają ich na wszystkich stepowych drogach — a nuż ktoś wiezie jabłka do Karagandy! Nie puszczaj! No i pilnują — żłoby przekłete!

— Jakże to tak? A ty wozisz? — zmartwił się Paweł Nikołajewicz.

— A po co? Nie, Pasza, ja osobiście koszy nie transportuję. Ja jeżdżę z walizeczką, z elegancką teczką. Majorowie, podpułkownicy stukają w okienko kasy: muszą wracać z delegacji! A tu biletów nie ma! Nie ma!!! A ja do kasy się nie pcham, ja zawsze pojedę gdzie trzeba. Na każdej stacji mam swoje chody: wiem gdzie trzeba do kolejarzy się zwrócić, gdzie do przechowalni zajrzeć. Pasza, weź pod uwagę: życie zawsze zwycięża!

— A tak w ogóle — w jakim dziale pracujesz?

— W charakterze technika, Pasza, pracuję. Chociaż na technikum nigdy nie byłem. Także pracuję jako agent. Zawsze tak pracuję, żeby kieszeń była pełna. Jak tylko gdzie zarobki się kończą, natychmiast odchodzę. Zrozumiałeś?

Pawłowi Nikołajewiczowi wydawało się że coś tu nie klapuje, że nie bardzo w porządku, a nawet wypada całkiem nie tak. Ale Czałyj był taki zacny, taki wesoły, no po prostu swój człowiek, pierwszy przyjemny gość po całomiesięcznym pobycie w szpitalu. Rusanow nie miał serca go obrazić.

— A czy to uczciwie? — jeszcze próbował dopytywać się.

— Ależ oczywiście, że uczciwie! — uspokajał go Maksim. — Weź kawałek cielęcinki. A teraz rąbniemy twój kompotik. Pasza! Tylko jeden raz na tym świecie się żyje — dlaczego mieć ciężkie życie? Pasza, powinniśmy się starać o życie wygodne, łatwe!

Tu Paweł Nikołajewicz musiał się zgodzić — to prawda: tylko raz jeden się żyje, dlaczego mieć ciężkie życie...? Tylko że...

— Widzisz, Maksim — próbował łagodnie — opinia potępia...

— Zależy, Pasza — odpowiadał Maksim z równą serdecznością — to zależy z której strony popatrzeć... Gdzie i co...

*W oku mały okrusek  
i boli —  
a jak pół łokciem ruszysz,  
to...*

Czałyj ryknął śmiechem, poklepując Rusanowa po kolanie. Ten także nie mógł się powstrzymać i trząśł się od śmiechu.

— Skąd tyle wierszy znasz? Maksim, przecież ty jesteś prawdziwy poeta!

— A ty co? Ty gdzie pracujesz? — wypytywał nowy przyjaciel.

Wprawdzie już jeden drugiego trzymał w objęciach, ale Paweł Nikołajewicz przybrał postawę pełną godności: urzędowe stanowisko zobowiązywało.

— Tak w ogóle — w kadrach.

Zbyt skromnie siebie określił. Oczywiście stanowisko miał znacznie wyższe.

— A gdzie?

Paweł Nikołajewicz wymienił.

— Słuchaj! — Maksim ucieszył się. — Tu by trzeba jednego porządnego faceta ulokować! Naturalnie wpisowe się wpłaci, wszystko będzie w porządku, bądź spokojny!

— Co ty mówisz! No jakżeś mógł przypuścić? — obraził się Paweł Nikołajewicz.

— A cóż tu przypuszczać?! — zdumiał się Czałyj i głębokie zrozumienie sensu życia znowu odbiło się w jego spojrzeniu, nieco zmętniałym na skutek wypitej wódki. — Gdyby kadrowcy nie przyjmowali wpisowego, to z czego by żyli? Za co wychowywali dzieci? Ile masz dzieci?

— Czy dziennik jużście przejrzeni? — nieprzyjemny, głuchy głos rozległ się tuż koło przyjaciół.

To stary puchacz przywłókł się ze swego kąta. Szlafrok rozpięty, chorobliwe obrzęki pod oczami.

Jak się okazało, Paweł Nikołajewicz siedział na gazecie.

— Proszę! Bardzo proszę! — Czałyj wyciągnął zmiętą gazetę spod Rusanowa. — Oddaj, Pasza! Bierzcie, ojczulku, już czego jak czego, ale tego nie szkodujemy!

Szułubin ponuro spojrzął, wziął dziennik i chciał odejść, ale Kostogłotow go zatrzymał. Szułubin od razu zwrócił na siebie uwagę Olega, może dlatego że tak uporczywie wszystkim się przyglądał, nie mówiąc ani słowa. Więc Kostogłotow także zaczął mu się przyglądać, a teraz widział go lepiej, bo całkiem z bliska.

— Kim jest ten człowiek o tak nieprzeciętnej twarzy? Wyglądał

trochę jak aktor zmęczony przedstawieniem, który dopiero co zmył szminkę. Z tupetem nabytym podczas spotkań na aresztanckich etapach, gdzie każdego o wszystko można zapytać, Kostogłotow zagadnął go pólsiedząc pólleżąc:

— A wy, ojczulku, gdzie pracujecie?

Szułubin zwrócił oczy i całą głowę ku pytającemu. Popatrzył na niego nieruchomym spojrzeniem. Jakoś dziwnie poruszył szyją, jak gdyby chciał się uwolnić od zbyt ciasnego kołnierzyka, chociaż żaden kołnierzyk mu nie przeszkadzał, koszulę miał szeroko rozpiętą. Patrzył dłuższy czas i wreszcie zdecydował się na odpowiedź.

— Pracuję jako bibliotekarz.

— A gdzie? — Kostogłotow natychmiast skorzystał z okazji, by zadać następne pytanie.

— W średniej szkole rolniczej.

Rusanow nagle postanowił jakoś upokorzyć Szułubina, przywołać go do porządku. Prawdopodobnie chciał się zemścić za te uporczywe spojrzenie ponurego puchacza, za jego stałe milczenie. A może to wódka na niego wpłynęła, dość że głośniejsz niż należało, z przesadną lekkomyślnością, zawołał:

— Naturalnie bezpartyjny?

Puchacz spojrział okrągłymi ślepiami o dziwnej barwie, jakby przesłoniętymi tytoniowym dymem. Mrugnął, jak gdyby nie rozumiał pytania. Mrugnął po raz drugi. Wreszcie rozdziawił gębę.

— Odwrotnie.

I poszedł powoli przez salę.

Szedł w jakiś nienaturalny sposób. Pewnie gdzieś go uwierało albo kłuło. Raczej kuśtykał niż szedł, i pochylając się niezręcznie, z rozrzuconymi połami szlafroka, przypominał wielkie ptaszysko, któremu nierówno obcięto skrzydła żeby nie mogło poderwać się w górę.

## 24.

### PRZY TRANSFUZJI KRWI

Kostogłotow siedział w pełnym słońcu, na kamieniu, niedaleko od ogrodowej ławki, z nogami w ciężkich buciorach, niewygodnie podwiniętymi, z kolanami przy samej ziemi. Ramiona zwisły bezwładnie także do samej ziemi. Głowa mu opadła na piersi. I tak siedział w szarym szlafroku, grał się na słońcu —

tak samo nieruchomy i bezkształtny jak ten szary kamień. Czuł gorąco w czarnowłosej głowie, w pochylonych plecach, siedział nieruchomo, chłonąc w siebie to marcowe ciepło, i o niczym już nie myślał, nic go nie interesowało. Mógł tak siedzieć całymi godzinami, w dalszym ciągu o niczym nie myśląc, chłonąc w słonecznym cieple, to czego nie otrzymał uprzednio, gdy odmawiano mu pożywnego chleba i zupy.

Ktoś, kto by na niego popatrzył z boku, nie mógłby zauważyć najmniejszego ruchu jego ramion — jak gdyby w ogóle nie oddychał. Ale nie spadał z tego kamienia — jakoś się jeszcze trzymał.

Gruba sanitariuszka, urzędująca na drugim piętrze, ta sama tęga kobieta która kiedyś pędziła go precz z korytarza by nie poplamił wyczyszczonej podłogi, szła do niego wolno. Szalenie lubiła ziarenka słonecznika i teraz, idąc aleją, wypluła ze smakiem kilka łupinek, zbliżyła się do Kostogłotowa i odezwała tym dobrotnym głosem jakiego używają przekupki na targu:

— Ej ty, wujaszku! Słyszysz mnie?

Kostogłotow podniósł głowę, przyjrzał jej się pod słońce. Twarz mu się zmarszczyła, patrzył na sanitariuszkę zmrużonymi oczami, i wszystkie rysy zmieniły pod światłem swój wyraz.

— Doktor woła. Na salę opatrunkową.

Zasiedział się w tym cieple, tak skamieniał w bezruchu że nie miał najmniejszej chęci wstawać, jak gdyby chodziło o najbardziej znieawidzoną pracę.

— Co znowu — burknął — za doktor?

— Taki cię woła, któremu jesteś potrzebny! — sanitariuszka podniosła głos. — Nie mam żadnego obowiązku chodzić i szukać was po ogrodzie. Znaczą się, jazda!

— Żadnego opatrunku mi nie potrzeba — upierał się Kostogłotow. — To na pewno nie mnie...

— Ciebie, właśnie że ciebie! — sanitariuszka w międzyczasie gorliwie gryzła ziarenka. — Takiego podkasanego żurawia jak ty, z nikim innym nie pomylić! Tylko jeden taki u nas nieboraczek!

Kostogłotow westchnął, wyprostował nogi i podniósł się, lekko pojękując.

Sanitariuszka patrzyła na niego z dezaprobatą.

— Zanadtoś łąził, nie oszczędzałeś się. Trzeba było leżeć, a nie chodzić!

— Ech, kobietko! — westchnął ciężko Kostogłotow. — Żeby tak rozumem można było wyprzedzać co robimy!

Powlókł się ścieżką. Wojskowego pasa już nie miał, żadnej wojskowej postawy, plecy ciężko pochylone.

Szedł na ten opatrunek, nie wiedział o co chodzi, ale już był zdecydowany protestować — przeciw czemu, nie wiedział.

Na sali opatrunkowej nie było Elły Rafałówny, która już od dziesięciu dni zastępowała Wierę Korniliewną, lecz jakaś młoda doktorka, nabita w sobie, dobrze wykarmiona, policzki miała bardziej niż czerwone — szkarłatne. Nigdy jej przedtem nie widział.

— Nazwisko? — ledwie wszedł, już go przyparła do ściany.

Kostogłotow mrużył oczy z niezadowoleniem, jakby słońce w dalszym ciągu świeciło mu prosto w twarz. Chciał się zorientować o co tu może chodzić, więc nie śpieszył się z odpowiedzią. Czasami zdarza się i tak, że lepiej nie powiedzieć swego nazwiska, skłamać. Jeszcze nie wiedział jak zachować się w tym wypadku.

— No! Nazwisko? — lekarka powtórzyła pytanie. Ręce miała zaokrąglone, grube jak wałki.

— Kostogłotow — przyznał się niechętnie.

— Gdzieście się tyle czasu podziewali? Rozbierzcie się, ale szybko! Chodźcie tu, połóżcie się na stole!

Dopiero teraz Kostogłotow rozejrzał się i od razu zdał sobie sprawę: transfuzja krwi! Zapomniał, że to robią na sali opatrunkowej. Postanowił uprzeć się przy swojej zasadzie: własnej krwi nie dam, obcej nie potrzebuje! Po drugie, ta energiczna baba, wyglądająca tak jakby sama opłała się na koszt niejednego krwiodawcy, nie budziła w nim żadnego zaufania. Wega wyjechała. Znowuż inny doktor, inne przyzwyczajenia, inne pomyłki — ki diabeł kręci tą karuzelą! — nic stałego, pewnego!

Z ponurą miną zdjął szlafrok, rozglądał się gdzie powiesić, pielęgniarka mu pokazała — jednocześnie myślał jaki tu pretekst znaleźć by nie zgodzić się na transfuzję. Powiesił szlafrok, potem kurtkę. Buty rzucił do kąta. Boso przeszedł po czystym linoleum, położył się na wysokim, miękko wyścielonym stole. Jakoś nie przychodził mu do głowy żaden pretekst, ale był pewny że zaraz coś wymyśli.

Nad stołem, na wysokim stalowym statywie, znajdował się aparat do przeprowadzania transfuzji: gumowe szlauchy, szklane rurki, jedna z nich wypełniona wodą. Tuż obok stojak, a na nim pierścienie różnej wielkości: na pół litra, ćwierć litra, ósemkę. Właśnie przygotowana była ampułka z ósemką. Brązowy płyn, częściowo przesłonięty etykietką na której wypisane były grupa krwi, nazwisko krwiodawcy i data.

Kostogłotow przyzwyczał się zaglądać tam, gdzie go nie proszą. Myszkuje ślepiami na wszystkie strony, zdążył przeczytać napisy na ampułce i zanim się wygramolił na stół, oświadczył pòlsiedzac:

— Oho! Dwudziesty ósmy lutego! Nieświeża krew. Nie daje się do transfuzji!

— Cóż to znowu za rozważania! — lekarka zdenerwowała się. — Świeża czy nieświeża, co wy w ogóle wiecie o konserwacji! Krew można konserwować przez cały miesiąc!

Gniew jeszcze bardziej spotęgował szkarłatną barwę jej twarzy. Ręce obnażone aż do łokcia, zaokrąglone, różowe, pokryte gęsią skórką, i to wcale nie z zimna, taka już skóra. I właśnie ten szczegół ostatecznie przekonał Kostogłotowa, że nie powinien się poddawać.

— Proszę podciągnąć rękaw i wyciągnąć ramię swobodnie! — lekarka mówiła tak, jak gdyby dawała komendę.

Od dwóch lat pracowała w transfuzji i nie pamiętała ani jednego wypadku, by pacjent czegoś nie podejrzewał. Każdy zachowywał się tak, jak gdyby miał w żyłach błękitną krew i obawiał się niewłaściwej przymieszki. Każdy pacjent musiał się krzywić z tego czy innego powodu: a to barwa krwi mu się nie podoba, a to nieodpowiednia grupa, niewłaściwa data, a może temperatura nie taka, jaką powinna być, albo nastąpiło skrzepnięcie. Niekiedy pytali z akcentem pewności w głosie: „Dajecie niedobrą krew!” — „Dlaczego niedobrą?” — „Bo na ampułce napisano, żeby jej nie ruszać!” — „Bo była przeznaczona dla jakiegoś pacjenta, a potem okazało się że nie należy robić transfuzji, więc została na inną okazję”. Pacjent już się zgodził, a jeszcze pomrukuje: „Widocznie jest zły jakości”. Tylko zdecydowana postawa przełamywała te głupie podejrzewania. Przy tym lekarka bardzo się śpieszyła, bo miała stawić się do pracy jeszcze w nie jednym miejscu, zaś norma na transfuzje była dość wygórowana.

Ale Kostogłotow widział już w tej klinice nie jedno: hematomę wywołaną przez dwukrotne nakłucie żyły, albo jej przebiecie w niewłaściwym miejscu. Widział również pacjentów, którzy po transfuzji dostawali dreszczy i trzęsączki, ponieważ dokonano zabiegu ze zbyt wielkim pośpiechem. Nie miał najmniejszej chęci powierzyć się tym pulchnym, różowym rękóm, okrytym gęsią skórką. Własna, udręczona rentgenem krew była mu droższa od świeżej, ale obcej krwi. Własna jakoś z czasem się poprawi. A póki co, niechby przestali leczyć — tym lepiej.

Nie! — powiedział ponuro. Rękawa nie podwinął i nie położył ramienia. — Ta krew jest nieświeża, a poza tym kiepsko dziś się czuję.

Wiedział że lepiej nie wykładać dwóch powodów jednocześnie, najpierw tylko jeden, ale jakoś się powiedziało.

— Zaraz sprawdzimy ciśnienie — powiedziała lekarka, nie

wykazując najmniejszego zakłopotania. Pielęgniarka z miejsca podała jej potrzebne przybory.

Lekarka była nietutejsza, za to pielęgniarka — tak, z sali opatrunkowej, tyle że Oleg nigdy dotąd nie miał z nią do czynienia. Zupełnie młodziutka, ale bardzo wysoka, ciemnowłosa, o skośnym, japońskim wykroju oczu. Uczesanie miała tak skomplikowane, że ani pielęgniarska czapeczka ani nawet chustka nie mogły go przykryć, więc okręcała włosy bandażami tak szczelnie, że musiała chyba przychodzić do pracy o kwadrans wcześniej by tego dzieła dokonać.

Olega to nie obchodziło, a mimo to z zainteresowaniem oglądał białą koronę na głowie pielęgniarki, starając się odgadnąć jak wygląda uczesanie dziewczyny pod tymi bandażami. Główną osobą była tu lekarka, należało przeciwstawić jej się nie tracąc czasu, protestować przeciw transfuzji i zagadywać, zaś Kostogłotow zwracał sobie głowę tą młodą dziewczyną o japońskim wykroju oczu. Już przez to samo, że była młoda, nosiła w sobie jakąś tajemnicę, ukrytą w każdym poruszeniu, w każdym przechyleniu głowy.

W międzyczasie doktorka ścisnęła ramię Kostogłotowa czarnym kauczukowym węzłem, po czym stwierdziła że ciśnienie ma normalne.

Już otwierał usta by wysunąć następną przyczynę odmowy, gdy ktoś spoza drzwi zawołał lekarkę do telefonu.

Pielęgniarka układała czarne gумы w futerale, Oleg w dalszym ciągu leżał na plecach.

— Ta doktorka, to skąd? — zapytał Kostogłotow.

Tajemnica każdej dziewczyny łączy się ściśle z melodią jej głosu, pielęgniarka dobrze o tym wiedziała, i mówiąc wsłuchiwała się w nią uważnie.

— Z ośrodka gromadzenia krwi do transfuzji.

— To dlaczego przywiozła nieświeżą krew? — Oleg chciał sprawdzić swoje podejrzenie.

— Wcale nie jest nieświeża — dziewczyna zaprzeczyła płynnym ruchem głowy i odeszła, pyszniąc się swoją białą koroną.

Dziewczyna była najwidoczniej pewna, że jest dobrze o wszystkim poinformowana.

A może istotnie tak jest?

Słońce znalazło się już na wprost sali opatrunkowej. Wprawdzie jego światło nie docierało tu bezpośrednio, ale szyby dwóch okien połyskiwały jaskrawo i wielka jasna plama ogarnęła część sufitu, pewnie słoneczny blask odbił się od jakiegoś przedmiotu. Było bardzo jasno, czysto i zacisznie.

Tak, przyjemnie było leżeć w tym pokoju.



Otworzyły się drzwi, niewidoczne dla Olega, i weszła jakaś inna kobieta, nie tamta.

Weszła, lekko tylko postukując pantofelkami, ale bez wyraźnego stuku obcasów.

Oleg natychmiast się domyślił.

Nikt inny tak nie chodził jak ona. To właśnie jej brakowało na tej sali, wyłącznie j e j.

Wega!

Tak, to była ona. Już ją miał w zasięgu spojrzenia. Weszła tak zwyczajnie, jak gdyby wyszła stąd przed chwilą.

— Wiera Korniliewna! — Oleg uśmiechał się radośnie. — Gdzieście byli?

Nie zawołał, powiedział cicho, nie podniósł się, nie próbował usiąść, mimo że nie był przywiązany do stołu.

Było znowu jasno, dobrze i zacisznie.

Wega odpowiedziała pytaniem, także z uśmiechem:

— A wy co? Ciągłe się buntujecie?

Wola oporu już w nim osłabła, tak przyjemnie było leżeć na tym stole, wiedział że tak od razu go stąd nie wypędzą.

— Ja... — odpowiedział. — Nie, ja już moje bunty skończyłem... Gdzieście byli? Przeszło tydzień...

Stała tuż nad nim. Powiedziała powoli, rozdzielając wyraźnie sylaby, jak gdyby komuś mało rozgarniętemu dyktowała niezbyt zrozumiałe słowa:

— Jeździłam zakładać punkty onkologiczne. Prowadzić akcję uświadamiającą o chorobie raka.

— Gdzieś w głębi terenu?

— Tak.

— Znowu pojedziecie?

— Na razie nie. Czujecie się gorzej?

Co kryło się w jej oczach? Spokojna stateczność? Życzliwa uwaga? Pierwszy, jeszcze niesprawdzony niepokój? Czy kobiety czy lekarza?

Ale zawsze miały ten sam kolor — jasnej kawy. Tak jakbyś do szklanki kawy nalał mleka, mniej więcej na dwa palce. Zresztą Oleg od dawna kawy nie pijał, jej koloru nie pamiętał, ale wiedział jedno — to były oczy przyjazne, oczy starego przyjaciela!

— Nie, głupstwo! Na pewno przegrzałem się na słońcu. Siedziałem i siedziałem, mało brakowało a byłbym zasnął.

— Przecież wam nie wolno siedzieć na słońcu! Nie zrozumieliście jeszcze, że nie wolno grzać opuchliny?

— Myślałem, że tylko grzejniki są zabronione.

— Słońce — tym bardziej.

— To znaczy, że na czarnomorskiej plaży też nie wolno?

Skinęła potwierdzająco.

— Ale życie! To już lepiej z zesłania wracać do Norylska...

Wzruszyła ramionami zdziwiona. Tego już zupełnie nie była w stanie zrozumieć.

— Dlaczego nie dotrzymaliście słowa?

— Jak?

— Nie dotrzymaliście naszej umowy. Obiecaliście, że osobiście będziecie mi robić transfuzję, nie pozwolicie żadnej praktykantce...

— To nie praktykantka, przeciwnie — specjalistka. Kiedy takie jak ona przyjeżdżają, my nie mamy prawa interweniować. Ale ona już odjechała.

— Jak to — odjechała?

— Została wezwana.

Ach, ta karuzela! W karuzeli nie było ratunku od samej karuzeli.

— To znaczy, że wy dokonacie transfuzji?

— Tak. Którą krew uważacie za nieświeżą?

Pokazał kiwnięciem głowy.

— Nie macie racji. Ale ta ampułka nie jest dla was. Dostaniecie dwieście pięćdziesiąt. Proszę! — Wiera Korniliewna przyniosła inną ampułkę i pokazała. — Macie, przeczytajcie, sprawdźcie!

— Wiera Korniliewna, to życie tak podle się u mnie łożyło. Nikomu nie dowierzaj, wszystko sprawdzaj! Sądzicie, że nie jestem zadowolony, kiedy nie ma powodu do sprawdzania?

Mówił takim zmęczonym głosem, jakby miał skonać za chwilę. Ale ciekawe oczy same sprawdziły: „Pierwsza grupa. I. Ł. Jarosławcewa. 5 marca”.

— O! — ożywił się Oleg. — 5 marca! To mi bardzo odpowiada! To bardzo pozytywne!

— Nareszcie zrozumieliście, że pozytywne. Czy warto było się spierać?

Nie pochwyciła jego intencji. No wszystko jedno!

Zakasał rękaw koszuli powyżej łokcia i pozwolił ramieniu opaść bezwładnie wzdłuż ciała.

Tak, to była największa przyjemność: zawsze podejrzewający, zawsze czujny, teraz mógł nareszcie zaufać, poddać się całkowicie ufności. Teraz wiedział, że ta delikatna, jakby utkana z samego powietrza kobieta, poruszająca się tak łagodnie, przewidująca każdy swój ruch, nie popełni najmniejszego błędu.

Leżał, wydawało się że wypoczywa.

Duża słoneczna plama, łagodna jak koronka, drżała na suficie nierównomiernym kręgiem. Nie wiadomo skąd się wzięło to

świetne odbicie, ale wypięknioło pokój i było przyjemnie na nie patrzeć.

Gdy tak patrzył, Wiera Korniliewna podstępnie wbiła igłę do żyły i wzięła próbkę krwi. Potem kręciła rączką wirówki, podzieliła talerz na cztery sektory.

— A dlaczego na cztery? — pytał po prostu dlatego, że przyzwyczał się już pytać o wszystko. Właściwie opanowało go takie rozleniwienie, że ta wiadomość była mu zupełnie obojętna.

— Jeden — dla zbadania zgodności grupy krwi, a trzy pozostałe żeby sprawdzić czy właściwa grupa. Na wszelki wypadek.

— Jeżeli się zgadza, to po co dalsze badanie?

— Żeby ustalić czy dostarczona krew nie działa przypadkiem negatywnie na serum pacjenta. Rzadko, ale zdarza się.

— Proszę! A jak to sprawdzacie?

— Przez odseparowanie erytrocytów. Wszystko musicie wiedzieć.

Można i nie wiedzieć. Oleg wpatrywał się w mżące światło na suficie. I tak wszystkiego się nie dowiesz. Śmierć przyjdzie — o jednego durnia mniej.

Pielęgniarka w białej koronie ulokowała w statywie ową ampułkę z napisem „5 marca”. Podłożyła mu pod łokieć małą poduszeczkę, czerwoną gumą ścisnęła ramię powyżej łokcia i zaczęła ją ściągać, badając swoimi japońskimi oczami czy dostatecznie mocno.

To dziwne, że w tej dziewczynie zwierzył jakąś tajemnicę. Nie ma żadnej. Dziewczynisko jak każda inna.

Ganhart zbliżyła się ze strzykawką w ręce. Strzykawka była zwyczajna, wypełniona jakimś przezroczystym płynem, za to igła niezwykła: właściwie rurka nie igła, zakończona trójkątnym ostrzem. Rurka jak rurka, byle ją wbili komu innemu.

— Żyłę macie na wierzchu — zagadywała go Wiera Korniliewna. Jedna brew podskakiwała jej do góry, gdy szukała właściwego miejsca. Z wysiłkiem wbiła potworną igłę. Wydało mu się, że słyszy jak pęka skóra. — I już po wszystkim!

Było przy tym wiele niezrozumiałych rzeczy: po co ścisnęli mu ramię powyżej łokcia? Dlaczego w strzykawce był jakiś płyn, podobny do wody? Można było zapytać, albo samemu ruszyć mózgowicą: pewnie dlatego żeby zapobiec wejściu powietrza do żyły, albo krwi do strzykawki.

A tymczasem igła pozostała w żyłę, pielęgniarka osłabiła i zdjęła gumę, zręcznie odłączyła strzykawkę, potem jedna z nich potrząsnęła ampułką, strząsając do miedniczki pierwsze krople krwi. Ganhart połączyła naczynie z igłą, trzymając w pozycji pionowej, i odkręciła kranik.

W szklanej rurce aparatu zaczęły pokazywać się powoli w bezbarwnym płynie przezroczyste pęcherzyki.

Jednocześnie, podobnie jak te pęcherzyki, jedno za drugim wypływały pytania: dlaczego igła jest taka gruba? — po co strząsnęła krew? — co to za pęcherzyki? Co prawda, jeden dureń potrafi zadać tyle pytań, że nawet i stu mędrców nie potrafi na nie odpowiedzieć.

Miałby wiele pytań, ale na zupełnie inne tematy.

Czuł się w tym pokoju jakoś odświeżenie, a najbardziej cieszyło go blade odbicie słonecznego światła na suficie.

Zanościło się, że igła pozostanie w żyłę przez dłuższy czas. Poziom krwi w naczyniu prawie się nie obniżał. W ogóle przestał się obniżać.

— Wiera Korniliewna, czy jestem wam jeszcze potrzebna? — pielęgniarka o oczach Japonki pytała przymilnym tonem i znowu wydało mu się, że rozkoszuje się własnym głosem.

— Nie — cicho odpowiedziała Ganhart.

— To ja na razie pójdę... Na małe pół godzinki — można?

— Mnie nie jesteście potrzebna.

Pielęgniarka w białej koronie niemal puściła się biegiem.

Zostali we dwoje.

— Zakręciliście kranik?

— Owszem.

— A dlaczego?

— Znowu chcecie wiedzieć? — Uśmiechnęła się, ale jakoś zachęcająco.

Na sali panowała całkowita cisza — stare ściany, solidne drzwi. Można było podnieść głos wyżej szeptu, po prostu mówić tak jak gdyby się oddychało bez żadnego wysiłku. I tak właśnie było najlepiej.

— Rzeczywiście, przekłety charakter! Zawsze chciałbym wiedzieć więcej, niż dozwolone.

— Dobrze, że jeszcze macie takie chęci... — zauważyła Ganhart. Jej usta nigdy nie zachowywały się obojętnie w stosunku do tego, co wymawiały. Jakimś drobnym ruchem, wygięciem innym w każdym kąciку, takim czy innym drgnięciem, podtrzymywały i wyjaśniały sens wypowiedzianych słów. — Po pierwszych dwudziestu pięciu centymetrach należy zrobić przerwę i zbadać, jak się czuje pacjent.

W dalszym ciągu przytrzymywała jedną ręką wylot naczynia, połączony z igłą. Z lekkim uśmiechem na wargach, życzliwie i zarazem badawczo patrzyła w oczy Olega, cała nad nim przechylona.

— Jak się czujecie?

- W tej chwili — cudownie.
- Czy to nie za mocno powiedziane — „cudownie”?
- Nie, naprawdę cudownie. O wiele lepiej, niż dobrze.
- Nie czujecie dreszczy, albo nieprzyjemnego smaku w ustach?

— Nie.

Ta ampułka, igła, transfuzja to była ich wspólna, łącząca ich praca. Jakby chodziło o kogoś trzeciego, kogo wspólnie leczyli i koniecznie chcieli wyleczyć.

— To w obecnej chwili. A w o g ó l e ?

— W ogóle? — Co za rozkosz patrzeć jej w oczy tak długo, mieć prawo do patrzenia, nie musieć nie patrzeć!

— W ogóle — to raczej podławo.

— Właściwie o co chodzi? Pod jakim względem?

Pytała go współczująco, z zaniepokojeniem, jak przyjaciel. Ale zasłużyła na swoje. Oleg poczuł, że musi zadać jej cios. Tak łagodnie spoglądają jej oczy koloru mlecznej kawy, ale na cios zasłużyła!

— Podławo — pod względem psychicznym. Podławo — bo zdają sobie sprawę, że płacę za życie zbyt wygórowaną cenę. I że nawet wy przyczyniacie się do tego i oszukujecie mnie.

— Ja?!

Kiedy dłuższy czas patrzy się nieprzerwanie w czyjeś oczy, można w nich wyczytać bardzo dużo, znacznie więcej niż przy pobieżnym spojrzeniu. Wtedy oczy jak gdyby tracą swój kolor, który przedtem stanowił rodzaj warstwy obronnej, i wypowiadają całą prawdę, nie są już w stanie jej ukryć.

— Jak mogliście zapewniać mnie z takim przekonaniem, że zastrzyki są konieczne, tyle że ja nie zrozumieję ich sensu? Cóż tu rozumieć! Hormonoterapia — wiadomo o co chodzi!

Naturalnie to było nieuczciwe: tak zaskoczyć te bezbronne oczy koloru mlecznej kawy. Ale tylko w takiej formie można było postawić sprawę otwarcie. W jej spojrzeniu coś zadrżało i doktor Ganhart, nie — Wega, zgubiła się, spuściła oczy.

Wycofała swoje spojrzenie tak, jak z terenu walki wycofują oddział, który poniósł duże straty.

Spojrzała na ampułkę — właściwie po co? — przecież kranik był zakręcony! I nie było podnoszących się pęcherzyków.

Odkręciła kranik i pęcherzyki znowu zaczęły iść w górę — być może, był na to właściwy czas.

Ganhart przeciągnęła palcami po gumowej rurce, idącej od naczynia do igły, jakby chciała sprawdzić czy przelotność jest dobra. Umocniła rurkę przy pomocy waty, żeby się nie gięła. Następnie wzięła przylepiec i jego kawałkiem przykleiła koniec

rukki do przedramienia Kostogłotowa. I wreszcie wstawiła gumową rurkę między jego palce, swobodnie sterczące do góry, i w ten sposób ją unieruchomiła.

Teraz jej pomoc w przytrzymaniu nie była już potrzebna, nie musiała stać przy nim, ani patrzeć mu w oczy.

Uregulowała aparat tak, że pęcherzyki zaczęły iść nieco szybciej. Twarz jej spochmurniała, zrobiła się surowa.

— W porządku — powiedziała. — Proszę się nie poruszać! I poszła.

Ale nie wyszła z pokoju, jedynie znikła z pola widzenia. Ponieważ nie wolno mu było poruszać się, widział jedynie statyw z aparatem, ampułkę wypełnioną do połowy brązową krwią i biegnące ku górze pęcherzyki, górną połowę rozświetlonych okien, ich odbicie na matowym kloszu lampy i cały rozległy sufit, pokryty mżącym światłem słońca.

Wegi nie widział.

Jednak pytanie już padło jak niezręcznie podany przedmiot, który wysliznął się z dłoni. Wega nie chciała go podnieść, więc Oleg musiał w dalszym ciągu sam zmagać się z tym pytaniem.

Patrząc w sufit, zaczął powoli myśleć na głos:

— Przecież i tak już moje życie jest stracone. Przecież aż do szpiku kości przeżarła mnie świadomość, że jestem wiecznym aresztantem — ZEK na zawsze! Już nie mogę oczekiwać od losu niczego lepszego. I teraz zabić we mnie, świadomie, w sztuczny sposób zabić nawet i tę j e d y n ą możliwość — po cóż ratować takie życie? W jakim celu?

Wega wszystko słyszała, ale nie było jej w jego polu widzenia. Może to i lepiej: łatwiej było mówić.

— Najpierw pozbawiono mnie życia osobistego. Teraz zabierają mi prawo do... przedłużenia mnie samego. Komu będę teraz potrzebny? Najgorsza pokraka! Budzić jedynie litość? Prosić o jałmużnę?!

Wega milczała w dalszym ciągu.

Dlaczego ta słoneczna plama na suficie tak drży, ciągle zmienia swój zasięg, staje się chwilami jaśniejsza, jak gdyby była istotą która myśli i rozumie. A potem znowu zastyga w bezruchu...

Wesołe, przezroczyste pęcherzyki szły do góry z bulgotem. Coraz bardziej obniżał się poziom krwi. Transfuzja. Krew kobiety. Krew Iriny Jarosławcewej. Co za jedna? Panna? Staruszka? Studentka? Handlarka?

— Jałmużna...

Nagle odezwała się Wega, niewidzialna ale stojąca gdzieś w pobliżu — nie, to nie było zaprzeczenie, lecz jakiś gwałtowny poryw.

— Przecież to nieprawda! Czy naprawdę takie jest w a s z e nastawienie? Nie wierzę żeby tak było! Sprawdźcie samego siebie! To są jakieś nastroje przejęte od kogoś innego, a nie w a s z e własne!

Mówiła z taką energią, jakiej nigdy przedtem nie mógł w niej zauważyć. Mówiła zaczepnie, z wyraźną urazą, a tego też nigdy się po niej nie spodziewał.

Nagle urwała, zamilkła.

— Więc j a k i e powinno być nastawienie? — Oleg ostrożnie próbował pobudzić ją, żeby powiedziała coś więcej.

Głęboka cisza. Wydawało się, że nawet te pęcherzyki w zamkniętym naczyniu dźwięczą w tej ciszy.

Ganhart mówiła z trudem. Głos jej się załamywał, mówiła z wysiłkiem, jak gdyby miała przeskoczyć szeroki rów.

— Należy mieć inne nastawienie, myśleć inaczej! Choćby troszeczkę inaczej, choćby odrobinę! Bo jeżeli tylko o t o c h o d z i, to po co żyć i dla kogo? Tak nie wolno!

Te ostatnie słowa wykrzyczała z wysiłkiem, niemal z rozpaczą. Ten krzyk był jak uderzenie. Uderzyła go z całej siły, żeby wreszcie zrozumiał — ten ociężały, niezdarny — gdzie jest dla niego ratunek.

Olega jakby poderwało. Jak kamień wypuszczony z procy przedłużającej rękę małego chłopca, jak pocisk z tych armat o długich lufach, które widział na froncie w ostatnim roku wojny — pocisk lecący z wyciem i gwizdem wysoko w powietrzu — Olega porwało i poniosło jakąś zwariowaną parabolą, przekreślając obecną rzeczywistość, odrzucając dzisiejszy dzień — ponad jedną, ponad drugą życiową pustynią, aż zaniósło go do jakiejś dalekiej, prastarej krainy.

Do kraju dzieciństwa! — poznał go natychmiast. I ledwie rozejrzał się niepewnym, jeszcze mętnym spojrzeniem, a już poczuł wstyd, bo przecież kiedyś myślał tak samo, a jednak nie on, lecz ona wypowiedziała tę prawdę jak odkrycie.

Coś poruszyło się w jego pamięci, coś zaczęło wracać, musiał sobie przypomnieć, bo pasowało do ich rozmowy — aż wreszcie zrobił wysiłek i wróciło.

Trwało to jedną tylko chwilkę, ale zaczął mówić bez pośpiechu, zastanawiając się nad każdym słowem.

— W dwudziestych latach miały u nas ogromne powodzenie książki niejakiego doktora Friedlanda, wenerologa. Wtedy uważano za rzecz bardzo pożyteczną u ś w i a d a m i a ć wszystkich, zarówno starszych jak przede wszystkim młodzież. Taka propaganda w dziedzinie higieny na najbardziej wstydlive tematy. Prawdopodobnie to były słuszne posunięcia, lepiej tak niż zacho-



wywać obłudne milczenie. A więc książka zatytułowana „Za zamkniętymi drzwiami”, a także „Cierpienia sprawiane przez miłość”. A wy... nie czytaliście? Powiedzmy... ze względu na zainteresowania lekarskie...

Cicho bulgotały pęcherzyki. Wydało mu się, że słyszy oddech Wiery Korniliewny.

— Czytałem, muszę się przyznać, bardzo wczesnie — chyba miałem dwanaście lat. Naturalnie, po kryjomu, w tajemnicy przed starszymi. Ta lektura wywołała wstrząs, ale zarazem prawdziwe przerożenie. Wrażenie było takie, że... nie warto żyć.

— Ja także czytałam — usłyszał głos pozbawiony wszelkiego wyrazu.

— Ach tak, wy także? — Oleg ucieszył się. Powiedział „wy także” w taki sposób, jak gdyby z góry wiedział, że zgadzają się w ocenie.

— Taki logiczny, konsekwentny, nieodparty materializm, że właściwie... po co żyć? Ścisłe obliczenia, z procentowym podaniem, ile kobiet doświadcza rozkoszy, ile nie doświadcza w ogóle. Opisy jak kobiety w poszukiwaniu samych siebie... przechodzą z jednej kategorii do drugiej...

Przypominając sobie nowe szczegóły z tamtej lektury, wciągnął głęboko powietrze, jak to robią ludzie którzy mocno się potłukli albo oparzyli.

Wega nie odpowiadała. Nie należało jej wypytywać. Pewnie powiedział jej to wszystko zbyt otwarcie, zbyt ordynarnie. Nie miał żadnego doświadczenia w rozmawianiu z kobietami.

Nikła słoneczna plama na suficie nagle zaczęła się marszczyć, tu i tam zamigotały srebrne iskierki i pobiegły jedna za drugą. Patrząc na te ruchliwe zmarszczki, Oleg domyślił się nareszcie, że ta mglista, tajemnicza plama to po prostu odbicie powierzchni kałuży, która nie zdążyła wyschnąć pod płotem naprzeciw okna. Odbicie zwyczajnej kałuży. I akurat teraz zerwał się lekki wiaterek.

Wega milczała w dalszym ciągu.

— Proszę o przebaczenie, bardzo proszę! — Oleg uderzył w pokorę. Prośba o przebaczenie sprawiała mu przyjemność, nawet rozkosz. — Powiedziałem to wszystko w niezbyt właściwy sposób...

Wykręcił głowę w jej kierunku, ale i tak nie mógł zobaczyć.

— Przecież takie podejście niszczy wszelkie ludzkie uczucia. Jeżeli to wszystko przyjąć, jeśli się temu poddać... — Z jaką radością powracał do przekonań swego dzieciństwa! Ale kogo usiłował przekonywać? — właśnie ją?!

Wega wróciła. Znowu znalazła się w zasięgu jego spojrzenia.

Nie, nie miała na twarzy ani wyrazu rozpacz, ani szorstkości — tak mu się tylko przywidziało. Przeciwnie, miała na ustach dawny przyjazny uśmiech.

— Nie chcę, żebyście się poddali. Jestem przekonana, że się nie poddacie.

Jej twarz jaśniała teraz radością.

Więc odnalazł w niej tamtą dziewczynkę z dzieciństwa, szkolną przyjaciółkę — jakże się to stało, że się na niej nie poznał od razu!

Chciałby jej powiedzieć coś przyjacielskiego, coś prostego, na przykład: „Daj grabę!” I uścisnąć dłoń — jak to dobrze, żeśmy się wreszcie dogadali!

Ale w żyłę nadal tkwiła igła.

Zawołać do niej po prostu — Wega! Albo — Wiera!

Ale i to nie było możliwe.

W międzyczasie krew w naczyniu opadła poniżej połowy. Jeszcze parę dni temu ta krew płynęła w czymś obcym ciele — miała związek z czymś charakterem i sposobem myślenia — a teraz wsączała się w niego, czerwono-brązowe zdrowie. I co jeszcze wstępowało wraz z nią w jego żyły?

Oleg patrzył na fruwające ręce Wegi: oto poprawiła poduszeczkę pod łokciem, wate przy igle, pociągnęła palcami po gumowej rurce, zaczęła delikatnie podnosić nieco do góry ruchomą część statywu z ampułką.

Z jak wielką chęcią już nie tylko uściskałby, lecz pocałował tę rękę!

Nawet gdyby w ten sposób miał zaprzeczyć swoim poprzednim słowom.

25.

W E G A

Ganhart wyszła z kliniki w świetnym humorze. Nie otwierając ust, cichutko podśpiewywała, niedosłyszalnie, dla siebie samej. W jasnoszarej jesionce, już bez botów, bo ulice obeschły, czuła się dziś wyjątkowo lekka, nogi niosły ją same — tak lekko szła, że można by przez całe miasto na ukos.

Przed wieczorem, jak i za dnia, świeciło słońce, w powietrzu czuć było wiosnę. Zupełnie nie miała chęci brać autobusu, dusić się w tłoku. O wiele przyjemniej iść na piechotę. Więc poszła.

Najpiękniejsze co można było spotkać w ich mieście, to kwitnące drzewo *uruk*. Zapragnęła teraz, zaraz, wyprzedzając nadejście wiosny, zobaczyć choćby jedno kwitnące drzewo — to na pewno przyniosłoby jej szczęście. Gdziekolwiek, za płotem, za glinianą ścianą, choćby z daleka, zobaczyć różowy obłok, nie podobny do niczego innego.

Ale na to było jeszcze za wcześnie. Na drzewach ledwie pokazywała się pierwsza zieloność; był okres, gdy zieleń już się zjawia, ale przeważa szarość. A gdzie widniał skrawek ogrodu, uratowanego przed zachłannością kamiennego miasta, tam widać było tylko suchą, rudawą ziemię, po raz pierwszy poruszoną motyką.

Pora była jeszcze zbyt wczesna.

Zazwyczaj Wiera wskakiwała do autobusu z pewnym pośpiechem, siadała na zdezelowanych sprężynach wolnego miejsca, albo chwytiała za rączkę i wisząc na niej myślała: na nic nie ma chęci, cały wieczór przed nią, a nie chce się ani palcem ruszyć. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi trzeba te wieczorne godziny zmitrężyć byle jak, a następnym rankiem znowu w takim samym autobusie śpieszyć się do pracy.

A dziś szła bez najmniejszego pośpiechu, chociaż nagle zapragnęła działać i zrobić wszystko za jednym zamachem! Przypomniała sobie tyle spraw — posprzątać mieszkanie, zakupy w sklepach, zdaje się trzeba coś szyć i reperować, wpaść do biblioteki — różne sprawy, nawet przyjemne, ale ich unikała, chociaż nikt jej nie zabraniał i nie przeszkadzał. Teraz wszystko chciała załatwić jak najszybciej! I mimo to nie śpieszyła się, tylko szła powolutku, słuchając z przyjemnością każdego stąpięcia pantofelka na suchym asfalcie.

Przechodziła koło sklepów, jeszcze otwartych, ale do żadnego nie weszła żeby coś kupić. Mijała plakaty, ale żadnego z nich nie przeczytała, chociaż właśnie miała na to chęć.

Po prostu szła i szła długi czas, i sprawiało jej to największą przyjemność.

I uśmiechała się od czasu do czasu.

Pragnęła spojrzeć na kwitnący *uruk*, ale jeszcze go nie było, jeszcze za wcześnie.

Wczoraj było święto, a jednak czuła się źle — niepotrzebna nikomu, godna pogardy. A dziś powszedni, roboczy dzień — i taki lekki, szczęśliwy nastrój.

Święto jest wtedy, kiedy czujesz że masz rację. Twoje ukryte, uparte argumenty, tyle razy odrzucone i wyśmiane, wydające się cieniutką nitką której się uczepiłaś, nagle okazują się stalową

linką, której uczepił się i zawierzył taki doświadczony, taki podejrzliwy, nieustępliwy człowiek.

I oto zawierzywszy jedno drugiemu, posuwają się razem bez przeszkód, jakby znajdowali się w wagoniku kolejki linowej, zawieszanej nad przepaścią ludzkiego niezrozumienia.

I oto ją naprawdę zachwyciło! Nie wystarcza zdawać sobie sprawę, że się jest normalną kobietą, nie żadną wariatką; trzeba było usłyszeć potwierdzenie i to z czyich ust! Była Olegowi niezmiernie wdzięczna, że tak powiedział, tak myślał, że pozostał taki po przejściu przez wszystkie wyboje i kłęski życiowe.

Zasłużył na jej wdzięczność, ale na razie musiała się przed nim usprawiedliwiać ze stosowania hormonoterapii. Friedlanda odrzucił, ale hormonoterapię także odrzucał. Była w tym logiczna sprzeczność, ale logiki wolno wymagać od lekarza, nie od chorego.

Jest sprzeczność czy jej nie ma, tak czy owak trzeba go przekonać żeby się poddał tej kuracji! Nie wolno było oddawać tego człowieka z powrotem we władzę nowotworu! Myśląc o tym, podniecała się coraz bardziej: koniecznie musi przekonać, pokonać upór i wyleczyć właśnie tego pacjenta! Ale żeby takiego krnąbrnego uparciucha móc przekonać, należało uwierzyć w słuszność leczenia. A przecież gdy wysunął swój zarzut, zdała sobie sprawę że hormonoterapię wprowadzono w tutejszej klinice na podstawie jednej ogólnozwiązkowej instrukcji o leczeniu nowotworów bardzo różnego typu, a do tego z bardzo ogólnikową motywacją. Nie pamiętała w tej chwili czy przeczytała chociażby jeden naukowy artykuł, podający wyniki zwalczania ziarnicy złośliwej przy pomocy hormonoterapii, a przecież takich artykułów mogło być sporo, może także w czasopismach zagranicznych. Powinnaby przeczytać wszystkie, żeby potem móc uzasadniać. A na takie lektury miała tak mało czasu...

Teraz co innego! Teraz na pewno znajdzie czas! Teraz koniecznie przeczyta.

Kostogłotow rzucił jej w twarz któregoś dnia wyzwanie: nie uważa, by znachor, wybierający swoje zioła i korzenie, miał być gorszym lekarzem tylko dlatego, że nie stosuje w medycynie matematycznych obliczeń. Wiera wtedy niemal się obraziła. Potem jednak pomyślała, że jest w tym trochę racji. Czy niszcząc komórki rentgenem, wiedzą chociażby w przybliżeniu w ilu procentach działanie niszczące dotyczy zdrowych komórek, a w ilu — chorych? Czy to ściślej niż od oka znachora, który nie ważąc, dłonią zagarnia wysuszone korzonki? Wszyscy rzucili się na penicylinę, penicylina pomaga na wszystko! A więc i tu można błędzić po ciemku. Jak bardzo trzeba studiować czasopisma, uczyć się, myśleć!

Ale teraz znajdzie czas na wszystko!

Ani się spostrzegła — jak szybko przeleciał czas! — kiedy weszła na podwórko swego domu. Kilka stopni prowadzących na wielką, wspólną werandę, na poręczach której wisały czyjeś dywaniki i chodniki; potem przeszła po cementowej podłodze pełnej wyrw, otworzyła drzwi od wspólnego mieszkania — obicie było miejscami oddarte — i dalej dość ciemnym korytarzem: można było zapalić tam tylko niektóre żarówki, gdyż pozostałe zależne były od innych liczników.

Drugim angielskim kluczem otworzyła drzwi swego pokoju. Tym razem ten ciasny pokój podobny do celi, z kratami w oknie, bo przecież pierwsze piętro i należy strzec się złodziei, wcale nie wydał się jej taki ponury. W pokoju panował zmierzch, jaskrawe słońce zagładało tu wyłącznie rankiem. Wiera przystanęła w drzwiach, nie zdejmując palta, i oglądała swój pokój ze zdziwieniem, jakby nigdy go nie widziała. Wydał się jej całkiem przyjemny, można tu było mieszkać nie najgorzej. Powiedzmy, warto by kupić nową serwetę. Wytrzeć tu i ówdzie kurze. Albo przewiesić na ścianach obrazy: fortecę świętego Piotra i Pawła w w białą petersburską noc i czarne cyprysy w Ałupce.

Zdjęła palto, włożyła fartuszek i poszła do kuchni. Oczywiście należało zapalić naftowo-gazową kuchenkę i ugotować coś do jedzenia.

Ale właśnie syn sąsiada, mocne chłopisko, który rzucił szkołę nie chcąc się uczyć, przegrodził całą kuchnię motocyklem i z pogwizdywaniem rozkładał go na części na podłodze, pociągając je smarem. Ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadały przez okno. Ostatecznie można było się przecisnąć i przejść do stołu. Ale Wierze odechciało się wszystkiego, wołała pójść do swego pokoju i pozostać w samotności.

I zresztą nie miała najmniejszego apetytu.

Wróciła do siebie i z całą satysfakcją zatrzasnęła automatyczny zamek. Nie miała dziś żadnego powodu do wychodzenia z pokoju. Było trochę czekoladek, pożywi się nimi.

Wiera usiadła w kucki przed komodą, która kiedyś należała do jej matki, i wyciągnęła ciężką szufladę, gdzie znajdował się drugi obrus.

Ale nie, przedtem należało pościerać kurze!

A jeszcze przedtem należało przebrać się w skromniejszą sukienkę!

Wiera przerzucała się z przyjemnością z jednej decyzji w drugą, jak gdyby zmieniała kroki w tańcu. Jedno p a s — drugie p a s — na tym polegał ten taniec.

A może najpierw należałoby przewiesić obrazek z fortecą i ten

drugi — z cyprysami? Nie, do tego potrzebowała młotka i gwoździ, a to nieprzyjemna męska praca. Niech póki co jeszcze sobie powiszą na dawnym miejscu.

Wzięła ścierczkę i chodziła po pokoju, cichutko przyśpiewując. Prawie od razu trafiła na otrzymaną wczoraj kolorową kartkę pocztową. Stała oparta o pękaty flakon. Czerwone róże, zielone wstążki i błękitna ósemka. Po drugiej stronie powinszowanie, wypisane czarnymi literami na maszynie. Miejscowy Komitet składał jej powinszowanie z racji Międzynarodowego Dnia Kobiety.

Każde takie zbiorowe święto ciąży samotnym ludziom. Ale kobiecie święto staje się najbardziej nieznośne dla samotnej kobiety, u której rok przemija za rokiem! Takie samotne kobiety, wdowy albo niezamężne, zbierają się żeby popić i pośpiewać, udając wesołość. Wczoraj w sąsiedztwie hałasowało takie właśnie towarzystwo. Był razem z nimi czyjś tam mąż: popiły się i całowały z nim po kolei.

Powinszowanie Komitetu nie zawierało naturalnie żadnej ironii: życzo no jej powodzenia w pracy i osobistego szczęścia w życiu.

Osobiste szczęście! Odpadło już dawno, jak źle przymocowana maska, jak uschnięty liść. Podarła kartkę na cztery części i wrzuciła do kosza.

Szła dalej, ścierając kurze z flakonów, ze szklanej piramidki z widoczkami Krymu, z dyskoteki, z plastikowej walizeczki z patefonem.

Teraz mogłaby posłuchać swojej ulubionej, chociaż tak trudnej do zniesienia płyty:

*W dniu posępnym i słotnym  
znowu siedzę samotny...*

Ale poszukała innej płyty, nastawiła, włączyła kontakt i z podwiniętymi nogami w samych pończochach zapadła się w głębokim fotelu, w którym kiedyś siadywała jej matka.

Ścierczka od kurzu pozostała w jej roztargnionej dłoni i zwiślała wraz z ręką ku podłodze.

W pokoju zrobiło się już ciemnawo i wyraźnie świeciła zielonkawa skala aparatu radiowego, do którego włączony był patefon.

Suita ze „Śpiącej królowny”. Najpierw a d a g i o, potem zjawienie się dobrych wrózek.

Wiera słuchała, ale chodziło jej nie o siebie. Starła się wyobrazić sobie jakby to adagio docierało na balkon opery do



człowieka przemokniętego na deszczu, udręczonego cierpieniem, skazanego na śmierć, człowieka który nigdy nie zaznał szczęścia.

Nastawiła tę część jeszcze raz. I znowu powtórzyła.

Zaczęła z nim bezgłośnie rozmawiać. Rozmawiała z nim tak, jak gdyby siedział naprzeciw, za okrągłym stołem, przy tym samym zielonym odbłasku radiowego aparatu. Mówiła do niego to, co należało powiedzieć, i słuchała go: z całą pewnością odbierała to, co powinien był odpowiedzieć. Wprawdzie bardzo trudno przewidzieć jak się wykręci, ale Wiera — jak jej się wydawało — już zaczęła przyzwyczajając się do jego sposobów.

Uzupełniała słowa wypowiedziane dziś w szpitalu. Ich dotychczasowe stosunki nie pozwalały na takie uzupełnienie osobiście, ale teraz, wyobrażając sobie jego obecność, mogła się na to zdobyć. Wykładała mu swoją teorię o mężczyznach i kobietach. Ci super-mężczyźni z powieści Hemingwaya to stworzenia, które jeszcze nie osiągnęły poziomu człowieka; uważała Hemingwaya za płytkiego pisarza. Na pewno Oleg gotów jej odpowiedzieć mrugliwie, że żadnego Hemingwaya nigdy nie czytał i jeszcze będzie się przechwalać: na froncie jego książek nie było, w łagrze nie było! Kobieta oczekuje od mężczyzny zupełnie czegoś innego: delikatnej uwagi i poczucia bezpieczeństwa, osłony.

Właśnie w towarzystwie Olega, pozbawionego praw, jakichkolwiek praw obywatelskich, Wega nie wiadomo dlaczego czuła taką pewność, takie bezpieczeństwo.

W stosunku do kobiet popełniono jeszcze gorsze błędy. Uznano, że najbardziej kobiecy typ to Carmen. Uznano za najbardziej kobiecą kobietę, która czynnie poszukuje rozkoszy, nasycenia. A to nie jest prawdziwa kobieta, to — przebrany mężczyzna.

Tak wiele pozostaje do wyjaśnienia. Ktoś, kto nie przemyślał dostatecznie tych spraw, bywa zazwyczaj zaskoczony. Musi przemyśleć.

Wiera ponownie puszcza w ruch tę samą płytę.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Zapomniała pościerać kurze z pozostałych przedmiotów. Zielonkawe światło podziałki radiowej stawało się coraz bardziej intensywne, świeciło coraz mocniej.

Nie miała najmniejszej chęci na zapalanie elektryczności, ale musiała, koniecznie musiała popatrzeć na jego fotografię.

Znalazła ją, oprawioną w ramkę, nawet w półmroku, zdjęła pewną ręką ze ściany i łagodnie zbliżyła do zielonkawo świecącej podziałki radia. Nawet gdyby to zielonkawe światło teraz zgąsło, Wiera i tak dojrzałaby wszystko na fotografii: chłopięcą jeszcze, szczerą twarz, jasną bezbronność niedoświadczonych oczu, pierwszy w życiu krawat na bielutkiej koszuli, pierwszą w życiu marynarkę na ramionach i w klapie marynarki surowo wyglądającą



odznakę: białe kółko, w nim czarny profil. Fotografia — sześć centymetrów na dziewięć, odznaka minimalnych rozmiarów, ale za dnia widać wyraźnie, a i w pamięci pozostało na zawsze, że to profil Lenina.

„Żadnych innych odznaczeń — uśmiechał się chłopiec — nie potrzebuję”.

To właśnie ten chłopiec wymyślił dla Wiery imię — Wega. Agawa kwitnie w swoim życiu tylko raz i wkrótce potem umiera.

Tak samo zakochała się Wiera Ganhart. Była zupełnie młodzieńką, jeszcze na szkolnej ławie.

Chłopiec zginął na froncie.

Wojnę można było nazwać jak się komu podobało: sprawiedliwą, bohaterską, ojczyźnianą, świętą — dla Wiery Ganhart była to wojna ostatnia. Wojna na której wraz z jej narzeczonym zabili także i ją.

Jakże pragnęła zginąć! Natychmiast rzuciła instytut, chciała iść na front. Ale nie przyjęto jej ze względu na niemieckie pochodzenie.

Przez dwa czy trzy miesiące, pierwszego wojennego lata, byli jeszcze razem. Ale nie ulegało wątpliwości, że wkrótce wezmą go do wojska. A teraz przeminęło całe pokolenie, nie podobna nikomu wytłumaczyć: jakże się to stało, że przedtem się nie pobrali?! Jakże, nie zawierając małżeństwa, zaprzepaścili te ostatnie miesiące, jedyne, niepowtarzalne? Wszystko dokoła łamało się i waliło, a oni jeszcze czuli między sobą jakąś przegrodę?!

Widocznie coś było.

Teraz już nie można tego przed nikim usprawiedliwić. Nawet przed samym sobą.

„Wega! Moja Wega! — krzyczały jego listy, pisane na froncie. — Nie mogę umrzeć, musisz przedtem należeć do mnie! Teraz widzę jasno: żebym tylko mógł się urwać na trzy dni — na urlop, do szpitala — natychmiast byśmy się pobrali! Powiedz, tak? Tak?”

„Nie dręcz się. Albo będę należeć do ciebie, albo do nikogo. Na zawsze — twoja”.

Była absolutnie pewna swoich przyrzeczeń. Ale pisała te słowa, gdy jeszcze żył.

Nie został ranny, nie pojechał do szpitala, ani na urlop. Zginął.

Nie żyje, ale jego gwiazda dla niej nie zgasła, tyle że jej światło pada w pustkę. To nie jest gwiazda która zgasła, ale jej światło ciągle widać. To gwiazda, która nadal świeci pełną siłą, ale jej światło jest już niewidoczne i nikomu niepotrzebne.

Wiery nie wzięli na front. Nie zginęła, ocalała. Trzeba było żyć, uczyć się w instytucie. Wyznaczono ją na kierowniczkę grupy. Była zawsze pierwsza do wszystkiego — do prac porządkowych, do pracy w niedzielę. Nic innego jej nie pozostawało.

Ukończyła instytut z wyróżnieniem. Doktor Orieszczenkow, u którego odbywała praktykę, był bardzo z niej zadowolony. To on polecił ją Doncowej. I tyle jej pozostało: chorzy, leczenie. W tym był jej jedyny ratunek.

Naturalnie jeżeli ktoś rozumuje na poziomie Friedlanda, to jej zachowanie jest bzdurą, czymś nienormalnym, wariactwem: ciągle myśleć o jakimś umarłym i nie szukać żywego mężczyzny. Tak nie powinno być, to jest sprzeczne z nieodmiennymi prawami tkanek, hormonów, z prawami jej wieku.

Nie powinno? — a właśnie Wega doskonale wiedziała, że te wszystkie prawa uległy w niej zasadniczej zmianie!

To nie to żeby uważała, że jest na wieki związana obietnicą: „Na zawsze — twoja!” Chociaż tak, do pewnego stopnia: człowiek tak bardzo bliski nie może umrzeć całkowicie, to znaczy — coś widzi, coś słyszy, istnieje, jest obecny. I bezsilny, skazany na milczenie, przekona się że go oszukujesz.

Jakieś tam prawa rozrostu komórek, reakcji i sekrecji, cóż mają one do rzeczy, jeżeli drugiego takiego człowieka nie ma! Nie ma! Co mają z tym wspólnego jakieś komórki? Jakieś reakcje?

Po prostu z biegiem lat przychodzi otępienie. Znużenie. Nie potrafimy zdobyć się na wielkość ani w nieszczęściu, ani w dochowaniu wierności. Przekazujemy wszystko czasowi. Natomiast jesteśmy nieustępliwi, gdy chodzi o jedzenie. Jeść codziennie i oblizywać palce. Wystarczy byśmy nie jedli przez dwa dni, a już tracimy panowanie nad sobą, już włączymy na ścianę.

Oto, ludzkości, twój postęp!

Wega nie uległa żadnym przemianom, ale poddała się niszczącemu działaniu zmartwienia. Do tego zmarła jej matka, jedyna osoba z którą blisko współżyła. Matka umarła, bo ją także pokonało zmartwienie: jej syn, inżynier, starszy od Wiery, został aresztowany w czterdziestym roku. Pisywał przez pierwsze kilka lat. Przez te lata wysyłały mu paczki gdzieś do Buriatsko-Mongolskiej Republiki. Aż kiedyś przyszło niezbyt zrozumiałe zawiadomienie z poczty, i matka odebrała z powrotem swoją paczkę z przekreślonym adresem, opatrzoną w kilka pieczętek. Niosła tę paczkę do domu jak małą trumienkę. Kiedy jej syn się urodził, mógłby się chyba zmieścić w tej paczusce.

Ta wiadomość dobiła matkę. A także i to, że synowa wkrót-

ce wyszła za mąż po raz drugi. Matka tego nie mogła zrozumieć, natomiast dobrze rozumiała Wierę.

Wiera została sama jedna.

Naturalnie nie ona jedna tylko — jedna z wielu milionów.

W kraju było tyle samotnych kobiet, że przychodziła ochota rozejrzeć się między znajomymi: bodaj więcej samotnych niż zamężnych. I prawie wszystkie w jej wieku. Dziesięć kolejnych roczników. Rówieśnice tych, co padli na wojnie.

Litościwa w stosunku do mężczyzn, wojna ich zabrała. Kobiętom kazała żyć i trwać w udęce.

Kto spod gruzów wojny dowłókł się z powrotem a nie był zony, ten nie wybierał wśród rówieśnic, wybierał wśród młodszych. Zaś młodszy o kilka lat to już było zupełnie inne pokolenie: dzieci, których wojna nie dotknęła.

I tak oto miliony kobiet, które nigdy nie były w szeregach, wegetowały nie wiadomo po co na świecie. Marginesowy ugor historii.

I tylko te spośród nich nie były ostatecznie skazane, które zachowały zdolność przyjmowania życia *auf die leichte Schulter*.

Mijały długie lata zwyczajnego spokojnego życia, ale Wega żyła i zachowywała się tak jakby nosiła maskę gazową, z głową zawsze ściśniętą niedobłą taśmą gumową. Aż doprowadzona do oszołomienia, wybita z sił — zerwała z siebie maskę.

Zaczęła żyć bardziej po ludzku, dbała o swój wygląd, nie unikała towarzystwa innych, starała się być uprzejmą.

Świadomość dochowania wierności daje swoiste upojenie. Może nawet najwyższe. I wcale nie ważne, żeby inni o tym wiedzieli.

I nawet niech tego nie cenią!

Byle by ona sama szła naprzód!

A jeżeli nie idzie? A jeżeli to co robi nikomu nie jest potrzebne?

Okulary maski gazowej są wielkie i okrągłe, ale widać przez nie źle i niewiele. Teraz, bez tych sztucznych szkieł, Wega mogła by widzieć wszystko znacznie lepiej.

A jednak nie rozejrzała się dobrze. Nie mając żadnego doświadczenia, uderzyła się bardzo boleśnie. Potknęła się, bo nikt jej nie przestrzegł. Tamten krótki i niegodny jej stosunek nie tylko jej nie ulżył, nie rozjaśnił jej życia, lecz przeciwnie — zbrukał, poniżył je, naruszył całość, złamał harmonię.

I teraz już nie podobna zapomnieć. I teraz już nie podobna zetrzeć tej plamy.

Nie, nigdy nie potrafiła przyjmować życia w łatwy sposób, ze wzruszeniem ramion. Im bardziej delikatny jest człowiek, tym

więcej trzeba okoliczności sprzyjających zbliżeniu z innymi ludźmi o podobnym charakterze. Każdy nowy zbieg okoliczności bardzo niewiele sprzyja zbliżeniu. Natomiast jedna jedyna rozbieżność może wszystko zniszczyć. Ta rozbieżność zjawia się zazwyczaj tak szybko, zarysowuje się tak wyraziście. I nie ma nikogo, kto by mógł doradzać jak się zachować, jak żyć...

Ile osób, tyle odmiennych dróg.

Radzono jej uporczywie, żeby wzięła dziecko na wychowanie. Długo i rzeczowo rozprawiła z wieloma kobietami na ten temat, zdawało się że już ją przekonały, już się zapalała i odwiedzała różne sierocińce.

A jednak cofnęła się. Nie była w stanie pokochać dziecka tak od razu, tylko dlatego że chciała, że nie miała innego wyjścia. Inne niebezpieczeństwo: mogła później stracić do niego serce. Jeszcze większe niebezpieczeństwo: dziecko mogłoby wyrosnąć całkowicie jej obce.

Żeby tak mieć swoją własną, prawdziwą córkę! Właśnie córkę, bo można ją wychować na swój sposób, z chłopcem nie da rady.

Ale nie była w stanie raz jeszcze wejść na tą grząską drogę z obcym sobie człowiekiem.

Przesiedziała w fotelu do północy i nie wykonała żadnej z tych prac, które same pchały jej się do rąk tego wieczora. Nawet światła nie zapaliła. Wystarczało jej w zupełności światło idące od aparatu radiowego — przyjemnie było rozmyślać, patrząc na jasną zielen i czarne kreski na podziałce radiowej.

Przesłuchiwała wiele płyt i reagowała jakoś lekko na najbardziej przejmujące melodie. Potem nastawiała marsze wojskowe. Triumfalne marsze, przechodzące pod nią w mroku. W tym starym fotelu o wysokim, uroczystym oparciu, Wiera siedziała jak triumfatorka, podciągnąwszy pod siebie smukłe nogi.

Czterdzieści lat, jedna pustynia za drugą aż po czternastą, aż wreszcie doszła. Czternaście lat obłędu, a oto okazało się że miała rację!

Właśnie dziś wieloletnie trwanie w wierności nabrało nowego i ostatecznego sensu.

Dochowała tej wierności prawie całkowicie. Można przyjąć, że całkowicie. W najważniejszych sprawach — wierność.

I właśnie teraz zdała sobie sprawę, że zmarły był tylko chłopcem, nie dzisiejszym rówieśnikiem nie mężczyzną, że był pozbawiony tej męskiej, ciężkiej siły, która jest jedynym schronieniem dla kobiety. Nie przeżył całej wojny, nie widział jej końca ani późniejszych trudnych lat, pozostał na zawsze młodzieńcem z jasnymi, bezbronnymi oczami.

Położyła się, ale nie mogła zasnąć od razu i niewiele ją obchodziło, że mało zostało godzin snu. A gdy już zasnęła, budziła się wciąż i miała senne widzenia, zbyt dużo ich jak na jedną noc. Niektóre z tych snów nie miały żadnego sensu, inne były takie że chciała je zatrzymać aż do kresu nocy.

Rankiem obudziła się — uśmiechnięta.

Podczas jazdy autobusem popychano ją, przyciskano, deptano jej po nogach, wszystko znosiła, nie mając do nikogo żadnej pretensji.

Włożyła lekarski kitel i kiedy szła na krótkie, pięciominutowe zebranie, już z daleka, w korytarzu na pierwszym piętrze, z radością dostrzegła Lwa Leonidowicza po raz pierwszy po jego powrocie z Moskwy. Szedł wielki, silny i nieco śmieszny jak goryl. Ciężki ponad miarę, zbyt długie ramiona zwisały, ściągając barki ku dołowi, ni to wada ni ozdoba całej figury. Na wielkiej, kopulastej głowie, wyrzeźbionej ostrymi cięciami dłuta, tkwiła biała czapeczka w kształcie furazerki, nałożona jak zawsze niedbale, spłaszczona po środku i ze sterczącymi różkami. Jego pierś obcisnięta białym kitem była jak wieżyczka czołgu, wymalowanego na białe by nie odróżniał się od śniegu. Szedł, jak zawsze mrugając oczami, z surowym, groźnym wyrazem twarzy, ale Wega wiedziała że najmniejsza zmiana w układzie rysów zamieni i ten groźny wyraz w uśmiech.

Tak się też stało, kiedy wyszli ze stykających się korytarzy i stanęli naprzeciw siebie przy wejściu na schody. Wiera odezwała się pierwsza.

— Ogromnie się cieszę, żeś wrócił! Bardzo tu nam ciebie brakowało!

Odpowiedział szerokim uśmiechem, nisko zwisającą łapą chwycił ją za łokieć i skierował ku schodom.

— Wyglądasz mi bardzo wesoło! Opowiedz, niech i ja się ucieszę!

— Ach, nic specjalnego! A tobie jak się udała podróż?

Lew Leonidowicz westchnął.

— I dobrze i niedobrze. Moskwa jest jak gniazdo szerszeni.

— Potem opowiesz szczegółowo.

— Przywiozłem ci płyty. Trzy.

— Naprawdę? Jakie płyty?

— Wiesz przecież, że ja tych Saint-Saënsów nie bardzo odróżniam. W GUM-ie założyli teraz osobny dział długogrających płyt, wręczyłem twoją listę i sprzedawczyni zapakowała trzy płyty. Jutro przyniosę. Słuchaj, Wieruniu, chodźmy dziś na rozprawę sądową.

— Co znowu za rozprawa?

— A to nie wiesz? Będą sędzić chirurga. Ze szpitala nr 3.  
— Prawdziwy sąd?  
— Na razie koleżeński. Ale śledztwo trwało całe osiem miesięcy.

— Za co?

Pielęgniarka Zoja właśnie schodziła na dół po nocnym dyżurze. Pozdrawiając Wierę i Lwa Leonidowicza, błysnęła złocistymi rzęsami.

— Dziecko umarło po operacji. Ja teraz mam w sobie moskiewski rozpęd, koniecznie muszę pójść, narobić trochę hałasu. A tu zasiedzisz się przez tydzień, zaraz ogon podkulisz. Pójdziemy?

Wiera nie miała czasu ani na odpowiedź, ani na decyzję: już trzeba było wejść do pokoju z fotelami w pokrowcach i jaskrawo błękitną serwetą. Na pięciominutowe zebranie.

Wiera bardzo ceniła przyjazne stosunki z Lwem Leonidowiczem. Obok Ludmiły Afanasjewny był to w szpitalu najbliższy jej człowiek. Najważniejsze że nie pojawił się ani cień tego, co zazwyczaj wkrada się do stosunku nieżonatego mężczyzny z niezamężną kobietą. Lew nigdy nie rzucił znaczącego spojrzenia, nie zrobił żadnej aluzji, nie popatrzył na nią pożądliwie, nie przekroczył żadnej granicy, a już Wiera tym bardziej. To był prawdziwie przyjacielski stosunek, pozbawiony jakichkolwiek niebezpieczeństw, jak najbardziej naturalny. Miłość, małżeństwo, o tym nigdy nawet słowem nie wspomnieli, jak gdyby te sprawy w ogóle w życiu nie istniały. Lew Leonidowicz domyślał się zapewne, że Wedze chodzi właśnie o taki stosunek. On sam miał kiedyś żonę, potem jej nie miał, później była jakaś przyjaciółka... Kobiety pracujące w przychodni (praktycznie biorąc, cała przychodnia) lubiły plotkować na jego temat i teraz, jak się zdaje, podejrzewały go że związał się z pielęgniarką z oddziału operacyjnego. Młody chirurg Angelina utrzymywała że to fakt, ale ją samą podejrzewano że robi co może, by zdobyć Lwa Leonidowicza.

Ludmiła Afanasjewna przez całe pięć minut stawiała na papierze jakieś kanciaste znaki, i od czasu do czasu rwała stalówką kartkę. Wiera, odwrotnie, była spokojna jak nigdy przedtem. Czuła w sobie niezwykle zrównoważenie.

Zebranie dobiegło końca i Wiera Korniliewna zaczęła wizytę lekarską od dużej sali kobiecej. Miała tam wiele własnych pacjentek, więc wizyta trwała bardzo długo. Siadała na łóżku każdej chorej, dokładnie badała, wdawała się w rozmowę. Zawsze cichutko, bo trudno było żądać żeby na sali panowała cisza, bo trwałoby to jeszcze dłużej, a zresztą czy można uciszyć tyle kobiet. W kobiecych salach trzeba było postępować jeszcze bardziej



ogłędnie i ostrożnie, niż wśród mężczyzn. Jej pozycja i stanowisko lekarki nie miały tu bezwzględnego znaczenia. Wystarczyło żeby zjawiła się w nieco lepszym nastroju, albo żeby zaczęła zapewniać że wszystko będzie dobrze — takich zapewnień wymagały zasady psychoterapii — a już czuła na sobie jawnie wrogie spojrzenie nieukrywanej zazdrości. „Ciebie to nie obchodzi! Ty jesteś zdrowa! Ty nie możesz zrozumieć!” Zgodnie z psychoterapią starała się sugerować tym chorym, zrozpaczonym kobietom, żeby dbały o siebie nawet w szpitalu, żeby się starannie cesały, nawet malowały usta, ale z jaką wrogością zareagowałyby wszystkie, gdyby ona sama zaczęła zbyt dbać o swój wygląd.

Więc i dziś szła jak zazwyczaj od łóżka do łóżka, zachowując się w możliwie skromny, opanowany sposób, i starała się słuchać tylko pacjentek, a nie ogólnego hałasu. I nagle usłyszała spod przeciwniejszej ściany jakiś rozlazły, wyjątkowo nieprzyjemny głos.

— A jacy tu są pacjenci! Ogiery nie pacjenci, jeno się trzymaj! Ten kudłaty, przepasany rzemieniem, to każdego nocnego dyżuru pielęgniarkę Zojkę jak jeszcze obłapia!

— Ze co? Jak? — Ganhart ponownie zadała pytanie swojej kolejnej pacjentce. — Proszę raz jeszcze powtórzyć.

Chora zaczęła jeszcze raz.

(Przecież Zoja miała dyżur minionej nocy! Właśnie tej nocy gdy Wiera wpatrywała się w zielone światło na podziółce radiowej...).

— Bardzo was przepraszam, ale powtórzcie raz jeszcze od początku i możliwie rzeczowo!

## 26.

### SZLACHETNA INICJATYWA

Kiedy chirurg, który nie jest nowicjuszem, zaczyna się denerwować? Na pewno nie podczas operacji. Operacja to jawna, uczciwa robota, wiadomo o co chodzi, trzeba tylko dbać o dokładne wyczyszczenie, żeby potem nie robić poprawek. Chyba że nastąpi jakaś nagła komplikacja, powiedzmy krwotok, i wtedy przypominaś sobie że Rutherford umarł podczas operacji przepukliny. Niepokoje chirurga zaczynają się dopiero po operacji. A to z nieznanых powodów nie spada gorączka, a to spuchł brzuch i teraz, po niewczasie, trzeba w myśli powtórzyć operację, przyrzec się, zrozumieć i poprawić.



Oto dlaczego Lew Leonidowicz miał zwyczaj jeszcze przed przyjściem do gabinetu ogólnego, zajrzeć do zoperowanych pacjentów i rzucić na nich przynajmniej okiem. Skoro czekały go wielogodzinne obchody ogólnych sal, bo dzień jutrzejszy był przeznaczony na następne operacje, nie mógł tak długo nie wiedzieć jak się czuje pacjent zoperowany na żołądek i co z Diomką. Zajrzał do pierwszego, sprawdził że całkiem nieźle, powiedział pielęgniарce co mu dawać do picia i w jakich ilościach. Potem poszedł do maleńkiego pokoiku na dwa łóżka, gdzie leżał Diomka.

Tamtemu pacjentowi już było znacznie lepiej, wkrótce miał wyjść ze szpitala, a Diomka leżał na plecach otulony kocem powyżej pasa, z poszarzałą twarzą. Wpatrywał się w sufit, ale spojrzenie było niespokojne, trwożliwe. Mięśnie twarzy jakby skupiły się przy oczach, wydawało się że chce dojrzeć jakiś drobiazg na suficie, i zupełnie mu się to nie udawało.

Lew Leonidowicz zatrzymał się w milczeniu, rozstawił nieco nogi, trochę boczkiem do Diomki, i patrzył spode łba. Długie ręce zwisały, jedną z nich odsunął nieco, jak gdyby celował — a żeby tak trzasnąć Diomkę w szczękę, co się wtedy stanie?

Diomka przekręcił głowę, zobaczył go i roześmiał się.

Surowy, groźny wyraz twarzy chirurga również ustąpił miejsca uśmiechowi. Lew Leonidowicz mrugnął do Diomki jednym okiem, że niby swój chłopak, wszystko dobrze rozumie.

— To znaczy, że wszystko w porządku? Stan normalny?

— Jakież tam normalny! — Diomka mógłby się poskarżyć na wiele rzeczy, ale że sprawa była między mężczyznami, uważał że skarżyć się nie należy.

— Boli?

— Acha...

— W tym samym miejscu?

— Acha...

— Diomka, długo jeszcze będzie bolało. Jeszcze po roku będziesz łapać się za puste miejsce. A jak zacznie boleć, ty zaraz pomyśl: n i e m a ! Od razu ci ulży. Najważniejsze to, że teraz życie przed tobą, rozumiesz? A noga — na śmietnik!

Jak wielką pociechę przyniosły mu słowa Lwa Leonidowicza! Rzeczywiście, tę zarazę co mu tyle dokuczyla — na śmietnik! Bez niej lepiej.

— No my jeszcze do ciebie zajrzemy!

Poepędził na zebranie, już ostatni, spóźniony (Nizamutdin bardzo nie lubił spóźniania się), gwałtownie roztrącając powietrze. Kitel z przodu miał bez rozcięcia, zaś z tyłu poły się nie schodziły, nie można go było ściągnąć tasiemkami na plecach. Jeżeli szedł przez klinikę sam, to zawsze bardzo szybko, schodami —

przeskakując po dwa stopnie, machając rękami i stawiając wielkie kroki. Na podstawie tych gwałtownych ruchów wszyscy pacjenci dochodzili do wniosku, że Lew Leonidowicz nigdy się nie obija i nie ma czasu dla samego siebie.

Zebranie przedłużyło się do pół godziny. Nizamutdin wszedł z wielką godnością (tak sądził), równie dostojnie (tak sądził) powitał obecnych i nie śpiesząc się, przyjemnym (był tego pewny) głosem otworzył posiedzenie. Wyraźnie wsłuchiwał się we własne słowa, obserwował jak gdyby z boku każdy swój ruch i gest, utwierdzając się w przekonaniu, że jest wyjątkowo solidnym i rozumnym, wykształconym człowiekiem o niezwykłym autorytecie. W rodzinnym osiedlu powstawały o nim legendy, znany był w całym mieście, a nawet gazety niekiedy o nim wspominały.

Lew Leonidowicz siedział na nieco odsuniętym krześle, z długą nogą założoną na kolano, rozczapierzone paluchy wsadził pod biały pasek zawiązany na brzuchu. Marszczył się i chmurzył pod krzywo nałożoną furażerką, ale ponieważ przed obliczem władzy zawsze miał ponury wygląd, naczelny lekarz nie mógł przyjmować jego min pod swoim adresem.

Naczelny lekarz traktował swoje stanowisko nie jako stałe, ciężkie i wytrwałe wykonywanie obowiązku, lecz jako nieustanne wystawianie się na pokaz, na wyróżnianie, nagrody i przywileje. Ponieważ miał tytuł naczelnego doktora, uważał że istotnie jest tu najważniejszy, że wie i rozumie znacznie więcej niż pozostali lekarze, no może nie we wszystkich szczegółach; że ściśle kontroluje swoich podwładnych, i że dzięki swemu kierownictwu i kontroli nie dopuszcza do popełniania pomyłek. To był właśnie powód, dla którego posiedzenie tak bardzo się przedłużyło, co zresztą nikomu nie sprawiało przykrości.

Przekonany że jego uprawnienia jako naczelnego lekarza stoją ponad wszystkim, nie przeprowadzał większej selekcji przy przyjmowaniu do przychodni nowego personelu — lekarzy, pielęgniarek, pracowników administracyjnych. Przyjmował tych, w których sprawie dzwoniły telefony, albo których polecano w okręgowym Wydziale Zdrowia, w miejskim Komitecie, czy w Instytucie gdzie wkrótce miał bronić dysertacji naukowej; albo osoby, które mu polecono we właściwej chwili przy dobrej kolacji; albo jeśli kandydat pochodził z równie starego rodu, co on sam. A jeżeli kierownicy działów żalili się, że nowoprzybyły nie ma o niczym pojęcia, Nizamutdin Bachramowicz dziwił się jeszcze bardziej niż oni. „No to nauczcie go, towarzysze! A od czego tu jesteście?!”

Miał siwe włosy, jakie od pewnego wieku otaczają szlachetnie — obojętnym nimbem głowy geniuszów i tępaków, ludzi ofiar-

nych i aferzystów, działaczy i leniuchów. Smagłość twarzy jeszcze piękniej uwydatniała jego siwiznę. Miał doskonałą prezencję i pewność siebie, jaką natura wynagradza zazwyczaj brak niepokoju myślowego. I z tą pewnością siebie Nizamutdin Bachramowicz opowiadał swoim pracownikom lekarskim jakie błędy w nich dostrzega, wyjaśniał im jak powinni walczyć o uratowanie cennego życia powierzonych pacjentów.

A na sztywnych urzędowych kanapach, na krzesłach i fotelach, przy stole nakrytym serwetą barwy pawiego pióra, siedzieli i słuchali z widoczną uwagą ci wszyscy, których Nizamutdin jeszcze nie zdążył zwolnić z pracy, i ci których zdążył już przyjąć.

Naprzeciwko Lwa Leonidowicza, dobrze widoczny, siedział kędzierzawy Chałmuchamiedow. Wyglądał tak jakby go wycięto z ilustracji do opisu podróży kapitana Cooka, jak gdyby dopiero co wyszedł z dżungli: na głowie splątane, nieprzebyte chaszczce, brązowa twarz usiana czarnymi jak węgle wągrami; gdy uśmiechał się zarazem dziko i radośnie, błyskały wielkie, białe zęby. Tylko nie było — a bardzo brakowało — kółka w nosie.

Oczywista nie chodziło ani o jego wygląd, ani o autentyczność dyplomu ukończenia Instytutu, lecz o to że nie był w stanie zrobić przyzwocie ani jednej operacji. Lew Leonidowicz dwukrotnie dopuścił go do stołu operacyjnego i odechciało mu się raz na zawsze. Ale wypędzić go ze szpitala też nie było można — byłoby to przecież podrywanie zaufania do miejscowych kadr narodowych. I tak oto Chałmuchamiedow już czwarty rok zapisywał historię najmniej skomplikowanych chorób, z ważną miną towarzyszył wizytom i opatrunkom, dyżurował (raczej spał) po nocach, a mimo to otrzymywał półtorej stawki; ponadto wychodził ze szpitala przed zakończeniem dziennej pracy.

Siedziały razem z nimi również dwie kobiety, posiadające dyplomy chirurgów. Jedna z nich — Pantiochina, mocno otyła, koło czterdziestki, zawsze zafrasowana, bo przecież miała sześćioro dzieciaków z dwóch kolejnych małżeństw, pieniędzy ciągle jej brakowało a dzieci nie było komu pilnować. Wszystkie te troski widniały na jej twarzy nawet w tak zwanych urzędowych godzinach, to znaczy w godzinach gdy musiała spędzać czas w przychodni, żeby nie stracić miesięcznej pensji. Druga — Angelina, młodzianka, trzeci rok po ukończeniu Instytutu, nieduża, rudawa, dość przystojna, zniechęciła Lwa Leonidowicza za to, że nie zwracał na nią uwagi, i obecnie była w dziale chirurgicznym główną przeciw niemu intrygantką. Jedna i druga ograniczały swoje możliwości do badania ambulatoryjnego, nie można im było dać do ręki skalpela, ale istniały również bardzo poważne przyczyny,

dla których naczelny lekarz w żadnym wypadku nie zgodziłby się na ich zwolnienie.

I tak oto w przychodni było na etacie pięcioro chirurgów, ale w rzeczywistości tylko dwoje z nich wykonywało zabiegi operacyjne.

Nie brakowało na posiedzeniu również pielęgniarek. Niektóre z nich były na tym samym poziomie co kiepscy lekarze, ale wszystkie zostały przyjęte i znajdowały się pod opieką Nizamut-dina Bachramowicza.

Niekiedy Lew Leonidowicz miał tego tak dość, że dochodził do wniosku iż praca staje się niemożliwa. Zerwać ze wszystkim i odejść! Ale dokąd? W innym szpitalu także jest naczelny lekarz, i kto wie czy nie gorszy. I nie brak nadętych bałwanów i pracowników, którzy nie pracują. Co innego, gdyby mieć własną klinikę, i tak oryginalnie, rzeczowo ją zorganizować, żeby wszyscy znajdujący się na liście naprawdę pracowali, i żeby było ich akurat tyle ilu potrzeba. Ale w sytuacji Lwa Leonidowicza trudno było liczyć na stanowisko naczelnego lekarza, chyba że gdzieś bardzo daleko. A przecież i stąd do Moskwy nie było blisko.

Z drugiej strony wcale mu nie było śpieszno do pracy kierowniczej. Wiedział dobrze, że zajęcia administracyjne przeszkadzają w pracy, prowadzonej z prawdziwym rozmachem. A ponadto pamiętał, że był taki okres, kiedy ludzie wpadali w niełaszkę, na ich losie poznał znikomość władzy. Widział dowódców dywizji, którzy marzyli o tym by ich zrobiono ordynansami, a swego pierwszego nauczyciela który go uczył praktyki, chirurga Koriakowa, dosłownie wyciągnął z gnojówki.

Chwilami przecież jego nastawienie łagodniało. Wtedy Lwowi Leonidowiczowi wydawało się, że można wytrzymać, nie należy odchodzić. Wpadał w inną skrajność, zaczynał się obawiać że go wygryzą razem z Doncową i Ganhart, że ku temu idzie, że z każdym rokiem sytuacja będzie się komplikować zamiast upraszczać. A już nie było tak łatwo znosić nagłe przeszkoki w życiu: zbliżał się jednak do czterdziestki, organizm domagał się już stabilizacji i pewnych wygód.

W ogóle własne życie napawało go zdumieniem, nie wiedział co o nim sądzić. Nigdy nie orientował się czy należy zdobyć się na bohaterski zryw, czy też płynąć powolutku, ze spokojnym nurtem. Nie tu i zupełnie inaczej zaczęła się jego poważna praca. Lew Leonidowicz zaczynał z wyjątkowym rozmachem. Była taka chwila, gdy znajdował się o parę kroków od nagrody imienia Stalina. I nagle jego instytut się rozleciał, nie wytrzymał ciągłego napięcia i nadmiernego pośpiechu. I nawet nie zdążył obronić dysertacji kandydackiej. Do pewnego stopnia wpłynął na to Ko-

riakow, który wciąż mu powtarzał: „Pracujcie, jak najwięcej pracujcie! N a p i s a n i e zawsze jest czas!” A gdzie ten czas?

A zresztą — po kiego diabła pisanie?!

Lew Leonidowicz mrużył oczy i udawał że słucha naczelnego lekarza, starając się nie pokazać po sobie niezadowolenia. Musiał panować nad sobą tym bardziej, że w przyszłym miesiącu miał po raz pierwszy przeprowadzić operację klatki piersiowej.

Wszystko się kończy, więc skończyło się również posiedzenie. Chirurdzy wychodzili kolejno z pokoju i zgromadzili się przy schodach. Wciąż trzymając wielkie łapska pod paskiem na brzuchu, Lew Leonidowicz poszedł na ogólną wizytację chorych, prowadząc za sobą, niczym pochmurny roztargniony wódz, oddział złożony z siwej, szczupłej jak trzcinka Eugenii Ustinowny, kudłatego Chałmuchamiedowa, grubej Pantiochiny, rudej Angeliny i dwóch pielęgniarek.

Zdarzały się wizytacje przeprowadzane w błyskawicznym tempie, gdyż trzeba było pracować z największym pośpiechem. Również i dziś należało się śpieszyć, ale tym razem chodziło o wizytację powolną, obejmującą wszystkich pacjentów. Więc wszyscy siedmioro powoli wchodzili na każdą salę, tłoczyli się w ciasnych przejściach, ustępując sobie nawzajem, a potem patrząc sobie przez ramię. Powietrze było gęste od duszących zapachów lekarstw, od braku wentylacji, od woni wydawanej przez chorych. Skupieni przy łóżku zbitą gromadką, lekarze musieli w ciągu jednej, trzech, najwyżej pięciu minut poznać cierpienia chorego, jego przeżycia, zaznajomić się z badaniami wstępnymi, z historią choroby, z przebiegiem leczenia, z obecnym stanem pacjenta, i orzec jak zgodnie z teorią i praktyką powinni postępować w dalszym ciągu.

Gdyby tych lekarzy było mniej, gdyby każdy z nich był najlepszym fachowcem, a nie po prostu pracownikiem na pensji; gdyby na każdego z nich nie przypadało po trzydziestu chorych; gdyby w głowach nie tkwiła klinem myśl o tym, co najlepiej wpisać do historii choroby; i gdyby to nie byli tylko ludzie o określonych przyzwyczajeniach, nałogach i ciężących wspomnieniach, zwyczajni ludzie odczuwający ulgę, że ich te choroby i cierpienia ominęły — to, być może, tego rodzaju wizytacje byłyby najlepszym rozwiązaniem.

Ale Lew Leonidowicz dobrze wiedział, że żaden z tych warunków nie może być dotrzymany, zaś wizytacji nie można było ani znieść, ani zastąpić czymś innym. Więc prowadził wszystko po ustalonej linii, mrużył oczy, jedno oko bardziej od drugiego, cierpliwie wysłuchiwał kolejnego sprawozdania (i to nie z pa-

mięci, ale odczytywanego z papierka) — skąd pochodzi, kiedy został przyjęty do szpitala (o starych pacjentach te szczegóły były dobrze znane), jaka odmiana choroby, jakie leczenie jest stosowane, w jakich dozach, jaki stan krwi, czy już wyznaczono operację i co stoi na przeszkodzie, jeżeli decyzja jeszcze nie została podjęta. Słuchał, w wielu wypadkach sam siadał na łóżku, niekiedy prosił o obnażenie bolącego miejsca, patrzył, obmacywał, potem albo przykrywał pacjenta kołdrą, albo proponował innym chirurgom by także chorego zbadali.

Prawdziwie skomplikowanych wypadków nie można było w czasie takich wizytacji rozstrzygnąć — w tym celu należało pacjenta wziąć na osobne badanie. Nie można było mówić o wszystkim otwarcie, nazywać rzeczy po imieniu i tym samym od razu uzgodnić opinię między lekarzami. Nawet nie można było stwierdzić, że czyjś stan uległ pogorszeniu, chyba tylko tyle, że „proces nieco się zaostrzył”. Tu wszystko odbywało się przy pomocy aluzji, napomknięć, używano jakichś pseudonimów, nawet mocno zaszyfrowanych, albo mówiono coś wręcz sprzecznego z rzeczywistością. Tu nikt nie tylko nie powiedział „rak” albo „sarkoma”, lecz nie wymieniano nawet eufemizmów już na pół znanych pacjentom, jak — „cancer”, „canceroma”, „C-r”, „C-a”... Natomiast w użyciu były terminy łagodne, jak na przykład „bolączka”, „gastritis”, „zapalenie”, „polip”, a co kto miał na myśli posługując się nimi, można było całkowicie wyjaśnić dopiero po wizytacji. Żeby jednak rozumieć się jakoś nawzajem, wolno było na przykład powiedzieć, że „na obrazie widać poszerzenie przestrzeni między płucnej”, albo słyszeć „pusty odgłos”, że „przypadek nie nadaje się do resekcji”, albo „nie wykluczony jest exitus letalis” (co znaczyło, że może umrzeć pod nożem). Jeśli jednak tych zastępczych określeń nie wystarczało, Lew Leonidowicz mówił:

— Proszę odłożyć historię choroby do późniejszego przejrzenia!

Po czym szli do następnego pacjenta.

Im mniej mogli podczas takiej wizytacji rozeznaczyć się w chorobie, zrozumieć się i porozumieć nawzajem, tym większe znaczenie Lew Leonidowicz przypisywał wzbudzaniu w chorym otuchy. Nawet z czasem zaczął się w tym dopatrywać głównego celu wizytacji.

Na przykład powiadano mu — „*status idem*”, co znaczyło że wszystko bez zmian.

— A tak? — odzywał się radosnym głosem. Po czym śpieszył dowiedzieć się od samej pacjentki: — Czujecie się troszkę lepiej, prawda?

— Zdaje się, że tak... — odpowiadała nieco zdziwiona pa-



cientka. Ona sama nie zauważyła żadnej zmiany na lepsze, ale skoro lekarze zauważyli, to widocznie nastąpiło polepszenie.

— No widzicie! I tak stopniowo wróćcie do zdrowia.

Inna pacjentka wpadła w popłoch.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego odczuwam bóle w stosie pacyzowym. Może i tam zjawił się nowotwór?

— Ależ nie-e-e-ee... — Lew Leonidowicz przeciągał to słowo „nie” z uśmiechem. — To zjawisko wtórne...

Powiedział prawdę: ten przerzut był istotnie wtórnym zjawiskiem.

Przy łóżku straszliwego starca o wyostrzonych rysach i szarej jak u umarlaka twarzy informowano go, że pacjent otrzymuje środki uśmierzające bóle oraz lekarstwa wzmacniające.

Znaczyło to że już koniec, leczyć nie można, nie ma czym, chodzi tylko o to by złagodzić cierpienia.

W takim wypadku Lew Leonidowicz ściągał nawisłe brwi i mówił takim tonem, jak gdyby chodziło o niezmiernie ciężką decyzję:

— Tatusiu, pogadamy sobie szczerze, karty na stół! To co obecnie odczuwacie, to reakcja na uprzednie leczenie. Nie denerwujcie się, lećcie sobie spokojnie, my was wyleczymy. Wypoczywajcie, to nic że nie stosujemy żadnych specjalnych zabiegów, z naszą pomocą organizm broni się sam.

Skazaniec robił gest potwierdzający. Szczerość lekarza nie pogarszała sytuacji, przeciwnie — zapalała mały płomyczek nadziei.

— W kącie międzyżebrowym — informowano Lwa Leonidowicza, wręczając mu zdjęcie rentgenowskie — powstał twór guzowaty typu neoplazmy.

Oglądał pod światło ciemne, mętne zdjęcie i kiwał głową z zadowoleniem.

— Bardzo dobre! Doskonałe zdjęcie!

I pacjentka pokrzepiała się na duchu — jej stan jest nie tylko dobry, lecz wręcz doskonały.

Zdjęcie zaś było bardzo dobre w tym sensie, że nie potrzebna było go powtarzać, że rozmiary i zasięg nowotworu widniały na nim w sposób absolutnie wyrazisty.

I tak oto przez całe półtorej godziny ogólnej wizytacji kierownik działu chirurgicznego mówił nie to co myślał, pilnował się żeby ton głosu nie wyrażał jego uczuć, a jednocześnie uważał żeby inni lekarze we właściwy sposób robili notatki na tekturowych karteczkach. Małe kartki z kiepskiego kartonu, w którym pióro zarywało się przy pisaniu. A na podstawie tych notatek niejeden z nich mógł potem pójść pod sąd. Lew Leonidowicz ani razu nie uczynił gwałtownego gestu, ani razu w jego spojrzeniu nie wyra-



ził się niepokój. Widząc jego przychylne, znużone oczy, chorzy dochodzili do wniosku, że ich choroby są zwyczajne, dobrze rozpoznane i wcale nie niebezpieczne.

Po półtoragodzinnym graniu przyjętej roli, połączonym z myśleniem zawodowym, Lew Leonidowicz poczuł się zmęczony i co raz to poruszał skórą na czole, usiłując rozprostować zmarszczki.

Ale właśnie bardzo stara pacjentka poskarżyła się, że od bardzo dawna jej nie badano, więc ją zbadał.

Potem jakiś staruch oświadczył, że ma mu to i owo do powiedzenia.

I w bardzo zagmatwany sposób zaczął opowiadać jak on sam rozumie pochodzenie i rozwój swoich dolegliwości. Lew Leonidowicz ciepłiwie słuchał i nawet potakująco kiwał głową.

— Proszę! — łaskawie zezwolił staruch. — Co teraz macie mi do powiedzenia?

Chirurg uśmiechnął się.

— Co mam do powiedzenia? Nasze interesy są wspólne. Wy pragniecie wyzdrowieć i my pragniemy abyście wyzdrowieli. No to w dalszym ciągu będziemy ze sobą współpracować.

Z Uzbekami potrafił w najprostszych sprawach rozmówić się po uzbecku. Bardzo inteligentnie wyglądającej kobiety w okularach postanowił publicznie nie badać. Sam jej widok na tym łóżku i w szlafroku sprawiał mu przykrość. Małemu chłopaczkowi, który tu był razem z matką, poważnie podał rękę. Siedmioletniego dzieciaka pstryknął palcami w brzuch i obydwaj roześmiali się jednocześnie.

Jedynie nauczycielce, która zażądała by wezwał na naradę neuropatologa, odpowiedział w niezbyt grzecznej formie.

Ale to już była ostatnia sala. Wyszedł zmęczony jak po ciężkiej operacji.

— Teraz — zapowiedział — pięć minut na papierosa.

Lew Leonidowicz i Eugenia Ustinowna przyssali się natychmiast do papierosów z taką żarłocznością, jak gdyby tylko na to czekali przez cały czas wizytacji. A sami surowo zakazywali pacjentom palenia, twierdząc że nikotyna jest rakotwórcza.

Potem wszyscy zebrali się w niewielkim pokoju, za jednym wspólnym stołem. Znowu padały te same nazwiska co podczas wizytacji, ale obraz ogólnej poprawy zdrowia, jaki mógłby sobie stworzyć obserwator z boku, natychmiast się rozleciał. W wypadku *status idem* operacja była niemożliwa, a jeśli pacjentka otrzymywała rentgenoterapię, to tylko po to by złagodzić cierpienia, a nie z nadzieją wyleczenia. Tamten malec, któremu Lew Leonidowicz podał rękę, był nieuleczalnie chory, proces już się zgeneralizował. Trzymano go w szpitalu jedynie na prośbę rodzi-

ców. Na temat staruchy, która prosiła o zbadanie, Lew Leonidowicz powiedział:

— Ma sześćdziesiąt osiem lat. Jeżeli będziemy ją leczyć rentgenem, może dociągnie do siedemdziesiątki. Jeżeli zoperujemy — umrze przed rokiem. Prawda, Eugenia Ustinowna?

Jeżeli nawet taki zwolennik krajania jak Lew Leonidowicz nie chciał operować, to Eugenia Ustinowna tym bardziej.

Ale to nieprawda, że był zwolennikiem krajania. Po prostu był sceptykiem i dobrze wiedział, że żadne instrumenty tak dobrze nie sprawdzą jak własne oko. Skalpel najskuteczniej likwiduje źródło choroby.

Mowa była teraz o chorym, który sam nie chciał się zdecydować na operację i prosił żeby skomunikowano się z jego krewnymi.

— Rodzinę ma gdzieś w zakazanej głuszy — powiedział Lew Leonidowicz. — Zanim nawiążemy z nią kontakt, zanim przyjadą, a przecież nie wiadomo co powiedzą — gość umrze. Trzeba go namówić i wziąć na stół, nie jutro ale następnym razem. Oczywiście ryzyko jest wielkie. Zobaczmy jak to wygląda, w razie czego zaszyjemy z powrotem.

— A jeżeli umrze podczas operacji? — powiedział Chałmucha-miedow tak poważnym głosem jakby to ryzyko było jego.

Lew Leonidowicz poruszał nastroszonymi, zrosniętymi brwiami o niezwykle dziwnym kształcie.

„To dopiero 'jeżeli' — pomyślał — a bez naszej interwencji umrze na pewno. Na razie statystyka zgonów jest u nas doskonała, możemy ryzykować”.

Za każdym razem pytał:

— Czy ktoś jest innego zdania?

W rzeczywistości obchodziła go wyłącznie opinia Eugenii Ustinowny. Przy całej różnicy doświadczenia, wieku i podejścia, ich opinie prawie zawsze się zbiegały, z czego wynikał wniosek że najłatwiej porozumieć się między sobą ludzom rozumnym.

— A czy tej żółtowlósej — zapytał Lew Leonidowicz — nie można pomóc? Jak sądzicie, Eugenia Ustinowna? Koniecznie trzeba operować?

— Niestety. Koniecznie. — Eugenia Ustinowna zacisnęła wymalowane wargi. — A potem jeszcze dobra porcja rentgenologicznej terapii.

— Szkoda! — westchnął Lew Leonidowicz. Zwiesił głowę z wydatnym czołem, ukoronowanym śmieszoną białą furazerką. Przyglądał się swoim paznokciom, prowadził kciukiem po pozostałych czterech palcach. Wreszcie wymruczał: — Krajać takich

młodych, ręka nie chce słuchać... Wydaje się, że działasz przeciw prawom natury.

Wskazującym palcem pociągnął wzdłuż kciuka. Żadnego naturalnie wyniku. Podniósł głowę.

— No więc tak, towarzysze! Czy zorientowaliście się co w sprawie Szułubina?

— C-r'ecti — powiedziała Pantiochina — rak odbytnicy.

— Rak odbytnicy, ale jak to zostało stwierdzone? Oto wartość całej naszej onkologicznej propagandy i naszych onkologicznych ośrodków! Doktor Orieszczenkow kiedyś słusznie powiedział na konferencji: — Lekarz, który brzydzi się wsadzić palec choremu do tyłka, w ogóle nie jest lekarzem! Co za niesamowite niedbalstwo! Szułubin włóczył się po różnych przychodniach i skarżył się na częste parcie, na oddawanie krwią, wreszcie na bóle — i ciągle robiono mu analizy, zamiast zrobić najprostszą rzecz — wymacać palcem! Leczyli go na dezynтеріę, na hemoroidy — wszystko niepotrzebnie! I dopiero w którejś tam z kolei przychodni Szułubin — człowiek przecież piśmienny! — spojrział na afisz propagandy onkologicznej i domyślił się! S a m o b i e palcem wymacał nowotwór! Zaś lekarze nie byli w stanie postawić właściwej diagnozy pół roku wcześniej!

— Jak głęboko?

— Było jakieś siedem centymetrów, zaraz za mięśniem zaciskającym odbyt. Można było bez trudu uratować splot mięśniowy i człowiek zostałby człowiekiem! A teraz nowotwór już doszedł do mięśnia, a więc amputacja włożna, to znaczy że wydzielanie ekstrementów poza kontrolą, trzeba ujście odbytnicy odprowadzić na bok — jakież to życie?! Gość robi dobre wrażenie...

Zajęli się zestawianiem spisu pacjentów na jutrzejsze operacje. Zaznaczali komu z chorych dać środki wzmacniające, kogo skierować do łaźni a kogo nie kierować, jak ich przygotowywać.

— Czalego — powiedział Lew Leonidowicz — można zostać w spokoju. Ma raka żołądka, a mimo to takie wspaniałe nastawienie, że zupełnie wyjątkowe.

(Nie wiedział, że jutro rano Czają sam odpowiednio się nastawi przy pomocy butelki!)

Ustalił kto ma asystować przy każdej operacji, kto będzie robić transfuzję krwi. I znowu tak wypadało, że asystować przy operacjach Lwa Leonidowicza musi Angelina. To znaczy, że znowu będzie stać naprzeciw niego, i zamiast pomagać będzie się przyglądać kręcącej się dokoła pielęgniarce czy aby czego nie podpatrzy. Pielęgniarka także jest lekko kopnięta, nie wolno jej zwrócić uwagi, i nie można nigdy sprawdzić czy jedwabne nici

do zszywania są dobrze wysterylizowane, czy nie. A przecież od tego zależy wynik operacji... Przeklęte baby! Nie mogą zrozumieć prostej męskiej zasady: tam gdzie się pracuje, to się nie...

Niedomyślni rodzice nazwali dziewczynkę po urodzeniu Angeliną, nie wyobrażając sobie jaki z niej wyrośnie szatanek. Lew Leonidowicz spojrział z ukosa na jej ładniutki, chociaż nieco lisi pyszczek. Miał chęć zaproponować jej zawieszenie broni i powiedzieć:

— Słuchajcie-no, Angelina czy Angela, jak wolicie! Przecież posiadacie pewne zdolności! Gdybyście skoncentrowali cały wasz wysiłek nie na poszukiwaniu męża, lecz na zawodzie chirurga, to moglibyście całkiem nieźle pracować. Słuchajcie, nam nie wolno wdawać się w żadne konflikty, stoimy przy tym samym stole operacyjnym!

Ale Angelina zrozumiałaby tylko tyle, że jest zmęczony jej obecnością i że się poddaje.

Lew Leonidowicz miał wielką chęć opowiedzieć o wczorajszym posiedzeniu sądu ze wszystkimi szczegółami. Podczas przerwy na papierosa zaczął opowiadać to i owo Eugenii Ustinownie. Natomiast tamtej parze w ogóle nie warto było opowiadać.

Gdy już ustalono plan zajęć, Lew Leonidowicz wstał, zapalił i wymachując zbyt długimi ramionami, pochylony do przodu szeroką piersią, szybkim krokiem poszedł do pokoju rentgenologów. Najbardziej zależało mu na tym, żeby opowiedzieć wszystko Wierze Ganhart. Zastał ją obok Doncowej, pochyloną nad papierami, przy mało-obrazkowych aparatach.

— Czas już byłoby dla was na przerwę obiadową! — oświadczył. — Dajcie-no krzesło!

Wcisnął krzesło pod siebie, usiadł. Był w nastroju do wesolej przyjacielskiej rozmowy, ale coś zauważył i zapytał:

— Jakoś nie bardzo jesteście dziś obie w sosie, co?

Doncowa uśmiechnęła się, okręcając dokoła palca duże okulary w rogowej oprawie.

— Przeciwnie, nie wiem co zrobić żeby wkraść się w łaski! Zgodzicie się mnie operować?

— Was? Za nic w świecie!

— Dlaczego?

— Bo jeśli się nie uda, powiedzą że to z zazdrości: że wasz oddział miał lepsze wyniki od mojego.

— Bez żartów, Lwie Leonidowiczu, pytam was całkiem na serio!

Rzeczywiście trudno było wyobrazić sobie Ludmiłę Afanasjewnę, żartującą w taki sposób.

Wiera siedziała smutna, skupiona, ramiona ściągnęła jak gdyby jej było zimno.

— W tych dniach trzeba będzie zbadać Ludmiłę Afanasjewnę. Okazuje się, że już od dawna ma bóle żołądkowe, a nic nie mówi. I to ma być onkolog!

— A wy już naturalnie zgromadziliście wszystkie objawy przemawiające za rakiem, prawda? — Lew Leonidowicz wygiął swoje osobliwe brwi, idące od skroni do skroni. W najbardziej zwyczajnej rozmowie, w której nie było nic śmiesznego, przybierał zazwyczaj taki wyraz twarzy jak gdyby kpił nie wiadomo z czego.

— Jeszcze nie wszystkie — przyznała się Doncowa.

— A jakie, na przykład?

Doncowa wymieniła.

— Za mało! — stwierdził Lew Leonidowicz. — Jak powiada Rajkin: — Z a m a ł a ! Niechno Wieroczka podpisze diagnozę, wtedy będziemy gadali. Niedługo otrzymam własną klinikę i zabiorę wam Wieroczkę, żeby robiła diagnozy. Oddacie mi ją?

— Wieroczki nie oddam za żadne skarby! Weźcie inną!

— Żadnej innej, tylko Wieroczkę! Nie oddacie, to z jakiej racji mam was operować?

Przyglądał się im, żartował i gadał, dopalając papierosa aż do samej tutki. Ale jednocześnie myślał poważnie. Jak powiadał tenże doktor Koriakow: pókiś młody — nie masz doświadczenia, zestarzejesz się — nie masz siły. Ale Ganhart (jak i on sam) osiągnęła obecnie ten szczytowy punkt, kiedy już dojrzał kłos doświadczenia, zaś łądyga jeszcze trzyma się mocno. Na jego oczach Wiera z młodej ordynatoriuszki przekształciła się w taką wybitną diagnostyczkę, że miał do niej zaufanie nie mniejsze niż do samej Doncowej. Mając takich diagnostyków, nawet najbardziej sceptycznie nastawiony chirurg żyje jak u Pana Boga za piecem. Tyle, że u kobiety ten okres trwa jeszcze krócej niż u mężczyzny.

— Śniadanie masz? — pytał Wierę. — I tak wiem że nie zjesz, zabierzesz z powrotem do domu. To przynajmniej niech ja zjem.

I rzeczywiście, żart-żartem, zjawiły się kanapki z serem. Jadł i jednocześnie częstował.

— Jedzcie także i wy! A więc byłem wczoraj na posiedzeniu

sądu. Bardzo pouczające, szkoda żeście nie przyszły! Rozprawa odbyła się w gmachu sądu. Zebrało się jakieś czterysta osób. Niezmiernie interesujące! Sprawa wyglądała następująco: zoperowany został dzieciak na ostrą niedrożność jelit, skręt kiszek. Operacja odbyła się. Dziecko żyło przez kilka dni, nawet się bawiło — wszystko to zostało stwierdzone. I nagle — znowu częściowa niedrożność i śmierć. Przez osiem miesięcy tego nieszczęsnego chirurga trzymali pod męczącym śledztwem — pomyśleć tylko jak on musiał się czuć, kiedy operował! A teraz rozprawa sądowa! Przyjeżdżają goście z Miejskiego Zarządu Zdrowia, przyjeżdża główny miejski chirurg, oraz oskarżyciel społeczny, członek Medycznego Instytutu — słyszyście? Idzie na całego: zbrodnicze niedbalstwo! Zgłaszają rodziców jako świadków — to mają być świadkowie! Jakaś tam kołdra krzywo leżała, no same bzdury! A na sali siedzi masa, obywatele, wytrzeszczają oczy: Cóż za gadziny ci lekarze! Między publicznością — lekarze, wszyscy rozumieją co za głupstwo, widzimy że go wciągają nieuchronnie w bagno: przecież to nas wszystkich wciągają, dzisiaj ty, a jutro ja — i mimo wszystko milczymy. I gdyby nie to, zem świeżo przyjechał z Moskwy, na pewno także bym milczał. Ale te dwa miesiące w Moskwie jakoś mnie odświeżyły, jakaś inna skala, zrozumiałem że te nasze miejscowe przegródki, zdawałoby się żelazne, są z nadgniętego drzewa. No i wylazłem, zabrałem głos.

— A to można było głos zabierać?

— A tak, coś w rodzaju dyskusji. Więc powiadam: jak wam nie wstyd urządzać tego rodzaju przedstawienie? Rąbię ich na całego! Przywołują mnie do porządku: „odbierzemy głos!”. Jesteście pewni — powiadam — że o pomyłkę w praktyce lekarskiej jest łatwiej niż w praktyce sądowej?! Przecież ten wypadek nadaje się tylko do naukowego roztrząsania, a w żadnym wypadku do sądowego! Należało zgromadzić wyłącznie lekarzy, żeby przeprowadzili fachową, naukową analizę. Każdy z nas, chirurgów, co wtorek i co piątek idzie na ryzyko, wchodzimy na zaminowane pole! Cała nasza praca oparta jest na zaufaniu, matka która powierza nam swoje dziecko powinna nam ufać, a nie zjawiać się w sądzie jako świadek!

Lew Leonidowicz był ponownie przejęty i wzburzony, głos mu zadrział w krtani. Zapomniał o niedojedzonej kanapce, wyciągnął papierosa, rwąc palcami prawie pustą paczkę, i zapalił.

— To jeszcze dobrze że chirurg jest Rosjaninem! Gdyby to był Niemiec, albo — powiedzmy — Żyd — przeciągał sylaby, wystawiając wargi do przodu — to żadnych ceregieli, powiesić — i tyle! Nawet dali mi brawo. A czy można milczeć? Skoro



już zakładają stryzyk na szyję, to trzeba go zerwać, na co czekać?!

Wiera była wstrząśnięta i coraz to potakiwała głową do wtóru słów Lwa Leonidowicza. Rozumnym, skupionym spojrzeniem szła za opowiadaniem, to dlatego tak lubił z nią rozmawiać, że wszystko rozumiała właściwie. Natomiast Ludmiła Afanasjewna słuchała w zdumieniu. Wreszcie potrząsnęła siwiejącą, krótko podstrzyżoną czupryną.

— A ja zgadzam się z oskarżeniem! Czy z nami, lekarzami, można inaczej rozmawiać?! Serwetkę zostawili w jamie brzusznej, zaszyli, zapomnieli! Zastosowali płyn fizjologiczny zamiast nowokainy! Gipsem spowodowali atrofię mięśni nóg! Przez pomyłkę dali dziesięciokrotnie większą dawkę! Robimy transfuzję krwi niewłaściwej grupy! Powodujemy oparzenia! Jakże z nami mają rozmawiać? Należałoby nas ciągnąć za uszy, jak małe dzieci!

— Ludmiła Afanasjewna! — Lew Leonidowicz podniósł na wysokość głowy wielką dłoń z rozczapierzonymi palcami, jak gdyby zasłaniał się przed ciosem. — Chcecie mnie zamordować? Jakże możecie tak mówić, właśnie w y? To przecież zagadnienie, wychodzące poza zakres medycyny! Tu toczy się walka o oblicze całego społeczeństwa!

— To nie to! Chodzi o co innego! — Ganhart starała się ich pogodzić, chwytając za podniecone ręce. — Naturalnie jest rzeczą konieczną zwiększyć odpowiedzialność lekarzy, ale na to jest jeden tylko sposób: zmniejszyć normy — dwukrotnie! trzykrotnie! Dziewięciu chorych na godzinę na przyjęciu w przychodni — to się przecież w głowie nie mieści! Trzeba dać możliwość spokojnego porozmawiania z chorym, spokojnego przemyślenia. A gdy dochodzi do operacji, to niechże chirurg operuje w ciągu dnia tylko jeden raz, a nie dwa, nie trzy razy!

Ale Ludmiła Afanasjewna i Lew Leonidowicz jeszcze wykrzykiwali i nie zgadzali się ze sobą. Wreszcie Wiera zdołała ich uspokoić i zapytała:

— I jakże się skończyło?

Lew Leonidowicz rozmrużył oczy, uśmiechnął się.

— Wybroniliśmy! Cała rozprawa sądowa — do chrzanu, tyle tylko że stwierdzono, iż w niewłaściwy sposób zapisywano rozwój choroby. Ale zaczekajcie, na tym nie koniec! Po ogłoszeniu wyroku zabrał głos przedstawiciel Miejskiego Zarządu Zdrowia. Żle — powiada — wychowujemy lekarzy, źle wychowujemy pacjentów, zbyt mało zebrań związku zawodowego. A na zakończenie wystąpił główny chirurg. Jakież wnioski wyciągnął z tego wszystkiego? Co zrozumiał? Oddawanie lekarzy pod sąd — powiada — to, towarzysze, d o b r a i n i c j a t y w a, bardzo dobra!



## CO KOGO INTERESUJE

Dzień był zwyczajny, powszedni, i wizytacja również zwyczajna. Wiera Korniliewna poszła odwiedzić swoich „napromieniowanych” pacjentów sama jedna, a dopiero na górnym piętrze przyłączyła się do niej pielęgniarka.

Tą pielęgniarką była Zoja.

Zatrzymały się przy łóżku Sibgatowa, ale ponieważ tu każda najmniejsza decyzja należała do Ludmiły Afanasjewny, trwało to krótko i zaraz weszły na ogólną salę.

Jak się okazało, obojdwie były identycznego wzrostu: usta, oczy, czapeczki znajdowały się na tym samym poziomie. Ponieważ jednak Zoja była tęszsza, wydawała się również wyższa. Nie trudno było wyobrazić sobie, że za jakieś dwa lata, kiedy sama zostanie lekarką, będzie wyglądać znacznie okazalej od Wiery Korniliewny.

Zaczęły od drugiego rzędu łóżek, więc Oleg przez cały czas widział tylko ich plecy, węzeł włosów ciemno-blond pod czapeczką Wiery Korniliewny i złociste kędziory wysuwające się spod czapeczki Zoji.

Cały rząd zajmowali pacjenci, których leczono naświetlaniem. Posuwały się powoli, Wiera Korniliewna siadała na łóżku każdego, przyglądała się, rozmawiała.

Po zbadaniu powierzchni skóry u Achmadżana, sprawdzeniu wszystkich danych liczbowych i porównaniu ich z wynikami analizy krwi, Wiera Korniliewna powiedziała:

— Wkrótce skończymy z rentgenem! Pojedziesz do domu!

Achmadżan błysnął białymi zębami.

— Gdzie mieszkasz?

— W Karabairze.

— To wrócisz do Karabairu.

— Jestem już zdrowy? — Achmadżan całym sobą wyrażał najwyższą radość.

— Zdrowy!

— Całkowicie?

— Na razie całkowicie.

— To znaczy, że nie muszę więcej tu przyjeżdżać?

— Przyjedziesz za pół roku.

— Po co, jeżeli całkowicie?

— Na zbadanie.

Ganhart obesza cały rząd łózek, ani razu nie spojrzawszy na Olega, cały czas odwrócona do niego plecami. I tylko Zoja raz jeden zerknęła w jego stronę.

Przy łóżku Wadima Wiera Korniliewna zatrzymała się na dłużej. Obejrzała nogę, macała najpierw jedną pachwinę, potem drugą, brzuch i dołek, cały czas rozpytując jak się czuje. Zadała również nowe dla Wadima pytanie: jak się czuje po każdym posiłku, w zależności od rodzaju jedzenia.

Wadim skupił się w sobie, na pytania zadawane cichym głosem odpowiadał także cicho. Kiedy ku jego zdziwieniu zaczęła obmacywać prawą pachwinę i pytać o reakcję na posiłki, Wadim również zadał pytanie:

— Czy chodzi o badanie wątroby?

Przypomniał sobie, że matka przed wyjazdem także, niby przypadkiem, zmacała prawą pachwinę.

— Wszystko musi wiedzieć — Wiera Korniliewna pokręciła głową. — Pacjenci fachowcami się zrobili — nic, tylko zdejmuj kitel i niech się w niego ubiorą!

Wadim patrzył na nią surowo i badawczo. O żółtawo-smagłej cerze, z włosami czarnymi jak smoła, wyglądał na tle białej poduszki jak młodzieniaszek z zakonnego nowicjatu.

— Przecież ja wszystko rozumiem — cicho powiedział Wadim. — Przecież czytałem, wiem o co chodzi.

Powiedział to tak po prostu i bez żadnych pretensji do wyjaśnień czy zgody ze strony Wiery Ganhart, że ta zmieszała się i nie znajdując słowa odpowiedzi, siedziała przy nim na łóżku jak winowajczyni. Wadim był młody, przystojny, na pewno bardzo zdolny i przypominał jej pewnego młodzieńca z dobrze znanej rodziny, który umierał długo i z całą świadomością, i żadni lekarze nie mogli mu przyjść z pomocą. Wiera była wtedy w ósmej klasie i właśnie pod wrażeniem tej śmierci rozmyśliła się i zamiast pójść na inżynierię, jak zamierzała, poszła na medycynę.

A teraz i ona nie mogła mu dać pomocy.

Na oknie przy łóżku Wadima stał stoik wypełniony czarnoburym naparem z c z a g i; inni pacjenci przychodzili i oglądali ją z zazdrością.

— Pijecie?

— Piję.

Ganhart nie wierzyła w skuteczność c z a g i, nigdy przedtem nie było o niej mowy, w ogóle o niej nie słyszano, ale w każdym razie nie była szkodliwa — to nie korzenie z Issyk-Kulu. Jeżeli chory w nią wierzył, to tym samym jest pożyteczna.

— A co z koloidalnym złotem? — zapytała.

— Ciągłe obiecują. Być może — mówił cały czas skupionym,

pośepnym głosem — dadzą za kilka dni. Ale jak się okazuje nie dadzą do rąk, prześlą urzędową drogą. Proszę powiedzieć — patrzył natarczywie w oczy Ganhart — jeżeli przyślą... za jakieś dwa tygodnie — przerzuty już zaatakują wątrobę — prawda?

— Ależ co znowu! Naturalnie że nie! — Ganhart skłamała, ale takim ożywionym i pewnym siebie głosem, że jak się zdało — przekonała go. — Jeżeli już chcecie wiedzieć, taki proces trwa całymi miesiącami.

W takim razie po co macała w dołku? Po co pytała jak reaguje na posiłki?

Mimo to Wadim był skłonny uwierzyć.

Jeśli się uwierzy — lżej...

Podczas gdy Ganhart siedziała na łóżku Wadima, Zoja nie miała nic do roboty. Odwróciła głowę, spojrzała z ukosa na książkę leżącą na oknie koło Olega, a potem także na niego i o coś zapytała spojrzeniem. Pytające oczy i podniesione brewki robiły bardzo miłe wrażenie, ale Oleg patrzył bez wyrazu, nie dawał spojrzeniem żadnej odpowiedzi. W czasie wizytacji Zoja zawsze znajdowała taką chwilę, gdy tylko on jeden widział jej oczy. Wtedy posyłała mu, niczym sygnały Morse'a, krótkie błyski wesołości i pozdrowienia. Jak kreski i kropki telegraficzne. Ale w ostatnich dniach tych błysków-kresiek jakby w ogóle nie było, zaś błysków-kropek — coraz mniej.

Oleg był obrażony na Zoję, gniewał się że nie uczyniła zadość jego prośbom, gdy tak bardzo mu na tym zależało. Przyszły następne nocne dyżury, powtarzał te same uściski i pocałunki, ale już na niego tak nie działały jak przedtem — utraciły swoją spontaniczność. Znowu miała dyżury, ale Kostogłotow już do niej nie przychodził — spał. Więc nie rozumiał po co teraz, gdy już jest po wszystkim, te zaczepne spojrzenia. I odparowywał je spokojnie, dając do zrozumienia że nie wie o co chodzi. Już co jak co, ale do takiej zabawy się nie nadawał, czuł się zbyt stary.

Przygotował się do szczegółowego badania jak inni pacjenci, zdjął kurtkę od piżamy żeby potem móc szybciej ściągnąć koszulę.

Wiera Korniliewna skończyła z Wadimem Zadyrko, wytarła ręce i zwróciła się twarzą do Olega, ale nie tylko nie uśmiechnęła się do niego, nie tylko nie przystąpiła do dokładnego badania, nie usiadła na jego łóżku, lecz nawet spojrzała na niego przelotnie, ot tak żeby dać znać że go zauważa i że będzie teraz mowa o nim. Ale nawet w tym szybkim, przelotnym spojrzeniu Kostogłotow ujrzał zupełną obcość. Ta jasność i radość, jakimi jej oczy promieniowały w dniu kiedy robiła mu transfuzję krwi, znikły bez śladu. Jednocześnie znikła łagodna przychylność i nawet pełna współczucia uwaga — wszystko odeszło. Jej oczy były teraz puste.

— Kostogłotow — powiedziała Ganhart, patrząc raczej na Rusanowa niż na niego. — Te same środki lecznicze, co dotąd. Dziwna rzecz — spojrzała na Zoję — że taka słaba reakcja na hormonoterapię.

Zoja wzruszyła ramionami.

— Być może, indywidualna właściwość organizmu.

Najwidoczniej rozumiała, że doktor Ganhart radzi się jej jako koleżanki, jako studentki na przedostatnim roku.

Ganhart nie zwróciła najmniejszej uwagi na wyjaśnienie Zoji i zapytała tonem, w którym nie było ani śladu konsultacji.

— Czy zastrzyki otrzymuje regularnie?

Zoja z miejsca rozumiała, odrzuciła nieco głowę do tyłu i rozszerzonymi oczami — jasno-piwnymi, lekko wyłupiastymi, uczciwie zdziwionymi oczami — spojrzała prosto w oczy lekarki.

— Bez wątpienia! Stosuję wszystkie zabiegi, zgodnie z procesem leczenia... Jak zawsze! — jeszcze chwila i Zoja poczułaby się obrażona. — Jeżeli co, to w każdym razie nie podczas mego dyżuru...

O to co się działo na innych dyżurach w ogóle nie mogli jej pytać — to rozumiało! Słowa „w każdym razie” wypowiedziała jednym tchem i właśnie ten pośpiech nie wiadomo czemu przekonał Wierę, że Zoja kłamie. Przecież ktoś musiał nie robić zastrzyków, skoro ich skuteczność nie była całkowita! O pielęgniarce Marii nie mogło być mowy. Tak samo o Olimpiadzie Władysławownie. A na nocnych dyżurach Zoji — wiadomo...

Ale ze śmiałego, gotowego do obrony spojrzenia Zoji Wiera Korniliewna wywnioskowała, że udowodnić tego nie będzie można, że Zoja jest zdecydowana nie dopuścić do przeprowadzenia dowodu. Jej zdecydowanie było tak oczywiste, że Wiera Korniliewna nie wytrzymała i spuściła oczy.

Robiła to zawsze, gdy o jakiejś osobie pomyślała coś nieprzyjemnego.

Spuściła oczy jakby sama była winna, a Zoja po odniesieniu zwycięstwa jeszcze nie odrywała od niej szczerego, obrażonego spojrzenia.

Tak, Zoja zwyciężyła, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że nie wolno tak bardzo ryzykować. Jeżeli Doncowa zacznie ją wypytywać, a któryś z pacjentów, na przykład Rusanow, poświadczy że nie robiła Kostogłotowowi żadnych zastrzyków, to może stracić pracę w szpitalu i zarobić sobie na złą opinię w instytucie.

Ryzykować — w imię czego? Czepiać się tej rozgrywki, która właściwie już się kończy, już nie ma żadnych dalszych możliwości, koło przetoczyło się, nie ma dalszej drogi... Wyjść poza rozgrywkę, przyjąć pracę w jakimś zwariowanym Usz-Tereku, związać

swoje życie z mężczyzną, który... To już by była zupełna niedorzeczność, Zoja w ogóle nie myślała o takiej możliwości. Więc rzuciła Olegowi spojrzenie, które mówiło: nasza umowa, żeby ci nie dawać zastrzyków, już jest nieważna.

Oleg zauważył, że Wega nie chce nawet na niego patrzeć, ale nie mógł pojąć dlaczego; skąd ta nagła zmiana! Zdaje się, że nic się nie stało. Nic nie wskazywało na tego rodzaju zmianę. Prawda, wczoraj, gdy spotkali się w westybulu, odwróciła się od niego, ale Kostogłotow pomyślał że to przypadkowo.

Ach, ta kobieca natura, już zupełnie zapomniał jak z tym jest! Wszystko u nich tak: jeden podmuch i już nic nie zostało. Jedynie między mężczyznami dochodzi do zwykłych, normalnych, długich i wyrównanych stosunków.

Tak, Zoja już mu robiła zarzuty, gdy pod jego adresem mru-gała złocistymi rzęsami. Stchórzyła. Jeżeli zostaną wznowione zastrzyki, cóż między nimi pozostanie, jaka tajemnica?

Ale Ganhart — czego właściwie chce, o co jej chodzi?! Żeby obowiązkowo zgodził się na te zastrzyki? Dlaczego jej tak na tym zależy? Za odrobinę okazanej sympatii — czy to nie nazbyt wysoka cena? Czy byłaby skłonna... pójść dalej?

Tymczasem Wiera Korniliewna rozmawiała z Rusanowem, wyjątkowo troskliwie i serdecznie. Ta serdeczność jaskrawie odbijała od uprzedniego jej zachowania się wobec Kostogłotowa.

— Jużście się przyzwyczaili do zastrzyków — mówiła żartobliwym tonem. — Znosicie łatwo, to już pewnie nie zechcecie ich wytrzymywać do końca.

(Nadskakuj mu ile chcesz, proszę bardzo!)

Czekając na zbliżenie się lekarki, Rusanow widział i słyszał zajście między Ganhart i Zoją. Jako najbliższy sąsiad dobrze wiedział, że dziwka kłamie na korzyść swojego faceta, że jest zmówiona z Ogłojedem. I gdyby chodziło tylko o niego, Paweł Nikołajewicz na pewno szepnąłby to i owo o nim lekarzom, no powiedzmy nie na wizytacji, lecz w gabinecie. Ale nie mógł się zdecydować, żeby podłożyć świnię Zojce. To bardzo dziwne: po miesięcznym pobycie w szpitalu zorientował się, że nawet nic nie znacząca pielęgniarka może bardzo boleśnie dokuczyć, zemścić się. W szpitalu obowiązuje bardzo specjalny system uzależnienia i dopóki tu przebywał, nie należało wchodzić w konflikt nawet z pielęgniarką z powodu jakichś zupełnie marginesowych drobiazgów.

A jeżeli Ogłojed z własnej głupoty rezygnuje z zastrzyków, to niech mu się pogorszy. Niech by tu nawet zdechł!

Rusanow wiedział już teraz z całą pewnością, że nie umrze. Opuchlina zmniejszała się szybko i z całą satysfakcją czekał na

każdą kolejną wizytację, by usłyszeć od lekarzy potwierdzenie poprawy. Właśnie dziś Wiera Korniliewna potwierdziła to samo, dodając że leczenie rozwija się doskonale, zaś osłabienie i bóle głowy z czasem przejdą. Zapowiedziała, że zrobi mu jeszcze transfuzję krwi.

Paweł Nikołajewicz bardzo sobie cenił opinie tych pacjentów, którzy widzieli jego opuchlinę od samego początku. Jeżeli nie liczyć Ogłojeda, na sali pozostawał jeszcze Achmadżan oraz Federau, który akurat wrócił po zabiegu chirurgicznym. Szyja goiła się dobrze, nie tak jak uprzednio u Poddujewa; po każdym opatrunku gruba obręcz bandażu zmniejszała się coraz bardziej. Federau zajął łóżko po Czajym i tym samym został drugim z kolei sąsiadem Pawła Nikołajewicza.

W zasadzie było to naturalnie upokorzenie, szyderstwo losu: Rusanow leżał pomiędzy łóżkami dwóch zesłańców. Gdyby chciał reagować tak, jak to zwykł czynić przed przyjściem do szpitala, to udałby się gdzie trzeba i postawił sprawę zasadniczo. Czy wolno pracowników na kierowniczych stanowiskach lokować razem z ciemnym, społecznie szkodliwym elementem?! Ale po tych pięciu tygodniach Paweł Nikołajewicz, schwytany za szczękę hakiem nowotworu, stał się widocznie bardziej dobroduszny, złągodniał w stosunkach z ludźmi.

Do Ogłojeda można się było odwracać plecami, a zresztą mówił on mało i jeszcze mniej się ruszał, przeważnie leżał. Federau zaś, jeżeli zdobyć się wobec niego na pobłażliwość, był sąsiadem całkiem znośnym. Co najważniejsze, stale wpadał w zachwyt, gdy opuchlina u Pawła Nikołajewicza zaczęła spadać i spadła aż do jednej trzeciej. Na żądanie Pawła Nikołajewicza stale ją oglądał, znowu i znowu, oceniając zmiany na lepsze. Federau był cierpliwym, uprzejmym i zawsze skłonny do słuchania opowiadań Pawła Nikołajewicza.

Z wiadomych powodów Paweł Nikołajewicz nie mógł go wtajemniczać w szczegóły swojej pracy, za to nie było żadnych racji żeby nie opisać własnego mieszkania, które Paweł Nikołajewicz serdecznie pokochał i do którego powinien wkrótce powrócić. Tu nie było żadnych sekretów, zaś Federauowi na pewno sprawiało przyjemność dowiedzieć się jak wygodnie mieszkają niektórzy ludzie (kiedyś, w przyszłości, wszyscy będą mieszkać tak samo).

O zasługach człowieka po czterdziestce najlepiej świadczą jego warunki mieszkaniowe. Więc Paweł Nikołajewicz opowiadał — i to nie jeden raz — jak urządzony jest jeden pokój, drugi i trzeci, a także jak wygląda balkon i co się na nim znajduje.

Paweł Nikołajewicz ma doskonałą pamięć, dobrze pamięta



o każdej szafie i kanapie — gdzie, kiedy i dlaczego zostały zakupione i jakie są ich zalety. Jeszcze bardziej szczegółowo opowiadał sąsiadowi o łazience, jakie kafelki są ułożone na podłodze, a jakie na ścianach, o przyściennych listwach z ceramiki, o rynience na mydło, wgłębieniu pod głowę, o kranie z gorącą wodą, przełączniku na tusz, wieszadłach na ręczniki. To wcale nie były jakieś mało znaczące szczegóły, z tego składa się życie, to jest byt, zaś byt określa świadomość. Jeżeli byt jest zamożny, przyjemny, to i świadomość kształtuje się pozytywnie i prawidłowo. Jak powiedział Gorkij, w zdrowym ciele zdrowy duch.

Federau, bezbarwny, świński blondyn, słuchał go z otwartą gębą, nigdy niczemu nie przeczył i nawet potakiwał, kiwając głową na ile mu na to pozwalała obandażowana szyja.

Mimo że Niemiec i zesłaniec, ten spokojniutki jegomość był, można powiedzieć, całkiem przyzwoitym człowiekiem, można było leżeć koło niego i zgodnie z nim współżyć. A poza tym, formalnie biorąc, jest nadal członkiem partii. Z właściwą mu otwartością Paweł Nikołajewicz wyrębał bez ogródek:

— Federau, to że was zesłali to była państwowa konieczność. Czy wy to rozumiecie?

— Ależ oczywiście, rozumiem — Federau kłaniał się, nie zgijnając usztywnionej szyi.

— Przecież nie można było postąpić inaczej.

— Oczywiście, oczywiście!

— Wszystkie posunięcia należy interpretować we właściwy sposób, a więc także i zesłanie. I na pewno odpowiednio doceniacie, że mimo wszystko, można powiedzieć, pozostawiono was w partii.

— No jakże by! Naturalnie...

— A przecież w partii nawet przedtem nie zajmowaliście żadnego stanowiska?

— Nie, nie zajmowałem.

— Przez cały czas byliście zwykłym robotnikiem?

— Przez cały czas pracowałem jako mechanik.

— Ja także byłem kiedyś zwyczajnym robotnikiem, a spójrzcie tylko jak bardzo się wybiłem!

Rozmawiali również szczegółowo o dzieciach i wyszło na jaw, że córka Federaua, Henrietta, jest już na drugim roku okręgowego instytutu nauczycielskiego.

— Pomyślcie tylko! — zawołał Paweł Nikołajewicz, wzruszony niemal do łez. — Przecież to należy cenić: jesteście zesłańcem, a wasza córka kończy instytut! Któżby o tym mógł marzyć w carskiej Rosji! Żadnych przeszkód, żadnych ograniczeń!



Tu po raz pierwszy Friedrich Jakobowicz zdobył się na protest.

— Dopiero w tym roku zniesiono ograniczenia. Przedtem potrzebna była zgoda komendantury. A i tak instytucje odsyłały papiery, że niby nie zdała egzaminu konkursowego. A kto tam sprawdzi jak było naprawdę!

— A jednak wasza córka jest już na drugim roku!

— Widzicie, ona bardzo dobrze gra w koszykówkę. I właśnie dlatego ją przyjęli.

— Dlatego czy z innych powodów, ale przyjęli. Federau, należy być sprawiedliwym. A od bieżącego roku w ogóle bez żadnych ograniczeń.

Ostatecznie Federau pracuje w rolnictwie, więc było całkiem naturalne że Rusanow, jako pracownik w przemyśle, musiał grać w tych rozmowach pierwsze skrzypce.

— Teraz, po postanowieniach styczniowego Plenum — Paweł Nikołajewicz wyjaśniał mu z całą przychylnością — wasze sprawy będą wyglądać o wiele lepiej.

— Oczywiście, oczywiście!

— Stworzenie grup instruktorskich we wszystkich MTS-ach stanie się decydującym ogniwem. Wszystko podciągnie się do góry.

— Ależ tak, naturalnie!

Ale to za mało po prostu się zgodzić, trzeba dobrze zrozumieć, więc Paweł Nikołajewicz wyjaśniał łagodnemu sąsiadowi dlaczego właśnie MTS-y, po utworzeniu grup instruktorskich, zamienią się w prawdziwe fortece. Razem z Federauem omawiał wezwanie Centralnego Komitetu do sadzenia kukurydzy, że teraz młodzież zabierze się do tego, i jak to w sposób zdecydowany wpłynie na dalszy rozwój gospodarki rolnej. We wczorajszym numerze dziennika przeczytali o zasadniczej zmianie w praktyce planowania w rolnictwie, więc mieli dosyć materiału do dalszych rozmów.

W ogóle Federau okazał się bardzo pozytywnym sąsiadem. Niekiedy Paweł Nikołajewicz po prostu czytał mu gazetę na głos, przy czym dowiadywał się o wielu rzeczach, o których nie miałyby pojęcia gdyby nie wypoczynek szpitalny. A więc oświadczenie, wyjaśniające dlaczego nie jest rzeczą możliwą zawarcie pokoju z Austrią bez uprzedniego traktatu z Niemcami; przemówienie Rakosiego wygłoszone w Budapeszcie; o tym jak się rozwijają protesty przeciw haniebnym umowom paryskim; jak mało jest w Niemczech Zachodnich procesów przeciw winnym okrucieństw w obozach koncentracyjnych, i jak łagodnie ich sądzą. A od czasu

do czasu, mając nadmiar jedzenia, zapraszał Federaua, oddając mu część szpitalnego obiadu.

Choćby rozmawiali ze sobą najciszej, to i tak jakoś krępowano ze ich rozmów najwidoczniej słuchał zawsze Szułubin, ten stary puchacz nieruchomo i milczkiem siedzący na sąsiednim łóżku. Odkąd zjawiał się na sali, nigdy nie można było zapomnieć że znajduje się obok, że przygląda się otoczeniu spod ciężkich powiek i na pewno wszystko słyszy, a kiedy zaczyna mrugać powiekami, to widocznie nie zgadza się z tym co mówią. Obecność Szułubina niezmiernie przygnębiła Pawła Nikołajewicza. Rusanow już nie raz starał się nawiązać z nim rozmowę, dowiedzieć się co ma na sercu, na co choruje, ale Szułubin ograniczał się zawsze do wypowiedzenia kilku ponurych słów i nawet nie uważał za wskazane opowiedzieć na jaki typ nowotworu cierpi.

Nawet kiedy siedział, to w jakiejś wyteżonej pozycji, nie tak jak wszyscy, nie oddychając, jak gdyby samo siedzenie sprawiało mu trudność. Ta wyteżona pozycja sprawiała takie wrażenie, jak gdyby Szułubin nieustannie miał się na baczności. Niekiedy to siedzenie go męczyło, wstawał, ale chodzenie też sprawiało mu ból, utykał, przystawał nieraz na pół godziny albo i godzinę, nie poruszając się z miejsca. To także wyglądało niezwykajnie i robiło męczące wrażenie. Przy tym Szułubin nie mógł stać koło swego łóżka, bo zagradzałyby drzwi, ani w przejściu, bo także by je przegradzał, wobec czego wybrał sobie międzyoknie oddzielające łóżko Kostogłotowa od łóżka Zadyrki. Tak stał jak wrogi wartownik, wiszący na wszystkim co Paweł Nikołajewicz jadł, robił i mówił. Ledwie oparty plecami o ścianę, potrafił tak stać godzinami.

Również i dziś stanął tam po zakończeniu wizytacji. Stał na skrzyżowaniu spojrzeń Olega i Wadima, odcinając się od ściany niczym jakaś wypukłość.

Z racji sąsiedztwa łóżek Oleg i Wadim często spotykali się wzrokiem, ale rozmawiali ze sobą bardzo rzadko. Po pierwsze, obydwaj mieli ciągłe mdłości, a w takiej sytuacji kto by miał ochotę do rozmów! Po drugie, Wadim dawno już zraził sobie wszystkich, oświadczając:

— Towarzysze, żeby zagrzać szklankę wody należałoby mówić po cichu dwa tysiące lat, zaś głośno krzycząc — siedemdziesiąt pięć lat. A i to pod warunkiem, że ciepłota nie będzie ulatniać się ze szklanki. No to zastanówcie się jaka korzyść z gadaniny.

Ponadto jeden drugiemu powiedział kilka przykrych słów, zresztą może i bez intencji. Wadim powiedział Olegowi: „Należało walczyć! Dlaczego wyście tam nie walczyli? Nie rozumiem!”

(Miał rację. Ale Olegowi brakowało jeszcze śmiałości, żeby otworzyć gębę i odpowiedzieć, że jednak oni walczyli!). Zaś Oleg powiedział do Wadima: „Dla kogo chowają to koloidalne złoto? Twój ojciec życie oddał za ojczyznę, dlaczego nie przysyłają ci złota?”

To także była racja. Wadim coraz częściej o tym myślał i zadawał sobie to samo pytanie. Ale usłyszenie tego pytania od obcego człowieka zabolowało. Jeszcze przed miesiącem mógł uważać zabiegi matki za niepotrzebne, zaś powoływanie się na pamięć ojca za niewłaściwe. Ale teraz, z nogą coraz głębiej w potrzasku, mიაł się w oczekiwaniu na matczyną depezę z radosną wiadomością i myślał z nadzieją: byle by się jej udało! Uzyskać ratunek w imię zasług ojca mogło wydawać się niesprawiedliwe, ale za to po trzykroć sprawiedliwe było uzyskanie tego ratunku z racji talentu Wadima. Tyle, że o tym nie musieli wiedzieć dysponujący złotem koloidalnym. Świadomość własnego talentu który jeszcze się nie objawił, nie nabrał rozgłosu — to męczarnia i obowiązek, ale świadomość że trzeba umrzeć zanim ten talent wybuchnie i wyładuje się — to tragedia. O ileż tragiczniej umierać jemu, niż zwykłemu, przeciętnemu człowiekowi, niż każdemu z chorych tu, na tej szpitalnej sali.

Samotność Wadima była tak bardzo dręcząca nie dlatego, że nie było przy nim matki ani Gali, że nikt go nie odwiedzał, lecz dlatego że nikt — ani otoczenie, ani lekarze, ani ci co mieli w zasięgu swoich rąk jego ratunek — nie wiedział jak bardzo jest ważne żeby wyżył, o ile jest ważniejsze jego życie niż wszystkich innych!

Tak te myśli tłukły się w jego głowie, tak szarpał się między nadzieją i rozpaczą, że już nie rozumiał dobrze tego co czytał. Po przeczytaniu całej stronicy zdawał sobie sprawę że nie rozumiał, że stał się ociężały, że już nie potrafi skakać po cudzych myślach niczym kozica ze skały na skałę. Martwił nad książką, komuś patrzącemu z boku mogło się wydawać że czytał, ale tak nie było.

Noga tkwiła w potrzasku, a wraz z nogą całe jego życie.

I tak siedział, a przy nim pod ścianą w międzyokniu stał Szułubin — ze swoim własnym milczącym cierpieniem. Kostogłotow również milczał, leżąc z głową zwieszoną z łóżka ku podłodze.

Jak trzy czaple z bajki, mogli tak milczeć godzinami.

Tak dziwnie wypadło że właśnie Szułubin, najbardziej uporczywy milczek z całej trójki, nagle zapytał Wadima:

— Czy jesteście pewni, że to nie jest zadręczanie samego siebie? Na co wam to wszystko? Właśnie ta lektura?

Wadim podniósł głowę. Ciemnymi, niemal czarnymi oczami przyjrzał się starcowi, jakby nie wierzył że to od niego wyszło przydługie pytanie, a może zdumiony jego treścią.

Ale nic nie wskazywało na to, żeby dziwaczne pytanie wyszło od kogoś innego. Starzec patrzył na Wadima nieco z ukosa swymi podpuchniętymi, zaczerwienionymi oczami, z widocznym zainteresowaniem.

Trzeba było odpowiedzieć. Wadim wiedział dobrze co ma odpowiedzieć, ale tym razem nie bardzo miał na to ochotę, jak gdyby zawiodła w nim działająca przedtem dynamicznie sprężyna. Odpowiedział cichym głosem, jakby powtarzał wyuczoną lekcję:

— Bo to jest interesujące. Nie znam niczego bardziej interesującego na całym świecie.

Pomimo całej wewnętrznej szarpaniny, mimo że w nodze drążył nieznośny ból i stopniowo upływały owe fatalne osiem miesięcy, Wadim znajdował satysfakcję w zachowywaniu pozorów, jak gdyby nie nawisło nad nim żadne nieszczęście, jak gdyby wszyscy oni znajdowali się w sanatorium a nie na oddziale chorych na raka.

Szułubin miał głowę spuszczoną, wpatrywał się w podłogę. Potem nie zmieniając pozycji całego ciała, zrobił taki dziwny ruch głową i szyją, jak gdyby chciał głowę wyrwać z jakiegoś uścisku i nie mógł. I tylko powiedział:

— „Interesujące” — to nie żaden argument. Handel także jest interesujący. Robienie pieniędzy, ich liczenie, gromadzenie majątku, urządzenie się, zdobywanie różnych wygód — to wszystko także jest interesujące. Przy takiej interpretacji nauka bynajmniej nie wznosi się ponad bardzo długi szereg egoistycznych i najzupełniej amoralnych czynności.

Oryginalny punkt widzenia! Wadim wzruszył ramionami.

— A jeżeli rzeczywiście jest interesujące? Jeżeli nie ma spraw bardziej interesujących?

— Tu, w szpitalu? Czy w ogóle?

— W ogóle.

Szułubin wyprostował palce jednej ręki. Trzasnęły w stawach.

— Stawiając sprawy w taki sposób, nigdy nie stworzycie żadnego systemu moralnego.

To już było oświadczenie godne dziwaka.

— Zadaniem nauki nie jest stwarzanie wartości moralnych — odpowiedział Wadim. — Nauka stwarza wartości materialne i tylko po to jest uprawiana. Skoro o tym mowa — co wy uważacie za wartości moralne?

Szułubin zamrugał ciężkimi powiekami. Mrugnął jeszcze raz. Powiedział bardzo powoli:

— Takie wartości, które przyczyniają się do prześwietlenia ludzkich dusz.

— Właśnie nauka — uśmiechnął się Wadim — prześwietla i rozjaśnia.

— Ale nie dusze! — Szułubin pokiwał przecząco palcem. — Wy powiadacie — „interesujące”... Czy kiedykolwiek zdarzyło się wam w kołchozie zajrzeć choćby na pięć minut do ptaszarni?

— Nie.

— To proszę sobie wyobrazić: długa, niska szopa. Zupełnie ciemna, bo okna to wąskie szpary, a do tego przesłonięte siatkami, żeby ptactwo nie wylatywało. Na każdą robotnicę przypada dwa tysiące pięćset kur. Podłoga z ubitej ziemi, kury grzebią przez cały czas i w powietrzu tyle pyłu, że należałoby założyć maskę gazową. Zleżały ptasi gnój ciągle się wrzuca do niezamkniętego kotła — smród! Nie ma zmiany. Roboczy dzień w lecie od trzeciej godziny rano do zmierzchu. Taka pracownica w trzydziestym roku życia wygląda na pięćdziesięcioletnią. Jak sądzicie, czy dla niej ta praca jest interesująca?

Wadim zdziwił się, podniósł brwi.

— Właściwie dlaczego mam się zajmować sprawami tego rodzaju?

Szułubin tknął wystawionym palcem w kierunku Wadima.

— Tak samo rozumuje byle handlarz.

— Ta robotnica cierpi właśnie na skutek niedorozwoju nauki — Wadimowi wydawało się, że znalazł mocny argument. — Nastąpi dalszy rozwój nauki i warunki pracy w ptaszarniach ulegną polepszeniu.

— A zanim to nastąpi, to sobie na śniadanko rąbiecie trzy jajeczka z patelni, co? — Szułubin zamknął jedno oko i jego twarz stała się jeszcze bardziej nieprzyjemna. — A zanim nastąpi ten rozwój nauki, czy zechcielibyście pójść popracować w kołchoźniczym kurniku?

— Dla nich to nie jest interesujące! — wtrącił grubym głosem Kostogłotow, nie podnosząc głowy zwisającej ku podłodze.

Taką pewność siebie u Szułubina w sprawach rolnictwa Rusanow zauważył już dawniej: kiedyś Paweł Nikołajewicz wyjaśniał coś na temat zasiewów zbóż, Szułubin wtrącił się i poprawił go. Teraz Rusanow chciał wykorzystać okazję i postanowił mu dociąć.

— A czy wyście przypadkiem nie ukończyli Akademii imienia Timiriaziewa?

Szułubin drgnął i zwrócił głowę w kierunku Pawła Nikołajewicza.

— Owszem, ukończyłem ją — powiedział zdziwionym tonem. I nagle nadął się, napuszył, zgarbił, i tym samym ruchem niezgrabnego ptaka, który chciałby wzbić się w górę ale skrzydła ma podcięte, pokuśtykał ku swemu łóżku.

— To w takim razie dlaczego pracujecie jako bibliotekarz? — rzucił w ślad za nim triumfujący Rusanow.

Ale tamten skoro już zamilkł, to nie można go było wyrwać z milczenia. Jak głuchy pień.

Paweł Nikołajewicz nie żywił najmniejszego szacunku do takich ludzi, którzy zamiast iść w górę stoczyli się w dół.

## 28.

### WSZĘDZIE NIE DO PARY

Od pierwszej chwili zjawienia się Lwa Leonidowicza w klinice, Kostogłotow doszedł do wniosku, że to rzeczowy chłop. Nie mając nic lepszego do roboty, Oleg przyglądał mu się podczas wizyty lekarskiej. Ta czapeczka byle jak wsadzona na głowę, na pewno nie przed lustrem; te nazbyt długie ręce o pięściach niekiedy tkwiących w kieszeniach kitla; to skrzywienie ust, jak gdyby pragnął zagwizdać; żartobliwy sposób rozmawiania z pacjentami, przy potężnej postaci i groźnym wyglądzie — wszystko to wzbudzało sympatię Kostogłotowa. Więc zapragnął z nim porozmawiać i zadać mu kilka pytań, na jakie żadna z tutejszych bab-lekarek odpowiedzieć mu nie chciała albo nie mogła.

Ale na zadawanie pytań nie było czasu. Podczas wizyt Lew Leonidowicz nie zauważał nikogo, prócz swoich pacjentów przeznaczonych na operację; naświetlanych rentgenem omijał, jakby ich w ogóle nie było; na schodach i w korytarzach odpowiadał w roztargnieniu na pozdrowienia, ale twarz miał zawsze zatroskaną i zawsze się śpieszył.

Kiedyś Lew Leonidowicz powiedział ze śmiechem pod adresem chorego, który długo zaprzeczał a potem przyznał się: „A jednak rozwalił się!” To jeszcze bardziej podnieciło Olega. Bo tego zwrotu i w takim właśnie sensie nie mógł znać i użyć byle kto.

W ostatnich dniach Kostogłotow mniej wahał się po klinice i dlatego miał jeszcze mniej okazji, żeby spotkać się z głównym chirurgiem. A jednak zdarzyło się, że w obecności Olega Lew



Leonidowicz otworzył drzwi od pokoiku obok sali operacyjnej i wszedł tam, co znaczyło że był sam. Kostogłotow zapukał do oszklonych drzwi o brudnej szybie i otworzył je.

Lew Leonidowicz usiadł boczkim, jak nigdy nikt nie siada na długi, ale już zaczął coś pisać.

— Tak? — podniósł głowę, bodaj nie zdziwiony, ale zajęty własnymi myślami, jakby zastanawiał się co dalej pisać.

Nigdy nikt nie ma czasu! Los całego życia należy przesądzać w ciągu jednej minuty!

— Przepraszam, Lwie Leonidowiczu! — Kostogłotow starał się mówić możliwie najgrzeczniej, na ile tylko było go stać. — Wiem, że nie macie czasu. Ale zupełnie nie mam kogo się poradzić, oprócz was... Czy pozwolicie? — tylko dwie minuty.

Chirurg kiwnął potakująco. Widać było, że myśli o czym innym.

— Zostałem poddany leczeniu hormonoterapią... Powód... Domięśniowe zastrzyki sinestrolu... dozowanie... — Chwył Kostogłotowa, z którego był bardzo dumny, polegał na tym żeby z lekarzami rozmawiać stosując precyzyjnie ich terminologię — sądził, że dzięki temu będą rozmawiać z nim także szczerze. — Więc pragnąłbym się dowiedzieć czy działanie hormonoterapii działa kumulatywnie czy nie?

Z wytargowanych stu dwudziestu sekund nie zużył na ten wstęp nawet dwudziestu. Dalsze sekundy zależały już nie od niego. Stał milcząc, z rękami do tyłu, patrząc na siedzącego lekarza z góry i nieco zgarbiony, jak to zwykle czynią niezgrabne dryblasy.

Grube zmarszczki zaczęły skakać na czole Lwa Leonidowicza.

— A nie, uważa się że nie powinno — odpowiedział. Ale odpowiedź nie wyglądała na definitywną.

— A ja jakoś odnoszę wrażenie, że działa kumulatywnie...

Kostogłotow upierał się przy swojej racji i sprawiał takie wrażenie, że nie wierzy Lwowi Leonidowiczowi.

— Ależ nie, nie powinno — znowu odpowiedział chirurg niezbyt kategoriycznym tonem. Może dlatego że to nie była jego dziedzina, czy po prostu nie bardzo chciał.

— To dla mnie bardzo ważne — Kostogłotow tak patrzył i mówił jakby groził — czy po tym leczeniu całkowicie utracę możliwości... no... w stosunku do kobiet... Czy może tylko na pewien okres czasu? Czy wprowadzone do mego organizmu hormony znikną czy nie? Czy zostaną na zawsze? Czy też, może być, po jakimś czasie będzie można tę hormonoterapię zneutralizować zastrzykami przeciwdziałającymi?

— A nie, tego nie radzę. Nie należy... — Lew Leonidowicz



przypatrywał się z zainteresowaniem temu czarnemu, kudłatemu pacjentowi, ale główną jego uwagę zwróciła ciekawa blizna. Wyobraził sobie jak ta rana wyglądałaby na świeżo, gdyby go dopiero co przywieziono na dział chirurgiczny, i od czego należałoby zacząć opatrunek. — A właściwie po co wam te informacje? Nie rozumiem...

— Jak to — nie rozumiecie? — Kostogłotow nie rozumiał co tu było niezrozumiałego. Może ten chirurg, żeby dochować lojalności wobec swoich kolegów, chce po prostu skłonić pacjenta do pokory? — Jak to — nie rozumiecie?

Rozmowa przeciągnęła się już poza granicę dwóch minut i poza przyjęte zwyczaje w stosunkach między lekarzami i pacjentami. Jednak Lew Leonidowicz, wykazując zupełny brak zarozumiałości, co natychmiast w nim zauważył i ocenił Kostogłotow, powiedział jakby chodziło o starego przyjaciela ściszym, wcale nie urzędowym tonem:

— Słuchajcie, a czy cały smak życia tkwi w babach? Przecież to z czasem okropnie się uprzykrza... I przeszkadza w wypełnianiu innych, o wiele poważniejszych zadań.

Powiedział to bardzo szczerze, jakimś znużonym głosem. Przypomniał sobie, że w najważniejszej chwili życia nie starczyło mu dostatecznego skupienia sił, może właśnie dlatego, że ich część zabrały mu kobiety.

Kostogłotow nie był w stanie go zrozumieć! Oleg nie mógł sobie wyobrazić, że uczucie do kobiety może doprowadzić do znudzenia! Bezwładna głowa kiwała się z lewej strony na prawą, w oczach była pustka.

— W moim życiu nie zostało już żadnych innych, p o w a ż n i e j s z y c h spraw!

Oczywiście rozmowa ta nie mieściła się w zaplanowanym porządku kliniki onkologicznej! Nikt nie przewidział możliwości wymiany myśli i konsultacji na temat sensu życia, przy tym z lekarzem pracującym w innym dziale! Ta sama malutka, szczupłutka lekarka, która asystowała przy operacji, zajrzała i weszła nie pytając o pozwolenie. Szła na wysokich obcasach, przeginając się nieco w biodrach. Nie zatrzymując się, podeszła bardzo blisko do Lwa Leonidowicza i pochylona nad stołem, położyła przed chirurgiem laboratoryjny arkusz. Olegowi wydało się na odległość, że oparła się całym ciałem o doktora.

— Słuchajcie — powiedziała do chirurga, nie nazywając go ani po imieniu, ani po nazwisku — Owdijenko ma dziesięć tysięcy leukocytów.

Rozwiane pasemko jej włosów chwiało się tuż przy samej twarzy Lwa Leonidowicza, niczym wątlý rudawy dymek.

— No cóż! — Lew Leonidowicz wzruszył ramionami. — To znaczy, że stosunek białych i czerwonych ciałek krwi jest niedobry. Proces zapalny, który należy zlikwidować przy pomocy terapii rentgenowskiej.

Ale doktorka coś mu jeszcze mówiła, ramieniem dotykając jego ręki. Arkusz papieru, na którym chirurg zaczął pisać, leżał niedokończony, bezczynne pióro na pół wypadło z palców.

Niewątpliwie Oleg powinien był wyjść. Tak oto rozmowa, od dawna zaplanowana, miała urwać się w najbardziej interesującym miejscu.

Angelina obróciła się ku niemu, zdziwiona że Kostogłotow jeszcze tu stoi. Lew Leonidowicz popatrzył także ponad jej głowę, ale z odzieniem rozbawienia. Było w wyrazie jego twarzy coś dziwnie nieuchwytnego i Kostogłotow nagle powziął decyzję przedłużenia tej rozmowy.

— A jeszcze, Lwie Leonidowiczu, chciałbym zapytać czy słyszeliście o c z a d z e, o brzozowym grzybie?

— Owszem — potwierdził tamten dość chętnie.

— Jak się na to zapatrujecie?

— To trudno powiedzieć. Zakładam, że niektóre tamtejsze rodzaje nowotworów istotnie reagują na wywar z c z a g i. Na przykład, nowotwory żołądka. W Moskwie teraz zupełnie na ten temat powariowali. Podobno w promieniu dwustu kilometrów wyczyścili lasy zupełnie, nie można znaleźć.

Angelina odsunęła się nieco od stołu, wzięła swój paperek i z pogardliwym uśmiechem poszła, wyzywająco i bardzo przyjemnie przeginając się w biodrach.

Wyszła, ale niestety pierwotna rozmowa już się rozbiła. Nie wiele usłyszał w odpowiedzi, ale wracać do zagadnienia co kobiety wnoszą do życia mężczyzny wydawało się nietaktem.

Jednak nieco rozweselone spojrzenie, jakie dojrzał przez chwilę, i bardzo bezpośredni sposób bycia Lwa Leonidowicza ośmieliły Kostogłotowa do zadania trzeciego pytania, które wydawało mu się bardzo ważne.

— Lwie Leonidowiczu! Proszę mi wybaczyć moją natarczywość! — potrzęsął głową jakoś na ukos. — Jeżeli jestem w błędzie, to proszę o tym zapomnieć. Czy wyście... — ściszył głos i przymrużył jedno oko — czy wyście... nie byli... tam, gdzie z a w s z e t a ń c z ą i ś p i e w a j ą ?

Lew Leonidowicz ożywił się.

— Byłem.

— Naprawdę?! — ucieszył się Kostogłotow. Dopiero teraz poczuł, że jest mu równy! — A z jakiego artykułu?

— Z żadnego artykułu. Byłem, ale jako wolny człowiek.

— Ach, wo-oollny...! — rozczarował się Kostogłotow.

Nie, z równości nici.

— Jakiście się tego domyślili? — zaciekał się chirurg.

— Poznałem po jednym zwrocie: „rozwałił się”. I zdaje się, żeście także użyli słowa „zanaczka”.

— Trudno się tych słów oduczyć! — Lew Leonidowicz śmiał się do Kostogłotowa.

Równi sobie czy nie, a jednak teraz mieli ze sobą więcej wspólnego niż uprzednio.

— Długoście tam byli? — Kostogłotow wypytywał już bez skrępowania. Nawet się wyprostował, już nie robił wrażenia zdechlaka.

— Jakieś trzy latka. Po wyjściu z armii skierowali — nie było mowy o urwaniu się.

Tych ostatnich słów mógłby nie dodawać. A jednak dodał. Taka służba uważana jest oficjalnie za szlachetną i zaszczytną, a mimo to porządni ludzie starają się z niej usprawiedliwiać. Więc jednak tkwi w człowieku jakiś nie dający się ukryć wskaźnik!

— Na jakim stanowisku?

— Kierownik służby zdrowia.

Proszę! To samo co madame Dubinskaja — pan życia i śmierci. Ale tamta nie uważałaby za wskazane usprawiedliwiać się. A ten jednak rzucił tę pracę.

— To znaczy, że ukończyliście instytut medyczny jeszcze przed wojną? — Kostogłotow czepiał go się coraz to nowymi pytaniami, jak rzep psiego ogona. Nie miał ku temu żadnego powodu, ot po prostu łagiernicze przyzwyczajenie: w ciągu kilku minut między jednym a drugim zatrzaśnięciem drzwi celi wywiedzieć się o całe życie przypadkowego człowieka. — Z którego rocznika?

— Nie, po czwartym roku studiów poszedłem ochotniczo jako szeregowy lekarz — Lew Leonidowicz odsunął niedokończony arkusz papieru, podniósł się, podszedł do Olega i z widocznym zainteresowaniem zaczął pociągać palcami i obmacywać jego bliznę. — Czy to pochodzi właśnie s t a m t a d ?

— Właśnie...

— Dobrze zreperowali... Bardzo dobrze. Czy to uwięziony lekarz zszywał?

— Właśnie...

— Pamiętacie nazwisko? Może Koriakow?

— Nie wiem, to było na etapie. A ten Koriakow — z jakiego artykułu siedział?

Kostogłotow już uczepił się Koriakowa, już i o nim chciał się wszystkiego wywiedzieć.

— Posadzili go za to, że jego ojciec był pułkownikiem w carskiej armii.

Ale weszła pielęgniarka, ta co miała oczy o japońskim wykroju i nosiła na głowie prawdziwą białą koronę. Lwa Leonidowicza oczekiwano na sali opatrunkowej.

Kostogłotow znowu się zgarbił i powolutku powędrował korytarzem.

A więc jeszcze jeden życiorys, w którym nie brakuje linii przerywanej. Nawet dwa życiorysy. A całą resztę można sobie dopowiedzieć w wyobraźni. Ileż jest sposobów, żeby się t a m dostać...! Pomyśleć tylko: leżysz na szpitalnej sali, idziesz korytarzem, spacerujesz w ogrodzie, obok ciebie, naprzeciw — człowiek jak człowiek, i ani tobie ani jemu nie przychodzi do głowy, żeby zatrzymać się i powiedzieć: „Ano, odchyl klapę!” I rzeczywiście, posiada ten znaczek tajnego zakonu! Był, dotykał, współdziałał, wie! Ilu jest ich wszystkich?! Ale wszyscy są skuci milczeniem! Z zewnętrznego wyglądu nie można się domyślić. Wszystko zostało ukryte.

Zupełne wariactwo! Dożyć takiego stanu, żeby kobiety uznać za przeszkodę! Czyżby człowiek był w stanie przesycić się do takiego stopnia? Trudno to sobie wyobrazić!

A tak w ogóle wynika, że nie ma żadnego powodu do radości. Lew Leonidowicz niby zaprzeczył, ale nie dość kategorycznie by mu można było uwierzyć.

Jest tak, jak gdyby ciężki wyrok zamieniono Kostogłotowowi na dożywocie. Pozostał przy życiu, ale nie wiadomo — po co.

I trzeba było przyjąć do wiadomości, że wszystko zostało stracone.

W s z y s t k o . . .

Zapomniał dokąd idzie, zablądził w dolnym korytarzu i stał zagubiony, nie wiedząc co robić.

Z jakichś drzwi — trzech, licząc od niego — wynurzył się biały kitel, przesadnie ściągnięty w pasie, zbyt dobrze znany jego oczom.

Wega!

Szła w jego kierunku! Była całkiem blisko, wystarczyło wyminąć dwa łóżka, stojące pod ścianą. Oleg nie ruszył się na jej spotkanie, potrzebna mu była sekunda, druga, trzecia, żeby się zastanowić jak się zachować.

Od tamtej wizyty sprzed trzech dni była wobec niego oschła, rzeczowa — ani jednego przyjaznego spojrzenia.

Najpierw pomyślał — niech idzie do diabła, odpowie jej tym samym. Wyjaśni co trzeba i — do widzenia!

Ale żal! Nie chciałby jej dotknąć. I samego siebie także

żałuje. Ot, choćby teraz — mają wyminąć się jak zupełnie obce osoby, tak?

Czy to on zawinił? Ona zawiniła, oszukała go co do zastrzyków, zyczyła mu najgorszego. To tylko o n miałby prawo jej przebaczyć!

Ganhart zrównała się z nim, nie patrząc ale dobrze go widząc. Wbrew poprzedniemu zamiarowi Oleg powiedział tonem jak gdyby cichej prośby:

— Wiera Korniliewna...

Niedorzeczny ton, ale wydał mu się dość przyjemny.

Dopiero teraz podniosła oczy, dojrzała go, obrzuciła zimnym spojrzeniem.

Właściwie na jakiej podstawie chce jej przebaczyć?!

— ... Wiera Korniliewna... Czy nie zechcielibyście... zrobić mi ponownej transfuzji...?

Niby upokarza się przed nią, ale to jakoś nie sprawia mu przykrości.

— Przecież broniliście się przed transfuzją! — spojrzenie było surowe, bez cienia łaskawości, a jednak jakby jakaś niepewność drgnęła w jej oczach. W kochanych oczach kawowego koloru!

Dobrze, niech jej będzie że nie jest winna! Z jej punktu widzenia. Nie może przecież w tej samej klinice żyć całkowicie na uboczu.

— Bo mnie się w t e d y podobało. Chcę jeszcze.

Uśmiechał się, przy czym blizna ściągnęła się i zarazem stała bardziej zygzakowata.

Teraz jej przebaczy, a z biegiem czasu dojdzie do wyjaśnień.

Jednak coś się znowu poruszyło w jej oczach, coś jakby skrucha.

— Być może jutro przywiozą nową krew.

Wyglądało na to, że trzyma się jeszcze jakiejś niewidzialnej opory, ale ta już się rozlatuje, już ucieka spod jej ręki.

— Ale to wy musicie zrobić mi transfuzję, koniecznie wy! — serdecznym głosem żądał Oleg. — W przeciwnym razie nie zgodzę się.

Potrząsnęła głową, starając się na niego nie patrzeć dłużej, uchylając się od odpowiedzi.

— Zależy jak wypadnie.

I poszła dalej.

Miła, jakże miła mimo wszystko.

Ale o co mu tu właściwie chodzi, o co się rozbija? Skazany na dożywocie, o co się tu ubiega?

Oleg stał w przejściu i starał się przypomnieć sobie, dokąd chce iść.

Ach, prawda! — chciał odwiedzić Diomkę.

Diomka leżał w maleńkim pokoiku o dwóch łózkach, ale drugi pacjent już wyszedł ze szpitala, a następny miał przybyć dopiero nazajutrz z sali operacyjnej. Na razie Diomka był sam.

Od operacji upłynął tydzień, przycisnęła pierwszy płonący ból po amputacji nogi. Tamto odchodziło w przeszłość, ale noga ciągle żyła i cierpiała, jak gdyby jej nie odcięto. Diomka w dalszym ciągu czuł każdy palec nieistniejącej nogi.

Na widok Olega ucieszył się tak bardzo, jakby w pokoiku zjawił się rodzony brat. Przyjaciele z dawnej sali szpitalnej to byli jego jedyni krewni. Jakieś kobiety przyniosły mu coś do zjedzenia, miał to na nocnym stoliku, pod serwetką. Ale spoza szpitala nikt nie mógł do niego przyjść, niczym poczęstować.

Diomka leżał na plecach nie poruszając nogą, a raczej tym co pozostało po nodze, amputowanej tuż przy samym biodrze i owiniętej teraz ogromną ilością bandażu. Głową i rękami mógł poruszać z całkowitą swobodą.

— Bywaj, przyjacielu! — powiedział do Olega, ściskając jego dłoń. — Siadaj, opowiadaj co u was! Jak tam na waszej sali?

Sala, na której przebywał tyle czasu, była jego powszednim, znanym światem. Tu na dole pielęgniarki były zupełnie inne, inne sanitariuszki i zupełnie inne porządki. Wszystkie kłóciły się bez przerwy o to co do której należy i co każda powinna była robić.

— Cóż tam na sali — powiedział Oleg, patrząc na wychudłą, żałośnie wyglądającą twarz Diomki. Jakby mu wyłobiono jakieś rowki na policzkach, wyostrzyli nos i podbródek, przejechali się heblem nad brwiami. — Wszystko po staremu.

— Ten aparatczyk jeszcze jest?

— Jest.

— A co z Wadimem?

— Z Wadimem niewesoło. Koloidalnego złota nie otrzymał. Boją się przerzutów.

Diomka zmarszczył czoło, jakby martwił się o młodszego koleżę.

— Biedaczysko!

— Ty, Diomka, przeżegnaj się i podziękuj, że ci twoją nogę odjęto.

— U mnie także mogą wystąpić przerzuty.

— To mało prawdopodobne.

Kto co mógł wiedzieć, nawet lekarze, czy przepłynęły czy nie

te zgubne, pojedyncze komórki, niczym łodzie desantu niewidocznego w mroku? I gdzie przybiją do brzegu?

— Robią ci rentgena?

— Wożą na wózkach od czasu do czasu.

— Teraz przed tobą, przyjacielu, droga prosta — wracać do zdrowia, przyzwyczajając się do używania kuli.

— O nie, o dwóch kulach trzeba będzie. O dwóch.

Sierota, wszystko już obmyślił. Przed operacją nosił się poważnie, niczym dorosły, a teraz dojrzał jeszcze bardziej.

— Gdzie ci je dopasują? Tu w szpitalu?

— Na oddziale ortopedycznym.

— Bezpłatnie chyba?

— Złożyłem podanie. Bo płacić — skąd mam wziąć!

Obydwaj leciutko westchnęli. Tak wzdychają ludzie, którzy rok po roku nie znają żadnej radości.

— To jakże ci w przyszłym roku kończyć dziesięciolatkę?

— Choćbym zdechł — muszę skończyć.

— A za co będziesz żyć? Przecież do warsztatu nie pójdziesz.

— Obiecują inwalidzką pensję. Nie wiem czy drugiej, czy trzeciej grupy.

— Trzecia — to ile? — Kostogłotow nie miał żadnego pojęcia o tych pensjach, ani o żadnych obywatelskich prawach.

— Ano taka sobie. Na chleb wystarczy, na cukier zabraknie.

Diomka wszystko przemyślał, prawdziwy już z niego mężczyzna. Dręczył go ten nowotwór, odbierał mu życie, ale Diomka zawsze sterował w tym samym, własnym kierunku.

— A potem co? Na uniwersytet?

— Postaram się.

— Literatura?

— A właśnie.

— Słuchaj, Diomka, mówię poważnie. To nie dla ciebie. Aparaty odbiorcze — zajmiesz się tym, życie będziesz miał spokojne i pewny zarobek.

— A co tam aparaty, do diabła z nimi! — rzucił się Diomka.

— Mnie chodzi o prawdę!

— No więc będziesz reparować aparaty i prawdę mówić — nie rozumiesz tego, durniu?!

Nie doszli do zgody. Rozprawiali jakiś czas o tym i owym. Mówili również o sprawach Olega. Pod tym względem Diomka nie miał nic z dzieciaka: interesował się sytuacją innych. Młodzi zazwyczaj interesują się tylko sobą. Więc Oleg opowiedział mu, jakby chodziło o dorosłego, o swojej sytuacji.

— Rzeczywiście, do chrzanu — mamrotał Diomka.

— Być może ty byś się ze mną zamienił, co?



— A diabli wiedzą!

Wyglądało na to, że zanim Diomkę załatwią z rentgenem i z kulami, będzie się tu obijać jeszcze przez jakieś półtora miesiąca — wyjdzie stąd chyba dopiero w maju.

— Najpierw dokąd zechcesz pójść?

— Od razu do ogrodu zoologicznego! — Diomka z miejsca wpadł w dobry humor. O tym zoo mówił Olegowi już nie raz. Wielokrotnie, stojąc na szpitalnym ganku, Diomka pokazywał Kostogłotowowi że tam za rzeką, za gęstwą drzew, znajduje się ogród zoologiczny. Przez tyle lat Diomka czytał o różnych zwierzętach i w radio o nich słuchał, ale nigdy na własne oczy nie widział lisa ani niedźwiedzia, nie mówiąc już o tygrysie czy słoniu. Mieszkał w takich stronach, gdzie nie było żadnej menażerii, nigdy nie przyjeżdżał cyrk, a i lasu w pobliżu nie było. Jego ukryte marzenie oglądania zwierząt i obcowania z nimi nie ulegało z biegiem lat najmniejszemu osłabieniu. Kiedy z bolącą nogą przyjechał do tego miasta by rozpocząć kurację, poszedł przedtem do Zoo, ale akurat tego dnia było zamknięte.

— Więc tak, Oleg! Przecież ty niedługo stąd wyjdiesz!

Kostogłotow siedział zgarbiony.

— Na pewno. Tu już nic po mnie. Mdli bez przerwy — wytrzymać nie można.

— Co, naprawdę nie chcesz pójść do zoo?! — Diomka w ogóle nie dopuszczał takiej myśli i zmieniłby opinię o Olegu na gorszą.

— Chyba pójde...

— Nie, koniecznie idź! Bardzo cię proszę — idź! I wiesz co — napisz potem do mnie kartkę pocztową! No co ci na tym zależy! A dla mnie to będzie wielka radość! Napisz jakie tam są zwierzęta i które z nich najciekawsze. Co? Na cały miesiąc przedtem będę wiedział. Pójdiesz? Napiszesz? Powiadają, że tam są lwy i nawet krokodyle...

Oleg obiecał.

Poszedł żeby się położyć. Diomka został sam w maleńkim pokoiku, za zamkniętymi drzwiami, długi czas brał do rąk jedną książkę po drugiej, patrzył na przemian w sufit i w okno, i rozmyślał. Przez okno niczego nie mógł dojrzeć, było zakratowane i wychodziło na wąskie przejście między pawilonem i ścianą drugiego gmachu. Nawet słonecznej plamy nie było dziś na ścianie; nie to żeby dzień był pochmurny, ale światło musiało się przebijać, widocznie słońce było lekko przesłonięte. Na pewno był jeden z tych ospałych wiosennych dni, nic z upału, nic z jaskrawego światła, a jednak wiadomo, że wiosna nadchodzi bez hałasu i działa.

Diomka leżał bez ruchu i myślał o przyjemnych rzeczach: że stopniowo przestanie czuć amputowaną nogę, że nauczy się chodzić o kulach szybko i zwinnie; że na pewno dzień wyjścia ze szpitala przed 1-szym maja wypadnie pogodny — całkiem już lato — a on od rana aż do odejścia wieczornego pociągu będzie chodzić po ogrodzie zoologicznym; że będzie teraz miał mnóstwo czasu, szybko i dobrze opanuje przedmioty szkoły średniej, a ponadto przeczyta wiele potrzebnych, dotąd zaniedbywanych książek. I już raz na zawsze znikną owe utracone wieczory, kiedy chłopaki idą potańczyć, a ty się męczysz — iść, nie iść, bo przecież nie umiesz tańczyć. Tego już nie będzie. Teraz będzie zapalać lampę i uczyć się.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — powiedział Diomka. To słowo „proszę” wypowiedział zawsze z wielką przyjemnością. Nigdy jeszcze tak nie mieszkał, żeby należało do niego pukać przed wejściem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadła Asia.

Wpadła tak szybko jakby uchodziła przed jakimś pościgiem, ale po zamknięciu drzwi znieruchomiła na progu z jedną ręką na klamce, drugą przytrzymując szlafrok pod szyją.

To już nie była ta sama Asia co kiedyś wpadła tu „na trzydniowe zbadanie”, tylko na trzy dni, bo przecież czekano na nią na bieżniach stadionu sportowego. Robiła wrażenie wymokniętej i ospałej i nawet włosy koloru słomy, które przecież nie mogły zmienić się tak szybko, teraz zwisały nieczesane i żałosne.

Szlafrok miała na sobie ten sam co wtedy — ohydny, bez guzików, noszony już przez niejedną i nie wiadomo w ilu kotłach prażony. Teraz bardziej do niej pasował, niż dawniej.

Asia patrzyła na Diomkę, brewki lekko podskakiwały, jakby w niepewności czy znalazła się we właściwym miejscu? — czy nie należy biec dalej?

Właśnie dlatego że taka przybita, Asia wydawała się Diomce bardziej swojska, mimo że o klasę wyżej od niego, że taka otrzaskana z życiem i że już odbyła trzy podróże sportowe. Ucieszył się.

— Asia! Siadaj-że! Co z tobą?!

W ostatnich czasach rozmawiali ze sobą niejednokrotnie i naradzali się co z nogą, przy czym Asia twardo stała przy swoim: nie zgadzać się na amputację. A gdy Diomkę wreszcie zoperowano, przyszła do niego dwa razy, przyniosła jabłka i herbatniki. Zaraz pierwszego wieczora wywiązał się między nimi prosty i bezpośredni stosunek, ale od tamtego dnia wszystko uprościło się jeszcze bardziej. Nie od razu, ale w końcu i ona wyznała mu na czym polega jej dolegliwość: bóle w prawej piersi, znaleźli w niej

jakieś skrzepy, leczą rentgenem i jakieś pastylki każą wkładać pod język.

— Siadaj-że, Asia! Siadaj!

Wypuściła klamkę z ręki i prowadząc dłonią po drzwiach i po ścianie, jakby się podpierała, podeszła do stołka tuż przy wezgłowi Diomki.

Usiadła.

Siadła i patrzyła, nie w oczy Diomki, lecz na jego kołdrę. Siedziała bokiem, a on przecież nie mógł zmienić swego położenia.

— Co się z tobą dzieje? — Poczul się starszy od niej! Przekreślił ku niej samą głowę, w dalszym ciągu leżąc na plecach.

Wargi jej zadrżały, załopotwały powieki.

— A-sieńka! — zdążył powiedzieć Diomka (tylko dlatego ośmielił się nazwać ją Asieńką, że mu się jej zrobiło niezmiernie żal), a ona już wetknęła twarz w poduszkę, tuż przy jego głowie. Rozwiczrzona czupryna łaskotała go w ucho.

— Asieńka! — prosił i zaczął przebierać dłońmi po kołdrze, szukając jej rąk, ale ich nie znajdował i nie widział.

A ta już ryczała w poduszkę.

— No co się stało? No powiedz!

Ale już i sam się domyślał.

— Będą am-pu-to-wać...!

I znowu w szloch. A potem z jękiem:

— O-jo-joj!

Diomka nigdy jeszcze nie zetknął się z takim przeraźliwym jękiem nieszczęścia, jak to przewlekłe „o-jo-joj”!

— A może nie? — próbował pocieszać. — Może obejdzie się bez operacji?

Ale czuł, że na to „o-jo-joj” nie ma żadnej pociechy.

Płakała, wciąż płakała w poduszkę. Dotknął dłonią poszewki mokrej od łez.

Wreszcie znalazł jej rękę i zaczął gładzić dłonią.

— Asieńka! Może jednak obejdzie się bez operacji?

— Nie-eee... Przygotowują na piątek...

I znowu uderzyła w taki lament, że Diomka nie miał siły jej słuchać. Nie widział jej zapłakanej twarzy, a tylko roztrzepane włosy pchały mu się ciągle do oczu, miękkie i łaskotliwe.

Diomka szukał właściwych słów, ale nic mu nie wychodziło. Więc coraz mocniej ścisnął jej dłoń, żeby przestała płakać. Było mu jej teraz bardziej żal, niżli samego siebie.

— Po co żyć? — wyszlochała. — Po co?

Diomka mógłby na to coś odpowiedzieć na podstawie własnego nieszczęsnego doświadczenia, ale nie potrafił tego sprecyzować. Ale gdyby nawet potrafił, to z płaczu Asi jasno wynikało

że ani on, ani nikt inny, nie potrafiłby jej przekonać. Wiedziała tylko jedno: nie ma po co żyć!

— Ko-mu ja te-raz je-stem po-trze-bna?! — zanosila się rozpaczliwie. — Ko-omu?!

I znowu twarzą w poduszkę. Diomka już miał jeden policzek mokry od jej łez.

— Jakoś to będzie — przekładał jej, coraz mocniej i mocniej ściskając rękę. — Przecież wiesz, jak się ludzie żenią... wspólne poglądy... zbieżne charaktery...

— Jakież tam dureń pokocha cię ze względu na charakter?! — poderwała się w pasji jak koń, który staje dęba. Wyrwała rękę i dopiero teraz Diomka zobaczył jej twarz, czerwoną, zalaną łzami, całą w plamach, gniewną i równocześnie budzącą litość. — Komu potrzebna dziewczyna o jednej piersi?! Komu?! W siedemnastym roku życia?! — Krzyczała na niego tak, jakby to była jego wina.

Nawet pocieszyć jej nie potrafił we właściwy sposób.

— Jakże ja pójdę na plażę?! — krzyknęła, przesyta nową myślą. — Na plażę!! Jak mam się kąpać?!

Skreśliła się jak korkociąg i bezwładna odsunęła się od Diomki, opadła na podłogę, otoczyła ramionami głowę.

W rozpaczy Asia wyobraziła sobie kostiumy kąpielowe wszystkich typów i rodzajów — z ramiączkami i bez, z jednego kawałka i z dwóch, kostiumy kąpielowe modne dziś i w przyszłości, pomarańczowe i błękitne, koloru maliny i barwy morskiej fali, w jednym kolorze i pasiaste, z falbaneczkami i oblamowaniem, nieprzymierzone, nie obejrzone przed lustrem — kostiumy kąpielowe, których nigdy nie kupi i nigdy na siebie nie włoży! I właśnie ta okoliczność, to że nie będzie mogła nigdy więcej zjawić się na plaży, wydała jej się w tej chwili tak straszna, tak hańbiąca, że istotnie życie traciło wszelki sens...

Diomka, oparty wysoko o poduszki, mamrotał coś nieudolnie, ni przypiął ni przyłatał.

— Wiesz... jeżeli nikt ciebie nie zechce wziąć... Pewnie, ja dobrze rozumiem co teraz jestem wart... Ale wiedz, że ja zawsze chętnie się z tobą ożenię...

— Słuchaj, Diomka! — Asia wpadła na nowy pomysł, podniosła się, zwróciła ku niemu i wpatrzyła weń szeroko rozwartymi oczami — już bez łez. — Słuchaj: ty będziesz tym ostatnim! Będziesz ostatnim, co jeszcze może moją pierś obejrzyć i pocałować! Już nikt więcej nigdy jej nie pocałuje! Diomka! Przynajmniej ty ją pocałuj! Przynajmniej ty!

Rozsunęła szlafrok, który i tak już ledwie się na niej trzymał,

i ponownie płacząc i jęcząc, obsunęła rozpiętą koszulę z ramienia, obnażyła prawą pierś skazaną na zgubę.

Jakby słońce weszło do pokoiku i stanęło mu przed oczami! Wszystko dokoła stanęło w ognistej poświacie! Różowa sutka — większa niż to sobie Diomka wyobrażał — zjawiła się tuż przed nim i wzrok nie wytrzymał tego widoku.

Asia pochylała się nad nim całkiem blisko i ujęła jego głowę w dłoń.

— Całuj! Całuj! — żądała w zniecierpliwieniu.

Oddychając darowanym mu ciepłem jej łona, przylgnął niezdarnie jak prosiak, wdzięczny i zachwycony, przylgnął chciwymi ustami do okrągłego sprężystego kształtu o wyraźnie zarysowanej linii, tak doskonałego że nie można by było piękniej narysować ani wyrzeźbić.

— Będziesz pamiętać? Będziesz pamiętać, że istniała? I że była właśnie taka?

Łzy Asi padały gęsto na ostrzyżoną do skóry głowę Diomki.

Nie odsuwała, nie odbierała mu swojej piersi, a on coraz to przypinał się do różowej sutki i delikatnie robił ustami taki sam ruch, jakiego jej przyszłe dziecko nigdy z tą pierśią nie powtórzy. Nikt im nie przeszkadzał i Diomka wciąż obcałowywał nawisłe nad nim cudo.

Dziś — cudo, a jutro — pójdzie do kosza.

## 29.

### SŁOWO TWARDE I SŁOWO ŁAGODNE

Natychmiast po powrocie z delegacji służbowej Jura przyjechał odwiedzić ojca, i to od razu na całe dwie godziny. Przedtem Paweł Nikołajewicz poprosił w rozmowie telefonicznej, żeby syn przywiózł mu ze sobą ciepłe buciki, palto i kapelusz. Obrzydła już ta ohydna sala szpitalna, tępaki rozwalone na łózkach, nawet westybul mu obrzydł, więc chociaż Paweł Nikołajewicz czuł się jeszcze bardzo słabo, zapragnął zażyć świeżego powietrza.

Tak też zrobili. Opuchlinę okręcili szalikiem; wprawdzie jeszcze przy poruszaniu głową dawała o sobie znać, ale znacznie mniej niż poprzednio. W ogrodzie szpitalnym Rusanow nie mógł się z nikim spotkać, ale gdyby nawet doszło do jakiegoś spotkania, to by go w takim ubraniu nikt przecież nie poznał, więc Paweł

Nikołajewicz nie czuł się skrępowany na spacerze. Jura prowadził ojca pod ramię. Paweł Nikołajewicz mocno się na nim opierał. Bardzo było przyjemnie stawiać krok za krokiem na czystym, suchym asfalcie, ale najważniejsze że to był jakby zadatek na rychły powrót — najpierw na odpoczynek do ukochanego mieszkania, potem do ulubionej, dynamicznej pracy. Paweł Nikołajewicz czuł się znużony nie tylko uciążliwym leczeniem, ale także tępą, szpitalną bezczynnością. Ciężka mu świadomość, że przestał być potrzebną i ważną częścią wielkiego, doniosłego mechanizmu, miał wrażenie że stracił całą siłę i znaczenie. Tak bardzo pragnął wrócić tam, gdzie wszyscy go kochają i nie mogą się bez niego obejść.

W ostatnim tygodniu były nawroty zimna, padały deszcze, ale dziś znowu zrobiło się ciepło. W cieniu szpitalnych gmachów jeszcze pociągał chłodek i ziemia była wilgotna, ale na słońcu tak przygrzewało, że Pawłowi Nikołajewiczowi jesionka zaczęła ciążyć. Więc rozpiął najpierw jeden guzik, potem drugi...

Zdarzyła się wyjątkowa okazja, żeby rozsądnie i zasadniczo porozmawiać z synem. Dziś w sobotę był ostatni dzień jego delegacji służbowej, a mimo to Jura jakoś się nie śpieszył do pracy. Paweł Nikołajewicz nie śpieszył się tym bardziej. Jego stosunki z synem nie były właściwe, nawet były zaniedbane, i w tym tkwiło niebezpieczeństwo — ojcowskie serce czuło to najwyraźniej. Nie ulegało wątpliwości, że teraz po powrocie syn nie miał czystego sumienia, jakoś uciekał spojrzeniem, nie chciał patrzeć ojcu prosto w oczy. W dzieciństwie Jurze nie zdarzały się takie rzeczy; gdy podrastał, był chłopcem prostolinijnym; tego rodzaju manieri zjawily się dopiero w latach studenckich, i to właśnie w obcowaniu z ojcem. To wymijające i nieśmiałe zachowanie się zawsze drażniło Pawła Nikołajewicza, który niekiedy krzyczał na syna: „Wyżej głowę!”.

Jednakże dziś nie chciał być opryskliwy, postanowił tylko mieć się na baczności podczas rozmowy. Poprosił Jurę, żeby opowiedział szczegółowo jak się zachował i odznaczył podczas swojej delegacji służbowej w tych odległych miejscowościach, w roli przedstawiciela republikańskiej kontroli prokuratorskiej.

Jura zaczął opowiadać, ale z widoczną niechęcią. Jeden wypadek, drugi — i ciągle unikał ojcowskich oczu.

— No opowiadaj, opowiadaj!

Usiedli na ławeczce, która już zdążyła przeschnąć na słońcu. Jura miał na sobie skórzaną kurtkę i ciepłą wełnianą czapkę (w żaden sposób nie można go było zmusić do noszenia pilśniowego kapelusza), wyglądał niby poważnie i męsko, ale wewnętrzna słabość sprowadzała wszystko na nice.

— Był jeszcze taki jeden wypadek z szoferem... — powiedział Jura, patrząc w ziemię.

— Cóż z tym szoferem?

— Jechał w zimie i miał w ciężarówce towary dla składów zaopatrzenia. Przejechał siedemdziesiąt kilometrów i w połowie drogi złapała go burza śnieżna. Zaniosło śniegiem ze wszystkich stron, wóz nie może ruszyć, mróz i nikogo dokoła. Zamięć szalała przeszło całą dobę. Szofer nie wytrzymał, zostawił ciężarówkę tak jak była, razem z całym ładunkiem, i poszedł szukać noclegu. Nad ranem zamięć ustała, wrócił na traktorze, a tu okazuje się że brakuje jednej skrzyni z makaronem.

— A cóż ekspedytor?

— Tak wypadło, że szofer jechał bez ekspedytora.

— Cóż za bałagan!

— Naturalnie.

— No i obłowił się.

— Ojczy, zbyt drogo mu wypadła ta skrzynia! — Jura narzeczcie podniósł oczy. Twarz wyrażała teraz niedobry upór. — Za tę skrzynię zarobił całe pięć lat. A przecież były tam skrzynie z wódką — te pozostały nietknięte.

— Jura, nie można być takim łatwowiernym i naiwnym. Któż by mógł zabrać w czasie śnieżnej zamięci?

— Kto wie, może jechali konnym zaprzęgiem. Do rana ślady zasypało!

— Powiedzmy, że to nie on — ale przecież opuścił posterunek! Jakże to — porzucić mienie państwowe i odejść?

Sprawa była niewątpliwa, wyrok — mucha nie siądzie! Paweł Nikołajewicz podniecił się, że syn tego nie rozumie i trzeba mu dopiero wyjaśniać. Z natury ospały, ale gdy usiłuje uzasadnić jakieś głupstwo, staje się uparty jak osioł.

— Ojczy, wyobraź sobie: śnieżna zamięć, dziesięć stopni poniżej zera, jakże miał nocować w szoferce? Przecież to śmierć!

— Co to znaczy — śmierć? Co znaczy — śmierć? A żołnierz stojący na warcie?

— Wartowników zmieniają co dwie godziny.

— A jeżeli nie zmieniają? A jeżeli na froncie? W każdą pogodę ludzie pozostają na stanowisku, umierają, ale nie schodzą! — Paweł Nikołajewicz nawet pokazał palcem w kierunku, gdzie stoją na warcie i nie schodzą. — Zastanów się tylko co ty mówisz! Jeżeli jednemu darować, wszyscy szoferzy zaczną robić to samo i państwo zostanie rozkradzione do reszty. Czy tego nie rozumiesz?

Nie, Jura nie rozumiał! — jego tępe milczenie dowodziło, że nie rozumiał!



— No dobrze, to jest twoja niedowarzona opinia, jesteś jeszcze bardzo młody, możesz ją nawet wypowiedział przed innymi, ale mam nadzieję że nie wyraziłeś tej opinii na piśmie?

Spierschnięte wargi syna poruszyły się raz i drugi.

— Ja... napisałem protest. Wstrzymałem wykonanie wyroku.

— Wstrzymałeś?! I poddadzą go rewizji?! A-ja-jaj! A-ja-jaj!

— Paweł Nikołajewicz zasłonił dłońmi prawie całą twarz. Właśnie tego się obawiał! Jurka zaprzepścił sprawę, gubił samego siebie i może rzucić cień podejrzenia na ojca. Pawła Nikołajewicza aż mdliło od bezsilnej rodzicielskiej myśli, że nie potrafi przekazać temu rezonerowi ani swego rozumu ani obrotności.

Wstał, Jura wstał również, poszli, i syn znowu starał się podtrzymać ojca pod ramię, ale Pawłowi Nikołajewiczowi zabrakło rąk by gestami wytłumaczyć Jurze na czym polega sens popełnionego błędu.

Najpierw zrobił mu wykład o prawie i praworządności, o niewzruszonej stałości zasad, których nie wolno naruszać, zwłaszcza jeżeli się zamierza pracować w nadzorze prokuratorskim. Jednocześnie zastrzegał się, że każda prawda stanowi wartość konkretną i dlatego też prawo jest zawsze prawem, ale należy również brać pod uwagę konkretną chwilę, okoliczności — to wszystko, co obowiązuje w określonym wycinku czasu. A już najbardziej starał się synowi wyjaśnić, że istnieje wzajemny związek organizacyjny wszystkich instancji i rozgałęzień aparatu państwowego; więc nawet w najbardziej oddalonym regionie, gdy przyjeżdża tam z pełnomocnictwem na szczeblu Republiki, nie powinien zdzierać nosa, przeciwnie — powinien się liczyć z miejscowymi warunkami i nie przeciwstawiać się bez koniecznej potrzeby tamtejszym pracownikom, bogatym w praktykę, znającym wszystkie okoliczności i potrzeby lepiej od niego; skoro dali temu szoferowi pięć lat, to znaczy że w tamtym regionie tak właśnie było potrzeba.

Spacerowali, wchodzili w cień padający od gmachów, wychodzili, szli przez proste i kręte aleje wzdłuż brzegu rzeki. Jura słuchał, ale w pewnej chwili powiedział tylko tyle:

— Ojczy, nie jesteś zmęczony? Może znowu siądziemy?

Proszę, można mu kołki ciosać na głowie! Zrozumiał z tej sprawy tylko tyle, że w szoferce było dziesięć stopni poniżej zera, i nic więcej!

Oczywiście Paweł Nikołajewicz czuł zmęczenie, w jesionce było mu za gorąco, więc znowu usiedli na ławeczce w gęstych krzakach. Gęstwina stanowiły na razie pręty, bo dopiero pierwsze listki zaczynały wywijać się z pączków, i widać jeszcze przez nią było na przestrzał. Słońce przygrzewało nie najgorzej. Paweł

Nikołajewicz nie wziął na ten spacer okularów, odpoczywała twarz, odpoczywały oczy. Przymrużył oczy i siedział na słońcu, nic nie mówiąc. Na dole, pod urwiskiem, szumiała górską rzeką. Paweł Nikołajewicz słuchał tego szumu, chłonał słoneczne ciepło i myślał: a jednak jaka to satysfakcja powracać do życia, wiedzieć na pewno że gdy te krzaki pokryją się zielonością, będziesz żyć, i żyć także będziesz gdy nadejdzie następna wiosna.

Ale Rusanow musiał sobie wytworzyć pełny obraz działalności syna. Trzeba się więc było opanować, nie wpadać w gniew i tym samym nie zrażać Jury. Toteż po chwili odpoczynku ojciec poprosił, żeby syn opowiedział mu inne wydarzenia.

Chociaż taki przygaszony, Jura doskonale zdawał sobie sprawę za co ojciec może go pochwalić, a za co go będzie ganić. Więc zaraz opowiedział o takim wypadku, za jaki Paweł Nikołajewicz nie mógł go nie pochwalić. Ale w oczy prosto nie patrzył, nie nauczył się kłamać, i ojciec dobrze czuł że ukrywa przed nim jeszcze jakiś wypadek.

— A ty wszystko mi opowiedz! Wszystko! Przecież ode mnie możesz usłyszeć wyłącznie rozsądne rady! Przecież ja ci życzę wszystkiego najlepszego! Tylko tego pragnę, żebyś nie robił błędów.

Jura westchnął i opowiedział następującą historię. Podczas przeprowadzanej rewizji starych sądowych ksiąg i dokumentów miał obowiązek sprawdzać aż do pięciu lat wstecz. Zauważył, że na wielu dokumentach nie było znaczków stemplowych wartości rubla i trzech rubli — a powinny były być! To znaczy, pozostały po nich ślady, ale ktoś odkleił. Gdzie się podziały? Jura myślał, zaczął grzebać się w papierach i na świeżych dokumentach znalazł znaczki najwidoczniej zużyte, lekko uszkodzone. Wtedy domyślił się, że jedna z dwóch panien, które miały dostęp do archiwum — Katia albo Nina, przykleja stare znaczki zamiast nowych, zaś od interesantów inkasuje pieniądze.

— No widzisz! — Paweł Nikołajewicz zajęczał i klasnął w dłoń. — Ileż tych wybiegów! Ileż wybiegów żeby okradać państwo! I nawet trudno się domyślić!

Jura przeprowadził całe śledztwo po cichutku, nic nikomu nie mówiąc. Postanowił doprowadzić sprawę do końca i sprawdzić, kto popełnia nadużycia. Wpadł na pomysł żeby poplirtować najpierw z Katią, potem z Niną. Zaprosił obydwie po kolei do kina, a potem odwiedził je w prywatnych mieszkaniach. U której znajdzie drogie meble, dywany — ta jest złodziejka.

— Doskonały pomysł! — Paweł Nikołajewicz uderzył w dłoń, rozpląnął się w uśmiechach. — Mądrze! Niby to rozrywka, a jednocześnie załatwia się sprawę. Zuch!

I oto Jura wykrył że zarówno jedna, mieszkająca z rodzicami, jak druga, mieszkająca z młodszą siostrą, żyły bardzo ubogo: nie tylko nie było tam jakichś dywanów, lecz w ogóle mnóstwa takich rzeczy bez których, według pojęć Jury, trudno było żyć. Długo się zastanawiał, po czym poszedł do sędziego i wszystko mu opowiedział, ale jednocześnie poprosił żeby sprawy nie kierować na drogę sądową, tylko po prostu odpowiednio pouczyć obydwie dziewczyny. Sędzia był bardzo wdzięczny, że Jura wolał załatwić sprawę nieoficjalnie: ujawnienie mogłoby uderzyć również w sędziego. Wezwali na rozmowę najpierw jedną pannę, potem drugą, i besztali je kolejno przez kilka godzin z rzędu. Obydwie się przyznały. Każda z nich wyciągała w ten sposób około stu rubli miesięcznie.

— Należało pchnąć na drogę formalną, ach na drogę formalną! — Paweł Nikołajewicz czuł wielki żal, jak gdyby to on sam przegapił taką świetną okazję. Chociaż z drugiej strony nie należało sędziego wystawiać na sztych. To prawda, pod tym względem Jura zachował się bardzo taktownie. — Ale przynajmniej powinny były zwrócić ukradzione pieniądze!

Pod koniec rozmowy Jura mówił bardzo leniwie. On sam nie bardzo mógł pojąć sens tego wydarzenia. Kiedy poszedł do sędziego i zaproponował mu żeby nie wdrażać sprawy, wiedział i czuł że postępuje wspaniałomyślnie, był dumny ze swojej decyzji. Wyobrażał sobie z jaką radością zareagują te dziewczyny, kiedy się już przyznają, kiedy będą oczekiwać kary i nagle dowiedzą się, że im przebaczone. Więc na zmianę z sędzią zawstydział obydwie panny, tłumacząc im jaka to hańba, jaka nikczemność — to co robiły. Przejęty własnym surowym głosem, cytował im z własnego doświadczenia dwudziestotrzylatka przykłady znanych mu uczciwych ludzi, którzy nie kradną, chociaż mają ku temu wszelkie ułatwienia. Jura biczował dziewczyny w najbardziej bezlitosny sposób, wiedząc że im się potem przebaczy. Przebaczone im, panny poszły, ale później nie tylko nie uśmiechały się na widok Jury, nie tylko nie przyszły by mu podziękować za jego szlachetne postępowanie, lecz starały się go nie dostrzegać. To go mocno dotknęło, po prostu nie mógł tego pojąć! Nie można było przecież przypuścić, że nie wiedziały jakiego losu uniknęły, pracowały w sądzie, więc musiały dobrze wiedzieć. Jura nie wytrzymał, podszedł do Niny, zapytał czy jest zadowolona. Odpowiedziała mu: „Z czego mam się cieszyć? Muszę zmienić posadę. Z tej pensji przecież nie wyżyję”. Katii, która była od Niny przystojniejsza, zaproponował raz jeszcze kino. Odpowiedziała: „Nie, lubię się zabawić, ale uczciwie. A tak to ja nie potrafię!”

To była dla niego zagadka, wrócił z nią z delegacji służbowej

i rozmyślał nad nią w dalszym ciągu. Niewdzięczność tych dziewczyn mocno go ubodła. Jura wiedział, że życie jest o wiele bardziej skomplikowane, niż to utrzymuje jego prostolinijny i zbyt dobroduszny ojciec, ale oto wyszło na jaw że jest bardziej jeszcze skomplikowane niż sam podejrzewał. Więc co właściwie Jura powinien był uczynić? Nie oszczędzać tych dziewczyn? Albo też nie powiedzieć nikomu ani słowa, gdy zauważył że stemplowe znaczki są odklejane i przyklejane ponownie? W takim razie po co cała jego praca?

Ojciec więcej go nie pytał, Jura chętnie milczał.

Po wysłuchaniu tej ostatniej historyjki, która z niezdarnych rąk wysypała się garstką piasku, ojciec doszedł do ostatecznego wosku, że kto w dzieciństwie jeszcze nie miał sztywnego grzbietu, nigdy już mieć go nie będzie. Trudno było gniewać się na rodzzonego syna, ale żal go i przykro.

Siedzieli jednak zbyt długo. Paweł Nikołajewicz czuł, że ciągnie mu chłodem po nogach, i pragnął się już położyć. Pozwolił się Jurze pocałować, pożegnał go i wrócił do siebie na szpitalną salę.

Akurat zastał bardzo ożywioną, ogólną rozmowę. Co prawda, główny mówca nie bardzo panował nad swoim głosem. To był ów reprezentacyjnie wyglądający filozof, docent, który kiedyś do nich przychodził w odwiedziny, potem został zoperowany — operacja krtani — i ostatecznie z oddziału chirurgicznego przeniesiony na drugie piętro do rentgenologicznego. Na gardle, z przodu, miał coś w rodzaju metalowej klamerki, w rodzaju tych jakich pionierzy używają do umocowywania swoich krawatów. Ten docent był człowiekiem dobrze wychowanym, życzliwie usposobionym, i Paweł Nikołajewicz starał się go niczym nie urazić i nie dać poznać po sobie jak bardzo go denerwowała ta klamerka na gardle. Kiedy filozof chciał mówić ledwie dosłyszalnym głosem, przyciskał klamerkę palcem, i wtedy było go jako tako słytać. Lubił przemawiać, przyzwyczał się do tego, i obecnie korzystał po operacji z przywróconej możliwości.

Stał teraz na środku sali i opowiadał głuchym głosem, ale nieco głośniejszym od szeptu.

— I czego tylko on tam nie naściągał! W jednym pokoju rozstawił garnitur mebli z jasnego drzewa ze złoceniami, zaś oparcia, siedzenia i poręcze obite aksamitem czy też pluszem jasnobzowej barwy: cztery fotele i kanapka. Gdzie on to ukradł, w Luwrze czy gdzie indziej, tego nie wiem... — Filozof śmiał się serdecznie. — W tym samym pokoju jeszcze jeden garnitur: sztywne krzesła o wysokich czarnych oparciach. Wiedeńskie pianino. Stół z inkrustacjami z kości słoniowej, zupełnie jak z Wei-

maru Goethego, a jeszcze przykrywa go kapą spadającą aż do podłogi — niebieska, wyszywana złotem. Na drugim stole brązowy posąg: wygięta, obnażona dziewczica z kilkoma lampkami w podniesionej ręce — tyle że lampki się nie palą. Posąg jak na pokój zbyt wielki, raczej powinno by się go ustawić gdzieś w parku... Mnóstwo zegarów — stojące, ściennie, niektóre prawie pod sam sufit — ale przeważnie unieruchomione. Jakiś ogromny muzealny wazon — a w nim jedna pomarańcza. Widziałem tylko dwa pokoje i naliczyłem w nich aż pięć wielkich lusterek: jedno w rzeźbionej, dębowej ramie, drugie — z marmurową konsolą. Ponadto obrazy: pejzaże morskie i górskie, ulice włoskich miast...

Filozof opowiadał i śmiał się.

— Skądże to wszystko? — dziwił się Sibgatow, jak zawsze trzymając się oburącz za tułów w pasie.

— Częściowo zdobywcze, częściowo — z komisów. Poznał sprzedawczynię, poszedł radzić się w ocenie mebli i skończył tym, że się z nią ożenił. A potem to już we dwójkę zatrzymywali wszystko, co miało jakąś wartość.

— Gdzie pracuje? — wypytywał natarczywie Achmadżan.

— Nigdzie. Poszedł na emeryturę, kiedy miał czterdzieści dwa lata. A łeb — niczym kowadło! Pasierbica z nim mieszka, także wnuczka, to on z nimi rozmawia w następujący sposób: — Ja — wydaję rozkazy! Tu jestem gospodarzem! To ja wybudowałem ten dom! Wsadzi dłoń pod klapę płaszcza i paradyje jak feldmarszałek. W paszporcie ma wypisane imię Jemelian, ale w domu żąda nie wiadomo dlaczego żeby go nazywano Saszikie m. I co? — myślicie, że jest zadowolony z życia? Nie, wcale niezadowolony; dręczy go, że w Kisłowodsku jego były dowódca armii ma dom dziesięciopokojowy, własne centralne ogrzewanie i dwa samochody, a Saszik jeszcze się na to nie zdobył!

Wszyscy się śmieli.

Tylko jeden Paweł Nikołajewicz uznał, że opowiadanie wcale nie jest zabawne, a do tego nietaktowne.

Szułubin także się nie śmiał. Patrzył na wszystkich tak, jak gdyby miał im za złe że nie dają mu spać.

— Pewnie że śmieszne — odezwał się Kostogłotow znad samej podłogi — ale jakże to...

— Nie dawno — przypomniał ktoś na sali — był taki felieton w okręgowym dzienniku, gość wybudował sobie willę na państwowy koszt, ale go zdemaskowano. No i co? Przyznał się do popełnionego błędu, przekazał gmach na dom dziecka i tylko udzielono mu upomnienia. Nawet z partii go nie wyrzucono.

— Tak! — Sibgatow również przypomniał sobie ten wypa-

dek. — Ale dlaczego tylko upomnienie? Dlaczego nie oddano go pod sąd?

Filozof nie czytał owego felietonu, więc nie podjął się wyjaśniania dlaczego facet nie poszedł pod sąd. Wyręczył go Rusanow, oświadczając:

— Towarzysze! Jeżeli wykazał skruchę, zdał sobie sprawę ze swego czynu i ponadto przekazał dom na przedszkole, to po cóż zaraz stosować skrajne środki? Humanitaryzm to zasadnicza cecha naszego...

— Pewnie że śmieszne — upierał się przy swoim Kostogłotow — ale wyjaśnijcie mi to z filozoficznego punktu widzenia — i tego Saszika i tę willę...

Docent zrobił wymowny gest jedną ręką (drugą trzymał na krtani).

— Niestety, są to resztki świadomości burżuazyjnej.

— Dlaczego burżuazyjnej? — powarkował Kostogłotow.

— A jakiej-że innej? — Wadim także nadstawił ucha. Dziś miał chętkę do czytania, to akurat musieli wciągnąć do kłótni całą salę.

Kostogłotow dzwignął głowę znad podłogi, podniósł się nieco na poduszce, żeby lepiej widzieć Wadima i wszystkich innych.

— A takiej, że to po prostu ludzka chciwość, a nie żadna burżuazyjna świadomość. Chciwi ludzie istnieli zanim powstała burżuazja, i po burżuazji też ich nie będzie brakować!

Rusanow jeszcze nie zdążył się położyć i patrząc z góry na dół, powiedział mentorskim tonem do Kostogłotowa:

— W takich wypadkach, jeżeli tylko dobrze się sprawdzi, zawsze wychodzi na jaw społeczne pochodzenie.

Kostogłotow szarpnął głową. Wyglądało na to, że chciał splunąć.

— Bzdury to wasze społeczne pochodzenie!

— Jak to bzdury? — Paweł Nikołajewicz złapał się za serce, poczuł że go kłuje. Takiego bezczelnego wybryku nie mógł się spodziewać nawet ze strony Ogłojeda.

— Jak to bzdury? — także Wadim podniósł w zdumieniu czarne brwi do góry.

— A właśnie tak! — warknął Kostogłotow. Podniósł się nieco, prawie do pozycji siedzącej. — Napchali wam koprowiny do łbów.

— Co to znaczy — napchali? Czy bierzecie odpowiedzialność za to co mówicie? — Rusanow krzyczał teraz przejmująco, nie wiadomo skąd i jak zdobył się na taką energię.

— Komu — w a m ? — Wadim wyprostował się, ale siedział w dalszym ciągu na łóżku z książką na kolanie.



— Wam.

— Nie jesteście automatami! — Wadim surowo pokiwał głową. — My niczego na wiarę nie przyjmujemy.

— Wy — co to znaczy w y? — wyszczerzył się Kostogłotow. Czarne kudły zwisły mu nad czołem.

— My! Nasze pokolenie!

— To dlaczego zgadzacie się na proletariackie pochodzenie? To nie żaden marksizm — to rasizm!

— Że co? Że ja-ak?! — Rusanow niemal wył, tak go to oświadczenie zabolalo.

— A właśnie ta-ak! — ryknął Kostogłotow w odpowiedzi.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — Rusanow ślaniał się i szybkimi ruchami rąk przyzywał całą salę na pomoc. — Proszę o świadków, proszę o świadków! To jest ideologiczna dywersja!

Wtedy Kostogłotow szybko spuścił nogi z łóżka, połączył łokcie i pokazał mu jeden z najbardziej nieprzyzwoitych gestów, używając przy tym ordynarnego ulicznego zwrotu, wypisywanego zazwyczaj na wszystkich płotach.

— ... wam, a nie żadna ideologiczna dywersja! Przyzwyczajili się... mać ich taka owaka, że jeśli ktoś choćby na tyle z nimi się nie gadza, to już musi być ideologiczna dywersja!

Dotknięty do żywego, znieważony przez tego bezczelnego bandytę, zaskoczony ordynarnym gestem i wymysłami, Rusanow nie mógł złapać tchu i coraz to poprawiał spadające okulary. Zaś Kostogłotow darł się tak, że go słychać było nie tylko na całej sali, ale i na korytarzu, tak że nawet Zoja zajrzała przez uchylone drzwi.

— Co wy tu jak znachor gdaciecie: „społeczne pochodzenie i społeczne pochodzenie”? Wiecie jak mawiano w latach dwudziestych? — pokażcie no wasze nagniotki! A dlaczego rączki macie takie białe i miękkie? To dopiero był marksizm!

— Ja pracowałem, zawsze pracowałem — zatykało Rusanowa, nie widział jednak dobrze swego antagonisty, bo okulary wciąż mu spadały.

— Już uwierzyłem! — Kostogłotow ryczał nadal ohydny głosem. — Już uwierzyłem! Kiedyś w ramach czynu społecznego podnosiliście polano, ale na wszelki wypadek stanęliście pośrodku! A ja może jestem synem kupca trzeciej gildii, ale przez całe życie grzbietu naginam i tu są moje nagniotki — widzicie? — to co? — jestem burżujem?! Może po moim tatusiu odziedziczyłem odmienne erytrocyty czy leukocyty? Dlatego powiadam, że wasze poglądy są nie klasowe, lecz rasistowskie. Jesteście rasistą!

— Kim?? Kim jestem??!



— Jesteście rasistą! — Kostogłotow rąbał mu prosto w oczy, stojąc teraz na całą wysokość na wyprostowanych nogach.

Niesłusznie znieważany Rusanow wołał coś cienkim głosem, szybko i wzburzonym tonem mówił Wadim, ale że mówił w pozycji leżącej, nikt go nie słyszał. Filozof z wyrzutem kiwał okazałą głową o starannie zaczesanych włosach, ale o tym żeby jego chory głos dotarł do kogokolwiek, nie mogło być mowy!

Jednakże filozofowi udało się precyzyjnie do Kostogłotowa na małą odległość i, gdy ten nabierał powietrza, zdążył mu szepnąć:

— A czy wy znacie takie określenie: „dziedziczny proletariusz”?

— Choćbyś miał nawet dziesięciu proletariackich dziadków — Kostogłotow znowu wpadł w trans — to jeżeli sam nie pracujesz, nie jesteś żadnym proletariuszem! To jest chciwiec, a nie żaden proletariusz! Cały się trzęsie żeby otrzymać specjalną emeryturę, słyszałem jak mówi! — Oleg zobaczył, że Rusanow otwiera usta by odpowiedzieć, i okładał go teraz bez litości: — Kochacie swoją emeryturę, a nie ojczyznę! I żeby ta emeryturka przysłała jak najwcześniej, w czterdziestym piątym życia! Byłem ranny pod Woroneżem, figę mam i połatane buty — a jednak ojczyznę kocham! Nie dostanę zaświadczenia lekarskiego, za te dwa miesiące nie zapłacą mi ani grosza, a mimo to ojczyznę kocham!

Wymachiwał długimi rękami, prawie dotykając nimi Rusanowa. Zirytował się nagle i dał się wciągnąć w tę gniewną dyskusję, jak tyle razy dawał się wciągać w więzienne spory. Teraz przypominał sobie poszczególne zdania i argumenty przejęte od ludzi których, być może, już nie było wśród żywych. W podnieceniu zatracił świadomość miejsca i okoliczności, szpitalna sala, ciasno zapchana łózkami i ludźmi, skojarzyła mu się z więzienną celą, i dlatego z taką łatwością ordynarnie kłął i gotów był nawet wdać się w bójkę, gdyby do tego doszło.

Rusanow wyczuł jego nastrój, zrozumiał że Kostogłotow zdolny jest nawet do trzaśnięcia w gębę, to dla niego frazka — więc widząc rozwścieczenie przeciwnika, Paweł Nikołajewicz ustąpił i zamilkł. I tylko po oczach można było poznać jak bardzo jest rozgorączkowany.

— Nie potrzebna mi żadna emerytura! — wykrzykiwał Kostogłotow. — Nie mam złamanego szeląga i jestem z tego dumny! Nie mam żadnych pretensji! Nie życzę sobie wysokiej pensji — p o g a r d z a m pieniędzmi!

— Tss-s! Tss-s! — filozof usiłował go powstrzymać. — Socjalizm przewiduje dyferencjację systemu płac.

— Idźcie do diabła z waszą dyferencjacją! — Kostogłotow

szalał w dalszym ciągu — bez kija nie podchódź. — To znaczy, że na drodze do komunizmu przywileje jednych powinny się zwiększać kosztem drugich, tak? To znaczy, że aby osiągnąć równość, trzeba przedtem wprowadzać nierówność, tak? To na tym ma polegać dialektyka?

Krzyczał i ten krzyk odzywał się boleśnie powyżej żołądka, i głos coraz to się załamywał.

Wadim kilka razy próbował wtrącić się do sporu, ale Kostogłotow z taką szybkością wyciągał coraz to nowe argumenty i ciskał nimi niczym piłkami, że Wadim ledwie się uchylał od każdego nowego uderzenia.

— Oleg! — starał się go powstrzymać. — Oleg! Najłatwiej krytykować społeczeństwo, które dopiero powstaje. Ale nie należy zapominać, że istnieje dopiero od czterdziestu lat, a nawet krócej.

— To właśnie tyle co mego życia! — natychmiast odparował Kostogłotow. — I będzie go coraz mniej! Więc co — to dlatego mam milczeć przez całe życie?

Filozof hamował Kostogłotowa ręką, jak gdyby prosił go o litość dla jego chorego gardła i szeptał przekonywująco, że jednak inny jest wkład społeczny kogoś kto w klinice szoruje podłogi, i kogoś kierującego służbą zdrowia.

Kostogłotow i na to znalazłby coś ordynarnego w odpowiedzi, ale nagle ze swego kąta przy drzwiach przykuśtykał do nich Szułubin, o którym w gorącej dyskusji wszyscy zapomnieli. Niezgrabnie stawiając stopy, szedł w rozpiętym szlafroku, wyglądał tak nieporządnie i niedbale jakby go dopiero co poderwano ze snu. Wszyscy go dostrzegli i zdziwili się. Szułubin przystanął przed filozofem, podniósł w górę palce i zapytał wśród zaległej naraz ciszy:

— Znacie „Tezy kwietniowe”?

— A któż ich nie zna?! — uśmiechnął się filozof.

— A czy możecie wymienić wszystkie punkty? — Szułubin wypytywał go stłumionym, gardłowym głosem.

— Czcigodny, po cóż wymieniać! Tezy kwietniowe zajęły się zagadnieniem przechodzenia od rewolucji burżuazyjno-demokratycznej do rewolucji socjalistycznej. I w tym właśnie sensie...

— Więc tam był następujący punkt — Szułubin poruszał grubymi brwiami nawisłymi nad okrągłymi, zmęczonymi oczami o zaczerwienionych białkach. — Urzędnicy będą otrzymywać pensje nie wyższe od przeciętnego zarobku dobrze pracującego robotnika! To zdanie rozpoczynało rezolucję.

— Naprawdę? — docent zdziwił się. — Nie pamiętam.

— Jak wróćcie do siebie do domu, sprawdźcie. Czyli że

kierownik okręgowej Służby Zdrowia nie powinien otrzymywać więcej, niż taka na przykład Nelka.

Szułubin pokiwał zakazująco palcem przed samym nosem filozofa. I pokuśtykał z powrotem do swego kąta.

— Cha-cha! Cha-cha-cha! — Kostogłotow cieszył się przyjęciem niespodziewanej pomocy. Tego argumentu najbardziej mu brakowało, dobrze że stary go podparł. — Co? — przełknęliście?

Filozof poprawił swoją klamerkę na krtani, nie bardzo wiedząc jak wybrnąć z tej sytuacji.

— No przecież Nelka dobrze nie pracuje!

— W takim razie sanitariuszka w okularach. Obydwie otrzymują to samo.

Rusanow usiadł na łóżku i odwrócił się do nich plecami. Na Kostogłotowa w ogóle już nie mógł patrzeć, trząsał się cały z obrzydzenia, i jeżeli natychmiast nie zastosował środków administracyjnych, to jedynie z obawy przed wielkimi pięściami Olega. Nie bez powodu Paweł Nikołajewicz od razu ustosunkował się niechętnie do tego wstrętnego puchacza, sterczącego w kącie; nie mógł wymyślić nic mądrzejszego — porównał pomywaczkę z kierownikiem służby zdrowia! Jakaż tam dyskusja w takich warunkach!

Rozeszli się wszyscy i Kostogłotow nie miał już z kim się spierać. Zresztą wypowiedział wszystko co chciał. Od ciągłego krzyku mocno go rozboleła pod dołkiem, i każde słowo wychodziło z trudem.

Wtedy Wadim, który przez cały czas nie podnosił się z łóżka, przywołał go gestem, posadził obok i zaczął po cichu perswadować.

— Oleg, przykładacie niewłaściwą miarę. Wasz błąd polega na tym, że naszą rzeczywistość zestawiacie z ideałem przyszłości. Powinniście ją zestawić z tymi bolączkami, z tym gnojowiskiem, jakim była cała uprzednia historia Rosji aż do siedemnastego roku.

— Nie było mnie wtedy, nie wiem — Kostogłotow szeroko ziewnął.

— Nie potrzeba własnego doświadczenia, i tak wiadomo. Przeczytajcie sobie Sałtykowa-Szczedrına, po co inne świadectwa! Albo porównajcie z zachodnimi demokracjami, gdzie wszystko jest na pokaz; gdzie nikt nie jest w stanie domagać się swoich praw, ani sprawiedliwości, ani nawet ludzkich warunków życia.

Znużony Kostogłotow ziewnął jeszcze raz. Pragnienie dyskusji zgasło w nim równie szybko, jak zapaliło się uprzednio. Od krzyku płuca uciskały na przeponę i na nowotwór, z tego wniosek że nie wolno mu mówić tak głośno.

— Wyście, Wadim, przez wojsko przeszli?  
— Nie, a dlaczego?  
— Jakże to tak wypadło...?  
— W naszym instytucie był wyższy kurs poza bezpośrednią służbą wojskową...

— Ta-ak... A ja służyłem całe siedem lat. W stopniu sierżanta. Nasza armia nazywała się wtedy Chłopsko-Robotniczą. Drużynowy otrzymywał dwie dychy, a dowódca plutonu — sześćset, jasne? Na froncie oficerowie otrzymywali dodatkową rację: herbatniki, masło, konserwy, a kiedy jedli to chowali się przed nami, zrozumiano? Bo przecież wstydzili się. Schrony budowaliśmy najpierw dla nich, potem dla siebie. Powtarzam, byłem w stopniu sierżanta.

Wadim sposepniał. Nie znał tych faktów, ale i one musiały mieć naturalnie jakieś racjonalne uzasadnienie.

— Po co mi to wszystko opowiadacie?

— Po to, że gdzie tu jest burżuazyjna świadomość?  
U k o g o ?

Oleg tego dnia gadał za dużo, ale z jakąś gorzką ulgą pomyślał, że niewiele mu już zostało do stracenia.

Ziewnął głośno jeszcze raz i wrócił na swoje łóżko. I długo jeszcze ziewał raz po raz.

Czy to zmęczenie, czy choroba tak go skłaniała do ziewania? A może był znudzony, może zdał sobie sprawę, iż te wszystkie spory, dyskusje, argumenty, podpierane gniewnym wyrazem oczu, to jakby chlupot w błocie, bezsensowny w zestawieniu z ich cierpieniami, z ich oczekiwaniem śmierci.

A tak pragnąłby zbliżyć się do czegoś zupełnie innego, co posiadałoby czystą, niewzruszoną moc.

Ale gdzie tego szukać — Oleg nie miał pojęcia.

Dziś rano otrzymał list od Kadminów. Doktor Nikołaj Iwanowicz odpowiedział mu, między innymi, na pytanie skąd się wzięło powiedzenie: „łagodne słowo kości łamie”. Kiedyś, jeszcze w XV wieku, powstał w Rosji „Zbiór pouczający” — ręcznie pisana książka, czy coś w tym rodzaju. A w niej historia o Kitowrasie. Nikołaj Iwanowicz zawsze był znawcą wszelkiej starzyny. Kitowras żył w dalekiej pustyni i mógł chodzić tylko po prostej linii, wprost przed siebie. Król Salomon wezwał go do siebie, podstępem zakuli go w łańcuchy i kazali pracować w kamieniołomach. Ale Kitowras szedł zawsze tylko po prostej, więc kiedy go prowadzili do Jerozolimy, burzyli przed nim wszystkie domy, przekładali drogę. Trafił się na tej drodze domek wdowy. Wdowa zaczęła płakać, prosić Kitowrasa żeby nie burzył jej ubożego domu, no i cóż — uprosiła. Kitowras zaczął szukać na wszystkie

strony jakby tu przejść boczkiem — i złamał sobie żebro. Ale domek pozostał nietknięty. I powiedział wtedy Kitowras: „łagodne słowo kości łamie, twarde słowo rozbudza gniew”.

Kostogłotow zamyślił się głęboko. I ten Kitowras i ci pisarkowie z XV wieku — to byli prawdziwi ludzie, a my w zestawieniu z nimi — niczym wilcy.

Któż by się dziś zgodził na złamanie sobie żebra za jedno łagodne słowo?!

Ale list Kadminów zaczynał się od innych spraw. Oleg namacał list na nocnej szafce, przejrzał ponownie.

„Kochany Olegu!

Zdarzyło się wielkie nieszczęście.

Zabili Żuka.

Sowiet osiedla wynajął dwóch myśliwych do strzelania psów. Chodzili po wszystkich ulicach i strzelali. Tobika schowaliśmy, ale Żuk się wyrwał i czekał na myśliwych. Zawsze bał się nawet obiektywu fotograficznego, takie miał przeczucie! Postrzelili go w oko, upadł na skraju aryka z głową zwieszoną w dół. Kiedyśmy podeszli do niego, jeszcze się szarpał, takie wielkie ciało — i strach było patrzeć jak się szarpał.

I wiecie — jakoś pusto zrobiło się w naszym domu. I zostało poczucie winy przed Żukiem, żeśmy go nie zatrzymali, nie ukryli.

Pogrzebaliśmy go w kącie ogrodu, tuż koło altanki...”

Oleg leżał i w wyobraźni przyzywał Żuka. Nie zabitego, z krwawiącym okiem, nie z głową zwisającą na skraju aryku — ale takiego jak wtedy, gdy przychodził wołać Olega, prosił o wpuszczenie i zasłaniał całe okno chałupki: dwie wielkie łapy i dobry, łagodny łeb z uszami jak u niedźwiedzia.

Zabili psa.

Po co?

30.

## STARY DOKTOR

Po siedemdziesięciu pięciu latach życia i pięćdziesięciu praktyki lekarskiej doktor Orieszczenkow nie zarobił na kamienny pałac, ale jednak jeszcze w dwudziestych latach kupił drewniany, jednopiętrowy domek z niewielkim ogródkiem. Od tego czasu

mieszkał w nim bez przerwy. Domek znajdował się przy jednej ze spokojnych ulic, której środkiem szedł szeroki bulwar. Chodniki były także bardzo szerokie, tak że domy stały odsunięte od jezdni o dobrych piętnaście metrów. Na chodnikach jeszcze w ubiegłym stuleciu zasadzono grubopienne drzewa, których kopyły zraszały się w lecie w jeden zielony dach. U dołu każde drzewo było okopane, obmieciono i ogrodzone żelazną sztachetką. Ludzie przychodzili tu w upały i nie czuli słonecznego żaru, tym bardziej że wzdłuż chodnika, rowkiem obłożonym kamiennymi płytkami, biegła chłodna woda z aryków. Ta zielona ulica okrążała najlepszą, najładniejszą część miasta i była jedną z największych jej ozdób. Co prawda w miejskim Sowiecie urągano, że te jedno-piętrowe, zbytnio od siebie oddalone domy zajmują zbyt dużo miejsca, że komunikacja wypada za drogo i że najwyższy czas zburzyć te domki i na ich miejscu budować pięciopiętrowe kamienice.

Przystanek autobusowy znajdował się dość daleko od domu doktora Orieszczenkowa, więc Ludmiła Afanasjewna szła pieszo. Był bardzo ciepły, pogodny wieczór, zmierzch jeszcze nie zapadł, łatwo było dostrzec że drzewa otulone delikatnym puchem szykują się do snu, i że topole, wysmukłe jak świece, jeszcze nie pokryły się zielenią. Ale Doncowa patrzyła nie do góry, lecz pod nogi. Radość z nadejścia wiosny była tym razem bardzo względna; nie wiadomo co się stanie z Ludmiłą Afanasjewną, gdy te drzewa pokryją się liśćmi, potem pożółkną i znowu pozostaną bez listowia. Zresztą zawsze bywała tak zajęta, że nie starczało jej czasu by się zatrzymać, podnieść głowę i rozejrzeć się dokoła zmrużonymi oczami.

Do domu Orieszczenkowa prowadziła furtka, a obok główne drzwi starego typu z mosiężną klamką i ciężkimi, głęboko ciętymi futrówkami. Zazwyczaj takie starodawne drzwi są zabite na głucho i wchodzić trzeba przez furtkę. Ale tu kamienne stopnie, prowadzące ku drzwiom, nie były zarośnięte mchem ani trawą, i wciąż jak dawniej na wyczyszczonej do połysku, miedzianej tabliczce widniał napis biegnący skośnym, kaligraficznym pismem: „Doktor Orieszczenkow, D.T.”. Także i taster dzwonka elektrycznego był w dobrym stanie.

Ludmiła Afanasjewna nacisnęła guzik. Rozległy się kroki, drzwi otworzył sam Orieszczenkow w podniszczonym, kiedyś dobrego gatunku, brązowym garniturze, w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem.

— Ludoczka — doktor ledwie podnosił kąciki ust, co oznaczało u niego szeroki uśmiech. — Czekam, a jakże, proszę, bardzo

jestem rad. To znaczy, rad i — nierad. Gdyby wszystko było w porządku, to byście do starego z wizytą nie przyszli.

Przedtem telefonowała do niego z prośbą o pozwolenie na przyjęcie. Mogłaby telefonicznie wyjaśnić o co chodzi, ale to byłoby niegrzecznie. A teraz z miną winowajcy usiłowała go przekonać, że odwiedziłaby go, choćby się nawet nic złego nie stało, podczas gdy doktor nie pozwalał jej samej zdjąć palta.

— Proszę, proszę, taką zupełną ruiną to ja jeszcze nie jestem!

Powiesił palto na kołku długiego politurowanego wieszaka, na którym zmieściłyby się okrycia wielu pacjentów albo gości, i poprowadził korytarzem po jasnych wyfroterowanych deskach drewnianej podłogi. Minęli najlepszy, najbardziej widny pokój, gdzie stał fortepian z podniesionym wiekiem i rozłożonymi nutami; tu mieszkała starsza wnuczka Orieszczenkowa. Potem przeszli przez pokój stołowy, którego okna przesłonięte bezlistną teraz winoroślą wychodziły na podwórze — tu znajdowała się duża, droga radiola — aż wreszcie doszli do gabinetu. Wzdłuż wszystkich ścian biegły półki z książkami, pośrodku stało stare, ciężkie biurko, obok równie stara kanapa i wygodne fotele.

— A wiecie, Dormidont Tichonowicz — mrużąc oczy, Doncowa rozejrzała się po półkach, — widzę, że książek jeszcze przybyło.

— Skądże! — Orieszczenkow lekko zaprzeczył dużą, masywną głową. Wszystkie jego gesty były zawsze bardzo oszczędne. — Co prawda, niedawno kupiłem ze dwa tuziny — a wiecie od kogo? — Patrzył jakby z pewnym rozweseleniem, ale znowu trzeba było się do niego przyzwyczaić, żeby dostrzegać wszystkie odcienie. — Od Aznaczejewa. Poszedł, wiecie, na emeryturę, ma już sześćdziesiąt lat. I natychmiast wyszło na jaw, że żaden z niego rentgenolog, że nie chce więcej mieć nic wspólnego z medycyną, ani jednego dnia. Bo on jest z powołania pszczelarzem i odtąd będzie zajmować się wyłącznie pszczołami. Jakże to możliwe? Jeżeli rzeczywiście pszczelarz, to po co tracił najlepsze lata? No, Ludoczka, gdzie usiądziecie? — zwracał się do Doncowej, siwej już babci, jak do małej dziewczynki. I sam zadecydował: — W tym fotelu będzie wam bardzo wygodnie.

— Dormidont Tichonowicz, nie mam zamiaru długo siedzieć. Wpadłam na jedną chwilkę — Doncowa jeszcze usiłowała się bronić, ale zapadła głęboko w miękki fotel i od razu się uspokoiła, a nawet nabrała przekonania, że tylko tu może powstać najbardziej właściwa decyzja. Zawsze nosiła ciężar odpowiedzialności, przewodnictwa i wyboru, teraz miała postanowić co dalej z jej życiem, i oto ten ciężar zleżał jeszcze na korytarzu, gdy zdjęła palto, a teraz w tym miękkim fotelu odpadł zupełnie.



Z wielką ulgą rozejrzała się po gabinecie, zresztą dobrze jej znanym, nie bez rozczerwienia popatrzyła na starą umywalkę z marmurowym blatem, stojącą w kącie — nie nowoczesna muszla, lecz umywalka z wiadrem wstawionym pod spód, ale wszystko zasłonięte i czyste. Spojrzała na Orieszczenkowa, ciesząc się że żyje, że istnieje, i że całą jej trwożę przejmie na siebie. Doktor jeszcze nie usiadł. Stał wyprostowany, nie miał żadnej tendencji do garbienia się, ramiona trzymał prosto, a na nich dobrze osadzoną głowę. Zawsze miał taki pewny siebie wygląd, że każdy myślał: leczy innych, a sam nie może zachorować. Niewielka, podstrzyżona bródka spływała srebrnym strumyczkiem. Jeszcze nie wyłysiał, nawet nie zupełnie osiwiał, mało się zmienił w ostatnich latach, włosy miał gładko przyczesane, rozdzielone równym przedziałem. Jego twarz była zawsze nieruchoma, nigdy nie zdradzała żadnych uczuć, zawsze pogodna, opanowana, niewzruszona. Tylko brwi podciągnięte w kącikach ku górze poruszały się lekko, wyrażając to wszystko co czuł w danej chwili.

— Ludoczka, proszę mi wybaczyć że usiądę za biurkiem. To nie żaden oficjalny gest. Po prostu przyzwyczałem się do tego miejsca.

Jakżeby się miał nie przyzwycząć! Kiedyś bardzo często, potem coraz rzadziej, ale i dziś jeszcze zjawiają się w tym gabinecie pacjenci i siedzą niekiedy całymi godzinami, prowadząc męczące rozmowy od których zależy ich przyszłość. Zazwyczaj każdy zapamiętywał na całe życie ciemnobrązowe biurko z dębowego drzewa, przykryte zielonym suknem, staroświecki rzeźbiony nóż do rozcinania papieru, niklowany lekarski przyrząd do badania gardła, kalendarz, obok kałamarz z miedzianą przykrywką, a także szklankę ze stygnącą, mocno naparzoną herbatą ciemnopurpurowego koloru. Doktor albo siedział za biurkiem, albo podnosił się i spacerował między umywalką i półką z książkami, jak gdyby chciał by chory nieco odpoczął i pomyślał, nie czując na sobie jego badawczego spojrzenia. Na ogół jednak zawsze jednakowo uważne oczy doktora Orieszczenkowa nie patrzyły w bok, ani w okno, nie opuszczały się ku biurku i rozłożonym papierom, nie traciły ani jednej chwili w rozmowie z pacjentem lub gościem. Spojrzenie było dla niego głównym przyrządem do badania chorych i przekazywania uczniom swojej woli i decyzji.

Dormidont Tichonowicz doznał w swoim życiu wielu prześladowań. Jako rewolucjonista został aresztowany w roku 1902, chociaż przesiedział razem z innymi studentami tylko jeden tydzień w więzieniu; potem prześladowano go za to, że jego ojciec był popem prawosławnym; również za to, że podczas pierwszej wojny imperialistycznej służył w carskiej armii jako lekarz

brygady kawaleryjskiej; ale nie tylko jako lekarz: jak stwierdzili świadkowie, gdy pułk rzucił się raz do panicznej ucieczki, Orieszczenkow skoczył na konia, zawrócił uciekających i skierował ich z powrotem do imperialistycznej bijatyki z robotnikami niemieckimi. Najbardziej systematyczne i uciążliwe prześladowanie było spowodowane uporem Orieszczenkowa, który stale walczył o prawo do prowadzenia prywatnej praktyki lekarskiej, mimo że coraz bezwzględniej jej zakazywano, traktując ją jako źródło inicjatywy prywatnej i bogacenia się, na każdym kroku sprzyjające odradzaniu się burżuazji. Był czas że doktor musiał zdjąć z drzwi tabliczkę ze swoim nazwiskiem i wypraszać za drzwi pacjentów, choćby najbardziej potrzebowali jego pomocy i najgoręcej o nią prosili. W pobliżu zawsze czatowali dobrowolni albo płatni szpiedzy urzędu podatkowego, a zresztą i sami pacjenci nie zachowywali dyskrecji, a groziło to doktorowi nie tylko utratą pracy lecz i własnego mieszkania.

A przecież właśnie tę prywatną praktykę cenił w swojej zawodowej działalności najwyżej. Bez metalowej tabliczki na drzwiach czuł się jakoś nielegalnie, jakby pod cudzym nazwiskiem. Z zasady nie chciał bronić ani kandydackiej ani doktorskiej tezy, twierdząc że wszelkie dysertacje wcale nie świadczą o podniesieniu poziomu leczenia, że pacjenci czują się skrępowani gdy ich lekarz jest profesorem, zaś czas stracony na pisanie dysertacji lepiej zużyć na dalszą specjalizację. W ciągu ostatnich trzydziestu lat Orieszczenkow pracował kolejno w dziale terapeutycznym, potem w klinice dla dzieci jako chirurg, a nawet urolog i okulista, a dopiero po tym wszystkim wyspecjalizował się jako rentegnolog i onkolog.

Wzgardliwym grymasem wąskich ust wyrażał swoją opinię o tak zwanych „zasłużonych działaczach naukowych”. Uważał, że jeśli kogoś jeszcze za życia uznali za „działacza” i przy tym „zasłużonego”. to już koniec, kropka; nadmierna sława przeszkadza leczyć, podobnie jak zbyt wspaniały strój przeszkadza w poruszaniu się. Taki „zasłużony działacz” paraduje w otoczeniu świty niczym jakiś nowy Chrystus wśród apostołów, i nie ma prawa do popełnienia pomyłki, nie wolno mu czegoś nie wiedzieć, nawet nie wolno mu się zastanawiać; może być zmęczony, bez energii, albo został w tyle i starannie to ukrywa, a wszyscy wciąż oczekują że będzie działać cuda.

Te rzeczy nie były Orieszczenkowowi potrzebne, wystarczała mu mosiężna tabliczka na drzwiach i dzwonek, dostępny dla każdego przechodnia.

Mimo wszystko tak się szczęśliwie złożyło, że kiedyś Orieszczenkow uratował umierającego syna tutejszego, bardzo wybitne-

go przywódcy. Kiedy indziej — samego przywódcę, nie tego, lecz również na wysokim stanowisku. A potem jeszcze kilka osób z ważnych, wpływowych rodzin. I to wszystko tu, w tym mieście, bo przez cały czas nigdzie nie wyjeżdżał. Tak oto doktor Orieszczenkow zdobył sobie sławę i dużą pozycję w najbardziej wpływowych kołach, a wraz z tym możliwość obrony. Być może, w czysto rosyjskim mieście nawet i to by mu nie pomogło, ale tu, w środowisku bardziej na wschodnią modłę ustępliwym, jakoś potrafią nie zauważyć, że znowu wywiesił tabliczkę i znowu przyjmował jakichś pacjentów. Po wojnie nie miał nigdzie stałej pracy, konsultowano go jednak niekiedy w kilku klinikach i zjawiał się na posiedzeniach towarzystw naukowych. Po ukończeniu sześćdziesięciu pięciu lat zaczął prowadzić takie właśnie życie, jakie uważał za najbardziej wskazane dla lekarza.

— Dormidont Tichonowicz, przychodzę was prosić o zbadanie żołądka i przewodów pokarmowych... Oczywiście w dniu który wam będzie najbardziej odpowiadać...

Twarz miała szarą, głos osłabiony. Orieszczenkow nie odrywał od niej uważnego spojrzenia, lekko uniesione brwi nie wyrażały najmniejszego zdziwienia.

— Naturalnie, Ludmiła Afanasjewna, wybierzemy odpowiedni dzień. Niezależnie od tego podajcie mi objawy. I jaka jest wasza własna opinia.

— Objawy zaraz wam podam, ale co do mojej opinii... Wiecie, w ogóle staram się o tym nie myśleć! To znaczy myślę, nawet za dużo, po nocach nie śpię, ale lepiej by było żebym sama nie wiedziała. Naprawdę. Wy zadecydujcie: trzeba będzie się położyć, to się położę, ale szczegółów wolę nie znać. Jeżeli dojdzie do operacji, także wolę nie znać diagnozy, żeby nie odgadywać — a co oni tam teraz robią? — co mi wycinają? Rozumiecie mnie?

Czy dlatego że siedziała w takim dużym fotelu, czy że ramiona opadły na dół, dość że nie robiła już wrażenia mocnej, tęgiej kobiety. Wyraźnie zmniejszyła się w oczach.

— Rozumieć, Ludoczka, to ja może rozumiem, ale nie podzielam waszego stanowiska. Skąd zaraz ta myśl o operacji?

— No trzeba być na wszystko...

— W takim razie dlaczego nie przyszlście wcześniej? Kto jak kto, a le w y przecież wiecie.

— Tak jakoś wyszło — westchnęła Doncowa. — Takie już życie, kręcisz się jak w zaczarowanym kole. Pewnie, że należało wcześniej... Ale nie sądzicie, że zbyt niedbałam! — Doncowa z całą żywością zaprzeczyła sama sobie. Już powróciła do zwykłego rzeczowego sposobu bycia. — Ale dlaczego taka niesprawiedliwość? Dlaczego właśnie mnie, onkologa, dopadła choroba

onkologiczna? Przecież znam wszystkie objawy, okoliczności, skutki i komplikacje...

— Nie widzę tu żadnej niesprawiedliwości — przekonywał ją mocnym, pewnym swoich racji głosem. — Przeciwnie, to sprawiedliwe w najwyższym stopniu. To ogniowa próba dla każdego lekarza: zachorować w granicach własnej specjalności.

(Dlaczego sprawiedliwie? Co za próba? Rozumuje w taki sposób, bo sam nie zachorował.)

— Pamiętacie tę pielęgniarkę, Panię Fiodorowę? Kiedyś mi powiedziała: „Przestałam obchodzić się łagodnie z chorymi... Widocznie czas już, żebym sama poleżała w szpitalu!”

— Nigdy nie przypuszczałam, że będę tak ciężko to przechodzić. — Doncowa tak mocno splotła palce, że zatrzeszczały w stawach.

A jednak podczas tej rozmowy czuła mniejszą udrękę, niż w ostatnich dniach.

— Jakież objawy zaobserwowaliście?

Zaczęła opowiadać — najpierw ogólnikowo, więc Orieszczenkow zażądał szczegółów.

— Ależ nie przyszedłam, żeby wam zabrać cały wieczór! Jeżeli i tak macie zamiar przyjechać i zrobić prześwietlenie...

— To nie wiecie jaki ze mnie pod tym względem heretyk? Zanim zaczęto stosować prześwietlanie, miałem już za sobą dwadzieścia lat pracy! Żebyście wiedzieli, Miłoczka, jakie stawialiśmy diagnozy! To tak jak z fotoeksponometrem, albo z zegarkiem: rozporządzając nimi, traci się wycucie czasu. A bez ich pomocy człowiek natychmiast się podciąga.

Więc Doncowa opowiadała, zestawiając ze sobą różne objawy i wydobywając różnice. Zmuszała samą siebie do nie pomijania takich szczegółów, które mogłyby pogorszyć diagnozę, chociaż miała wielką chęć opuścić to i owo i usłyszeć w odpowiedzi: „Cóż za bagatelka, Ludoczka, cóż za bagatelka!” Poddała skład krwi, bardzo niepomysłny, powiedziała o zwiększonym opadzie. Wysłuchał do końca, potem zaczął zadawać dodatkowe pytania. Czasem kiwał głową, że to całkiem zrozumiałe, bez znaczenia, występuje u każdego, ale jednak słowa „bagatelka” nie wypowiedział. Doncowa pomyślała przez chwilę, że Orieszczenkow już zna diagnozę, i można go zapytać od razu, nie czekając na wyniki prześwietlenia. Ale bała się pytać natychmiast i usłyszeć jego przypuszczenie, choćby nawet nie miał żadnej pewności. Koniecznie trzeba było opóźnić tę chwilę, złagodzić ją chociażby kilkudniowym wyczekiwaniem.

Tak przyjaźnie zawsze rozmawiali, gdy spotykali się na zebraniach naukowych. Ale ledwie przyszła i przyznała się jak do

popelnionego przestępstwa, że jest chora — i natychmiast pękła łącząca ich struna równości. Nie to nawet, nie było przecież nigdy prawdziwej równości z mistrzem, było gorzej — przyznając się do swej dolegliwości, wykluczyła siebie z gremium lekarzy i spadła do poziomu pacjentki, całkowicie już teraz od niego uzależnionej. Co prawda Orieszczenkow na razie nie proponował, że zbada bolące miejsce. Wciąż ją traktował jak swego gościa. Chciał, zdaje się, widzieć w niej jednocześnie doktorkę i pacjentkę, ale Doncowa wpadła w przygnębienie i nie umiała utrzymać dawnej postawy.

— Właściwie Wieroczka Ganhart tak potrafi stawiać diagnozy, że mogłabym całkowicie zdać się na nią. — Z przyzwyczajenia Doncowa, zawsze śpiesząca się w ciągu pracowitego dnia, mówiła szybko, rzucając zdanie po zdaniu. — Ale skoro zgadzacie się, postanowiłam...

— A cóż ja byłbym wart, gdybym się wyrzekł własnych uczniów! — Orieszczenkow patrzył bez przerwy na Doncovą. Teraz źle widziała, ale od dwóch mniej więcej lat wydawało jej się, że w tym niewzruszonym spojrzeniu przebija zupełna rezygnacja. Ten wyraz zjawiał się u niego po śmierci żony. — No a jeżeli jednak wypadnie... dostać się do biuletynu lekarskiego? W takim razie wyznaczycie Wieroczkę na swoje miejsce?

(„Do biuletynu lekarskiego”!) Wybrał najłagodniejsze określenie! Ale to znaczy, że jednak coś u niej z n a l a z ł !)

— Tak. Jest całkowicie dojrzałym lekarzem, może prowadzić oddział samodzielnie.

Orieszczenkow pokiwał głową, pogładził srebrzystą brodkę.

— Dojrzeć to ona dojrzała, a cóż z zamąpójściem?

Doncowa poruszyła głowę przecząco.

— Z moją wnuczką to samo. — Orieszczenkow bez żadnej potrzeby przeszedł na szept. — Nikogo nie znajdzie. Skomplikowana sprawa.

Podniósł nieco brwi i ten ledwie uchwytny ruch oznaczał, że jest mocno przejęty.

Uparł się żeby badania nie odkładać, i sam wyznaczył wizytę na poniedziałek.

(A więc tak bardzo się śpieszy!)

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie, kiedy najwygodniej wstać podziękować i pożegnać się. Doncowa podniosła się z fotela. Ale Orieszczenkow postanowił, że musi się napić z nim herbaty.

— Ależ ja nie chcę herbaty! — zapewniała Ludmiła Afanasjewna.

— Za to ja chcę! I właśnie pora na herbatę.

Więc jednak ciągnął ją za sobą, podciągał z kategorii ciężko chorych do zdrowych.

— Wasza młodzież w domu?

Ta „młodzież” była w tym samym wieku, co Ludmiła Afanasjewna.

— Nie. Wnuczki także nie ma. Jestem sam.

(O samej sprawie rozmawiali w gabinecie, bo tylko tam mógł mówić rzeczowo i zdobyć się na odpowiednią powagę).

— Jeszcze zbieracie się gospodarować z mego powodu? Absolutnie się nie zgadzam!

— Nie mam zamiaru gospodarować. Herbata w termosie. A te różne kekсы i spodeczki są w kredensie — zgoda? — zajmijcie się nimi osobiście.

Przeszli do stołowego pokoju i zasiedli do herbaty na rogu dębowego stołu w kształcie kwadratu, tak wielkiego że mógłby na nim tańczyć nawet słoń, gdyby tylko przedtem zmieścił się w drzwiach. Ścienny zegar, również mający swoje lata, pokazywał godzinę, jeszcze nie późną.

Dormidont Tichonowicz zaczął mówić o swej ukochanej wnuczce. Niedawno ukończyła konserwatorium, świetnie gra na fortepianie, a do tego mądrała, co wśród muzyków nie zdarza się zbyt często, i ładniutka. Nawet pokazał jej ostatnie zdjęcie, ale mówił niezbyt wiele, wcale nie usiłując zaprzętać swoją wnuczką całej uwagi Ludmiły Afanasjewny. Co prawda nie byłaby już w stanie skoncentrować całej uwagi na niczym, o zbyt wielu sprawach myślała jednocześnie. Dziwnie było siedzieć i pić herbatę w towarzystwie człowieka, który już zna rozmiary grożącego jej niebezpieczeństwa, a kto wie, może przewiduje cały rozwój chorobowego procesu, a jednak nie powie ani słowa — siedzi i podsuwa herbatniki.

Doncowa również miała powody do zwierzeń, ale tym razem nie o rozwiedzionej córce, bo to było zbyt bolesne, lecz o synu. Zdał do ósmej klasy i nagle doszedł do wniosku, że uczyć się dalej nie ma żadnego sensu! Ani ojciec ani matka nie mogli znaleźć argumentów, wszystkie racje odbijały się od jego łepetyny.

— Należy stać się człowiekiem kulturalnym! — „A po co?” — Kultura — to najważniejsze! — „Najważniejsze jest przyjemne życie!” — Bez wykształcenia nie zdobędziesz dobrego zawodu! — „Nie potrzeba!” — Więc co, chcesz być zwyczajnym robotnikiem? — „O, nie — nie głupim!” — Więc z czego będziesz żyć? — „Zawsze coś znajdę. Trzeba tylko umieć”. Wszedł do bardzo podejrzanego towarzystwa i Ludmiła Afanasjewna bardzo się o niego lękała.



Orieszczenkow miał taki wyraz twarzy jakby ta historia, którą słyszał po raz pierwszy, była mu od dawna znana.

— Wśród wielu innych wychowawców — mówił Dormidont Tichonowicz — straciliśmy jeszcze jednego, bardzo ważnego. Mam na myśli doktora starego typu, który leczył całą rodzinę. Czternastoletnie dziewczęta i szesnastoletni chłopcy koniecznie powinni rozmawiać z lekarzem. I to nie w klasie, gdzie ich siedzi razem czterdziestka (zresztą w klasie o tych rzeczach się nie mówi, ani w szkolnym gabinecie lekarskim, gdzie przechodzi każdy uczeń co trzy minuty). To powinien być ten sam wujek-doktor, który małym dzieciom zagłada do gardła i którego częstuje się za stołem herbatą. I właśnie trzeba, żeby taki wujaszek-doktor, obiektywny, zarazem dobry i surowy, którego nie można jak rodziców, podejść ani kaprysem ani prośbą, zamknął się z dziewczynką albo z chłopcem w gabinecie i rozpoczął dziwną rozmowę, wstydliwą i równocześnie interesującą. I żeby bez żadnych pytań wszystkie domyślił się sam, i odpowiedział na najważniejsze i najtrudniejsze kwestie. A potem może powtórzy taką rozmowę? W ten sposób nie tylko uprzedzi różne pomyłki i fałszywe poczynania, nie tylko uratuje od możliwych fizycznych niedomagań, lecz oczyści i zharmonizuje wizję świata i życia. Jeśli młodzi przekonają się, że ich najważniejszy niepokój jest zrozumiany, że ich trudne poszukiwania znajdują wyjaśnienie, nastąpi całkowite porozumienie pod każdym innym względem. I od tej chwili wszystkie inne argumenty rodziców staną się dla nich bardziej do przyjęcia.

Ludmiła Afanasjewna sama naprowadziła doktora na ten temat swoim opowiadaniem o synu. A że żadnej decyzji nie podjęła, mogła się teraz zastanawiać jak to wszystko zastosować do syna. Orieszczenkow miał przyjemny, dźwięczny głos, wciąż jeszcze nie poddający się działaniu starości. Patrzył jasnymi, żywymi oczami, podkreślając i uwydatniając tym spojrzeniem wykładane racje. A jednak Doncowa zauważyła, że błogi nastrój jaki go opanował podczas siedzenia w fotelu zaczyna go opuszczać z minuty na minutę, że coś go wzburzyło, jakby świadomość niepowetowanej straty. Należałoby wstać i wyjść, ale dokąd, po co i z czym?

— Tak, to prawda — zgodziła się Doncowa. — Sprawa wychowania seksualnego jest u nas całkowicie zaniedbana.

— Uważa się że dzieci, jak zwierzęta, powinny się o wszystkim dowiedzieć same. No więc dowiadują się w sposób właśnie... zwierzęcy. Nie ma po co prewencyjnie zwalczać zbroczeń i perversji, ponieważ zakłada się z góry, że w zdrowym społeczeństwie wszystkie dzieci powinny być normalne. U nas dzieci dowiadują się jedno od drugiego, często w niewłaściwej, przekreślonej wersji. Uważamy za konieczne kierować dziećmi we wszystkich



dziedzinach życia, z wyjątkiem właśnie tej, bo to „wstydlive”. Niekiedy stykasz się z dorosłą kobietą, która nie zna nasycenia uczuć tylko dlatego, że mężczyzna nie wiedział jak należy zachować się podczas jej pierwszej nocy.

— Ta-ak — przytaknęła Doncowa.

— Tak! — potwierdził Orieszczenkow. Zdążył już zauważyć jakiś cień na twarzy Doncowej, zakłopotany i niecierpliwy wyraz. W poniedziałek stanie za rentgenowskim ekranem, ale teraz, w ten sobotni wieczór, lepiej było żeby nie myślała o objawach choroby, żeby dała się wciągnąć w rozmowę na inny temat. Zagadnienie wybrane przez Orieszczenkova jak najbardziej nadawało się do wymiany zdań między lekarzami.

— Taki doktor — przyjaciel rodziny to absolutnie konieczna postać. We właściwie rozwiniętym społeczeństwie każda rodzina powinna go mieć. Podobnie jak matka wie dobrze co każdy lubi, taki doktor wie kto czego potrzebuje. Można się do niego zwrócić nawet z nieważnym drobiazgiem, który nikogo nie skłoni do pójścia do ambulatorium, gdzie trzeba brać numerek i czekać, gdzie przyjmują po dziewięć osób na godzinę. A przecież z takich drobiazgów zazwyczaj wywodzą się wszystkie choroby, ujawniane z opóźnieniem. Iluż dorosłych ludzi — teraz, każdej chwili — miota się w trwodze jak niemowy, nie wiedząc gdzie znaleźć lekarza, któremu można by z całym zaufaniem powierzyć najbardziej ukryte, a nieraz haniebne obawy! Znalezienie takiego lekarza to sprawa równie intymna, jak dobranie się pary małżeńskiej. Żaden przyjaciel nie doradzi, ogłoszenie w gazecie nie da wyniku. I nawet łatwiej jest znaleźć dobrą żonę, niż takiego właśnie lekarza, który poświęci człowiekowi całą swoją uwagę i zrozumie go bez reszty!

Ludmiła Afanasjewna zmarszczyła czoło. Abstrakcje! Nie mogła oderwać się myślą od chorobowych symptomów, które pchały się natarczywie i wypełniały jej głowę posępnym tłumem.

— Dobrze, ale iluż takich lekarzy byłoby potrzeba?! Tego przecież nie da się zmieścić w naszym systemie powszechnego i bezpłatnego leczenia.

— W systemie powszechnego leczenia — można. Bezpłatnego — nie! Orieszczenkow był przekonany o swoich racjach.

— Bezpłatne leczenie to przecież nasze najważniejsze osiągnięcie.

— Czy aby takie osiągnięcie? Przede wszystkim — co to znaczy „bezpłatne”? Przecież lekarze nie pracują za darmo. Tyle tylko, że płacą im nie pacjenci, lecz z ogólnego budżetu. A na budżet składają się ciż sami pacjenci. Leczenie nie jest bezpłatne, jest pozbawione indywidualnego oblicza. Przy leczeniu prywatnym

każdy dobrze by się namyślił i banknotem w rękach pokręcił, zanim zdecydowałby się wydać te dziesięć rubli. A jeśli rzeczywista konieczność, to i kilka razy by poszedł.

— I właśnie nie byłoby go na to stać!

— Jakby nie kupił nowych firanek, albo drugiej pary półbutów, to byłoby stać! Do diabła firanki i buty — zdrowie ważniejsze! A czy obecny system jest lepszy? Zapłaciłbyś każdą cenę za serdeczne, ludzkie przyjęcie, a tu nie ma do kogo iść. Wszędzie harmonogramy, normy, kolejki! Nawet w płatnej poliklinice — tam idzie jeszcze szybciej. A zresztą po co ludzie przychodzą? Prosić o zaświadczenie, o zwolnienie z pracy i tak dalej. Zaś obowiązkiem lekarza jest demaskowanie oszustów. Pacjent i lekarz to dwaj wrogowie — na tym polega medycyna? Weźmy chociażby sprawę lekarstw! W dwudziestych latach wszystkie lekarstwa były u nas za darmo. Pamiętacie?

— Tak? Zdaje się, że tak. Już dobrze nie pamiętam.

— Czyżbyście zapomnieli? Wszystkie lekarstwa za darmo. I trzeba było z tego zrezygnować. Dlaczego?

— Zbyt wielkie obciążenie dla państwa? — Doncowa mówiła z pewnym wysileniem i coraz to mrugała powiekami.

— Nie tylko to. Po prostu dochodziło do absurdów. Ponieważ lekarstwa nic nie kosztowały, pacjenci brali wszystko co popadło a później połowę wyrzucali. Zresztą ja nie twierdzę, że leczenie powinno być płatne zawsze i wszędzie. Ale pierwsze wizyty — obowiązkowo płatne. A jeżeli pacjent już jest przyjęty do szpitala i zaczęło się leczenie kliniczne, wtedy tak — sprawiedliwość wymaga, żeby było bezpłatne. A teraz inna sprawa. Dlaczego w waszej klinice tylko dwóch chirurgów operuje, a pozostali trzej się przypatrują? Pensję i tak otrzymują, po cóż się mają trudzić! Ale gdyby tak sami pacjenci płacili, to żaden by do nich nie poszedł — zobaczylibyśmy wtedy jak pogoniliby waszego Chałmuchamedowa! Albo Pantiochina! Tak czy inaczej, Ludoczka, każdy lekarz powinien być uzależniony od tego, co o nim sądzą pacjenci. Od własnej popularności. A u nas taka zależność nie istnieje.

— Nie daj Boże, być uzależnionym od wszystkich! Na przykład od takiej awanturnicy jak Polina Zawodczykowa...

— Także i od niej.

— To upokorzenie!

— A czy zależność od naczelnego lekarza to coś lepszego? Otrzymywanie zapłaty z kasy jak każdy urzędnik — to bardziej honorowe?

— Są także pacjenci zbyt domyślni i pedantyczni, jakiś tam

Rabinowicz czy Kostogłotow, ciągle zasadnicze pytania, męczą i na wszystko im trzeba odpowiadać.

Na szerokim czole Orieszczenkowa nie było ani jednej zmarszczki. Znał dobrze możliwości Ludmiły Afanasjewny, a były one niemałe. Sama jedna potrafiła przeanalizować bardzo trudne wypadki i wychodzić z nich zwycięsko. Przez jej bezpretensjonalne, niewielkie notatki w czasopismach przewinęło się około dwustu przykładów najcięższych diagnoz. A to właśnie najtrudniejsze w medycynie. Więc czegoż jeszcze więcej można było od niej żądać?

— Tak — doktor spokojnie kiwnął głową. — Na wszystko trzeba odpowiadać.

— Jakże nadążyć? — Doncowa ożywiła się była równocześnie wzburzona. Dobrze mu tu w miękkich pantoflach spacerować po pokoju. — Czy wiecie jakie tempo pracy narzucono teraz w szpitalach? Za waszych czasów tego nie było. Ilu chorych przypada dzisiaj na jednego lekarza!

— Przy zastosowaniu prawidłowego systemu na samym początku choroby — odparował argument Orieszczenkow — chorych będzie mniej i będą leczeni na czas. Lekarz, przeprowadzający pierwsze badania, powinien mieć tylko tylu pacjentów, ilu obejmuje pamięć. I wszystkich powinien dobrze poznać osobiście. Wtedy wytworzy sobie obraz chorego w całości. Leczenie poszczególnych chorób godne jest poziomu felczera.

— Och! — Doncowa ciężko westchnęła; czuła się zmęczona. Jak gdyby ich prywatna rozmowa mogła cokolwiek zmienić lub zreformować w ogólnym układzie tych spraw! — To straszliwe zadanie — uchwycić obraz chorego w całości!

Orieszczenkow zdawał sobie sprawę że czas przerwać, ale na starość coraz częściej porywał go potok gadulstwa.

— Organizm chorego nie wie, że nasza wiedza dzieli się na różne dziedziny. Sam organizm jest niepodzielny. Już Wolter mawiał, że medycy wyznaczają lekarstwa których nie znają organizmowi który znają jeszcze mniej. Nie podobna traktować pacjenta jako całość, jeżeli anatom przeprowadza wyłącznie sekcję trupów, zaś operowanie żywych to już nie jego specjalność! Rentgenolog zdobywa sławę przy badaniu złamania kości, ale przewód pokarmowy to także nie jego specjalność! Więc przerzucają chorego jakby to była piłka od koszykówki, od jednego „specjalisty” do drugiego „specjalisty”. I taki lekarz okazuje się potem namiętym pszczelarzem. Jeżeli chcesz widzieć organizm chorego jako całość, to nie może być w tobie miejsca dla żadnej innej namiętności. Tak! Sam lekarz ma być jedną zwartą całością! Sam lekarz!

— Och, nawet sam lekarz! — Doncowa westchnęła żałośnie,

prawie zajęczała. Gdyby miała spokojną głowę i dobry nastrój, to naturalnie te niekończące się rozważania bardzo by ją zainteresowały, ale teraz dobijały ją do reszty, nie była w stanie się skupić.

— Ludoczka, nie wpadajcie w kompleks niższości, wy przecież jesteście właśnie takim typem lekarza. To nie żadna nowina! My, lekarze starego typu, wszyscy byliśmy tacy — diagności a nie administratorzy. A teraz naczelny lekarz szpitala rejonowego musi mieć przynajmniej dziesięciu specjalistów na etacie, bo w przeciwnym razie w ogóle nie podejmie się leczenia...

Już chciał skończyć, już się zorientował, patrząc na zmęczoną, zszarganą twarz Ludmiły Afanasjewny, że ta rozmowa pomyślana dla rozerwania jej nie dała żadnego pożytku. Nagle otworzyły się drzwi prowadzące z werandy i wszedł wielki pies, taki ogromny, gruby i nieprawdopodobny, że robił wrażenie raczej człowieka, który nie wiadomo po co stanął na czterech łapach. Ludmiła Afanasjewna już prawie się przestraszyła czy aby nie ugryzie, ale zobaczyła zaraz jego smutne oczy jak u rozumnego człowieka — nie było więc powodu do strachu.

Pies szedł przez pokój łagodnie, jakby zamyślony, widocznie nie brał pod uwagę, że kogokolwiek może zdziwić swoim wejściem. Na samym początku, na przywitanie, podniósł wspaniałą białą miotłę ogona, zakręcił nim w powietrzu i opuścił. Tylko obwisłe uszy były czarne, poza tym był rudo-biały; na grzbiecie miał jakby biały czaprak, boki — jaskrawo ryże, zaś grzbiet koloru pomarańczowego. Podszedł do Ludmiły Afanasjewny i powąchał jej kolana, ale bez cienia natarczywości. Nie usiadł koło stołu na tym pomarańczowym zadzie, jakby można by było oczekiwać po każdym innym psie, nie wykazał najmniejszego zainteresowania jedzeniem na stole, nieznacznie przewyższającym czubek jego głowy. Pozostał na czterech łapach i patrzył dużymi okrągłymi ślepiami soczysto brązowej barwy, z jakąś transcendentną obojętnością na wszystko.

— A cóż to za rasa?! — zdumiała się Ludmiła Afanasjewna i po raz pierwszy tego wieczoru zapomniała o sobie i o swoich cierpieniach.

— To jest pies świętego Bernarda — Orieszczenkow patrzył na psa z zadowoleniem. — Wszystko byłoby dobrze, tylko uszy ma nazbyt długie i Mania, ilekroć daje mu jeść, stale się gniewa: „Cóż znowu, mam je przywiązywać sznurkiem żeby nie wpadały do miski?”

Ludmiła Afanasjewna przyjrzała się bliżej i wpadła w zachwyt. Dla takiego psa nie było miejsca w wielkowiejskim tłoku, na pewno nie wolno go było przewozić żadnym rodzajem transportu.

Podobnie jak „człowiek śniegu” znalazł ostatnie schronienie w Himalajach, tak i ten pies mógł mieszkać jedynie w tym jedno-piętrowym domu w ogrodzie.

Orieszczenkow odciął kawałek pieroga i zaproponował psu; nie rzucił mu, jak z litości lub dla zabawy rzuca się jedzenie różnym innym psom, które stają na tylnych łapach, podskakują i szczerzą zęby — nie, ten pies stawał na tylnych łapach nie po lokajsku, lecz żeby po przyjacielsku położyć przednie łapy na ramionach człowieka. Toteż Orieszczenkow poczęstował go pierogiem jak kogoś sobie równego, i zwierzę także jak ktoś równy, nie spiesząc się, wzięło z dłoni jak z talerza poczęstunek; może nawet nie dlatego że było głodne, lecz z uprzejmości.

Nie wiadomo dlaczego zjawienie się tego spokojnego, myślącego psa rozweseliło Ludmiłę Afanasjewnę, ożywiło ją, i kiedy wstała od stołu, pomyślała że nie zrozumiała dobrze Dormidonta Tichonowicza, że wcale nie jest z nią tak źle, nawet jeżeli trzeba będzie się operować.

— Naprawdę zachowuję się bezwstydnie! — powiedziała do starego doktora. — Przyszłam z moimi dolegliwościami i nawet nie zapytałam: a jakże w a s z e zdrowie? Jakże wy ? !

Stał naprzeciw niej — wyprostowany, nawet postawny, i trudno było uwierzyć, że jest starszy od niej o całe dwadzieścia pięć lat; wciąż zachowywał doskonały słuch i oczy mu nie łzawiły po starczemu.

— Na razie w porządku — uśmiechał się wciąż życzliwie, chociaż jakby nieco oschlej niż przedtem. — Postanowiłem w ogóle nie chorować przed śmiercią. Umrę nagle, bez uprzedzenia.

Odprowadził ją, wrócił do stołowego pokoju i siadł na fotelu na biegunach. Fotel był stary, poczerniały, z żółtą plecionką, dobrze wygładzoną plecami przez tyle lat. Siadając, puścił fotel w ruch, ale tylko na chwilę, i gdy uspokoiły się bieguny, już nie huśtał się więcej. Zastygł w tej osobliwej pozycji, która łączy odpoczynek ze swobodą, i przez długi czas w ogóle się nie poruszał.

Ostatnio musiał często tak odpoczywać. I nie tylko dlatego, że organizm żądał odświeżenia nadwątlonych sił; jego stan psychiczny, zwłaszcza po śmierci żony, domagał się takiego pogłębiającego milczenia, poza zewnętrznym hałasem, konwersacją, konkretnymi sprawami, nawet poza jego praktyką lekarską. Potrzebne mu było wewnętrzne oczyszczenie i przejaśnienie. I takie trwanie w milczącym bezruchu, gdy napływały nieskoordynowane, niezamierzone myśli, dawało mu poczucie owego oczyszczenia i przejaśnienia.

W takich właśnie chwilach cały sens życia — jego własnego

w długiej przeszłości i krótkiej, pozostającej mu jeszcze przyszłości, sens życia jego zmarłej żony i młodziutkiej wnuczki, i w ogóle wszystkich ludzkich istot — objawiał mu się nie w ich głównej działalności, która wypełniała im czas, jedynie ich interesowała i sprawiała że byli znani innym. Objawiał się tylko wtedy, gdy udawało im się wkraczać w taki stan, kiedy człowiek zmywa z siebie wszystko, co powierzchowne, zmaczone, wynaturzone, i odnajduje w sobie odbicie wieczności, ofiarowanej wszystkim żyjącym.

Jak odbicie srebrnego księżycy w spokojnym stawie.

### 31.

#### BOŻYSZCZA TARGOWISKA

Czuł w sobie nieustannie jakieś wewnętrzne naprężenie, ale nie męczyło go, przeciwnie — pobudzało do radości. Nawet dokładnie wyczuwał, gdzie jest umiejscowione — w piersiach, pod żebrami. Rozpierało go z lekka jak rozgrzane powietrze; ćmiło, ale przyjemnie; bodajże nawet słyszał jakieś dźwięki — ale nie były to dźwięki ziemskie, nie te co docierają do ucha.

To nie było uczucie, które w ubiegłych tygodniach pociągało ku Zoji; tamto miało inny charakter.

Nosił w sobie to naprężenie z całą pieczołowitością, przysłuchiwał mu się nieustannie. Dopiero teraz przypomniał sobie, że miewał takie stany w młodości, ale potem całkowicie o nich zapomniał. Cóż to było za uczucie? Czy jest trwałe, czy go nie zwodzi? Czy zależy bez reszty od kobiety która je wywołała, czy też zostało spowodowane tym, że nie doszło z nią do prawdziwego zbliżenia? I czy to uczucie nie zniknie samo przez się?

A zresztą samo pojęcie — zbliżenie z kobietą już utraciło dla niego wszelki sens.

A może mimo wszystko nie utraciło? W tym uczuciu była jego jedyna nadzieja, i dlatego było ono dla Olega tak bardzo ważne. To jedyne co mu zostało, co wypełniało i upiększało jego życie. Dziwił się jak mogło do tego dojść: sama obecność Wegi czyniła atmosferę oddziały interesującą i barwną, tylko dlatego atmosfera przestała być dręczącą, że między nimi nawiązała się... przyjaźń. I to pomimo, że Oleg widywał ją rzadko i tylko przełotnie. Niedawno znowu zrobiła mu transfuzję krwi. Rozmowa



była przyjemna, chociaż nie taka swobodna jak za pierwszym razem, a przy tym toczyła się w obecności pielęgniarki.

Przedtem tak bardzo wyrwał się z tego szpitala, a teraz, gdy zbliżał się już termin wyjazdu, było mu coraz bardziej żal. W Usz-Tereku przestanie obcować z Węgą. Więc jakże?

Właśnie dziś, w niedzielę, nie miał żadnej nadziei na jej zbaczenie. Dzień był ciepły, słoneczny, powietrze zastygłe i rozgrzane. Oleg wyszedł na spacer, ciężko oddychał, gęstniejące ciepło wyraźnie go osłabiało. Spacerował i starał się sobie wyobrazić co też ona porabia tej niedzieli, czym jest zajęta.

Poruszał się teraz ospale, nie tak jak dawniej; już nie maszerował pewnym krokiem po linii prostej, ostro zawracając przy końcu drogi. Szedł ostrożnie, od czasu do czasu siadał na napotkanej ławce żeby odpocząć, a jeżeli była pusta kładł się na niej i leżał.

Podobnie i dziś włókł się przygarbiony, w niezapiętym szlafroku, narzuconym tylko na ramiona, zatrzymywał się co chwilę i podnosił głowę żeby popatrzeć na drzewa. Jedne z nich stały do połowy w zieleni, inne dopiero zaczynały wypuszczać listki, tylko dęby były zapóźnione. I wszystko wydawało mu się piękne!

Tu i ówdzie pokazała się już trawa, nie wiadomo kiedy i jak rozzieleniona, a tak wysoka że można by ją było uznać za zeszłoroczną, gdyby nie ta właśnie jasna zieleń.

W alejce którą szedł, w pełnym słońcu, Oleg zobaczył Szuubina. Siedział na źle zbitej, wąziutkiej ławeczce bez oparcia, w jakiejś dziwnej pozycji, pochylony niby do przodu a zarazem do tyłu; wyciągnięte i splecione palcami dłonie trzymał między kolanami. Na tej samotnej ławce, z opuszczoną głową, cały w jaskrawych kontrastach światła i cienia, sprawiał wrażenie posągu wyrażającego całkowite zagubienie.

Oleg miałby chętkę przysiąc się do Szuubina; jeszcze ani razu nie udało mu się porozmawiać z nim rzeczowo. Miałby taką chętkę, bo w obozie nauczył się że ci co milczą najwięcej mają do powiedzenia. Ponadto od dnia, w którym Szuubin wtrącił się do dyskusji po jego stronie, Oleg czuł do niego sympatię i zarazem zaciekawienie.

Postanowił jednak wyminąć go, nie zatrzymując się. Również z obozu wyniósł zasadę, że należy szanować święte prawo każdego człowieka do samotności. Więc nie mógł tego prawa nie uszanować.

Już go miał wyminąć, ale szedł powoli, zamiatając żwir butami, tak żeby tamten miał czas go zatrzymać. Szuubin dojrzał jego buty i podniósł głowę. Patrzył obojętnie, jakby stwierdzając tylko tyle że „prawda, przecież jesteście z tej samej sali”. Oleg zrobił



jeszcze dwa kroki i Szułubin ni to zapytał, ni to zaproponował:

— Przysiądziecie się?

Na stopach Szułubin miał nie zwykłe szpitalne trepy, lecz nocne pantofle o wysokich przyszwach; to dlatego wolno mu było wchodzić na spacer i siedzieć na ławce. Głowa nie przykryta, rzadkie siwe włosy, trochę poskręcane.

Oleg zawrócił, usiadł. Że niby wszystko mu jedno czy siedzieć czy iść dalej, a zresztą lepiej posiedzieć.

Niezależnie od tego jak rozpocząć rozmowę, mógłby zadać Szułubinowowi jedno zasadnicze pytanie — takie pytanie, że cały człowiek musi się pokazać w odpowiedzi. Ale zapytał tylko tyle:

— To co, Aleksieju Filipowiczu, pojutrze?

I bez niego wiedział, że pojutrze. Cała sala wiedziała, że za dwa dni Szułubin idzie na operację. Kostogłotow celowo powiedział „Aleksieju Filipowiczu” — tak nikt na sali nie traktował milczącego zawsze Szułubina. Powiedziane to było tak, jak gdyby weteran rozmawiał z drugim weteranem.

— Pogrzać się po raz ostatni na słoneczku — skinął potwierdzająco Szułubin.

— Jakiz tam os-ta-tni...! — zaprzeczył Kostogłotow grubym głosem.

Ale patrząc spode łba na Szułubina, pomyślał że może istotnie już ostatni. Szułubin jadał bardzo mało i to go osłabiało, jadł nawet mniej niż na to pozwalał apetyt; pilnował się, żeby później cierpienia były mniejsze. Kostogłotow już wiedział na czym polega choroba Szułubina, i dodatkowo zapytał:

— Więc już zadecydowali? Zrobią drenaż z boku?

Szułubin wydał wargi jakby chciał cmoknąć, i znowu skinął potakująco.

Milczeli przez chwilę.

— A jednak różne są rodzaje raka — powiedział Szułubin, patrząc nie na Olega, lecz gdzieś na stronę. — Zdarza się rak gorszy od innych. Nie ma takiej złej sytuacji, żeby nie trafiła się jeszcze gorsza. Mój wypadek jest taki, że nawet z ludźmi nie można pogadać, ani poradzić się.

— W moim wypadku bodaj to samo.

— A nie, mówcie co chcecie, mój wypadek gorszy! Moja choroba ma jakiś specjalnie upokarzający charakter. Znieważa człowieka. A i następstwa są straszne. Nawet jeżeli zostaną przy życiu — a to wielki znak zapytania — nieprzyjemnie będzie koło mnie stać i siedzieć, o jak wy teraz siedzicie. Wszyscy będą się starać — o kilka kroków. A jeżeli ktoś przysunie się bliżej, będę musiał pamiętać: przecież ledwie mnie znosi, przecież mnie przeklina. Tak że w ogóle o obcowaniu z ludźmi nie ma mowy.

Kostogłotow zastanowił się. Cichutko zagwizdał — nie wargami, lecz przepuszczając powietrze przez zaciśnięte zęby.

— W ogóle to trudne: przesądzać komu jest ciężej. To jeszcze trudniejsze niż rywalizacja w dziedzinie osiągnięć. Własne nieszczęście boli najwięcej. Ja, na przykład, mógłbym dojść do wniosku że moje życie ułożyło się w wyjątkowo nieudany sposób. Ale skąd mogę wiedzieć: a nuż z wami życie obeszło się jeszcze ostrzej? Cóż ja mogę powiedzieć na ten temat?

— Lepiej nie mówcie, bo się pomylicie. — Szułubin przekreślił wreszcie głowę i popatrzył z bliska na Olega okrągłymi oczami: białka były nalane krwią. — Najcięższe życie mają nie ci, którzy topią się w morzu, kopią ziemię albo poszukują wody w pustyni. Najcięższe życie ma ten kto codziennie, wychodząc z domu, uderza głową o nazbyt niską futrynę. A wy co? — najpierw byliście na wojnie, a potem was posadzili — tak?

— Nie tylko to. Do instytutu nie mogłem się dostać. Nie zostałem oficerem. A teraz jestem na wiecznym zesłaniu. — Oleg mówił bez żadnej skargi w głosie. — A na dodatek — rak.

— No co do raka, to jesteśmy kwita. A co do całej reszty, młodzieńcze...

— Jakiż, u diabła, młodzieniec! Cóż to, uważacie że mój łeb na karku dopiero teraz zaczął myśleć? Że mi skóry podszewką do góry nie wywrócono?

— Co do całej reszty, mogę wam powiedzieć że przynajmniej kłamaliście mniej, mniej uginaliście grzbietu — i to należy cenić! Wyście zostali aresztowani, a nas pędzili na zebrania żeby przeprowadzić takie jak wy. Was do kaźni, a nam kazano oklaskiwać ogłaszane wyroki. A nawet nie oklaskiwać — żądać kary śmierci, ż a d a ć! Pamiętacie jak w gazetach pisano „naród sowiecki wzburzył się jak jeden człowiek, dowiedziawszy się o bezprzykładnie nikczemnych przestępstwach...”. Niby każdy z nas jest inny, a tu okazuje się, że „jak jeden człowiek”! I oklaskując należało rączki podnosić jak najwyżej, żeby i prezydium i sąsiedzi widzieli. A czy każdy nie chce żyć? Kto stanął w waszej obronie? Kto zaprzeczył? Gdzie oni teraz? Był taki Dima Olickij — wstrzymuje się od głosowania — nie zgłasza sprzeciwu, cóż znowu! — wstrzymuje się, kiedy chodzi o przegłosowanie kary śmierci na członków Prompartii. „Niech wyjaśni! — podniósł się krzyk. — Niech wyjaśni!”. Wstał, gardło wyschnięte: „Tak myślę, że w dwunastym roku po rewolucji można by znaleźć inne sposoby na powzięcie środków prewencyjnych...”. Ach, ty łajdaku! Poplecznik! Agent! Rano następnego dnia wezwanie do GPU. Wyrok — na całe życie.

Szułubin znowu powtórzył ten sam gest: szyja skręciła się jak śruba, głowa zatoczyła koło. Siedział na tej ławeczce, przecięty równocześnie do tyłu i do przodu, niczym wielki, niespokojny ptak na swojej grzędzie.

Kostogłotow starał się nie pokazywać po sobie jak bardzo podobają mu się te słowa.

— Aleksieju Filipowiczu, to już zależy jaki się numer wyciągnęło na loterii. Wy w naszej sytuacji stalibyście się także męczennikiem, a my w waszej — takimi samymi ugodowcami. Rzecz w tym, że to paliło i piekło takich jak wy, którzy rozumieli. Tych, którzy zrozumieli na czas. A innym, którzy wierzyli, było łatwo. U nich ręce niby we krwi, a właściwie nie we krwi — przecież nie rozumieli.

Starzec błysnął na niego z ukosa drapieżnym spojrzeniem.

— A kto wierzył?

— Ja, na przykład, wierzyłem. Aż do fińskiej wojny.

— A ilu tych co wierzyli? Ilu tych co nie rozumieli? Prosta-ka nie ma co ciągać do odpowiedzialności. Ale uznać, że nagle cały nasz naród zgłupiał, nie, tego zrobić nie mogę! Nie potrafię! Dawniej zdarzało się — co by tam dziedzic, stojąc na ganku, jęzorem nie plótł, chłopci ostrożnie podśmiewali się w brody: sam dziedzic to widzi i ekonom z boczką także przywaha. A jak trzeba do nóg się pochylić — wszyscy „jak jeden człowiek”. Cóż to znaczy — że chłopci dziedzicowi wierzyli, czy jak? I komuż to potrzebne było, żeby w i e r z y ć? — Szułubin zaczął się denerwować coraz bardziej. Miał twarz niesłychanie wyrazistą, zmieniającą się, gdy go opanowywało silne uczucie, do tego stopnia że ani jeden rys nie pozostawał w spokoju.

— To znaczy co? — wszyscy profesorowie, wszyscy inżynierowie stali się szkodnikami — i naród wierzy? Najlepsi dowódcy z wojny domowej zamienili się w niemieckich i japońskich szpiegów — i naród wierzy? Cała stara gwardia leninowska to wściekłe wyrodkie — i naród wierzy? Wszyscy znajomi i przyjaciele okazują się wrogami ludu — i naród wierzy? Miliony rosyjskich żołnierzy zdradzały ojczyznę — i wierzy? Całe narody od starców do dzieci wycinają w pień — i wierzy? To, wybaczcie, jakże tak — cały naród składa się z durniów? Czy to możliwe żeby nic, tylko wyłącznie durnie? Przepraszam bardzo! Naród nie jest głupi, ale chce żyć. Wielkie narody trzymają się następującego prawa: wszystko przetrzymać i ostać się! Ale gdy każdego z nas historia zapyta nad grobem: — Kim właściwie byłeś? — trzeba będzie wybierać zgodnie z wierszem Puszkina:

*W naszym nikczemnym wieku*

*jedyny wybór twój, człowieku:  
Tyranem, zdrajcą albo więźniem.*

Kostogłotow drgnął. Nie znał tych wierszy, ale tkwiła w nich ta przeraźliwa prawda, która sprawia że autor i jego utwór stają się autentyczni, z krwi i kości.

Szułubin pogroził mu grubym palcem.

— Dla durnia miejsca w tym wierszu zabrakło. Chociaż Puszkina wiedział przecież, że są i durnie. Nie, mamy tylko potrójny wybór. A skoro w więzieniu nie siedziałem, i wiem na pewno że nie byłem tyranem, to znaczy... — Szułubin uśmiechnął się i zaraz chwycił go kaszel — znaczy...

Kaszłąc, przeginał się do tyłu i do przodu.

— Więc co, sądzicie że miałem życie lżejsze od waszego, tak? Całe życie dygotałem ze strachu, a teraz... zamieniłbym się z wami.

Kostogłotow także siedział na wąskiej ławeczce zgarbiony, kołyszący się na wszystkie strony, jak nastroszony ptak na żerdzi.

Przed nimi jaskrawo odcinały się od żwiru ich czarne, skośne cienie o skróconych, podciągniętych nogach.

— No nie, Aleksieju Filipowiczu, to już wy zanedo bijecie na odlew. To zbyt okrutna opinia. Za zdrajców uważam tych co pisali donosy, albo występowali jako świadkowie. Pewnie, że takich były miliony. Można obliczyć, że na każdych dwóch, powiedzmy na trzech, co usiedli był przynajmniej jeden donosiciel — więc wypada, że miliony. Ale żeby wszystkich uważać za zdrajców — to już przesada. Także wasz Puszkina przesadził. Burza łamie drzewa, a trawa się ugina — no to co? — czy trawa zdradziła drzewa? Każdy ma swoje życie. Samiście powiedzieli: przetrwać — to prawo narodu.

Szułubin zmarszczył twarz, tak bardzo zmarszczył, że oczy zupełnie znikły, nawet ust prawie nie było widać. Przedtem patrzyły wielkie, okrągłe oczy, a teraz ich nie ma — ślepa, pomarszczona skóra.

Rozluźnił zmarszczki. W źrenicach jakby tęcza przyćmiona tytoniowym dymem, dokoła przekrwione białka. Ale spojrzenie jak gdyby nieco przejaśniało.

— No więc, powiedzmy — nieco uszlachetniony instykt stadny. Lęk to udział jednostki. Poza kolektywem. A w ogóle to nic nowego. Francis Bacon już w XVI stuleciu wysunął taką tezę: o b o Ź y s z c z a c h. Twierdził, że ludzie nie chcą opierać się w życiu wyłącznie na doświadczeniach, o wiele wygodniej wprowadzać do niego brudne przesady. I właśnie prze-

sądy zamieniają się w bożyszczą. Bożyszczą gatunku czy plemienia, jak to określał Bacon. Jaskiniowe bożyszczą...

Powiedział — „jaskiniowe bożyszczą”, i Oleg natychmiast wyobraził sobie wnętrze jaskini, pośrodku ognisko, dokoła dym, dzikusy pieką mięso, a w głębi błękitnieje ledwie dostrzegalne bożyszczą.

— Bożyszczą teatralne...

Gdzie ich szukać? W westybulu? Na kurtynie? Oczywiście na placu przed gmachem teatralnym, po środku skweru.

— A cóż to są bożyszczą teatralne?

— To są cudze opinie autorytatywne, którymi człowiek lubi się kierować przy osądzaniu tego wszystkiego, czego sam nie przeżył.

O, to się zdarza bardzo często!

— A czasami nawet przeżył, ale wygodniej wierzyć komu innemu.

— Takich także poznałem...

— Innym bożyszczą jest przesadna wiara w dowody naukowe. Inaczej mówiąc, chodzi o dobrowolne przyjmowanie cudzych błędów.

— Wspaniale! — to zdanie bardzo się Olegowi spodobało.

— Dobrowolne przyjmowanie cudzych błędów! Tak!

— I wreszcie bożyszczą targowiska.

— O! To najłatwiejsze do zrozumienia! — tłok, mrowisko ludzi na rynku i wznoszący się nad nimi bałwan z alabastru.

— Bożyszczą targowiska — to są błędy, wynikające z wzajemnych powiązań między ludźmi i ich społecznej wspólnoty. To pomyłki, nakładające na człowieka pęta w postaci sformułowań, które gwałcą inteligencję. Na przykład, zawołają: to wróg ludu! nie nasz człowiek! to zdrajca! — i natychmiast wszyscy się od niego odwracają.

Szułubin podkreślał swoje słowa nerwowym podrzucaniem to jednej to drugiej ręki. Znowu wyglądało to jak niezręczne próby poderwania się do lotu ptaka, którego skrzydła przycięły przedtem czyjeś nożyce.

Słońce, gorące wcale nie wiosennie, przypalało im grzbiety. Gałęzie drzew nie rzucały pełnego cienia; każda z nich była jeszcze osobno, ledwie pokryta pierwszą zielenią. Niebo jeszcze nie zdążyło się rozjarzyć, jak to bywa na Południu, jeszcze zachowywało swój błękit między białymi pasmami unoszonych wiatrem dziennych obłoczków. Ale Szułubin albo nieba nie widział, albo mu nie wierzył, i ciągle potrzasał palcem uniesionym nad głową.

— A ponad wszystkimi bożyszcząmi — niebo przerażenia! W szarych chmurach — nawisłe niebo przerażenia. Wiecie — to

zdarza się wieczorami — nie ma żadnej burzy i mimo to napływają niskie, szaro-czarne, wielkie chmury, robi się ciemno jeszcze przed zmierzchem, zapada mrok, cały świat staje się nieprzytulny i chciałbyś się schować do murowanego domu, pod dach, byle bliżej rodzinnego ogniska. Przez dwadzieścia pięć lat żyłem pod takim niebem — i jeżeli się uratowałem, to tylko dlatego, że zginałem grzbiet i milczałem. Dwadzieścia pięć lat, a może nawet dwadzieścia osiem — zastanówcie się tylko! — milczałem ze względu na żonę, ze względu na dzieci, ze względu na własne grzeszne ciało. Ale żona umarła. Ale moje ciało to worek z łajnem i teraz dren odprowadzą na zewnątrz. Ale moje dzieci wyrosły na ludzi nie do wiary pozbawionych wszelkich uczuć, nie do wiary! Nagle córka zaczęła do mnie pisać, otrzymałem już trzy listy (ale to nie tu, do domu, mam na myśli ostatnie dwa lata) — tylko dlatego, jak się okazało, że organizacja partyjna zażądała od niej normalizacji stosunków z ojcem. Rozumiecie? A od syna nawet tego nie zażądano...

Poruszając kosmatymi brwiami i całą swoją rozkudłaną postacią, Szułubin zwrócił się twarzą do Olega. Kostogłotow połapał się dopiero teraz — ależ tak, to młynarz z puszkiniowskiej „Rusalki”, młynarz który oszalał: „Nie jestem żadnym młynarzem! — jestem krukiem!!”.

— Nawet już dobrze nie wiem — może mi się te dzieci przysniły? Może ich w ogóle nie było? Powiedzcie, czy człowiek jest polanem?! Polanu wszystko jedno czy leży samo, czy obok innych polan. A ze mną jest tak, że jeżeli stracę przytomność, upadnę na podłogę, umrę — sąsiedzi mnie nie znajdą nawet po kilku dniach. A jednak — posłuchajcie tylko — wczepił się palcami w ramię Olega, jak gdyby obawiał się że ten go nie dosłyszy — przecież ja po staremu boję się, rozglądam się na wszystkie strony! Tego, co odważyłem się powiedzieć na szpitalnej sali, w Kokandzie nie powiem! — tam gdzie pracuję, nie powiem! A jeżeli teraz wam to wszystko opowiadam, to tylko dlatego że już szykują stół operacyjny! Przy trzeciej osobie nie mówiłbym! Nie mówiłbym! To tak. Do tego stopnia mnie przyparli... Przecież ukończyłem akademię gospodarstwa wiejskiego. Ponadto mam za sobą wyższe kursy materializmu historycznego i dialektyki. Prowadziłem wykłady z różnych dziedzin — to wszystko w Moskwie. Ale zaczęły walić się największe dęby. W naszej Akademii zwałił się Murałow. Profesorów trzaskali tuzinami. Trzeba było przyznawać się do błędów? Przyznałem się! Trzeba było się wypierać? Wyparłem się! Pewien procent jednak się uratował? No więc byłem jednym z nich! Uciekałem w czystą biologię — znalazłem sobie zaciszną przystań! Ale i tam zaczęła



się czystka i to jaka! Wyczyścili skład wykładowców na wydziale biologii. Trzeba było rzucić wykłady? — dobrze, rzuciłem! Zgodziłem się zostać asystentem, stałem się malutkim człowieczkiem!

Największy milczek na sali — z jaką łatwością teraz mówi! Słowa płynęły z taką swobodą, jak gdyby nigdy nic innego nie robił tylko przemawiał.

— Niszczono podręczniki wielkich uczonych, zmieniano programy — dobrze, zgadzam się! — będziemy uczyć według nowych programów. Zaproponowano przerabianie anatomii, mikrobiologii, neurologii i, według recept niedouczzonego agronoma i według praktyki ogrodniczej. Brawo, myślę tak samo, jestem — z a ! Musicie jeszcze zrezygnować ze stanowiska asystenta! — doskonale, nie protestuję, przerzucam się na metodykę. Nie, taka ofiara im nie wystarcza, więc dobrze, zgadzam się, zostanę bibliotekarzem w dalekiej Kokandzie! Z ilu rzeczy zrezygnowałem, ale przynajmniej zostałem przy życiu i moje dzieci skończyły instytuty. Bibliotekarze otrzymują tajne spisy: zniszczyć książki o genetyce, to fałszywa nauka! Zniszczyć wszystkie książki takiego i takiego autora! Czy to dla nas nowina? Czyż ja sam przed ćwierćwieczem nie głosiłem z katedry i dialektyki materialistycznej, że teoria względności to wsteczny, kontrrewolucyjny obskurantyzm? Układałem listę książek, podpisuje ją przedstawiciel partii ze specjalnego wydziału, i wszystko wrzucamy do pieca: genetykę! lewicową estetykę! etykę! cybernetykę! arytmetykę!

Ten oszalały kruk zdobywał się jeszcze na śmiech!

— Po co nam stopy na ulicach, to zbędna dramatyczność! My to robimy w zacisznym kąciuku, my książeczki do piecyka, a od piecyka bije ciepło...! I tak mnie przyparło — plecami do tego piecyka... Za to wychowałem dzieci. I oto moja córka, redaktorka gazety rejonowej, napisała następujący wiersz liryczny:

*Nie! trzeba iść siłą przez życie!  
Zawsze mocniej, bezwzględniej i głębiej.  
Jeżeli bić się, to bić się!  
Ojciec? — i tego po gębie!*

Jak bezsilne skrzydła zwisały poły jego szlafroka.

— Ta-a-ak... — tylko tyle potrafił powiedzieć Kostogłotow.  
— Zgadzam się, wam nie było źlej niż mnie.

— A właśnie! — Szułubin złapał oddech, usiadł już spokojniejszy, i mówił teraz także znacznie spokojniej. — A powiedzcie mi na czym polega tajemnica kolejnych przemian historycznych?



Ten sam naród w ciągu jakichś dziesięciu lat traci cały dynamizm społeczny, i impulsy waleczności zmieniają swój znak, zamieniają się w impulsy tchórzostwa. Przecież jestem bolszewikiem od siedemnastego roku. Jak odważnie rozpędzałem w Tambowie zgromadzenie eserów i mieńszewików, chociaż nie mieliśmy niczego — te dwa paluchy wsadzić do ust i gwizdać. Brałem udział w wojnie domowej. Przecież nic a nic nie dbaliśmy o nasze życie! Uważaliśmy za najwyższe szczęście oddać życie za rewolucję światową! Co z nami zrobiono? Jakże mogliśmy kapitulować w taki sposób? I przed kim? W obliczu strachu? Przed bożyszczem targowiska? Przed bożyszczem teatralnym? No dobrze, powiedzmy że ja jestem małym człowiekiem. Ale taka Nadieżda Konstantinowna Krupskaja? Cóż to — nie rozumiała tego co się dzieje, nie widziała? Dlaczego właśnie ona nie przemówiła pełnym głosem? Jakież ogromne znaczenie miałoby dla nas wszystkich, gdyby wystąpiła, nawet gdyby miała zapłacić za to życiem! Może zachowalibyśmy się inaczej, postawilibyśmy się, i wszystko potoczyłoby się zupełnie innym torem?! A taki Ordżonikidze? Przecież to był orzeł! Nie złamali go ani Schlüsselburgiem, ani katorgą, cóż więc go powstrzymało przed publicznym wystąpieniem przeciw Stalinowi? Choćby raz, choćby tylko jeden jedyny raz! Ale oni woleli umierać w niewyjaśnionych okolicznościach, albo popełniać samobójstwa — czy na tym polega odwaga? Proszę, wyjaśnijcie mi!

— To ja wam mam wyjaśniać, Aleksieju Filipowiczu? Ja — w a m? To wyście mi powinni wyjaśnić...

Szułubin westchnął i spróbował zmienić swoją pozycję na ławce, Ale czy tak czy inaczej, bolało go jednakowo.

— Interesuje mnie co innego. Przecież wyście się urodzili już po rewolucji. Ale — wpakowano was do łagru. I co? — rozczarowaliście się do socjalizmu? Powiedzcie: tak czy nie?

Kostogłotow uśmiechnął się w nieokreślony sposób.

— Nie wiem. Tam tak nam dopiekali, że ze złości stać mnie było na wszystko.

Szułubin podniósł rękę, którą przedtem przytrzymywał się ławki, chorą, słabą już rękę, i wsparł się nią o ramię Olega.

— Młodzieńcze! Nie popełniajcie tego błędu! Z własnych cierpień i z doświadczeń tych okrutnych lat nie wyciągajcie wniosku, że zawinił socjalizm. Chcę przez to powiedzieć, że niezależnie od tego co myślicie, historia odrzuciła kapitalizm raz na zawsze.

— Tam u nas... tam u nas często rozumowano, że w prywatnej inicjatywie jest sporo dobrych rzeczy. Życie jest łatwiejsze

— rozumiecie? Niczego nie brakuje. Zawsze wiesz gdzie i co znaleźć.

— Słuchajcie, przecież to jest drobnomieszczańskie rozumowanie! Inicjatywa prywatna jest bardzo sprężysta, to prawda, ale daje dobre wyniki jedynie w bardzo wąskim zakresie. Jeżeli tej prywatnej inicjatywy nie uchwycić w żelazne kleszcze, to wyrastają z niej ludzie-zwierzęta, ludzie giełdy, którzy nie znają granic w swojej pożądlivości i chciwości. Zanim kapitalizm został skazany pod względem ekonomicznym, już był skazany pod względem etycznym! Od dawna!

— No wiecie — Oleg pokręcił głową — ludzi którzy nie znają miary w swojej pożądlivości i chciwości spotykam, uczciwie mówiąc, także wśród nas. I to wcale nie wśród prywatnych chałupników, którzy otrzymali patenty. Ot, choćby taki Emelian, Saszyk...

— Słusznie! — ręka Szułubina coraz bardziej ciążyła na ramieniu Olega. — Bo chodzi o to: socjalizm, ale jaki? Myśmy się kręcili jak w ukropie, myśleliśmy że wystarczy zmienić metody produkcji i ludzie zmienią się od razu. A świńskie ucho! Wcale się nie zmienili! Człowiek to zjawisko biologiczne! Potrzeba ty-sięcy lat, żeby go zmienić!

— W takim razie — o jaki socjalizm chodzi?

— A właśnie — o jaki? Zagadka? Powiadają — „demokratyczny”, ale to tylko powierzchowne określenie nie istoty socjalizmu, lecz jego początkowej formy, powiedzmy typu ustroju państwowego. To tylko zapowiedź, że nie będzie ścinania głów, ale ani słowa — na czym mamy ten socjalizm budować. Socjalizmu nie buduje się na nadmiarze towarów, bo jeżeli ludzie staną się stadem bydła, to i tak te towary rozdepczą. I chodzi nie o ten socjalizm, który nie przestaje mówić o nienawiści — bo życia społecznego nie podobna budować na nienawiści. Kto z roku na rok rozpałał w sobie nienawiść, nie może pierwszego lepszego dnia powiedzieć: Basta! — od dziś kładę kres mojej nienawiści i oddaję się tylko miłości. Nie, taki na zawsze pozostanie wrogiem ludzi, znajdzie gdzieś w pobliżu obiekt swej nienawiści. Czy znacie może wiersz Herwega:

*Bis unsere Hand in Asche stieht,  
Soll sie vom Schwert nicht lassen.*

Oleg natychmiast podchwycił:

*Wir haben lang genug geliebt,  
Wir wollen endlich hassen!*

— Jakże bym mógł nie znać! Myśmy się tego wiersza w szkole uczyli.

— Prawda, prawda, uczyliście się w szkole! A przecież to straszne słowa! Uczyliście się tego w szkole, a należało uczyć się właśnie czegoś odwrotnego:

*Wie haben lang genug gehasst,  
Wir wollen endlich lieben!*

— Do diabła z waszą nienawiścią! Nareszcie chcemy kochać! — taki powinien być socjalizm.

— To znaczy, socjalizm chrześcijański czy jak? — próbował domyśleć się Oleg.

— „Chrześcijański” — to brzmi zbyt górnie. Są stronnictwa nazywające siebie „chrześcijańskimi” i to akurat w społeczeństwach, które wyszły spod władzy Hitlera i Mussoliniego. Nie wyobrażam sobie z czy i m udziałem mogłyby budować tego rodzaju socjalizm. Kiedy przy końcu ubiegłego stulecia Tołstoj postanowił w sposób praktyczny rozpowszechnić chrześcijaństwo w społeczeństwie, okazało się że przyjęte przez niego formy nie pasują do współczesności, a jego kaznodziejstwo nie miało żadnego związku z rzeczywistością. Powiedziałbym że właśnie w Rosji, gdzie tyle kajania się, spowiadania i buntu, w Rosji Dostojewskiego, Tołstoja i Kropotkina, możliwy jest tylko jeden socjalizm, mianowicie moralny. I tylko to jedno jest realne.

Kostogłotow nachmurzył się.

— Jakże to zrozumieć i wyobrazić sobie — „socjalizm moralny”?

— Wcale nie trudno sobie wyobrazić! — Szułubin znowu się ożywił, ale już nie miał tego spłoszonego wyglądu młynarza-kruka. Twarz mu się rozjaśniła, widać było że bardzo mu zależy na tym by Kostogłotowa przekonać. Mówił teraz bardzo wyraźnie i dobitnie, jak gdyby recytował lekcję: — Zbudować takie społeczeństwo, w którym wszystkie podstawy, stosunki i prawa będą wynikać z zasad moralnych i to wyłącznie z nich! Wszelkie rozważania: jak wychowywać młodzież? do czego ją przygotowawać? jak pokierować pracą dorosłych? czym wypełnić ich wolny czas? — wszystko to powinno być wyprowadzane wyłącznie z postulatów moralnych. Badania naukowe? Tylko takie, które nie działają na szkodę zasad moralnych, a przede wszystkim na szkodę moralną samych badaczy. To samo w polityce zagranicznej! Tak samo w kwestii jakichkolwiek granic: myśleć nie o tym czy to posunięcie nas wzbogaci, czy wzmocni naszą potęgę, albo pod-

niesie nasz prestiż, a wyłącznie o tym: czy będzie to posunięcie moralne?

— Wątpię czy to możliwe! — skrzywił się Kostogłotow. — Na to trzeba jeszcze dwustu lat! Ale pozwólcie — ja tu czegoś nie chwytam. A gdzież baza materialna? Przecież podstawy ekonomiczne, prawda... — muszą zadziałać wcześniej?

— Wcześniej? Zależy od podejścia. Na przykład, Włodzimierz Sołowiow dość przekonująco dowodzi, że można i należy budować podstawy ekonomiczne na zasadach moralnych.

— Jak to? Najpierw zasady moralne, a dopiero potem ekonomia? — Kostogłotow patrzył na Szułubina ze zdumieniem.

— Tak! Słuchajcie-no, reprezentacyjny rosyjski człowieku, wy naturalnie z Włodzimierza Sołowiowa nie przeczytaliście ani jednego zdania?

Kostogłotow wyjął usta.

— Nazwisko przynajmniej znacie?

— Dopiero za kratami poznałem.

— Kropotkina przeczytaliście chociażby jedną stronicę? „O pomocy wzajemnej między ludźmi...”?

Kostogłotow zrobił ten sam ruch.

— No pewnie, przecież nie miał racji, po co go czytać?! A Michajłowski? Oczywiście że nie, przecież jego teorie zostały odrzucone, a książki zabronione i usunięte z bibliotek!

— Kiedyż ja miałem czytać? Kogo miałem czytać? — oburzył się Kostogłotow. — Przez całe życie zgarbiony nad pracą, a tu mnie ze wszystkich stron ciągną: to czytałeś? tamto czytałeś? W wojsku łopaty z rąk nie wypuszczałem, w łagrze to samo, teraz na zesłaniu nie rozstaję się z motyką, to kiedy właściwie miałem czytać?!

Okrągle, pod gęstymi brwiami, oczy Szułubina były świetliste, patrzyły ze skupieniem i przejęciem.

— A więc oto macie ten moralny socjalizm! Kierować ludzi nie ku s z c z ę ś c i u, bo „szczęście” to także jeszcze jedno bożyszcze targowiska — lecz ku wzajemnej życzliwości. Zwierzę pożerające swoją zdobycz jest przecież także szczęśliwe, zaś wzajemna życzliwość możliwa jest tylko między ludźmi! To najwyższe osiągnięcie, na jakie może zdobyć się ludzkość!

— O nie, szczęście proszę mi zostawić! — Oleg upierał się z żywością. — Szczęście mi zostawcie, choćby na te kilka ostatnich miesięcy przed śmiercią! Bo jeżeli nie — to po kiego diabła to wszystko?

— Szczęście to przywidzenie! — Szułubin aż zbladł i resztką sił bronił swojej pozycji. — Wychowywałem dzieci i czułem się szczęśliwy. A one mi w duszę napłuły. Żeby osiągnąć to szczęście, paliłem w piecu książki zawierające prawdę. A tym więcej tak zwane „szczęście przyszłych pokoleń”! Kto to może przewidzieć? Kto rozmawiał z tymi „przyszłymi pokoleniami”? Kto wie jakim bożyszczom będą się kłaniać i składać hołdy? W ciągu wieków zbyt gwałtownie zmieniało się pojęcie szczęścia, żeby odważać się na jego przygotowywanie z góry. Choćbyśmy deptali butami białe bułki i zachłystywali się mlekiem, to i tak jeszcze szczęścia nie osiągniemy. Ale możemy to szczęście osiągnąć już dziś, jeżeli będziemy dzielili się z innymi tym co mamy! Dbając tylko o „szczęście” i rozmnażanie się, w bezmyślny sposób zaludnimy szczerlnie tę ziemię i stworzymy straszne społeczeństwo... Wicie, jakoś źle się poczułem... Trzeba iść... położyć się...

Oleg nie zauważył przedtem że twarz Szułubina, i tak wymęczona, zbladła jeszcze bardziej i wyglądała trupio, jak gdyby bez jednej kropli krwi.

— Proszę, Aleksieju Filipowiczu, oprzyjcie się na mnie!

Nawet podnieść się z ławki przyszło Szułubinowowi nie łatwo. Powlekli się wolniuteńko. Wiosenne powietrze było niezwykle lekkie, ale ziemia przyciągała ich coraz mocniej; ciążyły im brzemieniem kości i resztki mięśni, ubranie, obuwie, nawet spadające na nich z góry potoki słonecznego światła.

Szli milcząc, zmęczeni długą rozmową.

I dopiero przed samymi stopniami ganku, już w cieniu padającym od gmachu oddziału, Szułubin, ciągle wsparty o Olega, podniósł głowę, popatrzył na topole, na skrawek wesołego nieba i powiedział:

— Żebym tylko nie skonał pod nożem. Boję się... Choćbyś najdłużej żył, choćbyś miał najbardziej psie życie — wszystko jedno chciałbyś...

Weszli do westybulu i natychmiast ogarnęło ich gęste, nieprzyjemne powietrze. Powolutku, stopień po stopniu, wspinali się z trudem po wielkich schodach.

— Słuchajcie — zapytał Oleg — i wy to wszystko przemyślicie w ciągu tych dwudziestu pięciu lat, zginając kark, zapierając się...?

— Tak. Zapierałem się i myślałem — odpowiedział Szułubin bezdźwięcznym, pustym głosem, widocznie słabnąc. — Książki wrzucałem do pieca i rozmyślałem. A cóż to? Za moją mękę... za moją zdradę... czyż nie zasłużyłem na odrobinę choćby myślenia...?

## NA ZAKRĘCIE

Jednak Doncowa nie wyobrażała sobie, że wszystko tak dokładnie znane, wielokrotnie pod każdym względem zbadane, może się nagle wywrócić do góry nogami, stać się czymś obcym i nowym. Od trzydziestu lat zajmowała się chorobami innych osób, od przeszło dwudziestu lat siadywała przed rentgenowskim ekranem, przyglądała się, badała zdjęcia, patrzyła w zniekształcone przezerażeniem oczy pacjentów, porównywała wyniki z analizami, zaglądała do książek, pisała artykuły, spierała się z chorymi, — i coraz pewniejsze stawały się jej doświadczenie i jej własny punkt widzenia, coraz bardziej nabierała siły jej teoria lekarska. Etiologia i patogeneza, symptomy, diagnoza, procesy lecznicze, profilaktyka — wszystko to było codziennie. Rozumiała dobrze sprzeciwy, wątpliwości i lęki pacjentów — ludzkie sprawy, wywołujące współczucie w lekarzu — ale gdy dochodziło do podsumowania, wszystko to były zera, które nie mieściły się w logicznej statystyce.

Dotychczas wiedziała, że wszystkie ludzkie organizmy mają identyczną anatomie: ich opis w atlasie anatomicznym był nieodmiennie taki sam. Niezmienna była fizjologia życiowych procesów i odczuć. Wszystkie objawy normalne i odchylające się od normalności znajdowały swoje rozumowe uzasadnienia, przewidziane w sposób najbardziej autorytatywny.

I oto w ciągu kilku zaledwie dni własny organizm Doncowej wyłączył się z tego harmonijnego systemu, zderzył się z twardą ziemią i zamienił się w bezbronny worek, wypełniony narządami, z których każdy w każdej chwili mógł poznać cierpienie i dać o nim znać bolesnym krzykiem.

W ciągu kilku dni wszystko wywróciła się na nice, a chociaż składało się w dalszym ciągu z wyuczonych na pamięć elementów, stało się nieznanie i straszne.

Kiedy jej syn był jeszcze maleńkim chłopczykiem, Doncowa oglądała razem z nim rysunki: zwykłe domowe przedmioty — czajnik, łyżka, krzesło — narysowane w niezwyklej perspektywie były nie do poznania.

Tak samo były dla niej nie do poznania przebieg jej własnej choroby i jej zupełnie nowa sytuacja. Teraz już nie miała być w procesie choroby rozumną, kierującą siłą, lecz biernym, bezradnie broniącym się ciałem. Gdy po raz pierwszy zdała sobie



sprawę ze swego stanu, poczuła się rozduzszoną żabą. Oswajanie się z myślą o chorobie było nie do wytrzymania: przewracał się cały świat, cały przyjęty porządek rzeczy. Jeszcze żyła, a już musiała porzucić męża, syna, córkę, wnuka i pracę. Tę właśnie pracę, której obiektem stawała się sama, bez żadnego czynnego udziału. Trzeba było jednego dnia zrezygnować ze wszystkiego, co stanowiło o jej życiu, stać się bladym cieniem, długo nieświadomym ile czasu będzie się męczyć aż do śmierci, albo czy wróci kiedykolwiek do normalnego istnienia.

Zdawało się przecież, że nie miała w życiu żadnych radości, przyjemności, ani świątecznych dni, tylko pracę i niepokoje, niepokoje i pracę, a jednak teraz zdała sobie sprawę jak piękne było to życie i jak trudno, jak boleśnie było się z nim rozstawać!

Niedziela nie była dniem wypoczynku, lecz przygotowań całego ciała do jutrzejszego prześwietlenia rentgenem.

Zgodnie z umową w poniedziałek kwadrans po dziewiątej Dormidont Tichonowicz przybył do gabinetu rentgenologicznego. Prócz niego obecna była Wiera Ganhart i jeszcze jedna z ordynariuszek. Zgasili światło, zaczęli się przyzwyczajając do ciemności. Ludmiła Afanasjewna rozebrała się, weszła za ekran. Gdy brała od sanitariuszki pierwszą szklankę papki barytowej, niezręcznie wylała część zawartości: po raz pierwszy jej ręka zadrżała, ta ręka która tyle razy, w tym gabinecie, obciągnięta gumową rękawiczką, z taką pewnością badała pacjentów.

Powtórzyły się wszystkie, jakże dobrze znane zabiegi: podnoszenie ramion, głębokie oddechy, zwroty, wymacywanie, naciskanie bolącego miejsca. Zmieniano pozycję ekranu, kazano jej się kłaść, robiono zdjęcia w różnych pozycjach i z różnych stron. Następnie trzeba było przeczekać, aż środek kontrastowy rozejdzie się po całym przewodzie pokarmowym. W międzyczasie, ponieważ rentgen nie mógł próżnować, ordynariuszka puszczała kolejnych pacjentów. Ludmiła Afanasjewna przysiadła się nawet żeby jej pomóc, ale orientowała się dziś słabo, więc nic z tego nie wyszło. Znowu stawała za ekranem, brała papkę barytową i kładła się pod aparatem.

Badanie odbywało się nie jak zazwyczaj w rzeczowej ciszy, przerywanej tylko krótkimi rozkazami: Orieszczenkow żartował przez cały czas, pokpiwając sobie ze swoich młodych pomocnic, z Ludmiłą Afanasjewny i z siebie samego. Opowiedział jak go kiedyś, jeszcze jako studenta, wyrzucono za urządzenie awantury ze świeżo założonego MCHAT-u; była premiera „Władzy mroku”, aktor grający rolę Akima wycierał nos ręką i rozkręcał onuce z takim naturalizmem, że Dormidont i jego przyjaciel zaczęli głośno psykać. Odtąd ilekroć jest w MCHAT-ie, boi się że go



rozpoznają i znowu wyrzuca. Wszyscy także starali się mówić jak najwięcej, aby przerwy między jednym i drugim badaniem nie były nazbyt dręczące. Doncowa dobrze zdawała sobie sprawę, że Ganhart mówi z wysiłkiem i gardło ma spieczone. Kogo jak kogo, ale Wierę znała doskonale!

Ludmiła Afanasjewna chciała jednak żeby tak właśnie było! Scierając z ust barytową papkę, raz jeszcze oświadczyła:

— Nie, chory nie powinien dowiadywać się wszystkiego! Zawsze tak uważałam i uważam nadal. Kiedy zechcecie się narażać, wyjdę z pokoju.

Zgodzili się, więc za każdym razem gdy chodziło o wymianę opinii, Ludmiła Afanasjewna wychodziła i starała się czymś zająć. Rozmawiała z rentgenologami, brała do ręki opisy procesów chorobowych, zajęcia było mnóstwo, ale nad niczym nie mogła się dziś skupić. A gdy wzywano ją ponownie, szła z bijącym sercem, że a nuż powitają ją radosną wiadomością. Wieroczka Ganhart obejmie ją z ulgą i pogratuluje — ale nadzieje nie spełniały się, i znowu dawano jej polecenia, i znowu badanie szło dalej.

Wykonując rozkazy, musiała o nich myśleć i starać się je wyjaśnić.

— Widzę dobrze — wyrwało jej się mimo wszystko — czego u mnie szukacie.

Zrozumiała że podejrzewają istnienie nowotworu nie w samym żołądku i nie przy wyjściu, lecz przy wejściu, a byłby to wypadek najtrudniejszy, gdyż przy operacji byłoby konieczne częściowe otwarcie klatki piersiowej.

— Ludoczka — huczał w ciemności głos Orieszczenkowa — przecież tu chodzi o wczesne rozpoznanie, więc taka właśnie musi być metoda! Jeżeli chcecie, możemy przeczekać jakieś trzy miesiące, wtedy badanie pójdzie szybciej. Co?

— O nie, bardzo wam dziękuję za te trzy miesiące!

Nawet głównego zdjęcia rentgenologicznego, otrzymanego na zakończenie, nie chciała oglądać. Utraciła swoje zwykłe ruchy, po męsku zdecydowane, oklapnięta siedziała pod jaskrawym światłem lampy i czekała co Orieszczenkow powie na zakończenie — oczekiwała nie diagnozy, lecz kilku słów, decyzji.

— A więc to tak, szanowna koleżanko — życzliwym tonem przeciągał Orieszczenkow — opinie tutejszych znakomitości podzieliły się.

Patrzył spod wygiętych brwi i widział jej zagubienie. Wydawało się, że po takiej zdecydowanej, nieugiętej kobiecie można było się spodziewać większej siły w godzinie próby. Jej nagłe oklapnięcie raz jeszcze potwierdzało opinię Orieszczenkowa, że

współczesny człowiek staje bezradny w obliczu śmierci, że jest bezbronny w chwili ostatecznego spotkania.

— A kto z was ma najgorszą opinię? — Doncowa siłała się na uśmiech.

(Miała nadzieję, że nie on!)

Orieszczenkow rozczapierzył palce.

— Najbardziej pesymistycznie ustosunkowały się wasze córki. Widzicie jakieście je wychowali! Moja opinia jest o wiele lepsza. — Kąciki ust ledwie się wygięły, niedostrzegalnie, ale bardzo zyczliwie.

Ganhart siedziała blada, jak gdyby decyzja miała dotyczyć właśnie jej.

— Dziękuję. — Doncowej trochę ulżyło. — Więc... co powiecie?

Ileż razy pacjenci oczekiwali od niej takiej samej opinii, która zawsze wynikała z logicznego rozumowania, opierała się na liczbach i dokładnie sprawdzonych danych. Ale ileż przerażenia kryło się w tej jednej chwili oczekiwania!

— No cóż, Ludoczka — Orieszczenkow mówił uspokajającym basem. — Przecież świat stoi na niesprawiedliwości. Gdybyście nie należeli do nas, to byśmy was przekazali razem z naszą diagnozą chirurgom, a oni już by tam coś wykrajali, coś by wam po drodze zabrali. To już tacy niegodziwcy, że zawsze jakąś pamiątkę ze sobą zabiorą. Pokrajaliby i dopiero wtedy wyjaśniłoby się, kto ma rację. Ale wy jesteście nasza. W Moskwie, w instytucie rentgenoradiologii, jest nasza Lenoczka, jest też Sieroża. Wobec tego zadecydowaliśmy, że pojedziecie do Moskwy. Co? Tam przeczytają co my im napiszemy i sami was zbadają. Zwiększy się ilość opinii. A jeżeli trzeba będzie krajać, to w Moskwie krają lepiej. I w ogóle tam wszystko jest lepsze. Co?

(Powiedział: „jeżeli trzeba będzie krajać”. Czy chciał przez to powiedzieć, że może nie będzie trzeba...? Albo nie, to chyba... To coś gorszego...)

— To znaczy, że... — podchwyciła Doncowa. — Operacja będzie na tyle skomplikowana, że nie decydujecie się robić jej tu?

— Ależ nie, cóż znowu! — Orieszczenkow nachmurzył się i podniósł głos. — Nie szukajcie w moich słowach niczego poza tym, co powiedziałem. Po prostu, szykujemy dla was... no, protekcję. A jeżeli nie wierzycie, to proszę bardzo — skinął w kierunku stołu — weźcie zdjęcie i obejrzyjcie osobiście.

Tak, to było najprostsze! Wyciągnąć rękę i przeprowadzić własną analizę.

— Nie, nie... — Doncowa odgrodziła się gestem od rentgenogramu. — Nie chcę.

W ten sposób zapadła decyzja. Rozmówiono się z naczelnym lekarzem. Doncowa udała się do ministerstwa zdrowia Republiki. Nie wiadomo dlaczego tam sprawy nie przeciągano, natychmiast otrzymała pozwolenie i skierowanie. I nagle stało się oczywiste, że w gruncie rzeczy nic jej nie zatrzymuje w mieście, gdzie pracowała całe dwadzieścia lat.

Doncowa dobrze wiedziała co robi, gdy ukrywała swoją dolegliwość: powierysz swoją tajemnicę jednemu człowiekowi i wszystko pójdzie dalej, i już cała reszta nie zależy od ciebie. Wszystkie życiowe związki, niby takie pewne, takie wiekiste, pękały i urywały się nawet nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę.

Była tym jedynym, niezastąpionym lekarzem w przychodni i u siebie w domu, a oto okazuje się że i ją można zastąpić.

Tak bardzo przywiązani do tej ziemi, a wcale nie jesteśmy w stanie na niej się utrzymać!

Byłoby bezsensowne przewlekać tę sytuację! I zaraz w środę poszła wizytować pacjentów po raz ostatni, razem z Ganhart, której miała przekazać kierownictwo oddziału naświetlania.

Wizytacja zaczęła się z samego rana i trwała prawie do przerwy obiadowej. Doncowa miała pełne zaufanie do Wieroczki Ganhart, która równie dobrze знаła wszystkich pacjentów, ale kiedy zaczęła iść wzdłuż łóżek, wiedząc dobrze że prawdopodobnie nie wróci przed miesiącem, a kto wie czy wróci kiedykolwiek, po raz pierwszy w ciągu tych ostatnich dni jakoś nabrała otuchy i do pewnego stopnia odczuła dawną siłę. Znowu interesował ją stan chorych i panowała nad sobą. Nagle odpadł uprzedni zamiar jak najszybszego przekazania wszystkich spraw, zdania pozostałych papierków i powrotu do domu dla przygotowania się do podróży. Tak bardzo przyzwyczyła się do władczygo zarządzania wszystkimi sprawami, że i dziś nie mogła pominąć żadnego pacjenta, musiała ustalić diagnozę przynajmniej na jeden miesiąc: jaki będzie dalszy przebieg choroby, jakie środki należy stosować w leczeniu, co może spowodować nagłe zmiany i jak na nie reagować? Przechodziła z sali na salę prawie tak samo jak to czyniła zazwyczaj, i po raz pierwszy sprawiało jej to wielką ulgę po kołowrocie tych ostatnich dni.

Już się przyzwyczyła do swego nieszczęścia.

Ale szła i poruszała się jak skazaniec pozbawiony lecarskich praw, jak zdyskwalifikowana z racji jakiegoś niewybaczalnego czynu, o którym na szczęście jej pacjenci jeszcze nie wiedzieli. Słuchała, wydawała polecenia, decydowała, patrzyła na chorych

rzekomo wszystko wiedzającym spojrzeniem, ale czuła jak dreszcz przebiega po jej grzbiecie, wiedziała że już nie zdobędzie się na decydowanie o życiu i śmierci, że za kilka dni sama będzie leżeć na szpitalnym łóżku, bezradna i ogłupiała, nie dbająca o własną powierzchowność, czekając co powiedzą starsi i bardziej doświadczeni. I będzie odczuwać lęk przed cierpieniem. Może nawet żałować, że poszła do niewłaściwego szpitala. Wątpić, czy ją leczą we właściwy sposób. I uważać za największe szczęście możliwość zrzucenia z siebie szpitalnej piżamy i pójścia wieczorem do swego mieszkania.

Te wszystkie myśli opanowywały ją bez przerwy i przeszkadzały jej reagować w zwykły, konkretny sposób.

Wiera Korniliewna przejmowała od niej ciężar tych wszystkich zajęć bez radości. Nie za taką cenę! I w ogóle jej na tym nie zależało.

„Mamusia” — tak nazywały Doncową — a nie było to dla Wiery puste słowo. Ganhart wystawiła Ludmile Afanasjewnie najcięższą diagnozę, przypuszczała że czeka ją bardzo trudna operacja, której wycieńczona popromienną chorobą może w ogóle nie wytrzymać. Chodziła obok Doncowej i myślała że to może po raz ostatni, że być może przez długie lata będzie chodzić między tymi łózkami i codziennie z bólem wspominać tę, która zrobiła z niej lekarza.

I ukradkiem wycierała łzy, nabiegające do oczu.

A właśnie dziś Wiera powinna była bardziej niż kiedykolwiek uważać i nie pominąć ani jednego ważnego pytania, bo przecież tych kilkudziesięciu pacjentów po raz pierwszy zależało wyłącznie od niej, i już nie będzie miała z kim się poradzić.

Tak aż do południa ciągnęła się ta wizytacja — w roztargnieniu i trwodze. Najpierw obeszły sale kobiece. Potem odwiedziły chorych leżących w westybulu i na korytarzach. Naturalnie zatrzymały się przy łóżku Sibgatowa.

Ileż włożono wysiłku, żeby uratować tego łagodnego Tatara! Udało się zdobyć jedynie kilka miesięcy i to jakich miesięcy — tu w nieprzewietrzanym, ciemnym kącie westybulu. Stos pacierzowy już nie trzymał się prosto, jedynie dwie silne ręce, które Sibgatow zakładał do tyłu, jeszcze jako tako pozwalały mu utrzymywać pionową pozycję; jego spacerzy polegały tylko na tym, że szedł do sąsiedniej sali i słuchał o czym rozmawiają. Tyle miał powietrza, ile dochodziło z dalekiego lufcika; sufit zastępował mu niebo.

Ale i tak w jego zbolątych oczach widniała najwyższa wdzięczność — za przedłużenie nędznego życia, wypełnionego lekarskimi zabiegami, kłótniami sanitariuszek, godzinami posiłku i gry w

domino, nawet za to życie w którym ból grzbietu nie ustawał ani na chwilę.

Doncowa pomyślała, że jeżeli porównać jej los z losem Sibgata, to wolno jej uważać siebie za szczęśliwego człowieka.

Sibgatow się dowiedział już od kogoś, że Ludmiła Afanasjewna obchodzi dziś szpital po raz ostatni.

Nie mówiąc ani słowa, patrzyli sobie w oczy jak dwaj pokonani, lecz wierni aż do końca sprzymierzeńcy, zanim rozpędzi ich bat okrutnego zwycięzcy.

„Widzisz, Szaraf — mówiły oczy Doncowej — robiłam wszystko, co mogłam. Ale jestem ranna i także czeka mnie upadek”.

„Wiem, matko — odpowiadały oczy Tatara — nawet rodzony ojciec nie uczyniłby dla mnie więcej. Ale nie mogę nic zrobić, by ciebie ratować”.

Co do Achmadzana, wynik był pierwszorzędny: zrobiono wszystko na czas, wszystko zgodnie z teorią, i praktyka wszystko potwierdziła. Obliczono ile otrzymał naświetleń, po czym Ludmiła Afanasjewna oświadczyła:

— Wychodzisz ze szpitala!

Gdyby to było z samego rana, mógłby zawiadomić starszą pielęgniarkę i zdążyliby przynieść jego mundur ze składu, ale i tak Achmadzan, który już chodził bez kuli, skoczył na dół do Mity. Nie chciał zostawać w szpitalu ani jednej nocy więcej — tego wieczora przyjaciele czekali na niego na Starym Mieście.

Wadim dowiedział się także, że Doncowa przekazuje swój oddział i wyjeżdża do Moskwy. Tak się złożyło, że poprzedniego dnia wieczorem przyszła depesza od matki jednocześnie na dwa adresy — do niego i do Ludmiły Afanasjewny. Wiadomość, że złoto koloidalne zostało wysłane do przychodni. Wadim natychmiast pokuśtykał na parter, Doncowa była wtedy w Ministerstwie Zdrowia, ale Wiera Korniliewna już przeczytała depeszę, pogratulowała mu i przedstawiła go radiologowi Elli Rafałównie, która miała się zająć jego leczeniem natychmiast po otrzymaniu złota koloidalnego. Zaraz potem przyszła roztrzęsiona Doncowa, przeczytała depeszę i chociaż sama w fatalnym stanie, starała się dodać Wadimowi otuchy.

Poprzedniego dnia Wadim nie posiadał się z radości, długo nie mógł zasnąć, ale nad ranem się zreflektował: kiedyż to złoto przyjdzie do szpitala? Gdyby wydali matce, już dzisiaj byłoby tu! A tak ile czasu? — trzy dni, czy cały tydzień? Zapytał o to natychmiast lekarzy.

— Naturalnie któregoś z najbliższych dni! — zapewniła go Ludmiła Afanasjewna.

(A sama dobrze wiedziała, ile to może być dni! Znała

i taki wypadek, że pewien preparat był przeznaczony dla przychodni w Riazaniu, ale dziewczynisko w biurze skierowania napisała „do Kazania”, zaś w ministerstwie — bez ministerstwa nie można się obejść! — odczytali „do Kazachstanu” i wysłali lekarstwo do Ałma-Aty).

Jakże jedna szczęśliwa wiadomość potrafi zmienić całkowicie człowieka! Te same czarne oczy, ponure w minionych dniach, teraz świeciły nadzieją, te same spuchnięte wargi, układające się w grymas, wyrównały się i odmłodziły. Wadim, czysto wygolony, elegancki, uprzejmy, robił wrażenie solenizanta, który od samego rana otrzymywał mnóstwo podarunków.

Jakże mógł tak bardzo podupać na duchu, ta osłabić swoją wolę w ciągu tych ostatnich dwóch tygodni! Przecież wola zawsze ratuje, wola — to wszystko! A teraz — wyścig! Teraz tylko to jedno: żeby złoto koloidalne przebiegło te trzy tysiące kilometrów szybciej, niż przrzućty przejdą trzydzieści centymetrów! Złoto przeczyści mu pachwinę. Odgrodzi ciało od przrzućtów. A co do nogi — z nogi można ostatecznie zrezygnować. A kto wie, może wsteczna reakcja radioaktywnego złota — żadna nauka nie jest w stanie pozbawić nas tej wiary! — sprawi, że również noga zostanie uleczone?

To było słuszne, to było rozsądne, żeby właśnie on pozostał przy życiu! Poprzednia myśl pogodzenia się ze śmiercią — z czarną panterą, która miała go rozszarpać — była głupia i niegodna. Świadomość własnego talentu upewniała go w myśli, że będzie żyć, będzie, będzie żyć! Nie spał przez pół nocy, radośnie podniecony, wyobrażając sobie co się teraz dzieje z maleńką ołowianą skrzyneczką, w której zamknięto złoto: czy jest w wagonie towarowym? czy wiozą już na lotnisko? czy może znajduje się już w samolocie? Starał się wzrokiem pokonać w mroku te trzy tysiące kilometrów nocnej przestrzeni, przyśpieszał, ciągle przyśpieszał i gotów był nawet aniołów przywoływać na pomoc, gdyby aniołowie istnieli.

Podczas dzisiejszej wizytacji przyglądał się podejrzliwie jak też będą się zachowywać lekarze. Nie mieli nic nieprzyjemnego do powiedzenia, ich twarze nie wyrażały żadnych obaw, ale — macali. Obmacywali co prawda, w różnych miejscach, nie tylko wątrobę, i wymieniali między sobą jakieś nic nie znaczące opinie. Wadim starał się uchwycić w jakim stopniu koncentrują się na wątrobie.

(Widzieli że ten pacjent jest wyjątkowym obserwatorem, więc bez żadnej potrzeby badali nawet śledzionę, ale ich prawdziwym celem było zbadanie zmian jakie zaszły w wątrobie).

Również nie udało się lekarzom szybko załatwić Rusanowa:



był z góry nastawiony na porcję specjalnej uwagi. Ostatnio bardzo się udobruchał w stosunku do swoich doktorów; wprawdzie nie mają tytułu zasłużonych, nawet nie są docentami, ale wyleczyli go — to nie ulegało wątpliwości. Opuchlina na szyi była teraz płaska, niewielka i zwisała bezwładnie. Zapewne nie było żadnego niebezpieczeństwa od samego początku — rozdmuchali.

— Więc tak, towarzysze! — oświadczył lekarzom. — Chcecie czy nie, ale te zastrzyki już mnie zmęczyły. Dostałem ponad dwadzieścia. Może już wystarczy, co? Albo dokończę kurację w domu?

Skład krwi miał bardzo podły, chociaż zrobiono mu transfuzję już czterokrotnie. Wyglądał też nieszczególnie — pomarszczony, pożółkły, wycieńczony. Nawet jarmułka na głowie wydawała się jakby za duża.

— A tak w ogóle, doktorze, bardzo jestem wdzięczny! Na samym początku naturalnie nie miałem racji — oświadczył uczciwie Doncowej. Bardzo lubił przyznawać się do popełnionych błędów. — Wyleczyliście mnie, więc jestem wdzięczny.

Doncowa zrobiła nieokreślony gest. Nie był ten gest dowodem skromności, ani zakłopotania. Po prostu wiedziała, że Rusanow nie ma pojęcia o czym mówi. Miał przed sobą przerzuty raka na inne gruczoły. I od szybkości tego procesu zależało, czy w ogóle przeżyje jeszcze jeden rok.

To samo zresztą dotyczyło i jej samej.

Doncowa i Ganhart mocno naciskały palcami pod pachami Rusanowa i nad obojczykami. Tak silnie, że Rusanow nawet sykał z bólu.

— Ależ tam nic nie ma! — zapewniał z przekonaniem. Dopiero teraz widział jasno, że go tylko chcieli zastraszyć tą chorobą. Ale jest człowiekiem niezachwianym i dlatego tak lekko przeżył tę chorobę. I był bardzo dumny z tego, że tę nieugiętość w sobie odkrył i utrzymał.

— Tym lepiej! Ale trzeba bardzo na siebie uważać, towarzyszu Rusanow! — nastawała Doncowa. — Dostaniecie jeszcze jeden albo dwa zastrzyki i bodaj zwolnimy was ze szpitala. Ale będziecie musieli zgłaszać się na badanie każdego miesiąca. A jeżeli coś gdzie zauważycie, to należy zgłosić się wcześniej.

Rusanow domyślił się na podstawie doświadczenia, że te obowiązkowe zgłoszenia na badania to czysty biurokracizm — tu i tam postawił datę, wypełnić odpowiednią rubrykę. I ucieszony poszedł zadzwonić do domu i zawiadomić o dobrej nowinie.

Przyszła kolej na Kostogłotowa. Czekał z mieszanymi uczuciami: niby go uratowali, a przecież skazali na zgubę. Miód i dziegieć były pomieszane w beczce w równych proporcjach i ta



mieszanina nie nadawała się teraz ani do jedzenia, ani do smarowania osi.

Kiedy Wiera Korniliewna zbliżała się do niego sama — to była Wega, i cokolwiek by mówiła i cokolwiek mu urzędowo nakazywała — patrzył na nią i cieszył się. Nie wiadomo dlaczego w ostatnim tygodniu przebaczył jej całkowicie kalectwo, które z takim uporem zadawała jego ciału. Nawet jak gdyby przyznał jej prawo do rozporządzania się jego organizmem i sprawiało mu to przyjemność. Kiedy podczas wizytacji zbliżała się do niego, zawsze miał ochotę pogłodzić jej maleńkie dłonie, albo otrzeć się o nie pyskiem, po psiemu.

Tym razem zbliżyły się obydwie, i to już były lekarki, bezwzględnie opancerzone swoimi instrukcjami. W Olegu odżyło uczucie, że go nie rozumieją i krzywdzą.

— No jak? — zapytała Doncowa i usiadła na łóżku Kostogłotowa.

Wega stała za jej plecami i lekko się do niego uśmiechała. O pewnego czasu znowu uważała za wskazane, a nawet konieczne, obdarzać go lekkim uśmiechem przy każdym spotkaniu. Ale dziś uśmiechała się jakby przez mgłę.

— Nieszczęśliwie — powiedział Kostogłotow zmęczonym głosem i dźwignął zwisającą głowę, by ją położyć na poduszce. — Jeszcze doszły mi bóle tu... w przestrzeni międzyplucnej... przy każdym niezręcznym ruchu. A w ogóle mam takie wrażenie, że zostałem zaleczony. Proszę kończyć.

Żądał zwolnienia ze szpitala już bez uprzedniego zapału, mówił obojętnie, jak o czyjejs obcej sprawie, na tyle oczywistej, że nie warto długo argumentować.

Doncowa też się nie upierała, czuła się również zmęczona.

— To już wasza w tym głowa, jak chcecie! Ale leczenie nie zostało zakończone.

Obejrzała skórę na miejscu naświetlania. Stan skóry bodaj także doradzał zakończenie. Powierzchnowa reakcja mogłaby ulec nasileniu.

— Ile seansów dziennie otrzymuje? — spytała Doncowa. — Czy nie po dwa?

— Już tylko jeden — odpowiedziała Ganhart.

(Wypowiedziała te najprostsze słowa: „Już tylko jeden” wyciągając nieco cienką szyjkę, a jemu wydało się że mówi coś wyjątkowo czulego, coś co powinno zapaść wprost do serca!)

Jakieś dziwne, żywe nici, niczym długie kobiece włosy, poplątały się i połączyły ją z tym pacjentem. Tylko ona odczuwała ból, gdy te nici napinały się i rwały, jego to nie bolało i nikt w otoczeniu tego nie dostrzegął. W dniu kiedy Wiera usłyszała

o nocnych spotkaniach z Zoją, poczuła się tak jakby jej wyrwano cały pęk włosów. Być może tak było lepiej, tak właśnie należało skończyć. Przypomniała sobie zasadę, że mężczyznom są potrzebne nie rówieśniczki, lecz młodsze od nich kobiety. Nie powinna była zapominać, że już przekroczyła granicę wieku.

Ale potem zaczął wyraźnie szukać z nią spotkania, chwycił ją za słowa, przyjemnie patrzył i mówił. Więc nici-włosy znowu zaczęły się wyciągać i łączyć.

Cóż to za nici? Coś zupełnie niewytłumaczalnego i nieokreślonego. Już wkrótce wyjedzie, a stamtąd szybko się nie wyrwie. Przyjedzie znowu chyba tylko wtedy, kiedy już będzie z nim bardzo źle, kiedy ugnie się pod ciężarem śmierci. A jeżeli wyzdrowieje — to coraz rzadziej, nigdy.

— Ile już otrzymał sinestrolu? — zapytała Ludmiła Afanasjewna.

— Więcej niż było potrzeba — Kostogłotow uprzedził odpowiedź Wieri Korniliewny. Oczy patrzyły tępo. — Wystarczy na całe życie.

Kiedy indziej Ludmiła Afanasjewna nie przeszłaby do porządku dziennego nad taką ordynarną repliką i nauczyłaby go rozumu. Ale teraz siła woli osłabła w niej do tego stopnia, że ledwie była w stanie skończyć wizytację. I właściwie, już poza stanowiskiem, już się z nim żegnając, nie bardzo mogła skarcić Kostogłotowa. Z drugiej strony leczenie było istotnie barbarzyńskie.

— Dam wam dobrą radę — Doncowa mówiła pojednawczym tonem i tak cicho, żeby nikt na sali jej nie słyszał. — Nie powinniście dążyć do szczęścia rodzinnego. Jeszcze przez wiele lat powinniście się powstrzymać od założenia prawdziwej rodziny.

Wiera Korniliewna spuściła wzrok.

— Bo proszę nie zapominać, wasz stan był mocno zapuszczony. Przyjechaliście do nas z dużym opóźnieniem.

Kostogłotow dobrze wiedział że sprawy stoją kiepsko, ale gdy to usłyszał bezpośrednio od Doncowej, ze zdziwienia otworzył usta.

— T-ta-aak — beknął grubym głosem. I zaraz znalazł pocięgę w nagłej myśli. — No myślę, że o to same władze odpowiedzialnie się zatroszczą.

— Wiera Korniliewna, proszę mu dawać w dalszym ciągu tezan i pontaksyl. A w ogóle wypadnie go zwolnić, żeby nieco wypoczął. Wiecie, Kostogłotow, zrobimy tak: zaordynujemy wam sinestrol na całe trzy miesiące, teraz można go dostać w aptekach. Kupicie go i koniecznie kontynuujcie leczenie po powrocie do domu. Jeżeli tam nie ma komu robić zastrzyków, zażywajcie w pastylkach.

Kostogłotow już chciał jej przypomnieć, że po pierwsze nie będzie żadnego powrotu do domu, po drugie — nie ma pieniędzy, a po trzecie nie jest takim głupcem by popełniać powolne samobójstwo.

Ale widział jej szaro-zieloną, wymęczoną twarz, i rozmyślił się; nie powiedział ani słowa.

Wizytacja skończyła się.

Przybiegł Achmadżan; wszystko już było załatwione, nawet już poszli po jego mundur. Dopiero uderzył w gaz z przyjacielem! Jutro otrzyma papierki i zaświadczenia. Achmadżan był niezmiernie podniecony, tak szybko i głośno mówił jak nigdy jeszcze w ciągu tych przeszło dwóch miesięcy pobytu w szpitalu. Poruszał się z taką pewnością siebie, jak gdyby nigdy nie chorował. Pod czarnym jeżem gęstej czupryny, pod smolistymi brwiami, oczy paliły się jak u pijanego i cały wstrząsał się od radości życia, która zaczynała się na nowo, zaraz, tu za progiem. Zaczął pakować swoje rzeczy, przestał, pobiegł poprosić żeby mu pozwolono jeść obiad razem z chorymi z pierwszego piętra.

Kostogłotowa wywołano do naświetlania. Najpierw czekał na swoją kolejkę, potem leżał pod aparatem, wreszcie wyszedł na ganek żeby sprawdzić dłaczego na dworze tak ciemno.

Na niebie kłębiły się przelatujące szybko szare chmury, za nimi nadchodziła powoli inna, zupełnie fioletowa, zwiastując solidną ulewę. Ale było bardzo ciepło, więc mógł spaść tylko wiosenny deszcz.

Nie można było iść na spacer, wrócił więc na salę. Już na korytarzu usłyszał głos Achmadżana, który opowiadał w najwyższym podnieceniu:

— Karmią ich, gadów, żebyśmy szczęśliwie, lepiej niż żołnierzy! No — nie gorzej! Racja — kilo dwieście. A ich by trzeba głównym karmić! Pracować — nie pracują! Ledwie doprowadzimy ich do zony, zaraz się rozbiegają, chowają i śpią przez cały dzień!

Kostogłotow cicho przestał przy drzwiach. Przy łóżku, już bez przecieradeł i poszewki, stał Achmadżan z przygotowanym węzełkiem i wymachując rękami, połyskując białym uzębieniem, z pewnością siebie kończył ostatnie opowiadanie na sali.

Skład pacjentów zmienił się całkowicie — nie było Federaua, ani filozofa, ani Szulubina. Przy dawnych pacjentach jakoś nigdy Oleg takiego opowiadania od Achmadżana nie usłyszał.

— I co? — nie budują? — cicho zapytał Kostogłotow. — W zonie nigdy nie budują?

— No budują... — zdetonował się nieco Achmadżan. — Ale kiepsko budują.

— A wy byście im pomogli... — jeszcze ciszej, jakby tracąc siły, powiedział Kostogłotow.

— Nasza sprawa karabin, ich sprawa — łopata! — dziarsko odpowiedział Achmadżan.

Oleg patrzył w twarz swego szpitalnego kolegi, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy. Albo nie — jak gdyby widywał ją przed wiele lat, w kozuchu z podniesionym kołnierzem i z automatem. A jednak Achmadżan był dobrodusznym, szczerym chłopcem, tyle że jego inteligencja nie sięgała wyżej gry w domino.

Jeżeli przez całe dziesięciolecia nie pozwala się mówić prawdy o życiu, mózgi ludzkie ulegają bezpowrotnie takiemu sprostytuowaniu, że trudniej się porozumieć z własnym rodakiem, niż z Marsjaninem.

— Jakże ty to sobie wyobrażasz? — Kostogłotow nie chciał się od niego odczepić. — Ludzi karmić gównem? Pozartowałeś, co?

— Wcale nie żartowałem! To nie ludzie! — z gorączkową pewnością siebie upierał się Achmadżan. — To — nie ludzie!

Chciał koniecznie przekonać Kostogłotowa, podobnie jak przekonał innych słuchaczy na sali. Wprawdzie wiedział że Oleg jest zesłańcem, ale nie miał pojęcia o jego łagierniczej przeszłości.

Kostogłotow spojrział z ukosa na łóżko Rusanowa, zdziwiony dlaczego nie przychodzi on Achmadżanowi z pomocą. Ale Rusanowa nie było na sali.

— A ja myślałem, że jesteś liniowym żołnierzem — ciągnął powoli Kostogłotow. — A teraz już wie-em w jakiej armii służyłeś... Toś ty, znaczy się, Berii służył?

— Żadnej Berii nie znam! — Achmadżan rozgniewał się i poczerwieniał. — Kogo tam na górze postawią — mnie nic do tego. Przysięgę złożył i służył. Ciebie zmuszą — ty także służył...

### 33.

## SZCZĘŚLIWE ZAKOŃCZENIE

Istotnie tego dnia spadła ulewa. Lało przez całą noc, dął wiatr, coraz zimniejszy, w czwartek rano pomieszany już ze śniegiem. Ci wszyscy, co jak Kostogłotow przepowiadali przyjście wiosny i otwierali okna, przymilkli. Ale w czwartek po południu

przestał padać śnieg, potem deszcz, wiatr ucichł — zrobiło się pochmurnie i chłodno. Powietrze stało nieruchome.

A wieczorem na zachodnim horyzoncie wyraźnie wystąpiła delikatna złocista smuga.

W piątek rano, kiedy wychodził ze szpitala Rusanow, niebo odsłoniło się bezobłoczne, i już wczesne słońce miało dość siły by suszyć wielkie kałuże na asfalcie i piaszczyste ścieżki idące na ukos przez trawniki.

Dopiero wtedy wszyscy poczuli, że tym razem wiosna zaczęła się na dobre i nieodwołalnie. Więc zdzierali papier z okien, odciągali zasuwki, wystawiali podwójne ramy i kruszyli zeschnięty kit na podłogę — sanitariuszki będą miały co zamiatać.

Paweł Nikołajewicz nie oddawał żadnych rzeczy na skład, szpitalnych nie miał, mógł więc wyjść ze szpitala o każdej porze. Przyjechali po niego rano, zaraz po śniadaniu.

I kto przyjechał! Za kierownicą siedział Ławrik: uprzedniego dnia otrzymał prawo jazdy! A że jednocześnie zaczęły się wakacje szkolne, dzieci były zachwycone — dla Ławrika zaczynały się taneczne wieczorki, dla Majki — spacerzy za miastem. Kapitolina Matwiejewna przyjechała razem z młodszymi dziećmi, bez starszych. Ławrik zapowiedział, że później przejedzie się z przyjaciółmi; trzeba pokazać, że daje sobie doskonale radę bez Jurki.

Jakby na filmie puszczone wstecz, wszystko się cofnęło, lecz w jakże radosnych okolicznościach. Paweł Nikołajewicz wszedł do składziku starszej pielęgniarki w piżamie, a wyszedł w szarym garniturze. Wesoły Ławrik, sprężysty, przystojny chłopiec w nowym, granatowym garniturze, przez cały czas z dumą obracał na palcu rzemyk od klucza do samochodu. Mógłby się wydać całkiem dorosłym młodzieńcem, gdyby nie to że od razu w westybulu zaczął przekomarzać się z Majką.

— Zamknąłeś wszystkie drzwiczki?

— Zamknąłem.

— I podkręciłeś wszystkie szyby?

— Idź, sprawdź!

Majka biegła, potrząsając ciemnymi kędziorkami, i wracała.

— Wszystko w porządku. — I natychmiast robiła przerażone oczy. — Bagażnik zamknąłeś?

— Idź, sprawdź!

Więc znowu biegła do samochodu.

Przez westybul coraz to niesiono do laboratorium żółty płyn w słoikach. Tak samo jak zawsze, siedzieli wycieńczeni pacjenci o szarych twarzach w oczekiwaniu na wolne miejsce, a jeden z nich leżał jak długi na ławce. Paweł Nikołajewicz patrzył na to wszystko nawet z pewnym pobłażaniem, wynikającym ze świadomości

że tak mężnie się zachował i okazał się silniejszy od okoliczności.

Ławrik niósł ojcowską walizkę. Kapa w jesionce piaskowego koloru, z miedzianą grzywą, odmłodziła z radości, kiwnęła głową starszej pielęgniarce na pożegnanie i idąc ku wyjściu, wzięła męża pod ramię. Majka zawisła na jego ramieniu z drugiej strony.

— Popatrz-no tylko, jaką ma czapeczkę! Ależ popatrz — nowiutka pasiasta czapeczka!

— Pasza, Pasza! — rozległ się z tyłu czyjś głos.

Odwrócili się. To był Czałyj, który wyszedł z korytarza oddziału chirurgicznego. Wyglądał doskonale, nawet dziarsko, twarz utraciła żółtawy odcień. Tylko piżama i szpitalne treпки wskazywały, że jest pacjentem.

Paweł Nikołajewicz wesoło uściśnął jego dłoń i powiedział:

— Kapa, przedstawiam ci — oto bohater frontu szpitalnego! Żołądek mu wycięli, a on nic, tylko się uśmiecha.

Witając się z Kapitoliną Matwiejewną, Czałyj z jakimś specjalnym wdziękiem połączył pięty, a głowę odchylił w bok — z szacunkiem i równocześnie z pewną figlarnością.

— Telefonik, Pasza! Zostaw mi swój telefonik! — przyna-głał Czałyj.

Paweł Nikołajewicz udawał, że zaplątał się w drzwiach i nie dosłyszał. Czałyj był dobrym gościem, ale jednak z innego środowiska, o innych poglądach i, być może, lepiej nie wchodzić z nim w zbyt bliski kontakt. Rusanow szukał możliwie grzecznej formy, żeby mu odmówić.

Wyszli razem na ganek i Czałyj z miejsca obrzucił badawczym spojrzeniem „moskwicza”, w którym za kierownicą siedział już Ławrik. Ocenił wszystko i nie zapytał: „to twój wóz?”, tylko od razu:

— Ile przejechał kilometrów?

— Jeszcze nie ma piętnastu tysięcy.

— To dlaczego opony takie zdarte?

— Trafiły się takie... Majsterkowie! Pracują!

— Chcesz żebym się wystarał?

— Możesz?! Maksim!

— A niech cię gęś kopnie! Ależ to dla mnie żart! Zapisz także i mój telefon, pisz! — pchał palec w pierś Rusanowa. — Jak tylko stąd wyjdę, gwarantuję w ciągu tygodnia.

Nie było już potrzeby wynajdywania pretekstu dla odmowy! Paweł Nikołajewicz wyrwał kartkę z notesu i wypisał numery obydwu telefonów: biurowego i domowego.

— W porządeczku! Zadzwonimy! — rzucił na pożegnanie Maksim.

Majka wskoczyła na przednie siedzenie, rodzice usiedli z tyłu.  
— Będziemy trzymać sztamę! — podniecał Czajaj odjeżdżających.

Trzasnęły drzwiczki.

— Będziemy żyć! — krzyczał Maksim, podnosząc zaciśniętą pięść niczym członek „rotfrontu”.

— No? — Ławrik egzaminował Majkę. — Co teraz trzeba zrobić? Puścić w ruch?

— Nie! — trąkotała Majka. — Najpierw trzeba sprawdzić na jakim jest biegu.

Ruszyli, tu i ówdzie rozbryzgując wodę w kałużach, skręcili za róg oddziału ortopedycznego. Właśnie samym środkiem asfaltowej jezdni szedł nie śpiesząc się, jakby na spacer, dryblas w szarym szpitalnym szlafroku i długich butach.

— Postrasz go klaksonem jak się należy! — Paweł Nikołajewicz zdążył zauważyć idącego w ostatniej chwili.

Ławrik mocno nacisnął klakson. Dryblas gwałtownie skręcił i obrócił się. Ławrik dodał gazu i przejechał w odległości dziesięciu centymetrów.

— Nazwałem go Ogłojedem. Żebyście tylko wiedzieli co to za nieprzyjemny, zawistny typ! Prawda, Kapa, tyś go już przedtem widziała.

— Pawełku, co się tu dziwić! — westchnęła Kapa. — Tam gdzie szczęście, natychmiast zjawia się zazdrość. Jeżeli chcesz być szczęśliwym, musisz się pogodzić z istnieniem zazdrośników.

— Wróg klasowy... — mruczał Rusanow. — Gdyby to było w innych okolicznościach...

— To po co mi kazałeś trąbić? Ja bym go przejechał! — Ławrik roześmiał się i na chwilę odwrócił głowę.

— Tylko mi się nie kręć! — przestraszyła się Kapitolina Matwiejwna.

Rzeczywiście samochodem nieco zarzuciło.

— Tylko mi się nie kręć! — powtórzyła Majka i roześmiała się dźwięcznie. — A ja mogę, mamusi? — i zaczęła wykręcać głowę to na jedną, to na drugą stronę.

— Nie pozwolę mu wozić dziewcząt na spacer, wtedy się ustakuje!

Kiedy przejeżdżali przez bramę szpitala, Kapa opuściła szybę i wyrzuciła jakiś drobiazg za siebie.

— Żeby już nigdy tu nie wracać! Przekłęte miejsce! Niech się nikt nie ogląda!

Kostogłotow puścił ich śladem soczyste, długie przekleństwo.

Ale od razu wyciągnął wniosek: i on musi wyjść ze szpitala



rano. Za dnia, kiedy wychodzą inni, niewygodnie, nigdzie nie zdązysz na czas.

Obiecano mu, że zostanie zwolniony ze szpitala nazajutrz.

Dzień był łagodny i słoneczny. Wszystko szybko wysychało i parowało na słońcu. W Usz-Tereku także już pewnie kopią w ogrodach, czyszczą aryki.

Kostogłotow rozmarzył się na spacerze. Jakież to szczęście: trzymał siarczysty mróz, gdy wyjeżdżał na śmierć, a teraz wróci na samą wiosnę i będzie mógł pochodzić koło własnego ogródka. To wielka radość: najpierw wsadzić coś do ziemi, a potem patrzeć jak wyłazi z powrotem.

Tylko że we wszystkich ogrodach pracują parami, a on pozostanie samotny.

Długo spacerował, aż wreszcie wpadł na pomysł: pójdzie do starszej pielęgniarki. Minął czas, gdy Mita krzyczała na niego, że „wszystkie miejsca w klinice są zajęte”. Od dawna zdążyli wejść w komitywę.

Mita siedziała w swojej komórce pod schodami, bez okna i przy świetle żarówki, i z kupki na kupkę wciąż przekładała i przekładała jakieś papierki statystyczne.

Kostogłotow musiał się zgiąć by wejść przez drzwi, których górna futryna była ukośna, i powiedział:

— Mita! Mam do was prośbę, bardzo wielką prośbę!

Mita uniosła długą, twardą twarz. Z taką twarzą się urodziła i tak dożyła do czterdziestego roku życia; nikt nigdy nie miał chęci jej pocałować, czy choćby pogłodzić dłonią. Toteż cała czułość, która mogłaby tę twarz ożywić, nigdy nie znalazła wyrazu. Mita pozostała zapracowaną szkapą.

— Cóż za prośba?

— Jutro wychodzę ze szpitala.

— Bardzo się cieszę! — Mita była dobra, tylko na pierwszy rzut oka robiła wrażenie opryskliwej.

— Nie w tym rzecz. Mam sporo spraw do załatwienia na mieście, a wieczorem muszę wyjechać. Ubranie ze składu przyniosą bardzo późno. Mitoczka, jak by to zrobić, żeby moje łachy przynieść jeszcze dziś, wsadzić gdziekolwiek, a jutro wczesnym rankiem przebrałbym się i poszedł.

— To w ogóle jest niemożliwe — westchnęła Mita. — Jeżeli Nizamutdin się dowie...

— Przecież się nie dowie! Rozumiem że to nadużycie, Mitoczka, ale tylko dzięki nadużyciom życie jest możliwe!

— A jeżeli jutro ze szpitala nie wyjdziecie?

— Wiera Korniliewna powiedziała, że na pewno.

— Musiałabym to usłyszeć od niej.

— Dobrze, zaraz do niej pójde.

— Czy znacie już wiadomość?

— Nie, a co takiego?

— Powiadają, że my wszyscy zostaniemy zwolnieni do końca roku! Mówią o tym z całą pewnością! — jej nieładna twarz stała się przyjemniejsza, gdy tylko wspomniała o tej wiadomości.

— Zwolnią? Ale kogo? N a s czy w a s ?

— Wygląda na to, że i w a s i n a s ! Nie wierzycie? — z obawą czekała jego opinii.

Oleg podrapał się w głowę, skrzywił się, całkiem przymknął prawe oko.

— To mo-żliwe. W ogóle — nie wykluczone. Ale ile ja już przeżyłem takich pogłosek — pełne uszy!

— Ale teraz podają z całą pewnością! Z całą pewnością! — tak bardzo chciała wierzyć, nie należało jej rozczarowywać.

Oleg wysunął dolną wargę przed górną, zastanowił się. To pewne, że coś dojrzeowało. Poleciał cały Sąd Najwyższy. Tylko że wszystko idzie jakoś powoli, po miesiącu nic się nie stało, i nadzieja w nim znowu osłabła. Historia jest zbyt powolna, gdy chodzi o nasze życie i dzieje naszych serc.

— Daj Boże! — powiedział, żeby ją pocieszyć. — Co wtedy zrobicie? Wyjedziecie?

— Nie wie-em — prawie bezgłośnie powiedziała Mita, trzymając rozstawione palce o długich paznokciach na podnieszczonych, od dawna obrzydłych karteluszkach.

— Wy, zdaje się, jesteście spod Salska?

— Tak.

— Chyba tam nie lepiej niż tu?

— Wolność — wyszeptała Mita.

A może po prostu spodziewała się, że w swoim własnym kraju jeszcze znajdzie męża?

Oleg poszedł na poszukiwanie Wiery Korniliewny. Udało mu się ją znaleźć nie od razu. Najpierw była w gabinecie rentgenologicznym, potem u chirurgów. Wreszcie zobaczył ją idącą korytarem razem z Lwem Leonidowiczem — i rzucił się ich śladem.

— Wiera Korniliewna! Czy można na małą chwilkę?

Przyjemnie było do niej się zwracać, mówić specjalnie dla niej. Zauważył nawet, że jego głos zmieniał się całkowicie ilekroć z nią rozmawiał.

Odwróciła się. Widać było we wszystkim jak bardzo jest zajęta: w pochyleniu tułowia, w układzie rąk, w zatroskanej twarzy. Ale zatrzymała się, niezmiennie uważna dla wszystkich.

— Tak?

Nie wymieniła nazwiska Kostogłotow. Nazywała go tak tylko wobec lekarzy i pielęgniarek, nigdy bezpośrednio.

— Wiera Korniliewna, mam do was wielką prośbę. Nie moglibyście zawiadomić Mity, że jutro z całą pewnością wychodzę ze szpitala?

— Po co to?

— Bardzo potrzebne. Widzicie, zaraz jutro wieczorem muszę wyjechać i właśnie dlatego...

— Dobrze. Lewa, idź! Zaraz do ciebie przyjdę.

Lew Leonidowicz poszedł dalej, garbiąc się i kołyszając ciałem jak zawsze, z rękami wbitymi w kieszenie, w kitlu rozłożącym się na zbyt szerokich plecach. Wiera Korniliewna zwróciła się do Olega:

— Proszę do mnie!

Poszła przodem. Leciutka, drobniutka.

Zaprowadziła go do tego samego pokoju, gdzie kiedyś tak długo spierał się z Doncową. Usiadła za niedbale oheblowanym stołem i wskazała mu krzesło. Ale Kostogłotow wolał stać.

W pokoju nie było nikogo więcej. Przez okno wpadał złoty słup powietrza, w którym tańczyły drobinki pyłu, światło odbijało się od niklowanych części aparatów. Było wesoło i tak jaskrawo, że mrużyły się oczy.

— A jeżeli jutro nie zdążę wszystkiego załatwić? Wiecie, muszę jeszcze napisać epikryzę.

Nie zrozumiał: mówiła służbowo, czy chciała go wywieść w pole?

— E p i ? Że jak?

— Epikryza — to wnioski z całego procesu leczniczego. Dopóki epikryza nie jest przygotowana, nie wolno pacjenta ze szpitala wypuścić.

Siedziała przed nim, cała przejaśniona. Jaśniejąca nie tylko przyjaznym, łagodnym spojrzeniem, ale i jaskrawym światłem, odbitym od przedmiotów i otaczającym jej figurkę jak gdyby rozwichrzonymi wachlarzami.

— Więc co, od razu chcecie wyjeżdżać?

— Nie to żebym chciał, zostałbym z przyjemnością. Rzecz w tym, że nie mam gdzie nocować. Na dworcu nie chcę.

— Prawda, przecież w hotelu wam nie wolno — przytaknęła i zachmurzyła się. — Szkoda, że ta sanitariuszka, u której chory zwykle się zatrzymują, jest dziś nieobecna, dostała zwolnienie. Co tu wymyślić? — zastanawiała się, przygryzając ząbkami górną wargę. Narysowała na arkuszu papieru jakiś zakrętas. — Wiecie... właściwie... moglibyście się śmiało zatrzymać... u mnie.

Co??? I to ona powiedziała? Nie przesłyszał się? Czy powtórzy propozycję?

Policzki Ganhart wyraźnie pokryły się rumieńcem. Unikała jego spojrzenia. A powiedziała to z taką naturalnością, jakby nie było w tym nic dziwnego, że pacjent idzie nocować do mieszkania lekarza.

— Akurat jutro mam niezwykły dzień: w klinice będę z rana tylko przez dwie godziny, potem w domu, a po obiedzie znowu wyjdę... Najwygodniej będzie mi zanocować u znajomych...

Wreszcie spojrzała! Policzki płonęły, ale oczy były promienne i bezgrzeszne. Czy aby właściwie zrozumiał? Czy zasłużył na to, co mu zaproponowano?

Oleg nie był w stanie tego zrozumieć. Czy można cokolwiek zrozumieć, gdy kobieta robi taką propozycję? To mogło oznaczać i bardzo dużo i bardzo niewiele. Ale nie mógł się zastanawiać, nie było na to czasu, przecież patrzyła na niego tym niewinnym spojrzeniem i czekała.

— Dzię-ku-je — wykrztusił Kostogłotow. — To... naturalnie, byłoby cudownie. — Całkowicie zapomniał jak się należy zachowywać i grzecznie odpowiadać. Uczono go tego chyba przed stu laty, jeszcze w dzieciństwie. — To bardzo dobrze... Ale przecież nie mogę nadużywać... Nie miałbym sumienia...

— Proszę się nie krępować — powiedziała Wega z uśmiechem, który potwierdzał propozycję. — Jeżeli trzeba będzie na jakieś dwa albo trzy dni, także się coś wymyśli. Przecież nie chcielibyście tak od razu wyjeżdżać z miasta?

— Pewnie, że bym nie chciał... Tak! Tylko że świadectwo zwolnienia należałoby zaopatrzyć datą nie jutrzejszą, lecz dnia następnego. Bo komendantura gotowa mnie pociągnąć do odpowiedzialności — dlaczego nie wyjechałem? Jeszcze znowu posadzą!

— No dobrze, będziemy kręcić. W takim razie powiedzieć Micie żeby was zwolniono jutro, a w świadectwie ma być data późniejsza o jeden dzień — tak? Skomplikowany z was człowiek!

Ale widać było, że te komplikacje nie sprawiają jej przykrości, oczy miała roześmiane.

— Czy to ja jestem skomplikowany, Wiera Korniliewna?! System jest skomplikowany! Mnie nawet jednego świadectwa za mało, jak dla zwykłych ludzi. Potrzebne dwa!

— Po co?

— Jedno komendantura zabierze żeby mieć uzasadnienie podróży, a drugie dla mnie.

(Komendantura może nawet nie zabierze, będzie przysięgał że nie ma drugiego, ale lepiej zatrzymać na zapas. Cóż to, na

próżno tyle cierpiał, nie zasłużył sobie na jeszcze jedno zaświadczenie?!)

— A trzecie potrzebne dla kasy biletowej na stacji.

Ganhart napisała na kartce kilka słów.

— Tu macie mój adres. Chcecie objaśnienia jak się idzie?

— Znajdę sam, Wiera Korniliewna!

(A więc jednak to na serio? Naprawdę go do siebie zaprasza!)

— A tu... — razem z adresem podała mu kilka podłużnych karteczek. — To te recepty, o których mówiła Ludmiła Afanasjewna. Niektóre są identyczne, żeby rozbić nasilenie dozy.

Ach, więc to *te* recepty!

Powiedziała o tym jak o jakimś drobiazgu. Taki oto, niewielki dodatek do adresu. Potrafiła leczyć go przez całe dwa miesiące i ani razu o tym nie wspomnieć!

Na tym widocznie polega taktowne postępowanie.

Już wstała, już szła ku drzwiom.

Czekała na nią praca, czekał Lewa...

Kostogłotow patrzył na nią, całą prześwieconą, w słonecznych wachlarzach, bielutką, lekką, taką wążutką w pasie! Patrzył jakby ją ujrzał po raz pierwszy, dopiero teraz — wszystko rozumiejącą, przyjacielską i tak niezbędną! Jakby dopiero teraz, po raz pierwszy!

Zrobiło mu się bardzo wesoło i postanowił zdobyć się na szczerłość. Zapytał:

— Wiera Korniliewna! Dlaczego wyście tak długo na mnie się gniewali?

Z ram słonecznego światła patrzyła na niego z uśmiechem, który wydał mu się niezwykle mądrym.

— A czyście niczym nie zawinili?

— Nie.

— Niczym?

— Niczym!

— Przypomnijcie sobie dobrze.

— Nie mogę sobie przypomnieć. Przynajmniej dopomóżcie!

— Na mnie już czas.

Klucz miała w ręku. Trzeba było wychodzić i zamknąć pokój. A tak dobrze z nią było! Mógłby tak przestać chociażby nawet całą dobę!

Szła, drobniutka, przez korytarz, a on stał i patrzył za nią.

I od razu poszedł znowu na spacer. Wiosna była w pełnym rozkwicie — tylko nią oddychać i chłonać! Włóczył się bez sensu, wchłaniał w siebie ciepło i powietrze. Już żałował, że trzeba będzie porzucić ten ogród, którego był więźniem. Żałował, że nie

w jego obecności rozkwitną japońskie akacje, że nie przy nim wypuszczą pierwsze liście zapóźnione dęby.

Jakoś nie czuł dziś żadnych mdłości i w ogóle nie czuł się osłabiony. Chętnie by teraz pogrzebał się w ziemi. Miał chętkę na wiele rzeczy — a właściwie sam nie wiedział na co. Spozstrzegł się, że kciuk sam pociąga po palcu wskazującym, jakby prosił o papierosa. No to już zupełnie senne marzenie — o paleniu nie było mowy!

Po skończonym spacerze poszedł do Mity. Zuch Mita! — worek z rzeczami Olega już został wydostany ze składu i schowany w łazience; klucz od łazienki będzie miała stara sanitariuszka, która wieczorem zaczyna dyżur. Trzeba jeszcze pod koniec dnia pójść do ambulatorium, po brakujące papierki.

Jego wyjście ze szpitala powoli zaczęło stawać się rzeczywistością.

Wszedł po schodach, jeszcze nie po raz ostatni, ale jeden z ostatnich.

Na górze spotkał Zoję.

— No, Oleg, jakże wasze sprawy? — Zoja zwróciła się do niego z całą swobodą.

W zadziwiająco naturalny sposób, z największą prostotą, przyjęła ten zwyczajny ton, jak gdyby nic nigdy między nimi nie było: ani pieszczotliwych słów, ani tańca z „Włóczęgi”, ani butli z tlenem.

I chyba miała rację. A cóż to? — cały czas przypominać, pamiętać, dąsać się?!

Któregoś wieczoru, kiedy Zoja miała dyżur, nie poszedł obijać się przy niej i położył się spać. A po paru dniach przyszła do niego jakby nigdy nic, ze strzykawką, posłusznie odwrócił się i pozwolił jej zrobić zastrzyk. To wszystko co narastało między nimi, sprężyste i nabite jak poduszka z tlenem którą niegdyś nieśli we dwoje, nagle zaczęło powoli opadać. Aż w ogóle przestało istnieć. Pozostało tylko przyjacielskie pozdrowienie:

— No, Oleg, jakże wasze sprawy?

Oparł się mocno o stół długimi rękami, obwisła mu czarna, kosmata czupryna.

— Dwa tysiące osiemset leukocytów. Nie naświetlają od dwóch dni. Jutro wychodzę ze szpitala.

— Już jutro? — złociste rzęsy podskoczyły jak motyle. — No to szczęśliwie! Gratulacje!

— Jest czego gratulować!

— Jesteście niewdzięcznikiem! — Zoja pokiwała głową. — Przypomnijcie sobie tylko wasz pierwszy dzień tutaj, na zakręcie schodów! Co — myśleliście, że przeżyjecie dłużej niż tydzień?

To także była prawda.

Ależ oczywiście, to doskonała dziewczyna ta Zojka — wesola, pracowita, szczerą, robi to co mówi. Jeżeli puścić w niepamięć tę kłopotliwą sytuację, jaka między nimi powstała, że niby nawzajem się oszukali, i zacząć od początku, to cóżby im przeszkadzało pozostać przyjaciółmi?

— A więc tak — uśmiechnął się Kostogłotow.

— A więc tak — uśmiechnęła się Zoja.

O przywiezieniu specjalnych nici do wyszywania już nie wspomniała.

Tak się to skończyło. Będzie miała w tygodniu cztery dyżury. Kucie z podręczników. Czasem zajmie się haftowaniem. A w miesiącu, po tańcach — znowu będzie stała w mroku przytulona do kogoś.

Nie można przecież gniewać się na nią za to, że w dwudziestym drugim roku życia jest zdrowa aż do ostatniej komórki i kropelki krwi.

— No to wszystkiego dobrego! — powiedział Kostogłotow bez cienia urazy.

Poszedł. I nagle zawołała w sposób równie prosty i naturalny co uprzednio:

— Oleg! Oleg!

Obrócił się.

— Może nie będziecie mieli gdzie przenocować? Zapiszcie mój adres.

(Jak to? I ona także?)

Oleg patrzył w zdumieniu. Nie, to już było ponad jego rozumienie.

— Bardzo wygodny dojazd, tuż koło przystanku tramwajowego. Wprawdzie mieszkam razem z babcią, ale mamy dwa pokoiki.

— Serdecznie dziękuję — zmieszany przyjął skrawek papieru. — No nie wiem, czy skorzystam... No w razie czego...

— A może jednak...? — uśmiechała się Zoja.

Nawet w gęstej tajdze łatwiej było o orientację, niż wśród kobiet.

Przeszedł jeszcze parę kroków i zobaczył Sibgatowa, leżącego na wznak na czymś w rodzaju twardej tarczy, w zetęchłym kącie westybulu. Nawet w dzisiejszym rozświetlonym dniu dochodziły do tego kąta jedynie najdalsze refleksy.

Sibgatow patrzył bez przerwy w sufit, tylko w sufit.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy niezmiernie wychudł.

Kostogłotow przysiadł się do niego na boczku.

— Szaraf, chodź upoczywe pogłowski, że wszyscy zesłańcy



pójdą na wolność. Zarówno specjaliści jak administracyjni.

Szaraf nie zwrócił głowy ku mówiącemu, tylko oczy. I wydawało się, że sens tych słów do niego nie doszedł, wyłącznie ich dźwięk.

— Słyszysz? I was i nas. Wiem na pewno.

Tamten nie rozumiał.

— Nie wierzysz? Wrócisz do domu!

Oczy Sibgatowa powróciły ku sufitowi. Rozchylił obojętne wargi:

— Mnie — trzeba było dużo wcześniej.

Oleg położył mu dłoń na rękę, leżącej nieruchomo na piersi jak u nieboszczyka.

Koło nich szybko przebiegła Nella, kierując się na salę.

— Talerzów tu u was nie zostało? — obejrzała się. — Ej, ty, z czubem! Ty dlaczego nie jesz? Pośpiesz się, zwalniam talerze, mam może na ciebie czekać?

I rzeczywiście! Kostogłotow przegapił porę obiadową. Tak go wykończyło! Ale jednego w tym okrzyku Nelli nie zrozumiał.

— A tobie co do tego?

— Jak to co? Przecież ja teraz roznoszę posiłki! — oświadczyła dumnie Nella. — Nie widzisz jaki mam czysty kitel?

Oleg wstał, żeby posiorbać po raz ostatni ze szpitalnej miski. Powoli, niewidocznie i podstępnie rentgen wypalił w nim apetyt do reszty. Ale aresztancki kodeks nie pozwalał zostawiać resztek na talerzu.

— Jazda! Jazda! — komenderowała Nella. — Szybciej załatw się z żarciem.

Nie tylko czysty, nowy kitel — dodatkowa nowość w postaci u fryzowanych włosów.

— Patrzcie ją, jaka! — zdziwił się Kostogłotow.

— A co! Taka głupia to ja nie jestem, żeby za trzysta pięćdziesiąt rubli łązić po podłodze. A teraz jeszcze i pożywić się nieco można...

Podobnie jak starzec, który przeżył swoich rówieśników, odczuwa dokoła siebie dręczącą pustkę — „już czas, już czas odejść

i mnie” — tak i Kostogłotow źle się czuł tego wieczora na sali; mimo że wszystkie łóżka były zajęte, ludzie jak ludzie, i te same odwieczne pytania: rak czy nie rak? leczą skutecznie czy nie? są jakieś inne środki, które pomagają?

Pod koniec dnia odszedł jako ostatni Wadim; przyszło złoto koloidalne, i przeniesiono go na salę radiologiczną.

Oleg zajął się przeglądaniem łóżek i wspomnianiem: kto gdzie leżał na samym początku, i ilu umarło? Wypadło mu z obliczenia, że właściwie umarło stosunkowo niewiele.

Na sali powietrze było zatęchłe, na zewnątrz takie ciepło, że Kostogłotow położył się spać przy lekko uchylonym oknie. Wiosenne powietrze waliło na niego przez parapet. Wiosenne ożywienie dolatywało z małych podwórek starych domków, które ciasno przylegały do szpitala z tej strony. Co się tam działo nigdy nie było widać, odgradzał ceglany mur, ale teraz słyszało się dokładnie trzaskanie drzwi, krzyk dzieci, pijackie wrzaski, niekiedy zdartą płytę gramofonową, a już po wieczornym apelu doleciał silny, niski głos kobiecy przeciągający melodię, nie wiadomo — z rozpaczą, czy z satysfakcją:

*I gór-ni-ka mło-dziut-kiego  
do mieszka-nia sprowadziła-aaa...*

Wszyscy śpiewali na ten sam temat. Wszyscy ludzie myśleli o tym samym. Ale to nie dla Olega — musiał myśleć o innych sprawach.

Właśnie tej nocy, kiedy należało zasnąć wcześniej i nabrać sił na jutro, Olega sen całkiem się nie imał. Tłukły się po głowie różne potrzebne i niepotrzebne myśli: to, czego nie doprowadził do końca w sporach z Rusanowem; to, czego nie dopowiedział Szułubin; różne argumenty, których nie wyłożył w rozmowie z Wadimem; łeb zamordowanego Żuka; ożywione twarze Kadminów w żółtym świetle lampy naftowej, kiedy będzie się z nimi dzielił tysiącem miejskich wrażeń, a oni jemu będą opowiadać nowiny z aułu i o tym jakich w międzyczasie słuchali audycji muzycznych — i zapadła w ziemię chałupka będzie się wydawać całym światem... A potem nieuważne, wyniosłe spojrzenie Inny Sztrem, do której teraz nie będzie śmiał nawet się zbliżyć... I te zaprosiny dwóch kobiet, te kobiece zaprosiny na nocleg — gdy o nich myślał, trzeszczało mu w głowie, jakże miał je rozumieć? — jaki był ich właściwy sens?

W tym lodowatym świecie, który uformował duszę Olega i ocisnął w niej na zawsze swój stempel, nie było takiego zjawiska, takiego pojęcia, jak „bezinteresowna dobroć”. Oleg po prostu

zapomniał, że coś takiego może istnieć. Więc łatwiej mu było teraz próbować uzasadniać te zaproszenia w jakiś inny sposób, byle nie jako odruch zwykłej życzliwości.

Co one miały na oku? Jak powinien się zachować? Tego wszystkiego nie był w stanie pojąć.

Przewracał się z boku na bok i palce tym samym wciąż gestem miętoszy niewidzialnego papierosa...

Wreszcie dźwignął się i poszedł na spacer po szpitalu.

W półmroku westybulu, zaraz za drzwiami, zobaczył Sibgatowa który siedział w wanience, lecząc swój grzbiet, ale już nie z cierpliwą nadzieją jak dawniej, lecz z zupełną beznadziejnością — chyba że miałby się zdarzyć cud.

Przy stoliku dyżurnej pielęgniarki, plecami do Sibgatowa, siedziała, pochylona ku lampie, niewysoka i szczupła kobieta w białym kitlu. Nie była to żadna pielęgniarka — dyżur miał dzisiaj Turgun i na pewno spał już w pokoju posiedzeń lekarskich. Była to zadziwiająco dobrze wychowana sanitariuszka w okularach. Nazywała się Elizawieta Anatoliewna. Zdążyła skończyć podczas godzin wieczornych wszystkie prace i teraz siedziała, czytała.

W ciągu dwóch miesięcy pobytu Olega w szpitalu ta niezwykle staranna sanitariuszka, zawsze chwytająca wszystko w lot, nie raz czołgała się pod łózkami szorując podłogi, gdy oni, chorzy, leżeli w dalszym ciągu na łóżkach. Przesuwała trzymane w ukryciu buty Kostogłotowa, i nigdy nie usłyszał od niej złego słowa; wycierała ścierką boazerie na ścianach, wypróżniała spluwaczki i czyściła je do połysku; roznosiła chorym szklane słoje; w ogóle wykonywała najcięższe, nieprzyjemne i brudne prace, od których wymigiwały się inne pielęgniarki.

Im pokorniej i bez szemrania pracowała, tym mniej była na oddziale zauważalna. Już przed dwoma tysiącami lat powiedziano, że nie wystarczy mieć oczy by widzieć.

Za to ciężkie życie pogłębia ludzką spostrzegawczość. Nie brakowało na oddziale takich, którzy od pierwszego spojrzenia rozpoznawali się nawzajem. Nie nosili ani żadnego umundurowania, ani opasek, ani żadnych innych oznak, a przecież rozpoznawali się z łatwością: jak gdyby mieli świetlne znaki na czołach, albo stygmaty na dłoniach i stopach. (W rzeczywistości było mnóstwo oznak: jedno, niechcący wypowiedziane słowo; ton tego powiedzenia; zaciśnięcie ust w odpowiedniej chwili; uśmiech, kiedy inni zachowują powagę; powaga, kiedy inni się śmieją). Uzbegy i Karakałpacy poznawali się bez żadnego trudu; tak samo i ci mieszkańcy kliniki, na których choćby raz padł cień drutów kolczastych.

Kostogłotow i Elizawieta Anatoliewna rozpoznali się nawza-

jem już od dawna i witali się jak starzy znajomi. Ale nigdy jeszcze nie doszło między nimi do rozmowy.

Oleg podszedł do jej stolika, powłócząc nocnymi pantoflami, żeby usłyszała, żeby się nie przestraszyła.

— Dobry wieczór, Elizawieta Anatoliewna!

Przy lekturze nie używała okularów. Zwróciła ku niemu głowę i już ten ruch wyglądał zupełnie inaczej, niż kiedy zwracano się do niej w sprawach służbowych.

„Dobry wieczór” — to był pełen godności uśmiech starszej pani, która we własnym domu pozdrawia miłego gościa.

Przyjaźnie patrzyli na siebie, nie śpieszyło im się do rozpoczęcia rozmowy. Ich spojrzenia znaczyły, że każdej chwili są sobie gotowi wzajemnie dopomóc. Tylko że pomoc nie są w stanie.

Oleg przechylił na stronę kudłaty łeb, żeby lepiej przyjrzeć się książce.

— Znowu po francusku? A co mianowicie?

Dziwna sanitariuszka odpowiedziała, bardzo łagodnie wymawiając literę „r”.

— Claude Farrière.

— Skąd bierzecie te francuskie książki?

— W mieście jest cudzoziemska biblioteka. A ponadto pożyczam u pewnej staruszki.

Kostogłotow przyglądał się książce z ukosa, niczym pies wypchanemu ptakowi.

— A dlaczego zawsze francuskie?

Zmarszczki zbiegające się przy jej oczach i ustach świadczyły zarówno w wieku, jak o wielkim znużeniu i rozumie.

— Cierpienie przy lekturze jest mniejsze — odpowiedziała sanitariuszka. Mówiła zawsze cicho, wymowę miała łagodną.

— A po cóż bać się cierpienia? — zaprzeczył Oleg.

Trudno mu było utrzymywać się długo w postawie stojącej. Zauważyła to i przysunęła mu krzesło.

— U nas w Rosji, od jak dawna? — już na pewno od dwustu lat nic tylko Paryż! Paryż! Aż w uszach huczy! — pomrukiwał Kostogłotow. — Każdą paryską ulicę, każdą knajpę mamy znać na pamięć! A ja właśnie na przekór, wcale nie chcę poznać tego Paryża!

— Naprawdę nie macie żadnej chęci? — rozśmiała się Elizawieta Anatoljewna, a on za nią. — Lepiej pod władzę kominatury?

Śmiech mieli identyczny: zaczyna się i natychmiast urywa.

— A nie, naprawdę — zrzędził Kostogłotow. — Ten ich szczebiot, ta szybkość, ta łatwość wpadania w podniecenie, ta jakaś lekkomyślność w nagłej wymianie opinii. Od razu przecho-

dzi chęć przyhamować ich na miejscu: — Ej, przyjaciele! A jak-  
byście się zachowali, dostając stale w kit? A na betonie bez  
ciepłego kotła, co?

— To niesprawiedliwie. To znaczy, że uniknęli betonu. Wi-  
docznie zasłużyli.

— No być może. Może przeze mnie zazdrość przemawia.  
A jednak tak chętnie bym ich przyhamował.

Siedząc na krześle, ciągle przechylał się to w prawo to w lewo  
zbyt wielkim tułowiem. Nie szukając żadnego przejścia w rozm-  
wie, zapytał w sposób naturalny i bezpośredni:

— A was — za męża? Czy za siebie?

Odpowiedziała równie naturalnie i bezpośrednio, jak gdyby  
zapytał o sprawę dyżuru:

— Całą rodzinę. A kto za kogo, trudno pojąć.

— Teraz wszyscy razem?

— O, nie! Córka umarła na zesłaniu. Po wojnie przenieśli-  
my się tutaj. Stąd męża zabrali do drugiego kręgu. Do obozu.

— Jesteście sama?

— Z synkiem. Ośmioletnim.

Oleg patrzył na jej twarz, która nawet nie drgnęła.

Oczywiście, to przecież były rzeczowe sprawy.

— Do drugiego kręgu — to znaczy, że to było w czterdzie-  
tym dziewiątym?

— Tak.

— Tak.

— Normalne. A nazwa obozu?

— Stacja Tajszet.

Oleg uczynił ten sam gest.

— Jasne. Ozierłag. Wasz mąż może przebywać nawet nad  
samą Leną, a skrzynka pocztowa w Tajszecie.

— Wyście także tam byli? — czego jak czego, ale nadziei  
opanować nie mogła.

— Nie. Ale wiem. Te wszystkie etapy krzyżują się przecież  
ze sobą.

— Duzarskij?! Nie spotkaliście? Nigdzie?

A jednak wciąż żywiła nadzieję! Może spotkał... Zaraz opo-  
wie...

— Duzarskij — Oleg zacisnął usta. — Nie, nie spotkałem.  
Trudno spotkać wszystkich.

— Dwa listy rocznie! — poskarżyła się.

Oleg kiwnął głową potakująco. Normalnie.

— W ubiegłym roku otrzymałam tylko jeden list. W maju...  
I od tego czasu nic...

I już się trzęsała, jakby uwieszona na wątlej niteczce... Kobieta!

— Proszę nie przydawać temu żadnego znaczenia! — z całą pewnością siebie wyjaśniał Kostogłotow. — Dwa listy rocznie od każdego, wiecie ile to tysięcy? Cenzura jest leniwa. W Spasskim obozie zdarzyło się tak: zdun, też więzień, poszedł w lecie sprawdzać piece, i okazało się że w piecu pokoju, gdzie urzędowali cenzorzy, znalazł około dwustu niewysłanych listów. Zapomnieli spalić.

Wyjaśniał jej to z całą łagodnością, a i ona sama już dawno powinna się była do tych rzeczy przyzwyczać, a jednak patrzyła na niego teraz zdziwionymi, przestraszonymi oczami.

Człowiek jest taki dziwny, że ani rusz nie można go oduczyć zwyczajaj dziwienia się.

— To znaczy, że synek urodził się już na zsyłce?

Skinęła potakująco.

— I teraz musicie go utrzymywać z waszych zarobków? I nigdzie nie chcą dać lepszej pracy? Wszędzie robią zarzuty, wypominają? Mieszkacie pewnie w jakiejś nędznej budzie?

Niby to pytał, ale już w tych rzekomych pytaniach były zawarte odpowiedzi. I takie wszystko było jasne i oczywiste, że aż kwaśno robiło się w ustach.

Dłonie Elizawiey Anatoliewny, niewielkie dłonie, leżały na grubym nieoprawnym tomiku małego podręcznego formatu, o brzegach lekko ząbkowatych po rozcięciu stronic; papier był wyraźnie nie sowiecki. Dłonie były całe w zaciekach i siniakach, zniszczone praniem, gorącą wodą, szorowaniem podłóg.

— Gdybyż tylko chodziło o nędzną budę! — mówiła sanitariuszka. — Mam inny wielki kłopot: podраста inteligentny chłopiec, pyta o wszystko — jakże go mam wychowywać? Ładować w niego całą prawdę? Przecież to taka prawda, że nawet dorosły może oszaleć! Przecież to dynamit, od którego żebra pękają! Więc co — ukrywać prawdę, godzić go z życiem? Czy to słuszne? Co powiedziałby na to ojciec? I czy w ogóle się uda? — przecież chłopiec sam się rozgląda, sam widzi.

— Ładować w niego całą prawdę! — Oleg mocno przydusił dłonią szklany blat na stole. Powiedział to z taką pewnością, jak gdyby on sam już wprowadził w życie kilkudziesięciu chłopaków, nie popełniwszy najmniejszego błędu.

Wygiętymi dłońmi Elizawiea Anatoliewna podtrzymywała skronie tuż pod chustką i z niepokojem patrzyła na Olega. Czyżby dotknął jej najczulszego nerwu?

— Tak trudno wychowywać syna w nieobecności ojca! Ko-

nieczny jest jakiś fundament życia, jakiś kierunek — a skąd to wziąć? Ciągłe popełnia się błędy — to tu, to tam...

Oleg milczał. Słyszał o tym już dawniej, ale nie bardzo rozumiał.

— Oto dlaczego czytuję stare francuskie powieści, a zresztą wyłącznie na nocnych dyżurach. Nie wiem czy ci pisarze przemilczeli jakieś ważne sprawy czy nie, czy w owym czasie za kulisami istniało okrutne życie czy nie — nie wiem i dlatego czytam z całym spokojem.

— Narkoza?

— Dobrodziejstwo — poruszyła głowę w chustce białej jak u mniszki. — Nie znam u nas książek, które by nie drażniły. Niektórzy autorzy traktują czytelnika jak durnia. W innych książkach kłamstwa nie ma, widać że autorzy są bardzo z tego dumni. Z gruntowną rozważą dociekają jaką to polną drogą przejechał wielki poeta w tysiąc osiemnastym i którymś tam roku, i co to za pani o której wspomina na takiej i takiej stronicy. Może wyjaśnienie tych rzeczy kosztowało wiele wysiłku, ale za to jakie to bezpieczne! Wybrali najłatwiejszą drogę! Ale nic ich nie obchodzi los żywych, los tych którzy cierpią w dniu dzisiejszym.

W młodości pasowałoby do niej imię Lila. Na nosku jeszcze wtedy nie miała kolein od noszenia okularów. Panienska robiła słodkie oczy, parskała śmiechem, zaśmiewała się, w jej życiu mieściły się bzy, koronki, wiersze symbolistów — i żadna Cyganka nigdy jej nie przepowiedziała, że zakończy swoje życie jako pomywaczka gdzieś w Środkowej Azji.

— W zestawieniu z tym co przeżywamy — mówiła Eliza-wieta Anatoliewna — wszystkie tragedie literackie wydają mi się godne śmiechu. Aidzie pozwolono połączyć się z ukochanym człowiekiem i umrzeć razem z nim... A nam nie pozwalają nawet zasięgnąć wieści o tym człowieku. Gdybym pojechała do Ozier-łagu...

— Lepiej nie jeździć! Nie odniesie żadnego skutku!

— Dzieci w szkołach piszą wypracowania o nieszczęsnym, zatraconym, tragicznym życiu Anny Kareniny i coś tam jeszcze. A czyż Anna naprawdę była nieszczęśliwa? Wybrała swoją namiętność i zapłaciła za swoją namiętność, za swoje szczęście! Była wolnym, dumnym człowiekiem. A teraz taka sytuacja: do domu, w którym urodziliście się i mieszkali od urodzenia, w najbardziej pokojowym czasie wchodzą ludzie w szynelach i czapkach wojskowych i każą całej rodzinie opuścić i dom i miasto w ciągu dwudziestu czterech godzin. I wolno wam zabrać ze sobą tylko to, co mogąnieść wasze słabe ręce.

Wszystko, co te oczy miały do wypłakania, wypłakały już daw-



no. Już nie zostało w nich łez. I może tylko w godzinie ostatecznego przekleństwa mógł w nich jeszcze zapłonąć ogień.

— Otwieracie drzwi i wzywacie przechodniów z ulicy, żeby coś od was kupili, nie, żeby wam rzucili kilka groszy na chleb! Przychodzą doświadczeni handlarze, otrzaskani w świecie, wszystko wiedzący prócz tego jednego, że i ich jeszcze kiedyś dosięgnie piorun! — i za fortepian waszej matki ofiarowują wam bezwstydnie jedną setną wartości, a wasza córeczka z kokardą we włosach siada przy fortepianie żeby ostatni raz zagrać Mozarta, ale nagle w płacz i ucieka — więc po tym wszystkim po co mam czytać „Annę Kareninę”?! Może mi starczy tamtych wspomnień? A gdzie mam o nas przeczytać, o nas? Kiedyś po stu latach?

Jej głos niemal doszedł do krzyku, ale nie — trening tylu lat jej nie zdradził, to nie był krzyk. Tylko Kostogłotow usłyszał.

I, być może, Sibgatow siedzący w swojej wanience.

Nie wszystko o czym mówiła było mu znane, ale i tak znanych rzeczy było niemało.

— Leningrad? — domyślił się Kostogłotow. — Trzydziesty piąty rok?

— Poznajecie?

— Na jakiej mieszkaliście ulicy?

— Na Fursztackiej — żałośnie i zarazem niemal z radością przeciągnęła Elizawieta Anatoliewna. — A wy?

— Na Zachariewskiej. Tuż obok.

— Obok... Ileście wtedy mieli lat?

— Czternaście.

— Niczego nie pamiętacie?

— Mało co.

— Nie pamiętacie? Przecież to było jakby trzęsienia ziemi — mieszkania rozwarte na oścież, ludzie wchodzili, zabierali, wychodzili, nikt nikogo o nic nie pytał. Przecież wysiedlili wtedy jedną czwartą miasta. A wy — nie pamiętacie?

— Pamiętam. I co hańba: to wcale nie wydawało się takie ważne. W szkole nam wyjaśniano dlaczego to jest potrzebne, dłaczego jest takie pożyteczne.

Jak klaczka mocno ściągnięta uzdą, starzejąca się sanitariuszka wciąż podrzucała głowę wwyż i w dół.

— O oblężeniu Leningradu wszyscy rozprawiają! O oblężeniu pisze się poematy! To wolno. Ale przed oblężeniem tak jakby nic nie było!

Tak, tak. Tak samo wtedy w tejże wanience siedział i grzał się Sibgatow, za stołem siedziała Zoja, po tej stronie Kostogłot-

tow, i tu właśnie, przy tej samej lampie, rozmawiali o obłączeniu Leningradu, o czymże innym?

Przed obłączeniem przecież nic się w tym mieście nie wydarzyło.

Oleg westchnął, wsparł głowę na łokciu i popatrzył z udręką na Elizawietę Anatoliewną.

— Wstyd — powiedział bardzo cicho. — Dlaczego siedzimy spokojnie, dopóki uderzenie nie grzmotnie po nas samych i po naszych najbliższych? Czemu ludzie mają taki charakter?

Zrobiło mu się wstyd, że swoją własną mękę wyniósł powyżej pamińskich szczytów. Kobieta i mężczyzna — czego im od siebie nawzajem potrzeba? Jak gdyby to jedno było w życiu najważniejsze... Jak gdyby i bez tego nie było w jego ojczyźnie ani męczarni, ani szczęścia...

Było mu wstyd, ale zarazem znacznie się uspokoił. Cudze tragedie, przepływając przez niego, łagodziły jego własną.

— Kilka lat wcześniej — wspominała Elizawieta Anatoliewna — wysiedlano z Leningradu resztki szlachty. Także pewnie jakieś ze sto tysięcy — a czy myśmy tak bardzo zauważyli? I jakież tam pozostały szlachetki? Starzy, drobni, bezradni ludzie. Wiedzieliśmy, patrzyliśmy i nic: nas przecież wtedy nie ruszano.

— I kupowali od nich fortepiany?

— Może kupowali. Na pewno kupowali.

Teraz, po dokładnym przyjrzeniu się, Oleg zorientował się że ta kobieta nie miała jeszcze nawet pięćdziesięciu lat. A już można ją było uznać za staruszkę. Spod białej chustki wysunęło się gładkie, siwe pasmo włosów, już nie nadające się do fryzowania.

— Kiedy was wysiedlali, to za co? Jak to było uzasadnione?

— Zwyczajnie: szkodnicy. Albo SOE — element społecznie niebezpieczny. Automatyczne artykuły, bez sądu, wygodnie.

— Kim był wasz mąż?

— Nikim. Grał na flecie w orkiestrze filharmonii. Po pijanemu lubił mędrkować.

Oleg przypomniał sobie swoją nieboszczkę matkę. Także przedwcześnie postarzała staruszka, inteligentna, zawsze czynna, bezradna w nieobecności męża.

Gdyby mieszkali w tym samym mieście, może potrafiłby tej kobiecie jakoś dopomóc. Pokierować synem.

Ale jak owady, nakłute na szpilki, każde z nich miało wyznaczoną swoją osobną klóteczkę.

— W rodzinie naszych znajomych — gdy już raz zaczęła opowiadać, nie mogła się powstrzymać, musiała rozładować długotrwałe milczenie — było dwoje dzieci, córka i syn, oboje płómienni komsomolcy. I nagle — cała rodzina została skazana na

zesłanie. Młodzi rzucili się do rejonowego komitetu Komsomołu: — Ratujcie! „Poratujemy” — powiedziano im. — Macie tu papierek, piszcie: prosimy by poczynając od tej daty „nie uważano nas za córkę i syna naszych rodziców, wyrzekamy się ich jako elementów społecznie szkodliwych i obiecujemy, że więcej żadnych związków z nimi nie będziemy utrzymywać i nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego”.

Oleg zgarbił się, jeszcze bardziej wylazły do przodu jego kościste ramiona, głowa opadła.

— Wielu podpisywało...

— Tak. Ale ci dwoje — brat i siostra — powiedzieli: zastanowimy się. Wrócili do domu, spalili w piecu swoje komsomolskie legitymacje, i zaczęli się zbierać do wyjazdu na zesłanie.

Sibgatow poruszył się. Trzymając się łóżka, podnosił się ze swojej wanienki.

Sanitariuszka zerwała się — trzeba było zabrać wanienkę i wynieść.

Oleg podniósł się również i przed powrotem do łóżka poszedł schodami na dół.

W dolnym korytarzu przechodził koło pokoju gdzie leżał Diomka, potem położono tam pacjenta który po operacji umarł w poniedziałek, a na jego miejsce przyniesiono Szułubina, też już zoperowanego.

Zazwyczaj drzwi były szczelnie zamknięte, ale teraz ktoś je zostawił półotwarte. Za drzwiami panował zupełny mrok, w mroku rozlegało się ciężkie charczenie. Nie widać było żadnej pielęgniarki: albo znajdowały się przy innych chorych, albo spały.

Oleg otworzył drzwi szerzej i wszedł do środka. Diomka spał. Jękliwe charczenie pochodziło od Szułubina.

Oleg podszedł bliżej. Otwarte drzwi przepuszczały nieco światła z korytarza.

— Aleksiej Filipycz!

Charczenie urwało się.

— Aleksiej Filipycz! Czujecie się źle?

— Co? — ten sam głos zacharczał znowu.

— Czujecie się źle? Chcecie żeby wam co przynieść? Zapalić światło?

— Kto to? — przestraszony napad kaszlu a potem głęboki jęk, bo widocznie kaszel wywołał ból.

— To ja, Oleg Kostogłotow. — Już był obok, tuż u węgłowia, i zaczął odróżniać na poduszce wielką głowę Szułubina. — Czego potrzebujecie? Mam zawołać pielęgniarkę?

— Nie trzeba — wyjęczał Szułubin.

Juz nie kaszłał, nie jęczał. Oleg widział go coraz wyraźniej, nawet skręcone pasma włosów na poduszce.

— Nie umrę całkowicie — wyszeptał Szułubin. — Całkowicie nie umrę.

A więc mówił w malignie.

Kostogłotow natrafił na rozpaloną rękę na kołdrze, z lekka ją ścisnął.

— Aleksiej Filipycz, przed wami życie! Trzymajcie się, Aleksiej Filipycz!

— Odłamek, co? Jeden odłamek? — szeptał chory.

Dopiero teraz Oleg zrozumiał, że Szułubin nie był w malignie, że go nawet poznał i nawiązywał do ostatniej rozmowy przed operacją. Powiedział mu wtedy: „Niekiedy wyraźnie odczuwam, że to co we mnie tkwi to nie tylko ja sam. Jest we mnie coś niezniszczalnego, coś wzniosłego! Jakiś odłamek Ducha Powsechnego! Wy tego nie odczuwacie?”.

## 35.

### PIERWSZY DZIEŃ STWORZENIA

Wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze spali, Oleg wstał, nie robiąc hałasu, zaścielił jak należało łóżko — wykładając prześcieradło na kołdrę z czterech stron, i wyszedł z sali na palcach w swoich ciężkich buciorach.

Za stołem dyżurnej pielęgniarki siedział i spał Turgun. Dłonie spoczywały na otwartym podręczniku, na dłoniach leżała czarnowłosa głowa.

Stara sanitariuszka na dolnym piętrze puściła go do łazienki. Przebrał się w swoje stare ubranie, od którego już zdążył się nieco odzwyczaić: wojskowe spodnie, drelichową koszulę, płaszcz. W łazgrze odkładał to wszystko na zapas, więc zachowało się trochę tylko podniszczone. Natomiast zimowa czapka była cywilna — kupił ją w Usz-Tereku. Była trochę za mała i uciskała czoło. Dzień zapowiadał się ciepły. Oleg zdecydował, że czapki w ogóle nie włoży, zanadto w niej wyglądał jak czupiradło. Pas założył nie na płaszcz, lecz pod spód, tak że na ulicy mógł się wydać żołnierzem zwolnionym z wojska, albo zbiegłym z odwachu. Czapkę wsadził do worka. Był to worek jeszcze z frontu, stary, przetłuszczony, z jedną dziurą wypaloną u ogniska, a drugą, zała-

taną, od ułamka pocisku. Kiedy został aresztowany, ciotka przyniosła mu do więzienia ten worek — on sam prosił, żeby mu nic lepszego do obozu nie dawano.

Ale nawet takie ubranie, po szpitalnym szlafroku, zdawało się dodawać fasonu, nawet dziarskości i zdrowia.

Kostogłotow starał się wyjść jak najszybciej, w obawie że coś go może zatrzymać. Sanitariuszka odsunęła skobel wejściowych drzwi i wypuściła go na zewnątrz.

Wyszedł na ganek i zatrzymał się. Odetchnął szeroko świeżym powietrzem, jeszcze nie poruszonym, nie zmaconym. Rozejrzał się — dokoła był młody, zieleniejący świat! Podniósł głowę do góry — niebo było zaróżowione słońcem, które gdzieś tam już weszło. Podniósł głowę jeszcze wyżej — przez całą szerokość niebieskiej kopuły szły pierzaste obłoki, jakże pięknie utkane, wiekuiste obłoki! Zanim się rozpląną, istnieją przez kilka tylko chwil, dla tych niewielu co właśnie podnieśli głowy do góry — może tylko dla jednego Kostogłotowa w tym całym mieście!

A poprzez pierzaste, spienione, postrzępione koronkowo obłoki płynęła dobrze widoczna, połyskująca, wyrazista łódź ubywającego księżycy...

To był pierwszy poranek stworzenia! Świat powstawał ponownie tylko po to, żeby powiedzieć Olegowi: — Idź i żyj!

Tylko księżyc nie był pierwszej młodości, nie z tych księżyców, które zawsze mają odpowiedź dla zakochanych.

Oleg poszedł przez znane mu aleje, nikogo nie spotkał oprócz starego zamiatacza, i tak szedł, ze szczęściem na twarzy, uśmiechając się nie wiadomo do kogo — do nieba, do drzew, wypełniony tą radością wczesnej wiosny, wczesnego poranka, która udziela się zarówno starcom jak chorym.

Odwrócił się w kierunku oddziału chorych na raka. Na poły przesłonięty wysokimi miotełkami topoli, gmach wznosił się w całej swej okazałości, każda jasnoszara cegła widniała oddzielnie — po siedemdziesięciu latach nie zestarzał się nic a nic.

Oleg szedł i żegnał się z ogrodowymi drzewami. Z gałęzi klonów już zwisały pierwsze kiście jak długie usznice. Ałycza już pokryła się kwiatami; kwiaty były białe, ale na tle liści sprawiała wrażenie jasnozielonych.

Za to nie było tu ani jednego u r i u k a. Opowiadali, że już zakwitł. Najlepiej poszukać go na Starym Mieście. W pierwszy poranek stworzenia któż jest w stanie zdobyć się na rozsądne postępowanie? Oleg wpadł na nonsensowny pomysł, niszczący wszystkie jego dotychczasowe plany: natychmiast, wczesnym rankiem, pojedzie na Stare Miasto żeby popatrzeć na kwitnący u r i u k.

Przeszedł przez zakazaną dotychczas bramę i ujrzał prawie pusty o tej porze plac z pętlą tramwajowych szyn po środku. Tędy szedł, zmoknięty pod styczniowym deszczem, ponury, pozbawiony wszelkiej nadziei, zbliżał się do tej bramy jak do własnej śmierci.

A teraz wychodził z tej samej szpitalnej bramy, jakby to była brama więzienia.

W styczniu, kiedy starał się o przyjęcie do szpitala, zgrzytające, podskakujące na zakrętach, przepełnione tramwaje wymęczyły go do reszty. A teraz gdy siedział wygodnie przy oknie, nawet te tramwajowe zgrzyty sprawiały mu przyjemność. Jazda tramwajem dawała jednak poczucie życia, poczucie wolności.

Tramwaj włókł się przez most na rzeczce. Na dole chyliły się słabowite wierzby płaczące, a ich gałęzie zwisające ku bystrej, żółto-brunatnej wodzie, już się zazieleśniły z całą wiosenną ufnością.

Pokryły się również zielenią drzewa rosnące wzdłuż chodników, ale nie były w stanie przesłonić sobą jednopiętrowych, solidnie z kamienia zbudowanych domów, wzniesionych przez ludzi, którym się nie śpieszyło. Oleg patrzył z zazdrością: są jednak szczęśliwcy, którzy mieszkają w takich domach! Dzielnica była zadziwiająca: niezmiernie szerokie chodniki, równie szerokie bulwary. Ale któreż miasto może się nie spodobać, jeśli się je ogląda wczesnym, zaróżowionym ranem!

Stopniowo wygląd miasta zmieniał się: znikły bulwary, zwięzły się ulice, uciekały domy wzniesione w pośpiechu, bez dbałości o ich trwałość i piękno. Na pewno budowano je tuż przed wojną. Oleg przeczytał nazwę ulicy — wydała mu się znajoma.

Naturalnie, przecież tu mieszkała Zoja!

Wyjął notesik o kartkach z szorstkiego papieru, znalazł numer domu. Zaczął znowu patrzeć przez okno i gdy tramwaj zwolnił, zobaczył ten dom: dwupiętrowy, o różnorodnych oknach; brama była szeroko otwarta, a może w ogóle wyłamana, na podwórku widniały jakieś niewielkie oficyny.

A więc to gdzieś tu. Można by było się zatrzymać.

Nie jest w tym mieście człowiekiem całkowicie bezdomnym. Tu mieszka dziewczyna, która go do siebie zaprosiła.

Ale jechał dalej, niemal z radością rejestrując kolejne podskakiwania i zgrzyty. Tramwaj był wciąż pustawy. Naprzeciw Olega siedział stary Uzbek w okularach, ale nie prostak, wyglądał na uczonego dawnego typu. Kiedy konduktorka wręczyła mu bilet, Uzbek zwinął go i wsadził do ucha. Jechał, a z ucha sterczał mu zwitek różowej bibułki. Wjechali do Starego Miasta i na widok całego otoczenia Olegowi zrobiło się jeszcze weselej.

Ulice były teraz coraz węższe, malutkie domki zbijały się w kupę, jeden do drugiego, potem znikły okna wychodzące na ulicę, pojawiły się wysokie, ślepe ściany z gliny, a jeśli gdzieś nad nimi widniał dom, to również ustawiony do ulicy ślepa, jednostajną ścianą, oblepioną warstwą gliny. Tu i ówdzie widać było furtki lub niskie otwory: żeby wejść do środka, trzeba było dobrze się pochylić. Ze stopnia tramwaju można było zeskończyć od razu na chodnik, chodniki stały się wąskie — na jeden krok. Ulica szła w dół, tramwaj zjeżdżał po niej z góry.

To właśnie było to Stare Miasto, które Oleg chciał zwiedzić. Ale nie tylko kwitnącego *u r i u k a*, na pustych ulicach w ogóle nie było żadnych drzew.

Nie było sensu jechać dalej. Oleg wysiadł.

Teraz widział to samo co przez okno, ale dokładniej, idąc powoli przez miasto. Gdy uciхло zgrzytanie tramwaju, usłyszał jak gdyby postukiwanie żelaza. Po chwili ujrzał Uzbeka w czarnobiałej okrągłej czapeczce, w czarnym, pikowanym chałacie, przepasanym różową szarfą. Uzbek siedział w kucki na środku ulicy i na tramwajowej szynie klepał młotkiem ostrze motyki.

Oleg przystanął i przyglądał się z pewnym roztkliwieniem: oto wiek atomowy! Podobnie jak w Usz-Tereku, tak mało także i tu metalu w każdym gospodarstwie, że Uzbek musiał sobie poszukać trawajowej szyny. Oleg patrzył, czy zdąży z robotą zanim nadejdzie następny tramwaj. Ale Uzbek wcale się nie śpieszył, starannie klepał swoją motykę, a gdy z dołu zahuczał tramwaj, idący w odwrotnym kierunku, cofnął się od szyn o pół kroku, przeczekał i znowu przykucnął.

Oleg patrzył na cierpliwie plecy Uzbeka, na różową szarfę którą był przepasany (jakby wzięła w siebie całą różowość nieba, które już pobłękitniało); nie mógłby z nim zamienić nawet paru słów, ale rozpoznał w nim ciężko pracującego swojaka.

Klepanie motyki wiosennym rankiem — czyż to nie powrót do życia?

— Jak dobrze!

Szedł powolutku, zdziwiony że nigdzie nie widać okien. Miał wielką chęć zajrzeć, sprawdzić co się tam dzieje za wysokimi ścianami. Ale wszystkie furtki były pozamykane, nie wypadało ich otwierać. Aż nagle napotkał wąskie przejście bez furtki. Pochylił się i tchnącym wilgocią tunelem przeszedł na podwórko.

Wszyscy jeszcze spali, ale nie trudno było odgadnąć że właśnie na tym podwórku koncentruje się całe życie mieszkańców. Pod drzewem wkopana była w ziemię ławka, obok stół, dokoła porzucane zabawki dziecinne całkiem nowoczesnego typu. Wąską rynienką sączyła się woda, nieco z boku koryto do prania. Wszę-



dzie okna — wiele było okien w tym domu — wszystkie wychodzące na podwórze. A od strony ulicy ani jednego.

Oleg ruszył dalej i przez takie same niskie wejście wszedł na inne podwórze. Wyglądało identycznie. Młoda Uzbeczka w liliowej zarzutce, z długimi, cienkimi plecionkami czarnych warkoczy, sięgających bioder, zajęta była małą dzieciarnią. Spojrzała na Olega, ale udała że go nie zauważa. Poszedł.

Wszystko to było sprzeczne z obyczajem rosyjskim. W rosyjskich wsiach i miastach okna najlepszych izb wychodzą właśnie na ulicę, i gospodynie poprzez kwiaty w doniczkach i firanki, niczym z leśnej zasadzki, wypatrują czy ktoś nieznany nie idzie ulicą, kto do kogo wstąpił i po co. Olegowi nie łatwo przyszło zrozumieć i zaakceptować wschodni sposób bycia: nie chce wiedzieć jakie jest twoje życie, ale ty również do mnie nie zaglądam!

Po tylu latach spędzonych w obozie, czy były więzień, zawsze na widoku, zawsze dokładnie zbadany, oglądany i zrewidowany, mógłby znaleźć dla siebie lepszy sposób życia?

Stare Miasto podobało mu się coraz bardziej.

Już przedtem dojrzał w przerwie między domami herbaciarnię, jeszcze bezludną o tej porze; właściciel zaledwie się zbudził. Teraz trafiła się inna herbaciarnia, ale na balkonie sterczącym nad ulicą. Oleg wszedł na górę. Siedziało tu już kilku mężczyzn w jarmałkach różnego koloru: pstrokatych, bordo, niebieskich — i starzec w białym turbanie z barwnym wyszyciem. Ani jednej kobiety. Oleg przypomniał sobie, że w żadnej czajchanie nigdy nie widywał kobiet. Nie było zabraniającego napisu, ale i tak wiadomo że przychodzić nie powinny.

Oleg zamyślił się. W tym pierwszym dniu nowego życia wszystko było dla niego nowe, wszystko trzeba było zrozumieć od początku. Czy tutejsi mężczyźni zbierają się oddzielnie po to, by podkreślić że ich główne życie obchodzi się bez kobiet?

Usiadł tuż przy poręczy. Było stąd wygodnie obserwować co się dzieje na ulicy. Zaczynała się ożywiać, ale nie zauważył w ruchach przechodniów żadnego miejskiego pośpiechu. Wszyscy poruszali się w zwolnionym tempie. Siedzący w herbaciarni zastygli w spokojnym bezruchu.

Można było uznać, że sierżant Kostogłotow, aresztant Kostogłotow, po odbyciu wszystkiego czego żądali od niego ludzie, po przejściu przez cierpienia narzucone mu przez chorobę — umarł jeszcze w styczniu. A teraz, zataczając się na niepewnych nogach, wyszedł ze szpitala jakiś inny Kostogłotow, „wysmukły, szklisty i przezroczysty”, jak mawiano w obozie; wyszedł nie na całe życie, ale na jego małe uzupełnienie. Podobnie do racji chleba

dołączają dodatkowy kawałek, przykłuty sosnowym patykiem: niby należy do tej racji, a w rzeczywistości jest osobno.

Więc Oleg, rozpoczynając dziś to swoje nowe, dodatkowe, podwójnie niewolnicze życie, chciał żeby nie było w niczym podobne do poprzedniego. Pragnął nie popełniać więcej żadnych pomyłek.

I pomylił się od razu przy wyborze czajnika; lepiej było nie mędrkować i wziąć znaną ciemną herbatę. A on, żeby było bardziej egzotycznie, wybrał zieloną herbatę zwaną k o k. Nie było w niej ani mocy, ani świeżości, smak jakiś zupełnie nie herbaciany, i Oleg miał chęć wylać resztki z uzbieranymi na dnie fusami.

Tymczasem słońce szło coraz wyżej, dzień nabierał ciepła. Oleg miałby chęć zjeść to i owo, ale w herbaciarni nie było nic do zjedzenia — tylko dwa rodzaje gorącej herbaty, a i to bez cukru.

Mimo wszystko nie wstał, nie wyszedł żeby poszukać jedzenia, siedział nadal, a tylko krzesło ustawił w innej pozycji; już zdążył ulec tutejszemu sposobowi bycia, obojętnemu brakowi pośpiechu. I właśnie wtedy z balkonu czajchany dojrzał nad sąsiednim, otoczonym ślepą ścianą podwórkiem jak gdyby różowego, przezroczystego dmuchawca, ale o średnicy sześciometrowej — różowy, wiszący w powietrzu, pozbawiony ciężaru balon. Takiej ogromnej, rozrastającej się różowości jeszcze nigdy w życiu nie widział.

U r i u k ? ?

Oleg pomyślał: oto nagroda za cierpliwość. To znaczy, że nie należy nigdzie się wyrwać, nie rozejrzawszy się przedtem dokoła.

Podszedł bliżej, do samej balustrady, i z góry patrzył na przezroczyste, różowiejące чудо.

To był dla niego podarunek — w pierwszym dniu Stworzenia.

Ten jedyny kwitnący uriuk stał pośrodku podwórka, zamkniętego ze wszystkich stron glinianymi ścianami i otwartego jedynie ku niebu; tak w pokoju domu na Północy stoi ozdobna choinka ze świeczkami. Pod uriukiem łąziły na czworakach dzieciaki i kobieta w czarnej chustce z zielonymi kwiatami spulchniała ziemię motyką.

Oleg wciąż się przyglądał. Różowość — to było ogólne wrażenie. Duże pąki, podobne do świec, były purpurowe, rozwijające się kwiaty różowe, a całkiem rozwinięte — po prostu białe jak kwiaty jabłoni albo wiśni. Ale wszystko razem sprawiało wrażenie różowości, delikatnej nie do wiary. Oleg łapczywie chłonał

ją oczami, żeby zachować dokładnie w pamięci i opowiedzieć Kadminom po powrocie.

Chciał zobaczyć cudo — i znalazł cudo.

Ileż jeszcze radości czekało go dziś w tym dopiero co narodzonym świecie!

Płynącego jak łódka księżycy już nie było widać.

Zszedł schodami na ulicę. Gołej głowie zaczynała dokuczać spiekota. Należało teraz kupić czterysta gramów czarnego chleba, wrębać go na sucho i jechać do śródmieścia. Może to poruszanie się na wolności tak go podnieciło, bo czuł się całkiem dobrze i nie odczuwał żadnych mdłości.

Nagle spostrzegł stragan, całkowicie mieszczący się we wgłębieniu glinianej ściany, tak że nie wystawał na ulicę. Płótno przykrywające stragan było podniesione do góry jak zadarty daszek czapki, trzymając się na dwóch skośnych podpórkach. Spod płótna ciągnął sinawy dymek. Oleg musiał dobrze pochylić głowę żeby stanąć pod daszkiem, a i tam nie mógł wyprostować szyi.

Wzdłuż szynkwasu ciągnął się długi żelazny ruszt. Z jednej strony tlił się ogień, cała reszta pokryta była siwym popiołem. W poprzek, nad ogniem, leżało kilkanaście zaostrzonych aluminiowych prętów z nadzianymi na nie kawałkami mięsa.

Oleg domyślił się: to był szaszłyk! Jeszcze jedno odkrycie w pierwszym dniu na nowo stworzonego świata, ten sam szaszłyk o którym tyle opowiadano w więziennych rozmowach na gastronomiczne tematy. Ale w ciągu trzydziestu czterech lat życia Oleg nigdy nie miał okazji zobaczyć go własnymi oczami: na Kaukazie nie był, do restauracji nie zaglądał, a w stołówkach przed wojną wydawano jedynie gołąbki i perłową kaszę.

Szaszłyk!

Jakież pociągający był zapach — ta pomieszana woń dymu i mięsa! Mięso na prętach jeszcze się nie przypaliło, nawet nie nabrało brązowego koloru; było delikatnej różowo-szarej barwy, jak zwykle gdy zaczyna się dopiero przyrumieniać. Straganiarz o tłustej, okrągłej twarzy przekręcał pręty bez pośpiechu, a inne odsuwał od ognia.

— Po ile? — zapytał Kostogłotow.

— Trzy — sennym głosem odpowiedział straganiarz.

Oleg nie zrozumiał co ma oznaczać ta liczba t r z y. Trzy kopiejki to byłoby za mało, trzy ruble to chyba zbyt dużo. Może trzy pręciki za rubla? Odkąd wyszedł z obozu, wciąż wpadał w niezręczne sytuacje: w żaden sposób nie mógł się zorientować w rozpiętości cen.

— Ile za trzy ruble? — próbował się wykłębnić.

Straganiarzowi nie chciało się mówić. Podniósł jeden pręcik, pokiwał nim przed Olegiem jak przed dzieckiem i znowu położył na ruszcie.

— Trzy ruble? Jeden pręcik? — Oleg pokręcił głową. To już przekraczało jego pojęcia. Pięć rubli miało mu wystarczyć na całodzienne utrzymanie. Ale miał taką chęć na skosztowanie szaszłyku! Przyglądał się uważnie kawałkom mięsa i wybierał najlepszy rożenek. A było na co się skusić!

Niedaleko czekało trzech szoferów, tuż obok stały na ulicy ich ciężarówki. Zbliżyła się jakaś kobieta, straganiarz powiedział jej coś po uzbecku — odeszła niezadowolona. Straganiarz ułożył wszystkie rożenki na jednym talerzu, palcami dorzucił drobno pokrajanej cebuli, potem prysnął z buteleczki. Oleg zrozumiał, że szoferzy zabierają wszystek szaszłyk, całe piętnaście porcji!

To były zupełnie niezrozumiałe, niebotyczne ceny i równie wygórowane zarobki, obowiązujące tu wszędzie, a Oleg nie mógł sobie tego wyobrazić, ani tym bardziej osiągnąć takiej wysokości. Przekąska każdego z tych szoferów kosztowała piętnaście rubli, a możliwe że nie było to wcale ich wyłączone śniadanie. Pensji nie mogło wystarczyć na taki tryb życia, a więc szaszłyk był nie dla takich co żyją z pensji.

— Więcej nie ma — powiedział straganiarz do Olega.

— Jak to nie ma? W ogóle nie ma? — Oleg mocno się zmartwił. Po co się zastanawiał?! Kto wie, czy to nie była pierwsza i ostatnia okazja w życiu!

— Dziś nie było dostawy. — Straganiarz już zaczął związać cały swój interes i nawet zbierał się opuścić płócienny daszek kramu.

Wtedy Oleg zwrócił się z błagalną prośbą do szoferów:

— Braciszku, odstąpcie mi przynajmniej jedną porcyjkę! Braciszku, odstąpcie!

Jeden z szoferów, młody, mocno opalony chłopak o czuprynie jasnej jak len zwrócił się ku Olegowi.

— Masz, bierz!

Jeszcze nie zapłacili. Oleg wydobył zielony banknot z kieszeni spiętej agrafką. Straganiarz nawet nie wziął go do ręki, tylko strzepnął z lady do szuflady, jak gdyby chodziło o okruchy lub o śmiecie.

Ale rożenek z szaszłykiem już należał do Olega! Żołnierski worek zostawił na zakurzonej ziemi, wziął rożenek w obie dłonie i policzył kawałeczki mięsa. Było ich pięć tej samej wielkości, a szósty — mniejszy, właściwie połówka. Zębami zaczął je ściągać z rożenka, ale nie od razu, lecz po trochu. Jadł w skupieniu, jak swoją porcję je pies ukryty w bezpiecznym kącie, i zastana-

wiał się jak łatwo podniecić ludzkie pożądanie i jak trudno je potem насыcić. Przez ileż to lat kromka czarnego chleba była dla niego jednym z największych ziemskich darów! Przed chwilą chciał go kupić na śniadanie, ale oto wraz z siwym dymem doszła do niego woń pieczonego mięsa, dostał do ogryzienia rożenek z szaszłykiem i już zaczynał gardzić czarnym chlebem.

Szoferzy skończyli się posilać, zapuścili motory i odjechali, a Oleg wciąż jeszcze obcmoktywał resztki szaszłyku. Wargami i językiem smakował każdy kawałeczek, sprawdzał delikatność mięsa i jego aromat, czy dobrze jest przyrządzone i nie zanadto przypieczone, ile pierwotnej pokusy tai się w każdym kawałeczku. Im bardziej się rozsmakowywał i rozkoszował, tym jaśniej zdawał sobie sprawę że droga do Zoji jest przed nim szczelnie zamknięta. Zaraz przejedzie tramwajem obok jej domu i nie wysiądzie. Rozmyślając nad porcją szaszłyku, doszedł do takiego wniosku ponad wszelką wątpliwość.

Tą samą ulicą co przedtem, tylko że w kierunku śródmieścia, włókł się jego tramwaj, obecnie już przepełniony. Oleg poznał przystanek koło domu Zoji, ale wyminął jeszcze dwa następne. Nie orientował się gdzie najlepiej wysiąść, gdy nagle kobieta sprzedająca gazety zaczęła je podawać przez okna. Oleg postanowił przyrzeć się tej sprzedaży; ulicznych gazeciarzy widywał tylko w dzieciństwie (po raz ostatni, kiedy zastrzelił się Majakowski i chłopcy biegali z nadzwyczajnym wydaniem). Ale tu sprzedawczynią była starsza kobieta, Rosjanka, niezbyt bystra, długo szukająca reszty. Mimo wszystko pomysł chwycił i do każdego tramwaju dążyła sprzedać po kilka egzemplarzy. Oleg stał obok, przypatrywał się jak jej idzie.

— Milicja nie pędzi? — zapytał.

— Jakoś dotychczas się nie połapali — odparła gazeciarka.

Kostogłotow nie widział samego siebie, zapomniał o własnym wyglądzie. Każdy milicjant, gdyby mu się przyjrzał, zażądałby dokumentów raczej od niego niż od gazeciarki.

Na zegarze elektrycznym wiszącym nad ulicą była dopiero dziewiąta, ale już tak gorąco że Oleg zaczął odpinać górne haftki płaszcza. Nie śpiesząc się, nie zwracając uwagi na tych co go wyprzedzali i popychali, szedł słoneczną stroną placu, mrużył oczy i uśmiechał się do słońca.

Dzisiejszego dnia oczekiwało go jeszcze wiele radości!

To było słońce wiosny, do której nie spodziewał się dożyć. Nikt dokoła nie radował się z powrotu Olega do życia, nikt nic o nim nie wiedział — ale właśnie słońce wiedziało i dlatego się do niego uśmiechał. I gdyby nawet miało nie być wiosny następ-

nej, choćby to miała być ostatnia podarowana wiosna, wielkie dzięki i za to!

Nikt z przechodzących osób nie wykazywał radości na widok Olega, a on był im wszystkim rad. Cieszył się, że powrócił między ludzi. Cieszył się z ulicznego ruchu. W tym świecie, na nowo dla niego stworzonym, wszystko wydawało mu się interesujące, nic nie mogło być brzydkie ani odrażające! Całe miesiące, całe lata życia nie mogły równać się z tym jednym, szczytowym dniem!

Na ulicy sprzedawano lody w tekturowych kubeczkach. Oleg nawet nie pamiętał kiedy oglądał takie kubeczki. Poleciało jeszcze półtora rubla. Poprzepalany, przestrzelony worek na plecach, obydwie dłonie wolne, Oleg szedł teraz całkiem powoli i drewnianą łopatką grzebał w białej, zimnej masie.

Trafił na zakład fotograficzny z wystawą. Tu padał cień, Oleg oparł się o żelazną poręcz i zapatrzył się na długo. Na tej wystawie oglądało się ulepszone życie i wypięknione twarze, zwłaszcza u dziewcząt, a naturalnie kobiecych zdjęć było najwięcej. Każda z nich włożyła na siebie co miała najlepszego, potem fotograf wykręcał jej głowę na wszystkie strony i wielokrotnie przestawiał lampy, następnie robił kilka zdjęć, wybierał z nich najlepsze i retuszował. Wreszcie wybierał co dziesiątą dziewczynę i dopiero te wybrane wędrowały na wystawę. Oleg dobrze o tym wiedział, a jednak przyjemnie było tak stać i wmawiać w siebie, że tylko takie właśnie dziewczyny istnieją w naszym życiu. Za wszystkie zmarnowane lata, za to czego nie dożyje, za to czego jest pozbawiony — wpatrywał się niemal bezwstydnie i nie mógł się napatrzyć.

Lody były już zjedzone, tekturowy kubeczek należało wyrzucić, ale taki był gładki i czysty, że Oleg pomyślał: w podróży można się z niego napić. Wsunął kubeczek do worka. Zachował również drewnianą łopatkę — i ona może się przydać.

Nieco dalej trafił na aptekę. To także bardzo interesująca instytucja! Kostogłotow natychmiast wszedł do środka. Lśniące czystością, prostokątne lady — można by im się przypatrywać przez cały dzień! Przedmioty znajdujące się w aptece były tak dziwaczne dla oczu człowieka z obozu, niespotykane przez całe dziesięciolecie! Nawet jeżeli Oleg widywał niektóre z nich, gdy jeszcze przebywał na wolności, to już nie pamiętał ich nazw, albo nie wiedział do czego właściwie służą. Z szacunkiem dzikusy przyglądał się niklowanym, szklanym i plastikowym formom. Dalej były różne zioła w paczuszkach z napisami, wyjaśniającymi ich działanie. Do ziół Oleg żywił duże zaufanie, ale gdzie znaleźć to właściwe dla niego zioło — gdzie? Dalej na półkach, za szybami, stały słoiki z pastylkami i pigułkami, a wszystkie o dziw-



nych nazwach, nigdy w życiu nie słyszanych. Widok wnętrza tej apteki budził w Olegu nieskończoną ilość spostrzeżeń i refleksji. Wzdychał idąc od jednej półki do drugiej, aż poszedł wykonać zamówienie Kadminów. Chodziło o specjalny termometr, sodę i mangan. Termometru nie było, sody również, był tylko mangan. Kazano mu najpierw pójść do kasy i zapłacić trzy kopiejki.

Potem Kostogłotow stanął w kolejce do działu recepcyjnego i czekał około dwudziestu minut. Było duszno, czuł się źle, zdjął worek z pleców. Mimo wszystko trochę się wahał — a może jednak kupić lekarstwo? Podał przy okienku jedną z trzech identycznych recept, które wczoraj wręczyła mu Wega. Miał nadzieję, że tego lekarstwa nie mają i w ten sposób zagadnienie zniknie samo przez się. Okazało się, że mają. Obliczyli i wypisali mu cenę: pięćdziesiąt osiem rubli z kopiejkami.

Oleg roześmiał się nie bez ulgi i odszedł. Że na każdym kroku w życiu prześladuje go ta liczba „pięćdziesiąt osiem”, wcale się nie zdziwił. Ale że za trzy recepty ma wybulić całe sto siedemdziesiąt pięć rubelków, to już była przesada. Za taką sumę mógł przeżyć cały miesiąc. Chciał od razu podrzeć recepty i wrzucić je do spluwaczki, ale pomyślał że Wega może o nie zapytać, i powstrzymał się.

Żal mu było odchodzić od tych świecących jak zwierciadła aptecznych powierzchni i płaszczyzn, ale czas biegł i wzywał go ku nowym radosnym wrażeniom.

Tak, jeszcze wiele radości czekało go tego dnia!

Nie śpieszył się w tej wędrówce. Przechodził od wystawy do wystawy, czepiał się jak rzep każdego załamania ściany. Wiedział, że na każdym kroku czekają go niespodzianki.

Istotnie, zaraz trafił na gmach poczty. W oknie reklamowe ogłoszenie: „Korzystajcie z fototelegrafu!” Niesłychane! Już proponują przechodniom to, o czym przed dziesięcioma laty pisano w fantastycznych powieściach. Oleg wszedł. Przejrzał listę około trzydziestu miast, do których można było wysyłać fototelegramy. Oleg zaczął się zastanawiać — dokąd i do kogo? Ale w żadnym z tych wielkich miast, rozrzuconych na przestrzeni równej jednej szóstej części globu, nie znalazł ani jednej osoby, która ucieszyłaby się otrzymawszy jego odręcznie wypisaną depezę.

Mimo wszystko, żeby poznać rzecz lepiej, podszedł do okienka, poprosił o blankiet i zapytał o wielkość liter, jakimi należy pisać.

— Aparat się popsuł — odpowiedziała urzędniczka. — Jest w tej chwili nieczynny.

Ach, tak — nieczynny! No to jechał go sęk! To nawet bardziej swojsko. Tradycyjnie!



Poszedł dalej, czytał afisze. W mieście był cyrk i kilka kin. W każdym z nich szedł jakiś film, ale tylko na dziennych seansach. Nie mógł na to tracić czasu, podarowanego mu na rozejrzanie się we wszechświecie. Ot, gdyby się tak udało trochę pomieszkać w tym mieście, to warto byłoby pójść i do cyrku, przecież jest jak małe dziecko, dopiero co się urodził.

Godzina była już taka, że może nawet wypadało pójść do Węgi.

Ale czy w ogóle należy iść?

No jakże można nie pójść! Przecież — przyjaciel. Zapraszała z całą szczerością. I nawet była przy tym zmieszana. To jedyna bratnia dusza w całym mieście, więc jakże nie pójść?!

I on sam najbardziej sobie tego życzył — iść do niej. Nawet za cenę rezygnacji z rozejrzania się w na nowo dla niego stworzonym wszechświecie.

Ale coś go powstrzymywało, coś zmuszało do zastanawiania się: a może jeszcze za wcześnie...? Może jeszcze nie wróciła, albo przyszedłby nie w porę.

Chyba nieco później...

Na każdym rogu zatrzymywał się i zastanawiał: żeby tylko nie zmylić drogi, trafić do najciekawszych miejsc... Ale nikogo o nic nie pytał i wybierał kierunek według własnego widzimisie.

Tak wlekąc się, trafił na skład z winem. Nie sklep, gdzie sprzedają wino w butelkach, lecz właśnie skład, gdzie wino stało w beczkach: na poły mroczny, o powietrzu przesyconym wilgocią i kwaskowatym, osobliwym zapachu. Jakaś stara tawerna! Wino nalewano do szklanek prosto z beczki. Szklanka taniego wina kosztowała dwa ruble. W porównaniu z szaszłykiem to była prawdziwa tanioccha! Więc Kostogłotow z wewnętrznej kieszeni wyciągnął kolejną dziesięciorublowkę, poprosił o zmianę.

Smak był nie nadzwyczajny i nieokreślony, ale jeszcze nie dopił wina, a już w głowie zaczęło mu się kręcić. Kiedy wyszedł stamtąd i poszedł dalej, poczuł się znacznie lepiej, choć od samego rana nie czuł się źle. A teraz tak mu było przyjemnie, że już chyba nic nie mogło go wytrącić z dobrego nastroju. Bo najgorsze co mogło go spotkać w życiu już miał za sobą, już przeszedł — wszystko co przed nim musiało być lepsze.

Spodziewał się, że tego dnia doświadczy jeszcze wiele radości.

Gdyby tak po drodze trafił na drugi skład z winem, pewnie by wypił jeszcze jedną szklankę.

Ale drugiej tawerny nie znalazł.

Tymczasem zbity tłum tak zapełnił cały chodnik, że aby przejść trzeba było schodzić na jezdnię. Oleg pomyślał, że coś się stało na tej ulicy. Ale nie — wszyscy stali, zwrócenii twarzami

ku bardzo szerokim drzwiom, i czekali. Kostogłotow podniósł głowę, przeczytał: „Centralny Dom Towarowy”. Od razu stało się zrozumiałe: coś ciekawego zjawiało się w sprzedaży. Ale co? Zapytał kogoś z tłumu, jakąś kobietę. Wszyscy się tłoczyli, nikt nie umiał powiedzieć nic konkretnego. Dowiedział się tylko tyle, że zbliża się chwila otwarcia. Ano cóż, sam los zdecydował! Więc Oleg również wcisnął się w tłum.

Po kilku minutach dwaj mężczyźni otworzyli szerokie drzwi, lękliwie i niezbyt zdecydowanie starali się powstrzymać pierwszy szereg, ale natychmiast odskoczyli na strony jakby ustępując przed natarciem kawalerii. Wyczekujący mężczyźni i kobiety — w pierwszych rzędach przeważnie sami młodzi — wtargnęli do gmachu i rzucili się biegiem po schodach na drugie piętro. Z równym pośpiechem uciekaliby stąd, gdyby w gmachu wybuchł pożar. Za nimi runął pozostały tłum i każdy biegł po schodach, w miarę swego wieku i sił. Na pierwszym piętrze odpadły niewielkie grupki, ale główny tłum walił na drugie piętro. Przy takim tempie nie podobna było wchodzić powoli, więc Oleg również puścił się biegiem (w tłoku wymyślano mu od „żołdaków”).

Na drugim piętrze ludzki potok natychmiast rozdzielił się na kilka nurtów: pędzono w trzy różne strony, ostrożnie skręcając na śliskim parkiecie. Oleg miał jedną chwilę wyboru. Ale nie był w stanie się zastanowić. Pobiegł na chybił trafił śladem tych co od razu wybrali kierunek.

Stanął w długiej, ciągle rosnącej kolejce, w dziale trykotazy. Sprzedawczynie w błękitnych kitlach chodziły spokojnie i ziewały, jak gdyby nie było żadnego tłoku i jak gdyby miały w perspektywie nudny, próżniaczy dzień.

Gdy Oleg wysapał się i złapał oddech, dowiedział się że mają dostarczyć jakieś kobiece sweterki, czy coś w tym rodzaju. Cicho zaklął w mać i wyszedł z kolejki.

Nie mógł się zorientować dokąd pobiegli inni. Tłumu coraz przybywało, wszędzie było pełno ludzi. Przy jednej ladzie tłoczono się najbardziej, więc Kostogłotow postanowił sprawdzić — może to tutaj. Sprzedawano tanie głębokie talerze, coraz to wypakowywane ze skrzyń. To była konkretna rzecz. W Usz-Tereku brakowało głębokich talerzy. Kadminowie jedli na poobtłukiwanych, szczerbatych. Przywieźć by do Usz-Tereku choćby z tuzin takich talerzy, to byłaby poważna rzecz! Ale wiedział dobrze, że dowiozłby same skorupy.

Oleg zaczął obchodzić obydwa piętra Domu Towarowego bez żadnego planu. Zajrzał do działu fotograficznego. Przed wojną aparatów fotograficznych nigdzie nie można było dostać, a teraz łącznie ze wszelkimi dodatkami zalegały lady, drażniąc i prowo-

kując do wydatku. To było jeszcze jedno niezrealizowane marzenie Olega, sięgające dzieciństwa — zająć się fotografowaniem.

Bardzo mu się spodobały męskie płaszcze. Zaraz po wojnie marzył o cywilnym płaszczu, wydawało mu się że nic tak nie zdobi mężczyzny. Ale teraz trzeba by wyłożyć trzysta pięćdziesiąt rubelków, czyli całomiesięczny zarobek. Oleg poszedł dalej.

Nigdzie niczego nie kupił, ale w nastroju był takim, jak gdyby w kieszeniach pełno, a tylko nie ma potrzeby robienia żadnych zakupów. Wypite wino krążyło w nim, pobudzało wesołość.

Gdzie indziej sprzedawano koszule z płótna stepowego. Oleg już znał to określenie „stepowe”: gdy kobiety w Usz-Tereku słyszały to słowo, natychmiast biegnęły do magazynu rejonowego. Oleg obejrzał koszule, wziął w palce — podobały mu się. Jedną z nich — zieloną w białe paski, kupił w wyobraźni. Ale kosztowała sześćdziesiąt rubli, więc o prawdziwym kupnie nie było mowy.

Gdy tak medytował przy tych koszulach, podszedł mężczyzna w przyzwyczajonym płaszczu i grzecznie zapytał, ale nie o te, lecz o jedwabne koszule:

— Proszę mi powiedzieć, macie do pięćdziesiątego numeru kołnierzyki w wymiarze trzydzieści siedem?

Aż szarpnęło Olegiem! Jakby go pilnikami pociągnęli od razu po jednym i drugim boku! Wściekły obrócił się i obejrzał pytającego jegomościa. Był to czysto wygolony mężczyzna o gładkiej cerze, w drogim pilśniowym kapeluszu, z krawatem na białej koszuli. Kostogłotów tak popatrzył, jakby od niego dostał przed chwilą po głbie, i teraz jeden z nich powinien zlecieć ze schodów.

Jak to??! Ludzie gnili w strzeleckich rowach, rzucano ich do braterskich mogił, zakopywano w płytkich grobach w przemarzniętej polarnej ziemi, zabierano ich raz, drugi i trzeci do łagrów, drętwieli z zimna na etapach, wyzbywali się sił z oskardem w rękach żeby zarobić na połatany przyodziewek, a ten elegant z marymonckiej mąki nie tylko pamięta numer swojej koszuli, ale jeszcze upomina się o specjalny kołnierzyk!

Ten numer kołnierzyka dobił Olega! Nigdy by mu nie przyszło na myśl, że kołnierzyk może mieć osobny numer! Tłumiąc w sobie jęknięcie, odszedł od lady. Patrzcie tylko co za wyrafinowanie! I jak tu wracać do takiego życia? Jeżeli pamiętać o numerze kołnierzyka, to przecież trzeba o wielu rzeczach zapomnieć! I to o rzeczach znacznie ważniejszych!

Aż mu się słabo zrobiło, tak go rozgniewał ten kołnierzyk...

W dziale artykułów domowego użytku przypomniał sobie o żelazku do prasowania. Wprawdzie Elena Aleksandrowna nie prosiła o jego przywiezienie, ale Oleg wiedział że zawsze marzyła

o posiadaniu żelazka, i to nie za ciężkiego. Oleg miał nadzieję, że takiego żelazka tu nie mają, jak i wszystkiego zresztą, co najbardziej potrzebne. W ten sposób i sumienie będzie miał czyste i nie obciąży swego worka. Ale ekspedientka wskazała żelazko stojące na ladzie.

— A czy naprawdę jedno z najlżejszych? — Kostogłotow nie dowierzająco ważył żelazko na dłoni.

— Po cóż bym was miała oszukiwać? — ekspedientka wykrzywiła wargi. W ogóle wyglądała jakoś metafizycznie, zapatrzona gdzieś w dal, jak gdyby miała przed sobą nie realnych klientów, lecz ich ślaniające się, obojętne cienie.

— Nie mówię o oszukiwaniu, ale mogła zająć pomyłka — Oleg nie był jeszcze przekonany.

Mimo woli przywrócona marności znikomego życia, ekspedientka zdobyła się na olbrzymi wysiłek przeniesienia materialnego przedmiotu, i postawiła przed nim inne żelazko. Ale już zabrakło jej sił na jakiegokolwiek wyjaśnienie. Znowu wzbija się w wyższe rejony metafizyki.

Porównując, dochodzi się do prawdy. Istotnie to drugie żelazko ważyło o jakiś kilogram mniej. Poczucie obowiązku zmuszało do kupienia.

Sprzedawczyni, już i tak niezmiernie znużona przyniesieniem żelazka, jeszcze musiała wypisać talon i wyszeptać słabnącymi wargami: „do kontroli”... (Co znowu za kontrola? — co trzeba sprawdzać? Oleg nie pamiętał już tych rzeczy. Jakże trudny był powrót do życia i świata!) A najgorsze, że musiała ponadto zanieść żelazko do kontroli, ledwie dotykając podłogi stopami. Oleg poczuł się nawet winny, że ją wytrącił z rozmarzonej kontemplacji.

Kiedy żelazko znalazło się w worku, ramiona od razu poczuły jego ciężar. W żołnierskim płaszczu było za gorąco, trzeba było jak najszybciej wyjść z Domu Towarowego.

I nagle zobaczył siebie w ogromnym lustrze, idącym od podłogi aż do sufitu. Nie bardzo to wypada, żeby mężczyzna stał i przyglądał się swemu odbiciu, ale w całym Usz-Tereku nie było takiego wielkiego lustra. No i nie widział całej swej postaci od dziesięciu lat. Więc nie zwracając uwagi na to co sobie mogą o nim pomyśleć, przyjrzał się sobie najpierw z daleka, potem przysunął się bliżej i jeszcze bliżej.

Wbrew poprzedniemu mniemaniu, przekonał się że z wojskowej postawy nic w nim nie zostało. Ten płaszcz i te buty nie bardzo już były podobne do żołnierskiego płaszcza i butów. Do tego od dawna przygarbione ramiona i cała postać niezdolna do trzymania się prosto. Bez czapki, bez pasa, wyglądał nie tyle na

żołnierza co na zbiega z aresztu, albo na wiejskiego parobka który przyjechał do miasta żeby coś sprzedać i kupić. Ale taki wyglądałby chwacko, zaś Kostogłotow miał wygląd człowieka wymęczonego, zapuszczonego, sponiewieranego.

Lepiej by było nie zaglądać do lustra! Zanim siebie zobaczył, wydawało mu się że ma dziarski, bojowy wygląd, na przechodniów spoglądał z pobłażaniem, na kobiety zaczepnie. Teraz zdał sobie sprawę, że z tym okropnym workiem na plecach, już nie żołnierskim lecz podobnym raczej do żebraczej torby, mógłby przystanąć na ulicy z wyciągniętą ręką, prosząc przechodniów o jałmużnę.

Wybierał się do Węgi... Jakże pójdzie do niej tak wyglądając?

Poszedł nieco dalej i trafił do działu galanteryjnego, czy też wyspecjalizowanego w podarkach, zwłaszcza w ozdobach kobiecych.

Wśród rozgadanych kobiet, przebierających w towarze, przy mierzających i wybierających, stał ten ni to żołnierz ni żebrak, z blizną na policzku, znieruchomiały, tępo zapatrzony.

Ekspedientka uśmiechnęła się na jego widok — co też chciał kupić dla swojej wiejskiej ukochanej? — i pilnie uważała, żeby czego nie podziwiał.

Ale Kostogłotow o nic nie pytał, niczego nie brał do rąk. Stał i patrzył tępym spojrzeniem.

Te witrały wypełnione tanią biżuterią były dla niego niczym fosforyzujący szlaban, zagradzający drogę. Stał przed nim z głową pochyloną jak u byka, i wiedział że nie jest w stanie go rozwalić.

Wtedy zrozumiał. Zrozumiał jakby to było pięknie: kupić coś ładnego i przypiąć kobiecie do sukni, albo włożyć na szyję. Dopóki o tym nie wiedział, nie pamiętał, wszystko było w porządku. Ale teraz pojął z przeraźliwą jasnością, że nie byłby w stanie pójść do Węgi z pustymi rękami, bez żadnego upominku.

Ale kupić czegokolwiek nie mógł i nie śmiał. Na droższe rzeczy nie było co nawet patrzeć. A jeśli chodzi o tańsze, nie rozoznawał się w nich zupełnie. Na przykład te broszki, właściwie nie broszki lecz jakieś wisioriki z agrafkami, a zwłaszcza ten w kształcie sześciokąta, cały obsypany iskrzącymi się kamyczkami, czyż nie są piękne?

A może właśnie nie? Może to wulgarna tandeta? Może kobieta z gustem wstydziłaby się nawet wziąć ją do ręki? Może już się tego nie nosi, może to dawno wyszło z mody? Skąd miał wiedzieć co się nosi, a czego nie nosi!

I wreszcie jakże to będzie wyglądać? Przyjdzie na nocleg i wręczy jej jakąś broszkę? Czerwony na twarzy, z głupią miną...

Takie i inne wątpliwości zbijają go co chwilę z pantałyku, jakby chodziło o walące się kręgle.

Jakież skomplikowany ten świat, w którym należy się znać na kobiecej modzie, umieć oceniać damską biżuterię, przyzwyciężyć wyglądać przed lustrem i pamiętać numer swego kołnierzyka. Wega żyła w takim właśnie świecie, na wszystkim się znała i doskonale w tym świecie się czuła.

Poczuł się zawstydzony i bezradny. Jeżeli już ma iść do niej, to natychmiast, zaraz, nie tracąc ani chwili czasu!

Ale nie był w stanie. Pierwszy poryw już przeminął. Kostogłotow po prostu się bał.

Rozdzielił ich ten Dom Towarowy...

Z tego przekłętą targowiska, na które wszedł podporządkowany bożyszczom rynkowym, wychodził teraz tak znudzony i wymęczony, jak gdyby poczynił tu zakupy na tysiące rubli, w każdym dziale, i jak gdyby wszędzie mu je zawijali i pakowali, aby mógł ponieść na zgarbionych plecach całą górę walizek i paczek.

A w rzeczywistości — tylko żelazko do prasowania.

Opanowało go tak wielkie zmęczenie, jakby od wielu godzin zakupywał w daremnej krzątaninie mnóstwo rzeczy — a gdzie się podział ten czysty różowy poranek, który mu obiecywał rozpoczęcie nowego, pięknego życia? Gdzie się podziały postrzępione pióra wiekuistych obłoków? I nurzająca się w nich łódka księżycy?

Gdzie rozmienił na drobne swój cudowny poranny nastrój? W Domu Towarowym? Czy może przedtem — przepił go w składzie win? Czy jeszcze wcześniej — przejadł z szaszłykiem?

Powinien był tylko obejrzeć kwitnący ur i u k i od razu pędzić do Wegi...

Nagle obrzydły mu wystawy i szyldy, obrzydło nawet wałęsanie się po ulicach w tłumie zatroskanych albo wesołych ludzi. Zaprzagnął położyć się gdzieś w cieniu nad rzeczka i leżeć, strząsnąć z siebie cały nalot dzisiejszego dnia. W tym mieście było już tylko jedno miejsce warte odwiedzenia — ogród zoologiczny, zgodnie z prośbą Diomki.

Oleg odczuwał świat zwierzęcy jakoś lepiej i bliżej. Bardziej jakby na swoim własnym poziomie.

Czuł się teraz źle także i dlatego, że płaszcz grzał go coraz bardziej, a nie miał chęci zdjąć go i nieść na rękę. Zaczął rozpytywać o drogę do Zoo. W tym kierunku prowadziły dobrze utrzymane ulice, szerokie, zaciszne, o chodnikach wyłożonych kamiennymi płytami i ocienionych rozłożystymi drzewami. Nie było tu ani żadnych sklepów, ani zakładów fotograficznych, ani teatrów, ani składów win — nic co przypominałoby śródmieście.



Nawet tramwaje huczały gdzie w oddali. Tu rozpościerało się panowanie spokojnego, słonecznego dnia, ciepło szło przez listowie drzew. Dziewczynki bawiły się w „klasy” na chodnikach. W ogródkach przed domami gospodynie krzątały się przy sadzonkach, albo wbijały tyczki pod pnące się w górę rośliny.

Przy wejściu do Zoo zaczynało się królestwo dzieciarni. Oczywiście, przecież wakacje i taki wspaniały dzień!

Po wejściu do Zoo Oleg najpierw zobaczył kozła o spiralnych rogach. W jego ogrodzonej zonie wznosiła się skała, na którą można było wejść tylko po stromiznie, a z drugiej strony urwisko. I właśnie tam, nad samym urwiskiem, stał kozioł, nieruchomy, dumny, na cienkich silnych nogach. Rogi miał zadziwiające: długie, wygięte i tak pokręcone, jakby ktoś namotał kościaną wstążkę. Zamiast brody wspaniała grzywa, zwisająca po obu stronach nisko aż do kolan, jak włosy rusałki. Ale kozioł miał w sobie tyle godności, że te włosy nie odbierały mu męskości, ani nie czyniły go śmiesznym.

Kto dłużej postać przed klatką tego kozła, musiał stracić nadzieję, że ujrzy choćby najmniejsze drgnięcie jego pewnych siebie kopytek na gładkiej skale. Trwał od dawna nieruchomy jak posąg, jak przedłużenie tej skały, a że nie było żadnego powiewu, więc nie poruszały się nawet kudły jego grzywy. Nie było sposobu na udowodnienie, że jest żywy, że to nie oszukaństwo.

Oleg odczekał całe pięć minut i odszedł zachwycony: aż do końca kozioł nie drgnął! Jak się ma taki charakter, nie trudno wytrzymać w życiu!

Na początku drugiej alei Oleg zauważył wielkie ożywienie koło klatki, zwłaszcza wśród dzieciaków. Coś z szaloną szybkością miało się wewnątrz, ale wciąż na tym samym miejscu. Okazało się że wiewiórka, kręcąca się w kółko, ta sama wiewiórka ze znanego ludowego porzekadła. Ale w porzekadle wszystko się zatarło i trudno było sobie uzmysłowić: dlaczego wiewiórka? — dlaczego kręcąca się w kółko? A tu było pokazane jak to wygląda rzeczywiście. W klatce był pień drzewa rozgałęziający się u góry, ale obok powieszono podstępnie koło, właściwie rodzaj otwartego bębna, aby widz orientował się co się dzieje wewnątrz; wzdłuż obręczy szły poprzeczki, tak że całość wyglądała jak wstępujące kołem, niekończące się, zamknięte schody. I oto wiewiórka, wzgardziwszy drzewem i konarami wybiegającymi wzwyż, wpakowała się nie wiadomo po co do bębna, chociaż nikt jej do tego nie zmuszał ani kusił przynętą. Widocznie powodowała ją zwodnicza myśl o rzekomym ruchu, o rzekomym działaniu. Najprawdopodobniej wiewiórka najpierw z ciekawości próbowała skakać po schodkach, nie wiedząc jeszcze co



to za okrutny podstęp. Za pierwszym razem nie wiedziała, a potem sprawdziła po tysiącokroć i mimo to trwała w uporze!

A teraz już było za późno, by przerwać to szaleństwo! Rudawe, wydłużone jak wrzeczono ciało wiewiórki, rudy, nieco siwawy ogonek, pędziły wkoło w zwariowanym biegu, poprzeczki mięły w oczach tak szybko, że zlewały się w jedną, wszystkie siły były tak wyęteżone że, zdawało się, zaraz pęknie serce — ale przednie łapki wiewiórki nie mogły wspiąć się do góry ani o krok.

Ci co tu przyszli wcześniej niż Oleg widzieli ją w takim samym biegu, Oleg stał przez kilka minut nic się nie zmieniło. W klatce nie było żadnej siły, która mogłaby zatrzymać bęben i wyrwać z niego wiewiórkę, i nie było nikogo kto by ją przekonał: „Przeostań! To daremne!” Nie! — wyjście było tylko jedno: śmierć wiewiórki. Oleg nie miał najmniejszej chęci na to czekać, więc poszedł dalej.

Na samym wstępie, po jednej i drugiej stronie od wejścia, ogród zoologiczny ofiarowywał przybyłym, starym i młodym, dwa odmienne przykłady postawy życiowej, jakże wiele dające do myślenia!

Oleg wyminął srebrzystego bażanta, potem złocistego, potem bażanta o czerwono-niebieskim upierzeniu. Popatrzył z zachwytem na oszałamiająco turkusową szyję pawia i na szerokość metra rozpięty ogon o różowych i złotych frędzlach. Po jednostajnym, bezbarwnym zesłaniu, po bezbarwnym szpitalu, jego wzrok pławił się z rozkoszą w tych kolorach.

Nie odczuwał gorąca: Zoo znajdowało się poza miastem, drzewa już rzucały pierwszy cień. Oleg czuł się coraz bardziej wypoczęty. Wyminął całą ptaszarnię — kury andaluzyjskie, gęsi tolozańskie i chołmogorskie — i poszedł pod górę, gdzie były żurawie, jastrzębie, orły, a jeszcze dalej, w najwyższym punkcie wznoszącym się nad całym ogrodem, w klatce stojącej na skale jak namiot, białogłowe sępy. Gdyby nie napis, można by pomyśleć że to orły. Umieszczono je w miarę możliwości jak najwyżej, ale dach klatki był zbyt niski, więc wielkie, posępne ptaki rozwijały skrzydła, biły nimi, ale zerwać się do lotu nie mogły.

Patrząc na męczarnię sępów, Oleg poruszył łopatkami, wyprostował grzbiet. (A może uciskało go żelazko?)

Wszystko musiał odpowiednio interpretować. Przeczytał napis: „Białe sowy bardzo źle znoszą niewolę”. Wiedzą o tym, a jednak zamykają!

A czy znajdzie się taki wyrodek, żeby dobrze znosił niewolę?!

Inny napis głosił: „Jeżozwierz prowadzi nocny tryb życia”. Znamy i to: wywołują o pół do dziesiątej wieczorem, zwalniają o czwartej nad ranem.

Albo „borsuk przebywa w głębokich, połączonych chodnikami norach”. To po naszymu! Zuch z tego borsuka, a co właściwie ma robić?! I pysk u borsuka pasiasty jak materac, wykapany katorżnik!

W taki to wypaczony sposób reagował Oleg na wszystko co widział w Zoo; zapewne lepiej by zrobił, gdyby tu w ogóle nie przychodził, podobnie jak do Domu Towarowego.

Minęło już sporo czasu, a spodziewanych radosnych wrażeń jakoś nie było.

Zbliżył się do klatek, gdzie siedziały niedźwiedzie. Czarny niedźwiedź, z białą krawatką na szyi, stał z pyskiem wciśniętym między pręty drucianej siatki. Potem nagle podskoczył i zawisł na kratkach, uczepiony przednimi łapami. Nie, to nie wyglądało na krawatkę, raczej na łańcuch z dużym krzyżem na piersi kapłana. Podskoczył i zawisł! A w jakież inny sposób mógłby wyrazić swoją rozpacz?!

W sąsiedniej klatce siedziała niedźwiedzica z niedźwiadkiem.

W następnej męczył się niedźwiedź brunatny. Cały czas przepępował z łapy na łapę, próbował chodzić po swojej celi, ale obracał się tylko, bo odległość od ściany do ściany nie odpowiadała nawet trzem jego długościom.

Więc jeśli przyłożyć niedźwiedzią miarę, to nie była cela, lecz ciasny k a r c e r.

Dzieci rozentuzjasmowane tym widowiskiem mówiły jedno do drugiego:

— Wiesz co, będziemy mu wrzucać kamienie, a on pomyśli że to cukierki!

Oleg nie dostrzegał, w jaki sposób te same dzieci przyglądały się jemu. On sam wydawał się bezpłatnym dodatkiem do zwierzyńca, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.

Aleja schodziła w dół ku rzece — tam były białe niedźwiedzie. Ale przynajmniej było ich dwoje — razem. Arykami była doprowadzona woda, tworząca zimny basen; niedźwiedzie skakały do wody co kilka minut żeby się ochłodzić, potem wylażyły na cementowy taras, wyżyły mokre pyski i chodziły, chodziły bez końca na skraju tarasu, tuż nad wodą. Polarne niedźwiedzie, jakże się czuły tu w lecie, gdy temperatura wynosiła czterdzieści stopni? Ano, tak samo jak my podczas mrozów za Kołem Podbiegunowym.

Oleg pomyślał, że gdyby miał dość siły by powyłamywać kraty i wypuścić zwierzęta z którymi się solidaryzował, nie mógłby tego uczynić. Największą komplikacją było to, że utraciły one wraz ze swoją ojczyzną, umiejętność rozumnego korzystania z wol-

ności. I gdyby je nagle uwolnić, sytuacja ich stałaby się jeszcze straszniejsza.

Nonsensowne rozumowanie! W umyśle Kostogłotowa tak się wszystko pogmatwało, że na nic nie umiał reagować po prostu i obiektywnie. Wszystko, z czym się teraz stykał w życiu, wywoływało przed jego spojrzeniem jakieś szare widma, budziło w nim jakieś podziemne hałasy.

Oleg znowu poszedł aleją w górę, tym razem ku klatkom z małpami, mijając po drodze smutnego jelenia, któremu tu najbardziej brakowało przestrzeni, świętą hinduską krowę-zebu, zającą aguti o pozłocistej sierści.

Koło klatek stali starsi i rozbawiona dzieciarnia, rzucano małpom pożywienie. Kostogłotow szedł wzdłuż klatek i nie mógł się zdobyć na uśmiech. Te małpy pozbawione włosów na łepkach, zdawało się ostrzyżone do samej skóry, smutne, zajęte na swoich pryzkach elementarnymi troskami i potrzebami, zanadto mu przypominały wielu jego dawnych znajomych; rozpoznawał w nich poszczególne osoby, a niektóre z nich były przecież więzione po dziś dzień.

W jednym szympanse, samotnym i zamyślonym, o podpuchniętych oczach i rękach obwisłych między kolanami, Olegowi wydało się, że rozpoznaje Szułubina — ten także zwykł siadywać w podobnej pozycji.

Tego jasnego, gorącego dnia Szułubin męczył się na swoim łóżku — między życiem i śmiercią.

Nie spodziewając się znaleźć nic ciekawego w tej małpiej alei, Kostogłotow szedł szybciej i już chciał skrócić, gdy nagle zauważył że na jednej z dalszych klatek wisi jakieś obwieszczenie, a przy nim skupiło się kilka osób i czyta je.

Podszedł bliżej. Klatka była pusta, na tabliczce napis: Rezus.

Obwieszczenie, wypisane pośpiesznymi literami i przybite do dykty, głosiło co następuje:

„Małpka, która zamieszkiwała tę klatkę, oślepiła na skutek bezmyślnego okrucieństwa jednego ze zwiedzających. Zły człowiek sypnął tytoniem w oczy małpce r e z u s”.

Jakby dostał kłonicą po głowie! Do tej chwili Oleg spacerował po Zoo z pobłażliwym uśmiechem wszystkowiedzącego, ale tu miałby chęć ryknąć na cały głos, wrzeszczeć tak żeby go usłyszano w całym ogrodzie — jakby to właśnie j e m u nasypano tytoniu do oczu.

Po co? Ot, tak sobie — po co?!!! Bezmyślnie — po co?!

Tekst obwieszczenia, tak prosty jakby pisało je dziecko, ujął Olega za serce. O tym nieznanym człowieku, któremu udało się

ujść bezkarnie, nie powiedziano że jest antyhumanitarny. Nie powiedziano o nim, że jest agentem amerykańskiego imperializmu. Powiedziano tylko tyle, że jest złym człowiekiem. I to właśnie Kostogłotowa uderzyło najbardziej: dlaczego po prostu został nazwany złym? Dzieci! Nie wyrastajcie na złych ludzi! Dzieci! Nie skazujcie na zgubę bezbronnych!

Wszyscy przeczytali to obwieszczenie po parę razy, ale gromadka starszych i dzieci stała nadal i patrzyła na opustoszałą klatkę.

Oleg podniósł z ziemi swój żołnierski worek z żelazkiem do prasowania, wytłuszczony, przepalony, przestrzelony worek, i powlókł się dalej — do królestwa płazów, gadów i drapieżców.

Jaszczury leżały jeden przy drugim na piasku, jak głazy pokryte łuską. Czy byłyby tak samo nieruchome na wolności?

Leżał ogromny chiński aligator, jakby wykuty z ciemnego lanego żelaza; miał płaski pysk i nienaturalnie wykręcone łapy. Napis głosił, że w czasie upałów niekiedy odmawia pożerania mięsa.

Kto wie, może nawet czuł się całkiem wygodnie w tym dobrze zorganizowanym świecie zoologicznym, gdzie nie trzeba było szukać pożywienia?

Jedną całość z drzewem tworzył potężny pyton, wyglądający jak gruba, uschnięta gałąź. Był zupełnie nieruchomy, a tylko ostre, niewielkie żądło miotało się na wszystkie strony.

Pod szklanym kloszem skręcała się i wiła jadowita żmija - e f a. Pospolitych żmij było po kilka sztuk.

Kostogłotow nie miał ochoty oglądać wszystkiego. Pragnął sobie wyobrazić pyszczek osłępciej małpki rezus.

Nieco dalej ciągnęła się aleja drapieżców. Tutaj siedziały wspaniałe okazy, różniące się od siebie głównie odmiennym ubarwieniem futer: ryś, kaukaski b a r s, popielato-brązowa puma, rudy, pokryty czarnymi plamami jaguar. To także byli więźniowie, także dręczyli się pozbawieni wolności, ale Oleg ustosunkował się do nich jak do obozowych kryminalistów. Ostatecznie nie trudno na tym świecie zorientować się kto winien, a kto nie winien. Na tabliczce napisano, że jaguar zjada na dobę czternaście kilogramów mięsa. Tego przecież nawet wyobrazić sobie nie można! Toż kuchnia obozowa otrzymuje mniej w ciągu tygodnia! A jaguarowi dostarczają codziennie!

Oleg przypomniał sobie o tych jeźdźcach z konwoju, którzy okradali własne konie: jedli ich owies i w ten sposób udało się przeżyć im samym.

I wreszcie zobaczył jaśnie wielmożnego tygrysa. W wąsach, tak właśnie w wąsach, koncentrował się główny wyraz jego okru-

cieństwa! I te ślepia — żółte... Zakręciło się Olegowi w głowie, stał i patrzył na tygrysa z nienawiścią.

Pewien stary skazaniec polityczny, który kiedyś przebywał na zesłaniu w Turuchanie razem z nim, a w czasach o wiele późniejszych spotkał się w obozie z Olegiem, opowiadał mu że nie, tamten miał oczy nie aksamitno-czarne, lecz właśnie żółte!

Oleg stał nieruchomo, jakby go skuła nienawiść, i patrzył na tygrysa.

A jednak, ot tak sobie, po prostu tak sobie — ale dlaczego, po co?!

W głowie czuł zamęt. Już mu się odechciało tego ogrodu zoologicznego. Już chciał uciekać, jak najdalej. Nie poszedł ku klatkom ze lwami. Na chybił trafił szedł przed siebie, szukając bramy wyjściowej.

Mignęła mu w oczach zebra, Oleg spojrzął na nią spode łba i szedł dalej.

Aż tu nagle! — zatrzymał się przed...

Po krwiozerczych zwierzętach cudo uduchowania: antylopa Nigaj — jasnobrązowa, na lekkich, wysmukłych nogach, czujna główka, ale wcale nie wystraszona, stała tuż za siatką i spoglądała na Olega wielkimi, ufnymi oczami. Miłe, o tak, jakże miłe spojrzenie!

Była tak bardzo podobna do niej, że aż nie do zniesienia! Nie odrywała od niego swoich oczu, w których widniał łagodny wyrzut. Pytała wyraźnie: „Dlaczegoś dotąd nie przyszedł? Przecież już minęło południe, a ty wciąż nie przychodzisz!”

To było jakieś opętanie, jakaś telepatyczna wymiana myśli, bo najoczywiściej stała tu przed Olegiem i czekała na niego. A gdy tylko się zbliżył, zaraz zaczęła wypytywać tym spojrzeniem, w którym odczytywało się i wyrzut i przebaczenie:

„Nie przyjdiesz? Naprawdę nie przyjdiesz? A ja tak na ciebie czekałam...”

Więc dlaczego do niej nie poszedł od razu? Dlaczego do niej nie poszedł!

Oleg wstrząsnął się i ruszył szybkim krokiem ku wyjściu.

Jeszcze mógł zdążyć na czas i zastać ją.

## OSTATNI DZIEŃ STWORZENIA

Nie mógł teraz o niej myśleć ani z pożądaniem, ani z gniewem; co sprawiłoby mu największą satysfakcję, to pójść i poło-

żyć się u jej nóg — jak pies, jak zbity, nieszczęśliwy pies. Położyłby się na podłodze i dyszał u jej stóp jak pies. Ze wszystkiego, co mu mogło przyjść na myśl, to byłoby jedynym szczęściem.

Ale na takie zwyczajne, zwierzęce zachowanie się — po prostu wyciągnąć się przy niej na podłodze — nie mógł sobie naturalnie pozwolić. Będzie musiał dukać jakieś uprzejme słowa przeprosin i ona także będzie go uprzejmie przepraszać, bo tak sobie ludzie wszystko komplikują od wielu tysięcy lat.

Jeszcze i teraz miał w oczach rozlany na jej policzkach rumieniec, kiedy mu powiedziała: „Przecież moglibyście się zatrzymać u mnie...”. Trzeba się tak zachować żeby ten rumieniec nie wrócił, żeby to jakoś odrobić, obrócić wszystko w żart, nie wprowadzić jej w zakłopotanie. Należało więc z góry ułożyć sobie pierwsze zdania, dostatecznie uprzejme i zarazem dowcipne, by osłabić, rozproszyć niezwykłą sytuację: przychodzi do swego lekarza, młodej samotnej kobiety, i chce nie wiadomo dlaczego u niej nocować. A może lepiej nie układać sobie żadnego przywitania, tylko stanąć w drzwiach i patrzeć. I koniecznie od razu nazwać ją Wegą: „Wega! Jestem!”

Tak czy inaczej, to będzie nieogarnięte myślą szczęście — znaleźć się razem z nią nie na szpitalnej sali, nie w lekarskim gabinecie, lecz w zwykłym, mieszkalnym pokoju, i rozmawiać na jakieś nieznanne w tej chwili tematy. Na pewno popełni niejeden błąd, może nawet nietakt, przecież odzwyczaił się zupełnie od obcowania z normalnymi ludźmi, ale spojrzeniem będzie mógł wszystko wyrazić: „Zlituj się nade mną! Proszę cię, zlituj się nade mną, tak mi źle bez ciebie!”

Jak to się stało, że stracił tyle czasu! Jak to się stało, że wcześniej, znacznie wcześniej, nie poszedł do Wegi! Teraz szedł szybkim krokiem, bez wahania, bojąc się tylko jednego: że może jej nie zastać. Pół dnia włóczył się po mieście i już orientował się w układzie ulic, wiedział jak ma iść. Więc szedł zdecydowanie.

Jeżeli sympatyzują ze sobą. Jeżeli przebywanie razem i rozmowa sprawia im przyjemność. Jeżeli kiedyś w przyszłości będzie mógł brać ją za rękę, w ramiona i z bliska, czule patrzeć jej w oczy — to czy naprawdę tego wszystkiego będzie za mało? A nawet gdyby było więcej, znacznie więcej, to czy i tego byłoby za mało?

Naturalnie, z Zoją byłoby za mało. Ale z nią, z Węgą, z antylopą nigaj?

Na samą myśl że będzie mógł wziąć w rękę jej dłonie, jakieś struny napięły się w jego piersi i już wyobrażał sobie z przejęciem jak to wszystko wypadnie.



A jednak — za mało?

Im bliżej był jej domu, tym większy ogarniał go niepokój. Tak, to był autentyczny lęk, ale lęk wypełniający szczęściem, nasycający radością. Bał się i właśnie dlatego był szczęśliwy!

Szedł, patrzył już tylko na nazwy ulic, natomiast nie dostrzegł sklepów, wystaw, tramwajów, ludzi... I nagle na rogu wpadł w tłok i nie wyminął na czas starej kobiety która tam stała, ocknął się i zobaczył, że sprzedaje bukietiki maleńkich, ciemnosinych kwiatów.

W najbardziej odległych zakamarkach jego przepalonej, tyle razy łamanej, zmuszanej do uległości pamięci, nie zostało miejsca dla cienia myśli, że kiedy się idzie do kobiety, należy zanieść jej kwiaty. Doszczętnie o tym zapomniał, jak o czymś nieistniejącym na świecie. Szedł spokojnie, niosąc swój zszargany, połatany worek i nie miał do tej chwili żadnych wątpliwości.

A tu nagle — jakieś kwiaty! Kwiaty, które są sprzedawane nie wiadomo po co, nie wiadomo komu. Z wyteżeniem zmarszczył czoło. Niewyraźne wspomnienie zaczęło wypływać i podnosić się jak topielec z mętnej wody. Prawda, przecież w zamierzczłym, nieistniejącym świecie jego młodości istniał zwyczaj obdarzania kobiet kwiatami!

— Jakie to są? — wstydliwie zagadnął sprzedawczynię.

— Jakto jakie? Fiołki! — obraziła się kobieta. — Jeden bukietik za rubla.

Fiołki? A więc to są te poetyczne fiołki? Jakoś pamiętał je w innym kształcie. Łodyżki powinny być dłuższe, bardziej wysmukłe, zaś same kwiaty podobniejsze do dzwoneczków. Może zapomniał. A może to jakiś inny, tutejszy gatunek. W każdym razie żadnych innych tu nie było. I teraz, skoro już sobie przypomniał, nie tylko nie wolno było iść bez kwiatów, lecz poczuł wręcz wstyd, że przed chwilą mógł najspokojniej iść bez nich.

Ile bukietików należało kupić? Tylko jeden? Wydawało się, że to za mało. Dwa? Także dość ubogo. Trzy? Cztery? To wypadnie za drogo. Nabyty w łagrach katorżniczy spryt podpowiedział mu myśl, trzaskającą jak arytmometr, że można by się portargować: dwa bukietiki za półtora rubla, albo pięć za cztery ruble. Ale ten pomysł prawie nie dotarł do jego świadomości. Wyjął dwa ruble i wręczył je sprzedawczyni.

Wziął dwa bukietiki. Pachniały. Ale nie tak jak powinny pachnieć fiołki jego młodości, fiołki opiewane przez poetów.

Dziwnie było iść i wachać bukietik, a nawet niezmiernie zabawnie: zdemobilizowany, chory żołnierz, bez czapki, z workiem i pęczkiem fiołków w ręku. Nie wiadomo było jak się zachować, chyba najlepiej schować do rękawa, żeby nikt nie zauważył.



Aż trafił na dom, w którym mieszkała Wega! To jej numer! Mówiła, że od podwórza. Wszedł w podwórze. Teraz trzeba skręcić na lewo.

Serce łomotało coraz mocniej.

Wzdłuż domu biegła długa weranda o cementowej podłodze, otwarta, ale pod daszkiem; od poręczy szła skosem drucziana siatka. Na poręczach wietrzyły się kołdry, materace, poduszki, zaś na sznurach przeciągniętych między słupkami wisiała bielizna.

Wszystko razem bardzo nie pasowało do domu, zamieszkiwanego przez Węgę. Pierwsze wrażenie było nieprzyjemne. Ale to nie jej wina. Nieco dalej, za tą bielizną i materacami, zaraz znajdzie właściwe drzwi, a za tymi drzwiami osobisty, własny świat Wegi.

Dał nurka pod prześcieradłem i odszukał drzwi z jej numerem. Drzwi jak drzwi. Pomalowane na jasno brązowy kolor, farba popękała tu i ówdzie i odpadła. Zielona skrzynka na listy.

Wysunął fiolki z rękawa płaszcza, przyglądał włosy. Był podniecony i cieszył się z tego podniecenia. Jakże ją sobie wyobrazić — bez lekarskiego kitla, na tle mieszkalnego pokoju?

To nie tych kilka dzielnic przemierzył od Zoo w swoich rozdeptanych, ciężkich buciorach! Szedł progami całego kraju, szedł dwa razy poprzez siedem lat, i wreszcie zdemobilizował się, doszedł do tych drzwi, za którymi od czternastu lat, w milczeniu, oczekiwała go kobieta.

Kostką średniego palca zapukał do drzwi.

Jeszcze nie zdążył zastukać mocniej, kiedy drzwi zaczęły się powoli otwierać (spozstrzegła go wcześniej? przez okno?), potem otworzyły się, i pchając prosto na Olega jaskrawo-czerwony motocykl, który w wąskich drzwiach wydał się ogromny, wynurzył się tęgi, młody chłop o szerokim pysku z rozplaszczonym nosem. Nawet nie zapytał czego Oleg tu chce, do kogo przyszedł — pchał swój mało zwrotny motocykl, więc Kostogłotow musiał mu ustąpić z drogi.

Oleg zmieszał się i nie od razu był w stanie zrozumieć: kim jest ten młodzieniec w życiu samotnie mieszkającej Wegi, dlaczego od niej wychodzi. Choć minęło tyle lat, nie mógł całkiem zapomnieć że ludzie przeważnie nie mają własnych mieszkań, że przebywają we wspólnych mieszkaniach. Nie mógł zapomnieć, ale nie miał obowiązku pamiętać! Więźniowie w łagrach wyobrażają sobie, że życie na wolności w niczym nie przypomina obozowego baraku. Żadne wspólne mieszkania! Przecież nawet w Usz-Tereku ludzie mieszkają osobno, nie gnieźdzą się na kupie.

— Powiedzcie — zwrócił się do młodzieńca. Ale ten już przepchał motocykl pod zwisającym prześcieradłem i sprowadzał

go z werandy, głośno postukując kołami na stopniach schodków.

Zostawił za sobą otwarte drzwi.

Oleg wszedł niezdecydowanie. W nieoświetlonej głębi korytarza widniały jedne drzwi, drugie, trzecie — któreż z nich są właściwe? W półmroku ukazała się jakaś kobieta i nie zapalając światła, zapytała nieprzyjaznym tonem:

— Do kogo?

— Do Wiery Korniliewny — nieśmiało, zupełnie nie po swojemu odpowiedział Kostogłotow.

— Nie ma jej! — nie sprawdzając, nie patrząc na Olega, powiedziała kobieta. Głos miała nieprzyjemny, ostry, niemal wrogi. Szła prosto na Kostogłotowa, jakby go chciał wypchnąć z korytarza.

— Proszę zapukać do jej pokoju. — Oleg wracał do zwykłej pewności siebie. Osłabł na chwilę, licząc na spotkanie z Węgą, ale tej sąsiadce potrafiłby dobrze odszczeknąć. — Dziś nie poszła do pracy.

— Wiem o tym. Nie ma jej. Była i poszła. — Kobieta miała niskie czoło i wydatne szczęki. Przypatrywała mu się podejrzliwie. Już zdążyła dojrzeć fiołki. Już nie było po co ich chować.

Gdyby nie te fiołki, mógłby się zachować po ludzku — sam zapukałby do drzwi, porozmawiał, dowiedział się kiedy wyszła, czy prędko wróci, zostawić na karteczkę kilka słów (a może ona zostawiła dla niego jakąś wiadomość?).

Ale z tymi fiołkami w ręku zamienił się w jakiegoś petenta, zalotnika, zakochanego głuptasa...

Więc ustępując przed mordziastą babą, cofnął się na werandę.

Ta nie spuszczała go z oka, idąc krok za krokiem. Coś wypchało z worka tego włóczęgi — żeby także i tu czego nie podkaraulił!

Nagle na podwórzu zatrzeszczał motocykl, puszczonej na cały gaz, bez tłumika; motor strzelał, zaciął się, i tak w kółko.

Oleg w niezdecydowaniu przestępował z nogi na nogę.

Kobieta patrzyła na niego z rozdrażnieniem.

Jakże Wega mogła być nieobecna, jeżeli obiecała?! Prawda, pewnie czekała dotąd, a teraz gdzieś poszła. Nieszczęście! Nie żadne niepowodzenie, ani przykrość, lecz właśnie nieszczęście!

Rękę trzymającą fiołki Oleg wciągnął do rękawa płaszcza, jak gdyby mu ją odrąbano.

— Powiedźcie, proszę: jeszcze wróci, czy już poszła do pracy?

— Poszła — wredna baba wybijała to samo słowo.

To nie była żadna odpowiedź.

Ale stać przed nią i czekać także było bez sensu.

Motocykl krztusił się, strzelał, charczał — chwilami cichnął.

Na poręczach leżały ciężkie poduszki. Sienniki. Kołdry wciśnięte w koperty prześcieradeł. Wyłożone, żeby wygrzały się na słońcu.

— Obywatelu, na co jeszcze czekacie?

Oleg patrzył na te pościelowe reduty na werandzie i nie był w stanie pochwycić wątku myśli.

Wredna babska morda patrzyła i nie pozwalała się zorientować w sytuacji.

Przekłęty motocykl ryczał, motor nie chciał zaskoczyć, serce rwało się na kawałki od tego hałasu.

Oleg cofnął się od tych nagromadzonych pościelowych redut, cofnął się tam skąd przyszedł — odepchnięty!

Gdyby nie te poduszki — jedna ze zmiętym rogiem, dwie inne jak obwisłe wymiona krowy, czwarta stercząca ku górze na kształt obelisku — gdyby nie te poduszki, może zebrałyby się w garść, doszedł do jakiejś decyzji. Przecież niepodobieństwem było tak zaraz odejść! Wega jeszcze wróci — na pewno! Wróci niedługo. I także będzie żałować! Będzie żałować!

Ale poduszki, materace, kołdry w kopertach prześcieradeł potwierdzały wielowiekowe doświadczenie, któremu nie mógł zaprzeczyć. Nie miał do tego żadnego prawa.

Właśnie — teraz! Właśnie — on!

Samotny mężczyzna może spać na bierwionach, na gołych deskach, dopóki w sercu płonie wiara i ambicja. Aresztant, który nie ma wyboru, śpi na twardych pryczach. Także aresztantka, którą odseparowano od niego na siłę.

Ale tam, gdzie mężczyzna i kobieta uzgodnili między sobą spotkanie, te miękkie, wzbite piernaty czekają na swoje bezbłędnie. Wiedzą, że nie mogą się pomyślić.

Więc Oleg zawrócił, poszedł w kierunku bramy, z ciężkim żelazkiem na plecach, z odrąbaną ręką, byle dalej od tej niedostępnej dla niego, niezdobytej fortecy. Pościelowe reduty triumfalnie biły do niego z tyłu, z karabinów maszynowych.

Przekłęty motor nie chciał zaskoczyć!

Za bramą trzaski były mniej przeraźliwe. Oleg zatrzymał się, chciał jeszcze nieco zaczekać.

Jeszcze nie wszystko było stracone — Wega mogła wrócić. A jeżeli wróci, musi tędy przejść. Uśmiechną się do siebie, ucieszą się: „Dzień dobry!” „Wicie, jak to było...” „Tak zabawnie wypadło...”

Wtedy wyciągnie z rękawa fiołki, już zmięte, pogniecione, przywiędłe...

Można zaczekać i wrócić, ale jakże razem z nią przejść obok

tych pościelowych bastionów! Nie dopuszczą, nie pozwolą przejść we dwoje.

Ale przecież Wegą, także Wegą — smukłonoga, o oczach koloru mlecznej kawy, taka uduchowiona, tak oddalona od marności tej ziemi — ona również wynosi na werandę swoją cudowną, wytworną, lekką pościel. Nie dziś, to innego dnia...

Ptak nie może żyć bez gniazda, kobieta — bez pościeli.

Choćby była najbardziej uduchowiona, najbardziej obca życiowym marnościami, nigdzie się nie podzieje, nie uniknie tych ośmiu godzin nocnego snu!

Nie uniknie zasypiania.

Nie uniknie budzenia się.

Nareszcie wyskoczył czerwony motocykl, w biegu puszczając ostatnią serię w Kostogłotowa, i młodzieniec z rozplaszczonym nosem zwycięsko rozejrzał się po ulicy.

Więc Kostogłotow poszedł, ostatecznie pokonany.

Wyciągnął fiołki z rękawa. To była ostatnia chwila, kiedy jeszcze można je komuś ofiarować.

Dwie pionerki, młodziutki Uzbeczki, szły naprzeciw. Obydwie miały takie same czarne warkoczyki, splecione mocno jak kable elektryczne. Obiema rękami Oleg wyciągnął ku nim dwa bukieciki.

— Bierzcie, dziewczynki!

Zdziwiły się. Spojrzały po sobie. Popatrzyły na Olega. Coś do siebie powiedziały po uzbecku. Zrozumiały, że ani nie jest pijany, ani się do nich nie przystawia. Kto wie, może nawet zrozumiały, że stary żołnierz chce im podarować te bukieciki bo czuje się nieszczęśliwy?

Jedna wzięła i skinęła głową.

Druga wzięła i także skinęła.

Szybko odeszły, oparte o siebie ramionami, rozmawiając z ożywieniem.

A on został — z przepoconym, brudnym workiem na plecach. Trzeba było zastanawiać się od początku, gdzie ma przenocować.

W hotelu nie wolno.

Do Zoji nie można.

Do Wegi nie można.

Nie, właśnie do niej można, na pewno można. Nawet się ucieszy. I nie okaże najmniejszego zdziwienia.

Ale na tej możliwości ciążył najsurowszy zakaz.

Całe milionowe, piękne, we wszystko obfitujące miasto wydało mu się teraz, bez Wegi, niczym worek ciężący na plecach.

I już było dziwne, że dziś rano miasto tak bardzo mu się podobało i tak wielką miał chęć zostać tu na dłuższy czas.

A najdziwniejsze: dlaczego dziś rano tak bardzo się cieszył? Teraz nawet rekonwalescencja przestała mu się wydawać jakimś osobliwym dobrodziejstwem.

Ledwie doszedł do następnego skrzyżowania ulic, a już zdał sobie sprawę jak bardzo jest wygłodniały, jak bolą go nogi, jak zmęczone jest całe ciało i dokuczają mu niedoleczone nowotwory. Właściwie pozostało tylko jedno — wyjechać stąd jak najszybciej.

Ale nawet powrót do Usz-Tereku przestał go nęcić. Zrozumiał, że teraz tęsknota da mu się we znaki jeszcze bardziej.

W ogóle nie mógł sobie wyobrazić takiej miejscowości, niczego takiego co by mogło mu dać satysfakcję.

Tylko to jedno — wrócić do Węgi.

I koniecznie położyć się u jej nóg: „Nie wypędzaj mnie! Nie wypędzaj! Przecież w niczym nie zawiniłem!”

Ale i ta możliwość była zakazana.

Zapytał przechodnia o godzinę. Trzecia. Należało powziąć jakąś decyzję.

Spostrzegł numer tramwaju, który szedł w kierunku Komendantury. Rozejrzał się gdzie jest najbliższy przystanek.

Ze zgrzytaniem żelastwa, zwłaszcza na zakrętach, tramwaj powlókł się przez kamienne, wąskie ulice, jak gdyby sam był ciężko chory. Oleg trzymał się za skórzany uchwyt i pochylił się, żeby patrzeć przez okno. Nie było żadnych bulwarów, żadnej zieleni, tylko kamienny bruk i obdrapane domy. Mignął przed oczami afisz, zapowiadający film w kinie pod otwartym niebem. Ciekawe byłoby popatrzeć jak to zostało urządzone, ale już jakoś przestawały go interesować nowości nieznanego mu świata.

Jest z tego dumna, że wytrzymała całe czternaście lat samotności. Ale czy wie co to znaczy tylko jedno pół roku — niby razem, a nie razem?!

Zorientował się gdzie jest jego przystanek, wysiadł z tramwaju. Teraz należało przejść jeszcze półtora kilometra szeroką ulicą, prowadzącą przez ponurą dzielnicę fabryczną. Bez przerwy, w tę i tamtą stronę, grzmiały na brukach ciężarówki i traktory, chodnik szedł wzdłuż niekończącego się kamiennego muru, potem przecinał drogę tor fabrycznego toru kolejowego, jeszcze dalej hałdy węglowej drobnicy, niezabudowany plac z wykopami pod nowe gmachy, znowu niekończące się szyny i wreszcie jednopiętrowe, drewniane baraki, które w sprawozdaniach figurują jako „tymczasowe budownictwo społeczne”, lecz stoją dziesięć, dwadzieścia, nawet trzydzieści lat. Teraz przynajmniej nie było tego błota jak w styczniu, pod deszczem, kiedy Kostogłotow po

raz pierwszy szukał komendantury. Ale i tak szło się tędy ponuro i trudno było uwierzyć, że taka ulica znajduje się w tym samym mieście, gdzie istnieją bulwary, dęby o pniach zbyt grubych by je można objąć, topole niepowstrzymanie wystrzelające w górę i różowe cudo uriu ka.

Wega... Choćby najbardziej upewniała się w przekonaniu, że właśnie tak trzeba, tak należy, tak najpiękniej, z tym większą siłą nastąpi załamanie.

Kto wpadł na pomysł by umieścić komendaturę, której podlegały losy wszystkich zesłańców tego miasta, właśnie tu, w ukryciu, daleko od centrum? Umieszczono ją właśnie tu, pośród baraków, zabłoconych przejść, wybitych i przesłoniętych dyktą okien, niekończących się sznurów z porozwieszaną bielizną, wszędzie mnóstwo bielizny!

Oleg przypomniał sobie nieprzyjemny wyraz twarzy komendanta, który go wtedy przyjął. Początkowo nawet nie było go w biurze, chociaż dzień był roboczy. Idąc teraz korytarzem, skupił się by nadać sobie wygląd człowieka niezależnego. Kostogłotow nigdy nie pozwalał sobie na uśmiech pod adresem funkcjonariuszy więziennych, nawet gdy raczyli się uśmiechać. Uważał za swój obowiązek podkreślać, że wszystko dobrze pamięta.

Zapukał, wszedł. Pierwszy pokój był pusty i prawie nieumeblowany: dwie długie ławki bez oparcia, na krzywych nogach, i stół za balustradą, przegradzającą izbę. Widocznie przy tym stole dwa razy na miesiąc odbywała się ceremonia meldowania miejscowych zesłańców.

W tej chwili nikogo tu nie było. Otwarte drzwi z tabliczką i napisem „Komendant”.

Kostogłotow zbliżył się ku drzwiom i zapytał surowym tonem:

— Czy można?

— Proszę, bardzo proszę! — odpowiedział mu bardzo przyjemny, życzliwy głos.

Co się stało? Oleg w życiu nigdy nie spotkał się w NKWD z takim przyjęciem. Wszedł. W pokoju nie było nikogo z wyjątkiem komendanta, siedzącego za stołem. Ale to nie był ten dawny — dureń, udający tajemniczą zadumę. Przed Olegiem siedział Ormianin o delikatnych, nawet inteligentnych rysach twarzy, bez cienia chełpliwości, a przy tym nie w mundurze, lecz w cywilnym, dobrze uszytym ubraniu, które zupełnie nie pasowało do tego zabudowanego barakami przedmieścia. Ormianin wyglądał tak radośnie, jak gdyby jego zajęcie polegało na rozdzielaniu biletów teatralnych, i teraz cieszył się że Oleg przychodzi z zamówieniem.

Po obozie Oleg nie mógł żywić zbyt wielkiej sympatii do

Ormian. Było ich niewielu, gorliwie pomagali sobie nawzajem, zawsze zajmowali najlepsze funkcje, kierowali wydawaniem chleba i nawet tłuszczu. Ale tak ujmując sprawę, trudno było mieć do nich o to pretensję; to nie oni wymyślili łagry, nie oni wynaleźli Syberię, więc właściwie w imię czego mieli rezygnować z wzajemnej pomocy, nie zajmować się obozowymi interesami i dziobać ziemię oskardem?

Toteż na widok tego wesołego Ormianina, przychylnie do niego usposobionego, chociaż siedział za urzędowym stołem, Oleg pomyślał prawie serdecznie o Ormianach, zawsze rzeczowych i nie skłonnych do biurokracji.

Po usłyszeniu nazwiska Olega i otrzymaniu informacji, że przebywa w tym mieście przejściowo, komendant podniósł się mimo sporej tuszy z żywością, i zaczął przeglądać tekturki leżące w jednej z szaf. Jednocześnie, jakby starając się uprzyjemnić Olegowi czekanie, mówił głośno do samego siebie — nic nie znaczące wykrzykniki, ale także nazwiska, co było najsurowiej zakazane odpowiednią instrukcją.

— Ta-ak... zaraz zobaczymy... Kaliotidi... Konstantinidi... Ale, proszę, siadajcie... Kułajew... Karunuriew. Och, róg tekturki się zagiął! Kazymagomajew... Kostogłotow! — I znowu gwałcąc wszystkie przepisy NKWD, nie tyle zapytał co stwierdził: Oleg Filimonowicz?

— Tak.

— Do-sko-na-le... Leczyliście się w klinice onkologicznej od dwudziestego trzeciego stycznia... Oderwał oczy od dokumentu i spojrzał żywo, po ludzku. — I co? Polepszyło się?

Oleg poczuł, że już jest rozczulony, że nawet chwyciło go nieco za krtań. Tak niewiele potrzeba: po prostu posadzić za tymi obrzydliwymi stołami osoby zachowujące się po ludzku, i od razu życie staje się inne... Więc odpowiedział zwyczajnie, bez żadnego skrępowania:

— Jakby to powiedzieć... Pod jednym względem jest lepiej, pod innym — gorzej... (Gorzej? Oto ludzka niewdzięczność! Czy może być coś gorszego od owej chwili, gdy leżał na podłodze w przychodni i pragnął śmierci?) — Ale tak na ogół to lepiej.

— No to świetnie! — ucieszył się komendant. — Ale dlaczego nie siadacie?

Jednak załatwienie teatralnych biletów wymagało pewnego czasu. Trzeba było przybić pieczętkę, dopisać piórem datę, potem wciągnąć do grubej księgi, wykreślić z innej. Ormianin przeprowadził wszystko z radością, bez wysiłku, wystawił zaświadczenie



z prawem na wyjazd, a gdy wręczał papierek, spojrzął bardzo znacząco i powiedział cichym, wcale nie urzędowym głosem:

— Nie martwcie się. Wkrótce to wszystko się skończy.

— To w s z y s t k o ? — zdumiał się Oleg. — To znaczy — co?

— Jak to co? Meldowanie się. Zesłanie. Ko-men-dan-ci! — Ormianin uśmiechał się beztrąsko. Najwidoczniej posiadał w rezerwie jakąś inną, przyjemniejszą pracę.

— A co? Już jest... zarządzenie? — Oleg śpieszył się, żeby wyrwać informację jak najszybciej.

— Zarządzenie czy nie zarządzenie... — westchnął komendant. — Są takie oznaki. Mówię wam z całą pewnością. Przyjdzie! Trzymajcie się mocno, wracajcie do zdrowia. Jeszcze wydziecie na człowieka!

Oleg uśmiechnął się krzywym grymasem.

— Wyszedłem, ale daleko od ludzi.

— Macie jakiś fach?

— Żadnego.

— Jesteście żonaci?

— Nie.

— To i lepiej! — powiedział komendant z przekonaniem.

— Małżeństwa zawarte na zesłaniu zazwyczaj się rozlatują, i z tego tylko kłopoty. A jak was uwolnią, wróćcie w ojczyste strony i ożenicie się!

Ożeni się...

— No jeżeli tak — Oleg podniósł się — to bardzo dziękuję!

Komendant skinął mu życzliwie głową, ale ręki mimo wszystko nie podał.

Idąc z powrotem przez dwa pokoje, Oleg zastanawiał się: skąd się wziął taki komendant? Taki się już urodził, czy inny wiatr powiał? Wyznaczony tu na stałe, czy tylko tymczasowy? Czy też specjalnie zaczęli właśnie takich wyznaczać? Było bardzo ważne wywieźć się o wszystkim, ale przecież znowu do niego nie pójdzie.

Wzdłuż baraków, przez szyny, przez kupy węgla, długą fabryczną ulicą Oleg szedł teraz pewniej i szybciej, w radosnym podnieceniu, nawet płaszcz zdjął bo mu w nim było za gorąco. Ale stopniowo to wiadro wypełnione radością, jaką w niego tchnął komendant, zaczynało przechylać się coraz bardziej i wypróżniać. Świadomość pracowała coraz sprawniej.

Radość zanikała stopniowo, gdyż doświadczenie nauczyło Olega by nie wierzyć ludziom, siedzącym za urzędowymi stołami. Jakże miał zapomnieć o świadomym kłamstwie, rozpowszechnianym po wojnie, jakoby szykowałą się wielka amnestia dla poli-

tycznych?! Rozpowszechniali to kłamstwo urzędujący kapitanowie i majorzy. Jakże im wierzone! — „Sam kapitan mi powiedział!” A chodziło po prostu o to, żeby podnieść na duchu tych, co się załamali; byle ciągnęli ostatnimi siłami, byle wyrabiali normę, byle jeszcze jakoś rwali się do życia!

Co do tego Ormianina, wolno było założyć że wie zbyt wiele jak na zajmowane przez niego stanowisko. Ale czy Oleg też nie spodziewał się tego samego na podstawie dorywczych wiadomości prasowych?

Boże drogi, toć najwyższy czas! Od dawna czas, nie może być inaczej! Człowiek umiera na raka — jakże może żyć cały kraj, przeżarty rakiem łągów i zsyłek?

Znowu ogarnęła go radość. Ostatecznie nie umarł. W niedługim czasie będzie mógł kupić bilet do Leningradu. Do Leningradu! Naprawdę będzie mógł podejść do Kolumny Izajasza i dotknąć jej własną dłońią? Przecież serce tego nie wytrzyma!

Ale co tam kolumna Izajasza! Skoro odzyska wolność, to i w stosunku do Wegi wszystko ulegnie zmianie! Można dostać zawrotu głowy! Teraz — jeżeli to naprawdę... jeżeli na serio... więc już nie żadna fantazja! Będzie mógł zamieszkać w tym mieście, blisko niej!

Życie z Węgą! Wspólne życie! Przecież na samą myśl o tym serce pęka...!

Na pewno ogromnie się ucieszy, jeżeli do niej zaraz pojedzie i wszystko opowie. Dlaczego nie miałby opowiedzieć? Dlaczego nie pojechać? Komu ma opowiedzieć, jeśli nie jej? Kogo w całym świecie może zainteresować jego wolność!

Znalazł się na przystanku tramwajowym. Trzeba było wybrać odpowiedni kierunek: albo na dworzec, albo do Wegi. Trzeba się było śpieszyć, bo przecież Wega wyjdzie! Słońce już się chyliło ku zachodowi.

Znowu zaczął się denerwować. Tak bardzo chciał jechać do Wegi! Rozwiały się bez śladu wszystkie argumenty, przemyślane w drodze do komendantury.

Z jakiej racji ma jej unikać, jak gdyby był winien, miał nieczyste sumienie? Przecież musiała jakoś reagować, kiedy go leczyła! Kiedy spierał się z nią, kiedy prosił o przerwanie tego leczenia, milczała i chowała się za ekranem!

Dlaczego nie pojechać? Dlaczego nie mają podnieść się z obecnego stanu? Dlaczego nie mają pójść wyżej! Czyż nie są ludźmi? Przynajmniej Wega — na pewno!

Zaczął przedzierać się przez tłum do tramwaju. Na przystanku zgromadziło się mnóstwo osób i akurat wszystkie jechały w tym samym kierunku! Wszyscy musieli właśnie tam! Oleg miał płaszcz

w jednej ręce, w drugiej — worek z rzeczami, nie mógł uchwycić poręczy, ale dostał się w ścisk, poniosło go, wepchnęło najpierw na platformę, a następnie do wnętrza tramwaju.

Mocno przyciskany ze wszystkich stron, znalazł się z tyłu za dwoma dziewczętami wyglądającymi na studentki. Jedna była blondynka, druga — czarnulka, a obydwie tak blisko, że chyba musiały czuć jego oddech. Ręce miał szeroko rozłożone, tak że obejmował nimi jedną i drugą dziewczynę. Nie tylko nie mógł zapłacić gniewającej się konduktorce, ale nawet poruszyć ramionami. Lewą ręką, w której trzymał szynel, obejmował czarnulkę, zaś do blondyneczki przyciśnięty był całym ciałem, od kolan do brody, a więc ona także musiała go dobrze czuć. Największa namiętność nie byłaby w stanie tak ich ze sobą zespolić jak ten tramwajowy ścisk. Jej szyja, uszy, jasne kędziorki na karku były tak blisko, że trudno mu było objąć myślą tę sytuację. Przez podniszczone sukno wyczuwał doskonale jej młodą i ciepłą sprężystość. Czarnulka opowiadała coś w dalszym ciągu o sprawach uniwersyteckich, blondyneczka przestała jej odpowiadać.

W Usz-Tereku nie było tramwajów. Taki tłok zdarzał się bodaj tylko w więziennych samochodach. A i to rzadko w towarzystwie mieszanym, razem z kobietami. Nie znał takiego doświadczenia, nie pamiętał z dawnych lat, a im dziwniejsze było obecnie, tym silniej na niego działało.

Ale nie dawało poczucia szczęścia. Raczej — zmartwienia. Bo wyczuwał istnienie progu, przez który trudno było przejść nawet w wyobraźni.

Tak, ale przecież go uprzedzono: *libido* pozostanie. I nic więcej!

W takim tłoku przejechali jeszcze dwa przystanki. Potem było w dalszym ciągu ciasno, ale z tyłu już tak bardzo nie naciskali, więc Oleg mógłby się nieco odsunąć. Ale nie chciał. Nie starczyło mu siły woli, żeby oderwać się i położyć kres temu szczęściu połączonemu z udręką. W owej chwili nie pragnął niczego więcej: trwać w tym ścisku możliwie jak najdłużej. Nawet gdyby ten tramwaj zawrócił znowu do Starego Miasta! Nawet, gdyby oszalał i aż do nocy krążył bez zatrzymania, nawet gdyby zdecydował się na podróż dokoła świata! Nie, nie miał siły żeby oderwać się od dziewczyny z własnej woli! Przedłużał to jedyne szczęście, na jakie jeszcze było go stać, i z wdzięcznością starał się utrwalić w pamięci jasne kędziorki na karku dziewczyny. Ale jej twarzy nie udało mu się zobaczyć aż do końca!

Blondynka oderwała się od Olega i zaczęła posuwać się do przodu.

Wyprostował zgięte, osłabłe kolana i zrozumiał, że jedzie

do Węgi niepotrzebnie, że nic go nie czeka prócz rozczarowania i męki.

Jedzie by zażądać od niej znacznie więcej, niż od samego siebie.

Porozumienie między nimi dokonało się na takim wzniosłym poziomie, że nie można było wyjść poza obcowanie duchowe. Na ich wyciągniętych rękach wznosi się ten most, ale Oleg już zdaje sobie sprawę, że jego ręce wiotczeją i opadają. Jedzie by pokazać jej się jako człowiek krzepki na duchu, a jednocześnie męczyć się zupełnie innymi myślami. Kiedy Węga odejdzie i zostanie sam w jej pokoju, będzie skomleć, biorąc do rąk jej sukienki, jakąś uperfumowaną chusteczkę, byle jakie drobiazgi.

Nie, musi się okazać rozsądniejszy od tej dziewczyny. Trzeba jechać na dworzec.

Zamiast pójść do przodu, wyminąć tamte dwie studentki, Oleg przecisnął się na tylną platformę i zeskoczył, pożegnany przekleństwem któregoś z pasażerów.

Na przystanku także sprzedawano fiołki.

Słońce już chyliło się ku zachodowi. Oleg włożył płaszcz i pojechał na dworzec. W tramwaju na tej linii już nie było wielkiego tłoku.

Połąził po dworcu, rozpytując i otrzymując mylne wskazówki, aż wreszcie trafił do krytej hali, podobnej do targowej, gdzie sprzedawano bilety na pociągi dalekobieżne.

Były tam cztery okienka i przy każdym stał ogonek stu pięćdziesięciu do dwustu osób. A przecież na pewno ten i ów odszedł na chwilę, zatrzymując miejsce w ogonku.

Już co jak co, ale te dworcowe ogonki, w których trzeba było stać nieraz przez kilka dni, Oleg świetnie znał, jak gdyby to było wczoraj. Wiele zmieniło się w świecie — inne mody, inne latarnie, inne zachowanie się młodzieży, ale pod tym względem było identycznie tak jak przechowało się w jego pamięci: tak samo było w roku czterdziestym szóstym, w trzydziestym dziewiątym, w trzydziestym czwartym i w trzydziestym. Wystawy pełne produktów żywnościowych mógł sobie przypomnieć z okresu NEP-u, ale kas dworcowych dostępnych zawsze dla publiczności nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Trudności związanych z wyjazdem nie znali tylko ci, co mieli odpowiednie legitymacje, albo specjalne dokumenty podróży.

Tym razem Kostogłotow miał właśnie taki dokument, niezbyt reprezentacyjny ale nadający się w tym wypadku.

W hali było duszno, Oleg spocił się, a mimo to wyciągnął z worka futrzaną, zbyt ciasną na niego czapkę i nacisnął ją na głowę jak na szewskie kopyto. Worek powiesił na ramieniu.

Nadał swojej twarzy taki wyraz, jak gdyby nie minęło jeszcze dwóch tygodni od chwili, gdy leżał na stole operacyjnym pod skalpelem Lwa Leonidowicza, i z tym wycieńczonym wyglądem, z niewidzącym spojrzeniem, powlókł się wzdłuż ogonka w pobliże kasy.

Było więcej takich amatorów, ale nie pchali się do okienka i nie awanturowali — tam stał milicjant.

Oleg podszedł do niego, trzęsącą się ręką wyciągnął z wewnętrznej kieszeni dokument i z całą ufnością wręczył go towarzysowi milicjantowi.

Wąsaty, zuchowaty Uzbek, wyglądający na młodego generała, przeczytał z wielką powagą i oświadczył stojącym w czołówce ogonka:

— Tego puścimy. Po operacji.

I kazał mu stanąć za pierwszymi dwoma osobami.

Oleg obrzucił sąsiadów mdlejącym spojrzeniem, ale nawet nie próbował wepchnąć się do kolejki, stał z boku, ze spuszczoną bezsilnie głową. Starszy, gruby Uzbek w brązowym, aksamitnym kapeluszu o tak szerokim rondzie że wyglądało jak talerz, wepchnął go do ogonka i zrobił miejsce.

Przyjemnie jest stać blisko kasy. Widać palce kasjerki, wyrzucane bilety, przepocone banknoty zaciśnięte w dłoni pasażera, który na długo przedtem wydobył je z ukrytej kieszeni lub z pasa: słysząc nieśmiałe prośby pasażerów, bezlitośnie odmowne odpowiedzi kasjerki — wszystko jest w ruchu, wszystko idzie z pośpiechem.

Przyszła kolej i na Olega.

— Proszę — nachylił się do okienka — jeden zwykły, ogólny do Chan-Tau.

— Że jak? Dokąd? — dopytywała się kasjerka.

— Do Chan-Tau.

— Coś jakby nieznaną stacją — kasjerka wzruszyła ramionami i zaczęła przerzucać stronicie ogromnej księgi z rozkładami jazdy.

— Jakżeż ty, kochaneńki, zwyczajny bierzesz? — ulitowała się kobieta stojąca za Olegiem. — Po operacji i bierzesz zwyczajny bilet! Jak wleziesz na górną półkę, to ci szwy popękają! Powinieneś wziąć miejscówkę.

— Nie mam pieniędzy — powiedział Oleg z westchnieniem. To była prawda.

— Nie ma takiej stacji! — zawołała kasjerka i zatrzasnęła książkę. — Biercie do innej.

— Jak to nie ma? — powiedział Oleg z mdłym uśmiechem.

— Istnieje już od roku. Właśnie tam wsiadłem na pociąg. Gdybym wiedział, to bym bilet zachował.

— Nic mnie to nie obchodzi! Jeżeli nie ma w rozkładzie jazdy, to znaczy że takiej stacji nie ma!

— Ależ tam się pociągi zatrzymują! — Oleg już wciągał się w spór, z większą energią niż mógłby się na to zdobyć pooperacyjny rekonwalescent. — Tam przecież kasa jest!

— Obywatelu, jeżeli nie chcecie biletu, proszę na bok! Następnym!

— Słusznie, tylko czas traci! — odezwały się rozsądne głosy z tyłu. — Dają bilet, to bierz! Po operacji a tyle rabanu narobił!

Teraz dopiero Kostogłotow mógłby się pospierać! Teraz mógłby kolejno zażądać kierownika działu pasażerskiego i naczelnika stacji! Jaką przyjemność dałoby mu uderzenie po tych tępych łbach i dobijanie się sprawiedliwości! Niechby to była niewielka, nędzna, ale jednak sprawiedliwość! Żeby przynajmniej w tym wypadku poczuć się kimś!

Ale prawo popytu i podaży jest nieugięte, i żelazne jest prawo planowania ruchu kolejowego. Ta zacna kobieta za nim, która namawiała go na kupienie miejscówki, już pchała pieniądze do okienka. Milicjant, który przed chwilą puścił go poza kolejką, już podnosił rękę by go odprowadzić na stronę.

— Od tej stacji mam tylko trzydzieści kilometrów, a od sąsiedniej siedemdziesiąt. — Oleg jeszcze chciał się spierać z kasjerką, ale była to już skarga nie doświadczonego łągiernika, lecz zwykłego frajera. — No dobrze, proszę o bilet do stacji Czu.

Kasjerka знаła tę nazwę na pamięć, cena była z góry znana i były jeszcze miejsca do Czu, więc wypadało się tylko cieszyć. Nie odchodząc daleko od kasy, Oleg sprawdził bilet, numer wagonu i cenę, przeliczył resztę i dopiero wtedy poszedł, nie spiesząc się.

A kiedy już był daleko od ludzi, wobec których udawał pacjenta po operacji, wyprostował się, zdjął swoją nędzną czapkę i wsadził znowu do worka. Do odejścia pociągu miał jeszcze dwie godziny, i świadomość że już ma bilet w kieszeni sprawiała wielką przyjemność. Można było teraz urządzić sobie ucztę: zjeść lody, których w Usz-Tereku nie ma, napić się kwasu (kwasu też nie ma). Kupić na drogę czarnego chleba. Nie zapomnieć o cukrze. Nalać gotowanej wody do butelki (to bardzo ważna rzecz — mieć ze sobą własną wodę!). Śledzi nie brać w żadnym wypadku! O ileż to swobodniej i wygodniej, niż jazda etapem w stołypińskim wagonie! Nie będzie rewizji przy wsiadaniu, nie będą wieź więziennym samochodem, nie trzeba siadać na ziemi pod konwojem, ani męczyć się od pragnienia przez dwie doby! A może jesz-



cze uda się zdobyć najwyższą bagażową półkę i rozłożyć się na całą długość — nie we dwóch, nie we trzech, sam jeden! Leżeć i nie czuć bolesnego nowotworu. To przecież prawdziwe szczęście! Jest szczęśliwym człowiekiem! Nie ma powodu do żadnych skarg!

A przy tym komendant wygadał się o amnestii...

Przyszło nareszcie to szczęście, tak długo oczekiwane, a Oleg jakoś nie od razu w nim się rozeznał.

Ostatecznie ma jakichś przyjaciół i ma rozmaite możliwości. Jak to nagle w życiu człowieka zjawia się inny człowiek!

Kiedy dziś rano patrzył na księżyc, był pełen otuchy. Ale tego księżycy już ubywa!

Należało wyjść na peron, wyjść znacznie wcześniej, zanim zaczął puszczać. Zanim zajedzie pociąg, trzeba z daleka zauważyć który wagon i biegiem do niego, zająć dobre miejsce w kolejce. Oleg poszedł żeby sprawdzić w rozkładzie. Zaraz powinni zacząć puszczać na pociąg, idący w przeciwną stronę — siedemdziesiąty pierwszy numer. Udając mocno zadyszanego i przepychając się ku wyjściu, Oleg pytał wszystkich po kolei a następnie kontrolera przy drzwiach:

— Siedemdziesiąty pierwszy, już? Siedemdziesiąty pierwszy — już podstawili?

Bilet trzymał między palcami. Robił wrażenie, że bardzo się boi spóźnienia na ten siedemdziesiąty pierwszy, więc kontroler, nie sprawdzając biletu, puścił go i jeszcze popchnął ku peronowi przez zwisający ciężko worek.

Znalazłszy się na peronie, Oleg przeszedł się spokojnym spacerkiem, potem przystanął, położył worek na kamiennym wykuszu. Przypomniał sobie bardzo zabawne wydarzenie — to było w Stalingradzie, w trzydziestym dziewiątym roku — ostatnie dni wolności Olega. Było to już po umowie z Ribbentropem, ale jeszcze przed przemówieniem Mołotowa i przed wydaniem dekretu o mobilizacji dziewiętnastolatków. We dwóch spłynęli łódką w dół Wołgi, w Stalingradzie łódkę sprzedali, więc z powrotem na naukę trzeba było wracać pociągiem. Po tej rzecznej wyprawie zostało im sporo rzeczy, ledwie mogli dać rady. Ponadto w magazynie jakiejś zabitej deskami miejscowości przyjaciel Olega kupił głośnik radiowy — w Leningradzie w owym czasie głośników nigdzie nie było. Duży, w kształcie gramofonowej tuby starego typu, bez futerału — przyjaciel Olega bał się, że go w tłoku uszkodzą. Na stalingradzkim dworcu dostali się do olbrzymiego ogona, idącego przez całą halę zastawioną drewnianymi kuferkami, walizkami, workami. Nie było mowy o przedostaniu się na peron przed czasem, więc groziła im perspektywa spędzenia dwóch



nocy jazdy bez wolnych miejsc na półkach, gdzie można się przespać. Wcześniejsze wychodzenie na peron było surowo zakazane. W Olega wstąpiło natchnienie. „Jakoś — powiedział do przyjaciela — dowleciesz się z wszystkimi rzeczami, choćby nawet ostatni!” Wziął głośnik i żwawym krokiem zbliżył się do zakazanego dla pasażerów wyjścia urzędowego. Pokiwał autorytatywnie przez szybę, pokazując głośnik — dyżurna otworzyła drzwi. „Jeszcze zaniosę ten ostatni — powiedział Oleg — i to już wszystko!” Kobieta uczyniła potakujący gest że rozumie, jak gdyby Oleg przez cały dzień nosił głośniki. Podstawili pociąg, wskoczył do wagonu w biegu i zajął dwie bagażowe półki.

Nic się nie zmieniło w ciągu tych szesnastu lat.

Spacerował po peronie i patrzył na takich samych chytrusów jak on: także przyszli na niewłaściwy pociąg i teraz czekali z rzeczami. Było ich niemało, ale mimo wszystko na peronie było znacznie więcej luzu, niż na samym dworcu i na przylegających skwerach. Swobodnie, z całą pewnością siebie, spacerowali pasażerowie czekający na najbliższy pociąg, przyzwoicie ubrani, posiadający numerowane miejsca, których nikt przed nimi nie mógł zająć. Były tam kobiety z bukietami kwiatów podarowanych na pożegnanie, mężczyźni popijający piwo z butelek, ktoś kogoś fotografował... Tryb życia niedostępny i prawie zupełnie niezrozumiały. Długi peron pod dachem przywoływał tego ciepłego wiosennego wieczoru jakieś wspomnienie z dziecinnych lat: gdzieś na Południu — może Wody Mineralne.

Nagle Oleg zauważył, że z peronu można wejść bezpośrednio do Urzędu Pocztowego, a obok na samym peronie stoi stolik z czterema pochyłymi pulpitemi do pisania listów.

Aż go poderwało. Koniecznie listy! I to zaraz, natychmiast, dopóki jeszcze myślami jest przy nich, dopóki nie zapadło się w niepamięć!

Wepchnął się ze swoim workiem do wnętrza, kupił kopertę, nie — jeszcze drugą kopertę i papier listowy, a potem jeszcze kartkę, i wy dostał się z powrotem na peron. Worek z żelazkiem do prasowania i bochenkami chleba ulokował między nogami, oparł się o pochyły pulpit i zaczął pisać. Najpierw najłatwiejsze — kartka pocztowa...

„Jak się masz Diomka!

A więc byłem w Zoologu! Powiem ci tylko tyle: to jest coś! Czegoś takiego nigdy w życiu nie widziałem! Koniecznie musisz pójść! Wyobraź sobie: białe niedźwiedzie! Krokodyle, tygrysy, lwy. Idź na cały dzień, na miejscu zjesz — sprzedają pierożki. Nie przegap kozła o skręconych nogach. Nie śpiesz się, przypatrz

mu się dobrze i pomyśl. Jeżeli trafisz na atylope nigaj, to także... Dużo małp — uśmiechasz się! Tylko jednej nie ma — małpce rezus zły człowiek sychnął tytoniem w oczy, więc oslepla. Sychnął ot tak, dla zabawy.

Zaraz mój pociąg, śpieszę się.

Wracaj do zdrowia i wyrastaj na człowieka! Liczę na ciebie na pewniaka! Najlepsze życzenia dla Aleksieja Filipycza! Mam nadzieję, że wyzdrowieje.

Dłoń ściskam!

Oleg”.

Pisał łatwo, ale powoli: pióro smarowało, stalówki były polamane albo wykrzywione, rozrywały papier, wbijały się w niego jak łopata, w kałamarzu było pełno strzępów, i przy całej ostrożności pismo wypadło okropnie.

„Pszczółko Zojeńka!

Jestem Wam niezmiernie wdzięczny, że pozwoliliście dotknąć ustami prawdziwego życia. Bez tamtych kilku wieczorów czułbym się zupełnie, no... zupełnie jak obrabowany.

Wasze zachowanie było rozumniejsze od mojego, ale za to mogę teraz odjechać bez wyrzutów sumienia. Zaprosiliście mnie do siebie — nie przyszedłem. Dziękuję! Doszedłem do wniosku, że lepiej nie psuć wspomnienia. Zawsze zachowam Was we wdzięcznej pamięci.

Szczerze, uczciwie życzę Wam, żebyście znaleźli szczęście w małżeństwie!

Oleg”.

Z pisaniną było tak samo jak w wewnętrznym więzieniu: gdy przychodził dzień na składanie podań, dawali takie same zapaskudzone kałamarze, takie same pióra; kartka papieru mikroskopijna, atrament przebija na drugą stronę... Pisz co chcesz, o czym chcesz.

Przeczytał liścik, złożył, chciał od razu zakleić kopertę (pamiętał z dzieciństwa powieść detektywistyczną, w której wszystko zaczęło się o pomylenia kopert), ale o zaklejeniu nie było mowy! Na brzegach widać było ciemne pasemka, które w pojęciu kierownictwa GOST-u miały oznaczać miejsca przeznaczone na klej, niestety tego kleju nie było!

Oleg wybrał z leżących trzech stalówkę najmniej uszkodzoną, starannie ją wytarł i zamyślił się jak ma napisać ostatni list. Dotychczas czuł pod nogami twardy grunt, nawet się uśmiechał. Ale teraz wszystko się pod nim zakołysało. Był przekonany, że napisze „Wiera Korniliewna”, ale napisał inaczej.

„Najmilsza Wego!

Przez cały czas tak właśnie pragnąłem Was nazywać, niech więc będzie na pożegnanie!

Czy moge pisać z całkowitą szczerością, nie o tym cośmy mówili do siebie na głos, lecz o tym cośmy myśleli? Bo przecież myśleliśmy! To przecież nie zwykły pacjent, jeżeli doktorka proponuje mu własny pokój na nocleg?

Ileż razy chciałem dziś pójść do Was! I wreszcie poszedłem! Tak przejęty i podniecony, jak gdybym miał szesnaście lat! To bodaj nawet nieprzyzwoicie ze strony człowieka o takiej przeszłości jak moja. Byłem przejęty, zakłopotany, cieszyłem się, bałem się. Trzeba było dręczyć się przez tyle lat, żeby nagle zrozumieć: To sam Bóg mi posyła!

Ale...! Gdybym Was zastał w domu, mogłoby się zacząć między nami coś fałszywego, coś wymuszanego na siłę! Łaziłem potem po mieście i rozumiałem: to dobrze, że Was nie zastałem. To wszystko co Wam sprawiało udrękę i co sprawiało udrękę także mnie, to wszystko można jakoś określić, jakoś n a z w a ć! Ale do tego co mogłoby się teraz zacząć między nami, do tego nie można by było nawet przyznać się przed nikim! Gdyby właśnie t o nastąpiło, pozostałaby między nami jakaś ohydna, nieżywa, ale ciągle rozrastająca się zmija.

Jestem starszy od Was — jeżeli nie wiekiem, to wszystkim com przeżył. Możecie mi wierzyć: macie rację we wszystkim, absolutnie we wszystkim macie rację! W stosunku do Waszej przeszłości, do Waszej terażniejszości, ale nie jesteście w stanie przewidzieć Waszej przyszłości. Może nie zgodzicie się ze mną, ale ja Wam przepowiadam: zanim jeszcze dobiejecie do obojętnej starości, będziecie błogosławić ten dzień, w którym nie doszło do podzielenia przez Was mego losu. W tej chwili nie mam na myśli losu zesłańca — już krążą wiadomości, że zesłanie wkrótce się skończy. Połowie swego życia poderznięliście gardło jak jagnięciu — oszczędźcie drugą połowę!

Teraz, gdy odjeżdżam (a jeżeli zesłanie się skończy, będę jeździć na badania i leczyć się gdzie indziej, nie u Was — czyli zegnamy się na zawsze), muszę się zwierzyć: nawet wtedy, gdyśmy mówili o najbardziej wzniosłych sprawach, a mówiłem uczciwie, z pełnym przekonaniem, nawet wtedy, zawsze i przez c a ł y c z a s, miałem chęć wziąć Was na ręce i całować Wasze usta! Jak się w tym wszystkim połapać?!

Więc teraz całuję Wasze usta — bez pozwolenia”.

Druga koperta była identyczna: ciemne pasemko bez kleju. Olegowi zawsze się czemuś wydawało, że to nie żaden przypadek.

A za jego plecami — na co się zdała cała jego przezorność

i chytrość! — już podstawiali pociąg i ludzie rzucili się do niego biegiem.

Chwycił za worek, chwycił koperty, wdarł się do Urzędu Pocztowego.

— Gdzie jest klej? Obywatelko! Gdzie jest klej? Klej?

— Bo kradną! — głośno tłumaczyła dziewczyna. Przyjrzała mu się, niedecydowanym ruchem podała słoik. — Ale proszę zakleić tu, przy mnie! Na miejscu!

Małeńki pędzelek, jakiego używają uczniowie, tkwił w gęstym czarnym kleju. Drewniany patyczek oblepiony był na całą swoją długość zeschniętym i świeżym klejem, trudno go było wziąć do ręki, i należało smarować brzeg koperty, pociągając całym pędzelkiem niczym piłą. Potem trzeba było palcami usunąć nadmiar kleju. Zakleić. I na zakończenie zetrzeć klej wyduşzony.

A tymczasem ludzie biegli do pociągu.

Teraz — klej dziewczynie, worek do ręki (cały czas trzymał go między nogami, żeby ktoś nie podiwaniał), listy do skrzynki pocztowej i natychmiast biegiem!

Niby już wykończony, niby pozbyty sił, ale jeżeli trzeba biec, to się biegnie! Z pierwszego peronu na drugi, dobiegł do swego wagonu i stanął w ogonku mniej więcej jako dwudziesty z kolei. Ale do tych, co zajęli miejsce, podbiegali jadący razem, tak że Oleg był już trzydziesty. Pierwszej półki nie złapie, ale to i lepiej: nogi zbyt długie, nie zmieściłby się. Powinien złapać bagażową. Jeśli zastawią koszami, to się je przesunie.

Wszyscy pasażerowie mieli ze sobą identyczne kosze a nawet wiadra — czy aby nie z ogrodowymi nowalijkami? Czy nie do Karagandy, żeby naprawiać błędy w zaopatrzeniu, jak to opowiadał Czałyj?

Konduktor, siwy staruszek, krzyczał do ludzi, żeby ustawili się wzdłuż wagonu, żeby się nie pchali, że miejsca starczy dla wszystkich. Ale mówił o tych wolnych miejscach z niezbyt wielką pewnością siebie i ogon za plecami Olega zwiększał się coraz bardziej. W pewnej chwili Kostogłotow zauważył podejrzany ruch, którego najbardziej się obawiał: ten i ów chciał się dostać do wagonu poza kolejką. Najgwałtowniej pchał się do przodu jakiś facet o krzywym pysku, sprawiający wrażenie opętańca. Człowiek nie zorientowany mógłby go wziąć za psychopatę — chce się pchać bez kolejki, niech się pcha! Ale Oleg od razu się na nim poznał: to był typowy gość z kryminalnego b l a t u, stosujący zwykłą metodę straszenia. Za awanturnikiem pchali się już inni, spokojniejsi: jeżeli jemu wolno, to dlaczego nie nam?

Naturalnie Oleg mógłby zrobić to samo i na pewno zajęłby

wolną półkę, ale już mu się uprzykrzyły te sposoby, chciał przyzwycieć, żeby wszystko było w porządku, jak tego żądał starszek-konduktor.

Mimo wszystko starszek nie puszczał awanturnika, a ten już go popychał i klął najgorszymi słowami z taką swobodą, jak gdyby chodziło o najbardziej potoczne słownictwo. W kolejce podniósł się przyjazny dla niego szum.

— Puścić go, niech idzie! Widać, że chory człowiek!

Olega poderwało, w kilku krokach znalazł się przy awanturniku i z całej siły wrzasnął mu prosto do ucha:

— Ej, ty!!! Ja także jestem stamtąd!

Udający opętanego odskoczył, potarł ucho.

— Ze skąd?

Oleg wiedział że jest zbyt słaby by się bić, że już goni resztkami sił, ale w razie czego miałby przewagę: dwie ręce wolne; awanturujący się niósł koszyk. Kostogłotow natarł na niego i ściszone głosem powiedział:

— Stamtąd, gdzie dziewięćdziesięciu dziewięciu płacze, a jeden się śmieje.

Ludzie w kolejce nie zrozumieli co wpłynęło uspokajająco na awanturnika, ale zobaczyli że natychmiast oklapł, zamrugał oczami i powiedział do dryblasa w żołnierskim płaszczu:

— Ależ ja nic, mnie co, chcesz — siadaj pierwszy.

Oleg nie ruszył się z miejsca, stał między starym konduktorem i tamtym. I zaraz ci co się pchali zaczęli wracać do kolejki.

— Proszę bardzo! — awanturnik łagodniał coraz bardziej. — Możemy zaczekać...

Szli pasażerowie z koszami, z wiadrami. W jednym z nich spod narzuconego worka widać było podłużne, liliowe-różowe pęczki rzodkiewek. Dwóch najbliższych miało bilety do Karagandy. Oto dla kogo Oleg ustanowił porządek w kolejce! Ale nie brakowało i zwykłych pasażerów. Jakaś przyzwycie ubrana kobieta, w niebieskim żakiecie. Gdy tylko Oleg wsiadł, zaraz po nim wszedł również awanturnik.

Idąc szybko korytarzem, Oleg zauważył w jednym z przedziałów prawie zupełnie wolną półkę.

— Tak! — oświadczył właścicielowi bagażu. — Ten koszyczek zaraz przestawimy.

— Jak to? Dlaczego? — zaniepokoił się tamten. Był kulawy, ale wyglądał krzepko.

— A dlatego! — Oleg już był na górze. — Ludzie nie mają gdzie leżeć.

Urządził się na półce w jednej chwili. Worek pod głową, ale przedtem wyjął z niego żelazko do prasowania; zdjął płaszcz, roz-

ścielił go, ściągnął także drelich — tu, na górze, wszystko było wolno. Zaraz też położył się, żeby nieco ochłonać po wysiłku. Nogi w ogromnych buciorach — czterdziesty czwarty numer! — sterczały nad przejściem do połowy łydek, ale że bardzo wysoko — nikomu to nie przeszkadzało.

Na dole także rozmieszczali się, odpoczywali, zawierali znajomości.

Kulawy okazał się bardzo towarzyskim jegomościem. Oświadczył, że poprzednio pracował jako weterynarz. Pasażerowie zdziwili się.

— Dlaczegoś rzucił taką pracę?

— A niby jak! — głośno wyjaśniał kulawiec. — Jeśli mam z powodu każdej owieczki która zdechnie iść na ławę oskarżonych, to już lepiej za inwalidę być i wozić jarzyny.

— Rzeczywiście! — powiedziała kobieta w niebieskim żakiecie. — To za Berii wyłapywano za handel jarzynami i owocami. Teraz łapią tylko tych, co wożą towary przemysłowe.

Słońce już było na pewno na samym horyzoncie, ale niewidoczne — zasłonięte przez dworcowy gmach. Na dole jeszcze dość widno, a w górze zmierzch. Pasażerowie z miejscówkami jeszcze spacerowali po peronie, a tu każdy siedział na zdobytym kawałku ławki i ustawiał bagaże tak, żeby było najwygodniej. Oleg wyciągnął się na całą długość. Jak dobrze! Gorzej było z podciągniętymi nogami jechać całe trzy doby w więziennej s t o ł y p i n c e. Niedobrze jechać, kiedy do jednego przedziału pakują dziewiętnaście osób. A jeżeli dwadzieścia trzy, to jeszcze gorzej!

Inni nie przeżyli, a on przeżył. Nie umarł na raka. A i zesłanie już pęka się i kruszy, niczym skorupka jajka.

Przypomniawszy sobie, że komendant radził mu się ożenić. Wszyscy będą tak radzić.

Jak dobrze leżeć. Jak dobrze!

Ale kiedy pociąg drgnął i ruszył, nagle chwycił Olega silny ból. Z lewej strony piersi, tam gdzie serce, a może i dusza... Przekręcił się, przylgnął do płaszcza, zamknął oczy i wtulił twarz w worek z bochenkami chleba.

Pociąg jechał i buty Kostogłotowa, zwieszane czubkami na dół, kołysały się bezwładnie jak u trupa.

Zły człowiek nasypał tytoniu do oczu małejki rezus.

Ot, tak sobie — dla zabawy...

*Koniec powieści*





## SPIS TREŚCI

### CZĘŚĆ PIERWSZA

1. — <i>W ogóle nie rak</i> .....	9
2. — <i>Wykształcenie nie dodaje rozumu</i> .....	16
3. — <i>Pszczółka</i> .....	30
4. — <i>Niepokoje pacjentów</i> .....	42
5. — <i>Niepokoje lekarzy</i> .....	56
6. — <i>Historia analizy</i> .....	66
7. — <i>Prawo do leczenia</i> .....	80
8. — <i>Czym ludzie żyją?</i> .....	92
9. — <i>Tumor cordis</i> .....	103
10. — <i>Dzieci</i> .....	114
11. — <i>Brzozowy grzyb</i> .....	126
12. — <i>Namiętności powracają</i> .....	144
13. — <i>Cienie również powracają</i> .....	163
14. — <i>Wymiar sprawiedliwości</i> .....	173
15. — <i>Każdy otrzyma swoje</i> .....	184
16. — <i>Niedorzeczności</i> .....	195
17. — <i>Korzeń z Issyk-Kulu</i> .....	202
18. — <i>„I niech nad moją trumną...”</i> .....	216
19. — <i>Z szybkością światła</i> .....	226

20. —	<i>Wspomnienia o urodzie życia</i> .....	240
21. —	<i>Cienie pierzchają</i> .....	252

## CZĘŚĆ DRUGA

22. —	<i>Rzeka ginąca w piaskach</i> .....	267
23. —	<i>Po co źle żyć?</i> .....	273
24. —	<i>Przy transfuzji krwi</i> .....	292
25. —	<i>W e g a</i> .....	305
26. —	<i>Szlachetna inicjatywa</i> .....	317
27. —	<i>Co kogo interesuje</i> .....	332
28. —	<i>Wszędzie nie do pary</i> .....	344
29. —	<i>Słowo twarde i słowo łagodne</i> .....	357
30. —	<i>Stary doktor</i> .....	371
31. —	<i>Bożyszczą targowiska</i> .....	386
32. —	<i>Na zakręcie</i> .....	400
33. —	<i>Szczęśliwe zakończenie</i> .....	412
34. —	<i>Nieco ciężiej</i> .....	423
35. —	<i>Pierwszy dzień stworzenia</i> .....	433
36. —	<i>Ostatni dzień stworzenia</i> .....	455



Achévé d'imprimer le 27 avril 1971

sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris-18°

Dépôt légal : 2° trimestre 1971

**Odkwaszone**

**24-11-2008**

---

Hydarec  
17.V.71

**Cena F. 40 (dol. 8.50; £ 4.30)**